

**DAVID MORRELL**

**KOMPLEKS WINY**

Z angielskiego przełożył ROBERT WALIŚ

*Książkę dedykuję Richardowi Schoeglerowi oraz Elizabeth Gutierrez, którzy zapoznali nas z Innym Miastem.*

*Jak cię kocham? Poczekaj, wszystko ci wyłożę.*

Elizabeth Barret Browning

*Denial is not a River In Egypt\*\**

napis na zderzaku

\* *Miłość jest wszystkim, co istnieje*: w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka [w:] *300 najszynniejszych angielskich i amerykańskich wierszy miłosnych*, Wydawnictwo „a5”, Poznań, 1992.

\*\* Dosł. *Zaprzeczenie nie jest rzeką w Egipcie* - nieprzetłumaczalna gra słów oparta na homonimie: *denial* i *the Nil*, nawiązująca do tytułu oryginału - *Extreme denial*.

## **Rozdział pierwszy**

### **1**

Decker poinformował przedstawiciela włoskiego urzędu imigracyjnego, że przyjechał w interesach.

- Jakiego rodzaju?

- Handel nieruchomościami.

- Jak długo potrwa wizyta?

- Dwa tygodnie.

Urzędnik podstemplował paszport.

- *Grazie* - rzekł Decker.

Z walizką w ręku opuścił lotnisko imienia Leonarda da Vinci. Choć bez problemu mógł załatwić, aby ktoś po niego wyjechał, wolał pokonać dwadzieścia sześć kilometrów dzielących go od Rzymu autobusem. Kiedy ten, zgodnie z przewidywaniami, utknął w gęstym śródmiejskim ruchu, Decker poprosił kierowcę, aby go wypuścił, po czym zszedł, aż autobus ruszy w dalszą drogę i z zadowoleniem stwierdził, że nikt więcej nie wysiadł. Wszedł do metra, wybrał pociąg na chybił trafił i pojechał do następnej stacji, gdzie wyszedł na powierzchnię i wezwał taksówkę. Dziesięć minut później wysiadł z niej i powrócił do metra, znów przejechał jedną stację, a następnie złapał kolejną taksówkę, tym razem każąc się zawieźć do Panteonu. Prawdziwym celem podróży był hotel znajdujący się pięć ulic dalej. Podjęte środki ostrożności zapewne nie były potrzebne, jednak Decker wierzył, że pozostał tak długo przy życiu jedynie dzięki zasadzie skrupulatnego zacierania za sobą śladów.

Niestety, takie zachowanie coraz bardziej go męczyło. Uznał, że pozostawanie przy życiu to nie to samo co życie. Następnego dnia, w sobotę, miał skończyć czterdzieści lat i w nieprzyjemnie dobitny sposób zaczął sobie zdawać sprawę z upływu czasu. Nie miał żony, dzieci ani domu. Dużo podróżował, ale wszędzie czuł się obco. Miał

niewielu przyjaciół i rzadko ich widywał. Jego życie ograniczało się do pracy, a to przestało mu już wystarczać.

Kiedy tylko zameldował się w swoim hotelu pełnym kolumn i pluszowych dywanów, zagłuszył skutki zmiany strefy czasowej, biorąc prysznic i zakładając świeże ubranie. Adidasy, dżinsowe spodnie i koszula oraz błękitna sportowa kurtka wydały mu się odpowiednie na ten łagodny czerwcowy rzymski dzień. Był to także typowy strój amerykańskich turystów w jego wieku, co pozwalało nie zwracać na siebie uwagi. Wyszedł z hotelu, wmieszał się w tłum przechodniów i przez pół godziny wędrował ruchliwymi ulicami, starając się upewnić, że nikt go nie śledzi. Dotarł do najbardziej zatłoczonego miejsca w Rzymie, na plac Wenecki, gdzie zbiegają się główne ulice miasta. Zgiełk ulicznego korka stanowił tło dla rozmowy, którą przeprowadził z ulicznego aparatu telefonicznego.

- Halo - odezwał się męski głos.

- Czy to Anatole? - spytał Decker po włosku.

- Nie znam nikogo takiego.

- A on mi powiedział, że znajdę go pod tym numerem. - Decker podał numer inny od tego, pod który zadzwonił.

- Pomylił pan dwie ostatnie cyfry. Tu jest pięć siedem. - Połączenie przerwano.

Odłożył słuchawkę, upewnił się, że nikt go nie obserwuje, po czym wmieszał się w tłum. Jak dotąd żadnych problemów. Słyszając ustalone cyfry, Decker dowiedział się, że może przyjść. Gdyby

odpowiedź brzmiała „To pomyłka”, byłby to sygnał do trzymania się z dala, znak, że coś poszło nie tak.

## 2

Mieszkanie przy Via Salaria znajdowało się na trzecim piętrze. Nie było ani zbyt eleganckie, ani zbyt pospolite.

- Jak minął lot? - Głos mężczyzny, naznaczony lekkim akcentem z Nowej Anglii, brzmiał tak samo jak przez telefon.

Decker wzruszył ramionami i rzucił okiem na skromne meble.

- Znasz ten stary kawał: dobry lot to taki, po którym można o własnych siłach wyjść z samolotu - odrzekł, uzupełniając kod rozpoznawczy. - Przez większość czasu spałem.

- A więc nie odczuwasz dolegliwości z powodu zmiany czasu?

Decker pokręcił głową.

- Nie chciałbyś się zdrzemnąć?

Decker wzmógł czujność. Czemu ten facet tak się przejął zmianą czasu? Drzemka? Czy z jakiegoś powodu nie chce, abym mu towarzyszył przez resztę dnia?

Jeszcze nigdy nie współpracował z tym człowiekiem. Brian McKittrick miał trzydzieści lat, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i potężną budowę ciała, a także krótkie blond włosy, masywne ramiona i kwadratową szczękę, która kojarzyła się Deckerowi z futbolem amerykańskim. Faktycznie, wiele z cech McKittricka przywodziło na myśl futbolistę - nagromadzona energia i chęć rzucenia się w wir działań.

- Żadnej drzemki - odparł Decker. - Chcę nadrobić zaległości. - Zerknął na lampy i kołki rozporowe w ścianach, postanawiając nie brać niczego za pewnik. - Jak ci się tu mieszka? W niektórych z tych starych budynków są problemy z pluskwami.

- Nie tutaj. Codziennie sprawdzam, czy nie ma robactwa. Sprawdziłem tuż przed twoim przyjściem.

- To dobrze. - Zadowolony, że pokój jest wolny od elektronicznego podsłuchu, Decker kontynuował: - Twoje raporty wskazują na wyraźne postępy.

- O tak, znalazłem tych drani.

- Chciałeś powiedzieć, że twoje kontakty ich znalazły.

- Racja, to właśnie chciałem powiedzieć.- jak? - spytał Decker. - Nasi ludzie szukali ich dosłownie wszędzie.

- Wszystko jest w moich raportach.

- Przypomnij mi.

- Semtex. - McKittrick podał nazwę wyrafinowanego materiału wybuchowego. - Moi informatorzy odwiedzali miejsca, w których ci dranie lubią się spotykać, i dawali cynk, że mogą zdobyć semtex dla każdego, kto jest gotów wystarczająco dużo zapłacić.

- A jak znalazłeś swoje kontakty?

- W podobny sposób. Rozpuściłem wieści, że będę bardzo hojny wobec każdego, kto dostarczy mi informacji, których potrzebuję.

- Czy to Włosi?

- Pewnie, że tak. Czyż właśnie nie o to chodzi? Zaufani pośrednicy. W razie czego mam szansę wyprzeć się wszystkiego.

Amerykanin, taki jak ja, puszcza całą maszynę w ruch, ale po pewnym czasie zespół musi się składać z miejscowych, aby operacji nie można było z nami powiązać.

- Tak jest napisane w podręcznikach.

- A co ty o tym sądzisz?

- Miejscowi muszą być godni zaufania.

- Sugerujesz, że moje kontakty takie nie są? - zirytował się McKittrick.

- Powiedzmy, że ich lojalność opiera się na pieniądzu.

- Na Boga, przecież my tu polujemy na terrorystów! Chcesz, żebym zachęcał informatorów do współpracy, odwołując się do ich poczucia obywatelskiego obowiązku?

Decker pozwolił sobie na uśmiech.

- Nie, wierzę w staroświeckie metody, czyli odwoływanie się do ludzkich słabości.

- Sam więc widzisz.

- Jednak chciałbym się z nimi spotkać. McKittrick nie wyglądał na zachwyconego.

- Żeby mieć pojęcie o tym, z czym mamy do czynienia - dodał Decker.

- Wszystko jest w moich raportach.

- Owszem, to fascynująca lektura. Jednak ja zawsze byłem praktykiem. Na kiedy możesz nam zorganizować spotkanie?

McKittrick przez chwilę się zastanawiał.

- Na jedenastą dziś wieczorem.

- Gdzie?

- Później dam ci znać.

Decker wręczył McKittrickowi kawałek papieru.

- Zapamiętaj ten numer telefonu. Już? Dobrze. - Zaniósł poddaną specjalnej obróbce karteczkę do kuchni, polał ją wodą i patrzył, jak się rozpuszcza, po czym znika w otworze odpływowym. - Aby potwierdzić spotkanie, zadzwonisz pod ten numer dziś o ósmej. Możesz też telefonować później, równo co pół godziny, aż do dziesiątej. Potem nie ma sensu, gdyż uznam, że nie udało ci się zebrać swoich ludzi. W takim wypadku możesz spróbować jutro lub pojutrze. Każdego wieczoru według tego samego schematu. Spytaj o Baldwina. Mój odzew to Edward.

- To telefon w twoim hotelu? Decker zmierzył go wzrokiem.

- Zaczynasz mnie martwić. Nie, ten telefon nie znajduje się w moim hotelu. Nie powinieneś także dzwonić z tego mieszkania.

- Znam zasady.

- Zadzwon z automatu, z którego nigdy wcześniej nie korzystałeś.

- Powiedziałem, że znam zasady.

- Tak czy inaczej, nie zaszkodzi je sobie przypomnieć.

- Wiem, co teraz myślisz - rzekł McKittrick.

- Doprawdy?

- To pierwsza operacja, jaką prowadzę. Chcesz się upewnić, że mnie to nie przerasta.

- Masz rację, rzeczywiście wiesz, o czym myślę.

- Nie musisz się przejmować.
- Czyżby? - spytał Decker sceptycznie.
- Potrafię sobie radzić.

### 3

Decker opuścił budynek, przeszedł przez ruchliwą ulicę, zauważył przejeżdżającą taksówkę i zasygnalizował kierowcy, aby ten poczekał na niego za rogiem. Tam, ukryty przed wzrokiem McKittricka, który mógł obserwować go ze swojego mieszkania, powiedział taksówkarzowi, że zmienił zdanie i chce się przejść. Gdy kierowca odjechał, mrużąc coś pod nosem, Decker cofnął się na róg ulicy, wciąż pozostając w ukryciu. Okna kawiarni wychodziły na główną i boczną ulicę. Stojąc w bocznej uliczce, Decker mógł pozostawać niewidoczny, a jednocześnie przez obie szyby obserwować budynek, w którym mieszkał McKittrick. Światło słoneczne odbijające się od witryny dodatkowo go ukrywało.

McKittrick opuścił swoje mieszkanie wcześniej, niż można się było spodziewać. Potężny agent przeczesał palcami krótkie blond włosy, nerwowo rozejrzał się po ulicy, zobaczył wolną taksówkę, energicznie ją przywołał i wszedł do środka.

Decker musiał się czymś zająć, aby nie wzbudzać podejrzeń. Odpiął więc od latarni wynajęty motocykl. Otworzył bagażnik, schował do niego złożoną sportową kurtkę, wyjął natomiast brązową skórzaną oraz kask z ciemną osłoną, po czym je włożył. Zmieniwszy swój wygląd na tyle, aby zmylić McKittricka, włączył silnik motocykla i ruszył w ślad za taksówką.

Spotkanie nie zrobiło na nim dobrego wrażenia. Problemy, które wyczuł podczas lektury raportów, teraz wydawały mu się wyraźniejsze i bardziej niepokojące. Nie chodziło jedynie o to, że był to debiut McKittricka na kierowniczym stanowisku. Jeżeli ten agent miał zrobić karierę, to w końcu musiał nastąpić ten pierwszy raz, tak jak to kiedyś miało miejsce w jego przypadku. Jednak niepokojące wydały mu się zbytnia pewność siebie McKittricka oraz wyraźnie niedostateczne wykszolenie. W połączeniu z brakiem pokory uniemożliwiały przyznanie się do swoich ograniczeń. Przed udaniem się do Rzymu Decker zaproponował przełożonym, aby przydzielili McKittricka do innej, mniej delikatnej operacji, ale najwyraźniej takie przetasowanie w przypadku syna prawdziwej legendy w tej branży (pracownika Biura Służb Strategicznych, członka założyciela CIA, byłego wicedyrektora operacyjnego) nie mogłoby się obyć bez interwencji tejże legendy, domagającej się wyjaśnienia, dlaczego jego syn nie otrzymuje szansy awansu.

Dlatego na miejsce posłano Deckera, aby się rozejrzał i upewnił, że wszystko jest tak, jak być powinno. Aby pobawił się w niańkę, jak to określał sam Decker. Podążał za taksówką w gęstym ulicznym ruchu, aż w końcu zatrzymał się, kiedy McKittrick wysiadł w pobliżu Schodów Hiszpańskich. Decker szybko przypiął motocykl do latarni i udał się za agentem. Wokół było tylu turystów, że McKittrick powinien bez problemu wtopić się w tłum, ale jego blond włosy, które należałoby raczej ufarbować na mniej efektowny czarny kolor, od razu rzucały się w oczy. Kolejny błąd w sztuce, pomyślał Decker.

Mrużąc oczy w jaskrawym popołudniowym słońcu, poszedł za McKittrickiem, mijając kościół Trinita dei Monti, a następnie schodząc po Schodach Hiszpańskich na plac Hiszpański. Miejsce to, niegdyś rozświetlone przez kwiaciarki, dziś zajmowali uliczni handlarze rozkładający przed sobą biżuterię, wyroby ceramiczne i obrazy. Ignorując wszystko, co mogło go rozproszyć, Decker trzymał się McKittricka, skręcając w prawo za fontanną z łódką Berniniego, lawirując w tłumie, mijając dom, w którym w 1821 roku umarł Keats, i w końcu dostrzegając, że obiekt wchodzi do kawiarni.

Jeszcze jeden błąd w sztuce, pomyślał Decker. Szukanie schronienia w miejscu otoczonym takim tłumem to głupota, gdyż trudno zauważyć kogoś, kto nas obserwuje. Decker wybrał częściowo osłonięty punkt i przygotował się na dłuższe czekanie, jednak McKittrick znów pojawił się nadszpiewanie szybko. Towarzyszyła mu kobieta, dwudziestokilkuletnia Włoszka, wysoka i szczupła, zmysłowa, o owalnej twarzy otoczonej krótkimi ciemnymi włosami i z okularami przeciwsłonecznymi zatkniętymi na czubku głowy. Miała na sobie kowbojskie buty, obcisłe džinsy i czerwoną koszulkę podkreślającą biust. Nawet z odległości prawie trzydziestu metrów Decker widział, że nie miała stanika. McKittrick obejmował ją ramieniem. Ona z kolei trzymała mu dłoń na biodrze, kciukiem zahaczając o tylną kieszonkę spodni. Udali się wzdłuż Via dei Condotti, przeszli na zacienioną prawą stronę ulicy, zatrzymali się na schodach prowadzących do jednego z budynków, łączyli się pocałowali i weszli do środka.

#### 4

Telefon zadzwonił o dziewiątej wieczorem. Decker powiedział McKittrickowi, że podany numer nie połączy go z aparatem w jego hotelu. Jednak był to numer automatu telefonicznego w innym hotelu przy tej samej ulicy, gdzie Decker mógł spokojnie poczekać w holu, czytając gazetę i nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Co pół godziny, poczynając od ósmej, podchodził do automatu, czekał przez pięć minut, po czym wracał na wygodny fotel. O dziewiątej, gdy telefon w końcu zadzwonił, był już na miejscu, aby go odebrać.

- Halo?

- Baldwin? - W słuchawce odezwał się głos McKittricka ze znajomym lekkim akcentem z Nowej Anglii.

- Edward?

- Spotkanie odbędzie się dziś wieczorem o jedenastej.

- Gdzie?

McKittrick mu powiedział.

Pod wpływem jego słów Decker zmarszczył brwi.

- Do zobaczenia. - Zaniepokojony odwiesił słuchawkę, po czym wyszedł z hotelu. Choć wcześniej powiedział co innego McKittrickowi, tak naprawdę odczuwał trudy podróży i wolałby tego wieczoru nie pracować, zwłaszcza że nie próżnował przez resztę popołudnia, zgłaszając się do siedziby międzynarodowej agencji handlu nieruchomościami, dla której rzekomo pracował, aby potwierdzić swoją przykrywkę. Jego kontakt w agencji miał mu do

przekazania paczkę wielkości książki w twardej oprawie. Po powrocie do hotelu Decker otworzył pakunek i sprawdził, czy znajdujący się w niej pistolet, półautomatyczny Walther.380, jest sprawny. Mógł wybrać potężniejszą broń, jednak wolał niewielkie wymiary walthera. Pistolet był niewiele większy od dłoni i miał w zestawie kaburę przypinaną po wewnętrznej stronie dżinsów, przy kręgosłupie. Wybrzuszenie nie było widoczne spod rozpiętej kurtki. Jednak nie dodało to Deckerowi pewności siebie.

## 5

Było ich pięcioro - wysoka, atrakcyjna kobieta, którą Decker widział z McKittrickiem, oraz czterej mężczyźni, sami Włosi, między dwudziestym i trzydziestym rokiem życia, szczupli, z zaczesanymi do tyłu włosami. Ich wygląd wskazywał na to, że tworzyli swoisty klub - kowbojskie buty, dżinsy, klamry do pasków z motywami Dzikiego Zachodu, dżinsowe kurtki. Nawet palili ten sam gatunek papierosów - Marlboro. Jednak łączyło ich coś ważniejszego. Podobieństwo rysów było uderzające. Byli rodzeństwem.

Siedzieli w prywatnym pomieszczeniu nad kawiarnią w pobliżu Piazza Colonna, jednej z najpopularniejszych handlowych enklaw Rzymu, a taki wybór miejsca spotkania martwił Deckera. Nie tylko było ono zdecydowanie zbyt ruchliwe, ale ponadto McKittrick nie zdołałby w tak krótkim czasie wynająć pokoju w równie popularnej okolicy. Liczne puste butelki po winie i piwie stojące na stole wyraźnie wskazywały na to, że grupa przebywała tu już od dłuższego czasu.

Podczas gdy McKittrick obserwował sytuację z narożnika pokoju, Decker zapoznał się z obecnymi, po czym przeszedł do rzeczy.

- Ludzie, których ścigamy, są niezwykle niebezpieczni - odezwał się po włosku. - Nie róbcie niczego, co mogłoby wam zagrozić. Jeśli macie choćby najmniejsze podejrzenia, że zwróciliście na siebie ich uwagę, odpuście. Złóżcie raport mojemu przyjacielowi. - Wskazał na McKittricka. - Potem znikajcie.

- Czy wtedy też dostaniemy obiecaną premię? - spytał jeden z braci. - Oczywiście.

- Bardzo uczciwy układ. - Młody mężczyzna dopił szklanek piwa.

Deckera zaczynało nieprzyjemnie drapać w gardle od gęstego papierosowego dymu wypełniającego pomieszczenie. Coraz bardziej dokuczał mu także ból głowy wywołany zmęczeniem podróżą.

- Dlaczego sądzicie, że znaleźliście ludzi, o których nam chodzi? Jeden z braci zachichotał.

- Czy powiedziałem coś zabawnego? - spytał Decker.

- Nie pan, ale oni, to znaczy ci, których mieliśmy szukać. Od razu wiedzieliśmy, kim są. Chodziliśmy z nimi na uczelnię. Zawsze wygadywali dziwne rzeczy.

- Włochy dla Włochów - wyjaśniła ich siostra. Decker spojrział na nią. Do tej pory prawie się nie odzywała.

Była inaczej ubrana niż po południu, miała na sobie nową, niebieską koszulkę. Nawet pomimo częściowo zasłaniającej widok

dżinsowej kurtki, Decker był w stanie stwierdzić, że wciąż była bez stanika.

- Tylko o tym mówili. Włochy dla Włochów. - Miała na imię Renata. Okulary przeciwsłoneczne nadal tkwiły na jej chłopcach krótkich, ciemnych włosach. - Ciągłe narzekali na Wspólnotę Europejską. Utrzymywali, że zniesienie granic spowoduje skażenie Włoch obcokrajowcami. Obwiniali Stany Zjednoczone o popieranie zjednoczenia Europy w celu stworzenia nowego rynku zbytu na amerykańskie produkty. Jeśli reszta Europy chce się dać skorumpować, proszę bardzo, ale Włochy muszą walczyć, aby powstrzymać gospodarczą i kulturową dominację Stanów Zjednoczonych. Kiedy więc amerykańscy dyplomaci zaczęli ginąć w eksplozjach, od razu pomyśleliśmy o tej grupie, zwłaszcza po tym, jak zamachowcy kilka razy zadzwonili na policję, nazywając się Dziećmi Mussoliniego. Mussolini był jednym z ich bohaterów.

- Skoro ich podejrzewaliście, dlaczego nie zawiadomiliście policji? - spytał Decker.

Renata wydmuchnęła papierosowy dym i wzruszyła ramionami.

- Dlaczego? Oni byli naszymi znajomymi. Nam nie uczynili żadnej krzywdy. Ale mogliby to zrobić po wyjściu z aresztu, który by opuścili z braku wystarczających dowodów.

- Może władzom udałooby się znaleźć dowody.

Renata parsknęła. Gdy poruszyła swoim szczupłym, zmysłowym ciałem, pod koszulką zakołysały się jej piersi.

- Zapewniam pana, że oni nie są głupi. Nie pozostawiliby dowodów swojej działalności.

- W takim razie spytam ponownie. Skoro nie istnieją dowody, to skąd macie pewność, że znaleźliście właściwych ludzi?

- Bo po tym, jak Brian zaczął nam płacić - wskazała na McKittricka, a Decker z niezadowoleniem stwierdził, że agent podał jej swoje prawdziwe imię - zaczęliśmy uważniej obserwować naszych znajomych. Pewnej nocy ich śledziliśmy. Jechali w odległości kilkuset metrów za limuzyną waszego ambasadora, kiedy wybuch zabił go w drodze powrotnej do ambasady, po wieczorze spędzonym w operze. Musieli użyć zdalnego detonatora.

Decker ukrył napięcie, które na chwilę odebrało mu głos. Zamach na ambasadora Robbinsa wywołał bardzo silną reakcję w Waszyngtonie, gdzie wysoko postawione osoby na chwilę zapomniały o zwyczajowej rozwadze i zaczęły się domagać, aby coś uczyniono w celu powstrzymania tych potworów, i to nie przebierając w środkach. To właśnie presja pośrednio wywierana na przełożonych Deckera spowodowała, że z taką życzliwością spojrzeli na kandydaturę McKittricka. Jeżeli jego informatorzy byli w stanie zidentyfikować terrorystów odpowiedzialnych za to zabójstwo, rozwiązywało to połowę problemu. Druga połowa to decyzja, co zrobić z tymi informacjami.

- Może znaleźli się tam przypadkiem - odezwał się Decker.

- Śmiali się, odjeżdżając. Decker miał ściśnięte gardło.

- Czy wiecie, gdzie mieszkają?

- Renata przekazała mi tę informację - wtrącił się McKittrick. - Ale oczywiście nie zostaną tam na zawsze. - Podkreślił swoje słowa wymownym gestem. - Trzeba szybko się z nimi rozprawić.

Jeszcze jeden błąd, zauważył Decker z niepokojem. Informatorzy nigdy nie powinni znać opinii koordynatora. No i co McKittrick miał na myśli, mówiąc o „rozprawianiu się”?

- Renata twierdzi, że mają swój ulubiony klub - powiedział McKittrick. - Jeśli uda nam się ich tam zebrać...

## 6

- Co ty wyprawiasz, do jasnej cholery? - spytał Decker ze złością gdy razem z McKittrickiem wyszli na ulicę po zakończonym spotkaniu.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

Decker rozejrzał się niespokojnie. Mrużąc oczy pod wpływem świateł przejeżdżających samochodów, zauważył boczną alejkę i chwycił McKittricka pod lewe ramię, odciągając go od głównej ulicy tętniącej hałaśliwym nocnym życiem.

- Naraziłeś na szwank całą operację - szepnął Decker ostro, gdy tylko znaleźli się z dala od innych przechodniów. - Podałeś im swoje prawdziwe imię.

McKittrick sprawiał wrażenie zakłopotanego i nic nie odpowiedział.

- Sypiasz z tą kobietą - dodał Decker. - Czy twoi instruktorzy nie wyjaśnili ci, że nigdy, ale to nigdy, nie wolno nawiązywać osobistych relacji z informatorami?

- Dlaczego sądzisz, że śpiam z...?

- Widziałem, jak dziś po południu ćwicyliście na stojąco oddychanie usta-usta.

- Śledziłeś mnie?

- Nie było to zbyt trudne. Złamałeś tyle zasad, że straciłem rachubę... Czuć od ciebie alkohol, więc zakładam, że z nimi piłeś, zanim się pojawiłem.

- Chciałem, aby poczuli się swobodnie w moim towarzystwie.

- Pieniądze - odparł Decker. - To one sprawiają, że ci ludzie czują się przy tobie swobodnie, a nie twoja ujmująca osobowość. To jest biznes, a nie klub towarzyski. I co ty miałeś na myśli, mówiąc, że trzeba się z nimi „rozprawić”?

- „Rozprawić?”. Nie pamiętam, żebym coś takiego mówił...

- Brzmiało to tak, jakbyś w obecności osób z zewnątrz sugerował, że ludzie, których ścigamy, mają zostać... - Pomimo że rozmawiali przyciszonym głosem w pustej alejce, Decker nie mógł się zdobyć na wypowiedzenie niebezpiecznych słów.

- Usunięci ostatecznymi metodami - nie miał takich oporów McKittrick.

- Słucham?

- Czy nie tak brzmi ten nowy eufemizm? Kiedyś mówiło się o „eliminacji przy użyciu radykalnych środków”. Dziś nazywa się to „usunięciem ostatecznymi metodami”.

- Gdzieś ty o tym, do cholery, usłyszał?

- A czy nie o to chodzi w tej całej operacji? Ci dranie będą dalej zabijać, dopóki ktoś ich nie powstrzyma na dobre.

Decker szybko się odwrócił, z otchłani ciemnej alejki wpatrując się w przechodniów na jasno oświetlonej ulicy, zaniepokojony, że ktoś mógł coś usłyszeć.

- Czyś ty zwariował? Czy jeszcze komuś o tym powiedziałeś?

McKittrick się zawahał.

- Tej kobiecie? - spytał Decker z naciskiem. - Powiedziałeś jej?

- Cóż, musiałem jakoś zapoznać ją z całą sprawą. Jak inaczej miałem ich skłonić, aby nam pomogli?

- Jezu - szepnął Decker.

- Nikt tego z nami nie połączy. Założyłem konkurencyjną siatkę. Oni wyeliminują pierwszą grupę, po czym zadzwonią na policję i przedstawią się jako Wrogowie Mussoliniego.

- Mów ciszej, do cholery.

- Nikt nie udowodni, że mamy z tym cokolwiek wspólnego.

- Oprócz tej kobiety - stwierdził Decker.

- Ona też nic nie zrobi, kiedy zniknę, nie pozostawiając żadnych konkretnych dowodów.- Wie, jak się nazywasz.

- Zna tylko moje imię - odparł McKittrick. - Ona mnie kocha. Zrobi dla mnie wszystko.

- Posłuchaj... - Decker zbliżył się w ciemności, chcąc się upewnić, że tylko McKittrick usłyszy jego wściekły szept. - Posłuchaj mnie bardzo uważnie. Rząd Stanów Zjednoczonych nie zleca

zabójstw. Nie namierza i nie zabija terrorystów. Zamiast tego gromadzi dowody i pozwala sądom na orzekanie właściwych kar.

- Tak, jasne. Zaraz mi powiesz, że Izraelczycy nie wysłali oddziału specjalnego za terrorystami, którzy zabili jedenastu żydowskich sportowców podczas Igrzysk Olimpijskich w Monachium w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim.

- To, co zrobili Izraelczycy, nie ma nic wspólnego z nami. Tamtą operację przerwano, ponieważ jedna z zabitych przez nich osób okazała się niewinna. Właśnie dlatego my nie zajmujemy się zabójstwami.

- Dobrze. Teraz to ty mnie posłuchaj - odparł McKittrick. - Jeśli pozwolimy tym bydlakom uciec, bo zabraknie nam odwagi, aby zrobić to, co należy, to obaj stracimy pracę.

- Jutro w samo południe.

- Co?

- Idź do swojego mieszkania i tam siedź - powiedział Decker. - Nic nie rób. Nie kontaktuj się z tą kobietą. Nie wychodź po gazetę. Nie rób absolutnie nic. Zapukam do twoich drzwi dokładnie o dwunastej w południe. Przekażę ci, co w twojej sprawie postanowili przełożeni. Na twoim miejscu spakowałbym walizki.

7

Wszystkiego najlepszego z okazji czterdziestych urodzin, powiedział sobie Decker. Na zmęczonej twarzy, której odbicie obserwował w łazienkowym lustrze, widział skutki niespokojnego snu spowodowanego kłopotami z McKittrickiem. Wciąż nie pozbył się

bólu głowy wywołanego wyczerpującą podróżą oraz dławiącym dymem papierosowym, którego musiał się nawdychać. Zamówiony późnym wieczorem do pokoju posiłek, złożony z makaronu fettuccine i kurczaka w winie marsala, leżał mu na żołądku. Wydawało się, że dorobił się kilku kolejnych zmarszczek na swojej surowej twarzy, a wokół niebieskawozielonych oczu zauważył pierwsze oznaki kurzych łapek. Jakby jeszcze tego było mało, znalazł siwy włos w dość długiej, falującej, rudawozłotej fryzurze. Wyrwał go, mrużąc pod nosem.

Sobotni poranek. Dla większości ludzi to początek weekendu, pomyślał Decker, ale nie w mojej branży. Nie pamiętał, kiedy ostatnio doświadczył uczucia relaksu, kojarzonego z prawdziwym weekendem. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu przypomniał sobie wędrówkę śladem McKittricka w dół Hiszpańskich Schodów, a potem obok domu, w którym umarł Keats. Wyobraził sobie Keatsa wykasłującego z siebie życie, wypełnionego gruźlicą która go dusi. Taki młody, a jednak już zdążył osiągnąć wielkość.

Potrzebuję przerwy.

Decker włożył strój do joggingu i starając się ignorować mgiełkę samochodowych spalin oraz tłumy na chodniku, pobiegł do siedziby agencji handlu nieruchomościami, gdzie zgłosił się poprzedniego dnia, przekonany, że chaotyczna trasa, którą obrał, nie pozwoli nikomu go śledzić. Po okazaniu dowodu tożsamości został wpuszczony do biura, w którym znajdował się telefon z zamontowanym koderem. Pięć minut później rozmawiał ze swoim przełożonym, przebywającym w podobnej agencji w Aleksandrii w

stanie Wirginia i wyposażonym w telefon z koderem dostrojonym do tej samej częstotliwości co aparat Deckera.

Rozmowa trwała piętnaście minut i jeszcze bardziej sfrustrowała Deckera. Dowiedział się, że o jego zamiarach został poinformowany ojciec McKittricka, zapewne za sprawą odebranego poprzedniego wieczora telefonu od syna (Decker mógł tylko mieć nadzieję, że McKittrick skorzystał z automatu i zachował dyskrecję). Ojciec, nie tylko legenda wywiadu, ale także były przewodniczący Rady Bezpieczeństwa Narodowego, który wciąż zachowywał spore wpływy polityczne, zakwestionował profesjonalizm Deckera i oskarżył go o próbę wyeliminowania McKittricka w celu przypisania sobie całej zasługi wynikłej z wytropienia terrorystów. Choć przełożony Deckera przyznał, że prywatnie stoi po jego stronie, to rozwaga i troska o posadę zmuszały go do zignorowania ostrzeżeń i pozostawienia McKittricka na stanowisku.

- Opiekuj się nim jak dzieckiem - polecił. - Nie pozwól mu robić błędów. Sprawdź resztę informacji zawartych w jego raportach. Przekażemy je włoskim władzom i wyciągniemy was obu. Obiecuję ci, że w przyszłości już nie będziesz musiał z nim pracować.

- Obawiam się raczej o terażniejszość.

Bieg z powrotem do hotelu wcale nie złagodził frustracji Deckera. Rozłożył ręczniki na podłodze pokoju i zrobił sto pięćdziesiąt pompek, a następnie tyle samo brzuszków, aż jego silne ramiona, wąskie biodra i muskularne nogi spłynęły potem. Przez chwilę poćwiczył sztuki walki, po czym wziął prysznic i włożył

czyste dzinsy oraz niebieską koszulę z tkaniny oksford. Brązowa skórzana kurtka zakryła pistolet. Żołądek wciąż dokuczał.

## 8

Dokładnie w południe, zgodnie z planem, Decker zapukał do drzwi mieszkania McKittricka. Nikt mu nie odpowiedział.

Decker zapukał ponownie, poczekał, zmarszczył brwi, zapukał po raz trzeci, znów chwilę odczekał, jeszcze silniej zmarszczył brwi, rozejrzał się po korytarzu, po czym użył wytrychów ukrytych w kołnierzu kurtki. Dziesięć sekund później był już w środku, zamykając za sobą drzwi i trzymając broń w pogotowiu. Czy McKittrick go wystawił, a może coś mu się stało? Bardzo ostrożnie zaczął przeszukiwać mieszkanie.

Salon wyglądał na opuszczony. Podobnie łazienka, kuchnia i sypialnia, wliczając szafy. Decker nienawidził szaf - nigdy nie był pewien, co się w nich kryje. Czując ucisk w klatce piersiowej, dokończył przeszukanie, usiadł na wyściełanym fotelu w salonie i przeanalizował możliwości. Wszystko w mieszkaniu wydawało się znajdować na swoim miejscu, ale to niczego nie dowodziło. McKittrick mógł wpaść w kłopoty gdzieś indziej. Możliwe także, pomyślał Decker, że ten sukinsyn mnie wystawił.

Czekał, w tym czasie ponownie przeszukując mieszkanie McKittricka, tym razem bardziej szczegółowo. Zajrzał do wszystkich szuflad, a także sprawdził przestrzenie pod i za nimi, zajrzał pod materac i pod łóżko, pod krzesła i sofę, do kloszy, za spłuczkę i do jej wnętrza.

To, co znalazł, wprawiło go w osłupienie. McKittrick nie tylko nie zniszczył swoich notatek po przesłaniu raportu, ale ukrył je w bardzo przewidywalnym miejscu - pod papierem na kuchennej półce. Oprócz nazwisk członków grupy, z którą Decker spotkał się poprzedniego wieczoru, znajdowały się adresy, w tym adres budynku mieszkalnego, do którego McKittrick udał się z Renatą. Decker znalazł także adres klubu o nazwie Tyber.

Zapamiętał te informacje. Następnie położył notatki na spodku, spalił je, zgniótł popiół w dłoni, wyjrzał przez niewielkie okno w kuchni, zobaczył ceglana ścianę alejki i pozwolił podmuchowi wiatru rozrzucić pył. W jego żołądku głód walczył z bólem. Ukroił sobie kromkę chleba, wrócił do salonu i powoli jadł, cały czas z niezadowoleniem wpatrując się w drzwi.

Była już czternasta. Decker miał coraz gorsze przeczucia i zastanawiał się, co powinien zrobić. Mógł wrócić do siedziby międzynarodowej agencji handlu nieruchomościami i wykonać awaryjny telefon, informując swojego przełożonego, że McKittrick nie pojawił się na umówionym spotkaniu. Ale co by to dało, poza stworzeniem wrażenia, że Decker za wszelką cenę pragnie znaleźć błędy w pracy McKittricka? Facet ma duże braki w wykszoleniu - Decker już to zgłosił. Możliwe więc, że McKittrick po prostu zapomniał o spotkaniu lub świadomie je zignorował. Może jest teraz w łóżku z Renatą.

Jeśli tak jest w istocie, to ma więcej rozumu ode mnie, pomyślał Decker. Kiedy ja ostatnio byłem z kimkolwiek w łóżku? Nie potrafił

sobie przypomnieć. Ze względu na częste podróże miał niewiele przyjaciółek, wszystkie ze swojej branży. Przygodne znajomości nie wchodziły w rachubę - nawet przed rozprzestrzenieniem się plagi AIDS Decker unikał jednorazowych przygód, zgodnie z teorią, że intymność oznacza bezbronność i nie warto odkrywać się w ten sposób przed kimś, o kim niczego się nie wie.

Cholerna praca, pomyślał Decker. Czyni cię nie tylko paranoikiem, ale także mnichem.

Rozejrzył się po przygnębiającym wnętrzu salonu. W nozdrzach czuł drażniący zapach pleśni. Żołądek wciąż mu dokuczał.

Wszystkiego najlepszego z okazji czterdziestych urodzin, powtórzył.

## 9

Decker zdażył zjeść cały chleb znajdujący się w mieszkaniu, zanim w zamku zazgrzytał klucz. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Zdyszany McKittrick wpadł do środka i stanął jak wryty, kiedy zobaczył Deckera.

- Zamknij drzwi - polecił Decker.

- Co ty tu...

- Byliśmy umówieni, pamiętasz? Zamknij drzwi. McKittrick wykonał polecenie.

- Nic ci nie powiedziano? Czy mój ojciec...

- Owszem, przekazał mi wiadomość. Ale to nie powód, aby odwoływać nasze spotkanie. - Decker wstał. - Gdzieś ty był, do cholery?

- To ty nic nie wiesz?

- O co ci chodzi?

- Nie oglądasz?

- Mów z sensem.

McKittrick podbiegł do telewizora i go włączył.

- Były tam trzy różne ekipy telewizyjne. Na pewno któraś ze stacji wciąż transmituje... - Trzęsła mu się ręka, kiedy przełączał kanały. - Proszę bardzo.

Początkowo Decker nie rozumiał, na co patrzy. Hałaśliwe, dezorientujące obrazy wzbudziły w nim falę gwałtownego niepokoju. Gęsty czarny dym przesłaniał niebo. Płomienie buchały z okien. Wśród gruzów zawalonej ściany miotali się strażacy z węzami plującymi wodą w kierunku dużego płonącego budynku. Grupa samochodów strażackich zatrzymała się z jękiem między chaotycznym zbiorowiskiem radiowozów, karettek i kolejnych samochodów strażackich. Decker z przerażeniem uświadomił sobie, że część jęków to nie odgłosy syren, ale dźwięki wydawane przez układane na noszach poparzone ofiary o zwęglonych twarzach niehumanie wykrzywionych bólem. Nieruchome ciała leżały pod kocami, a policjanci siłą usuwali tłum gapiów.

- Co to jest? Co się stało, na Boga?

Zanim McKittrick zdążył odpowiedzieć, reporter zaczął opowiadać o terrorystach, o Dzieciach Mussoliniego, o najgorszym w historii antyamerykańskim ataku, o potężnej eksplozji, o dwadzieścioru trojgu zabitych i czterdzieścioru trojgu rannych

Amerykanach, członkach zorganizowanej grupy turystycznej z Salt Lake City, która bawiła się na bankiecie w klubie Tyber z okazji ostatniej nocy w Rzymie.

- Klub Tyber? - Decker przypomniał sobie tę nazwę z zapamiętanej listy.

- Renata powiedziała, że właśnie tam lubią się spotykać terroryści. - Twarz McKittricka poszarzała. - Powiedziała, że mają niezawodny plan. Nic nie miało prawa się schrzanić. To nie tak miało się skończyć! Renata przysięgała, że...

- Przestań bełkotać. - Decker chwycił McKittricka za ramiona. - Opowiadaj. Co zrobiłeś?

- Wczoraj wieczorem. - McKittrick przerwał, aby kilka razy szybko odetchnąć. - Po spotkaniu, po naszej kłótni. - Klatka piersiowa McKittricka falowała. - Wiedziałem, że nie mam zbyt dużo czasu, zanim zabierzesz mi tę operację i przypiszesz sobie całą zasługę.

- Naprawdę wierzysz w te pierdoły, które opowiedziałeś ojcu? Myślisz, że ci zazdrozczę?

- Musiałem coś zrobić. Nie miałem pewności, że mój telefon do ojca rozwiąże problem. Razem z Renatą wpadaliśmy na pewien pomysł. Plan idealny. Po rozstaniu z tobą wróciłem do kawiarni. Renata i pozostali nadal siedzieli w pokoju na piętrze. Postanowiliśmy wcielić ten plan w życie.

- Bez uzyskania zgody. - Decker był zszokowany.

- A niby czyjej? Twojej? Byłbyś przeciwny. Zrobiłbyś wszystko, co w twojej mocy, aby mnie przenieśli. Potem sam zrealizowałbyś ten plan.

- Staram się z całych sił zachować cierpliwość - odparł Decker.

Na ekranie telewizora płomienie były z otwartych drzwi, zmuszając strażaków do odwrotu, gdy runęła kolejna część ściany. Jęk syren przybrał na sile. Spowici dymem sanitariusze pakowali ciała do karetek.

- Opowiedz mi o tym idealnym planie.

- Był genialnie prosty.

- O tak, z pewnością taki właśnie był.

- Renata i jej grupa mieli poczekać, aż terroryści zbiorą się w jednym miejscu, na przykład w mieszkaniu albo w klubie Tyber. Wtedy jeden z członków grupy schowałby torbę wypełnioną plastikiem obok miejsca, które terroryści musieli minąć wychodząc. Kiedy tylko by się tam pojawili, Renata miała zdalnie zdetonować ładunek. Wyglądałoby to tak, jakby terroryści nieśli materiały wybuchowe i przypadkowo spowodowali eksplozję.

Decker słuchał kompletnie oszołomiony. Wydawało mu się, że pokój traci stabilność. Krew odpłynęła mu z twarzy. Zaczął wątpić we własne zdrowie psychiczne. To nie może być prawda, powtarzał sobie. Na pewno się przesłyszałem.

- Prosty? Genialny? - Potarł dłonią obolałe czoło. - Czy nie przyszło ci do głowy, że możesz wysadzić w powietrze nie tych ludzi, co trzeba?

- Jestem pewien, że grupa Renaty wytropiła terrorystów.
- A czy nie wpadłeś na to, że razem z nimi możesz wysadzić w powietrze całą masę niewinnych osób?
- Ostrzegłem Renatę, aby nadmiernie nie ryzykowała. Gdyby zaistniało nawet najmniejsze ryzyko, że w strefie wybuchu znajdzie się ktoś inny, miała poczekać.
- Ona? - Miał ochotę potrząsnąć McKittrickiem. - Pomyśl rozsądnie. Większość ludzi nie potrafiłaby zdetonować ładunku wybuchowego. Czemu ona miałaby to zrobić?
- Bo ją o to poprosiłem.
- Słucham?
- Ona mnie kocha.
- Chyba śnię. To musi być jakiś koszmar - rzekł Decker. - Za chwilę na pewno się obudzę i okaże się, że nic się nie wydarzyło.
- Zrobiłaby dla mnie wszystko.
- Wliczając morderstwo?
- Zabijanie terrorystów to nie morderstwo.
- A jak ty to nazywasz?
- Egzekucja.
- Jesteś niesamowity - odparł Decker. - Wczoraj nazwałeś to „usunięciem ostatecznymi metodami”. Zresztą mniejsza o nazwę. To zabójstwo, a kiedy ktoś zgadza się na jego popełnienie, wtedy musisz zadać sobie pytanie, co sprawia, że jest do tego zdolny. W tym przypadku nie wydaje mi się, aby chodziło o miłość.
- Nie wierzę, że robi to tylko dla pieniędzy.

- Skąd miał pochodzić plastik?

- Ode mnie.

Decker poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu policzek.

- Ty im go dostarczyłeś?

- Dostałem semtex na początku operacji, aby ludzie Renaty mogli przeniknąć do siatki terrorystów, oferując im go jako dowód działania w dobrej wierze.

- To ty dostarczyłeś...?

Z rosnącym przerażeniem Decker popatrzył w kierunku telewizora rozbrzmiewającego dźwiękiem syren, na dym, płomienie i gruzy, na martwe ciała.

- To ty jesteś odpowiedzialny za...?

- Nie! To była pomyłka! Z jakiegoś powodu torba wybuchła w niewłaściwym momencie! Z jakiegoś powodu w klubie było pełno Amerykanów! Z jakiegoś powodu... ja... Renata musiała... się pomylić.

McKittrickowi zabrakło słów. Stał z szeroko otwartymi ustami, bezgłośnie poruszając wargami.

- Ta ilość semteksu, którą dostałeś, nie spowodowała takich zniszczeń - powiedział Decker beznamiętnie.

McKittrick zamrugał bezradnie. Wyraźnie nie rozumiał, w czym rzecz.

- Miałeś tylko próbkę - wyjaśnił Decker. - Wystarczająco dużo, aby skusić terrorystów i przekonać ich, że dostaną więcej. Renata

musiała mieć dostęp do znacznie pokaźniej szych zapasów, aby zniszczyć cały budynek.

- Co ty mówisz?

- Pomyśl rozsądnie! Wcale nie zwerbowałeś grupy studentów, którzy pomagają ci w poszukiwaniu terrorystów! Idioto, zwerbowałeś samych terrorystów!

Zszokowany McKittrick miał pustkę w oczach. Gwałtownie pokręcił głową.

- Nie. To niemożliwe.

- Patrzyli ci prosto w oczy! Dziwne, że nie roześmiali ci się w twarz. Klasyczna prowokacja. Ty rznąłeś Renatę, a ona w zamian zadawała pytania. Opowiedziałeś jej o naszych planach, o wszystkim, co robimy, aby ich złapać.

Twarcz McKittricka jeszcze bardziej pobladła.

- Mam rację, prawda? - spytał Decker. - Mówiłeś jej o wszystkim?

- Jezu.

- Wczoraj wieczorem, kiedy ostrzegłeś ich, że możesz zostać odsunięty od sprawy, uznali że to koniec zabawy. Postanowili zabrać się do pracy. Kto zaproponował wprowadzenie planu w życie i zaatakowanie terrorystów, ty czy Renata?

- Ona... - McKittrick przełknął ślinę. - Ona to zaproponowała.

- Aby pomóc ci w karierze.

- Tak.

- Ponieważ cię kocha.

- Tak.

- Czy ten plan od początku był jej pomysłem?

- Tak.

- A teraz wykorzystała próbkę semteksu, którą jej dałeś. Założyła się, że mają zdjęcia i kasety dokumentujące twój udział. Dołożyła twoją próbkę do swojego plastiku i wysadziła w powietrze amerykańskich turystów. Chciałeś ratować swoją karierę? No cóż, kolego, twoja kariera właśnie dobiegła końca.

## 10

- Co za bałagan. - W siedzibie międzynarodowej agencji handlu nieruchomościami Decker słuchał znużonego głosu swojego przełożonego, docierającego za pośrednictwem zabezpieczonego koderem telefonu. - Wszyscy ci zabici. Straszne. Potworne. Dzięki Bogu, że to już nie mój problem.

Dopiero po chwili znaczenie tych słów dotarło do Deckera. Wyprostował się na krześle, mocniej ściskając słuchawkę.

- Nie pana problem? A czyj? Mój? Zrzuca pan odpowiedzialność na mnie?

- Zaraz wszystko wyjaśnię.

- Nie miałem z tym nic wspólnego. Wysłaliście mnie w ostatniej chwili. Przekazałem informację, że według mnie operacja jest zagrożona. Zignorował pan moją radę i...

- To nie ja ją zignorowałem - odparł przełożony Deckera. - Ojciec McKittricka przejął kontrolę. Teraz to on wszystkim kieruje.

- Słucham?

- To on odpowiada za tę operację. Kiedy tylko odebrał telefon od syna, zaczął wiercić dziurę w brzuchu wszystkim, którzy byli mu winni jakąś przysługę. W tej chwili jest w drodze do Rzymu. Powinien wylądować o...

## 11

Ośmioosobowy firmowy odrzutowiec Astra Galaxy, pozornie własność prywatna, wylądował na lotnisku imienia Leonarda da Vinci tuż po północy. Decker czekał za stanowiskami odprawy celnej, podczas gdy wysoki, siwowłosy mężczyzna o arystokratycznym wyglądzie załatwiał formalności. Z tego, co Decker widział, odrzutowcem nie podróżowali inni pasażerowie. Mężczyzna miał siedemdziesiąt dwa lata, ale był w świetnej formie, miał szerokie ramiona, opaleniznę i wyrazistą przystojną twarz. Ubrany był w trzyczęściowy, szary wełniany garnitur, na którym nie odznaczały się żadne skutki długiego, pospiesznie zorganizowanego lotu, podobnie jak na samym Jasonie McKittricku.

Decker spotkał tę żywą legendę już trzykrotnie. McKittrick także go rozpoznał i po podejściu przywitał grzecznym skinieniem głowy.

- Czy miał pan udany lot? Poniosę panu walizkę - odezwał się Decker.

Jednak McKittrick silniej zacisnął dłoń na rączce bagażu i minął Deckera, udając się w stronę wyjścia z lotniska. Decker go dogonił; odgłosy ich kroków odbijały się echem w olbrzymim budynku. O tak później godzinie znajdowało się tam niewiele osób.

Decker wcześniej wynajął samochód. Fiata. Na parkingu McKittrick obserwował, jak Decker dokładnie sprawdza auto, aby upewnić się, że podczas jego nieobecności nikt nie zamontował urządzeń podsłuchowych. Dopiero kiedy wsiedli i Decker skierował samochód przez ciemność i mżawkę w stronę śródmieścia, wielki człowiek w końcu się odezwał.

- Gdzie jest mój syn?

- W hotelu - odpowiedział Decker. - Użył paszportu wystawionego na inne nazwisko. Po tym, co się stało... Zakładam, że o wszystkim pana poinformowano po drodze?

- O eksplozji? - McKittrick ponuro skinął głową. Decker wpatrywał się przed siebie, poza trzepoczące wycieraczki.

- Po zamachu uznałem, że pana syn nie jest bezpieczny w swoim mieszkaniu. Terrorysty znają jego adres.

- Podejrzewa pan, że mogą go zaatakować?

- Nie. - Decker zerknął na liczne światła odbijające się w lusterku wstecznym. W ciemności i deszczu trudno było stwierdzić, czy ktoś ich śledzi. - Jednak zakładam, że przekażą policji dotyczące go informacje i dowody. Jestem pewien, że właśnie taki mieli cel. Połączyć pracownika amerykańskiego wywiadu z atakiem terrorystycznym skierowanym przeciwko Amerykanom.

McKittrick spoważniał.

- Kiedy tylko się upewnię, że nikt nas nie śledzi, zawiozę pana do niego - powiedział Decker.

- Pomyślał pan o wszystkim.

- Robię, co w mojej mocy.

- Czy więc zastanawiał się pan także, na kim spocznie odpowiedzialność? - spytał McKittrick.

- Nie rozumiem.

Deszcz bębnił w dach samochodu.

- Może na panu? - rzekł McKittrick.

- Absolutnie nie ma mowy, abym przyjął na siebie odpowiedzialność za...

- Zatem niech pan zaproponuje kogoś innego. Bo jednego może pan być pewny: mój syn nie będzie za to odpowiadał.

## 12

Skromny hotel stał przy skromnej ulicy - nic w nim nie przyciągało uwagi. Po przywitaniu skinieniem głowy nocnego portiera i okazaniu klucza Decker poprowadził McKittricka przez niewielki hol obok windy i w górę wyłożonych wykładziną schodów. Pokój Briana znajdował się tylko kilka pięter nad nimi, a Decker, kiedy tylko mógł, unikał potencjalnej pułapki, jaką stanowiły windy.

McKittrick wydawał się traktować te środki ostrożności jako coś oczywistego. Nawet niosąc walizkę, ten wysoki starszy mężczyzna nie zdradzał żadnych oznak wysiłku.

Dotarli do pokoju 312. Decker zapukał cztery razy, za pomocą tego kodu informując McKittricka, kto wchodzi, po czym otworzył drzwi swoim kluczem. Zmarszczył brwi na widok pokoju pogrążonego w ciemności. Włączył światło i jeszcze bardziej się skrzywił, kiedy zobaczył nieużywane łóżko.- Cholera.

- Gdzie on jest? - spytał McKittrick z naciskiem. Wiedząc, że to nic nie da, Decker zajrzał do łazienki i pokoju dziennego.

- Pana syn ma zły nawyk lekceważenia poleceń. - Dzisiaj już drugi raz mnie nie posłuchał, gdy kazałem mu gdzieś zostać.

- Musiał mieć ku temu dobry powód.

- To by było coś nowego. Zostawił walizkę, czyli zapewne zamierza wrócić. - Na stoliku przy łóżku Decker zauważył kopertę. - Proszę. Zaadresowana do pana.

McKittrick sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Mówił mu pan, że przylatuję?

- Oczywiście. Czemu pan pyta? Coś się stało?

- Być może to nie był najmądrzejszy pomysł.

- A cóż złego w tym, że poinformowałem go o przyjeździe ojca?

Jednak McKittrick już otworzył list. Jego oczy się zwęziły. Poza tym w żaden sposób nie zareagował na czytane słowa. W końcu opuścił kartkę i westchnął.

- No i co? - spytał Decker. McKittrick nie odpowiedział.

- Co to za list? McKittrick nadal milczał.

- Proszę mi powiedzieć.

- Nie jestem pewien - głos McKittricka brzmiał szorstko. - Być może to list pożegnalny samobójcy.

- Samobójcy? Co do... - Decker zabrał mu kartkę. List napisano odręcznie, a jego stylistyka przywodziła na myśl uczniaka, który nigdy nie dorósł.

*Tatku!*

*Chyba znowu schrzałem. Przepraszam. Często tak mówię, prawda? Przepraszam. Chcę, abyś wiedział, że tym razem naprawdę się starałem. Mówię szczerze, myślałem, że wszystko dobrze zaplanowałem. Obstawiłem wszystkie bazy. Miałem mecz w garści. Niezłe się przeliczyłem, co? Sam nie wiem, co gorsze - to, że cię upokorzyłem, czy to, że się tobą nie stałem. Ale przysięgam, że tym razem nie ucieknę przed swoimi błędami. To ja ponoszę pełną odpowiedzialność. Pora na wymierzenie kary. Kiedy zrobię to, co trzeba, już nigdy nie będziesz się za mnie wstydził.*

*Bry.*

McKittrick odchrząknął, zupełnie jakby miał problemy z mówieniem.

- Właśnie tak nazywałem Briana. Bry. Decker ponownie przeczytał list.

- „To ja ponoszę pełną odpowiedzialność. Pora na wymierzenie kary”. O co mu chodzi?

- Obawiam się, że mój syn zamierza się zabić - odrzekł McKittrick.

- I to ma sprawić, że nie będzie się pan za niego wstydził? Uważa pan, że właśnie to oznacza ostatnie zdanie? - Decker pokręcił głową. - Samobójstwo może wymazać jego wstyd, ale nie zmieni pańskich uczuć. Pana syn nie chce się zabić. To by nie było wystarczająco spektakularne.

- Nie wiem, o co panu...

- On lubi grać pod publikę. „Nie ucieknę przed swoimi błędami. Ponośzę pełną odpowiedzialność. Pora na wymierzenie kary”. Chce wyrównać rachunki. Zapoluje na nich.

### 13

Kiedy Decker skręcił wynajętym fiatem w boczną uliczkę odchodzącą od Via dei Condotti, światła samochodu przebiły się przez uporczywy deszcz i wydobyły z ciemności dwa radiowozy z migającymi kogutami. W oświetlonym wejściu do budynku dwóch policjantów w płaszczach przeciwdeszczowych rozmawiało z kilkoma zdenerwowanymi osobami stojącymi w przedsionku, ubranymi w pizamy i szlafroki. W wielu oknach paliło się światło.

- Cholera, miałem nadzieję, że się mylę.- Co to za miejsce? - spytał McKittrick.

- W piątek poszedłem za pana synem i widziałem, jak wchodzi tutaj z pewną kobietą - odpowiedział Decker. - Ona ma na imię Renata. Nie znam nazwiska. Zresztą to zapewne tylko ksywa. Przewodzi grupie, którą zwerbował pana syn, tej samej, która wysadziła klub Tyber. Innymi słowy, terrorystka.

- To tylko przypuszczenia. Nie ma pan pewności, że mówimy o tej samej grupie - odparł McKittrick.

- Widzę, że za wszelką cenę próbuje pan bronić syna. Decker zwolnił, ostrożnie mijając radiowozy w wąskiej uliczce. Kiedy opony głośno rozchlapały kałuże, policjanci spojrzeli w stronę fiata, po czym wrócili do rozmowy z ludźmi stojącymi w przedsionku.

- Nie może pan być pewny, że ci policjanci są tutaj w związku z Brianem - odezwał się McKittrick.

- Wie pan równie dobrze jak ja, że musimy wykluczyć zbiegi okoliczności. Gdybym był Brianem, zgodnie z logiką właśnie tutaj wybrałbym się w pierwszej kolejności, aby rozprawić się z kobietą która mnie zdradziła. Jest tylko jeden sposób, aby się dowiedzieć. Czy mam się zatrzymać, aby mógł pan wrócić i porozmawiać z policją?

- Dobry Boże, w żadnym wypadku. Proszę jechać dalej. Jestem Amerykaninem, więc chcieliby wiedzieć, czemu mnie to ciekawi. Zadawaliby tyle pytań, że w końcu byłbym zmuszony ujawnić swoją tożsamość.

- Racja. A jeśli Briana da się połączyć z tym, co się tutaj wydarzyło, to również pana zaraz by skojarzono z nim i z wydarzeniami w Tybrze, oczywiście zakładając, że terroryści wysłali na policję dowody świadczące o zaangażowaniu pana syna w zamach. A to już byłby niezły bajzel, prawda?

- Czy podejrzewa pan, że Brian znalazł tę kobietę? - W głosie McKittricka pobrzmiwała troska.

- Wątpię. Nie widziałem karetki. - Decker szybko skreślił w kolejną ulicę.

- Martwi się pan, że był na tyle wściekły, aby ją zabić?

- Nie. Obawiam się przeciwnego obrotu spraw.

- Nie rozumiem.

- Ona mogła zabić jego - odparł Decker. - Pana syn zupełnie się zagubił. Co gorsza, brakuje mu pokory, aby się do tego przyznać. Ci

ludzie to zawodowi zabójcy. Nie tylko są dobrzy w tym, co robią ale to kochają. Zabawa z Brianem była dla nich źródłem rozrywki, ale gdyby choć przez chwilę pomyśleli o nim jako o poważnym zagrożeniu, od razu by go zlikwidowali. Możliwe, że to, co z niego zostało, nie wystarczy nawet na pochówek.

- Jak możemy go powstrzymać?

Decker wpatrywał się w deszcz za trzepoczącymi wycieraczkami.

- Pana syn ma zwyczaj pozostawiania w swoim mieszkaniu różnych dokumentów, na przykład listę nazwisk swoich kontaktów i ich adresy.

- Mój Boże, czy ma aż takie braki w wykszoleniu?

- Odnoszę wrażenie, że wcale mnie pan nie słucha. Dwadzieścia trzy osoby nie żyją a czterdzieści trzy są ranne. Oto skala braków w wykszoleniu Briana.

- Lista - odezwał się wzburzony McKittrick. - Dlaczego wspomniał pan o liście?

- Przed spaleniem zdażyłem ją zapamiętać - odparł Decker. - Imię i adres Renaty znajdowały się na samym szczycie. To logiczne, że najpierw pojechał do niej. Myślę także, że odwiedzi wszystkie kolejne adresy, dopóki jej nie znajdzie.

- Ale jeśli to naprawdę terroryści, to wcale nie mieszkają w tych miejscach.

- Właśnie. - Decker ostro wszedł w zakręt. - To profesjonaliści. Nie daliby Brianowi swoich prawdziwych adresów. Renata

prawdopodobnie używała tamtego mieszkania jako czasowej kwatery i jednego z elementów mistyfikacji. Jednak nie wygląda na to, aby Brian się tego domyślał. Jest zbyt wściekły. Pragnie zemsty. Ludzie, których sterroryzuje pod tymi adresami, nie będą mieli pojęcia, co się dzieje. Może Renata właśnie na to liczyła. Może to jej ostateczny żart.

W głosie McKittricka dało się słyszeć ponagląjący ton.- Gdzie znajduje się najbliższy adres z tej listy?

- Po drugiej stronie rzeki. Ale nie ma sensu tam jechać. Brian ma nad nami zbyt dużą przewagę. - Decker przyspieszył, a opony zasyczały na mokrej nawierzchni. - W tej chwili może być już w trzecim bądź czwartym z tych miejsc. Pojadę od razu do ostatniego, a następnie do przedostatniego i tak dalej. Może nasze drogi się przetną.

## 14

Deszcz przybrał na sile. Na naszą korzyść działa tylko to, że jest środek nocy, pomyślał Decker. Dzięki temu nie spowalniają nas korki.

Tak czy inaczej, musiał się skupić na szybkiej, lecz bezpiecznej jeździe po śliskich ulicach. Niespokojny nocny sen nie pozwolił Deckerowi pozbyć się zmęczenia podróży. Teraz znużenie się pogłębiło, oczy zaczynały go szczypać, a czoło rozsadzał ból. Czuł ucisk za uszami.

Co niezwykle, pomimo swojego wieku McKittrick wcale nie wydawał się zmęczony lotem, cały czas zachowując wyprostowaną sylwetkę. Wskazał coś palcem.

- Co to za duże budynki przed nami?

- Uniwersytet.

Po krótkim postoju, by zerknąć na mapę, Decker skręcił w boczną uliczkę, potem w kolejną, jeszcze bardziej mroczną i wąską starając się dojrzeć numery na ciasno stojących domach. Zatrzymał się przed jednym z wejść.

- To tutaj.

McKittrick wyjrzał przez szybę.

- Cisza. Żadnych świateł. Nie ma policji.

- Wygląda na to, że go tu nie było. - Wewnątrz samochodu rozległ się jakiś dźwięk i Decker gwałtownie się odwrócił.

McKittrick trzymał dłoń na klamce. Wysiadł i stanął na krawężniku, tylko częściowo widoczny w ciemności i ulewie.

- Co pan...

- Minęło wiele lat - odparł McKittrick z godnością. - Ale wciąż pamiętam, jak się prowadzi obserwację. Zostanę tutaj. Pan niech jedzie pod kolejny adres.

- Ale...

- Możliwe, że mój syn już tu jest albo jest w drodze. Jeśli udamy się w kolejne miejsce, możemy się z nim rozminąć. Jednak jeśli zostanę, przynajmniej tutaj go nie przegapimy.

- Nie wydaje mi się, aby rozdzielanie się było dobrym pomysłem - stwierdził Decker.

- Czy gdybym był w pana wieku, to również kwestionowałby pan moje decyzje?

- Hm... Raczej nie.

- Sam więc pan widzi. - McKittrick zaczął zamykać drzwi.

- Niech pan poczeka.

- Nie dam się przekonać do zmiany zdania.

- Nie o to mi chodzi. Proszę. Lepiej niech pan to weźmie. Kiedy dowiedziałem się, że pan przylatuje, sprowadziłem do biura paczkę. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie będę musiał panu tego dać.

- Pistolet? - McKittrick wyglądał na zszokowanego. - Czy pan naprawdę myśli, że potrzebuję pistoletu, aby stanąć oko w oko ze swoim synem?

- Mam bardzo złe przeczucia co do dzisiejszego wieczoru.

- Nie zgadzam się.

- Proszę go wziąć, w przeciwnym razie pana tutaj nie zostawię.

McKittrick uważnie przyjrzał się Deckerowi. W jego ciemnych oczach widać było napięcie. W końcu przyjął broń.

- Wrócę najszybciej, jak to będzie możliwe - obiecał Decker. - Jak pana znajdę?

- Proszę powoli przejechać przez tę okolicę, a znajdę pana na pewno.

McKittrick zamknął drzwi, wsunął pistolet pod marynarkę i odszedł w ciemność. Dopiero kiedy otoczona aureolą deszczu sylwetka starszego mężczyzny przestała być widoczna w światłach fiata, Decker odjechał.

## 15

Dotarcie do przedostatniego adresu z listy zajęło mu osiem minut. Po drodze zastanawiał się, co powinien uczynić, jeżeli nie

znajdzie tam żadnych śladów obecności Briana. Czy powinien zostać, czy może udać się w kolejne miejsce?

To, co wydarzyło się potem, rozwiało wszelkie wątpliwości. Już z odległości kilkuset metrów Decker słyszał syreny wyjące w ciemności. Widział karmazynowy blask ponad rozmytymi w deszczu konturami budynków. Z nerwów czując ucisk w żołądku, skręcił fiałem w ulicę, która stanowiła jego cel, i gwałtownie zahamował w ostrym świetle reflektorów hałaśliwych wozów strażackich i karettek. Jęzory płomieni strzelały z okien budynku mieszkalnego. Dym bił w niebo. Podczas gdy strażacy polewali ogień strumieniami wody, ratownicy zajmowali się ocalałymi ludźmi, owijając ich kocami i podając im tlen.

Przerażony Decker wysiadł z samochodu, podszedł na tyle blisko, aby upewnić się, że pożar szaleje w budynku, który miał sprawdzić, po czym pospiesznie przecisnął się przez gęstniejący tłum gapiów w stronę auta, zawrócił i szybko odjechał pośród strug deszczu.

Serce waliło mu jak młot. Co się dzieje, do diabła? Czyżby Brian chciał się zemścić, podpalając kolejne budynki z uwięzionymi terrorystami w środku? Z pewnością nawet ktoś tak pozbawiony samokontroli musi sobie zdawać sprawę, że w takim przypadku obrażenia odniosą także niewinni ludzie, a nie tylko terroryści, jeżeli ci w ogóle będą na tyle głupi, aby przebywać pod adresami przekazanymi Brianowi.

Został mi tylko jeden adres, pomyślał Decker. Tam, gdzie zostawiłem jego ojca. Jadąc pospiesznie przez deszczową noc, Decker wpadł w poślizg, lecz zaraz odzyskał kontrolę nad fiatem. W pobliżu uniwersytetu ponownie skręcił w boczną uliczkę, a potem w kolejną czując się uwięziony w ciasnych przestrzeniach. Gdy znajdował się zaledwie o pół przecznicy od miejsca, w którym zostawił Jasona McKittricka, nagle, w przenikliwym świetle reflektorów, pojawiła się wysoka, przysadzista postać. Decker gwałtownie wcisnął pedał hamulca i prawie uderzył w ścianę, gdy samochodem zarzuciło na boki. Przemoczony człowiek zwracał twarz ku burzowym chmurom, potrząsał pięściami i krzyczał.

To był Brian. Decker miał zasunięte szyby. Dopiero kiedy wygramolił się z fiata i ruszył poprzez kałuże, aby powstrzymać Briana, usłyszał, co on wykrzykiwał.

- Kłamcy! Dranie!

Decker zostawił włączone reflektory i teraz ich blask odbijał się od deszczu spływającego Brianowi po twarzy.

- Tchórze!

W kilku oknach zapaliło się światło.

- Musimy zejść z ulicy - odezwał się Decker.

- Walczcie ze mną! - krzyknął Brian w ciemność. Zapaliły się kolejne światła.

- Walczcie ze mną!

Zimny deszcz przemoczył włosy Deckera i zmroził mu szyję.

- Policja będzie cię szukać. Nie możesz tutaj zostać. Muszę cię stąd zabrać. - Pociągnął Briana w stronę samochodu.

Brian stawiał opór. Rozświetlały się kolejne okna.

- Na litość boską chodź! - zawołał Decker. - Widziałeś się z ojcem? Zostawiłem go tutaj.

- Dranie!

- Brian, posłuchaj mnie. Czy widziałeś się z ojcem? Uwolnił się z uchwytu i ponownie potrząsnął pięściami w kierunku nieba.

- Boicie się!

- Co tam się dzieje? - krzyknął po włosku jakiś mężczyzna z mieszkania na piętrze.

Decker chwycił Briana.

- Przy tym hałasie, jaki robisz, twój ojciec musiał cię usłyszeć. Powinien już być z nami. Skup się. Muszę wiedzieć, czy go spotkałeś.

W jednej chwili złe przecucie zmroziło Deckerowi krew w żyłach.

- Jezu, tylko nie to. Brian. Twój ojciec. Czy coś mu się stało?

Kiedy nie odpowiedział, Decker wymierzył mu silny policzek. Głowa Briana odskoczyła, a z jego twarzy wzbiły się w powietrze krople deszczu.

Był w szoku. Światło reflektorów odbijało się w jego dzikich oczach.

- Mów, gdzie twój ojciec! Brian odszedł, lekko się zataczając.

Zaniepokojony Decker podążył za nim, widząc, dokąd Brian go prowadzi - do miejsca, które zamierzał obserwować McKittrick. Nawet w deszczu i ciemności widział, że drzwi są otwarte.

Starając się zapanować nad zbyt szybkim oddechem, wyjął pistolet spod skórzanej kurtki. Kiedy Brian przekroczył próg, Decker zmusił go do przysiadu i szybko wszedł za nim. Jego oczy na tyle przywykły do ciemności, że zauważył, iż znajduje się na podwórzu. Po prawej stronie zobaczył drewnianą skrzynię i popchnął Briana w jej kierunku. Klękając na mokrym bruku, Decker wycelował ponad skrzynią, omiatając wzrokiem ledwie widoczne poręcze balkonów znajdujących się na wprost niego oraz po prawej i lewej stronie.

- Brian, poprowadź mnie - szepnął Decker.

Przez chwilę nie był pewien, czy go usłyszał. Potem Brian zmienił pozycję i Decker zdał sobie sprawę, że coś pokazuje. Kiedy wzrok Deckera przyzwyczał się do ciemności, ujrzał w oddali po prawej stronie niepokojącą białą plamę.

- Zostań (utaj - polecił Brianowi i błyskawicznie ruszył ku następnej skrzyni.

Mierząc z pistoletu, nerwowo się rozejrzał, po czym ponownie podbiegł do przodu, tym razem docierając do czegoś, co mogło być starożytną studnią. Mokre ubranie przylepiało mu się do ciała, krępując ruchy. Znajdował się wystarczająco blisko, aby stwierdzić, że biała plama to włosy - włosy Jasona McKittricka. On sam leżał wsparty plecami o ścianę, z rękami wzdłuż ciała i podbródkiem opartym na klatce piersiowej.

Decker jeszcze raz się rozejrzył, po czym ruszył biegiem w strumieniach deszczu, dopadł do McKittricka, kucnął przy nim i poszukał pulsu. Pomimo panujących ciemności widział, że prawa kłapa szarej marynarki jest wyraźnie ciemniejsza.

Krew. Decker dalej szukał pulsu, dotykając kolejno nadgarstka McKittricka, jego szyi i klatki piersiowej.

W końcu wyczuł tętno i triumfalnie wciągnął powietrze.

Nagle odwrócił się i wycelował broń w nadchodzącą postać.

Brian niezdarnie przeciął podwórze i padł na ziemię obok swojego ojca, przyciskając twarz do jego głowy.

- Nie chciałem.

- Pomóż mi - rzucił Decker. - Musimy go zabrać do samochodu.

- Nie wiedziałem, że to on.

- O czym ty mówisz?

- Nie zdawałem sobie sprawy.

- Co?

- Myślałem, że to jeden z nich - zaszlochał Brian.

- Ty to zrobiłeś? - Decker chwycił Briana i odkrył rewolwer tkwiący w kieszeni jego kurtki.

- Nie mogłem się opanować. Wyszedł na mnie z ciemności.

- Jezu.

- Musiałem strzelić.

- Na Boga...

- Nie chciałem go zabić.

- Nie zabiłeś.

- Mówię ci, że...

- On żyje!

W ciemności zdumiony wyraz twarzy Briana był ledwie widoczny.

- Musimy go zanieść do samochodu i zawieźć do szpitala. Złap go za nogi.

Kiedy Decker wyciągał rękę w stronę ramienia McKittricka, nagle odniósł wrażenie, że obok jego głowy przeleciał trzmiel. Pocisk uderzył w ścianę za nim.

Decker wzdrygnął się i pognał w stronę skrzyni. Strzał - oddany z broni z tłumikiem - padł gdzieś nad nim. Z wściekłością wycelował w górę, mrugając oczami zalewanymi deszczem, w ciemności nie widząc celu.

- Oni ci nie pozwolą - odezwał się Brian.

- Oni?- Są tutaj.

Deckerowi serce zamarło w piersi, gdy zrozumiał, czemu Brian krzyczał na ulicy. Nie kierował swoich obelg ku niebiosom ani antycznym furiom.

Wołał do terrorystów.

Brian pozostał na otwartej przestrzeni, przy swoim ojcu.

- Chodź tutaj - polecił mu Decker.

- Nic mi nie grozi.

- Na Boga, schowaj się za tą skrzynią.

- Nie zastrzelą mnie.

- Nie gadaj bzdur.

- Zanim przyjechałaś, Renata mi się pokazała. Powiedziała, że najlepszy sposób, aby mnie skrzywdzić, to pozwolić mi żyć.

- Co?

- Żebym mógł cierpieć przez resztę życia, wiedząc o tym, że zabiłem własnego ojca.

- Wcale go nie zabiłeś! On żyje!

- Równie dobrze mógłby być martwy. Renata nie pozwoli nam go stąd zabrać. Za bardzo mnie nienawidzi. - Wyciągnął rewolwer z kieszeni. W ciemności wydawało się, że do siebie celuje.

- Brian! Nie!

Jednak zamiast się zastrzelić, zerwał się na nogi, zaklął i zniknął w mroku na tyłach podwórza.

Pośród ulewy zszokowany Decker usłyszał, jak wbiega po zewnętrznych drewnianych schodach.

- Brian, ostrzegałam cię! - Chropawy głos należał do Renaty. - Nie próbuj mnie ścigać!

Kroki Briana rozległy się wyżej.

W oknach przy kilku balkonach zapaliły się światła.

- Dałam ci szansę! - krzyknęła Renata. - Nie zbliżaj się, bo zrobię to samo, co w innych budynkach!

- Zapłacisz za to, że mnie ośmieszyles! Renata wybuchnęła śmiechem.

- Sam się ośmieszyles!

- Zapłacisz za mojego ojca!

- To też twoja sprawka!

Kroki Briana zadudniły jeszcze wyżej.

- Nie bądź idiotą! - zawołała Renata. - Ładunki zostały rozmieszczone! Zaraz uruchomię detonator.

Pospieszne kroki Briana wciąż rozlegały się na schodach.

Nagle zostały zagłuszone przez grzmot nie burzy, lecz eksplozji, która z oślepiającym błyskiem wystrzeliła z mieszkania przy czwartym balkonie od tyłu. Ogłuszający ryk przewrócił Deckera na plecy. Z góry posypał się gruz, a wściekłe płomienie oświetliły podwórze.

Decker odwrócił się, dostrzegając ruch po swojej lewej stronie. Szczupły, ciemnowłosey, dwudziestokilkuletni mężczyzna, jeden z braci, których Decker spotkał w kawiarni poprzedniego wieczoru, wychylił się zza kubłów na śmieci.

Decker zeszywniał. Muszą być wszędzie dookoła mnie, po prostu nie zauważyłem ich w tej ciemności!

Młody człowiek nie był przygotowany, że Renata zdetonuje bombę. Choć miał pistolet, jego uwagę całkowicie odwrócił krzyk dobiegający z drugiej strony podwórka. Szeroko otwartymi oczami z niedowierzaniem patrzył na jednego ze swoich braci, próbującego uderzeniami dłoni zdusić płomienie na ubraniu i we włosach, które zajęły się od spadających szczątków. Deszcz wydawał się nie mieć żadnego wpływu na ogień. Mężczyzna nie przestawał krzyczeć.

Decker dwukrotnie strzelił do pierwszego z braci, trafiając go w klatkę piersiową i głowę. Kiedy upadł, Decker obrócił się i dwukrotnie strzelił do płonącego mężczyzny, także go powalając.

Odgłosy strzałów zostały prawie całkowicie stłumione przez trzaski i ryk pożaru rozszerzającego się z czwartego balkonu.

Spadła kolejna porcja gruzu. Kucając za skrzynią Decker przeczesywał wzrokiem okolice, szukając kolejnych celów. Brian. Gdzie jest Brian? Kątem oka dostrzegł ruch w lewym przeciwległym narożniku podwórka, w pobliżu drzwi, przez które weszli.

Jednak to nie był Brian. Wysoką szczupłą i zmysłową postacią która wyłoniła się z cienia kolejnych schodów, była Renata. Zaczęła raz za razem strzelać z pistoletu z tłumikiem w kierunku podwórka, jednocześnie biegnąc w stronę otwartych drzwi. Stłumione strzały, normalnie nie głośniejsze od dźwięku pięści uderzającej w poduszkę, stały się całkowicie niesłyszalne wśród ryku chaotycznie szalejących płomieni.

Chowając się za skrzynią, Decker położył się na mokrym bruku i zaczął się przesuwac na łokciach i kolanach. Dotarł do krawędzi skrzyni, zauważył Renatę zbliżającą się do wyjścia, wycelował przez strumienie deszczu i dwukrotnie strzelił. Pierwszy pocisk uderzył w ścianę tuż za nią. Drugi trafił ją w szyję. Renata przycisnęła dłoń do rany, z której chlusnęła krew. Za chwilę jej gardło się zaciśnie. Śmierć przez uduszenie nadejdzie w ciągu niecałych trzech minut.

Pomimo hałasu pożaru Decker usłyszał krzyk bólu. Jeden z braci Renaty wybiegł z klatki schodowej, strzelił kilkakrotnie w kierunku podwórza, chwycił leżącą siostrę i przyciągnął ją bliżej drzwi. Od razu ponownie strzelił, lecz nie w Deckera, tylko w stronę schodów na tyłach podwórka, jak gdyby chcąc się ochronić przed pociskami

nadlatującymi z tamtego kierunku. Kiedy Decker celował, pojawił się ostatni z braci, kilkakrotnie strzelił w jego stronę, po czym pomógł wynieść swoją siostrę na ulicę, znikając z oczu Deckerowi, który pospiesznie zmienił magazynek na nowy. W tym czasie terroryści zdążyli uciec.

Na twarzy Deckera pot mieszał się z deszczem. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Błyskawicznie się odwrócił, na wypadek gdyby pojawiły się kolejne cele, i zobaczył Briana zeskakującego z ostatnich stopni schodów w tylnej części podwórza.

W drżącej dłoni trzymał rewolwer.

- Musimy się stąd wynosić! - krzyknął Decker.

Od wybuchu upłynęła najwyżej minuta. Ludzie w piżamach, a czasem w jeszcze skromniejszych strojach wybiegali na balkony i pędzili w dół schodów, uciekając przed ogniem.

Decker ominął płonące szczątki i podbiegł do Briana, który objął ojca ramieniem i właśnie go podnosił.

- Czuję, że oddycha! - zawołał Brian.

Decker słyszał ludzi w panice zbiegających po schodach, kiedy razem z Brianem nieśli McKittricka przez podwórze w stronę otwartych drzwi.

- Poczekaj - polecił Decker.

Oparł o ziemię nogi McKittricka i ostrożnie wyjrzał na ulicę, cały czas celując z pistoletu. Zobaczył samochód szybko odjeżdżający spod krawężnika, błyskający na czerwono gwałtownie

zmniejszającymi się tylnymi światłami. Auto weszło w zakręt, ślizgając się na kałużach, po czym zniknęło.

Decker znajdował się już wystarczająco daleko od ryczących płomieni, aby usłyszeć pulsujący jęk zbliżających się syren. Któryś z terrorystów mógł zostać i ukryć się za samochodem, próbując zastawić pułapkę. Jednak Decker był pewien, że syreny działały na terrorystów równie odstraszająco jak na niego.

Postanowił zaryzykować.

- Chodźmy! - polecił Brianowi.

Za nimi zaczynał się zbierać tłum. Szybko przenieśli McKittricka do auta i ułożyli go na tylnym siedzeniu. Brian został z tyłu z ojcem, a Decker wślizgnął się na miejsce kierowcy i szybko ruszył, prawie potracając ludzi zgromadzonych na ulicy. W tym samym czasie za samochodem głośniejszy odezwały się syreny. Wciskając pedał gazu, Decker nerwowo zerknął w lusterko i zobaczył błyskające światła karetek i wozów straży pożarnej pojawiające się na zalanej deszczem ulicy.

Nerwowo zaciskając dłonie na kierownicy, zastanawiał się, co może być przed nimi. Ulica była tak wąska, że gdyby z naprzeciwka nadjechały radiowozy lub samochody straży pożarnej, to nie dałoby się ich wyminąć. Fiat zostałby uwięziony.

Zbliżali się do zalanego deszczem skrzyżowania. Decker gwałtownie skręcił i znalazł się na szerszej ulicy. W ciemności nie widział żadnych migających świateł. Syreny zostały z tyłu.

- Chyba uciekliśmy - odezwał się. - Co z twoim ojcem?

- Jeszcze żyje. Tylko tyle dobrego mogę powiedzieć. Decker spróbował uspokoić oddech.

- Co Renata miała na myśli, gdy zagroziła, że zrobi to samo, co w innych budynkach?

- Powiedziała, że w niektórych z nich podłożyła ładunki wybuchowe. Kiedy się pojawiłem, szukając jej i pozostałych... - Brian mówił z wyraźnym trudem.

- Gdy tylko się oddaliłeś, zdetonowała ładunki?

- Tak.

- Narobiłeś tyle hałasu, wdzierając się do mieszkań, że inni lokatorzy pewnie przyszli sprawdzić, co się dzieje? Połączą cię z wybuchami?

- Tak.

- Renata chciała, aby odpowiedzialność spadła na Amerykanina?

- Tak.

- Cholera, znowu pozwoliłeś jej się wykorzystać - zdenerwował się Decker.

- Ale wyrównałem rachunki.

- Wyrównałeś?

- Widziałeś, co zrobiłem. Zastrzeliłem ją.

- Ty...? - Decker nie wierzył w to, co słyszy. Wydawało mu się, że droga zafalowała. - Przecież to nie ty ją postrzeliłeś.

- Prosto w szyję.

- Nieprawda.

- Może chcesz sobie to przypisać? - spytał Brian z naciskiem.

Mój Boże, on naprawdę oszalał, pomyślał Decker.

- Brian, tu się nie ma czym chwalić. Gdybyś rzeczywiście ją postrzelił, wcale nie miałbym przez to gorszego mniemania o sobie ani lepszego o tobie. Jeśli już, to byłoby mi cię żal. To straszne żyć ze wspomnieniem...

- Żal? O czym ty gadasz, do cholery? Uważasz się za kogoś lepszego ode mnie? Co ci daje prawo, aby tak myśleć?

- Dobrze, skończmy już ten temat.

- Byłoby ci mnie żal? Próbujesz przypisać sobie zasługę za coś, co ja zrobiłem?

- Uspokój się.

- Jak ty mnie nienawidzisz. Zaraz powiesz, że to ja postrzeliłem ojca.

Decker zaczynał do tego stopnia tracić kontakt z rzeczywistością, że przez chwilę zakręciło mu się w głowie.

- Skoro tak twierdzisz, Brian. Chcę tylko zawieźć go do szpitala.

- Właśnie.

Decker usłyszał pulsujący dźwięk syreny. Błyskające światła radiowozu szybko się przybliżały. Zacisnął spocone dłonie na kierownicy. Radiowóz minął fiata, mknąc w kierunku, z którego nadjechał Decker.

- Daj mi swój rewolwer, Brian.

- Nie żartuj.

- Mówię poważnie. Oddaj rewolwer.

- Ty chyba...

- Choć raz mnie posłuchaj, na litość boską. Pojawią się kolejne radiowozy. Ktoś poinformuje policję o uciekającym fiacie. Istnieje ryzyko, że nas zatrzymają. Wystarczy, że mamy w samochodzie rannego. Jeśli policja znajdzie pistolety...

- Co zamierzasz zrobić z moim rewolwerem? Myślisz, że balistyka pomoże ci udowodnić, że postrzeliłem swojego ojca? Boisz się, że będę chciał się pozbyć broni?

- Nie, sam się jej pozbędę. Zdumiony Brian przekrzywił głowę.

- Chociaż wcale nie mam na to ochoty. - Decker zatrzymał się przy krawężniku na mrocznej ulicy, po czym z naciskiem spojrzał na Briana. - Daj... mi... swój... rewolwer.

Mrużąc oczy, Brian uważnie przyglądał się Deckerowi. Powoli sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął broń. Decker wydobył swój pistolet.

Dopiero kiedy Brian podał mu broń, kolbą do przodu, Decker trochę się rozluźnił. Na podwórzu, zanim pomógł Brianowi dźwignąć ojca, zabrał Jasonowi McKittrickowi pistolet. Teraz wziął wszystkie trzy sztuki broni, wysiadł z fiata na zimny deszcz, rozejrzał się w ciemności, aby sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje, podszedł do krawężnika, przyklęknął, zupełnie jakby sprawdzał ciśnienie w jednej z opon, i dyskretnie upuścił pistolety do studzienki kanalizacyjnej.

Od razu wrócił do samochodu i odjechał.

- A więc to jedno mamy z głowy, co? - odezwał się Brian.

- Tak - odparł Decker gorzko. - To jedno mamy z głowy.

- Stracił dużo krwi - rzekł lekarz w izbie przyjęć. - Ma słabe i nierówne tętno. Niskie ciśnienie. Nie chciałbym, aby zabrzmiało to pesymistycznie, ale należy się przygotować na każdą ewentualność.

- Rozumiem - odparł Decker. - Jego syn i ja doceniamy wszystko, co może pan dla niego uczynić.

Lekarz ponuro skinął głową i wrócił na oddział. Decker zwrócił się do dwóch znużonych pracowników administracji szpitala, stojących z szacunkiem w kącie poczekalni.

- Jestem wdzięczny za współpracę w tej kwestii - powiedział. - Moi przełożeni będą jeszcze bardziej wdzięczni. Oczywiście odpowiednie dowody uznania zostaną przekazane każdej zaangażowanej osobie.

- Pana przełożeni zawsze byli bardzo hojni. - Jeden z mężczyzn zdjął okulary. - Zrobimy co w naszej mocy, aby władze nie poznały prawdziwej przyczyny obrażeń pacjenta.

- Ufam bezwarunkowo w panów dyskrecję. - Decker uściskał im dłonie. Pieniądze, które przy tym przekazał, znikły w ich kieszeniach. - *Grazie.*

Gdy tylko mężczyźni wyszli, Decker usiadł obok Briana.

- Dobrze. Trzymałeś język za zębami.

- Mamy jakąś umowę z tym szpitalem? Decker skinął głową.

- Czy to dobra placówka? - spytał Brian. - Wydaje się strasznie mała.

- Najlepsza.

- Zobaczymy.

- Nie zaszkodziłoby się pomodlić. Brian się skrzywił.

- Czyżbyś był religijny?

- Nie lubię sobie zamykać żadnych drzwi. - Decker spojrzał na mokre ubranie przywierające mu do ciała. - To, co robią z twoim ojcem, chwilę potrwa. Lepiej wracajmy do hotelu i przebierzmy się w coś suchego.

- A jeśli coś się stanie, kiedy nas tu nie będzie?

- Czyli jeśli on umrze? - spytał Decker.

- Tak.

- To, czy będziemy wtedy w poczekalni, czy nie, niczego nie zmieni.

- To wszystko twoja wina.

- Słucham? - Decker poczuł nagły ucisk za uszami. - Moja wina?

- Ty nas w to wszystko wplątałeś. Gdyby nie ty, nic z tego by się nie wydarzyło.

- Na jakiej podstawie tak twierdzisz, do cholery?

- Gdybyś nie pojawił się w piątek i mnie nie popędzał, to doskonale poradziłbym sobie z Renatą i jej grupą.

- Porozmawiamy o tym w drodze do hotelu.

**17**

- Twierdzi, że kiedy tylko wyszliście ze szpitala, wepchnąłeś go w boczną uliczkę i pobiłeś - powiedział przełożony Deckera.

- Może sobie twierdzić, co chce.

Był poniedziałek. Decker znów siedział w agencji handlu nieruchomościami, ale tym razem rozmawiał ze swoim przełożonym osobiście, a nie przez telefon zabezpieczony koderem.

Siwowłosa mężczyzna o obwisłych policzkach zarumienionych od napięcia pochylił się nad stołem.

- Zaprzeczasz tym oskarżeniom?

- Brian doznał obrażeń podczas incydentu w budynku. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnął opowieść o tym, że go pobiłem.

- Mówi, że jesteś o niego zazdrosny.

- Jasne.

- Ze jesteś wściekły, bo to on znalazł terrorystów.

- Pewnie.

- Że chcesz się na nim odegrać, twierdząc, że omyłkowo postrzelił swojego ojca.

- Coś podobnego.

- I że próbujesz przypisać sobie unieszkodliwienie terrorystów, których tak naprawdę to on zastrzelił.- Niech pan posłucha - odparł Decker. - Wiem, że zależy panu na dotrwanii do emerytury. Wiem, jak silnej presji politycznej pan podlega i że musi pan chronić własny tyłek. Ale czemu traktuje pan poważnie absurdalne oskarżenia tego palanta i mi je pan powtarza?

- Dlaczego sądzisz, że są absurdalne?

- Proszę spytać ojca Briana. Jest bardzo słaby. To cud, że z tego wyszedł. Ale powinien być w stanie...

- Już go o to pytałem.

Deckerowi nie spodobał się poważny ton przełożonego.

- I co?

- Jason McKittrick potwierdza każde słowo Briana. Został postrzelony przez terrorystów, ale wcześniej widział, jak jego syn trafia trzech napastników. Oczywiście testy balistyczne mogłyby potwierdzić jego wersję, ale ty uznałeś za stosowne pozbyć się wszystkich pistoletów użytych tego wieczoru.

Spojrzenie Deckera było równie niewzruszone jak wzrok przełożonego.

- A więc tak to będzie wyglądało?

- Co masz na myśli?

- Jason McKittrick od razu mnie ostrzegł, że jego syn nie weźmie za nic odpowiedzialności. Staruszek spodobał mi się na tyle, że nie potraktowałem jego słów poważnie. Zachowałem się nieostrożnie. Wróg nie był daleko, ale tuż obok.

- Nie rozmawiamy tutaj o charakterze Jasona McKittricka.

- Oczywiście, że nie, ponieważ nikt nie chce mieć Jasona McKittricka za wroga. Nikt także nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności za pozwolenie jego niekompetentnemu synowi na pogrzebanie ważnej operacji. Ale ktoś przecież musi zostać uznany za winnego, prawda?

Przełożony nie odpowiedział.

- Jak udało się wam ukryć zaangażowanie Briana w to wszystko? - spytał Decker. - Czy terroryści nie wysłali policji obciążających go dowodów?

- Kiedy zadzwoniłeś, aby mnie ostrzec przed taką możliwością, uruchomiłem nasze kontakty w wydziale policji. Przesyłka rzeczywiście dotarła, ale nasi ludzie ją cofnęli.

- A co z mediami? Do nich nic nie wysłano?

- Do jednej stacji telewizyjnej, tej samej, której terroryści wcześniej przekazywali swoje komunikaty. Tę paczkę także przechwyciliśmy. Kryzys został zażegnany.

- Nie licząc dwudziestu trzech martwych Amerykanów - odparł Decker.

- Czy chcesz coś zmienić w swoim raporcie?

- Tak. Stłukłem tego dupka. Szkoda, że nie przyłożyłem mu mocniej.

- Coś jeszcze?

- Jest coś, o czym zapomniałem wspomnieć - odrzekł Decker.

- To znaczy?

- W sobotę były moje czterdzieste urodziny. Przełożony pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie rozumiem, jaki to ma związek ze sprawą.

- Jeśli da mi pan chwilę, zaraz napiszę rezygnację.

- Rezygnację...? Nie wymagamy od ciebie aż tak drastycznych kroków. Co chcesz w ten sposób zyskać?

- Życie.

## **Rozdział drugi**

Decker leżał na łóżku w nowojorskim hotelu. Prawą ręką podnosił do ust szklanekę Jacka Danielsa, a lewą nerwowo zmieniał pilotem kanały w telewizorze. Gdzie się udać, jeżeli było się już wszędzie?

Nowy Jork zawsze dobrze mu służył; był miejscem, do którego automatycznie się kierował, gdy z rzadka miewał wolny weekend. Broadway, Metropolitan Opera, Muzeum Sztuki Współczesnej - one zawsze witały go niczym starzy przyjaciele. W ciągu dnia oddawał się kojącym nerwy rytuałom joggingu w Central Parku, lunchu w Carnegie Deli, szperania w Strand Bookstore i oglądania ulicznych artystów na placu Waszyngtona. Wieczorami lubił sprawdzić, kto śpiewa w Algonquin Room. Radio City Music Hall. Madison Square Garden. Zawsze znajdował coś do roboty.

Jednak ku swojemu zaskoczeniu podczas tej wizyty nie miał na nic ochoty. Mel Tomie koncertował w Michael's Pub. Normalnie Decker byłby pierwszy w kolejce, ale nie tym razem. Maynard Ferguson, jego ulubiony trębacz, występował w klubie Blue Note, ale Decker nie miał siły, aby się umyć i wyjść z hotelu. Energii wystarczało mu tylko na dolewanie sobie bourbona i wciskanie przycisku zmiany kanałów w telewizorze.

Po przylocie z Rzymu nawet nie rozważał powrotu do swojego niewielkiego mieszkania w Alexandrii w stanie Wirginia.

Nie czuł się przywiązany do małej sypialni, salonu, wnęki kuchennej i łazienki. To nie był jego dom. To tylko miejsce do przechowywania ubrań i nocowania między kolejnymi zadaniami.

Kurz, który go witał po każdym powrocie, kręcił w nosie i powodował ból głowy. Decker nie mógł sobie pozwolić na zaniedbanie środków bezpieczeństwa i zatrudnienie sprzątaczkę, która ogarnęłaby mieszkanie na jego przyjazd. Myśl o obcej osobie grzebiącej w jego rzeczach przyprawiała go o ciarki na plecach, choć przecież nie trzymał w mieszkaniu niczego, co nie powinno wpaść w niepowołane ręce.

Nie poinformował swojego przełożonego - poprawka: byłego przełożonego - dokąd zamierza się udać po złożeniu rezygnacji. Oczywiście Nowy Jork znajdował się na liście przewidywalnych miejsc, a dla kogoś, kto obserwował Deckera na lotnisku, potwierdzenie celu jego podróży było formalnością. Po przybyciu do Nowego Jorku Decker zaczął zacierać za sobą ślady. Zatrzymał się w hotelu St. Regis, w którym nigdy wcześniej nie mieszkał. Jednak już po dziesięciu minutach od zameldowania się w recepcji i udania się do pokoju, usłyszał dzwonek telefonu. Był to, oczywiście, jego przełożony - cholera, znów poprawka: były przełożony - zachęcający Deckera do zmiany decyzji.

- Możesz mi wierzyć, Steve - powiedział znużonym głosem - jak wszyscy doceniam efektowne gesty, ale teraz, kiedy już to zrobiłeś i wyrzuciłeś z siebie całą złość, pora zapomnieć o urazach. Wracaj na pokład. Zgadzam się, że Rzym to była porażka na całej linii, kompletna katastrofa, ale rezygnacja niczego nie zmieni. Niczego w ten sposób nie naprawisz. Przecież zdajesz sobie sprawę, że to, co zrobiłeś, nie ma sensu.

- Obawiacie się, że jestem rozżalony i powiem o tym, co się stało, niewłaściwym ludziom, prawda? - spytał Decker.

- Oczywiście, że nie. Wszyscy wiemy, że można na tobie polegać. Nie zrobiłbyś niczego nieprofesjonalnego. Nie zawiódłbyś nas.

- W takim razie nie macie się czym przejmować.

- Nie możemy sobie pozwolić na stratę kogoś tak dobrego, Steve.- Z takimi ludźmi jak Brian McKittrick nawet nie zauważycie, że mnie nie ma. - Odłożył słuchawkę na widełki.

Minutę później telefon ponownie zadzwonił. Tym razem był to przełożony byłego przełożonego.

- Jeśli chodzi o podwyżkę...

- Nigdy nie zdążyłem wydać tego, co mi płaciliście - odparł Decker.

- W takim razie może więcej czasu wolnego.

- Na co?

- Na podróże.

- Pewnie. Pozwiedzam świat. Na przykład Rzym. Tak dużo latam, że źle się czuję w łóżku, jeśli nie ma ono kształtu lotniczego fotela.

- Posłuchaj, Steve. Wszystkim zdarza się wypalenie. Jest to wpisane w naszą pracę. Dlatego zatrudniamy zespół ekspertów, którzy wiedzą jak sobie radzić z objawami stresu. Naprawdę uważam, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś wsiadł w samolot do Waszyngtonu i z nimi porozmawiał.

- Czy nie wyraziłem się dostatecznie jasno? Mam dosyć latania.

- To pojedź pociągiem.

Decker ponownie odłożył słuchawkę. Nie miał żadnych wątpliwości, że jeśli spróbuje wyjść z hotelu, to zostanie przechwycony przez dwóch mężczyzn czekających na niego w holu. Najpierw się przedstawią a potem wyjaśnią że przyjaciele martwią się jego reakcją na wydarzenia w Rzymie, i zaproponują podwiezienie do spokojnego baru, by porozmawiać o tym, co go dręczy.

Do diabła z tym, pomyślał Decker. Sam mogę się napić w swoim pokoju. Poza tym wcale nie podwieźliby mnie do baru. To właśnie wtedy zamówił butelkę Jacka Daniela oraz dużo lodu, po czym odłączył telefon, włączył telewizor i zaczął przerzucać kanały. Dwie godziny później, gdy za zaciągniętymi zasłonami zrobiło się ciemno, miał już za sobą jedną trzecią butelki i wciąż przeskakiwał po kanałach. Goniwa obrazów na ekranie telewizora odzwierciedlała stan jego umysłu.

Gdzie się udać? Co zrobić? Pieniądze na razie nie stanowiły problemu. W ciągu dziesięciu lat, które przepracował jako tajny agent, dużą część swojej pensji inwestował w otwarte fundusze. Oprócz tego dysponował znaczną sumą pochodzącą z wynagrodzenia spadochroniarza, nurka, specjalisty od wyburzania, najemnika oraz z płacy specjalnej otrzymywanej jako członek tajnej wojskowej jednostki antyterrorystycznej. Podobnie jak wielu innych świetnie wyszkolonych żołnierzy, Decker został zwerbowany do agencji wywiadu po osiągnięciu wieku uniemożliwiającego skuteczny udział

w specjalnych operacjach, czyli w jego przypadku po skończeniu trzydziestu lat i zaliczeniu złamanej nogi, trzech pękniętych żeber oraz dwóch ran postrzałowych otrzymanych podczas tajnych misji dla rządu Stanów Zjednoczonych. Oczywiście, choć fizycznie nie nadawał się już do jednostki antyterrorystycznej, wciąż sprawnością przewyższał większość cywilów.

Inwestycje przyniosły mu oszczędności rzędu trzysta tysięcy dolarów. Ponadto zamierzał wycofać pięćdziesiąt tysięcy wpłacone na poczet rządowej emerytury. Jednak pomimo względnej finansowej swobody, czuł się zniewolony. Stał przed nim otworem cały świat, lecz on zawęził swój wybór do tego pokoju hotelowego. Gdyby jego rodzice wciąż żyli (przez chwilę wyobraził sobie, że tak jest w istocie), złożyłby im teraz długo odwlekaną wizytę. Jednak jego matka zginęła w wypadku samochodowym trzy lata temu, a ojciec kilka miesięcy później zmarł na zawał serca. Oboje zmarli, gdy Decker wykonywał rządowe misje. Po raz ostatni widział się z ojcem na pogrzebie matki.

Nie miał rodzeństwa. Nigdy się nie ożenił po części dlatego, że nie chciał narzucać swojego spartańskiego stylu życia komuś, kogo kochał, a po części ze względu na to, że ten styl życia uniemożliwiał mu spotkanie kogokolwiek, w kim mógłby się beztrąsko zakochać. Miał przyjaciółki jedynie wśród agentek, a teraz, gdy złożył rezygnację, i to w tak kontrowersyjnych okolicznościach, kobiety te czułyby się w jego towarzystwie skrępowane, nie mając pewności, jakie tematy wolno im poruszać.

Może popełniłem błąd, dumał, sącząc bourbona. Może nie powinienem składać rezygnacji, rozmyślał, przerzucając kanały. Bycie tajnym agentem nadawało mojemu życiu cel. Zapewniało oparcie.

Zabijało cię, poprawił sam siebie, a także obrzydzało wszystkie kraje, w których wykonywałeś misje. Greckie wyspy, szwajcarskie Alpy, Francuska Riwiera, hiszpańskie wybrzeże Morza Śródziemnego - to tylko kilka z pięknych miejsc, w których Decker pracował. Jednak każde z nich zostało naznaczone jego doświadczeniami i nie miał ochoty tam wracać, aby nie przywoływać wspomnień. W powszechnej opinii uznawano te rejony świata za cudowne, a jego były zawód wiązano z heroizmem. Jednak on nigdy nie dostrzegał w nim nic poza nużącą ogłupiającą i niebezpieczną harówką. Choć polowanie na narkotykowych bossów i terrorystów jest szlachetne, to brud ofiary często pozostaje na myśliwym. Z pewnością tak było w moim przypadku, pomyślał Decker. Z czasem odkryłem, że część biurokratów, dla których pracowałem, także nie była krystalicznie czysta.

Co robić? Zasypiając w oparach bourbona, spoglądał spod opadających powiek na ekran telewizora. Nagle dotarło do niego, że zobaczył coś interesującego, choć nie pamiętał, co to było. Powodowany ciekawością odpędził senność i zaczął przelaczać kanały wstecz. Kiedy odnalazł obraz, który go zaintrygował, nie zrozumiał, czemu tak się stało. Wiedział tylko, że coś podświadomie do niego przemówiło.

Patrzył na film dokumentalny o grupie robotników budowlanych poddających renowacji stary dom. Budynek był niezwykle, przypominał ziemianki w stylu pueblo, jakie widział w Meksyku. Jednak kiedy Decker pogłodził, dowiedział się, że ten porażająco elegancki i zarazem bardzo prosty dom znajduje się w Stanach Zjednoczonych, w Nowym Meksyku. Został zbudowany z cegły *adobe*, jak wyjaśnił kierownik grupy, dodając, że nazwa ta oznacza duże suszone cegły wykonane ze słomy i błota. Cegły, tworząc niezwykle solidną dźwiękoszczelną ścianę, zostały pokryte tynkiem w kolorze gliny. Kierownik dodał również, że tego typu domy mają płaski, lekko pochylony dach, dzięki czemu deszczówka może spływać przez *canales*. Nie mają także żadnych ostrych krawędzi, gdyż wszystkie narożniki są zaokrąglone. Wejście do domu często bywa zwieńczone opartym na kolumnie okapem zwanym *portalem*. Okna wbudowuje się w grube ściany.

Opuszczając charakterystyczną budowlę, której piaskowa faktura w kolorze gliny cudownie komponowała się z pomarańczowym, czerwonym i żółtym pustynnym otoczeniem, dziennikarz wygłosił kilka końcowych komentarzy na temat rękodzieła i dziedzictwa, a kamera pokazała panoramiczne ujęcie okolicy. U podnóża gór, wśród jałowców i sosen, stały rzędy domów z suszonej cegły, każdy z nich ekscentryczny i неповtarzalny, co dawało wrażenie niezwyklego zróżnicowania. Jednak prowadzący wyjaśnił, że takie domy w pewnym sensie są czymś nietypowym w

Nowym Meksyku, gdyż w większej liczbie występują tylko w jednym mieście.

Decker zauważył, że pochyła się w stronę telewizora, aby usłyszeć nazwę tego miasta. Dowiedział się, że to jedna z najstarszych osad ludzkich w Stanach Zjednoczonych, której początki sięgają szesnastego wieku i czasów hiszpańskiej konkwisty, a która do dziś zachowuje hiszpański charakter. Miasto, którego nazwa oznacza świętą wiarę, współcześnie nazywane jest „Innym Miastem”. Santa Fe.

## 2

Podejrzenia Deckera okazały się słuszne. W holu czekało na niego dwóch mężczyzn. Było tuż po ósmej rano. Odwrócił się od biurka w recepcji, zobaczył ich i już wiedział, że nie ma sensu próbować uniknąć spotkania. Uśmiechnęli się, kiedy szedł ku nim przez zatłoczony hol. Przynajmniej wybrano do tego zadania właściwych ludzi, pomyślał. Koordynatorzy zapewne mieli nadzieję, że „obiekt” zmniejszy czujność, gdyż dobrze zna obu mężczyzn i służył z nimi w specjalnych operacjach wojskowych.

- Steve, dawno się nie widzieliśmy. Jak się masz? - odezwał się jeden z mężczyzn.

Obaj przypominali Deckera warunkami fizycznymi - mieli po około sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i osiemdziesiąt pięć kilogramów wagi. Byli także w podobnym wieku - mniej więcej czterdziestu lat. Jako że przeszli identyczne szkolenie, mieli podobną budowę ciała - wąskie biodra oraz tułów rozszerzający się ku

szerokim ramionom, dającym siłę niezbędną podczas zadań specjalnych. Jednak na tym podobieństwo się kończyło. Podczas gdy Decker miał piaskowe i lekko falujące włosy, mężczyzna, który się odezwał, był rudy i krótko ostrzyżony. Z kolei jego towarzysz miał brązowe włosy zaczesane do tyłu. Obaj charakteryzowali się surowymi rysami twarzy i nieufnym spojrzeniem, co nie pasowało do uśmiechów i eleganckich garniturów.

- W porządku, Ben - odpowiedział Decker rudemu mężczyźnie. -  
A co u ciebie?

- Nie narzekam.

- Au ciebie, Hal? - spytał drugiego mężczyznę.

- Również nie narzekam.

Nikt nie wyciągnął dłoni na powitanie.

- Mam nadzieję, że nie musieliście stać na warcie przez całą noc.

- Dopiero od siódmej. Łatwizna - odparł Hal. - Wymeldowujesz się? - Wskazał walizkę.

- Tak, nagła zmiana planów.

- Dokąd jedziesz?

- Na lotnisko La Guardia.

- Może cię podwieziemy? Decker poczuł lekkie zdenerwowanie.

- Nie chciałbym wam sprawiać kłopotu. Złapię taksówkę.

- To żaden kłopot - odparł Hal. - Co by z nas byli za koledzy, gdybyśmy po tylu latach nie chcieli wyświadczyć ci drobnej przysługi. To zajmie tylko chwilę.

Hal sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął płaski telefon komórkowy i wybrał numer.

- Nigdy pan nie zgadnie, na kogo wpadliśmy - powiedział do słuchawki. - Tak, właśnie z nim rozmawiamy w holu.

Dobrze, będziemy czekać. - Przerwał połączenie i schował telefon. - Pomóc ci z walizką?

- Poradzę sobie.

- W takim razie wyjdźmy i poczekajmy na samochód. Na zewnątrz ruch uliczny zaczynał gęstnieć, rozlegały się głośne dźwięki klaksonów.

- Widzisz - odezwał się Ben - mógłbyś mieć trudności ze znalezieniem taksówki. - Zauważył idącego w ich kierunku mężczyznę ubranego w liberię. - Wszystko jest pod kontrolą - rzucił, ruchem dłoni oddalając portiera. Zerknął na zachmurzone niebo. - Chyba będzie padać.

- Tak zapowiadali - odrzekł Hal.

- Strzykanie w lewym łokciu to jedyna prognoza, jakiej potrzebuję. Jest samochód - oznajmił Ben.

Szary pontiac prowadzony przez nieznanego Deckerowi mężczyznę zatrzymał się przed hotelem. Przyciemnione szyby obok tylnego siedzenia utrudniały zagłądanie do wnętrza pojazdu.

- A nie mówiłem? - odezwał się Ben. - Tylko chwila. - Otworzył drzwi po stronie pasażera i gestem zaprosił Deckera do środka.

Z mocno walącym sercem przeniósł wzrok z Bena na Hala, ale pozostał na miejscu.

- Coś nie w porządku? - spytał Hal. - Chyba powinieneś wsiąść. Musisz zdążyć na samolot.

- Zastanawiam się, co zrobić z walizką.

- Schowamy ją z tyłu. Otwórz bagażnik - polecił Ben kierowcy. Po chwili rozległ się głuchy szcęk zamka. Ben chwycił walizkę Deckera, otworzył bagażnik, umieścił walizkę w środku i zamknął klapę. - No, to jeden problem z głowy. Gotowy?

Decker znów się zawahał. Czując przyspieszające tętno, skinął głową i wsiadł przez tylne drzwi pontiaca. W żołądku czuł lód.

Ben usiadł obok niego, a Hal zajął siedzenie obok kierowcy, po czym odwrócił się, aby widzieć Deckera.

- Zapnij pas - odezwał się kierowca o masywnym karku.

- Tak, bezpieczeństwo przede wszystkim - rzekł Ben.

Rozległ się szcęk metalu, kiedy Decker zapiał pas. Pozostali poszli w jego ślady.

Kierowca wdusił przycisk, który wywołał kolejny głuchy dźwięk i spowodował zamknięcie wszystkich drzwi. Z dudnieniem silnika pontiac włączył się do ruchu.

### 3

- Nasz wspólny znajomy, z którym rozmawiałeś przez telefon wczoraj wieczorem, twierdzi, że masz dosyć latania - odezwał się Ben.

- To prawda. - Decker wyglądał przez przyciemnioną szybę na przechodniów niosących walizki, torebki, złożone parasole i inne

przedmioty, szybkim krokiem zmierzających do pracy. Wydawali mu się niezwykle odlegli.

- A więc czemu jedziesz na lotnisko? - spytał Hal.

- Nagły impuls.

- Tak jak twoja rezygnacja?

- To nie była kwestia impulsu.

- Nasz znajomy twierdzi, że właśnie tak to wyglądało.

- On mnie dobrze nie zna.

- Zaczyna się zastanawiać, czy ktokolwiek cię zna. Decker wzruszył ramionami.

- Nad czym jeszcze się zastanawia?

- Dlaczego odłączyłeś telefon.

- Nie chciałem, aby mi przeszkadzano.

- A także czemu nie zareagowałeś, kiedy wczoraj wieczorem jeden z naszych ludzi zapukał do twoich drzwi.

- Ależ zareagowałem. Po prostu nie otworzyłem. Spytałem, kto to. Po drugiej stronie drzwi jakiś mężczyzna odpowiedział „obsługa hotelowa”. Powiedział, że przyszedł pościelić łóżko. Odparłem, że sam to zrobiłem. Wtedy powiedział, że przyniósł czyste ręczniki. Odparłem, że ich nie potrzebuję. Następnie powiedział, że chce położyć miętowe cukierki na stoliku przy łóżku. Odpowiedziałem, żeby wsadził je sobie w dupę.

- Nie zachowałeś się zbyt przyjaźnie.

- Chciałem pomyśleć w samotności. Pałeczkę w zadawaniu pytań przejął Ben.

- O czym pomyśleć?

Kiedy pontiac zatrzymał się na czerwonym świetle, Decker spojrział w lewo na rudego agenta.

- O życiu.

- Trudny temat. Udało ci się do czegoś dojść?

- Uznałem, że istota życia polega na zmianie.

- A więc o to w tym wszystkim chodzi? Chcesz zmienić swoje życie? - spytał Hal.

Decker popatrzył przed siebie w kierunku brązowowłosego mężczyzny na siedzeniu pasażera. Pontiac ruszył przez skrzyżowanie.

- Właśnie. Zmienić życie.

- I dlatego wybierasz się w tę podróż?

- Znowu zgadłeś.

- Dokąd dokładnie?

- Do Santa Fe, w Nowym Meksyku.

- Nigdy nie byłem. Jak tam jest?

- Nie jestem pewien, ale wygląda nieźle.

- Wygląda nieźle?

- Wczoraj wieczorem obejrzałem program telewizyjny o robotnikach odbudowujących tam dom z suszonej cegły.

Pontiac przejechał przez kolejne skrzyżowanie.

- I to sprawiło, że postanowiłeś tam pojechać? - wtrącił się Ben.

Decker odwrócił się w jego stronę.

- No.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu. Szczerze mówiąc, być może nawet tam zamieszkać.

- Tak po prostu. Wiesz, właśnie to zaniepokoiło naszego wspólnego znajomego, te gwałtowne zmiany. Jak myślisz, jaka będzie jego reakcja, gdy powiemy mu, że pod wpływem nagłego impulsu postanowiłeś się przeprowadzić do Santa Fe w Nowym Meksyku, i to tylko dlatego, że zobaczyłeś w telewizji remont jakiegoś starego domu?- Domu z suszonej cegły.

- No tak. Jak myślisz, czy w związku z tym uzna twoje inne pochopne decyzje za dojrzałe?

Decker zeszywniał.

- Mówiłem już, że moja decyzja dotycząca rezygnacji nie była pochopna. Zastanawiałem się nad tym od dłuższego czasu.

- Nigdy nikomu o tym nie wspomniałeś.

- Uważałem, że to wyłącznie moja sprawa.

- Twoja decyzja dotyczy wielu osób. Co się więc zmieniło? Co przepełniło czarę goryczy? Wydarzenia w Rzymie?

Decker nie odpowiedział.

Krople deszczu uderzyły o przednią szybę.

- Mówiłem, że będzie padać - odezwał się Ben.

Deszcz się wzmógł, głucho bębniąc o dach pontiaca. Przechodnie otworzyli parasole lub szybko pochowali się w bramach. Przyciemnione szyby czyniły ulice jeszcze mroczniejszymi.

- Opowiedz nam o Rzymie - rzekł Ben.

- Nie mam zamiaru z nikim o tym rozmawiać - odparł Decker, z trudem próbując uspokoić oddech. - Bo podejrzewam, że właśnie taki jest zasadniczy cel naszego spotkania. Możecie wrócić i zapewnić naszego wspólnego znajomego, że nie jestem na tyle rozżalony, aby z kimkolwiek się dzielić swoim rozgoryczeniem. Jestem po prostu cholernie zmęczony. Nie interesują mnie sensacje i skandale. Wprost przeciwnie, pragnę jedynie ciszy i spokoju.

- W Santa Fe, gdzie nigdy nie byłeś. Decker ponownie nie odpowiedział.

- Wiesz co - odezwał się Hal - kiedy wspomniałeś o Santa Fe, pierwszą rzeczą jaka przyszła mi do głowy, było to, że w tamtych okolicach jest mnóstwo ściśle tajnych obiektów: wojskowe laboratorium Sandia w Albuquerque, laboratorium nuklearne w Los Alamos. Zaraz potem pomyślałem o Edwardzie Lee Howardzie.

Decker poczuł ucisk w klatce piersiowej. Howard był agentem CIA, który sprzedał Sowietom ściśle tajne informacje dotyczące moskiewskiej misji agencji. Kiedy Howard nie przeszedł pomyślnie testu na wykrywaczu kłamstw, jego pracodawcy nabrali podejrzeń i go zwolnili. Podczas gdy jego sprawą zajmowało się FBI, Howard przeprowadził się do Nowego Meksyku, gdzie zgubił obserwujących go agentów, po czym uciekł do Związku Radzieckiego. Przed ucieczką mieszkał właśnie w Santa Fe.

- Sugerujecie jakiś związek? - Decker się wyprostował. - Sugerujecie, że mógłbym wystąpić przeciwko swojemu krajowi? - Teraz już nie starał się uspokoić oddechu. - Powiedzcie naszemu

znajomemu, aby ponownie zapoznał się z moją kartoteką i spróbował znaleźć cokolwiek, co może świadczyć o tym, że nagle zapomniałem, czym jest honor.

- Jak sam zauważyłeś, ludzie się zmieniają.

- A w dzisiejszych czasach większość osób wykonuje w ciągu życia co najmniej trzy zawody.

- Nie jestem pewien, że za tobą nadażam, Decker.

- Byłem w wojsku. Pracowałem dla rządu. Teraz czas na trzeci zawód.

- I co to będzie?

- Jeszcze nie wiem. Nie chciałbym kierować się nagłym impulsem. Dokąd mnie zabieracie?

Hal nie odpowiedział.

- Zadałem wam pytanie. Hal nadal milczał.

- Mam nadzieję, że nie do rządowego ośrodka resocjalizacyjnego w Wirginii - rzekł Decker.

- A kto mówi o Wirginii? - Wydawało się, że Hal podejmuje jakąś decyzję. - Zabieramy cię tam, gdzie chciałeś, na lotnisko La Guardia.

#### 4

Decker kupił bilet w jedną stronę. Podczas sześciogodzinnego lotu z przesiadką w Chicago miał mnóstwo czasu na rozmyślanie o tym, co robi. Jego zachowanie było na tyle dziwaczne, że dobrze rozumiał zaniepokojenie swoich byłych przełożonych. Do diabła, jego

samego niepokoiło własne zachowanie. Całe jego życie zawodowe opierało się na samokontroli, a teraz uległ nagłej zachciance.

Lotnisko w Santa Fe było zbyt małe dla dużych samolotów pasażerskich. Najbliższy duży port lotniczy znajdował się w Albuquerque. Kiedy MD-80 linii American Airlines zaczął podchodzić do lądowania, Deckera przeraził ponury, spalony słońcem żółty krajobraz - piasek i skały rozciągające się aż do jałowych gór. A niby czego oczekiwałem? Przecież Nowy Meksyk to pustynia.

Przynajmniej nie można było odmówić uroku czteropoziomowemu terminalowi w Albuquerque, o wnętrzu ozdobionym kolorowymi indiańskimi wzorami. Lotnisko było także niezwykle funkcjonalne. W ciągu zaledwie dziesięciu minut Decker dostał swój bagaż i znalazł się przy stanowisku Avis, gdzie postanowił wynająć dodge'a intrepida. Spodobała mu się nazwa samochodu.

- Jak najlepiej dostać się stąd do Santa Fe? - spytał młodą kobietę za biurkiem.

Była to Latynoska o pięknym uśmiechu podkreślającym wyraziste ciemne oczy.

- To zależy, czy woli pan skrót, czy trasę widokową.

- A czy warto nią pojechać?

- Zdecydowanie. Jeśli ma pan czas.

- Nie mam niczego poza czasem.

- W takim razie jest pan przygotowany na wakacje w Nowym Meksyku. Proszę kierować się tą mapą. Niech pan pojedzie kilka kilometrów na północ drogą międzystanową numer dwadzieścia pięć.

Potem niech pan skręci na wschód w czterdziestkę. Po mniej więcej trzydziestu kilometrach proszę skręcić na północ na Turkusowy Szlak.

- Flamastrem zaznaczyła trasę na mapie. - Lubi pan margaritę?

- Uwielbiam.

- Niech się pan zatrzyma w miasteczku Madrid. - Wyraźnie zaakcentowała pierwszą sylabę, jak gdyby chciała zaznaczyć różnicę w wymowie w porównaniu ze stolicą Hiszpanii. - Trzydzieści lat temu było to prawdziwe miasto duchów. Dziś to kolonia artystów. Znajdzie pan tam stary, rozsypujący się bar zwany Mineshaft Tavern, gdzie podobno przyrządza się najlepszą margaritę na świecie. - Rzeczywiście tak jest?

W odpowiedzi jedynie miło się uśmiechnęła i wręczyła mu kluczyki do samochodu.

Kiedy minął metalowe rzeźby dwóch wyścigowych koni stojące przed lotniskiem i ruszył nakreśloną trasą, zauważył, że budynki w Albuquerque niczym się nie różnią od architektury w innych częściach kraju. Od czasu do czasu dostrzegał otynkowane budowle o płaskich dachach, odrobinę przypominające domy z suszonej cegły, które widział w telewizji, jednak przeważnie mijał spiczaste dachy i domy z cegły lub drewna. Zmartwił się, że w programie przedstawiono przerysowaną wizję, a Santa Fe wygląda tak samo jak inne miasta.

Droga międzystanową numer czterdzieści poprowadziła go wzdłuż poszarpanego górskiego pasma. Potem skręcił na północ na Turkusowy Szlak i okolica zaczęła się zmieniać. Przeważały samotne chaty z bali oraz domy w kształcie litery A. Po pewnym czasie

wjechał w niezabudowany obszar, gdzie otoczyła go bujniejsza roślinność - jałowce i sosny, różne gatunki niskich kaktusów oraz krzewy przypominające bylicę, wyrastające w górę na prawie dwa metry. Wąska droga wiła się po drugiej stronie gór, które widział z Albuquerque. Cały czas się wznosiła i Decker przypomniał sobie, że stewardesa w samolocie wspomniała, iż co prawda Albuquerque, podobnie jak Denver, znajduje się około tysiąca sześciuset metrów nad poziomem morza, ale Santa Fe leży jeszcze wyżej, aż na dwóch tysiącach stu metrach, więc dostanie się do niego wymaga wspinaczki. Przez kilka pierwszych dni przyjezdni mogą czuć się ociężali i mieć kłopoty z oddychaniem. Stewardesa zażartowała również, że kiedyś pewien pasażer spytał, czy miasto znajduje się na wysokości dwóch kilometrów przez cały rok.

Decker nie zauważył u siebie żadnych skutków przebywania na tak dużej wysokości, co wcale go nie zaskoczyło. W końcu został przeszkolony do skoków ze spadochronem z wysokości sześciu tysięcy metrów. Jednak zauważył, że powietrze stało się niesamowicie czyste, niebo niebieskie, a słońce jasne i zrozumiał, czemu plakat na lotnisku nazywał Nowy Meksyk „krainą tańczącego słońca”. Dotarł na płaskowyż i ujrzał zapierający dech w piersiach widok. Po lewej stronie zobaczył pustynny krajobraz rozciągający się na północ i południe na przestrzeni setek kilometrów, z kolei na zachodzie piętrzyło się odległe pasmo górskie sprawiające wrażenie wyższego i szerszego niż góry w pobliżu Albuquerque. Na stopniowo pnącej się w górę drodze nie brakowało ostrych zakrętów, skąd nierzadko

rozciągały się jeszcze bardziej spektakularne widoki. Decker czuł się jak na szczycie świata.

Madrid, którego nazwę, jak pamiętał Decker, wymawiano z akcentem na pierwszej sylabie, okazał się wioską złożoną z chałup i drewnianych domów, w większości zamieszkaną przez ostatnich ocalałych przedstawicieli kontrkultury lat sześćdziesiątych. Ich siedziby rozciągały się wzdłuż wąskiej, porośniętej lasem kotliny, z prawej strony sięgającej zbocza pokrytego węglem, które stanowiło powód założenia miejscowości na przełomie wieków. Mineshaft Tavern, dwupoziomowa, dawno nieodnawiana drewniana rudera, była największym budynkiem w miasteczku, umiejscowionym po prawej stronie u podnóża zbocza opadającego łukiem ku miastu.

Decker zaparkował i zamknął dodge'a. Przyjrzał się przejeżdżającej grupie motocyklistów w skórzanych kurtkach. Zatrzymali się przy jednym z domów, odpięli złożone sztalugi i płótna z niedokończonymi jeszcze obrazami, po czym wnieśli je do środka. Z uśmiechem na ustach wspiał się po schodach prowadzących na zabudowaną werandę lokalu. Pod jego stopami rozlegało się głuche dudnienie, gdy otwierał skrzypiące drzwi z moskitierą prowadzące do miniaturowej knajpy stylizowanej na czasy Dzikiego Zachodu, wyposażonej nawet w scenę. Na ścianie za barem poprzypinano banknoty i monety z całego świata.

Ciemne wnętrze było częściowo wypełnione, rozlegał się gwar ożywionych rozmów. Siadając przy wolnym stoliku, Decker ogarnął wzrokiem kowbojskie kapelusze, tatuaże i naszyjniki z koralików. W

porównaniu z szybką obsługą na lotnisku w Albuquerque tutaj upłynęło sporo czasu, zanim ubrany w fartuch i trzymający tacę mężczyzna z kucykiem niespiesznie zbliżył się do Deckera. Nie bądź niecierpliwy, Steve, powiedział sobie. Potraktuj to miejsce jako rodzaj komory dekompresyjnej.

Dżinsy kelnera miały na kolanach wydarte dziury.

- Ktoś mi powiedział, że przyrządzacie najlepszą margarite na świecie - odezwał się Decker. - To nie może być prawda.

- Jest sposób, aby to sprawdzić.

- Poproszę jedną.

- Coś do jedzenia?

- A co polecacie?

- W południe *fajitas* z kurczaka. Ale bliżej wieczoru proponuję nachos.

- Dobrze.

Nachos zawierały ser monteray jack, zieloną salsę, fasolę *pinto*, sałatę, pomidory oraz paprykę *jalapeno*, po zjedzeniu której Deckerowi napłynęły do oczu łzy. Poczul się jak w niebie i uzmysłowił sobie, że gdyby pochłoniął podobną potrawę dwa dni wcześniej, to skazałby swój żołądek na męczarnie.

Margarita rzeczywiście smakowała najlepiej ze wszystkich, jakie miał okazję kosztować.

- W czym tkwi sekret? - spytał kelnera.

- Uncja i ćwiartka najlepszej tequili, wytwarzanej w stu procentach z agawy. Trzy czwarte uncji cointreau. Półtorej uncji świeżo wyciśniętego soku z cytryny. Kawałek świeżej limety.

Smak margarity wywołał u Deckera uśmiech radości. Sól z krawędzi szklanki przylepiła mu się do ust. Zlizał ją i zamówił kolejnego drinka. Kiedy go wypił, miał ochotę na jeszcze jedną porcję, ale nie wiedział, jak alkohol na niego podziała na tej wysokości. Nie chciał spowodować wypadku. Poza tym musiał znaleźć Santa Fe.

Dał kelnerowi dwudziestopięcioprocentowy napiwek, po czym wyszedł na zewnątrz, czując odprężenie, jakiego nie zaznał od lat. Zmrużył oczy, spoglądając na obniżające się słońce, zerknął na swój zegarek dla nurków - było prawie wpół do piątej - założył ciemne okulary i wszedł do samochodu. Powietrze wydawało się jeszcze bardziej przejrzyste, niebo bardziej błękitne, a słońce jaśniejsze. Opuszczając miasteczko, jadąc wąską i krętą drogą wzdłuż kolejnych jałowców, sosen i przypominających bylicę roślin, których nazwę zamierzał poznać, zauważył, że krajobraz zmienił kolor, a czerwień, pomarańcz i brąz dołączyły do wszechobecnej żółci. Rośliny stały się bardziej zielone. Dojechał do wysoko położonego punktu, z którego droga opadała łukiem w lewo, umożliwiając obejrzenie okolicy w promieniu kilku kilometrów. W oddali, na wznoszących się ponad nim wzgórzach, przycupnęły zabudowania przypominające maleńkie domki dla lalek. Za nimi w niebo strzelały porażająco piękne góry, które na mapie nosiły nazwę Sangre de Cristo, czyli Krew Chrystusa.

W świetle słońca budynki wyglądały niczym zbudowane ze złota, jakby zaczarowane. Przypomniawszy sobie, że tablice rejestracyjne w Nowym Meksyku ozdobione są napisem „Zaczarowana Kraina”. Otoczone zielenią sosen zabudowania wyglądały bardzo zachęcająco i Decker nie miał wątpliwości, że właśnie one stanowią cel jego podróży.

## 5

Po wjechaniu do miasta („SANTA FE. 62 424 MIESZKAŃCÓW”, jak głosiła tablica informacyjna), skierował się w stronę placu Historycznego. Zatłoczone uliczki przedmieścia stały się węższe, a ich układ przypominał labirynt, zupełnie jakby liczące czterysta lat miasto rozwijało się w sposób przypadkowy. Budynki z suszonej cegły były wszędzie, każdy z nich inny, jak gdyby je również wznoszono bez planu. Choć większość budynków była niska, Decker zauważył też kilka dwupiętrowych budowli o architekturze w stylu pueblo przypominających domy na urwiskach. Mieściły się w nich hotele. Nawet piętrowy parking został zaprojektowany w tym stylu. Decker zamknął samochód, po czym pomaszerował wzdłuż ulicy, nad którą wznosił się długi portal. Na jej końcu ujrzał katedrę przypominającą kościoły w Hiszpanii. Jednak zanim do niej dotarł, po lewej stronie jego oczom ukazał się prostokątny plac o przekątnej długości kilkudziesięciu metrów, ozdobiony trawnikiem, białymi metalowymi ławkami, wysokimi drzewami dającymi cień oraz stojącym na samym środku pomnikiem upamiętniającym wojnę domową. Decker zauważył jadalnię Plaza Café oraz restaurację

Ore House, z której balkonu zwieszały się pęki suszonych czerwonych papryczek. Przed długim, niskim i bardzo starym budynkiem z suszonej cegły, zwanym Pałacem Gubernatorskim, oparci o ścianę pod portalem siedzieli Indianie, a na rozłożonym przed nimi kocu leżała wystawiona na sprzedaż srebrna i turkusowa biżuteria.

Kiedy przysiadł na ławce na placu, odpężające działanie margarity zaczęło mijać. Nagle opanowało go złe przeczucie i zaczął się zastanawiać, jak duży popełnił błąd. Przez ostatnich dwadzieścia lat, najpierw w wojsku, a potem w wywiadzie, to inni organizowali mu życie. Teraz był zdany tylko na siebie.

Część jego umysłu stwierdziła: przecież chciałeś zacząć od nowa.

Ale co będę robił?

Na początek dobrze byłoby wynająć pokój. A co potem?

Spróbuj stworzyć się na nowo.

Irytowało go, że nie może pozbyć się zawodowych nawyków - idąc przez plac w stronę hotelu La Fonda, wciąż sprawdzał, czy nie jest obserwowany. Kilkudziesięcioletni hotelowy hol został udekorowany w stylu latynoskim i pomalowany na ciepłe, stonowane ciemne kolory, jednak instynkt nie dawał Deckerowi spokoju, skłaniając go do ignorowania otoczenia i skupiania się na ludziach. Po wynajęciu pokoju ponownie sprawdził, czy nikt go nie śledzi, po czym udał się na piętrowy parking.

To się musi skończyć, powiedział sobie. Już nie muszę żyć w ten sposób.

Mężczyzna z brodą koloru soli z pieprzem, ubrany w spodnie khaki oraz niebieski sweter wystarczająco luźny, aby pomieścić pistolet, wszedł za Deckerem na podjazd parkingu. Decker zatrzymał się przy samochodzie, wyjął kluczyki i przygotował się do użycia ich jako broni, po czym odetchnął, gdy mężczyzna wsiadł do rangę rovera i odjechał. To się musi skończyć, powtórzył.

Celowo nie oglądał się za siebie, kiedy jechał na hotelowy parking, a potem wchodził z walizką po schodach do swojego pokoju. Specjalnie zjadł kolację, siedząc plecami do wejścia do stołówki. Świadomie udał się na wieczorny spacer po przedmieściach, wybierając słabo oświetlone miejsca, zamiast ich unikać.

Kiedy szedł przez mały zadrzewiony park usytuowany obok głębokiego betonowego kanału, którym płynął strumyk, jakaś postać wyłoniła się z cienia.

- Oddawaj portfel. Decker osłupiał.

- Mam spluwę. Oddawaj, kurwa, portfel.

Decker przyjrzał się ledwie widocznemu w ciemności dzieciakowi. Potem nie wytrzymał i zaczął się śmiać.

- Co cię tak, kurwa, śmieszy?

- Chcesz mnie okraść? Chyba żartujesz. Po tym wszystkim, przez co przeszedłem, po tym, jak celowo pozwoliłem sobie na nieostrożność.

- Nie będzie ci, kurwa, do śmiechu, jak ci rozpieprzę łeb.

- Dobra, dobra, zasłużyłem sobie na to. - Decker wyjął portfel i sięgnął do środka. - Oto wszystkie pieniądze, jakie mam.

- Powiedziałem, że chcę twój portfel, a nie tylko forszę.

- Nie przeciągaj struny. Mogę odzłować pieniądze, ale potrzebuję prawa jazdy i karty kredytowej.

- Gównu mnie to obchodzi. Oddawaj.

Decker złamał mu obie ręce, zabrał pistolet i przerzucił chłopaka przez krawędź kanału. Usłyszał trzask pękających gałęzi, kiedy dzieciak wylądował w krzakach nad brzegiem strumienia. Wychylił się ponad betonową krawędzią i w ciemności usłyszał jęk.

- Za dużo przeklinasz.

Zapamiętał nazwy okolicznych ulic, znalazł aparat telefoniczny, wezwał karetkę, wrzucił pistolet do kanału i wrócił do hotelu. W barze zamówił koniak jako antidotum na adrenalinę. Jego uwagę zwróciła tabliczka na ścianie.

- To jakiś żart? - spytał barmana. - Prawo nie zezwala na wnoszenie tutaj broni palnej?

- Bar to jedyne miejsce w Nowym Meksyku, gdzie nie wolno mieć przy sobie broni - odpowiedział barman. - Na ulicy możesz ją nosić, byle pozostawała na widoku.

- A niech mnie.

- Oczywiście wielu ludzi nie przestrzega prawa. Zapewne ukrywają broń.

- Coś podobnego - odparł Decker.

- A każdy, kogo znam, trzyma spluwę w samochodzie. Decker popatrzył na niego równie osłupiały, jak podczas próby kradzieży w parku.

- Wygląda na to, że warto się zabezpieczyć.

## 6

- Pionier to chrześcijański sklep z bronią - rzekł sprzedawca.

Decker nie spodziewał się takiej deklaracji. Zdołał jedynie odpowiedzieć:

- Naprawdę?

- Wierzmy, że Jezus pragnie, abyśmy sami zadbali o swoje bezpieczeństwo.

- Myślę, że Jezus ma rację. - Rozejrzał się po półkach pełnych śrutówek i strzelb. Jego wzrok zatrzymał się na pistoletach pod zamkniętym szklanym kontuarem. W sklepie unosił się słodki zapach oliwy do smarowania broni. - Zastanawiałem się nad waltherem.380.

- Nie da rady. Wyprzedany.

- W takim razie może sigsauer 928?

- Doskonała broń - odparł sprzedawca. Miał na sobie adidas, dzinsy, roboczą koszulę w czerwonej kratę oraz półautomatycznego colta.45 przy pasku. Był krępy trzydziestokilkulatkiem ze śladami oparzeń słonecznych. - Kiedy amerykańska armia wybrała dziewięćmilimetrową berettę na swoją służbową broń krótką, grube ryby postanowiły, że agentom wywiadu przydałby się także mniejszy, łatwy do ukrycia pistolet.

- Naprawdę? - ponownie odezwał się Decker. Sprzedawca otworzył zamek szklanej gabloty, podniósł pokrywę i wyjął pistolet wielkości dłoni Deckera.

- Potrzebuje tej samej dziewięciomilimetrowej amunicji co beretta. Mieści trochę mniej pocisków, trzynaście w magazynku i jeden w komorze. Jest wyposażony w mechanizm podwójnego działania, więc nie trzeba odciągać kurka przed strzałem, wystarczy pociągnąć za spust. Ale jeśli kurek jest już odciągnięty, a postanowimy nie strzelać, możemy go bezpiecznie opuścić za pomocą tej dźwigni z boku. Świetnie wykonany. Pierwszorzędna broń.

Sprzedawca wyjął magazynek i odciągnął zamek, pokazując, że pistolet jest nienaładowany. Dopiero wtedy podał go Deckerowi, który włożył pusty magazynek z powrotem do kolby i udał, że celuje do plakatu Saddama Husseina.

- Zdecydowanie mnie pan przekonał - odezwał się w końcu.

- Cena katalogowa to dziewięćset pięćdziesiąt dolarów. Sprzedam go panu za osiemset.

Decker położył na ladzie swoją kartę kredytową.

- Bardzo mi przykro - rzekł sprzedawca - ale Wielki Brat patrzy, więc nie może pan dostać pistoletu, dopóki nie wypełni pan tego formularza, a policja pana nie sprawdzi, aby upewnić się, że nie jest pan terrorystą ani wrogiem publicznym numer jeden. Dodatkowa biurokracja, dzięki rządowi federalnemu. Będzie to kosztowało dziesięć dolarów.

Decker przyjrzał się formularzowi, w którym pytano go, czy nie jest nielegalnym imigrantem, narkomanem i/lub przestępcą. Czy osoba, która wymyśliła te pytania, rzeczywiście wierzyła, że ktokolwiek udzieli na nie twierdzącej odpowiedzi?

- Kiedy mogę odebrać pistolet?

- Zgodnie z prawem za pięć dni. Oto przedruk artykułu George'a Willa o prawie do noszenia broni.

Do artykułu przypięto cytaty z Pisma Świętego, co sprawiło, że Decker zrozumiał, jak bardzo inne jest Inne Miasto.

Po wyjściu ze sklepu rozkoszował się porannym słońcem, podziwiając pasmo górskie Sangre de Cristo, efektownie wznoszące się tuż za wschodnią granicą miasta. Wciąż nie mógł uwierzyć, że przybył do Santa Fe. W całym swoim życiu jeszcze nigdy nie zachował się tak spontanicznie.

Odjeżdżając, podsumował ten pracowity poranek i załatwione sprawy: założenie konta, przelanie pieniędzy z banku, z którego usług korzystał w Wirginii, skontaktowanie się z miejscową filią ulubionej firmy maklerskiej, telefon do właściciela mieszkania w Alexandrii i zgoda na zapłacenie kary za zerwanie umowy najmu w zamian za spakowanie i przesłanie skromnego dobytku Deckera. Liczne decyzje wyczerpały go i sprawiły, że bardziej realnie odczuł swoją obecność w Santa Fe. Im więcej spraw załatwiał, tym bardziej zbliżał się do pozostania tutaj na stałe. A czeka go jeszcze tyle decyzji. Musi oddać wynajęty samochód i kupić własne auto. Musi znaleźć miejsce, w którym mógłby zamieszkać. Musi znaleźć pracę.

W samochodowym radiu usłyszał reportaż o trendzie panującym wśród kierowników średniego szczebla w średnim wieku, aby porzucać stresującą pracę (zanim firmę dotknie redukcja etatów), przeprowadzać się do zachodnich górzystych stanów i tam zakładać

biznes, korzystając z inteligencji i odkrywając po jakimś czasie, jak ekscytująca i satysfakcjonująca może być praca na własny rachunek. Dziennikarz nazwał takich ludzi „samotnymi orłami”.

W tej chwili Decker rzeczywiście czuł się samotny. Teraz przede wszystkim powinienem znaleźć jakąś alternatywę dla pokoju hotelowego, pomyślał. Wynająć mieszkanie? A może kupić? Jak bardzo chcę się zaangażować? Jak znaleźć dobrą ofertę? Czy wystarczy poszukać w gazecie? Nie wiedział, co robić. Przed jednym z domów na zadrzewionej ulicy, którą jechał, zauważył szyld pośrednika handlu nieruchomościami. Nagle zrozumiał, że znalazł odpowiedź nie tylko na pytanie, gdzie zamieszka.- To niezwykle solidna budowla. Niech pan postuka w ścianę obok drzwi wejściowych.

Decker tak zrobił i poczuł, jakby uderzył dłonią w kamień. Przyjrzał się domowi z zewnątrz.

- Widzę trochę suchego murzu na kolumnach podpierających portal.

- Ma pan dobre oko.

- Podwórko jest zarośnięte. Mur trzeba otynkować od wewnątrz.

Ale te naprawy nie wystarczą aby wyraźnie zwiększyć wartość posiadłości. Na czym polega prawdziwy problem? Dom stoi na atrakcyjnej, niemal hektarowej działce, w dzielnicy muzealnej. Roztacza się z niej widok we wszystkich kierunkach. Nadzwyczaj ciekawa oferta. Więc dlaczego się nie sprzedał?

Edna się zawahała.

- Bo to nie jest jeden duży dom, tylko dwa małe połączone wspólną ścianą.

- Słucham?

- Aby dostać się z jednej części budynku do drugiej, trzeba wyjść na zewnątrz i skorzystać z innych drzwi.

- Kto do diabła chciałby się tak męczyć? Edna nie potrafiła odpowiedzieć.

- Obejrzyjmy resztę.

- Czyli pomimo takiego rozkładu nadal jest pan zainteresowany?

- Najpierw muszę coś sprawdzić. Proszę mi pokazać pralnię.

Zaskoczona Edna weszła z Deckerem do środka. Pralnia znajdowała się obok garażu. Właz w podłodze prowadził do korytarza pod domem. Kiedy Decker stamtąd wyszedł, z zadowoleniem otrzepał ubranie z kurzu.

- Instalacja elektryczna ma pewnie z dziesięć lat, miedziane rury są trochę nowsze, wszystko w dobrym stanie.

- Faktycznie ma pan dobre oko - rzekła Edna. - I wie pan, na co najpierw zwracać uwagę.

- Nie ma sensu przebudowywać domu, jeśli infrastruktura wymaga naprawy.

7

- Dzięki remontowi dom zyska na wartości. - Kobieta miała niespełna sześćdziesiąt lat, krótkie siwe włosy, wąską twarz pomarszczoną od słońca i była obwieszona turkusową biżuterią. Nazywała się Edna Freed i była właścicielką agencji, której szyl

zauważył Decker. - Jest wystawiony na sprzedaż od ponad roku. Nikt tu nie mieszka, a podatki, ubezpieczenie i koszty utrzymania są uciążliwe dla właścicieli, dlatego są skłonni zgodzić się na sumę niższą od ceny wywoławczej.

- A ile ona wynosi? - spytał Decker.
- Sześćset trzydzieści pięć tysięcy. Decker uniósł brwi.
- Nie żartowała pani mówiąc, że to drogi rynek.
- Az roku na rok staje się coraz droższy.

Edna wyjaśniła, że z Santa Fe dzieje się to samo, co dwadzieścia lat wcześniej z Aspen w stanie Kolorado. Bogaci turyści pojechali do Aspen, zakochali się w malowniczych górskich krajobrazach i postanowili kupić tam nieruchomości, windując ceny i pozbywając się miejscowych, którzy musieli przenieść się do tańszych mieszkań w innych miasteczkach. Santa Fe stawało się równie drogie, głównie za sprawą zamożnych przybyszów z Nowego Jorku, Teksasu i Kalifornii.

- Dom, który w zeszłym roku sprzedałam za trzysta tysięcy, dziewięć miesięcy później wrócił do obiegu i został sprzedany za trzysta sześćdziesiąt - powiedziała Edna. Miała na sobie kapelusz stetson oraz okulary przeciwsłoneczne z boczną ochroną. - jak na Santa Fe był to całkiem zwyczajny dom. Nawet nie z suszonej cegły. Właściciel tylko naprawił drewnianą konstrukcję budynku i położył nowy tynk.

- A ten dom jest z suszonej cegły?
- Oczywiście.

Edna poprowadziła Deckera żwirową uliczką od swojego bmw do wysokiej metalowej bramy osadzonej między równie wysokimi otynkowanymi ścianami. Bramę zdobiły indiańskie petroglify. Za nią znajdowały się podwórze i portal.- Przebudowywać? - Edna jeszcze bardziej się zdziwiła.

- Garaż znajduje się pomiędzy obydwojma przylegającymi domami. Można przerobić go na pokój, na jego tyłach poprowadzić korytarz, po czym zburzyć fragment wspólnej ściany, aby połączyć obie połówki.

- A niech mnie... - Edna zerknęła na garaż. - Nigdy na to nie wpadłam.

Decker bił się z myślami. Nie zamierzał kupować tak drogiego domu. Pomyślał o swoich trzystu tysiącach oszczędności, o przedpłacie i kredycie hipotecznym oraz o tym, czy chce wkładać wszystkie swoje dochody w dom. Jednocześnie zaintrygowały go możliwości inwestycyjne.

- Mogę zaoferować sześćset tysięcy.

- Mniej niż wynosi cena sprzedaży? Za tak wartościową nieruchomość?

- O ile pamiętam, stwierdziła pani, że jest uciążliwa dla właścicieli. A może moje pomysły nagle uczyniły tę ofertę ciekawszą?

- Owszem, dla odpowiedniego kupca. - Edna dobrze mu się przyjrzała. - Wydaje mi się, że negocjowanie cen domów to dla pana nie pierwszozna.

- Kiedyś pracowałem jako konsultant w agencji handlu nieruchomościami. - Dał jej jedną z wizytówek, jakie otrzymał od CIA. - Agencja Rawleya-Hackmana z siedzibą w Alexandrii w stanie Wirginia. Może to nie Sotheby's International, ale zajmują się wieloma wyjątkowymi nieruchomościami. Do moich zadań należało wyszukiwanie niepozornych, lecz potencjalnie wartościowych domów.

- Takich jak ten - odparła Edna. Decker wzruszył ramionami.

- Niestety, mogę zaoferować tylko sześćset tysięcy.

- Powiem o tym klientowi.

- Bardzo proszę, aby pani wyraźnie to zaznaczyła. Standardowa przedpłata to dwadzieścia procent, czyli sto dwadzieścia tysięcy. Przy aktualnej ośmioprocentowej stopie trzydziestoletni kredyt na pozostałą sumę wyniesie...

- Pójdę do samochodu po tabelę oprocentowania.

- Nie trzeba. Sam policzę. - Przez chwilę pisał w notatniku. - Około trzy tysiące pięćset miesięcznie. Trochę ponad czterdzieści dwa tysiące rocznie.

- Nigdy nie widziałam, aby ktoś tak sprawnie liczył. Ponownie wzruszył ramionami.

- Jeszcze jedno, nie będę mógł kupić domu, jeśli nie znajdę pracy.

- Na przykład w handlu nieruchomościami? - zaśmiała się Edna.

- To pan próbował tutaj sprzedać siebie.

- W pewnym sensie.

- Podoba mi się pana styl. - Uśmiechnęła się. - Jeśli potrafi pan przekonać mnie, to poradzi pan sobie z każdym. Ma pan tę pracę. Tylko jak pan zapłaci za przebudowę?

- To proste. Tania siła robocza.

- A niby gdzie ją pan znajdzie? Pokazał jej dłonie.

- Tutaj.

## 8

Biorąc udział w specjalnych operacjach wojskowych, a potem w akcjach wywiadu, Decker wielokrotnie doświadczył uczucia strachu - w obliczu misji, które rozwijały się niezgodnie z oczekiwaniami, lub nieprzewidzianych zagrożeń - jednak nic nie mogło się równać z przerażeniem, jakie odczuł, kiedy obudził się w środku nocy. Serce waliło mu jak młot. Koszulka i bokserki przykleiły mu się do zlanego potem ciała. Na chwilę stracił orientację przytłoczony ciemnością. Nie znajdował się w swoim pokoju w La Fondzie. Od razu przypomniał sobie, że przecież przeprowadził się do wynajętego mieszkania zarządzanego przez Ednę. Co prawda było ono mniejsze od lokum, które zostawił w Alexandrii, ale przynajmniej tańsze niż pokój w hotelu, a teraz musiał oszczędzać pieniądze.

Czuł suchość w ustach. Nie mógł znaleźć włącznika światła. Idąc po omacku do zlewu w malutkiej łazience, uderzył się biodrem o stół. Musiał wypić kilka szklanek wody, aby ugasić silne pragnienie. W ciemności znalazł drogę do okna i otworzył drewniane żaluzje. Zamiast majestatycznego widoku, ujrzał światło księżyca odbijające się od samochodów na parkingu.

Co ja zrobiłem, do cholery, spytał sam siebie, znów zaczynając się pocić. Nigdy w życiu nie miałem niczego wartościowego na własność, a teraz podpisałem papiery zobowiązujące mnie do kupna domu za sześćset tysięcy dolarów, z czego sto dwadzieścia tysięcy muszę zapłacić z góry, a resztę w rocznych ratach po czterdzieści dwa tysiące. Czyja oszalałem? Co sobie pomyślą w CIA, kiedy dowiedzą się, że inwestuję w drogie nieruchomości? Zaczną się zastanawiać, dlaczego mogę sobie na to pozwolić. Prawda jest taka, że nie mogę, ale oni o tym nie wiedzą.

Przypomniał sobie niedawny skandal dotyczący Aldricha Amesa, który za dwa i pół miliona dolarów przekazał Rosjanom tajne informacje dotyczące moskiewskiej siatki CIA. Skutki były tragiczne - zniweczone operacje, zabici agenci. Minęły całe lata, zanim amerykański kontrwywiad wpadł na trop podwójnego agenta i skupił uwagę na Amesie. Ku przerażeniu agencji kontrwywiad odkrył, że podczas rutynowych testów Ames dwukrotnie miał kłopoty z pomyślnym przejściem badania wykrywaczem kłamstw, jednak wyniki opisano jako niejednoznaczne i zinterpretowano na jego korzyść. Zespół ustalił również, że Ames zainwestował ogromne pieniądze w nieruchomości - kilka wakacyjnych rezydencji i rancho o powierzchni czterech tysięcy hektarów w Ameryce Południowej - a także zdeponował na różnych kontach kilkaset tysięcy dolarów. Skąd wziął tyle pieniędzy? Wkrótce potem Amesa i jego żonę aresztowano w związku z oskarżeniami o szpiegostwo. CIA, do tej pory dość

tolerancyjnie podchodząca do prywatnego życia agentów, wprowadziła nowe, bardziej rygorystyczne środki bezpieczeństwa.

A ja padnę ich ofiarą, pomyślał Decker. Już jestem obserwowany ze względu na atmosferę, w jakiej odszedłem. Dokumenty, które dziś podpisałem, wywołają alarm. Rano muszę od razu zadzwonić do Langleya i wyjaśnić, co robię.

To nie będzie takie łatwe, bo co ja tak właściwie robię? Wymacał za plecami fotel i osunął się na niego. Ciemność jeszcze bardziej go przytłoczyła. Przypomniawszy sobie, że podpisana umowa zawiera klauzulę pozwalającą na wycofanie się z kupna. Kiedy jutro dom będzie przechodził inspekcję, wykorzystam jakąś wadę techniczną którą wskaże fachowiec, jako pretekst do odstąpienia od umowy.

Właśnie. Byłem zbyt ambitny. Przede wszystkim ostrożność.

Powoli i bez ryzyka. Unikaj wszystkiego, co nietypowe. Pohamuj swoje zapędy. Przygotuj kilka planów awaryjnych. Żadnych spektakularnych zachowań. Nie mogę pozwolić, aby kierowały mną emocje.

Na miłość boską przecież właśnie tak żyłem przez ostatnich dziesięć lat. Oto charakterystyka mojego życia jako agenta wywiadu. Uderzył ręką w poręcz fotela. Potrafię sobie radzić ze strachem. Co mam do stracenia?

Szansę na życie.

Trzy tygodnie później stał się właścicielem domu.

Santa Fe to Julian's, El Nido, Zia Diner, Pasqual's, Tomasita's i wiele innych wspaniałych restauracji. To margarita, *nachos* oraz czerwony i zielony sos salsa. To spektakularne poranki, cudowne popołudnia i boskie wieczory. To wciąż zmieniająca się gra słonecznego światła i pustynnych kolorów. To góry ze wszystkich stron. To powietrze tak czyste, że widoczność sięga setek kilometrów. To krajobraz przypominający obrazy Georgii O'Keeffe. To główny plac. To galerie sztuki na Canyon Road. To hiszpański i indiański targ. To fiesta. To obserwowanie, jak osiki porastające narciarskie trasy zmieniają kolor na jesienną żółć. To śnieg upodabniający miasto do świątecznej pocztówki. To świece w papierowych osłonkach poutykane w piasku wzdłuż placu oświetlające go w wigilijny wieczór. To cudowne polne kwiaty wiosną. To więcej kolibrów niż Decker widział w całym swoim życiu. To delikatny deszcz padający w każde lipcowe popołudnie. To dotyk słońca na plecach, pot i zdrowy ból mięśni towarzyszący pracy nad przebudową domu.

To spokój.

## **Rozdział trzeci**

### **1**

- Steve, dziś pracujesz na miejscu, prawda? - spytała Edna, wchodząc do jego gabinetu.

Podniósł wzrok znad oferty kupna, którą przygotowywał dla jednego ze swoich klientów.

- Do południa.

Wszyscy pośrednicy w agencji zazwyczaj byli tak zajęci prezentowaniem nieruchomości, że rzadko pojawiali się w biurze, jednak Edna nalegała, aby zawsze był tam obecny ktoś, kto mógłby obsługiwać klientów z ulicy oraz odbierać telefony, więc każdy z pracowników raz na dwa tygodnie musiał spędzić pół dnia na miejscu.

- Ktoś jest w holu i szuka agenta - poinformowała go Edna. - Zajęłabym się tym, ale za kwadrans muszę jechać do Santa Fe Abstract w sprawie wyprzedaży.

- To żaden problem. Zaraz się tym zajmę.

Decker schował ofertę kupna do teczki, wstał i udał się w kierunku holu. Był lipiec, minęło trzynaście miesięcy od jego przybycia do Santa Fe i Decker już dawno pozbył się wszystkich obaw związanych z tym, czy jest zdolny utrzymać się w nowym miejscu. Choć każdego roku część agentów nieruchomości w Santa Fe wypadała z rynku, on poradził sobie bardzo dobrze. Techniki zdobywania informacji, które niegdyś wykorzystywał wobec agentów składających mu sprawozdania, teraz okazały się użyteczne podczas rozmów z klientami. Sprzedał już nieruchomości za sumę czterech milionów dolarów, co dało mu sześcioprocentową prowizję wysokości dwustu czterdziestu tysięcy. Oczywiście musiał połowę tej sumy oddać Ednie, która zapewniała firmie siedzibę oraz zajmowała się reklamą i wszystkimi uciążliwymi detalami związanymi z prowadzeniem biznesu, a przede wszystkim umożliwiała Deckerowi ukrycie się przed światem. Ale i tak sto dwadzieścia tysięcy dolarów było to więcej niż kiedykolwiek zarobił w ciągu jednego roku.

Skreślił za róg, podszedł do stanowiska obsługi i zauważył stojącą tam kobietę, która przeglądała kolorową broszurę z ofertami domów. Miała pochyloną głowę, więc Decker nie widział jej twarzy, ale kiedy się zbliżył, ujrzał burzę kasztanowych włosów, opaloną cerę i szczupłą figurę. Wzrostem przewyższała większość kobiet, gdyż mierzyła około stu siedemdziesięciu centymetrów, zachowując przy tym znakomite proporcje. Jej strój wyraźnie wskazywał na Wschodnie Wybrzeże: dobrze dopasowana ciemnogrnatowa marynarka Calvina Kleina, eleganckie buty Joan & David na niskim obcasie, perłowe kolczyki oraz pleciana czarna torba z włoskiej skóry.

- Czym mogę służyć? - spytał Decker. - Chciała pani porozmawiać z agentem?

Podniosła wzrok znad broszury.

- Tak.

Gdy się uśmiechnęła, poczuł, że coś w nim drgnęło. Nie miał czasu zastanowić się nad tym uczuciem, zdążył jedynie przyrównać je do nagłej zmiany rytmu bicia serca, gwałtownego przyspieszenia, jakie pojawia się w chwilach przerażenia. Jednak w tym przypadku zdecydowanie chodziło o przeciwieństwo strachu.

Kobieta miała trzydzieści kilka lat i była śliczna. Jej skóra lśniła zdrowiem. W błękitnoszarych oczach widać było błysk inteligencji i coś jeszcze, co trudno było zdefiniować, coś pociągająco zagadkowego. Symetryczna twarz w perfekcyjny sposób łączyła kształtną szczękę, wysokie kości policzkowe i czoło modelki. No i ten

promienny uśmiech. Chociaż płuca odmawiały mu posłuszeństwa, zdołał się przedstawić.

- Steve Decker. Jestem pośrednikiem w tej firmie. Ucisnęła mu dłoń.

- Beth Dwyer.

Jej palce były tak cudownie gładkie, że Decker nie miał ochoty puścić jej ręki.

- Mój gabinet jest zaraz za rogiem.

Gdy pokazywał jej drogę, miał szansę przyzwyczaić się do przyjemnego ucisku w klatce piersiowej. Z pewnością istnieją gorsze zawody niż mój, pomyślał.

Gabinety w agencji nieruchomości miały postać przestronnych boksów poddzielanych niespełna dwumetrowymi ściankami, które wyglądem przypominały ściany z suszonej cegły. Beth z zaciekawieniem popatrzyła na górne krawędzie ścianek, ozdobione błyszczącą czarną ceramiką i wzorzystymi koszami pochodzącymi z indiańskich puebli.

- Jak się nazywają te siedzenia przy oknach, które wyglądają jak gipsowe ławeczki? *Bancos*? - Miała głęboki i donośny głos.

- Właśnie tak, *bancos* - odpowiedział Decker. - Na ogół stosujemy hiszpańską terminologię architektoniczną. Czy czegoś się pani napije? Kawy? Wody mineralnej?

- Nie, dziękuję.

Beth z zainteresowaniem obejrzała indiański dywanik i inne południowo-zachodnie ozdoby. Szczególną uwagę zwróciła na grafiki

przedstawiające pejzaże Nowego Meksyku. Podeszła i przyjrzała się im z bliska.

- Piękne.

- Najbardziej lubię ten przedstawiający Rio Grande - odrzekł Decker. - Ale wszystkie te pejzaże są piękne.

- Podoba mi się ten sam co panu. - Za miłym tonem kryła się zastanawiająca nutka melancholii. - Nawet na wydruku wyraźnie widać delikatne pociągnięcia pędzla.

- A więc zna się pani na malarstwie?

- Przez większość życia starałam się nauczyć malować, ale nie jestem pewna, czy kiedykolwiek mi się to uda.

- Cóż, jeśli jest pani artystką, to Santa Fe jest wprost dla pani stworzone.

- Kiedy tylko tu przyjechałam, od razu zauważyłam, że jest tu niezwykle światło. - Skromnie pokręciła głową. - Ale nie uważam się za artystkę. Raczej za „pracującą malarkę”.

- Kiedy pani przyjechała?

- Wczoraj.

- Skoro chce pani kupić dom, to zakładam, że już kiedyś pani tutaj była.

- Nigdy.

Poczuł się jak trafiony gromem. Starał się nie okazywać tego po sobie, ale pamiętając własne doświadczenia dotyczące przyjazdu do Santa Fe, nieświadomie wyprostował się na krześle.

- I po jednym dniu okolica tak się pani spodobała, że jest pani zainteresowana kupnem nieruchomości?

- Bardziej niż zainteresowana. Głupie, prawda?

- Tak bym tego nie nazwał. - Na chwilę opuścił wzrok. - Znam kilka innych osób, które postanowiły tu zamieszkać pod wpływem impulsu. - Znów na nią spojrzał, po czym się uśmiechnął. - Santa Fe skłania ludzi do nietypowych decyzji.

- Dlatego pragnę tu zamieszkać.

- Może mi pani wierzyć, że doskonale to rozumiem. Jednak uczciwość zawodowa wymaga ode mnie, abym zalecił pani ostrożność. Proszę obejrzeć kilka nieruchomości, ale dać sobie czas do namysłu, zanim podpisze pani jakiegokolwiek dokumenty.

Beth zmrużyła oczy, wyraźnie zaintrygowana.

- Nie przypuszczałam, że pośrednik handlu nieruchomościami będzie mnie zniechęcał do kupna.

- Będę szczęśliwy, jeśli sprzedam pani dom, jednak skoro to pani pierwsza wizyta w tych stronach, lepiej będzie najpierw coś wynająć, aby upewnić się, że Santa Fe to naprawdę miejsce dla pani. Niektórzy ludzie przeprowadzają się tutaj z Los Angeles i nie mogą znieść powolnego tempa życia. I zaczynają marzyć o innym mieście, takim, które będzie pasować do ich temperamentu.

- Cóż, nie jestem z Los Angeles - odparła Beth. - A po tym, jak ostatnio wyglądało moje życie, „powolne tempo” brzmi bardzo zachęcająco.

Decker przeanalizował to, co Beth właśnie wyjawiała. Postanowił wstrzymać się z próbami zdobycia kolejnych informacji.

- Nieagresywny sprzedawca - powiedziała. - To mi się podoba.

- Uważam się raczej za doradcę. Zależy mi nie na sprzedaniu nieruchomości, ale na uszczęśliwieniu klienta. Chciałbym, aby za rok nie żałowała pani swojej decyzji, niezależnie od tego, czy postanowi pani kupić dom, czy też nie.

- W takim razie jestem w dobrych rękach. - Jej błękitno-szare oczy (Decker nigdy nie widział oczu w takim kolorze) pojaśniały. - Chciałbym zacząć szukać najszybciej, jak to możliwe.

- Mam umówione spotkania do czternastej. Czy to nie za późno?

- A więc nici z natychmiastowej satysfakcji? - Delikatnie się zaśmiała. Jej śmiech skojarzył się Deckerowi z dzwoneczkami wietrznymi, choć usłyszał w nim także zadumę. - A więc niech będzie czternasta.

- Na razie może mi pani podać zakres cenowy, jaki wchodzi w grę... Jak mam panią nazywać? Pani Dwyer? Beth? Czy może...? - Zerknął na jej lewą dłoń. Nie zauważył obrączki, ale to jeszcze nie przesądzało sprawy.

- Nie jestem mężatką. - Gdy skinął głową dodała: - Możemy przejść na ty.

Decker ponownie skinął głową.

- Dobrze, Beth. - Czuł ucisk w gardle.

- A mój zakres cenowy to od sześciuset do ośmiuset tysięcy. To zwróciło jego uwagę, gdyż nie spodziewał się tak wysokiej sumy.

Zazwyczaj potencjalni klienci, którzy szukali domu droższego niż pół miliona dolarów, zachowywali się, jakby wyrządzali agentowi olbrzymią przysługę. Jednak Beth była całkowicie naturalna i bezpretensjonalna.

- W takiej cenie mamy wiele pierwszorzędnych nieruchomości - odparł Decker. - Może do czternastej zapoznasz się z listą. Są na niej ceny i opisy. - Postanowił zdobyć więcej informacji. - Zapewne pragniesz to przedyskutować z osobą z którą przyjechałaś do miasta. Jeśli chcecie, przyjdźcie razem pooglądać domy.

- Nie, będziemy tylko my dwoje. Skinął głową.

- Jak wolisz. Zawahała się.

- Przyjechałam sama.

- Cóż, w Santa Fe można żyć samotnie i nie czuć się samotnym.

Wydawała się patrzeć na coś w oddali.

- Na to właśnie liczę.

## 2

Po odprowadzeniu jej do wyjścia, Decker przez chwilę stał w otwartych drzwiach i patrzył, jak Beth powoli oddala się chodnikiem wzdłuż portali. Poruszała się z elegancją, która kojarzyła mu się ze sportsmenkami unikającymi zbyt ciężkiego treningu. Zanim dotarła do rogu ulicy, cofnął się o krok, na wypadek gdyby zerknęła w jego stronę. Przecież nie chciał, aby zorientowała się, że ją obserwuje. Kiedy spytała, gdzie w okolicy można zjeść dobry lunch, polecił jej La Casa Sena, restaurację ze stołami ustawionymi w cieniu potężnych drzew, w ogródku piętrowej latynoskiej rezydencji pochodzącej z lat

sześciodziesiątych dziewiętnastego wieku. Powiedział, że z pewnością spodoba ją jej się ptaki, kwiaty i fontanna, a teraz żałował, że nie może tam pójść razem z nią, zamiast jechać do klienta z umową kupna, którą przygotowywał, kiedy Beth pojawiła się w biurze.

Zazwyczaj szansa sprzedania kolejnego domu całkowicie pochłaniała Deckera, wprowadzając go w stan euforii. Jednak dzisiaj interesy nie wydawały mu się tak ważne. Po przedstawieniu oferty kupna i usłyszeniu, zgodnie z oczekiwaniami, że klient potrzebuje więcej czasu na jej przemyślenie, Decker udał się na kolejne spotkanie, lunch z członkiem Rady Odnowy Historycznej Architektury Santa Fe. Prawie nie tknął *fajitas* z kurczaka i z trudem podtrzymywał rozmowę, cały czas myśląc o Beth Dwyer, ich spotkaniu o czternastej i o tym, jak wolno płynie czas.

Chyba za nią tęsknię, pomyślał zaskoczony.

W końcu zapłacił za lunch i wrócił do biura, lecz szybko stracił entuzjazm, kiedy odkrył, że Beth na niego nie czeka.

- Rano była u mnie kobieta - odezwał się do recepcjonistki. - Gęste kasztanowe włosy. Dość wysoka. Atrakcyjna. Czy pojawiła się ponownie?

- Przykro mi, ale nie.

Zawiedziony ruszył korytarzem. Może recepcjonistka jej nie zauważyła, pomyślał. Może czeka na mnie w gabinecie.

Ale nie czekała. Decker osunął się na krzesło i czując się jeszcze bardziej przybity, spytał sam siebie: Co się ze mną dzieje? Czemu pozwalam sobie na takie uczucia?

Jakiś ruch zwrócił jego uwagę. Beth stała w drzwiach jego gabinetu.

- Cześć. - Widząc jej uśmiech, odniósł wrażenie, że ona także za nim tęskniła.

Serce ścisnęło się mu w piersi. To zupełnie jak strach, pomyślał, a zarazem jego całkowite przeciwieństwo.

- Mam nadzieję, że się nie spóźniłam.

- Jesteś w samą porę. - Miał nadzieję, że zabrzmiało to naturalnie. - Lunch się udał?

- Było jeszcze lepiej, niż opowiadałeś. Poczułam się jak w innym kraju.

- To się zdarza w Santa Fe.

- Na północy Hiszpanii albo w jakimś luksusowym rejonie Meksyku - opowiadała Beth. - Ale było tam jeszcze inaczej.

Decker skinął głową.

- Kiedy po raz pierwszy tu przyjechałem, poznałem mężczyznę, który pracuje w dziale rezerwacji w jednym z hoteli. Powiedział mi, że często odbiera telefony od mieszkańców Wschodniego Wybrzeża, którzy pytają o ograniczenia celne obowiązujące w Santa Fe, o limit bezcłowych produktów, które mogą zabrać do domu. Podobno trudno ich przekonać, że jeśli są Amerykanami, to nie muszą się tym przejmować, i że Nowy Meksyk to część Stanów Zjednoczonych.

Tym razem śmiech Beth skojarzył mu się z szampanem.

- Mówisz poważnie? Naprawdę myślą że to inny kraj?

- Słowo daję. To dobry argument na to, by uczyć geografii w szkole średniej. Czy znalazłaś czas, aby przyjrzeć się liście, którą ci dałem?

- W przerwie między porcjami najlepszej enchilady, jaką kiedykolwiek jadłam. Sama nie wiem, który sos smakował mi bardziej, zielony czy czerwony. W końcu je połączyłam.

- Miejscowi nazywają taką mieszankę Bożym Narodzeniem. - Włożył marynarkę i podszedł do Beth. Zachwycił go subtelny zapach mydła z sandałowca. - Jedziemy? Zaparkowałem za budynkiem.

Jeździł jeepem cherokee. Napęd na cztery koła był mu niezbędny w zimie i podczas górskich wycieczek. Najbardziej lubił biały kolor, jednak kiedy rok temu kupował samochód, do głosu doszło doświadczenie agenta wywiadu, przypominając Deckerowi, że ciemne barwy mniej rzucają się w oczy, więc ostatecznie zdecydował się na leśną zieleń. Część jego natury chciała się sprzeciwić i wybrać białe auto, ale niełatwo było zmienić stare nawyki.

Kiedy jechali na północ wzdłuż Bishop's Lodge Road, Decker pokazał palcem w prawo, poza niskie żywopłoty i skąpane w słońcu domy z suszonej cegły, na wznoszące się pod niebo góry Sangre de Cristo.

- Pierwsze, co musisz sobie uświadomić, to fakt, że ceny nieruchomości w dużej mierze zależą od tego, jaki rozpościera się z nich widok. Najdroższe domy znajdują się w tej okolicy, na wschodzie, w pobliżu gór. Stąd dobrze widać także pasmo Jemez na zachodzie, a w nocy można dostrzec światła Los Alamos.

Beth popatrzyła w kierunku wzgórz.

- Założę się, że widoki stamtąd są cudowne.

- Być może wydam ci się miłośnikiem New Age, ale uważam, że domy tam nie pasują - powiedział Decker. - Zaburzają piękno gór. Ludzie, którzy tam mieszkają, cieszą się pięknymi widokami kosztem nas wszystkich.

Zaintrygowana Beth przeniosła wzrok na Deckera.

- Naprawdę zniechęcasz ludzi do kupowania domów na wzgórzach? - Gdy wzruszył ramionami, dodała: - Nawet jeśli kosztuje cię to utratę klientów? - A kiedy Decker ponownie wzruszył ramionami, wyznała: - Zaczynasz mi się coraz bardziej podobać.

Pokazał jej domy, które zaciękawiły ją podczas czytania listy: jeden koło Bishop's Lodge, dwa przy drodze prowadzącej do tras narciarskich, dwa przy Acequia Madre.

- Nazwa oznacza „Rów Matkę” - wyjaśnił. - Chodzi o ten strumień płynący wzdłuż drogi. Stanowi część systemu irygacyjnego stworzonego kilkaset lat temu.

- To dlatego drzewa są tutaj takie wysokie - zauważyła Beth z entuzjazmem. - Piękna okolica. Ale w czym tkwi haczyk? Nie ma rzeczy doskonałych. Jakie są wady tej okolicy?

- Nieduże działki i rygorystyczne przepisy dotyczące obiektów historycznych, a także duży ruch.

- Och. - Beth straciła entuzjazm. - W takim razie szukajmy dalej.

- Już prawie piąta. Na pewno nie jesteś zmęczona? Może skończymy na dzisiaj?

- Jeśli ty nie jesteś zmęczony, to i ja wytrzymam.

Do diabła, pomyślał Decker, jeżeli chcesz, będę cię woził choćby do północy.

Zabrał ją w inną okolicę.

- Mieszkam niedaleko stąd. W pobliżu wzgórz na wschodnim krańcu miasta. Najbliższe duże wzgórza noszą nazwy Słońce i Księżyc. W nocy mogłabyś usłyszeć, jak wyją na nich kojoty.

- Byłoby wspaniale.

- A oto moja ulica.

Beth wskazała tabliczkę na rogu.

- Camino Lindo. Jak to przetłumaczyć?

- Piękna Droga.

- Rzeczywiście taka jest. Domy wspaniale komponują się z krajobrazem. Duże działki.

- Zaraz będziemy przejeżdżać koło mojego domu, po prawej.

Pochyliła się do przodu i obracając głowę, dokładnie przyjrzała się mijanej rezydencji.

- Robi wrażenie.

- Dzięki.

- A ja robię się zazdrosna. Szkoda, że twój dom nie jest na sprzedaż.

- Włożyłem w niego dużo pracy. Ale mam dla ciebie dobrą wiadomość. Następny dom jest na sprzedaż.

Szli zwirowym podjazdem wzdłuż sięgających piersi roślin przypominających bylicę, które zaintrygowały Deckera zaraz po przyjeździe do Santa Fe, a które miejscowi określali nazwą *chamisa*. Atrakcyjna nieruchomość przypominała dom Deckera - była to rozległa, jednopoziomowa budowla z suszonej cegły otoczona murem.

- Ile kosztuje? - spytała Beth.

- W granicach twojego górnego limitu. Siedemset tysięcy. Nic nie odpowiedziała.

- Wprowadzono wiele poprawek. Podgrzewaną podłogę, okna gromadzące ciepło, zamontowane z tyłu domu.

Beth obojętnie skinęła głową, jak gdyby nie potrzebowała dodatkowego usprawiedliwienia dla takiej ceny.

- Jak duża jest działka?

- Taka sama jak u mnie. Niecały hektar. Spojrzała najpierw w jedną, a potem w drugą stronę.

- Nawet nie widać sąsiadów.

- Czyli w tym wypadku mnie. - Gdy popatrzyła na niego dziwnie, spytał: - Co się stało?

- Chyba chciałabym mieszkać obok ciebie. Decker poczuł, że się czerwieni.- Czy myślisz, że właściciel będzie miał coś przeciwko wizycie o tej porze?

- Z pewnością nie. Starszy pan, który tutaj mieszkał, miał atak serca. Wrócił do Bostonu, gdzie ma rodzinę. Zależy mu na szybkiej sprzedaży.

Pokazał jej podwórko porośnięte pustynnymi kwiatami i krzewami udreńczonymi lipcowym upałem. Otworzył rzeźbione drzwi wejściowe, wszedł do chłodnego przedsionka i wskazał przedpokój prowadzący ku dużym pokojom.

- Dom jest umeblowany. Podłogi wyłożone kafelkami. *Vigi* i *latille* na wszystkich sufitach.

- *Vigi* i ...?

- Grube belki krzyżujące się z cieńszymi. To najczęściej stosowana konstrukcja sufitu w Santa Fe. Mnóstwo *bancos* i kominków *kiva*. Kolorowe meksykańskie kafelki w trzech łazienkach. Przestronna kuchnia. Na środku blat ze zlewozmywakiem do przygotowywania posiłków. Kuchenka z termo-obiegiem. Świetliki i... - Przerwał, kiedy uzmysłowił sobie, że Beth go nie słucha. Wydawała się oczarowana widokiem gór z okien w salonie. - Daruję sobie tę listę. Sama spokojnie się rozejrzyj.

Powoli przespacerowała się po domu, rozglądając się wkoło, oceniając każde z pomieszczeń i kiwając głową. Idąc za nią Decker ponownie doświadczył dziwnego uczucia samoświadomości. Nie miało to nic wspólnego z zakłopotaniem ani ze skrepowaniem, lecz raczej z nagłą świadomością istnienia. Czuł dotyk spodni i kurtki, ruchy powietrza na rękach i policzkach. Zdawał sobie sprawę z tego, że zajmuje miejsce w przestrzeni, że Beth jest blisko niego, i że są sami.

Nagle uzmysłowił sobie, że Beth coś do niego mówi.

- Słucham? Przepraszam, ale nie dosłyszałem - odrzekł. -  
Zamyśliłem się.

- Czy meble są wliczone w cenę?

- Tak.

- Kupuję go.

**4**

Stuknęli się szklankami.

- To taki cudowny dom. Nie mogę uwierzyć, że właściciel tak szybko zaakceptował moją ofertę. - Beth uczciła swój sukces łykiem margarity. Odstawiła kulistą szklanę, a na górnej wardze pozostała jej odrobina pianki i soli. Zlizała je. - To wszystko jest jak sen.

Zajmowali stół przy oknie na piętrze latynoskiej restauracji Garduño's. Lokal udekorowano w stylu hiszpańskiej hacjendy. Zespół grający muzykę mariachi wędrował po sali, śpiewając serenady zachwyconym klientom. Beth sama nie wiedziała, na co ma patrzeć, na malowniczą ulicę za oknem, na zespół, na swojego drinka czy na Deckera. Pociągnęła kolejny łyk.

- Jak sen.

W głębi sali klienci bili brawo gitarzystom i trębaczom. Beth uśmiechnęła się i wyjrzała przez okno. Kiedy znów spojrzała na Deckera, uśmiech na jej twarzy zastąpiła powaga.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Ja tylko pokazałem ci okolicę i...

- Sprawiliś, że poczułam się komfortowo. Ułatwiłeś mi podjęcie decyzji. - Zaskoczyła go, sięgając ponad stołem i dotykając jego dłoni.  
- Nie masz pojęcia, jak wiele odwagi to wymagało.

Zachwyciła go gładkość jej dłoni.

- Odwagi?

- Pewnie się zastanawiałeś, skąd wzięłam siedemset tysięcy dolarów na kupno domu?

- To nie moja sprawa. Jeśli tylko mam pewność, że klienta na to stać... - Nie dokończył zdania.

- Powiedziałaś ci, że jestem artystką i z tego się utrzymuję. Ale... powiedziałaś ci także, że nie jestem mężatką.

Decker poczuł lekkie zdenerwowanie.

- Kiedyś byłam. Słuchał zaskoczony.

- Kupuję ten dom za...

Czyżby pieniądze z ugody rozwodowej, pomyślał.

-...pieniądze z polisy na życie - rzekła. - Mój mąż zmarł sześć i pół miesiąca temu.

Odstawił szklankę i uważnie przyjrzał się Beth. Fascynacja ustąpiła miejsca współczuciu.

- Przykro mi.

- To jedyne, co da się w takiej sytuacji powiedzieć.

- Co się stało?

- Nowotwór. - Z trudem wydobywała z siebie głos. Pociągnęła kolejny łyk i wbiła wzrok w szklankę. - Ray miał na karku znamię.

Decker milczał.

- Zeszłego lata zmieniło kształt i barwę, ale Ray nie chciał iść do lekarza. Potem znamię zaczęło krwawić. Okazało się, że to najgorszy rodzaj raka skóry, czerniak.

Decker nadal nic nie mówił. Głos Beth był pełen napięcia.

- Chociaż usunęli Rayowi znamię, było już za późno, aby powstrzymać przerzuty... Naświetlanie i chemioterapia nie pomogły... Zmarł w styczniu.

Zespół zbliżył się do ich stolika, grając tak głośno, że Decker ledwie słyszał Beth. Szybko odpędził muzyków gestem dłoni. Kiedy zobaczyli jego groźne spojrzenie, od razu się oddalili.

- Czułam się zagubiona - kontynuowała. - Nadal tak się czuję. Mieliśmy dom blisko Nowego Jorku, w hrabstwie Westchester. Nie mogłam tam dalej mieszkać. Wszystko przypominało mi Raya i to, co utraciłam. Ludzie, których uważałam za przyjaciół, bali się mojego smutku i trzymali się z dala. Czułam się niesamowicie samotna. - Opuściła wzrok na swoje dłonie. - Kilka dni temu w poczekalni przed gabinetem mojego psychiatry znalazłam magazyn podróżniczy. To chyba był „Conde Nast Traveler”. Dowiedziałam się, że Santa Fe jest jednym z najchętniej odwiedzanych miejsc na świecie. Spodobały mi się zdjęcia i opis miasta. Pod wpływem nagłego impulsu... - Urwała w pół zdania.

Kelnerka w kolorowym stroju zatrzymała się przy ich stoliku.

- Czy chcieliby państwo już coś zamówić?

- Nie - odpowiedziała Beth. - Straciłam apetyt.

- Potrzebujemy więcej czasu - dodał Decker. Począł, aż kelnerka znajdzie się poza zasięgiem głosu. - Też podjąłem kilka impulsywnych decyzji. Szczerze mówiąc, przybycie do Santa Fe było jedną z nich.

- I opłaciło się?

- Bardziej niż przypuszczałem.

- Mój Boże, mam nadzieję, że będę mogła powiedzieć to samo. - Przeciągnęła palcem wzdłuż dna szklanki.

- Co powiedział twój psychiatra o tej nagłej decyzji?

- O niczym się nie dowiedział. Nie weszłam do gabinetu. Odłożyłam magazyn i wróciłam do domu, aby się spakować. Kupiłam bilet w jedną stronę do Santa Fe.

Decker próbował nie dać po sobie poznać, jak bardzo poruszyło go podobieństwo ich losów.

- Niczego nie żałuję - powiedziała Beth stanowczo. - Przyszłość nie może być gorsza od ostatniego roku.

## 5

Decker zaparkował swojego jeepa cherokee pod wiatą dla samochodów na tyłach domu. Wsiadł i już chciał zapalić światło, aby nie otwierać tylnych drzwi po omacku, ale zamiast tego oparł się o metalową barierkę i spojrzał na gwiazdy. W tej części miasta ulice nie były oświetlone. Większość sąsiadów wcześniej kładła się spać. Ponieważ niebo nie przesłaniała miejska poświata, między koronami sosn Decker mógł obserwować niezwykle jasne gwiazdozbiory. Na

niebie lśnił księżyc w ostatniej kwadrze. Powietrze było słodkie i chłodne. Co za piękna noc.

Na wzgórzach zawyły kojoty, przypominając Deckerowi, że wcześniej wspomniał o nich Beth, co z kolei wzbudzało w nim pragnienie, aby była tu z nim i słuchała ich wycia. Wciąż czuł dotyk jej dłoni. Podczas kolacji udało im się uniknąć kolejnych przygnębiających tematów. Beth za wszelką cenę starała się zachować świąteczny nastrój, gdy odprowadzał ją do pobliskiego zajazdu Anasazi. Przy wejściu podali sobie dłonie.

Teraz, patrząc w gwiazdy, wyobrażał sobie, jak by to było odwieźć ją z restauracji wzdłuż zaciemnionych galerii na Canyon Road, wzdłuż murów otaczających ogrody przy Camino del Monte Sol, docierając do Camino Lindo i sąsiedniego domu.

Poczuł ciężar w klatce piersiowej. Rzeczywiście, nieźle cię wzięło, powiedział sobie.

Cóż, od bardzo dawna nie był zakochany. Sięgnął pamięcią do ostatniego takiego przypadku i z zaskoczeniem odkrył, że zdarzyło się to, gdy był nastolatkiem, nim jeszcze wstąpił do wojska. Jak często sobie powtarzał, specjalne operacje wojskowe i późniejsza kariera w wywiadzie nie sprzyjały miłości. Po przybyciu do Santa Fe spotykał się z kilkoma kobietami - nic poważnego, okazjonalne mile spędzane wieczory. Z jedną z tych kobiet zaczął sypiać, jednak nie przerodziło się to w nic trwałego. Chociaż ją polubił, zrozumiał, że nie chce spędzić z nią reszty życia. Ona czuła podobnie. Teraz ta kobieta,

pośredniczka w konkurencyjnej agencji handlu nieruchomościami, spotykała się już z kimś innym.

Jednak aktualny stan ducha Deckera tak bardzo odbiegał od tego, co czuł wobec tamtej kobiety, że aż go to zaniepokoiło. Przypomniał sobie przeczytane gdzieś słowa starożytnych filozofów, którzy uważali miłość za chorobę, zaburzenie równowagi myśli i emocji. To z pewnością prawda, stwierdził. Jednak w jaki sposób może się to wydarzyć tak szybko? Zawsze sądził, że miłość od pierwszego wejrzenia to mit. Przypomniał sobie przeczytany niegdyś artykuł o delikatnych chemicznych seksualnych sygnałach wysyłanych przez zwierzęta i ludzi, zwanych feromonami. Nie da się ich wyczuć. Dadzą się wykryć na poziomie biologii, a nie świadomości. Właściwa osoba może wydzielać feromony, które doprowadzają nas do szaleństwa. W tym przypadku, pomyślał Decker, właściwa osoba jest przepiękna i zdecydowanie wydziela właściwe feromony.

Co więc mam robić? Oczywiście istnieją pewne komplikacje. Ona niedawno owdowiała. Jeśli zaczniesz ją adorować, to uzna cię za zagrożenie. Znienawidzi cię za próbę skłonienia do zdrady pamięci zmarłego męża. Wtedy przestanie mieć znaczenie, że mieszkasz tuż obok - zacznie cię traktować, jakbyś mieszkał w innym stanie. Lepiej zastosuj metodę małych kroków. Na pewno nic nie popsujesz, jeśli zaoferujesz jej szczerą przyjaźń.

- Steve, ktoś do ciebie przyszedł - powiedziała recepcjonistka przez interkom.

- Zaraz będę.

- Nie ma takiej potrzeby. - Z głośnika rozległ się inny głos, zupełnie go zaskakując. Decker od razu rozpoznał głęboką i zmysłową barwę. - Znam drogę.

Wstał, czując, że serce coraz szybciej bije mu w piersi. Kilka sekund później Beth weszła do jego gabinetu. Tego dnia zrezygnowała z ciemnej marynarki i włożyła lniane spodnie oraz dopasowany jasnobrązowy żakiet podkreślający kolor kasztanowych włosów. Wyglądała jeszcze piękniej.

- Jak się masz? - spytał Decker.

- Jestem podekscytowana. Dziś się przeprowadzam. - Gdy Decker zdumiał się, dodała: - Wczoraj wieczorem uznałam, że nie mogę dłużej czekać. Dom jest umeblowany, więc szkoda, aby stał pusty. Zadzwoiłam do właściciela i spytałam, czy mogę wynająć dom do czasu załatwienia wszystkich formalności.

- Zgodził się?

- Był bardzo miły. Powiedział, że od ciebie mogę dostać klucze.

- Oczywiście. Zaraz zawiozę cię na miejsce.

Wyszli z biura na zatłoczoną ulicę, gdzie Decker otworzył przed Beth drzwi swojego jeepa.

- Całą noc przewracałam się z boku na bok, rozmyślając, czy dobrze postępuję - zwierzyła się.

- To tak jak ja po przybyciu do Santa Fe.

- Jak sobie z tym poradziłeś?

- Spytałem sam siebie, czy mam inne wyjście.

- I co?- Nie miałem żadnego - stwierdził Decker. - A przynajmniej takiego, które by nie oznaczało poddania się temu, co mnie niszczyło.

- Dobrze cię rozumiem - odrzekła Beth, patrząc mu w oczy.

Wsiadając do samochodu, zerknął na drugą stronę ulicy i poczuł nagłe napięcie. Kiedy zobaczył nieruchomego mężczyznę w tłumie spacerujących turystów, od razu obudził się w nim instynkt samozachowawczy. Podejrzenia Deckera wzbudził fakt, że mężczyzna, który mu się przyglądał, błyskawicznie się odwrócił, gdy tylko został zauważony. Teraz stał tyłem do ulicy, udając zainteresowanie biżuterią na sklepowej wystawie, jednak spoglądał nie w dół, tylko przed siebie, obserwując odbicie w witrynie. Odjeżdżając, Decker zerknął w lusterko i zobaczył, że mężczyzna odwrócił się i powiódł wzrokiem za samochodem. Włosy średniej długości, średni wzrost i waga, trzydzieści kilka lat, przeciętne rysy twarzy, typowe ubranie w stonowanych kolorach. Decker z doświadczenia wiedział, że tak daleko posunięta anonimowość nie zdarza się przypadkowo. Jediną charakterystyczną cechą mężczyzny stanowiły bardzo szerokie ramiona, których nie była w stanie zamaskować luźna koszula. To nie był turysta.

Decker zmarszczył brwi. Czyżby kontrola? Czy postanowili mnie obserwować, aby sprawdzić, jak się zachowuję, czy jestem grzeczny i nie stanowią zagrożenia?

Dotarło do niego, że Beth mówi coś o operze.

Spróbował złapać wątek.

- Tak?

- Bardzo mi się podoba.

- Ja uwielbiam jazz.

- Czyli nie masz ochoty? Słyszałam, że opera w Santa Fe jest jedną z najlepszych.

W końcu zrozumiał, o czym mówiła.

- Zapraszasz mnie do opery?

- Wczoraj nie byłeś tak mało pojętny. - Zachichotała.

- Na jakie przedstawienie?

- Na *Tosca*.

- No cóż, skoro to Puccini... Gdyby chodziło o Wagnera, tobym odmówił.

- Spryciarz.

Udał rozbawienie, ale skrucając, zerknął w lustro. Nie zauważył niczego niezwykłego. Może tamten mężczyzna wcale go nie obserwował.

Jasne.

7

Budynek opery znajdował się pięć minut jazdy na północ od miasta, po lewej stronie autostrady prowadzącej do Taos. Decker podążał za sznurem samochodów wspinających się krętą szosą. W zapadających ciemnościach kierowcy zaczęli włączać światła.

- Jaka piękna okolica - odezwała się Beth, zerkając na niskie, ciemne, porośnięte sosnami wzgórza po obu stronach auta. Jeszcze bardziej się zachwyciła, kiedy dotarli na szczyt urwiska, zaparkowali samochód w półmroku i udali się piechotą do amfiteatru zbudowanego na zboczu. Beth zaciekał wygląd otaczających ją ludzi.

- Sama nie wiem, czy jestem ubrana zbyt zwyczajnie, czy może zbyt elegancko. - Miała na sobie koronkową chustę zarzuconą na czarną sukienkę z wąskimi ramiączkami oraz podkreślający kreację naszyjnik z pereł. - Niektórzy włożyli smokingi i wieczorowe suknie, jednak inni wyglądają jakby wybierali się na piknik. Mają na sobie turystyczne buty, dżinsy i wełniane koszule. Tamta kobieta niesie plecak i parkę. Coś mi się tu nie zgadza. Czy na pewno wszyscy idziemy w to samo miejsce?

Decker, ubrany w sportową marynarkę i spodnie, zachichotał.

- Amfiteatr ma otwarte ściany i dach. Po zmroku na pustyni robi się chłodno, czasem temperatura spada poniżej dziesięciu stopni. Jeśli zerwie się wiatr, tamta kobieta w wieczorowej sukni będzie marzyć o parce. Podczas antraktu mnóstwo osób kupuje koce. Dlatego niosę pod pachą pled. Możemy go potrzebować.

Pokazali bilety przy wejściu, przeszli przez przyjemny odkryty dziedziniec i idąc zgodnie ze wskazaniem biletera, wmieszali się w tłum wspinający się po schodach ku rzędowi szerokich drewnianych drzwi, które prowadziły do różnych sektorów górnego poziomu widowni.

- To nasze drzwi - powiedział Decker.

Przepuścił Beth, a kiedy go minęła, wykorzystał nadarzącą się okazję, aby obejrzeć się przez ramię na znajdujący się poniżej dziedziniec, sprawdzając, czy wciąż jest śledzony. Z goryczą zauważył, że wrócił do dawnych nawyków. Czemu właściwie go to obchodzi? Przecież ta kontrola nie ma sensu. Jakim podejrzanym czynnościom można się oddawać w operze? Zastosowane środki ostrożności niczego nie wyjaśniły. Nic nie wskazywało na to, aby ktokolwiek szczególnie się nim interesował.

Skrętnie ukrywając swoje myśli, usiadł obok Beth w górnym rzędzie po prawej stronie. Nie mieli najlepszych miejsc, ale z pewnością nie mogli narzekać. Przede wszystkim nie siedzieli pod gołym niebem i choć widzieli gwiazdy przez otwarty dach nad środkowymi siedzeniami, to nie byli wystawieni na działanie zimnego wieczornego powietrza.

- Ciekawi mnie ten otwarty dach - odezwała się Beth. - Co się dzieje, kiedy pada deszcz? Przerywa się przedstawienie?

- Nie. Śpiewacy są osłonięci.

- A widzowie na środkowych miejscach?

- Mokną.

- Robi się coraz dziwniej.

- To jeszcze nie wszystko. Na początku lipca koniecznie musisz się wybrać na otwarcie sezonu operowego. Widzowie urządzą wtedy piknik na parkingu.

- Piknik? Jak na meczu?

- Tylko że tutaj piją szampana i mają na sobie smokingi. Głośno się roześmiała. Jej rozbawienie okazało się zaraźliwe.

Decker z przyjemnością zapomniał o śledzących go ludziach, śmiejąc się razem z nią.

Światła przygasły. Rozpoczęła się *Tosca*. Przedstawienie było udane. Pierwszy akt, opowiadający o więźniu politycznym ukrywającym się w kościele, był odpowiednio niepokojący i nastrojowy, a nawet jeśli nikt nie mógł dorównać legendarnym występom Marii Callas śpiewającej tytułową partię, to sopranistka bardzo się starała. Kiedy pierwszy akt dobiegł końca, Decker zaczął z entuzjazmem bić brawo.

Jednak nagle zamarł, zerknąwszy na niższy poziom, w stronę bufetu usytuowanego po lewej stronie.

- Co się stało? - spytała Beth. Decker nie odpowiedział, tylko wciąż wpatrywał się w ten sam punkt. - Steve?

Czując ucisk za uszami, w końcu się odezwał:

- Dlaczego uważasz, że coś się stało?

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

- Nie ducha, lecz współnika, który zerwał umowę. Koło bufetu zobaczył człowieka, który obserwował go przed biurem. Teraz miał na sobie mało charakterystyczną sportową bluzę. Ignorował wszystko, co działo się wokół niego, patrząc w stronę Deckera. Chce sprawdzić, czy zostanie tutaj, czy wyjdę na zewnątrz, pomyślał. Jeżeli wyjdę, zapewne poinformuje swojego partnera, że idę w jego kierunku.

- Nieważne. Nie pozwolę, aby to popsulo nam wieczór - odezwał się do Beth. - Masz ochotę na gorącą czekoladę?

Cofnęli się do drzwi, którymi weszli na widownię, udali się wzdłuż balkonu i zeszli po schodach na zatłoczony dziedziniec. W tłumie Decker nie był w stanie stwierdzić, kto jeszcze go obserwuje. Poprowadził Beth lewą stroną budynku w stronę bufetu, gdzie widział mężczyznę.

Jednak już go tam nie było.

## 8

Podczas antraktu Decker starał się beztrosko rozmawiać z Beth, a następnie odprowadził ją na miejsce. Wyglądało na to, że nie wyczuła jego zdenerwowania. Kiedy rozpoczął się drugi akt *Toski*, Decker chwilowo uwolnił się od obowiązku dbania o dobre samopoczucie Beth i mógł w pełni skupić się na zaistniałej sytuacji.

Doszedł do wniosku, że - z pewnego punktu widzenia - to wszystko ma sens. Agencja wciąż niepokoiła się jego ostrą reakcją na katastrofalną operację w Rzymie i chciała się upewnić, że nie zamierza dać upustu emocjom, zdradzając i sprzedając tajne informacje. O tym, czy otrzymuje od kogoś pieniądze, mogło świadczyć między innymi to, jak przykłada się do pracy w agencji handlu nieruchomościami, a także czy nie wydaje więcej, niż zarabia.

Owszem, oczekiwałem kontroli, pomyślał Decker. Jednak z pewnością powinni to zrobić wcześniej i na odległość, monitorując moje transakcje w handlu nieruchomościami, operacje giełdowe oraz

konto bankowe. Dlaczego po upływie ponad roku tak intensywnie mnie obserwują? I to w operze?

W ciemnościach spod przymrużonych powiek obserwował misternie zdobione sceniczne dekoracje przedstawiające dziewiętnastowieczne Włochy. Był tak głęboko pogrążony w swoich myślach, że ledwie słyszał melancholijną muzykę Pucciniego. Nie mogąc się powstrzymać, odwrócił głowę i skupił wzrok na schowanym w cieniu bufecie, gdzie ostatnio widział obserwującego go mężczyznę.

Mięśnie jego pleców zeszywniały. Mężczyzna znów tam stał i nie było najmniejszych wątpliwości co do jego intencji, gdyż ignorował przedstawienie i patrzył tylko w stronę Deckera. Najwyraźniej uważał, że nie został zauważony, a otaczające go cienie stanowią dostateczną ochronę. Mężczyzna nie zdawał sobie sprawy, że z mroku wyłuskiwały go światła sceny.

Kolejne odkrycie wstrząsnęło Deckerem. Nie zobaczył ducha, lecz kogoś równie niespodziewanego. Z ciemności wyłonił się drugi mężczyzna i stanął obok pierwszego, coś z nim omawiając. Decker uznał, że z pewnością się myli i ulega złudzeniu wywołanemu odległością. To, że mężczyzna miał trzydzieści kilka lat, krótkie blond włosy, lekką nadwagę, potężne barki i surową, kanciastą twarz, nie musiało o niczym świadczyć. Wielu ludzi tak wygląda. Decker spotkał niejednego byłego uczelnianego fufbolistę, który...

Blondyn zaczął gwałtownie gestykulować prawą ręką podkreślając w ten sposób to, co mówił do pierwszego mężczyzny, a

Decker poczuł nagły ucisk w żołądku, stwierdzając ponad wszelką wątpliwość, że jego podejrzenia były słuszne. Jasnowłosa mężczyzna stojący na dole to człowiek odpowiedzialny za śmierć dwudziestu trzech Amerykanów w Rzymie i za odejście Deckera z CIA. Śledził go Brian McKittrick.

- Przepraszam - zwrócił się do Beth. - Muszę iść do toalety.

Przecisnął się obok mężczyzny i kobiety siedzących obok. Opuścił rząd, wspiął się po schodach i wyszedł przez tylne drzwi.

Kiedy znalazł się na pustym balkonie, od razu zaczął biec. Jednocześnie spoglądał w dół na zalany światłem księżycą dziedziniec, jednak nawet jeśli ukrywał się tam któryś z agentów, to Decker go nie dostrzegł. Nie miał czasu na dokładne sprawdzenie okolicy. Był zbyt zajęty gnaniem w dół schodów, a następnie w stronę słabo oświetlonej lewej strony budynku, gdzie zniknął McKittrick.

Ponownie opanował go gniew, jaki czuł w Rzymie. Chciał dopaść McKittricka, przygwoździć go do muru i zażądać wyjaśnień. Pędząc wzdłuż ściany budynku, słyszał niespokojną muzykę wypełniającą dudnieniem pustynny wieczór. Miał nadzieję, że zagłusza szuranie jego stóp po betonowych stopniach. Instykt błyskawicznie zmusił go do ostrożności. Zwolnił, trzymając się blisko ściany, przemykając obok toalet i przyglądając się cieniom w pobliżu bufetu, gdzie po raz ostatni widział McKittricka.

Nikogo tam nie było. Jak mogłem ich zgubić? Gdyby odeszli wzdłuż ściany budynku, to byśmy na siebie wpadli, myślał gorączkowo. Chyba że mieli zarezerwowane miejsca w amfiteatrze.

Albo mnie usłyszeli i się ukryli. Tylko gdzie? W toalecie? Za bufetem? Za murem oddzielającym to miejsce od pustyni?

Pomimo muzyki płynącej z amfiteatru, usłyszał jakiś ruch za skrytymi w ciemności sosnami, które rosły po drugiej stronie muru. Czy McKittrick i ten drugi mężczyzna stamtąd go obserwowali? Po raz pierwszy poczuł się zagrożony. Kucnął, chowając się za murem.

Rozważał przeskoczenie muru i poszukanie źródła odgłosów, jednak od razu uznał, że w jeszcze gęstszej ciemności, która panowała po drugiej stronie, znajdzie się w bardzo niekorzystnym położeniu, własnymi krokami ostrzegając McKittricka. Jedyne, co mógł zrobić, to pobiec z powrotem chodnikiem przy ścianie amfiteatru i poczekać przed budynkiem, aż McKittrick i jego partner wrócą z pustyni. A może zamiast tego udadzą się na parking i pojedą do miasta? A może odgłosy, które usłyszał, to sprawka dzikich psów? A może, do cholery, powinien przestać wciąż zadawać pytania i zacząć wreszcie domagać się odpowiedzi.

## 9

- Decker, czy zdajesz sobie sprawę, która jest godzina? - rzekł jego były przełożony z wyrzutem. Na skutek nagłego wyrwania ze snu, miał wyraźną chrypkę. - Czy to nie mogło poczekać do rana, tylko...

- Żądam wyjaśnień - przerwał mu Decker. Dzwonił z automatu stojącego w ciemnym zakątku pustego dziedzińca przed gmachem opery. - Czemu jestem obserwowany?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Dlaczego twoi ludzie mnie śledzą? - Ścisnął słuchawkę, aż zaboląły go palce. Docierało do niego echo głośnej muzyki rozbrzmiewającej w amfiteatrze.

- Cokolwiek się dzieje, nie mam z tym nic wspólnego. - Były przełożony miał na imię Edward. Decker przypomniał sobie obwisłe policzki sześćdziesięcioletniego mężczyzny, które zawsze czerwieniały pod wpływem napięcia. - Gdzie jesteś?

- Dobrze wiesz, gdzie jestem.

- Wciąż w Santa Fe? Cóż, jeśli rzeczywiście jesteś obserwowany...

- Myślisz, że mógłbym się w tej kwestii mylić? - Pomimo odczuwanych emocji, Decker starał się panować nad głosem, nie chcąc, aby usłyszano go po drugiej stronie dziedzińca. Miał nadzieję, że przybierający na sile agresywny śpiew maskuje jego złość.

- Przesadzasz - rzekł Edward znużonym głosem. - To pewnie rutynowa kontrola.

- Rutynowa? - Uważnie rozejrzał się po dziedzińcu, aby upewnić się, że nikt nie nadchodzi. - Według ciebie to normalne, że ten palant, z którym pracowałem trzynaście miesięcy temu, stoi na czele śledzącego mnie zespołu?

- Trzynaście miesięcy temu? Masz na myśli...?

- Chcesz, żebym opowiadał o szczegółach przez telefon? - spytał Decker. - Powiedziałem ci to wtedy i powtarzam jeszcze raz: nie zamierzam ujawniać tajnych informacji.

- Obserwuje cię człowiek, z którym współpracowałeś przed złożeniem rezygnacji?

- Sprawiasz wrażenie zaskoczonego.

- Posłuchaj mnie uważnie. - Zachrypnięty, naznaczony wiekiem głos przybrał na sile, jak gdyby Edward zbliżył usta do słuchawki. - Musisz wiedzieć, że ja już tam nie pracuję.

- Słucham? - Teraz to Decker nie zdołał ukryć zaskoczenia.

- Przeszedłem na wcześniejszą emeryturę pół roku temu. Decker poczuł pulsowanie w skroniach.

- Odezwała się moja choroba serca. Wypadłem z gry. Decker nagle się wyprostował, widząc ruch na balkonie.

Ze ściśniętą klatką piersiową patrzył, jak ktoś idzie wzdłuż balustrady i zatrzymuje się przy schodach prowadzących na dziedziniec.

- Jestem z tobą całkowicie szczery - powiedział Edward. - Jeżeli obserwuje cię człowiek, z którym pracowałeś w zeszłym roku, to nie mam pojęcia, kto przydzielił mu to zadanie i dlaczego.

- Powiedz im, że chcę, aby to się skończyło! - Osoba na balkonie, była to Beth, popatrzyła w jego stronę, marszcząc brwi. Owinęła się chustą i zaczęła iść w dół schodów. Muzyka przybrała na sile.

- Nie mam już na nich żadnego wpływu - odpowiedział Edward. Beth zeszła na dziedziniec i ruszyła w stronę Deckera.

- Po prostu powiedz im, aby przestali. Rozłączył się, kiedy Beth znalazła się przy nim.

- Martwiłam się o ciebie. - Zimny wiatr targał jej włosami i przyprawiał ją o dreszcze. Szczelniej owinęła się chustą. - Kiedy nie wróciłeś...

- Przepraszam. Ważna sprawa służbowa. Nie chciałem tak cię zostawić.

Beth przyglądała mu się ze zdziwieniem.

W śpiewie z nową siłą zabrzmiały cierpienie i desperacja. Beth odwróciła się w stronę amfiteatru.

- To chyba Scarpia obiecuje Tosce, że jeśli się z nim prześpi, jej ukochany nie zostanie stracony.

Decker okłamał Beth i z tego powodu teraz czuł suchość w ustach, zupełnie jakby najadł się popiołu.

- A może to ten moment, kiedy Tosca zabija Scarpę nożem.

- Chcesz zostać i obejrzeć przedstawienie do końca, czy wolisz wrócić do domu? - spytała Beth, a w jej głosie dało się wyczuć smutek.

- Do domu? Na Boga, w żadnym wypadku. Przyszedłem tutaj, żeby dobrze się z tobą bawić.

- Świetnie. Cieszę się.

Kiedy ruszyli z powrotem w stronę opery, muzyka osiągnęła apogeum. Potem zapadła nagła cisza przzerwana oklaskami. Otworzyły się drzwi i widzowie zaczęli wychodzić na kolejny antrakt.

- Masz ochotę na jeszcze jedną czekoladę? - spytał Decker.

- Szczerze mówiąc, teraz napiłabym się wina.

- Chemie się przyłączę.

Decker wprowadził ją przez ciemną bramę na ukwiecone podwórko, zatrzymując się pod portalem oświetlonym przez lampę nad drzwiami frontowymi, której Beth nie wyłączyła przed wyjściem do opery. Beth wciąż szczelnie owijała się chustą. Decker nie potrafił stwierdzić, czy robi to ze zdenerwowania.

- Mówiłeś prawdę o tych niskich temperaturach, nawet w lipcu. - Głęboko wciągnęła powietrze do płuc, wyraźnie czymś się delectując.

- Co to za zapach? Przypomina szalwię.

- To pewnie te krzewy wokół twojego podjazdu.

Gdy skinęła głową Decker upewnił się, że jest zdenerwowana.

- No cóż. - Wyciągnęła w jego kierunku rękę. - Dziękuję za przemiły wieczór.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Uścisnął jej dłoń. - Jeszcze raz przepraszam, że zostawiłem cię samą.

Beth wzruszyła ramionami.

- Nie mam pretensji. Tak naprawdę jestem do tego przyzwyczajona. Mój mąż często tak robił. Zawsze przerywał randki, aby odebrać ważny telefon lub do kogoś zadzwonić w interesach.

- Przepraszam, jeśli przywołałem bolesne wspomnienia.

- Nie przejmuj się, to nie twoja wina. - Opuściła, po czym znów podniosła wzrok. - To był dla mnie duży krok. Wczoraj i dzisiaj po raz pierwszy od śmierci Raya... - zawahała się -...umówiłam się z mężczyzną.

- Rozumiem.

- Często martwiłam się, czy będę potrafiła się na to zdobyć. Nie chodzi tylko o to, jak niezręcznie jest znów iść na randkę po dziesięciu latach małżeństwa, ale przede wszystkim... - Znów się zawahała. - Bałam się, że będę nielojalna wobec Raya.

- Mimo że jego już nie ma - rzekł Decker. Beth skinęła głową.

- Emocjonalne widma.

- Właśnie.

- I co? - spytał Decker. - Jak się teraz czujesz?

- Trochę jak zdenerwowana nastolatka, która żegna się z chłopakiem na progu domu po swojej pierwszej randce - zachichotała Beth. - A poza tym... - Spoważniała. - To skomplikowane.- Z pewnością.

- Cieszę się, że to zrobiłam. - Głęboko odetchnęła. - Mówiłam szczerze, niczego nie żałuję. Dziękuję za przemiły wieczór. - Wyglądała na zadowoloną z siebie. - Hej, nawet byłam na tyle dorosła, że sama cię zaprosiłam.

- Spodobało mi się to - roześmiał się Decker. - Jeśli pozwolisz, chciałbym się zrewanżować.

- Tak. Wkrótce.

- Wkrótce - powtórzył, rozumiejąc, że oznacza to, iż Beth potrzebuje trochę swobody.

Wyjęła klucz z niewielkiej torebki i wsunęła go do zamka. Na wzgórzach rozległo się wycie kojotów.

- Dobranoc.

- Dobranoc.

Wracając do domu, Decker ostrożnie sprawdził, czy nikt go nie śledzi. Nie zauważył niczego niepokojącego. W ciągu kolejnych dni pozostawał czujny, szukając dowodów na to, że jest obserwowany, jednak jego starania nie przyniosły żadnych rezultatów. McKittrick i jego zespół jakby rozplynęli się w powietrzu. Być może Edward przekazał wiadomość od Deckera i postanowiono zakończyć obserwację.

## **Rozdział czwarty**

### **1**

Wydawało się, że wszystko toczy się powoli, jednak z perspektywy czasu w ich zachowaniu dało się dostrzec pewną nieuniknioną, która skłaniała Deckera ku przekonaniu, że czas ich poganiał. Podczas kolejnych dni często widywał się z Beth, udzielając jej rad dotyczących tak przyziemnych spraw jak wybór najlepszego sklepu spożywczego, lokalizacja najbliższej poczty czy znalezienie niedrogich sklepów położonych z dala od turystycznych butików przy głównym placu.

Decker zabrał ją na pieszą wycieczkę w górę wyschniętego strumienia obok St. John's College, wzdłuż osiedla Wilderness Gate, aż na szczyt góry Atalaya. Fakt, że Beth wytrzymała trzygodzinny marsz, świadczył o jej znakomitej kondycji, mimo że nie była przyzwyczajona do dużych wysokości. Zaprowadził ją na olbrzymi pchli targ odbywający się w weekendy na polu poniżej budynku opery. Odwiedzili ruiny indiańskich zabudowań na urwiskach w

rezerwacie Bandelier. Grali w tenisa w klubie sportowym Sangre de Cristo. Kiedy mieli dość miejscowego jedzenia, wpadali na pulpety z indyka z sosem, które serwowano w Harry's Roadhouse. Często także po prostu grillowali kurczaka na podwórku u Beth lub Deckera. Chodzili na zagraniczne filmy do kina imienia Jeana Cocteau oraz do Coffee House. Poszli na indiański targ i związaną z nim aukcję w muzeum Wheelwright, niedaleko Camino Lindo. Wybrali się na wyścigi konne w kasynie Pojoaque Pueblo. Natomiast w czwartek, pierwszego września o jedenastej rano, Bem spotkała się z Deckerem w biurze Santa Fe Abstract & Title, podpisała dokumenty, wręczyła czek i stała się właścicielką domu.

## 2

- Uczcijmy to - zaproponowała Beth.

- Pewnie będziesz wściekła, ale mam kilka spotkań, których w żadnym wypadku nie mogę odwołać.

- Niekoniecznie teraz. - Trąciła go łokciem. - Być może kradnę ci każdą wolną chwilę, ale rozumiem, że od czasu do czasu musisz zarabiać na życie. Miałam na myśli wieczór. Mam dość ciągłego jedzenia chudego mięsa. Może zgrzeszymy i ugrillujemy dwa soczyste steki. Upiekę kilka ziemniaków i zrobię sałatkę.

- Tak chcesz świętować? Nie wychodząc z domu?

- No wiesz, to będzie mój pierwszy wieczór we własnej posiadłości. Chcę zostać i podziwiać to, co kupiłam.

- Przyniosę czerwone wino.

- I szampana - dodała Beth. - Czuję, że powinnam roztrzaskać butelkę o bramę, jak przy wodowaniu statku.

- Czy Dom Perignon wystarczy?

### 3

Kiedy zgodnie z tym, co ustalili, pojawił się u Beth o osiemnastej, zaskoczył go widok nieznanego samochodu na jej podjeździe. Uznając, że konserwator przyjechałby raczej ciężarówką lub autem z firmowym logo, i zastanawiając się, kto mógł odwiedzić Beth o tej porze, Decker zaparkował obok nieoznaczonego wozu, wysiadł i zauważył na przednim siedzeniu niebieskiego chevroleta cavaliera ulotkę wypożyczalni samochodów Avis. Kiedy szedł żwirową dróżką w stronę bramy, otworzyły się rzeźbione drzwi i pod portalem pojawiła się Beth oraz mężczyzna, którego Decker nigdy wcześniej nie widział.

Mężczyzna był szczupły i miał na sobie biznesowy garnitur. Był średniego wzrostu, miał delikatne rysy, rzadkie, częściowo siwe włosy i wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat. Jego granatowy garnitur był nieźle skrojony, ale niedrogi. Biała koszula podkreślała bladość skóry. Nie oznaczało to, że wyglądał na chorego. Po prostu ubiór i brak opalenizny wyraźnie wskazywały, że nie pochodzi z Santa Fe. Podczas piętnastu miesięcy spędzonych w tej okolicy, Decker widział najwyżej kilkanaście osób w garniturach, z czego połowa przyjechała w interesach z innych miast.

-...kosztowałyby to zbyt dużo jak na... - Mężczyzna urwał w połowie zdania, po czym odwrócił się w stronę Deckera, z

zaciekawieniem unosząc wąskie brwi, gdy ten otworzył bramę i podszedł do drzwi wejściowych.

- Steve. - Rozpromieniona Beth pocałowała go w policzek. - To jest Dale Hawkins. Pracuje dla galerii, która sprzedaje moje obrazy w Nowym Jorku. Dale, to mój przyjaciel, o którym ci opowiadałam, Steve Decker.

Hawkins się uśmiechnął.

- Beth uważa, że nie przetrwałaby tutaj bez ciebie. Cześć. - Wyciągnął dłoń. - Jak się masz?

- Jeśli Beth mówi o mnie dobre rzeczy, to jestem w znakomitym nastroju.

Hawkins zachichotał i mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

- Dale miał przylecieć wczoraj, ale interesy zatrzymały go w Nowym Jorku - wyjaśniła Beth. - W całym tym zamieszaniu związanym z kupnem domu zapomniałam ci powiedzieć o jego przyjeździe.

- Nigdy wcześniej tu nie byłem - odezwał się Hawkins. - Ale już widzę, że za długo zwlekałem. Co za niesamowita gra światła. Kiedy jechałem z Albuquerque, góry kilka razy zmieniały kolor.

Beth wyglądała na niezwykle zadowoloną.

- Dale przywiózł dobre wieści. Udało mu się sprzedać trzy moje obrazy.- Temu samemu klientowi - powiedział Hawkins. - Bardzo entuzjastycznie podszedł do twórczości Beth. Chce jako pierwszy oglądać jej każde nowe dzieło.

- Zapłacił za ten przywilej pięć tysięcy dolarów - rzekła Beth z podekscytowaniem. - Nie mówiąc o stu tysiącach za te trzy płótna.

- Stu... tysiącach? - Na twarzy Deckera pojawił się szeroki uśmiech. - To fantastycznie. - Pod wpływem impulsu uściskał Beth.

Jej oczy zalśniły.

- Najpierw dom, a teraz to. - Odwzajemniła uścisk. - Mam co świętować.

Wydawało się, że Hawkins czuje się niezręcznie.

- No cóż - zaczął, po czym odchrząknął. - Chyba już pójdę. Beth, zobaczymy się jutro rano o dziewiątej.

- Tak, na śniadaniu u Pasquala. Pamiętasz, jak tam dotrzeć?

- Jeśli zapomnę, to spytam kogoś w hotelu.

- Potem oprowadzę cię po galeriach - rzekła Beth. - Mam nadzieję, że lubisz spacerować. Mamy ich tutaj ponad dwieście.

- A może chciałbyś zjeść z nami kolację? - zaproponował Decker z poczucia obowiązku.

Hawkins uniósł ręce, wyraźnie rozbawiony.

- Co to, to nie. Dobrze wiem, kiedy przeszkadzam.

- Na pewno?

- Tak.

- Odprowadzę cię do samochodu.

Decker czekał pod portalem, aż Beth skończy rozmawiać z gościem na podjeździe. W końcu Hawkins wsiadł do samochodu, pomachał na pożegnanie i odjechał.

Beth lekko podskoczyła z radości i z promiennym uśmiechem wróciła do Deckera. Wskazała palcem papierową torebkę, którą trzymał w dłoni.

- Czy to jest to, o czym myślę?

- Czerwone wino i Dom Perignon. Szampan chłodził się całe popołudnie.

- Nie mogę się doczekać.

4

Beth zmarszczyła nos, kiedy połaskotały ją bąbelki szampana.

- Masz ochotę na niespodziankę? - spytała.

- Jeszcze jedną? - Dom Perignon powoli rozpływał mu się na języku. - To naprawdę wyjątkowy dzień.

- Trochę się boję ci to pokazać.

Decker nie był pewien, co Beth ma na myśli.

- Boisz się?

- To coś bardzo prywatnego.

Teraz naprawdę nie miał pojęcia, o co chodzi.

- Jeśli rzeczywiście chcesz. Stanowczo skinęła głową.

- Chcę. Chodź ze mną.

Opuścili kuchnię wyłożoną eleganckimi kafelkami, przeszli po kolorowym wełnianym dywanie dhurrie w salonie i powędrowali korytarzem o przeszklonym suficie w przedniej części domu. Minęli pralnię i dotarli do zamkniętych drzwi. Podczas odwiedzin Deckera, Beth zawsze ukrywała, co mieści się w tym pomieszczeniu.

Teraz się zawahała, spoglądając Deckerowi prosto w niebieskawozielone oczy i powoli wypuszczając powietrze z płuc.

- A więc dobrze.

Kiedy otworzyła drzwi, najpierw zobaczył kolory - plamy czerwieni i zieleni, błękitu i żółci. Pojawiła się przed nim cudowna tęcza, która pyszniła się pełną gamą barw. Potem zobaczył kształty - obrazy i faktury zespolone ze sobą jak gdyby dzielące tę samą życiową energię.

Przez chwilę milczał, z wrażenia nie mogąc się nawet poruszyć.

Beth przyglądała mu się z napięciem.

- Co o tym myślisz?

- „Myśle” nie jest odpowiednim słowem. Liczy się to, co czuję. Jestem zachwycony.

- Naprawdę?

- Są piękne. - Wszedł do pokoju, przyglądając się obrazom porozstawianym na sztalugach i na podłodze oraz wiszącym na ścianach. - Oszalamiające. - Kamień spadł mi z serca.

- Ale jest ich tutaj... - szybko policzył -...co najmniej kilkanaście. Wszystkie dotyczą Nowego Meksyku. Kiedy zdażyłaś...?

- Każdego dnia od przeprowadzki, kiedy tylko nie spędzałam czasu z tobą.

- Nigdy nie wspomniałaś o nich nawet słowem.

- Bałam się. A gdyby ci się nie spodobały? Gdybyś powiedział, że nie różnią się od prac innych miejscowych artystów?

- Ale tak nie jest. Bardzo się różnią.

Powoli spacerował między obrazami, z podziwem przyglądając się poszczególnym kompozycjom.

Zwłaszcza jedno z płócien zwróciło jego uwagę. Przedstawiało dno wyschniętego strumienia oraz krzak jałowca i czerwone polne kwiaty porastające brzeg. Obraz wydawał się prosty i bezpretensjonalny, jednak Decker czuł, że kryje coś jeszcze.

- Co o nim sądzisz?

- Niestety, znacznie lepiej wychodzi mi oglądanie obrazów niż rozmowa o nich.

- To nie takie trudne. Co najpierw przyciąga twoją uwagę? Jaki element dominuje?

- Czerwone kwiaty.

- Tak - zgodziła się Beth. - Zaciekawiły mnie, kiedy tylko poznałam ich nazwę: indiański pędzel.

- A wiesz, że rzeczywiście wyglądają jak pędzle. Proste i wąskie, z czerwonymi włoskami na czubku. - Zastanawiał się przez chwilę.

- Obraz, który przedstawia kwiaty zwane pędzlami.

- Widzę, że rozumiesz - rzekła Beth. - Krytycy sztuki nazywają to „obrazem opowiadającym o obrazie”.

- To pewnie tłumaczy też coś innego - odparł Decker. - Obrotowe ruchy pędzla, które stosujesz. Wszystko się ze sobą łączy. Jak się nazywa ta technika? Impresjonizm? Przypomina mi Cezanne’a i Moneta.

- Nie mówiąc o Renoirze, Degasie, a zwłaszcza van Goghu - dodała Beth. - Van Gogh genialnie malował światło słoneczne, więc uznałam, że za pomocą jego technik mogę pokazać unikatowość Nowego Meksyku.

- Kraina tańczącego słońca.

- Brawo. Staram się uchwycić niezwykłą charakterystykę światła w Santa Fe. Jednak jeśli przyjrzyś się dokładniej, dostrzeżesz także symbole ukryte w pejzażu.

- A niech mnie...

- Okręgi, fale, wzory przedstawiające słońce: symbole natury używane przez Nawahów i innych Indian z południowego zachodu.

- Odwołania wewnątrz odwołań - rzekł Decker.

- Wszystko po to, aby osoba oglądająca obraz poczuła, że nawet na pozór zwyczajny wyschnięty strumyk, otoczony jałowcem i czerwonymi polnymi kwiatami, może być czymś złożonym.

- Piękne.

- Tak bardzo się bałam, że ci się nie spodobają.

- Co o nich powiedział twój agent?

- Dale? Jest przekonany, że uda mu się wszystkie sprzedać.

- Więc jakie znaczenie ma moja opinia?

- Uwierz mi, że ma.

Odwrócił się w jej stronę. Czując, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi, nie mógł się powstrzymać.

- Ty też jesteś piękna.

- Słucham? - Zaskoczona Beth aż zamrugała.

- Cały czas o tobie myślę. Nie mogę o tobie zapomnieć - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Beth pobladła.

- Wiem, że popełniam największy błąd w swoim życiu - rzekł Decker. - Potrzebujesz swobody. Potrzebujesz przestrzeni i... Pewnie teraz zaczniesz mnie unikać. Ale muszę to powiedzieć. Kocham cię.

## 5

Przyglądała mu się przez bardzo długą chwilę. Wszystko skopałem, pomyślał. Dlaczego nie mogłem trzymać gęby na kłódkę? Beth niemal przewiercała go wzrokiem.

- Chyba wybrałem zły moment - odezwał się Decker. Nie odpowiedziała.

- Czy możemy cofnąć czas? - spytał. - Udać, że to się nigdy nie wydarzyło?

- Nie da się cofnąć czasu.

- Tego się obawiałem.

- I coś się jednak wydarzyło.

- Z pewnością.

- Będziesz tego żałował - rzekła Beth.

- Chcesz, żebym sobie poszedł?

- Nie ma mowy. Chcę, żebyś mnie pocałował.

Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, już obejmował Beth. Na karku poczuł dotyk jej dłoni. Kiedy się pocałowali, stracił oddech. Początkowo Beth niepewnie przyciskała zamknięte usta do warg Deckera. Potem je rozchyliła. Ich języki się spotkały i było to dla

niego najbardziej intymne doświadczenie w życiu. Pocałunek przedłużał się i pogłębiał. Decker zaczął drżeć. Nie panował już nad swoimi emocjami. Serce tłukło mu się w piersi z oszalamiającą prędkością. Kiedy opuścił ręce, obejmując biodra Beth, zaczął drżeć jeszcze bardziej. Przycisnął usta do jej szyi, podniecony wypełniającym mu nozdrza aromatem delikatnego mydła i głębszym, pierwotnym zapachem soli i piżma, ziemi, gorąca i nieba. Czuł, że ten zapach go dusi. Rozpiął jej bluzkę i wsunął dłonie pod stanik, dotykając piersi Beth i czując, jak pod wpływem tego dotyku jej sutki rosną i twardnieją. Ugięły się pod nim nogi. Opadł na kolana, całując jedwabistą skórę na jej brzuchu. Zadrżała i pociągnęła go na podłogę. Obejmowali się i przetaczali po posadzce, całując się coraz gwałtowniej. Deckerowi wydawało się, że unosi się w powietrzu, poza swoim ciałem. Jednocześnie wszystkimi zmysłami czuł swoje ciało i ciało Beth. Pragnął już zawsze ją całować i jej dotykać, odkrywać wciąż nowe obszary jej ciała. Rozebrali się nawzajem pospiesznie i łąpczywie. Kiedy w nią wszedł, niemal oszalał z zachwytu. Chciał jak najbardziej się z nią połączyć, stać się jej częścią. Kiedy razem szczytowali, znalazł się w cudownym stanie zawieszenia między kolejnymi uderzeniami rozszalałego serca, wydłużającymi się, pęczniejącymi i wybuchającymi.

## 6

Otworzył oczy i zapatrzył się na *vigi* i *latille* krzyżujące się na płaskim suficie. Przez okno wpadał karmazynowy blask wieczornego słońca. Beth leżała tuż obok, milcząc. Nie odezwała się od kilku

minut, od chwili miłosnego uniesienia. Kiedy cisza się przedłużała, Decker zaczął czuć się niezręcznie. Zaniepokoił się, że Beth ma wyrzuty sumienia, wątpliwości i poczucie winy z powodu niedotrzymania wierności zmarłemu mężowi. Wtedy powoli się poruszyła, odwróciła w jego stronę i dotknęła jego policzka.

A więc wszystko będzie dobrze, pomyślał.

Beth usiadła. Była cudownie naga. Miała jędrne piersi wielkości jego złożonych dłoni. Decker przypomniał sobie niezwykłą twardość jej sutków.

Zerknęła w dół na ceglana podłogę, na której siedziała. Wciąż przebywali w pomieszczeniu z obrazami, otoczeni wspaniałą feerią barw.

- Namiętność jest wspaniała, ale czasami sporo kosztuje. -  
Ponownie zachichotała. - Te cegły. Pewnie mam siniaki na plecach.

- Ja sobie zdarłem skórę z kolan i łokci - powiedział Decker.

- Pokaż. Au! - syknęła. - Gdybyśmy posunęli się krok dalej, nadawalibyśmy się na ostry dyżur.

Decker zaczął się śmiać. Nie mógł się powstrzymać. Fale śmiechu przychodziły jedna za drugą. Z oczu płynęły mu łzy.

Beth także się roześmiała, poddając się wyzwajającemu wybuchowi radości. Nachyliła się nad Deckerem i znów go pocałowała, jednak tym razem pocałunek był wyrazem czułości i uczucia. Dotknęła jego silnego podbródka.

- Czy to, co wczoraj powiedziałaś, mówiłaś na serio?

- Całkowicie. Trudno to wyrazić słowami. Kocham cię - rzekł Decker. - Tak bardzo, że czuję, jakbym do tej chwili nic o sobie nie wiedział, jakbym tak naprawdę nie żył.

- Nie wspominałeś, że jesteś nie tylko krytykiem sztuki, ale także poetą.

- Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz.

- Bardzo chętnie wszystkiego się nauczę. - Znów go pocałowała, po czym wstała.

Decker ze ściśniętym gardłem podziwiał jej nagość. Cieszył się, że ona czuje się z tym swobodnie. Stała przed nim z rękami przy biodrach, lekko wygięta w bok, z jedną stopą z przodu, pochylona pod odpowiednim kątem, niczym tancerka, naturalna i bez cienia wstydu. Na jej płaskim brzuchu rysował się mały wklęsły pępek. Ciemne włosy łonowe były miękkie i sterczące. Gibka sylwetka przywodziła na myśl sportsmenkę. Patrząc na nią, Decker przypomniał sobie zmysłowy sposób, w jaki portretowali nagie kobiety rzeźbiarze w starożytnej Grecji.

- Co masz na lewym boku? - spytała Beth.

- Na boku?

- Ta blizna.

Spojrzał w dół. Nierówne wgłębienie miało wielkość opuszka palca.

- Och, to tylko...

- Masz jeszcze jedną na prawym udzie. - Zmarszczyła brwi i uklękła obok niego, aby przyjrzeć się bliznom. - Wyglądają zupełnie jak...

Uznał, że nie da się uniknąć tego tematu.

- To po ranach postrzałowych.

- Ranach postrzałowych? Ale jak ty...

- Nie zdążyłem się uchylić.

- O czym ty mówisz?

- W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku jako amerykański komandos uczestniczyłem w inwazji na Grenadę. - Deckera zasmuciło, że znów musi kłamać. - Kiedy zaczęli do nas strzelać, nie przypadłem do ziemi wystarczająco szybko.

- Dali ci medal?

- Za głupotę? - zachichotał. - Ale dostałem Purpurowe Serce.

- Wyglądają na bolesne.

- Wcale takie nie są.

- Mogę ich dotknąć?

- Proszę bardzo.

Delikatnie oparła palec na wgłębieniu w jego boku, a potem na udzie.

- Na pewno nie bolą?

- Czasami, w wilgotne zimowe noce.

- Powiedz mi, jeśli tak się stanie. Umiem przynieść ulgę. -

Pochyliła się i pocałowała najpierw jedną a potem drugą bliznę.

Decker poczuł dotyk jej piersi ślizgających się po jego brzuchu w kierunku uda. - Czy teraz lepiej? - spytała.

- Znacznie lepiej. Szkoda, że nie mieli takich pielęgniarek w wojskowym szpitalu.

- Wcale byś się nie wyspał. - Przytuliła się do niego.

- Nie samym snem człowiek żyje.

Wystarczyło mu, że leży obok niej, ciesząc się jej ciepłem. Przez kilka minut żadne z nich się nie poruszało ani nie odzywało. Karmazynowy blask wlewający się przez okno pociemniał.

- Chyba czas na prysznic - rzekła Beth. - Możesz skorzystać z tego przy pokoju gościnnym albo...

- Tak?

- Możemy wspólnie skorzystać z mojego.

Lśniące białe pomieszczenie z prysznicem było obszerne, służąc także jako łaźnia parowa. Znajdowała się w nim wbudowana w ścianę, wyłożona kafelkami ławka oraz natryski po każdej ze stron. Po wzajemnym namydleniu się i umyciu gąbką w strumieniach gorącej wody, po kolejnych pocałunkach, pieszczotach i badaniu śliskich, ocierających się o siebie ciał w kłębach pary, opadli na ławkę, po czym z drzeniem i gwałtownym biciem serca znów zaczęli się kochać.

## 7

To był najbardziej niezwykły wieczór w życiu Deckera. Jeszcze nigdy nie oddawał się namiętności z takim emocjonalnym zaangażowaniem, szacunkiem - a nawet podziwem - dla osoby, z którą połączyło go pożądanie. Kiedy skończyli kochać się po raz

drugi, wzięli prysznic i się ubrali, zdał sobie sprawę z obecności innych nieznanymi mu uczuć: spełnienia i bliskości. Wyglądało na to, że ich dwukrotne fizyczne zespolenie zaowocowało nowym rodzajem więzi, niematerialnej, wręcz mistycznej. Dopóki znajdował się blisko Beth, wiedział, że ona trwa w nim, a on w niej. Nie musiał jej dotykać, wystarczyło, że ją widzi. Czuł, że są jednością.

Sącząc czerwone wino i grillując steki, których zażyczyła sobie Beth, spojrzał na gwiazdy pojawiające się na wieczornym niebie o barwie przypominającej mu kolor jej oczu. Zerknął w dół zadrzewionego zbocza za domem Beth, w stronę rozciągających się poniżej światła Santa Fe. Czując zadowolenie, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył, przez siatkę w drzwiach zajrzał do rozświetlonej kuchni, gdzie Beth przygotowywała sałatkę, nucąc coś pod nosem.

Zauważyła go.

- Na co patrzysz?

- Na ciebie.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Kocham cię - powtórzył.

Podeszła, otworzyła drzwi, wychyliła się na zewnątrz i pocałowała go. Deckerowi wydawało się, jakby przeskoczyła między nimi iskra.

- Jesteś dla mnie najważniejszą osobą na świecie.

W tym momencie zrozumiał, że pustka, z którą zmagał się przez wiele lat, wreszcie została wypełniona. Przypomnił sobie wydarzenia

z Rzymu sprzed roku i trzech miesięcy, swoje czterdzieste urodziny, nudę, którą musiał znosić i wszechogarniającą próżnię. Wtedy pragnął mieć żonę, rodzinę, dom, a teraz znalazł to wszystko.

## 8

- Będę musiała wyjechać z Santa Fe na kilka dni - oznajmiła Beth.

- O! - Decker spojrzał na nią z zaskoczeniem. Jechali Tano Road, wijącą się wśród sosen na północ od miasta. Był piątek, dziewiąty września, koniec sezonu turystycznego, pierwszy wieczór fiesty. Byli kochankami od ośmiu dni. - Czy to coś niespodziewanego? Wcześniej nic nie wspominałaś.

- Niespodziewanego? I tak, i nie - odrzekła Beth, spoglądając ponad skąpanymi w blasku zachodzącego słońca niskimi wzgórzami w stronę gór Jemez. - Nie spodziewałam się, że to będzie już pojutrze, ale wiedziałam, że kiedyś będę musiała to zrobić. Muszę wrócić do Westchester. Czekają mnie spotkania z prawnikami i tym podobne. Chodzi o majątek mojego zmarłego męża.

Słyszając o jej mężu, Decker poczuł się nieswojo. Za wszelką cenę unikał tego tematu, martwiąc się, że wspomnianie zmarłego może zasiać w sercu Beth wątpliwości dotyczące ich związku. Czyżbym był zazdrosny o nieboszczyka?

- Kilka dni? Kiedy planujesz wrócić?

- Może nawet trochę dłużej. Pewnie około tygodnia. To prostackie i małostkowe, ale ważne. Mój mąż miał wspólników, którzy teraz mają odmienne zdanie co do wartości jego udziałów.

- Rozumiem.

Miał ochotę zadać całe mnóstwo pytań, ale nie chciał być wścibski. Gdyby Beth chciała podzielić się z nim swoją przeszłością toby to uczyniła. Zdecydowanie nie chciał, aby poczuła, że ją naciska. Poza tym to miał być radosny wieczór. Zmierzali na imprezę z okazji fiesty, odbywającą się w domu producenta filmowego, który kiedyś skorzystał z pośrednictwa Deckera. To oczywiste, że Beth nie ma ochoty rozmawiać o swoich problemach prawnych, więc po co ją zmuszać?

- Będę za tobą tęsknił.

- Ja za tobą też - odpowiedziała. - To będzie długi tydzień.

9

-...umarł młodo.

Decker usłyszał fragment rozmowy stojącej za nim grupki kobiet, kiedy sączył margarite i słuchał jazzowego trio w rogu przestronnego salonu. Ubrany w smoking pianista dobrze sobie radził z mieszanką utworów Henry'ego Manciniego, ze szczególnym naciskiem na *Moon River*.

- Na gruźlicę - usłyszał Decker za sobą. - Miał tylko dwadzieścia pięć lat. Zaczął pisać dopiero w wieku dwudziestu jeden lat. To zadziwiające, ile osiągnął w tak krótkim czasie.

Decker przestał słuchać pianisty i zaczął się przyglądać około dwustu gościom zaproszonym przez producenta. Podczas gdy ubrani w jednakowe stroje pracownicy firmy cateringowej roznosili koktajle i przekąski, uczestnicy imprezy spacerowali po całym domu,

podziwiając luksusowe wnętrza. Miejscowe sławy mieszały się z tłumem. Jednak Decker zwracał uwagę tylko na Beth.

Kiedy spotkał ją po raz pierwszy, ubierała się wyłącznie w stylu Wschodniego Wybrzeża, jednak stopniowo się to zmieniało. Dziś włożyła odświętny południowo-zachodni ubiór skrojony na modłę latynoską. Aksamitna spódnica i top w ciemnogrnatowym kolorze podkreślały niebieskoszare oczy i kasztanową fryzurę. Włosy związała w kucyk i spięła srebrną wsuwką której blask pasował do srebrnego indiańskiego naszyjnika. Siedziała razem z kilkoma kobietami przy niskim stoliku wykonanym z kutego żelaza, opartym o dwustuletnie drzwi. Wyglądała na rozluźnioną i pewną siebie, jak gdyby mieszkała w Santa Fe od dwudziestu lat.

- Ostatnio czytałam jego wiersze na uniwersytecie - powiedziała jedna z kobiet.

- Dlaczego w ogóle zainteresowałaś się poezją? - spytała inna, jak gdyby ta myśl ją oburzyła.

- I dlaczego akurat Keatsem? - dodała trzecia.

Ta rozmowa od razu zwróciła uwagę Deckera. Do tej chwili nie wiedział, jakiego pisarza dotyczyła. Teraz za sprawą złożonego łańcucha skojarzeń przypomniał sobie pobyt w Rzymie.

Z trudem powstrzymał nieprzyjemny grymas, kiedy przed oczami stanął mu Brian McKittrick, za którym Decker podążał w dół Schodów Hiszpańskich i obok domu, w którym umarł John Keats.

- Dla rozrywki zapisałam się na kurs w St. John's College - odezwała się czwarta kobieta. - *Wielcy poeci romantyczni.*

- Aha - przytaknęła druga z pań. - Chyba wiem, czemu ta nazwa ci się spodobała.

- To nie tak jak myślisz - odparła czwarta. - Nie chodzi o romanse, które tak lubisz czytać, zresztą podobnie jak ja. To coś innego. Keats też pisał o mężczyznach, kobietach i namiętności, ale nie to jest u niego najważniejsze.

Ponownie słysząc nazwisko Keatsa, Decker pomyślał nie tylko o McKittricku, ale także o dwudziestu trzech martwych Amerykanach. Niepokoiło go, że poeta, którego twórczość stanowi kwintesencję prawdy i piękna, kojarzy mu się z restauracją pełną spalonych zwłok.

- Pisał o emocjach - powiedziała czwarta kobieta. - O pięknie odczuwanym jak namiętność. O... To trudno opisać.

*Słucham w ciemnościach; nieraz już wpół zakochany Byłem w Śmierci, dawczyni ulgi ostatecznej.*

Żałobne wersy Keatsa od razu przyszły Deckerowi do głowy. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, przyłączył się do rozmowy.

- O pięknych rzeczach, które wydają się jeszcze piękniejsze, aż do bólu, kiedy patrzymy na nie oczami kogoś bardzo młodego stojącego w obliczu śmierci.

Panie spojrzały na niego ze zdziwieniem, nie licząc Beth, która obserwowała go z nieukrywanym uwielbieniem przez cały czas trwania rozmowy.

- Steve, nie zdawałam sobie sprawy, że znasz się na poezji - rzekła czwarta kobieta. - Nie mów, że w przerwach między

sprzedawaniem pięknych domów takich jak ten, ty też uczęszczasz na kursy do St. John's College.

- Nie. Keatsa pamiętam ze studiów - skłamał.

- Zaciekawileś mnie - odezwała się jedna z kobiet. - Czy Keats rzeczywiście napisał te wspaniałe wiersze w wieku dwudziestu pięciu lat, umierając na gruźlicę?

Decker skinął głową myśląc o strzałach na mrocznym, mokrym od deszczu podwórku.

- W wieku dwudziestu pięciu lat - powtórzyła czwarta kobieta. - Jest pochowany w Wenecji.

- Nie, w Rzymie - poprawił ją Decker.

- Jesteś pewien?

- Dom, w którym umarł, znajduje się blisko fontanny w kształcie łódki, zaprojektowanej przez Berniniego, po prawej stronie Schodów Hiszpańskich.

- Mówisz, jakbyś tam był. Tylko wzruszył ramionami.

- Czasem wydaje mi się, że byłeś wszędzie - odezwała się atrakcyjna kobieta. - Pewnego dnia będziesz musiał opowiedzieć mi fascynującą historię swojego życia przed przybyciem do Santa Fe.

- Sprzedawałem nieruchomości w innych miejscach. Obawiam się, że nie ma w tym niczego ciekawego.

Jak gdyby wyczuwając, że Decker chce zmienić temat, Beth litościwie wstała i wzięła go pod rękę.

- Jeśli ktoś ma usłyszeć historię życia Steve'a, to będę to ja. Wdzięczny za uwolnienie go od rozmowy o sobie, wyszedł z Beth na

rozległe ceglane patio. Przystając w wieczornym chłodzie, zapatrzili się na rozgwieżdżone niebo.

Beth objęła go w pasie. Wciągając zapach jej perfum, Decker pocałował ją w policzek. Czuł przyjemny ucisk w krtani.

Sprowadził ją z patio, oddalając się od świateł i tłumu, a gdy skryli się za ciemnymi sosnami, namiętnie ją pocałował. Kiedy objęła go za szyję i odwzajemniła pocałunek, poczuł, że ziemia faluje mu pod stopami. Usta Beth były miękkie, a jednocześnie sprężyste, bardzo podniecające. Czuł dotyk jej sutków, wyraźnie zarysowujących się pod bluzką. Stracił oddech.

- No dalej, opowiedz mi fascynującą historię swojego życia.

- Pewnego dnia. - Pocałował ją w szyję, wdychając jej zapach. - Teraz mamy lepsze rzeczy do roboty.

Jednak nie mógł przestać myśleć o Rzymie, McKittricku i o tym, co wydarzyło się na podwórzu. Mroczny koszmar wciąż go prześladował. Miał nadzieję, że udało mu się uporać ze wszystkim, co reprezentował sobą McKittrick. Teraz, podobnie jak dwa miesiące wcześniej, zaczął się zastanawiać, czemu, na Boga, McKittrick pojawił się w Santa Fe i go obserwuje.

## 10

- Przywieźli je?

- Dziś po południu - odparł Decker. - Nie miałem czasu ci go pokazać. - Po skończonej imprezie jechali mroczną Camino Lindo.

- Pokaż mi teraz.

- Na pewno nie jesteś zmęczona?

- Jeśli poczuję się zmęczona, zawsze mogę zostać u ciebie i z niego skorzystać - odpowiedziała Beth.

Rozmawiali o łóżku, które Decker zamówił u miejscowego artysty, Johna Massey, specjalizującego się w wyrobach z metalu. W swojej kuźni za pomocą młota i kowadła Massey ozdobił żelazne kolumnienki misternymi wzorami przypominającymi rzeźbione drewno.

- Jest cudowne - powiedziała Beth, kiedy zaparkowali jeepa pod wiatą i weszli do domu. - Jeszcze bardziej oszałamiające niż opisywałeś. - Dotknęła gładkiego czarnego metalu. - A te figurki wycięte na wezłowskiu chyba są wzorowane na sztuce Nawahów, ale jednocześnie przypominają egipskie hieroglify, ze stopami skierowanymi w jedną stronę, a dłońmi w drugą. Szczerze mówiąc, wyglądają jak pijane.

- John ma poczucie humoru. Nie są niczym wzorowane. Sam je wymyśla.- Bardzo mi się podobają - rzekła Beth. - Nie sposób się nie uśmiechnąć.

Podziwiali łóżko ze wszystkich stron.

- Wygląda na bardzo solidne - odezwał się Decker. Beth przycisnęła dłońią materac, po czym figlarnie uniosła brwi.

- Chcesz je wypróbować?

- No pewnie. Jeśli je połamiemy, to John będzie musiał oddać pieniądze.

Zgasił światło. Powoli, wśród długich pocałunków, rozebrali się nawzajem. Drzwi sypialni zostawili otwarte. Światło księżyca

wpadało do pomieszczenia przez wysokie, szerokie okna gromadzące ciepło, zamontowane w korytarzu na zewnątrz sypialni. Blask oświetlający piersi Beth przywiódł Deckerowi namysł kość słoniową. Klęcząc, oddając jej cześć, powędrował ustami w dół.

## 11

Musieli przejść przez mur na tyłach domu. Była trzecia siedem rano. Decker znał dokładny czas, ponieważ miał staroświecki budzik ze wskazówkami, a kiedy potem na niego spojrzął, odkrył, że o tej godzinie wskazówki się zatrzymały.

Nie mogąc zasnąć, leżał na boku, podziwiając twarz Beth w świetle księżyca, wyobrażając sobie, że już wróciła z podróży i ich rozłąka dobiegła końca. W oddali słyszał przytłumione strzały fajerwerków odpalanych na prywatnych przyjęciach z okazji fiesty. Jutrzejszy ranek wielu ludzi przywita kacem, pomyślał. Nie zabraknie także zaspanych sąsiadów, którym okoliczne przyjęcia nie pozwolą zmrużyć oka. Policja będzie miała dużo roboty, reagując na skargi. Zastanowił się, która jest godzina, i spojrzął na budzik.

Nie zobaczył jego podświetlanej tarczy. Podejrzewając, że zasłonił ją ubraniem Beth, sięgnął ręką, aby usunąć przeszkodę, ale zamiast tego dotknął samego zegara. Zaskoczony zmarszczył brwi. Dlaczego budzik nie jest podświetlony? Wciąż słyszał odgłosy fajerwerków, jednak nie były na tyle intensywne, aby zagłuszyć inny dźwięk - słaby zgrzyt metalu o metal.

Decker usiadł zaniepokojony. Hałas dobiegał z głębi korytarza prowadzącego do sypialni, zza drzwi po prawej stronie, prowadzących

do niewielkiego ogródka kwiatowego i na patio. Zgrzyt metalu o metal nie ustawał.

Decker pośpiesznie zakrył dłonią usta Beth. W świetle księżyca zobaczył jej szeroko otwarte, przerażone oczy. Kiedy zaczęła szarpać go za rękę, przycisnął usta do jej lewego ucha.

- Nic nie mów - szepnął. - Posłuchaj mnie. Ktoś próbuje się włamać do domu. - Wciąż rozlegało się ciche zgrzytanie. - Wstań. Szybko, do schowka.

Naga Beth wyskoczyła z pościeli i wbiegła do schowka po prawej stronie pokoju. Schowek był duży, stanowił osobne pomieszczenie o rozmiarach trzy na trzy i pół metra. Nie miał okien. Było w nim ciemniej niż w sypialni.

Decker gwałtownym szarpnięciem otworzył dolną szufladę szafki przy łóżku i wyjął pistolet sigsauer 928, który kupił wkrótce po przyjeździe do Santa Fe. Kucnął obok łóżka, używając go jako osłony, jednocześnie chwytając słuchawkę telefonu. Jednak kiedy przyłożył ją do ucha, zrozumiał, że dzwonienie na policję nie ma sensu - nie było sygnału.

Nagle zapadnięcie ciszy jeszcze bardziej go zaniepokoiło. Zgrzytanie metalu o metal ustało. Decker wpadł do schowka, nie widząc Beth, po czym ukrył się za małą komodą. Mierząc z pistoletu w stronę korytarza za otwartymi drzwiami sypialni, drżał ze zdenerwowania. Jego nagie ciało było przemarznięte, a mimo to się pocił. Tylne drzwi po prawej stronie, które miał zamiar naoliwić, otworzyły się ze skrzypnięciem.

Kto do diabła mógł się tutaj włamać? Złodzieje? Możliwe. Jednak Decker podejrzewał, że ma to jakiś związek z jego poprzednim życiem. Nie potrafił pozbyć się mrozącej krew w żyłach myśli, że dopadły go niedokończone sprawy.

Po chwili rozległ się rytmiczny sygnał domowego systemu alarmowego: krótkie ostrzeżenie poprzedzające rozdzierający jęk właściwego alarmu. Jednak system był bezużyteczny - przecięto linię telefoniczną więc sygnał nie zostanie przekazany do firmy ochroniarskiej. Gdyby alarm nie był podłączony do baterii na wypadek awarii sieci elektrycznej, nie rozległby się nawet sygnał ostrzegawczy.

Nagle rytmiczny dźwięk zmienił się w przeciągłe wycie. Do sypialni wtargnęły mroczne sylwetki. Gwałtowne błyski przebiły ciemność, a ryk strzałów z broni automatycznej poraził bębunki w uszach Deckera. Błyski oświetliły pościel rozrywaną pociskami, fruujące pierze, eksplodujący materac.

Zanim napastnicy zauważyli swój błąd, Decker zaczął strzelać, raz za razem naciskając spust pistoletu. Dwóch napastników zakołysało się i upadło. Trzeci mężczyzna szybko wycofał się z sypialni i zniknął w korytarzu. Decker strzelił do niego, ale chybił. Pocisk roztrzaskał jedno z okien gromadzących energię słoneczną.

Pociły mu się dłonie, więc był wdzięczny losowi, że pistolet ma kratkowaną, szorstką kolbę. Nagie ciało Deckera także spływało potem. Zszokowany hukiem wystrzałów, czuł w uszach bolesne brzęczenie. Ledwie słyszał wycie alarmu. Nie byłby teraz w stanie

usłyszeć żadnego odgłosu wywołanego przez napastnika. Decker nie wiedział, czy ci trzej mężczyźni to jedyni intruzi w jego domu, a także nie potrafił stwierdzić, na ile poważnie zranił dwóch zamachowców. Czy będą w stanie do niego strzelać, jeśli wyjdzie ze schowka?

Nerwowo czekał, aż jego wzrok ponownie przyzwyczai się do ciemności po oślepieniu przez błyski wystrzałów. Martwił się, że nie wie, gdzie jest Beth. Oczywiście była gdzieś w tym przestronnym schowku, ale czy znalazła bezpieczną kryjówkę, na przykład za skrzynią z drewna cedrowego? Nie mógł ryzykować spoglądania za siebie w nadziei na dostrzeżenie jej mrocznej sylwetki w ciemności. Musiał skupiać całą uwagę na sypialni, by natychmiast zareagować, gdyby ktoś zaatakował go z przeciwległej strony pomieszczenia. Jednocześnie zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, gdy zdał sobie sprawę, że do schowka można wejść także przez pralnię. Gdyby napastnik zakradł się od tamtej strony i zaatakował...

Nie mogę równocześnie pilnować obu wejść, pomyślał Decker. Może ten ktoś uciekł.

A czy ty byś uciekł?

Może.

Akurat.

Zesztywniał ze zdenerwowania. Środek nocy, odcięty telefon i prąd, nie ma jak wezwać pomocy, nie można przesłać sygnału alarmowego na policję - jedynym zmartwieniem dla napastnika mogą być sąsiedzi obudzeni przez strzały bądź wycie alarmu. Ale czy te odgłosy słyhać na zewnątrz domu o grubych ścianach z suszonej

cegły? Najbliższa posesja znajduje się w odległości kilkuset metrów. Taki dystans tłumi dźwięki. Strzały mogą brzmieć jak fajerwerki, które Decker słyszał wcześniej. Intruz pewnie myśli, że nie musi się spieszyć.

Atak nie nadszedł od strony pralni. Zamiast tego ryk broni automatycznej rozległ się w wejściu do sypialni. Wśród oślepiających błysków pociski rozerwały obie strony framugi w drzwiach schowka i wtargnęły do środka pomieszczenia, uderzając w ścianę za nimi, rozszarpując stroje na wieszakach, niszcząc pudełka z butami oraz torby z ubraniami i posyłając w powietrze kawałki tkaniny, drewna i tektury, bombardując obnażone plecy Deckera. Pomieszczenie wypełnił ostry zapach kordytu.

Terkot broni ustał równie gwałtownie, jak się rozpoczął, ustępując miejsca wyciu alarmu. Decker nie odważył się strzelić w kierunku miejsca, w którym pojawiły się błyski kanonady. Zamachowiec zapewne już się przemieścił i tylko czekał, aż błysk z lufy zdradzi pozycję Deckera.

Wyczuł jakiś ruch w schowku. Naga Beth wyskoczyła z ciemnego kąta. Znała ten dom i wiedziała o drzwiach prowadzących do pralni. Kiedy przekręciła gałkę i pchnęła drzwi, rozległ się warkot pistoletu maszynowego, a pociski pomknęły w jej kierunku. Deckerowi wydawało się, że słyszy jęk. Hałas był tak silny, że nie miał co do tego pewności, ale znikając w ciemnej pralni, Beth trzymała się za prawe ramię. Decker zapragnął pobiec do niej, ale nie odważył się ulec temu samobójczemu impulsowi. Napastnik liczył na

to, że ofiara straci nad sobą kontrolę i się pokaże. Zamiast tego Decker jeszcze bardziej przycisnął się do niewielkiej komody, trzymając pistolet w pogotowiu i mając nadzieję, że to zamachowiec straci cierpliwość.

Proszę, pomyślał Decker. Dobry Boże, proszę. Niech Beth nie się nie stanie.

Z napięciem wpatrywał się w wejście do sypialni. Żałował, że nie słyszy ruchów zamachowca, ale teraz jeszcze boleśniej dzwoniło mu w uszach. Nagle zrozumiał, że to może działać w obie strony. Jeżeli on ma problemy ze słuchem, to ktoś, kto próbuje go zabić, zapewne też doświadcza podobnych kłopotów. Być może uda mu się obrócić tę obustronną przypadłość na swoją korzyść. Obok komody zapewniającej mu osłonę stała metalowa drabinka mniej więcej metrowej wysokości, której używał, gdy sięgał po przedmioty z górnej półki. Szerokością dorównywała męskim barkom. Decker chwycił koszulę, którą zostawił na komodzie, i owinął nią niską drabinkę. W ciemności powstały kształt przypominający kuczającego człowieka. Przesunął drabinkę, mając nadzieję, że napastnik rzeczywiście ma problemy ze słuchem i poprzez jęk alarmu nie słyszy szurania. Z dużą siłą wypchnął drabinkę ze schowka, posyłając ją w poprzek sypialni, w stronę miejsca, w którym ostatnio widział zamachowca.

Grad pocisków rozerwał koszulę i przewrócił drabinkę. W tym samym momencie Decker kilkakrotnie strzelił, kierując się rozbłyskami w korytarzu. Błyski gwałtownie obniżyły się ku

wyłożonej kafelkami podłodze, oświetlając mężczyznę zgiętego wpół z bólu. Pociski z pistoletu maszynowego wyrywały dziury w posadzce. Kiedy napastnik upadł, huk i błyski ustały.

Bojąc się, że oddane strzały mogą uczynić z niego łatwy cel, Decker przetoczył się po podłodze. Kucnął po drugiej stronie wejścia do schowka, jeszcze raz strzelił do mężczyzny, którego trafił przed chwilą a następnie do obu mężczyzn, których postrzelił wcześniej, po czym szybko wycofał się do ciemnej pralni.

Beth. Musiał znaleźć Beth. Musiał upewnić się, że nie została zraniona. Musiał powstrzymać ją przed ucieczką i zdradzeniem swojej pozycji, dopóki nie był pewien, że w domu nie ma kolejnych napastników. W pralni słodki zapach środków do prania podkreślał ostrą woń kordytu. Wyczuwając ruch między bojlerem i urządzeniem do zmiękczenia wody, powoli przesunął się w tamtą stronę i znalazł Beth, lecz po chwili huknął strzał z dubeltówki, a zamknięte drzwi pralni runęły do wewnątrz, ogłuszając go swoim uderzeniem. Razem z Beth upadli na podłogę.

Decker niewiele widział w ciemności, oślepiony strzałem, a po chwili poraził go kolejny błysk, gdy zamachowiec wypalił ponownie. Potem masywny mężczyzna wpadł do pomieszczenia i strzelił po raz trzeci. Leżąc na brzuchu, Decker wymierzył w górę i pociągnął za spust.

Chlusnęło na niego coś gorącego. Krew? Jednak płyn nie był po prostu gorący, ale wręcz go parzył. Poza tym płynął niezwykle intensywnie. Pewnie kula rozerwała bojler, pomyślał zdesperowany

Decker, starając się zignorować ból wywoływany przez zalewający go ukrop i skupić wzrok na ciemności, z której przed kilkoma sekundami błyski wystrzałów wydobyły sylwetkę człowieka z dubeltówką. Obok siebie słyszał oddech spanikowanej Beth. Wyczuwał charakterystyczny miedziany zapach krwi. Silny zapach. Jednak nie tylko od strony napastnika, ale także też obok siebie. Wciąż dręczyła go przerażająca myśl: czy Beth została ranna?

Kiedy jego wzrok ponownie przyzwyczał się do ciemności po oślepieniu przez błyski wystrzałów, ujrzał niewyraźny zarys ciała leżącego na podłodze w wejściu do pralni. Beth drżała też obok. Czując jej przerażenie, Decker policzył, ile razy strzelał, po czym sam poczuł przejmujący strach, gdy zdał sobie sprawę, że został mu tylko jeden nabój.

Przemoczony boleśnie gorącą wodą przycisnął palec do ust Beth, dyskretnie dając jej znak, aby milczała. Następnie przemieścił się po zalanej podłodze pralni w stronę wejścia. W świetle księżyca wpadającym przez świetliki w korytarzu zobaczył dubeltówkę leżącą obok trupa.

Przynajmniej miał nadzieję, że to trup. Przygotowany na wystrzelenie swojego ostatniego naboju, Decker poszukał pulsu. Kiedy go nie wyczuł, trochę się rozluźnił, po czym lewą ręką sięgnął pod wiatrówkę martwego mężczyzny i znalazł tam rewolwer. Błyskawicznie wepchnął dubeltówkę do pralni, wrócił do Beth kryjącej się w ciemnościach, wymacał i podniósł klapę prowadzącą do podziemnego korytarza biegnącego pod domem, po czym

doprowadził do niej Beth. Większość domów w Santa Fe została zbudowana na betonowych płytach i nie miała piwnic. Jednak kilka z nich, tak jak dom Deckera, wyposażonych było w tunele wysokości stu dwudziestu centymetrów, umożliwiające dostęp do węzłów sanitarnych i innych instalacji.

Zesztywniała Beth opierała się przed zejściem po drewnianych stopniach. Z mrocznego tunelu unosił się zapach kurzu. W końcu uznała wskazane miejsce za bezpieczne schronienie i z drzeniem pospiesznie zeszła pod podłogę, a razem z nią spłynęła tam kaskada gorącej wody. Decker ścisnął Beth za prawe ramię, mając nadzieję, że uzna to za gest pocieszenia, po czym zamknął klapę.

Wycie alarmu wciąż wytrącało go z równowagi, kiedy skradał się w stronę skrytego w ciemności przeciwległego rogu pomieszczenia. Umieścił się obok pieca, skąd w razie czego mógł ostrzelać oba wejścia do pralni. W lewej dłoni trzymał znaleziony rewolwer, w prawej własny pistolet, a obok dla pewności położył dubeltówkę, mając nadzieję, że zamachowiec nie zużył całej amunicji.

Jednak coś jeszcze wytrącało go z równowagi i sprawiało, że czuł potrzebę szybkiego działania. Wiedział, że cierpliwość stanowi klucz do przetrwania. Gdyby spróbował rozejrzeć się po domu, mógłby zdradzić swoje położenie osobie, która się tam kryje. Rozsądek podpowiadał, aby pozostać na miejscu i pozwolić przeciwnikowi wykonać pierwszy krok. Jednak Decker nie mógł powstrzymać pośpiechu. Wyobraził sobie Beth zmagającą się z rosnącym poczuciem klaustrofobii, siedzącą w kucki nago w smrodzie

i ciemności. Wyobraził sobie jej rosnący ból. Kiedy dotknął jej prawego ramienia, aby ją pocieszyć, na palcach zostały mu ślady czegoś gęstszego od wody, co było ciepłe i pachniało krwią. Beth została postrzelona.

Muszę ją zabrać do lekarza, pomyślał Decker. Nie mogę dłużej czekać. Wyczołgał się zza pieca, zbliżył do wejścia do przedpokoju i przygotował do biegu oraz wycelowania najpierw w jedną, a potem w drugą stronę; jednak nagle zamarł bez ruchu, gdy na leżącego przed nim trupa padł snop światła z latarki.

Decker przywarł do ściany. Pot mieszał się z wodą, którą ociekał, skupiając uwagę na wyjściu z pralni, a następnie nerwowo zerkając na drzwi prowadzące do schowka. Czemu używają latarki? Przecież w ten sposób zdradzają swoją pozycję. To na pewno podstęp, pomyślał, próba odwrócenia mojej uwagi od napastnika skradającego się z drugiej strony, z ciemnego wnętrza schowka.

Ku jego zaskoczeniu światło latarki się wycofało, zmierzając w stronę drzwi wejściowych. To także nie miało sensu. Chyba że... Czy miał odwagę uwierzyć w to, co przyszło mu do głowy? Któryś z sąsiadów mógł uznać, że przytłumione strzały nie są dziełem fajerwerków, i zadzwonić na policję. Latarka może należeć do stróża prawa. Właśnie tak zachowałby się samotny policjant - widząc ciało i nie wiedząc, w co się wplątał, podejrzewając strzelaninę, wycofałby się, aby wezwać posiłki przez radio.

Szalejące serce Deckera jeszcze przyspieszyło. W innych okolicznościach nie zaryzykowałby ujawnienia swojego położenia.

Jednak Beth została postrzelona. Bóg jeden wie, jak poważne odniosła obrażenia. Jeśli będzie dłużej zwlekał, może się wykrwawić w tunelu. Musiał coś zrobić.

- Poczekaj! - zawołał. - Jestem w pralni! Potrzebuję pomocy!

Promień światła przestał się oddalać, cofnął się do przedpokoju i zatrzymał na wejściu do pralni. Decker od razu zrozumiał, jak duże podejmuje ryzyko. Dzwoniło mu w uszach tak dotkliwie, że nie słyszał, czy ktoś mu odpowiedział. Jeżeli nie zareaguje bądź odkrzyknie coś bez związku ze słowami policjanta (zakładając, że to rzeczywiście policjant), to wzbudzi podejrzenia.

- Mieszkam tutaj! - zawołał Decker. - Jacyś ludzie się włamali! Nie wiem, kim jesteś! Boję się wyjść! - Promień światła się przesunął, zupełnie jakby osoba trzymająca latarkę schowała się za framugą. - Nic nie słyszę! Była strzelanina i straciłem słuch! - krzyknął Decker. - Jeśli jesteś policjantem, wsuń do przedpokoju swoją odznakę, żebym mógł ją stąd zobaczyć. - Czekał, nerwowo zerkając na przeciwległe drzwi prowadzące do schowka, bojąc się, że wystawia się na atak. Musiał zaryzykować. Cały czas myślał o Beth. Ona potrzebuje pomocy. - Proszę cię! - zawołał. - Jeśli jesteś policjantem, pokaż odznakę! - Ponieważ nie słyszał szurania odznaki po ceglanej podłodze, jej widok go zaskoczył. Odznaka zatrzymała się na zwłokach zamachowca. - W porządku! - Bolało go gardło. Z trudem przełknął ślinę. - Na pewno starasz się zrozumieć, co tu się wydarzyło! Jesteś równie zdenerwowany jak ja! Ale wiesz tak samo jak ja, że musimy się porozumieć. Wyjdę z podniesionymi rękami!

Najpierw je pokażę! - Położył pistolety na kontuarze po prawej stronie, skąd mógł je szybko chwycić, gdyby okazało się, że źle ocenił sytuację. - Teraz wyjdę! Powoli! Najpierw pokażę ręce!

Kiedy wyszedł do przedpokoju z rękami nad głową, światło latarki szybko powędrowało ku jego oczom, prawie go oślepiając i sprawiając, że poczuł się jeszcze bardziej bezbronny.

Wydawało się, że czas stanął w miejscu. Światło latarki wciąż go oślepiało. Policjant, jeśli ten człowiek rzeczywiście nim był (a pomimo odznaki na podłodze, Decker nagle zaczął mieć poważne wątpliwości), nie poruszał się, tylko mu się przyglądał.

A może to celujący w niego zamachowiec?

Światło boleśnie go raziło, tak że miał ochotę opuścić rękę, aby osłonić oczy, ale nie miał odwagi się poruszyć, aby nie wyprowadzić z równowagi obserwującej go osoby. Promień światła obniżył się na jego nagie ciało, po czym powrócił do twarzy.

Czas ponownie ruszył.

Światło latarki zaczęło się zbliżać. Decker czuł potworną suchość w ustach i miał tak zaburzony wzrok, że praktycznie nie widział nadchodzącej mrocznej postaci i jej ubioru, co uniemożliwiało identyfikację.

Człowiek z latarką był już blisko, a Decker nadal nie wiedział, z kim ma do czynienia. Zdrętwiały mu uniesione ręce. Miał wrażenie, że postać coś do niego mówi, ale nic nie słyszał.

Niespodziewanie postać nachyliła się ku Deckerowi, dzięki czemu mógł zrozumieć, co do niego woła.

- Nic pan nie słyszy?

W blasku latarki Decker zobaczył, że stoi przed nim krępy Latynos w mundurze.

- Prawie ogłuchłem! - Nie mógł już znieść jęku alarmu i dzwonienia w uszach.

-...pan jest?

- Słucham? - Deckerowi wydawało się, że jego głos dobiega z zewnątrz.

- Kim pan jest?

- Stephen Decker! Jestem właścicielem tego domu! Czy mogę opuścić ręce?

- Tak. Gdzie pana ubranie?

- Spałem, kiedy się włamali! Nie mam czasu na wyjaśnienia! Moja przyjaciółka jest w tunelu pod podłogą!

- Co takiego? - W tonie policjanta dało się usłyszeć więcej szczerego zdumienia niż konsternacji.

- W tunelu pod podłogą! Muszę ją stamtąd wydostać! - Rzucił się w stronę pralni, a kołyszący się promień światła podążył za nim. Decker drżącymi rękami chwycił metalowe kółko przymocowane do klapy. Gwałtownie otworzył właz i po omacku zszedł po drewnianych stopniach w ciemność, przesiąkniętą zapachem ziemi i wilgoci oraz niepokojącą wonią krwi. - Beth! - Nie widział jej. - Beth!

Padające z góry światło latarki wypełniło otwór i Decker zobaczył skuloną postać, trzęsącą się w rogu. Dopadł do niej,

oddalając się od światła, lecz nie na tyle, aby nie zauważyć, jak bladą ma twarz. Prawe ramię i pierś Beth były umazane krwią.

Klęknął, trzymając ją w ramionach, nie zwracając uwagi na brud i oblepiające go pajęczyny. Czuł, że Beth płacze.

- Już wszystko w porządku. Jesteś bezpieczna.

Jeżeli nawet coś odpowiedziała, to nie usłyszał. Był ogłuszony i zbyt pochłonięty prowadzeniem jej w stronę stopni, a następnie w górę ku światłu latarki. Policjant, zaskoczony nagością Beth, pomógł jej wyjść z tunelu. Decker okrył ją brudną koszulą zabraną z kosza w pralni. Zataczała się i musiał ją podtrzymywać, kiedy szli korytarzem w stronę drzwi wejściowych.

Decker zdał sobie sprawę, że policjant coś do niego krzyczy, ale wciąż nic nie słyszał.

- Panel kontrolny alarmu jest niedaleko drzwi frontowych! Zaraz to wyłączę!

Dotarł do panelu znajdującego się na ścianie przy wyjściu z korytarza i zdziwił się, że jest podświetlony, pomimo wyłączonego prądu, po czym przypomniał sobie, że system alarmowy wyposażono w baterię zapewniającą zapasowe źródło mocy. Wcisnął kilka guzików i wyraźnie się rozluźnił, kiedy alarm ucichł.

- Dzięki Bogu - szepnął. Teraz musiał się zмагаć już tylko z dzwonieniem w uszach. Wciąż podtrzymywał Beth. Z niepokojem poczuł, że zwymiotowała. - Potrzebujemy karetki.

- Gdzie jest telefon? - zawołał policjant.

- Nie działa! Odłączyli prąd! Odcięli też linię telefoniczną! -  
Odczuwał ulgę w uszach. Słyszał już trochę lepiej.

- Co tu się stało?

Ku przerażeniu Deckera, Beth osunęła się na ziemię.

Podtrzymał ją po czym ostrożnie położył na ceglanej podłodze w przedsionku. Czuł chłodny podmuch od strony otwartych drzwi wejściowych.

- Niech pan wezwie pomoc! Ja z nią zostanę!

- Użyję radia w samochodzie! - Policjant wybiegł z domu. Spoglądając w tamtą stronę, Decker zobaczył dwa nieruchome reflektory lśniące za bramą prowadzącą na podwórze. Policjant zniknął za nimi. Potem Decker zwracał uwagę już tylko na Beth. Uklęknął przy niej, głaszcząc ją po czole.

- Trzymaj się. Wszystko będzie dobrze. Zaraz przyjedzie karetka.

Po chwili policjant wrócił i nachylił się nad nim, mówiąc coś, czego Decker nie słyszał.

- Karetka za chwilę tu będzie - powiedział Decker do Beth. Miała lepkie i zimne czoło. - Wszystko będzie dobrze.

Muszę ją czymś przykryć, pomyślał. Muszę ją ogrzać. Gwałtownie otworzył stojącą za nim szafę, chwycił płaszcz i okrył nim Beth.

Policjant nachylił się i odezwał głośniej. Teraz Decker go usłyszał.

- Drzwi wejściowe były otwarte, kiedy przyjechałem! Co się stało? Mówił pan, że ktoś się włamał?

- Tak. - Decker nie przestawał głaskać włosów Beth, pragnąc, aby policjant dał mu spokój. - Musieli wejść zarówno od przodu, jak i od tyłu.

- Kto?

- Mężczyzna w przedpokoju. Inni.

- Inni?

- W mojej sypialni.

- Co?

- Trzech. Może czterech. Wszystkich zastrzeliłem.

- Jezu - powiedział policjant.

## **Rozdział piąty**

### **1**

Chaotycznie krzyżujące się światła samochodów rozjaśniały rozległy, zwirowy podjazd przed domem Deckera. Dudniły silniki. Trzeszczały radia. Niesamowite światło na każdym kroku wydobywało z ciemności sylwetki samochodów: radiowozów, furgonetek, olbrzymiej ciężarówki należącej do służb publicznych Nowego Meksyku, szybko odjeżdżającej karetki.

Decker, zupełnie nagi pod płaszczem niesięgającym kolan, z drzeniem oparł się o tynkowaną ścianę obok bramy, rozpaczliwie wpatrując się w znikające w ciemnościach światła karetki. Zignorował policjantów, w migoczącym świetle latarek przeszukujących teren wokół domu. Minęli go medycy sądowi niosący sprzęt.

- Przykro mi - odezwał się jeden z policjantów, krępy Latynos, który pierwszy przybył na miejsce i przedstawił się jako Sanchez. - Wiem, jak bardzo chciałby pan pojechać ze swoją przyjaciółką do szpitala, ale musi pan zostać i odpowiedzieć na kilka pytań.

Decker milczał, wciąż wpatrując się w światła karetki, które stawały się coraz mniejsze.

- Sanitariusze powiedzieli, że nic jej nie będzie - ciągnął Sanchez. - Kula przeszła przez prawe ramię. Wydaje się, że ominęła kość. Zatomowali krwawienie.

- Szok - rzekł Decker. - Moja przyjaciółka jest w szoku.

Policjant sprawiał wrażenie zakłopotanego, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Tak, to prawda. Jest w szoku.

- A szok może zabić.

Światła karetki znikły. Kiedy Decker się odwrócił, zauważył jakiś chaotyczny ruch w miejscu oświetlonym reflektorami furgonetki i wielkiej ciężarówki służb publicznych. Poczuł nagłe napięcie, gdy zobaczył, że policjanci pospiesznie prowadzą w jego kierunku dwóch cywilów. Czyżby policja złapała kogoś związanego z atakiem? Wściekły podszedł do otwartej bramy, ignorując Sancheza i skupiając całą uwagę na zbliżających się postaciach.

Mężczyzna i kobieta. Decker ujrzał ich twarze oświetlone przez pobliskie reflektory i od razu się uspokoił.

Dwaj eskortujący ich policjanci z wyrazem determinacji na twarzy dotarli do bramy.

- Spotkaliśmy ich na ulicy. Twierdzą że są pana sąsiadami.

- Tak, mieszkają naprzeciwko. - Decker nadal słyszał nieprzyjemne dzwonięcie w uszach, choć nie było już ono tak dotkliwe. - To państwo Hansonowie.

- Usłyszeliśmy strzały - odezwał się pan Hanson, niski mężczyzna z brodą.

- Oraz alarm - dodała jego siwowłosa żona. Oboje mieli na sobie pogniecione ubrania, jakby w pośpiechu włożyli na siebie, co było pod ręką. - Początkowo sądziliśmy, że na pewno się przesłyszeliśmy. Skąd strzały w pana domu? Nie mogliśmy w to uwierzyć.

- Ale nie dawało nam to spokoju - rzekł pan Hanson. - No więc zadzwoniliśmy na policję.

- I bardzo dobrze państwo zrobili - odparł Decker. - Dziękuję.

- Wszystko w porządku?

- Tak mi się wydaje. - Od napięcia Deckera bolało całe ciało. - Nie jestem pewien.

- Co się stało?

- Ja też chciałbym o to zapytać - rozległ się nowy głos. Zaskoczony Decker wyrzwał poza bramę i w świetle reflektorów ujrzał zbliżającego się mężczyznę. Przybysz był wysoki i muskularny. Miał na sobie skórzany kowbojski kapelusz, dżinsową koszulę, wyblakłe niebieskie dżinsowe spodnie i zakurzone kowbojki. Kiedy Sánchez poświecił w jego stronę latarką Decker zobaczył, że mężczyzna jest Latynosem. Miał wąską przystojną twarz, ponure oczy i ciemne włosy sięgające ramion. Wyglądał na trzydzieści kilka lat.

- Luis. - Mężczyzna przywitał Sancheza skinieniem głowy.

- Frederico. - Sánchez odpowiedział takim samym gestem.

Przybysz skupił uwagę na Deckerze.

- Jestem sierżant Esperanza. - Hiszpański akcent w jego głosie podkreślał wszystkie głoski r.

Deckerowi przeszło przez myśl, że po hiszpańsku esperanza oznacza nadzieję.

- Wiem, że przeszedł pan przez piekło, panie...?

- Decker. Stephen Decker.

- Na pewno jest pan wystraszony i zagubiony. Martwi się pan o swoją przyjaciółkę. Jak ona się nazywa?

- Beth Dwyer.

- Czy mieszka tutaj z panem?

- Nie. Jesteśmy sąsiadami. Mieszka tuż obok. Esperanza przez chwilę się nad tym zastanawiał, po czym najwyraźniej doszedł do logicznego wniosku.

- No cóż, im szybciej ustalimy, co się stało, tym szybciej będzie pan mógł odwiedzić swoją przyjaciółkę w szpitalu. Proszę więc poczekać i odpowiedzieć na kilka moich pytań...

Nagle rozbłysła lampa nad drzwiami wejściowymi, podłączona do wykrywacza ruchu. Jednocześnie zapaliło się światło w przedsionku, a jego blask wydostał się przez otwarte drzwi.

Decker usłyszał zadowolone komentarze policjantów przeszukujących teren wokół domu.

- Nareszcie - odezwał się Esperanza. - Wygląda na to, że służby publiczne Nowego Meksyku rozwiązały problem z instalacją elektryczną. Niech pan powie Sanchezowi, gdzie znajdują się włączniki zewnętrznych świateł.

Decker czuł drapanie w gardle, jakby nawdychał się kurzu.

- Zaraz za drzwiami wejściowymi.

Sánchez nałożył gumowe rękawiczki i wszedł do domu. Po chwili zapaliły się światła wzdłuż muru okalającego podwórze i pod portalem prowadzącym do drzwi wejściowych. Następnie Sánchez zapalił światła w salonie. Przyjemny blask wydobywający się przez okna oświetlił podwórze.

- Doskonale - ucieszył się Esperanza.

Światła wydobyły z ciemności berettę 9 mm tkwiącą w kaburze przy jego pasie. Teraz wyglądał na jeszcze szczuplejszego niż w słabym świetle reflektorów i latarek. Miał ogorzałą twarz człowieka, który spędza dużo czasu pod gołym niebem, i śniadą cerę, szorstką jak wyprawiona skóra. Już szykował się do zadania jakiegoś pytania, kiedy podszedł do niego policjant i wskazał mężczyznę stojącego za otwartą bramą robotnika w kombinezonie z napisem: Służba publiczna Nowego Meksyku.

- Tak, chciałbym z nim porozmawiać. Przepraszam - rzekł do Deckera, po czym oddalił się w stronę robotnika.

Państwo Hansonowie wydawali się przytłoczeni otaczającym ich zamieszaniem.

- Proszę pójść ze mną - odezwał się do nich jeden z policjantów.  
- Muszę państwu zadać kilka pytań.

- Mamy nadzieję, że uda nam się jakoś pomóc.

- Dziękuję - powtórzył Decker. - Mam wobec państwa dług wdzięczności.

Esperanza minął ich w drodze powrotnej.

- Wygodniej będzie panu rozmawiać w środku - odezwał się do Deckera. - Pewnie zmarzły panu stopy.

- Dlaczego?

- Nie ma pan butów.

Decker popatrzył w dół na swoje bose stopy stojące na wyłożonym ceglami podwórzu.

- Tyle się wydarzyło, że zupełnie zapomniałem.

- Pewnie chciałby się pan też pozbyć tego płaszcza i włożyć coś innego.

- W mojej sypialni była strzelanina.

Esperanza wyglądał na zaskoczonego tą pozorną zmianą tematu.

- W schowku na ubrania też - dodał Decker.

- Tak? - Esperanza uważnie mu się przyglądał.

- To jedyne miejsca, w których trzymam ubrania. Teraz Esperanza zrozumiał.

- Racja. Dopóki ludzie z laboratorium nie skończą pracy w sypialni, niestety nie będzie pan mógł tam niczego ruszać. - Jeszcze uważniej przyglądając się Deckerowi, gestem zaprosił go do środka.

- Odcięli prąd na słupie obok pana domu - powiedział Esperanza.

Razem z Deckerem siedzieli przy stole w kuchni, podczas gdy policjanci i medycy sądowi oglądali sypialnię i schowek. Błyskały flesze policyjnych aparatów. Deckera wciąż bolały bębunki w uszach, ale dzwonięcie złagodniało. Słyszał ostre szuranie rozpakowywanego sprzętu, gwar głosów, mężczyznę mówiącego coś o „strefie wojny”.

- Słup stoi trzydzieści metrów od zwirowej uliczki, za drzewami - odezwał się Esperanza. - Żadnych latarni. Domy daleko od siebie. W środku nocy nikt nie zauważył człowieka wspinającego się na słup i przecinającego kabel. Podobnie z linią telefoniczną. Przecięli ją przy skrzynce z boku domu.

Pomimo płaszcza Decker drżał, odczuwając skutki niedawnego przyływu adrenaliny. Popatrzył w stronę salonu, gdzie kręcili się śledczy. Cały czas myślał o Beth. Co się dzieje w szpitalu? Czy z nią wszystko w porządku?

- Mężczyźni, którzy się włamali, mieli przy sobie dokumenty - rzekł Esperanza. - Sprawdźmy, kim byli. Może wtedy dowiemy się, o co w tym wszystkim chodzi. Ale... panie Decker, jakie pan ma podejrzenia?

Oto jest pytanie, pomyślał. O co, na Boga, w tym wszystkim chodzi? Podczas ataku był zbyt zaskoczony i zajęty chronieniem Beth, aby przeanalizować sytuację. Kim, do diabła, byli ci ludzie? Dlaczego się włamali? Pomimo szoku był pewien dwóch rzeczy - atak miał coś wspólnego z jego dawnym życiem, a kwestie bezpieczeństwa

narodowego sprawiały, że w żadnym wypadku nie mógł powiedzieć Esperanza niczego o swojej przeszłości.

Przybrał zdziwioną minę.

- Sądziłem, że to włamywacze.

- Włamywacze zazwyczaj pracują samotnie lub w parach - odparł Esperanza. - Czasami w trójkach. Ale nigdy w swojej karierze nie spotkałem się z czteroosobową grupą. Chyba że zamierzali ukraść coś dużego, na przykład meble, ale wtedy powinni użyć furgonetki, a my jej nie znaleźliśmy. Tak naprawdę w sąsiedztwie nie znaleźliśmy żadnego podejrzanego samochodu. Co więcej, napastnicy włamali się o niewłaściwej porze. Wczoraj wieczorem zaczęła się fiesta, więc większość ludzi wyszła się bawić. Zrobiliby mądrzej, gdyby najpierw obserwowali dom, aby upewnić się, że pan wyszedł, i dopiero wtedy się włamali, zaraz po zapadnięciu zmroku. Byli na tyle sprytni, że odcięli telefon i prąd, a jednak źle wybrali moment włamania.

Decker czuł się fatalnie. Spięty i wykończony, potarł dłonią czoło.

- Może nie myśleli logicznie. Może byli pod wpływem narkotyków. Skąd, do cholery, możemy wiedzieć, jak rozumują włamywacze?

- Włamywacze uzbrojeni w obrzyn, dwa uzi i MAC-a-dziesięć. Kogo spodziewali się tutaj zastać, brygadę antyterrorystyczną?

- Panie sierżancie, kiedyś pracowałem w Alexandrii w stanie Wirginia. Często podróżowałem do Waszyngtonu. Z tego, co słyszałem w telewizji i czytałem w gazetach, teraz każdy handlarz

narkotyków i złodziej samochodów dysponuje czymś takim, jak MAC-dziesięć albo uzi. Dla nich pistolety maszynowe to symbol statusu.

- Owszem, na Wschodzie. Ale jesteśmy w Nowym Meksyku. Od jak dawna pan tu mieszka?- Mniej więcej od roku i trzech miesięcy.

- Więc wciąż się pan uczy. A może już pan sobie zdał sprawę z tego, że nie nazywają Santa Fe Innym Miastem bez powodu. Tutaj pod wieloma względami wciąż obowiązują zasady Dzikiego Zachodu. Stosujemy staroświeckie metody. Jeśli chcemy kogoś zastrzelić, używamy pistoletu, ewentualnie strzelby. Podczas piętnastu lat służby nigdy nie spotkałem się z przestępstwem z użyciem broni szturmowej. Skoro już przy tym jesteśmy, panie Decker...

- Tak?

- Czy kiedykolwiek służył pan w policji?

- W policji? Nie. Handluję nieruchomościami. Skąd przyszło to panu do głowy...?

- Sánchez powiedział, że kiedy pana znalazł, zachowywał się pan tak, jakby dobrze znał policyjne procedury i wiedział, jak rozumie stróż prawa w potencjalnie niebezpiecznej sytuacji. Powiedział, że wyraźnie pan podkreślał, że trzyma podniesione ręce podczas wychodzenia z pralni, i że je pan pokazał przed wyjściem z ukrycia. To bardzo nietypowe zachowanie.

Decker potarł dłonią bolące czoło.

- Wydawało mi się to logiczne. Bałem się, że policjant uzna mnie za zagrożenie.

- A kiedy kazałem się panu ubrać, przyjął pan za oczywiste, że nie może wejść do sypialni, dopóki nie skończą tam pracować medycy sądowi.

- To też wydawało mi się logiczne. Widziałem w telewizji wiele programów o pracy policji.

- A gdzie pan się nauczył tak dobrze strzelać?

- W wojsku.

- Aha.

- Proszę posłuchać, muszę się dowiedzieć, jak się czuje moja przyjaciółka.

Esperanza skinął głową.

- Tak się o nią martwię, że w ogóle nie mogę się skupić.

Esperanza ponownie skinął głową.

- Wie pan co, może wstąpimy do szpitala w drodze na posterunek?

- Na posterunek? - zdziwił się Decker.

- Musi pan złożyć zeznania.

- Myślałem, że właśnie to robię.

- Na posterunku odbędzie się oficjalne przesłuchanie. Telefon, pomyślał Decker. Musi znaleźć automat i zadzwonić do swojego byłego przełożonego. Musi opowiedzieć mu o tym, co się stało. Musi się dowiedzieć, co zamierzają z tym zrobić. Jeden z policjantów wszedł do kuchni.

- Sierżancie, medyk sądowy już skończył i pan Decker może wejść do sypialni po ubranie.

Decker wstał.

- Kiedy już tam będziemy, niech nam pan przedstawi dokładny przebieg wydarzeń - rzekł Esperanza. - Bardzo by nam pomogło, gdybyśmy dowiedzieli się, jak to się wszystko rozgrywało. Poza tym...

- Tak?

- Wiem, że to będzie trudne, ale mamy do czynienia z bardzo nietypową sytuacją. Oszczędziłoby nam to dużo czasu, gdybyśmy dowiedzieli się od razu, a nie jutro.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - odparł Decker. - Co mam zrobić?

- Przyjrzeć się twarzom.

- Słucham?

- Twarzom zabitych. Tutaj, a nie w kostnicy. Może uda się panu ich rozpoznać. Wcześniej, w ciemności, nie mógł się im pan dokładnie przyjrzeć. Teraz, kiedy włączyliśmy światła...

Decker bardzo chciał przyjrzeć się ciałom, na wypadek gdyby rzeczywiście udało mu się rozpoznać napastników, ale musiał udawać niechęć.

- Obawiam się, że mój żołądek... chyba bym wymiotował.

- Nie zmuszamy pana. Istnieją inne wyjścia. Medycy sądowi robią zdjęcia. Może je pan obejrzeć. Albo rzucić okiem na ciała w kostnicy. Jednak zdjęcia nie zawsze są w stanie uchwycić podobieństwo, a stężenie pośmiertne może zniekształcić rysy zmarłych, więc nie będą się panu wydawali znajomi, nawet jeśli już kiedyś ich pan spotkał. Ale teraz, wkrótce po ataku, istnieje większa

szansa na...Decker nie mógł przestać myśleć o Beth. Musi dostać się do szpitala. Wciąż udając wahanie, odpowiedział:

- Mój Boże, no dobrze. Przyjrę się im.

### 3

Ubrany w dżinsy i szary wełniany sweter, Decker siedział na twardym fotelu w prawie pustej poczekalni oddziału nagłych przypadków w szpitalu imienia św. Wincentego. Wskazówki zegara na ścianie zbliżały się do szóstej trzydzieści. Fluorescencyjne światła na suficie drażniły mu oczy. Po lewej stronie, za drzwiami do poczekalni, Esperanza rozmawiał z policjantem stojącym obok nastolatka z posiniaczoną twarzą przypiętego do noszy na kółkach. Znoszone buty Esperanzy, jego wyblakłe dżinsy, sięgające ramion włosy i skórzany kowbojski kapelusz sprawiały, że zupełnie nie wyglądał na śledczego.

Kiedy pielęgniarz wepchnął nosze przez elektronicznie otwierane wahadłowe drzwi prowadzące na oddział, Esperanza wszedł do jasno oświetlonej poczekalni. Długie nogi i szczupła postura upodabniały jego kroki do eleganckich ruchów pantery. Wskazał palcem nosze.

- Ofiara wypadku. Jechał po pijanemu. Typowe w czasie fiesty. Wiadomo już coś o pana przyjaciółce?

- Nie. Recepcjonistka powiedziała, że lekarz wyjdzie ze mną porozmawiać.

Decker jeszcze głębiej zapadł się w fotel. Czuł się tak, jakby głowę owinięto mu pasami. Potarł twarz, wyczuwając drapiący zarost i czując zapach prochu na dłoniach. Wciąż myślał o Beth.

- Czasami, pod wpływem stresu, pamięć może nas zawodzić - odezwał się Esperanza. - Na pewno nie rozpoznał pan żadnego z obejrzanych ciał?

- Jestem pewien, że nigdy wcześniej ich nie widziałem.

Wciąż czuł w nozdrzach słodki zapach krwi. Zabici mężczyźni mieli po dwadzieścia kilka lat. Wszyscy byli silnie zbudowani, ubrani w ciemne stroje i mieli śródziemnomorskie rysy, być może greckie lub francuskie. Chyba że...? Poprzedniego wieczoru, podczas przyjęcia, rozmyślał o swoim ostatnim zadaniu dla agencji. Rzym. Czy zamachowcy o oliwkowej cerze mogli być Włochami? Czy atak na jego dom miał coś wspólnego z tym, co wydarzyło się w Rzymie rok i trzy miesiące temu? Gdyby tylko Esperanza zostawił go na chwilę w spokoju, mógłby skorzystać z telefonu.

- Panie Decker, spytałem, czy służył pan kiedyś w policji, ponieważ nie mogę wyjść z podziwu nad tym, czego pan dokonał. Czterej mężczyźni włamują się do pana domu uzbrojeni w pistolety maszynowe. Rozwalają wszystko na kawałki. A pan ich zabija za pomocą zwykłego pistoletu. Czy nie wydaje się to panu dziwne?

- Wszystko w tej sprawie wydaje mi się dziwne. Wciąż nie mogę uwierzyć, że...

- Słyszając włamywaczy, większość ludzi schowałaby się ze strachu.

- Dlatego Beth i ja wbiegliśmy do schowka.

- Ale najpierw zabrał pan pistolet, który trzyma pan w szafce przy łóżku. Wspominał pan, że handluje nieruchomościami.

- Tak.

- Po co panu pistolet koło łóżka?

- Do obrony.

- Z doświadczenia wiem, że pistolet w domu przynosi więcej szkody niż pożytku - odparł Esperanza. - Ludzie nie potrafią posługiwać się bronią. Kończy się na postrzeleniu członków rodziny lub przypadkowych świadków. Oczywiście mamy w okolicy mnóstwo klubów strzeleckich, a także wielu myśliwych. Jednak nieważne, jak dużo ćwiczy się na strzelnicy lub jak często jeździ na polowania. Kiedy atakuje pana czterech facetów uzbrojonych w ciężką artylerię, to najwyżej zdąży się pan zlać w spodnie przed śmiercią.

- Ja też się bałem.

- Ale to panu nie przeszkodziło. Gdyby był pan kiedyś w policji i brał udział w strzelaninach, mógłbym to zrozumieć.

- Mówiłem panu, że służyłem w wojsku.

- Tak. - Zmarszczki wokół oczu Esperanzy się pogłębiły. - Wspominał pan. W jakiej formacji pan służył?- W komandosach. Proszę posłuchać, nie wiem, do czego pan zmierza - odparł Decker niecierpliwie. - W wojsku nauczyłem się posługiwać pistoletem, a kiedy pojawiła się taka konieczność, okazało się, że na szczęście wciąż posiadam tę umiejętność. Przez pana czuję się, jakbym zrobił coś złego. Czy to zbrodnia bronić siebie i przyjaciółkę przed bandą,

która włamuje się do mojego domu i zaczyna strzelać? Wszystko stało na głowie. Przestępcy są bohaterami, a uczciwi obywatele...

- Panie Decker, wcale nie twierdzą, że zrobił pan coś złego. Będziemy musieli przeprowadzić śledztwo, a pan będzie musiał złożyć zeznania. Takie jest prawo. Wszystkie przypadki użycia broni, nawet te usprawiedliwione, muszą zostać dokładnie zbadane. Jednak prawda jest taka, że podziwiam pana zaradność i przytomność umysłu. Niewielu zwykłych obywateli przetrwałoby to, co pana spotkało. Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czyja sam poradziłbym sobie w takich okolicznościach lepiej od pana.

- W takim razie nie rozumiem. Skoro nie zrobiłem nic złego, to o co panu chodzi?

- Po prostu stwierdzam fakty.

- Cóż, ja też podam panu pewien fakt. Przeżyłem tylko dlatego, że się wściekłem. Wpadłem w furję. Te dranie włamały się do mojego domu. Sukinsyny. Postrzelili moją przyjaciółkę. Tak się wściekłem, że przestałem się bać. Chciałem tylko ochronić Beth i, dzięki Bogu, udało mi się to zrobić. Jestem z tego dumny. Nie wiem, czy powinienem się do tego panu przyznawać, ale tak, jestem dumny. Może takich rzeczy nie mówi się policjantowi, ale trudno. Gdybym musiał, ponownie zrobiłbym dokładnie to samo i wciąż bym nie żałował. Ponieważ powstrzymałem tych drani przed zabiciem Beth.

- Jest pan niezwykłym człowiekiem, panie Decker.

- Żaden ze mnie bohater.

- Tego nie powiedziałem.

- Po prostu mam niesamowite szczęście.

- Jasne.

W wejściu do poczekalni pojawił się lekarz. Był to niski i drobny trzydziestokilkulatek, ubrany w zielony szpitalny fartuch, ze stetoskopem na szyi. Nosił okulary o małych okrągłych szklach.

- Czy któryś z panów to Stephen Decker? Decker szybko wstał.

- Czy może mi pan powiedzieć, jak się czuje moja przyjaciółka?

- Odniosła powierzchowną ranę tuż poniżej ramienia. Krwotok został powstrzymany. Ranę wyjałowiono i zaszyto. Pacjentka dobrze reaguje na leki. Jeśli nie pojawią się żadne nieprzewidziane komplikacje, powinna szybko wrócić do zdrowia.

Decker zamknął oczy.

- Dzięki Bogu - szepnął.

- Owszem, jest za co dziękować - rzekł lekarz. - Kiedy pana przyjaciółkę przywieziono do szpitala, była w szoku. Miała niskie ciśnienie i nieregularne tętno. Na szczęście wskazania wróciły do normy.

Wróciły do normy? Decker bał się, że ich życie już nigdy nie będzie normalne.

- Kiedy będzie mogła wyjść ze szpitala?

- Jeszcze nie wiem. Zobaczymy, jak szybko będzie przebiegać rekonwalescencja.

- Czy mogę się z nią zobaczyć?

- Potrzebuje odpoczynku. Tylko przez chwilę. Podeszedł do nich Esperanza.

- Czy jest na tyle przytomna, aby złożyć zeznania? Lekarz pokręcił głową.

- Gdybym nie uważał, że spotkanie z panem Deckerem będzie miało na nią terapeutyczny wpływ, nawet jemu nie pozwoliłbym na rozmowę.

#### 4

Beth była bardzo blada. Jej kasztanowe włosy, zazwyczaj puszyste, były potargane i pozbawione blasku. Miała zapadnięte oczy. Mimo to w jego oczach nigdy nie wyglądała pięknie.

Kiedy lekarz wyszedł, Decker zamknął drzwi, odgradzając ich od hałasów dobiegających z korytarza. Przez chwilę przyglądał się Beth ze ściśniętym gardłem, po czym podszedł do łóżka, wziął ją za zdrową rękę i pocałował.

- Jak się czujesz? - Uważał, aby nie ocierać się o rurkę kroplówki, wystającą z lewej ręki Beth.

Ospale wzruszyła ramionami, najwyraźniej odczuwając skutki środków uspokajających.

- Lekarz mówi, że wszystko jest w porządku - rzekł Decker. Spróbowała się odezwać, ale nie zrozumiał, co powiedziała. Ponowiła próbę, oblizała wysuszone usta, po czym wskazała plastikowy kubek napełniony wodą. Wystawała z niego zakrzywiona słomka, którą Decker wsunął jej między wargi. Wypiła trochę płynu.

- A jak ty się czujesz? - spytała zachrypniętym szeptem.

- Roztrzęsiony.

- No tak - odpowiedziała z trudem.

- Jak ramię?

- Boli. - Opadały jej powieki.

- Nic dziwnego.

- Boję się myśleć, co będzie... - Beth się skrzywiła -...kiedy przestaną działać środki przeciwbólowe. - Na chwilę udało jej się mocniej zacisnąć palce na jego dłoni. Potem uścisk osłabł. Zaczęły jej opadać powieki. - Dziękuję.

- Nigdy nie pozwoliłbym cię skrzywdzić.

- Wiem.

- Kocham cię.

Decker ledwie dosłyszał jej następne słowo:

- Kim...?

Dokończył pytanie, które według niego próbowała zadać:

- Kim oni byli? Nie wiem. - Czuł suchość w ustach. Mógł myśleć tylko o tym, że kobieta, której poświęcił swoje życie, znalazła się w szpitalu z jego powodu. - Ale uwierz mi, że zamierzam się dowiedzieć.

Beth już go nie słyszała. Jej otoczone ciemną obwódką powieki opadły. Odplynęła w sen.

## 5

Brak snu sprawił, że poranne słońce boleśnie oślepiało Deckera, gdy Esperanza wiozł go wzdłuż Camino Lindo. Dochodziła dziewiąta trzydzieści. Ostatnie dwie godziny spędzili na posterunku. Teraz Esperanza zabierał go do domu.

- Przepraszam za wszystkie niedogodności - odezwał się muskularny oficer. - Ale sędzia prowadzący dochodzenie będzie chciał się upewnić, że wyeliminowałem wszystkie, nawet najbardziej absurdalne możliwości.

Decker starał się ukryć zdenerwowanie. Był przekonany, że zabicie czterech napastników nie zlikwidowało zagrożenia. Musiał się dowiedzieć, kto i dlaczego ich wysłał. Niewykluczone, że już obserwuje go kolejna grupa zamachowców. Kiedy mijała ich furgonetka stacji telewizyjnej, zapewne po nakręceniu materiału pod jego domem, Decker uznał, że obejrzenie się za nią będzie wyglądało naturalnie. W ten sposób mógł sprawdzić, czy nie jest śledzony, jednocześnie nie wzbudzając dalszych podejrzeń Esperanzy.

- Jedną z takich absurdalnych możliwości jest to, że jest pan handlarzem narkotyków, który wszedł w konflikt ze swoimi kolegami - rzekł Esperanza. - Nie dotrzymał pan obietnicy. Nie dostarczył pieniędzy, które był im winny. Dlatego w ramach przestrogi dla innych postanowili pana ukarać i wysłali czterech zabójców. Ale pan jest zaradnym facetem, więc zdołał ich pan wykończyć, a potem wszystko tak zaaranżował, aby wyglądało, że jest pan niewinnym człowiekiem, który ledwie uszedł z życiem.

- Zaaranżowałem też postrzelenie swojej przyjaciółki.

- Cóż, to tylko hipoteza. - Esperanza wykonał lekceważący gest.  
- Jedna z wielu teorii, których rozważenia i wyeliminowania wymaga ode mnie sędzia.

Zatrzymał radiowóz na ulicy przed domem Deckera, nie mogąc zaparkować na podjeździe ze względu na blokującą drogę dwa radiowozy i furgonetkę.

- Wygląda na to, że medycy sądowi jeszcze nie skończyli. Będzie się pan musiał trochę się wstrzymać z prysznicem.- Nie tylko dlatego. Właśnie sobie przypomniałem, że jeden z napastników przestrzelił bojler. Lepiej niech mnie pan podwiezie do domu obok.

Przez chwilę Esperanza sprawiał wrażenie zaskoczonego. Zmarszczki na czole czyniły jego przystojną twarz jeszcze bardziej chropawą. Potem skinął głową ze zrozumieniem.

- Racja, wspominał pan, że pana przyjaciółka mieszka tuż obok.

- Mam klucze - powiedział Decker.

Kiedy mijali grupkę gapiów stojących na poboczu i żywo interesujących się radiowozem, Decker z napięciem zastanowił się, czy któryś z nich nie stanowi dla niego zagrożenia.

- Jak się nazywała agencja handlu nieruchomościami, dla której pracował pan w Alexandrii? - spytał Esperanza.

- Agencja Rawleya-Hackmana.

- Pamięta pan ich numer telefonu?

- Nie używałem go on ponad roku, ale myślę, że tak. - Udał, że wysiła pamięć, po czym podyktował numer, a Esperanza go zapisał. - Przy czym nie rozumiem, czemu konieczne jest wciąganie ich w tę sprawę?

- To tylko część standardowego wywiadu środowiskowego.

- Sierzancie, zaczynam się czuć jak przestępca.

- Naprawdę? - Esperanza postukał palcami w kierownicę. - Jeśli przypomni pan sobie coś jeszcze, to znajdzie mnie pan w swoim domu.

## 6

Zamknął za sobą drzwi domu Beth i oparł się o nie, całkowicie wykończony. Z napięciem wsłuchał się w ciszę panującą wśród ceglanych ścian. Potem szybko wszedł do salonu i podniósł słuchawkę telefonu. W normalnych okolicznościach starałby się skorzystać z automatu, ale nie miał czasu do stracenia, a poza tym nic już nie było normalne. Chcąc choć trochę zadbać o dyskrecję, zdecydował się na połączenie na koszt rozmówcy, aby rozmowy nie odnotowano na rachunku Beth.

- Agencja Rawleya-Hackmana - odezwał się łagodny męski głos.

- Połączenie na koszt rozmówcy od Martina Kowalskiego. Czy zgadza się pan odebrać?

Imię i nazwisko, które Decker podał operatorowi, stanowiły kod stosowany w nagłych przypadkach.

- Tak - szybko odpowiedział mężczyzna. - Zgadzam się.

- Proszę, panie Kowalski.

Decker nie był pewien, czy operator nie słucha rozmowy.

- Czy pana aparat pokazuje numer, z którego dzwonię? - spytał osoby na drugim końcu linii.

- Oczywiście.

- Proszę do mnie oddzwonić.

Dziesięć sekund później rozległ się dzwonek telefonu.

- Halo.

- Martin Kowalski?

- Mój numer identyfikacyjny to osiem-siedem-cztery-cztery-pięć.

Decker usłyszał odgłos palców stukających w klawiaturę komputera.

- Stephen Decker?

- Tak.

- Według naszego rejestru przerwał pan współpracę z nami w czerwcu ubiegłego roku. Czemu nawiązuje pan kontakt?

- Ponieważ wczoraj w nocy czterech mężczyzn usiłowało mnie zabić.

Głos w słuchawce przez chwilę nie odpowiadał.

- Proszę powtórzyć. Decker to zrobił.

- Przełączam pana.

Kolejny męski głos był ostry i wyraźnie pobrzmiwał w nim autorytet.

- Proszę wszystko opowiedzieć.

Z wyuczoną zwięzłością Decker skończył relację w ciągu pięciu minut, precyzyjnie i obrazowo przedstawiając wszystkie szczegóły i nagłym tonem podkreślając ich wagę.- Uważa pan, że atak miał związek z pana współpracą z nami? - spytał funkcjonariusz.

- To najbardziej oczywiste wytłumaczenie. Możliwe, że zamachowcy byli Włochami. Swoje ostatnie zadanie wykonywałem

we Włoszech, w Rzymie. Skończyło się katastrofą. Proszę sprawdzić w archiwum.

- Właśnie mam tę sprawę na monitorze. Związek między wczorajszym atakiem i wydarzeniami w Rzymie wydaje się wątpliwy.

- To jedyne, co w tej chwili przychodzi mi do głowy. Chciałbym, abyście to sprawdzili. Sam nie dysponuję odpowiednimi środkami, aby...

- Nie jesteśmy już za pana odpowiedzialni - stanowczo przerwał głos.

- Ejże, co innego mówiliście, kiedy odchodziłem. Wtedy nie chcieliście dać mi spokoju. Myślałem, że nigdy nie przestaniecie mnie kontrolować. Cholera, jeszcze dwa miesiące temu mnie obserwowaliście. Więc niech pan przestanie pieprzyć i uważnie mnie posłucha. Śledztwo w sprawie ataku prowadzi miejscowy oficer śledczy, Esperanza. Najwyraźniej uważa, że coś się nie trzyma kupy w mojej wersji. Na razie udaje mi się go zwodzić, ale jeżeli coś mi się stanie, jeśli kolejna grupa zamachowców zdoła dopełnić dzieła rozpoczętego przez poprzedników, to on będzie jeszcze bardziej zdeterminowany. Może dowiedzieć się o wiele więcej, niż wam się wydaje.

- Postaramy się, aby odpuścić.

- Mam nadzieję - odparł Decker. - Zawsze byłem lojalny - dodał z naciskiem. - Tego samego oczekuję od was. Załatwcie mi jakieś wsparcie. Dowiedzcie się, kto wysłał zamachowców.

Głos przez chwilę nie odpowiadał.

- Mam na ekranie numer, z którego pan dzwoni. Czy za jego pomocą mogę bezpiecznie się z panem kontaktować?

- Nie. To ja do was oddzwonię.

- Za sześć godzin. - Mężczyzna się rozłączył. Decker szybko odłożył słuchawkę i zdziwił się, gdy telefon zadzwonił. Odebrał, marszcząc przy tym brwi.

- Słucham?

- Zakładam, że nie miał pan czasu wziąć prysznica. - Decker od razu rozpoznał ten melodyjny, niemal śpiewający głos. Esperanza.

- To prawda. Skąd pan wie?

- Telefon był zajęty. Próbowałem się z panem skontaktować.

- Musiałem zadzwonić do kilku klientów i odwołać prezentacje domów.

- Już pan skończył? Mam nadzieję, bo chciałbym, aby pan tu przyszedł. Mam kilka interesujących informacji.

7

- Z dokumentów mężczyzn, których pan zastrzelił, wynika, że pochodzą z Denver - powiedział Esperanza.

Stali w salonie Deckera. Za nimi ekipa śledcza zbierała się do wyjścia, wynosząc sprzęt do furgonetki i dwóch radiowozów.

- Z tym, że do Denver jest aż osiemset kilometrów - kontynuował Esperanza. - Strasznie daleka wyprawa jak na zwykłe włamanie. Mogli to zrobić w Kolorado.

- Może przejeżdżali przez Santa Fe i skończyły im się pieniądze - odparł Decker.

- To nie tłumaczy pistoletów maszynowych i tego, że od razu otworzyli ogień.

- Pewnie się przestraszyli, kiedy odkryli, że ktoś jest w domu.

- Możliwe też, że Denver to fałszywy trop - odrzekł Esperanza. - Poprosiłem o pomoc tamtejszą policję. Okazało się, że nikt taki nie mieszka pod adresami z dokumentów. Co więcej, trzy z tych adresów w ogóle nie istnieją. Pod czwartym znajduje się kostnica.

- Mieli dziwne poczucie humoru.

- Oraz dostęp do autentycznie wyglądających fałszywych kart kredytowych i praw jazdy. Musimy więc kopać głębiej - stwierdził Esperanza. - Posłałem FBI ich odciski palców.

Jutro lub pojutrze powinniśmy wiedzieć, czy federalni mają ich w swojej bazie danych. Powiadomiłem też Biuro ds. Alkoholu, Tytoniu, Broni i Materiałów Wybuchowych. Numery seryjne na obu uzi i na MAC-u-dziesięć zostały wypalone kwasem, ale oni mają sposoby na ich przywrócenie. Jeśli im się uda, to numery mogą nam dać jakąś wskazówkę, na przykład gdzie kupiono, czy raczej skradziono tę broń. Ale nie o tym chciałem z panem porozmawiać. Decker czekał w napięciu.

- Przejdźmy się. Chcę panu coś pokazać na tyłach domu.

Co pokazać? Decker niepewnie przeszedł razem z Esperanza wzdłuż korytarza, mijając wejście do sypialni. Ciała zabrano. Smród korytarza wciąż unosił się w powietrzu. Słońce wpadało przez szyby, z których jedną roztrzaskała kula. W jego blasku wyraźnie było widać sporą ilość krwi, która zaschła na podłogowych płytkach, zmieniając

kolor na czarny. Decker rzucił okiem w kierunku sypialni i zobaczył podziurawiony kulami materac i poduszki. Czarny grafitowy proszek służący do zdejmowania odcisków palców był wszędzie. Decker ubrudził sobie nim rękę, kiedy przekręcił gałkę w drzwiach na końcu korytarza.

- Usłyszał pan, jak otwierają ten zamek. - Esperanza wyszedł do małego ogrodu porośniętego jukami, różami i niskimi roślinami zimozielonymi. - Najpierw przeszli przez ogrodzenie na to podwórze. - Gestem zachęcił Deckera, aby ten spojrzął ponad sięgającym mu do piersi murem. - Widzi pan, w którym miejscu zgnetli trawę? Dalej na piasku znaleźliśmy liczne ślady butów, które pasują do śladów zostawionych w domu.

Esperanza poszedł kawałek wzdłuż muru i dopiero tam przeskoczył na drugą stronę, aby nie zdeptać wskazanych wcześniej śladów. Począł, aż Decker zrobi to samo.

Mrużąc oczy w ostrym słońcu, Decker zeskoczył z muru w pobliżu dwóch żółtych policyjnych taśm przywiązanych do sosen w celu odgródzenia znalezionych śladów.

- Ma pan spory teren. - Buty Esperanzę chrzęściły na żwirowym podłożu, gdy szedł wzdłuż śladów, prowadząc Deckera w dół stromego zbocza. Mijali juki, sosny i gęste, sięgające do piersi krzewy przypominające bylicę, których nasiona przybrały typowy we wrześniu musztardowy kolor.

Cały czas Esperanza wskazywał ślady. Minęli jałowce porastające coraz bardziej strome zbocze. U jego podnóża poszli

wzdłuż śladów obok rowu, aż wyszli na okoloną topolami ulicę. Decker rozpoznał, że to Fort Connor Lane. Odciski butów znikły, ale na żwirze widoczne były wgłębienia po kołach, jak gdyby szybko ruszył stąd samochód.

- Spacer zajął nam więcej czasu, niż przypuszczałem - powiedział Esperanza. - Kilka razy prawie straciliśmy grunt pod nogami.

Decker skinął głową czekając na wnioski.

- I to w środku dnia. Niech pan sobie wyobrazi, jak długotrwałe i trudne musiało to być w nocy. Po co tak się męczyci? Proszę się rozejrzeć po tej ulicy. Drogie domy, rozstawione daleko od siebie. Łatwy łup. Czemu więc ci czterej mężczyźni przyjechali tutaj, wysiedli z samochodu, zrezygnowali z prostego rozwiązania i postanowili włóczyć się po całej okolicy? Przecież stąd nawet nie widać, czy na górze są jakiegokolwiek domy.

- Nie wiem, do czego pan zmierza - odparł Decker.

- Pana dom nie został wybrany przypadkowo. Doskonale wiedzieli, gdzie się włamują. To pan był ich celem.

- Co takiego? Przecież to szaleństwo. Dlaczego ktokolwiek chciałby mnie zabić?

- No właśnie. - Ciemne spojrzenie Esperanzy przybrało na intensywności. - Coś pan ukrywa.

- Niczego nie ukrywam - odrzekł Decker z naciskiem. - Powiedziałem panu wszystko, co przychodziło mi do głowy.

- Więc niech się pan nad tym zastanowi. Ktoś odjechał ich samochodem. Być może wróci z kolejną grupą zamachowców, aby dokończyć dzieła.

- Czy pan mnie próbuje przestraszyć, sierżancie?

- Dla bezpieczeństwa zostawię w pana domu policjanta.

## 8

Decker jeszcze nigdy nie czuł się tak nagi, jak w chwili, kiedy zdjął ubranie i wszedł pod prysznic. Nie chcąc przebywać poza domem dłużej niż to konieczne, porzucił pomysł powrotu do domu Beth i wykąpania się w jej łazience. Musiał zadowolić się zimną wodą ze swojego prysznicza, co jednak wydawało mu się niewielką ceną za zmycie z siebie lepkiego potu i zapachu śmierci, który do niego przyłgął. Trzęsąc się z zimna, jak najszybciej umył włosy i całe ciało. Miał boleśnie napięte mięśnie.

Szybko się ogolił, a zimna woda sprawiła, że ostrze podrażniło mu skórę. Założył mokasyny, spodnie khaki i koszulę w odcieniu karmelowym. Wybrał stonowane kolory, dzięki którym mógł nie zwracać na siebie uwagi. Żałując, że policja zarekwirowała mu pistolet i że nie kupił dwóch sztuk broni, chwycił torbę z ubraniami, które zabrał z szafy w sypialni Beth zaraz po skorzystaniu z jej telefonu. Starał się nie patrzeć na zaschniętą krew na podłodze w przedpokoju, kiedy niósł torbę do salonu, gdzie czekał Sánchez.

- Muszę pojechać do szpitala odwiedzić przyjaciółkę - rzekł Decker.

- Zawiozę pana.

Krepy policjant przeciął podwórze i wyszedł na podjazd. Rozejrzał się, po czym gestem pokazał Deckerowi, że wszystko jest w porządku i można wsiadać do radiowozu. Decker wcale nie czuł się pewnie, niepokojąc się grupą ciekawskich gapiów zgromadzonych na ulicy i pokazujących sobie palcami jego dom, ale środki ostrożności zastosowane przez Sancheza były lepsze niż nic. Gdybym tylko miał broń, pomyślał.

Nie dał się nabrać na podane przez Esperanzę powody przydzielenia mu ochrony. Sánchez nie został w domu Deckera tylko po to, aby dbać o jego bezpieczeństwo. Obecność policjanta gwarantowała, że Decker nagle nie opuści miasta, zanim Esperanza nie uzyska odpowiedzi na swoje pytania. Sześć godzin, pomyślał Decker. Pracownik agencji, z którym rozmawiał przez telefon, kazał mu zadzwonić za sześć godzin. Tych sześć godzin wydawało się wiecznością.

Kiedy Sanchez wyjechał na St. Michael's Drive, kierując się w stronę szpitala, Decker zerknął przez tylną szybę, aby upewnić się, że nikt ich nie śledzi.

- Zdenerwowany? - spytał Sanchez.

- Przez Esperanzę wszędzie widzę zagrożenie. A pan się nie denerwuje? Wygląda pan masywniej niż podczas naszego pierwszego spotkania. Wydaje mi się, że pod mundurem ma pan kamizelkę kuloodporną.

- Zawsze je nosimy.

- Oczywiście.

Po dotarciu do szpitala Sanchez ominął parking i zatrzymał się przy tylnym wejściu. Zanim pozwolił Deckerowi udać się do budynku, dokładnie rozejrzał się po okolicy. Na drugim piętrze masywny policjant podciągnął pas z bronią i stanął na straży przed salą Beth, Decker zaś wszedł do środka.

## 9

- Jak się czujesz? - Decker przyjrzał się Beth leżącej na szpitalnym łóżku. Serce przepełniały mu smutek i współczucie. Znów zaczął się obwiniać, że pośrednio spowodował to, co się jej przytrafiło.

Beth udało się uśmiechnąć.

- Trochę lepiej.

- A wyglądasz znacznie lepiej. - Pocałował ją w policzek, starając się nie potrącić prawej ręki, zawieszanej na temblaku. Zauważył, że z żyły usunięto kroplówkę.

- Kłamczuch - odparła Beth.

- Kiedy to prawda. Wyglądasz pięknie.

- Umiesz się zachować.

Jej włosy nadal były brudne, ale zostały rozczesane. Z twarzy ustąpiła bladość oraz większość ciemnych plam wokół oczu. Błękitnoszare oczy odzyskały nieco blasku. Piękno Beth powracało.

- Nawet nie wiesz, jak się o ciebie martwiłem. - Dotknął jej policzka.

- Twarda ze mnie sztuka.

- To mało powiedziane. Nadal cię boli?

- Jak cholera. Dowiedziałeś się czegoś? Czy policja już wie, kto włamał się do twojego domu?

- Nie. - Decker unikał jej wzroku.

- Powiedz mi wszystko - nalegała Beth.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Poznałam cię lepiej, niż ci się wydaje. Coś przede mną ukrywasz.

- To chyba nie najlepszy moment na tę rozmowę.

- Po prostu chcę, abyś niczego przede mną nie zatajał. Wypuścił powietrze z płuc.

- Śledczy prowadzący tę sprawę, sierżant Esperanza, uważa, że to nie był przypadek, a ci ludzie włamali się specjalnie po to, aby mnie zastrzelić.

Beth szeroko otworzyła oczy.

- Nie mam pojęcia, czemu ktokolwiek mógłby chcieć mnie zabić - skłamał Decker. - Jednak Esperanza twierdzi, że przez pewien czas powinienem zachowywać szczególną ostrożność, dopóki nie odkryją o co w tym wszystkim chodzi. Jest tutaj ze mną policjant. Czeka na korytarzu. Przywiózł mnie do szpitala. To ktoś w rodzaju... chyba można go nazwać...

- Kim?

- Moim ochroniarzem. Poza tym...

- Powiedz mi wszystko. Decker popatrzył jej w oczy.

- Jesteś dla mnie bardzo ważna i nie chcę cię znowu narażać. Dlatego uważam, że kiedy wyjdiesz ze szpitala, przez jakiś czas nie powinniśmy się spotykać.

- Nie powinniśmy się spotykać? - Beth skrzywiła się, siadając na łóżku.

- A co, jeśli dosięgnie cię kolejna kula przeznaczona dla mnie? To zbyt niebezpieczne. Musimy trzymać się z dala od siebie, dopóki Esperanza nie zdobędzie wszystkich odpowiedzi i nie uzna, że zagrożenie minęło.

- Przecież to szaleństwo.

Nagle otworzyły się drzwi. Decker błyskawicznie się odwrócił, nie wiedząc, czego oczekiwać, i z ulgą zauważył niskiego, drobnego lekarza, którego spotkał wkrótce po tym, jak Beth przyjęto do szpitala.

- Ach - odezwał się lekarz, poprawiając okulary. - Pan Decker. Pewnie, podobnie jak ja, jest pan zadowolony z poprawy stanu zdrowia pani Dwyer.

Decker starał się nie ujawniać silnych emocji, jakie odczuwał po rozmowie z Beth.

- Tak, wraca do zdrowia szybciej, niż się spodziewałem. Lekarz podszedł do Beth.

- Jestem tak zadowolony, że wypuszczę panią do domu. Beth wyglądała, jakby się przesłyszała.

- Wypuści mnie pan? - Zamrugła. - Teraz? Mówi pan poważnie?

- Jak najbardziej. Co się stało? Nie wydaje się pani zadowolona...

- Jestem zachwycona. - Beth zerknęła znacząco na Deckera. - Po prostu jestem tak przygnębiona tym, co się wydarzyło...

- A więc teraz wreszcie czeka panią coś przyjemnego - odrzekł lekarz. - Odpocznie pani we własnym łóżku, otoczona znajomymi przedmiotami. Błyskawicznie wróci pani do pełni sił.

- Błyskawicznie - powtórzyła Beth, ponownie spoglądając na Deckera.

- Wstąpiłem do twojego domu i przywiozłem ci ubranie. - Podał jej torbę. - Nic wyszukanego. Dżinsy. Pulower. Tenisówki i skarpetki. Bielizna. - Ostatnia pozycja z listy sprawiła, że się zawstydził.

- Poproszę pielęgniarkę, aby przyprowadziła wózek - powiedział lekarz.

- Przecież mogę chodzić - odparła Beth. Lekarz pokręcił głową.

- Nasza polisa ubezpieczeniowa nie zezwala na to, aby opuściła pani szpital inaczej niż na wózku. Potem może pani robić, co zechce.- Czy przynajmniej mogę się ubrać bez towarzystwa pielęgniarki?

- Ze zranioną ręką? Na pewno sobie pani poradzi?

- Tak. - Beth sprawdziła, czy jej szlafrok jest dobrze zawiązany, po czym z pomocą lekarza i Deckera wstała z łóżka. - No proszę. Widzi pan? - Stała o własnych siłach, choć z powodu temblaka na prawej ręce wyglądała trochę chwiejnie. - Dam sobie radę.

- Pomogę ci się ubrać - odezwał się Decker.

- Steve...

- Słucham?

- Nie czuję się teraz zbyt atrakcyjna. Szczerze mówiąc, trochę się wstydzę tego, jak niechlujnie wyglądam. - Zaczerwieniła się. - Przydałoby mi się trochę prywatności.

- Nie musisz się wstydzić. Ale jeśli chcesz zostać sama, to poczekam na korytarzu. Kiedy będziesz gotowa, policjant zawiezie nas do domu. Jeśli jednak będziesz potrzebowała pomocy...

- Na pewno cię zawołam.

## 10

Kiedy Sanchez już sprawdził parking, Decker nerwowo wyprowadził Beth ze szpitala bocznym wyjściem. Mając się na baczności przed potencjalnymi zagrożeniami, pomógł Beth wstać z wózka i wsiąść na tył radiowozu, po czym szybko zamknął za nią drzwi i usiadł obok kierowcy.

- Dlaczego nie siedzisz obok mnie? - spytała Beth, kiedy samochód ruszył.

Decker nie odpowiedział.

- Och. - Umilkła, kiedy zrozumiała powód. - Starasz się zachować między nami dystans, na wypadek...

- Mam nawet wątpliwości, czy powinniśmy jechać tym samym samochodem - odrzekł Decker. - Jeśli Esperanza ma rację, to nastąpi kolejny zamach na moje życie, a ja nie chcę cię narażać. Nie mogę znieść myśli, że coś mogłoby ci się stać z mojego powodu. - Nerwowo przypatrywał się jadącym za nimi samochodom.

- A ja nie mogę znieść myśli o rozłące z tobą - odparła Beth. - Naprawdę chcesz, abyśmy się nie spotykali aż do zakończenia całej sprawy?

- Gdyby istniało inne bezpieczne rozwiązanie, tobym je wybrał - rzekł Decker.

- Moglibyśmy uciec i gdzieś się ukryć. Sanchez na nią spojrzał.

- Sierżantowi to by się nie spodobało. Mogę zapewnić, że zrobiłby wszystko, aby państwa od tego odwieść.

- To także należy do pana obowiązków, prawda? - spytał Decker. - Upewnić się, że nigdzie nie wyjadę?

Nie uzyskał odpowiedzi.

- Być może warto ominąć St. Michael's Drive - rzekł Decker. - Pojedźmy inną trasą aby nie zachowywać się w przewidywalny sposób.

Sanchez popatrzył na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

- Można by pomyśleć, że nie pierwszy raz jest pan śledzony.

- Alternatywna trasa po prostu wydała mi się logicznym środkiem ostrożności. - Decker odwrócił się do Beth. - Wysadzimy cię przed domem. Mówiłaś, że masz jakieś interesy na Wschodzie i jutro wyjeżdżasz. To bardzo dobry moment. Wiem, że pewnie nie masz ochoty na podróż w takim stanie, ale będziesz mogła odpocząć po przyjeździe do Nowego Jorku. Tak naprawdę byłoby najlepiej, gdybyś po załatwieniu wszystkich spraw zatrzymała się u rodziny. Nie spiesz się z powrotem. Myślę też, że powinnaś wyjechać wcześniej. Już dziś po południu.

Beth wyglądała na zszokowaną.

- To jedyny pewny sposób - powiedział Decker. - Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co mówi Esperanza, ale jeśli ma rację, to ludzie, którzy chcą mnie skrzywdzić, mogą użyć ciebie jako broni, na przykład cię porwać.

- Porwać mnie?

- Musimy brać to pod uwagę.- Jezu, Steve.

- Pozostaniemy w kontakcie telefonicznym, a kiedy tylko Esperanza uzna, że zagrożenie minęło, będziesz mogła wrócić.

- Mam się trzymać z dala?

- Być może to nie potrwa długo. Może tylko chwilę. Zapadła niezręczna cisza. Sánchez wjechał na podjazd przed domem Beth i zaparkował w poprzek bramy prowadzącej na ogrodzone podwórze.

Beth skrzywiła się, kiedy Decker pomagał jej wysiąść z samochodu. Podczas gdy Sánchez czekał w radiowozie, weszli na podwórze i zatrzymali się w cieniu portalu, patrząc sobie w oczy.

- To na pewno jakaś pomyłka - powiedziała Beth. - Senny koszmar, z którego obudzę się w twoich ramionach i wszystko okaże się nieprawdą. - Gdy pokręcił głową spytała: - Czy przychodzi ci do głowy jakikolwiek powód, dla którego ktoś mógłby chcieć cię zabić?

- Zadawałem sobie to pytanie setki razy. Tysiące razy. Nie mam pojęcia - skłamał Decker. Uważnie się jej przyglądał. - Skoro przez jakiś czas mam cię nie oglądać, to chcę zapamiętać każdy szczegół twojej twarzy.

Pochylił się i pocałował ją w usta, starając się być delikatnym i nie dotykać jej zranionego ramienia.

Pomimo rany Beth przycisnęła go do siebie wolną ręką i pocałowała, jak gdyby starając się go posiąść, jednocześnie krzywiąc się pod wpływem nacisku na bolące ramię.

Oparła się policzkiem o jego policzek.

- Ucieknij ze mną - szepnęła pośpiesznie.

- Nie mogę.

Odchyliła się, patrząc na niego z taką samą mocą jaka obecna była w jej głosie.

- Proszę.

- Słyszałaś, co mówił Sánchez. Policja by nas zatrzymała.

- Gdybyś naprawdę mnie kochał...

- Właśnie dlatego, że cię kocham, nie mogę wystawiać cię na niebezpieczeństwo. Nawet gdyby udało nam się przechytryć policję i uciec, to ludzie, którzy chcą mnie zabić, mogliby podążyć naszym tropem. Już zawsze musielibyśmy mieć się na baczności. Nie zrobię ci tego. Za bardzo cię kocham, aby rujnować ci życie.

- Jeszcze raz cię proszę, wyjedź ze mną. - Kiedy stanowczo pokręcił głową dodała cicho: - Będę za tobą tęskniła bardziej niż myślisz.

- Pamiętaj, że nie rozstajemy się na zawsze - odrzekł Decker. - Przy odrobinie szczęścia niedługo znów się zobaczymy. Kiedy dotrzesz na miejsce, zadzwoń do mnie z automatu. Znajdziemy jakiś sposób, aby pozostawać w kontakcie. Poza tym... - Głęboko

odetchnął. - Jest tyle szczegółów do ustalenia. Poproszę Esperanzę, aby policja odwiozła cię na lotnisko. No i...

Beth położyła mu palec na ustach.

- Jestem pewna, że wszystkim się zajmiesz. Zadzwoń do ciebie, kiedy zarezerwuję bilet - dodała niechętnie.

- Pomóc ci z walizkami?

- Większość rzeczy już spakowałam. Pocałował ją po raz ostatni.

- Zachowaj w pamięci najlepszy dzień, jaki razem spędziliśmy - powiedziała Beth.

- Będzie ich jeszcze wiele.

Począł, aż Beth wejdzie do domu. Dopiero kiedy zamknęła za sobą drzwi, odwrócił się i poszedł do radiowozu.

## 11

- Musimy porozmawiać. - Kiedy radiowóz dotarł pod dom Deckera, Esperanza czekał na podjeździe. Jego zazwyczaj rozluźnioną twarz wykrzywiła wściekłość. - Dlaczego pan mnie okłamał?

- Okłamał?

Esperanza spojrzął za plecy Deckera na gapiów stojących na ulicy.

- Do środka.

- Niech mi pan powie, co pana niepokoi.

- Do środka.

Decker podniósł ręce w geście kapitulacji.

- Jak pan chce.

Esperanza zatrzasnął za nimi drzwi, po czym stanął przed Deckerem w salonie.

- Pytałem, czy coś pan ukrywa. Stwierdził pan, że powiedział wszystko, co tylko przychodzi panu do głowy. - Esperanza dyszał ze złości.

- To prawda.

- Więc powinien pan się wybrać do lekarza, bo ma pan poważne problemy z pamięcią. W przeciwnym razie nie zapomnieliby pan napomknąć o czymś tak ważnym jak pana związki z FBI.

- FBI? - spytał Decker, szczerze zdziwiony.

- Cholera, ma pan także problemy ze słuchem? Tak! FBI! Przed godziną zadzwonił dyrektor biura w Santa Fe i zaprosił mnie na małą pogawędkę. Zastanawiałem się, o co może mu chodzić. Może o Los Alamos lub laboratoria Sandia? Jakiś problem dotyczący bezpieczeństwa narodowego? A może serię przestępstw o międzystanowym zasięgu? Jakże wielkie więc było moje zaskoczenie, kiedy zaczął opowiadać o ataku na pana dom.

Decker nie odważył się odezwać.

- Teraz to sprawa federalna, wiedział pan o tym? Federalna. Prawie opadła mi szczęka, kiedy z jego ust usłyszałem o wszystkim, co wydarzyło się wczoraj w nocy. Znał szczegóły, o których wiemy tylko Sánchez, ja oraz kilku innych funkcjonariuszy. Skąd, do cholery, zdobył te informacje? On nie pytał o te wydarzenia, kierowany zawodową ciekawością. Wcale nie musiał. Sam mi o wszystkim

opowiedział. A potem poinformował mnie, że FBI wolałoby, abym od tej chwili pozwolił im zająć się tą sprawą.

Decker nic nie mówił, bojąc się, że każda jego reakcja może jeszcze bardziej zdenerwować Esperanzę.

- Dowiedziałem się, że z atakiem na pana dom wiążą się niezwykle delikatne kwestie. Wiedzę o zainteresowaniu FBI tą sprawą przekazuje się tylko osobom, którym jest ona niezbędna do działania, a jak mnie zapewniono, ja się do tej grupy nie zaliczam. Ostrzeżono mnie, że gdybym uparcie trzymał się śledztwa, to spowodowałbym nieopisane szkody. - W oczach Esperanzy płonął gniew. - Dobrze, odpowiedziałem, przecież nie chciałbym spowodować nieopisanych szkód. Broń Boże. Potrafię grać w zespole. Wycofuję się ze śledztwa. - Podeszedł do Deckera. - Ale to nie oznacza, że nie mogę trochę powęszyć nieoficjalnie, a już na pewno mam prawo żądać od pana osobistych wyjaśnień! Kim pan jest, do cholery? Co się naprawdę wydarzyło zeszłej nocy? Dlaczego pozwolił mi pan zrobić z siebie idiotę, nie mówiąc mi na samym początku, abym porozmawiał z FBI? Bum!

Rozległ się huk i dom zadrżał.

## 12

Kiedy ogłuszające dudnienie zatrzęsło domem, Decker i Esperanza spojrzeli na siebie, marszcząc brwi.

- Co do... - Trzasnęły okna. Zagrzechotały naczynia. Decker poczuł zmianę ciśnienia, jak gdyby ktoś wepchnął mu do uszu kawałki waty.

- Coś wybuchło! - zawołał Esperanza. - Chyba gdzieś...

- Na naszej ulicy! Jezu, chyba pan nie sądzi... - Decker rzucił się do drzwi i otworzył je na oścież akurat w chwili, gdy czekający na zewnątrz Sánchez wbiegł na podwórze.

- Sąsiedni dom! - krzyknął Sánchez, energicznie wskazując palcem. - Wy...

Okolicą wstrząsnął kolejny huk. Dudniąca fala uderzeniowa drugiej eksplozji zachwiała Deckerem.

- Beth! - Odzyskując równowagę, pędem minął Sancheza i wypadł przez otwartą bramę na podjazd. Po jego prawej stronie, ponad sosnami i jałowcami osłaniającymi dom Beth, w niebo wzbijał się czarny dym. Z góry sypały się szczątki. Nawet z odległości stu metrów Decker słyszał szum płomieni.

- Beth! - Ledwie zdając sobie sprawę z obecności Esperanzy i Sancheza, Decker ruszył na pomoc. Zignorował radiowóz. Zignorował ulicę. Z gardłem obolałym od wykrzykiwania imienia ukochanej, wybrał najprostszą drogę, biegnąc w prawo przez podjazd i wpadając między sosny. - Beth! - Gałęzie drapały go po rękach. Piasek chrzęścił mu pod butami. Esperanza coś do niego wołał, jednak Decker słyszał tylko swój gwałtowny oddech, kiedy mijał kolejne drzewa, coraz bardziej zbliżając się do kolumny ciemnego dymu.

Kiedy pas drzew się skończył, Decker dotarł do drewnianego ogrodzenia sięgającego mu do pasa. Chwycił słupek, jednym susem przeskoczył płot i wylądował na działce Beth. Jego oczom ukazały się

płonące, spowite dymem ruiny domu. Gorzki smród palonego drewna wdzierał się do nozdrzy, drażniąc gardło i płuca, wywołując kaszel.

- Beth! - Szum płomieni był tak głośny, że Decker nie słyszał własnego krzyku. Wszędzie walały się popękane suszone cegły. Potykał się o nie. Dym gryzł go w oczy. Nagle podmuch wiatru rozwiął nieco dym i Decker zobaczył, że nie cały dom płonie. Ogień oszczędził jeden z narożników na tyłach budynku. Tam znajdowała się sypialnia Beth.

Esperanza chwycił go za ramię, próbując zatrzymać. Decker odepchnął jego rękę i ruszył na tyły domu. Prześlizgnął się ponad sięgającym do pasa murem, przeciął zasypane szczątkami patio i dotarł do jednego z okien sypialni. Siła eksplozji wybiła szyby, pozostawiając poszarpane krawędzie, które usunął kawałkiem cegły znalezionej pod stopami.

Ciężko dyszał z wysiłku. Kiedy dym buchnął z okna, zachłysnął się nim i z trudem powstrzymał kaszel. Zajrzał do środka.

- Beth! - Esperanza ponownie go chwycił, a Decker ponownie go odepchnął. - Daj mi spokój! Beth mnie potrzebuje!

Wszedł przez okno do wnętrza domu, przewrócił się na podłogę i uderzył w ramię o leżące tam szczątki. Ze wszystkich stron otaczał go dym. Rzucił się w kierunku łóżka, ale było puste. Coraz bardziej zanosząc się kaszlem, po omacku przeszukiwał podłogę, mając nadzieję znaleźć tam Beth. Dotarł do łazienki, zderzył się z zamkniętymi drzwiami i poczuł nagły przyływ emocji, gdy pomyślał, że Beth mogła się tam ukryć. Jednak kiedy otworzył drzwi, z bólem

serca zobaczył, że wanna i kabina prysznicowa są puste. Potem łazienkę wypełnił dym.

Deckerowi zamglił się wzrok. Poczucił gorąco i cofnął się przed płomieniami wypełniającymi wejście do sypialni. Jednocześnie płomień szalejący na suficie przycisnęły go do podłogi. Czołgał się, z trudem łapiąc powietrze. Dotarł do okna, ciężko dźwignął się na nogi i wysunął głowę na zewnątrz, próbując się wydostać. Coś za nim trzasnęło. Fala gorąca uderzyła go w nogi. Po chwili usłyszał kolejny trzask. Pewnie spadają belki z sufitu, pomyślał z niepokojem. Zaraz runie dach. Poczucił nagły przypływ gorąca na wysokości bioder. Rozpaczliwie się podciągnął, odepchnął i wypadł przez okno.

Czyjeś ręce chwyciły go i gwałtownie pociągnęły po rozrzuconych szczątkach, oddalając od płomieni buchających w ślad za nim z otwartego okna. Był to Esperanza, który złapał go za kurtkę, postawił na nogi i przepchnął nad murem.

Decker przez chwilę poczuł się niezwykle lekki. Potem z impetem wylądował po drugiej stronie muru, potoczył się po ziemi i uderzył w pień sosny. Esperanza wylądował tuż obok, uciekając przed płomieniami, które zapaliły drzewo. Podczas gdy gałęzie z trzaskiem zajmowały się ogniem, Esperanza odciągnął Deckera. Kolejne drzewo stanęło w płomieniach.

- Nie możemy się zatrzymywać! - krzyknął Esperanza. Decker obejrzał się na dom. Plujące dymem ruiny drgały od gorąca.

- Beth jest w środku!

- Nic więcej nie możesz dla niej zrobić! Musimy odejść dalej!

Chwiejąc się na nogach, Decker próbował zaczerpnąć powietrza do płuc. Zwalczył torsje i razem z Esperanza niepewnie ruszył przez dym w dół porośniętego drzewami zbocza na tyłach domu Beth. Ponownie obejrzał się na morze ognia.

- Chryste, co ja teraz zrobię? Beth! - nie przestawał krzyżeć. - Beth!

## **Rozdział szósty**

### **1**

Decker siedział na brudnej nawierzchni Camino Lindo, plecami oparty o prawe tylne koło karetki, i oddychał przez maskę tlenową. Gaz był suchy i gorzki, a może ta gorycz pochodziła od dymu, którego się nawdychał - sam już nie wiedział. Słyszał syk tlenu sączącego się ze stojącego obok zbiornika, podczas gdy sanitariusz sprawdzał górny zawór ciśnienia. Słyszał dudnienie silników wozów strażackich, policyjnych i karetek. Słyszał nawołujących się strażaków, polewających wodą z węży dymiące ruiny domu Beth.

To moja wina, pomyślał. To wszystko moja wina.

Musiał powiedzieć to na głos, gdyż sanitariusz spytał:

- Słucham? - po czym z troską zmarszczył czoło i zdjął Deckerowi maskę z twarzy. - Czy wszystko w porządku? Może będzie pan wymiotował? - Gdy Decker pokręcił głową i skrzywił się pod wpływem potężnego bólu, dodał: - Co nam pan próbował powiedzieć?

- Nic.

- Nieprawda - odezwał się Esperanza tuż obok. - Powiedział pan, że to wszystko pana wina. - Na brudnej twarzy oficera rysował się

owalny ślad po masce tlenowej. - Proszę się nie obwiniać. Nie mógł pan tego przewidzieć.

- Gówno prawda. Wiedziałem, że grozi jej niebezpieczeństwo, bo jesteśmy razem. - Decker splunął czarną od sadzy flegmą. - Nie powinienem był jej pozwolić wrócić do domu. Cholera, nie powinienem...

- Niech się pan nie rusza - polecił sanitariusz. Podciągnął nogawkę spodni Deckera i oglądał skórę na jego łydkach. - Ma pan szczęście. Spodnie się panu przypiekły, ale nie zajęły ogniem. Ma pan też przypalone włosy na nogach, rękach i głowie. Jeszcze kilka sekund w środku i... Nie wiem, czy zdobyłbym się na taką odwagę.

- Odwagę - odparł Decker kpiąco. - Akurat. Przecież jej nie uratowałem.

- Ale niemal pan zginął, próbując. Zrobił pan wszystko, co było w pana mocy - rzekł Esperanza z naciskiem.

- Wszystko? - Decker boleśnie zakaszłał. - Gdybym miał rozum, nalegałbym, aby została w szpitalu pod ochroną policji.

- Proszę, niech się pan napije - powiedział sanitariusz.

Decker pociągnął łyk wody z butelki. Krople płynu spłynęły mu po brodzie, pozostawiając zacieki na umazanej sadzą twarzy.

- Powinienem był przewidzieć, z jaką łatwością będą mogli się dostać do jej domu, podczas gdy wszyscy obserwują mój. Gdybym wszedł z nią do środka, kiedy ją odwieźliśmy, eksplozje zabiłyby nas oboje.

Ciemnobrązowe oczy Esperanzy spoważniały. Słowa Deckera wyraźnie go zaniepokoiły. Już miał coś powiedzieć, ale jego uwagę odwrócił jęk syren kolejnego radiowozu i wozu strażackiego przybywających na miejsce.

Decker napił się jeszcze trochę wody, po czym popatrzył na strażaków chaotycznie polewających gruzowisko.

- Jezu. - Upuścił butelkę z wodą i uniósł ręce do twarzy. Jego ramiona zadrżały boleśnie, a z oczu popłynęły łzy. Poczł się, jakby ktoś go dusił. Żal ściszał mu serce. - O Jezu, Beth, co ja pocznę bez ciebie? - Zdał sobie sprawę, że Esperanza obejmuje go ramieniem. - To wszystko moja wina. Wszystko moja cholerna wina - powiedział przez łzy.

Usłyszał szept jednego z pielęgniarzy.

- Lepiej zawieźmy go do szpitala.- Nie! - zaprotestował Decker pełnym napięcia głosem. - Chcę tu zostać i pomóc w odnalezieniu drani, którzy to zrobili.

- Jak według pana odpalili ładunki wybuchowe? - spytał Esperanza.

- Co? - Szok zmał Deckerowi umysł. Spróbował skoncentrować się na pytaniu Esperanzy. Skup się, powiedział sobie. Odzyskaj kontrolę. Nie znajdziesz winnych, jeśli pozwolisz sobie na histerię. - Pewnie zdalnie.

- Elektroniczne detonatory uruchamiane sygnałem radiowym?

- Tak. - Decker otarł łzy z zaczerwienionych oczu. Wciąż myślał o Beth. Dobry Boże, co ja bez ciebie zrobię? To wszystko moja wina.

- Bomba zegarowa byłaby niepraktyczna. Nie wiedzieliby, na którą godzinę ją nastawić, aby wybuchła, kiedy ktoś będzie w domu.

Esperanza jeszcze bardziej się zasepił.

- Ktoś musiał obserwować dom z detonatorem w dłoni, czekając na odpowiednią chwilę, aby wcisnąć przycisk - stwierdził Decker. - Może ktoś z lornetką na Sun Mountain. Może któraś z osób stojących na ulicy, udająca zainteresowanie wczorajszymi wydarzeniami.

- Moi ludzie rozmawiają ze wszystkimi w okolicy - odparł Esperanza.

- Za późno. Ten, kto odpalił ładunki, już dawno się stąd wyniósł.

- A może jakiś elektroniczny sygnał w okolicy przypadkowo miał taką samą częstotliwość, na jaką nastawiono detonatory. Może bomby wybuchły przypadkowo - powiedział Esperanza.

- Nie. Uruchomienie detonatorów wymaga sekwencji dwóch sygnałów o różnych częstotliwościach. Zresztą na pewno nastawiono je na częstotliwości rzadko występujące na tym obszarze.

- Świetnie się pan orientuje w tym temacie - zauważył Esperanza.

- Gdzieś o tym czytałem. Poza tym wydaje się to logiczne.

- Czyżby?

Zbliżyły się czyjeś ciężkie kroki. Decker spojrzał w górę i zobaczył przed sobą Sancheza.

- Komendant straży pożarnej twierdzi, że ruiny schłodziły się wystarczająco, aby się do nich zbliżyć - poinformował Esperanzę. - Według niego tak duży pożar musiały wywołać bomby zapalające.

- Sam już na to wpadłem. - Esperanza wstał z wysiłkiem. Jego długie włosy były przypalone, a dżinsowe spodnie i koszulę pokrywała warstwa brudu oraz dziury wypalone przez iskry. - Czy komendant może nam powiedzieć coś, czego nie wiemy?

- Razem z ekipą zaczął szukać ciała. Uważa, że przy ceglanych ścianach oraz posadzce z cegieł i płytek w zasadzie nie miało się tam co palić, w porównaniu choćby z drewnianymi domami. To znacznie ułatwi poszukiwania. Na razie jednak niczego nie znaleźli.

- Czy coś jeszcze? - Esperanza sprawiał wrażenie sfrustrowanego.

- Tak, ale... - Sánchez zerknął na Deckera, najwyraźniej nie mając ochoty mówić w jego obecności.

- Co takiego? - Decker zerwał się na nogi. Poczł nagły przyływ adrenaliny. - Co pan ukrywa?

Sánchez zwrócił się w stronę Esperanzy.

- Może pójdziemy do radiowozu. Muszę z panem o czymś porozmawiać.

- Nie - zaprotestował Decker. - Niczego nie będzie pan przede mną ukrywał. Cokolwiek ma pan do powiedzenia, proszę mówić tutaj.

Sánchez niepewnie spojrzł na Esperanzę.

- Czy to panu nie przeszkadza? Esperanza wzruszył ramionami.

- Może pan Decker podzieli się z nami swoją wiedzą jeśli i my wszystko mu powiemy. Co się stało?

- Coś dziwnego. Kazał mi pan przydzielić policjantów do przesłuchiwania ludzi w okolicy: sąsiadów, którzy akurat przebywali

na zewnątrz, przypadkowych przechodniów, gapiów zaciekawionych wczorajszymi wydarzeniami, jednym słowem każdego, kto mógł widzieć eksplozję.- I nasi ludzie znaleźli kogoś, kto może nam pomóc? - zgadywał Esperanza.

- Cóż, wydaje mi się, że nie tyle pomóc, co jeszcze bardziej skomplikować sytuację - odparł Sánchez.

- Cholera, czego się dowiedzieliście? - Decker podszedł bliżej. - Co próbujecie przede mną ukryć?

- Na Fort Connor Lane, ulicy biegnącej trochę niżej, za tymi domami, pewna kobieta wyszła poszukać swojego psa. Tuż przed wybuchami zwróciła jej uwagę jakaś postać pospiesznie schodząca w dół zbocza między drzewami i krzewami.

- To ona zdetonowała ładunki - stwierdził Decker. - Czy ta kobieta potrafi ją opisać?

- Owszem. To też była kobieta.

Decker poczuł się tak, jakby został czymś dźgnięty.

- Z walizką w ręku - dodał policjant.

- Co takiego?

- Atrakcyjna, trzydzieści kilka lat, długie kasztanowe włosy, ubrana w dzinsy i pulower. Prawą rękę miała schowaną pod ubraniem, jakby była ranna.

Decker oparł się ręką o bok karetki. Poczuł, że ziemia faluje mu pod stopami. Kręciło mu się w głowie, nogi odmawiały posłuszeństwa, zaczynał wątpić we własne zdrowie psychiczne.

- Przecież pan właśnie opisał...

- Beth Dwyer. Zgadza się - odparł Sánchez. - Kobieta szukająca psa powiedziała, że na Fort Connor Lane stał zaparkowany samochód. W środku siedział mężczyzna. Kiedy zobaczył kobietę z walizką, szybko wysiadł, schował walizkę do bagażnika i pomógł kobiecie wsiąść do auta. Kiedy odjeżdżali, wybuchły bomby.

- Nie rozumiem - rzekł Decker. - To nie ma sensu. Jak to możliwe...?

Podszedł do nich jeden ze strażaków, zdejmując szeroki metalowy kask. Pot spływał mu po umazanej sadzą twarzy, kiedy sięgał po butelkę wody podaną przez sanitariusza.

- Wciąż nie ma śladu ofiary - poinformował Esperanzę. Serce Deckera zaczęło bić w szaleńczym tempie. W głowie kłębiły mu się chaotyczne myśli.

- Ale dlaczego ona miałaby...? Beth żyje? Co ona tam robiła? Kto, do cholery, czekał w samochodzie?

## 2

Wydawało się to niemożliwe. Beth nie zginęła! Przepelniała go mieszanka ulgi i nadziei, ale czuł się także zaskoczony i zaniepokojony jej tajemniczym zachowaniem.

- Jak pan poznał Beth Dwyer? - spytał Esperanza. Stali naprzeciwko siebie w salonie Deckera.

- Przyszła do mnie do biura. Chciała kupić dom. - To nie może być prawda, pomyślał Decker, opadając na kanapę.

- Kiedy to było?

- Dwa miesiące temu. W lipcu. - Tracę rozum, pomyślał Decker.

- Czy ona pochodzi stąd?

- Nie.

- A skąd?

- Ze Wschodu. - Ból głowy stawał się nie do wytrzymania.

- Z jakiego miasta?

- Gdzieś z okolic Nowego Jorku.

- Dlaczego przeprowadziła się do Santa Fe?

- W styczniu zmarł jej mąż. Na raka. Chciała uciec przed złymi wspomnieniami, zacząć nowe życie. - Tak samo jak ja, pomyślał Decker.

- To droga okolica - rzekł Esperanza. - Skąd miała pieniądze na zakup domu?

- Jej mąż był wysoko ubezpieczony.

- Musiał doskonale zarabiać. Czym się zajmował?

- Nie wiem.

Esperanza wyglądał na zaskoczonego.

- Myślałem, że byliście blisko. - Tak.

- A jednak nie zna pan podstawowych faktów z jej przeszłości.-  
Wolałem nie zadawać zbyt wielu pytań. Jej mąż umarł niecały rok temu, więc nie chciałem przywoływać bolesnych wspomnień.

- Dotyczących tego, gdzie mieszkała? Czy byłoby to aż tak bolesne?

- Po prostu nie pomyślałem o tym, aby spytać. - Kolejne kłamstwo. Doskonale wiedział, czemu tego nie zrobił. W swoim poprzednim życiu starał się wydobywać od spotkanych ludzi jak

najwięcej informacji, nigdy nie wiedząc, co może mu się przydać. Ale kiedy przybył do Santa Fe, aby rozpocząć nowe życie i na nowo się odnaleźć, postanowił odciąć się od tamtych wyrachowanych metod.

- Czy po kupnie domu z polisy męża pozostały jej środki na utrzymanie?

- Zarabiała na życie jako artystka - odparł Decker.

- O? W jakiej galerii?

- W Nowym Jorku.

- Ale w której konkretnie?

- Nie wiem - powtórzył Decker.

- Coś podobnego.

- Poznałem właściciela tej galerii. Przyjechał tu z wizytą.

Nazywa się Dale Hawkins.

- Kiedy to było?

- W czwartek, pierwszego września.

- Dlaczego tak dokładnie pan to zapamiętał?

- To tylko dziewięć dni temu. Pamiętam, bo tego dnia Beth stała się właścicielką domu.

Jednak Decker miał inne powody, aby pamiętać tę datę. Tego wieczoru on i Beth po raz pierwszy się kochali. Beth! - krzyknął w myślach. Co się dzieje, na Boga? Dlaczego zbiegałaś ze zbocza na tyłach swojego domu? Kto czekał na ciebie w samochodzie?

- Panie Decker.

- Przepraszam. Ja... - Zamrugnął, zdając sobie sprawę z tego, że się zamyślił, podczas gdy Esperanza dalej do niego mówił.

- Powiedział pan, że zapewne ktoś ze zdalnym detonatorem obserwował dom.

- Tak jest.

- Czemu więc ta osoba nie zdetonowała ładunków, kiedy pan i pani Dwyer staliście przed domem?

- Skoro byłem na zewnątrz, zamachowcy nie mieli stuprocentowej pewności, że bomby spełnią swoje zadanie.

- A więc obserwator postanowił poczekać, aż pan odjedzie i dopiero wtedy odpalił ładunki? - spytał Esperanza. - Czy ta taktyka miała sens?

Decker poczuł, że robi mu się zimno.

- Zakładając, że to pan stanowił cel - dodał Esperanza.

- Beth była ich celem? - Odczucie zimna stało się tak intensywne, że Decker zadygotał. - Twierdzi pan, że dziś po południu i wczoraj w nocy to nie mnie próbowano zabić?

- Pani Dwyer w oczywisty sposób czegoś się bała. W przeciwnym razie nie zbiegałaby ze zbocza za swoim domem.

Decker poczuł mrowienie na twarzy.

- Chodziło im o Beth? Jezu.

Wszelkie jego dotychczasowe przeżycia, ani gdy był żołnierzem do zadań specjalnych, ani gdy był agentem antyterrorystycznego wywiadu, nie mogły się równać z tym, czego teraz doświadczał. Nigdy nie czuł się tak emocjonalnie zagrożony. Ale też przed przybyciem do Santa Fe nigdy nie zrezygnował ze swoich

mechanizmów obronnych i nie pozwolił sobie na emocjonalną bezbronność.

- Przed chwilą wspominał pan o częstotliwościach radiowych wykorzystywanych do zdalnej detonacji bomb - odezwał się Esperanza. - Gdzie się pan tyle nauczył o tym, jak wysadzić w powietrze budynek?

Decker nie zwracał na niego uwagi. Był zbyt zajęty analizowaniem konsekwencji. Przez ponad rok żył w stanie ciągłego wyparcia, przekonany, że do szczęścia wystarczy mu wolne od podejrzliwości otwarcie się na terażniejszość oraz całkowite odrzucenie wyrachowanych nawyków wyniesionych z poprzedniego życia. Jednak teraz korzystał z tych nawyków z zaskakującym zdecydowaniem. Otworzył książkę telefoniczną, znalazł właściwy numer i pospiesznie wcisnął przyciski na aparacie.- Panie Decker, co pan robi?

- Dzwonię do szpitala Świętego Wincentego. Esperanza wyglądał na zdumionego.

- Proszę mnie połączyć ze stanowiskiem pielęgniarek odpowiedzialnych za pokój trzy jeden jeden sześć - poprosił Decker, kiedy odezwała się recepcjonistka. Po chwili w słuchawce usłyszał kolejny głos. - Przebywała u państwa postrzelona kobieta, Beth Dwyer. Właśnie ją zwolniono. Chciałbym rozmawiać z którąś z opiekujących się nią pielęgniarek.

- Proszę chwilę poczekać. Ktoś inny odebrał telefon.

- Tak, pomagałam opiekować się Beth Dwyer - odezwał się sympatyczny kobiecy głos. - Ale zaczynałam dyżur dopiero o siódmej. Wcześniej zajmowały się nią inne pielęgniarki.

- Jestem policjantem prowadzącym śledztwo w jej sprawie.

- Hej! - zawołał Esperanza. - Co pan wyprawia? Decker uniósł dłoń, gestem prosząc go, aby dał mu szansę.

- Czy ktoś ją odwiedzał?

- Tylko jej przyjaciel.

Pewnie chodzi o mnie, pomyślał Decker. Jednak nie miał już zamiaru niepotrzebnie ryzykować.

- Jak on wyglądał?

- Wysoki, dobrze zbudowany, około czterdziestki.

- Rudawozłote włosy?

- O ile pamiętam. Przystojny na swój surowy sposób. Nikogo innego nie widziałam.

- A telefony?

- O tak, dzwoniła wiele razy.

- Co takiego?

- Sporo połączeń też odebrała. Bywało, że jej telefon nie przestawał dzwonić. Jeśli akurat byłam u niej w pokoju, to zawsze czekała, aż wyjdę.

Decker poczuł ciężar w klatce piersiowej.

- Dziękuję - powiedział z trudem. - Bardzo mi pani pomogła. - Zamyślony odłożył słuchawkę.

- Co to miało znaczyć? - spytał Esperanza. - Czy pan wie, co grozi za podszywanie się pod funkcjonariusza policji?

- Beth wielokrotnie dzwoniła i odbierała telefony. Z tego, co wiem, jestem dla niej jedyną bliską osobą w Santa Fe. Z kim się więc kontaktowała i kto dzwonił do niej?

- Jeżeli to były połączenia zamiejscowe na koszt dzwoniącego, to powinna istnieć lista numerów, z którymi się łączyła - odparł Esperanza.

- Proszę ją zdobyć. Ale podejrzewam, że to były miejscowe rozmowy z mężczyzną który czekał na nią w samochodzie na Fort Connor Lane. Kiedy przyniosłem jej trochę ubrań, aby miała co na siebie włożyć, wychodząc ze szpitala, powiedziała mi, że czuje się zbyt niechlujna, aby bez wstydu przebrać się w mojej obecności. Poprosiła, abym poczekał na korytarzu. Zważywszy na jej obrażenia i na to, że mogła potrzebować pomocy, pomyślałem, że to niewłaściwa chwila na wstyd, ale nie nalegałem. Teraz zgaduję, że skorzystała z okazji, aby po raz ostami zadzwonić do tego mężczyzny i poinformować go, że wychodzi ze szpitala, potwierdzając godzinę, na którą byli umówieni. Ale kim on był, do cholery?

Obok dotychczasowych dezorientujących i przytłaczających uczuć - ulgi, że Beth żyje, oraz zdumienia jej zachowaniem - nagle pojawiło się nowe: zazdrość. Dobry Boże, czy to możliwe? Czy Beth mogła mieć kochanka? Czy widywała się z kimś innym przez cały czas trwania ich znajomości? W rozgorączkowanym umyśle Deckera

pojawiały się kolejne pytania. Jak go poznała? Czy to ktoś, kto przyjechał za nią ze Wschodu? Ktoś z jej przeszłości?

- Ten mężczyzna, który czekał w samochodzie... Czy kobieta, która go widziała, potrafi go opisać? - spytał Decker.

- Sánchez powinien wiedzieć.

Kiedy Decker pospiesznie ruszył do wyjścia, chcąc jak najszybciej porozmawiać z Sanchezem stojącym na straży na zewnątrz, drzwi domu gwałtownie się otworzyły.

Pojawił się Sánchez. To, z czym przyszedł, zaskoczyło Deckera.

- Chcą się z panem zobaczyć dwaj mężczyźni. Twierdzą że są pana przyjaciółmi.

- Pewnie sąsiedzi lub współpracownicy. Niech im pan powie, że rozmawiam z nimi później. Teraz muszę pana o coś spytać.

- Oni bardzo nalegają - odparł Sánchez. - Wyraźnie zaznaczyli, że są pana starymi przyjaciółmi, z bardzo dawnych czasów. Mają na imię Hal i Ben.

### 3

- Hal i...? - Decker starał się nie okazywać zaskoczenia. - Tak. - Poczul, jak napinają mu się mięśnie. - Znam ich. Proszę ich wpuścić.

Hal i Ben byli agentami, którzy zatrzymali go w holu hotelu St. Regis po jego zeszłorocznej gorzkiej rezygnacji. Wypytywali go wtedy o motywy, aż w końcu uznali, że nie stanowi zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego, i pozwolili schronić się w Santa Fe - wyraźnie przy tym ostrzegając, aby jego złość dotycząca wydarzeń w Rzymie nie skłoniła go zbytniego gadulstwa.

Teraz zapewne zostali wysłani do zbadania tej sprawy przez jego byłego pracodawcę, w odpowiedzi na telefon z informacją o ataku na dom Deckera. Kiedy pojawili się w drzwiach, Decker zauważył, że prawie się nie zmienili od ich ostatniego spotkania - szczupli i wysocy, około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i osiemdziesięciu pięciu kilogramów wagi, wiekiem zbliżeni do Deckera, który miał czterdzieści jeden lat, twarde rysy twarzy, czujne oczy. Mieli na sobie kurtki, spodnie khaki i solidne buty. Uważnie rozejrzawszy się po salonie, zmierzyli wzrokiem Esperanzę, po czym skupili się na Deckerze.

- Co się dzieje? - spytał Hal. - Czemu przed domem stoi policjant? Co się stało w sąsiedztwie?

- To długa historia. To jest sierżant Esperanza. Sierżancie, oto Hal Webber i Ben Eiseley. - Decker podał fikcyjne nazwiska widniejące na fałszywych dokumentach, które ci dwaj zazwyczaj mieli przy sobie. - Kolegowaliśmy się, kiedy pracowałem w Wirginii. Mówili, że planują wpaść w te okolice w któryś weekend, ale widocznie wypadło mi z głowy, że chodziło o weekend fiesty.

- Jasne - odrzekł Esperanza, wyraźnie nie kupując tej historii. Uścisnął mężczyznom dłonie, porównując ich wąskie biodra i szerokie ramiona z podobną sylwetką Deckera. - Czy to kolejni sprzedawcy nieruchomości, którzy znają się na zdalnej detonacji ładunków wybuchowych?

Hal wyglądał na zaskoczonego.

- Ładunków wybuchowych? Czy właśnie to stało się z domem obok? Wyleciał w powietrze?

- Sierżancie, czy mógłbym przez chwilę porozmawiać na osobności ze swoimi przyjaciółmi? - Decker pokierował Hala i Bena w stronę drzwi prowadzących do niewielkiego pomieszczenia z grillem, tuż obok kuchni.

- Nie - odparł Esperanza.

Decker zatrzymał się i obejrzał na policjanta.

- Słucham?

- Nie. Nie może pan z nimi porozmawiać na osobności. - Ogorzała twarz Esperanzy stężała. - Od samego początku robi pan uniki i odmawia współpracy. Nie będę tego dłużej tolerował.

- Wydawało mi się, że FBI poprosiło pana o trzymanie się z dala od tej sprawy.

- Od ataku na pana dom. Nie od wybuchów w sąsiedztwie.

- FBI? - spytał zaskoczony Ben.

- Cokolwiek pan chce powiedzieć swoim znajomym, by zapoznać ich z sytuacją, musi pan to powiedzieć w mojej obecności - rzekł Esperanza. - Ja też się chętnie dowiem, co się dzieje.

- FBI? - powtórzył Ben. - Nie rozumiem. Co ma z tym wszystkim wspólnego FBI?

- Sierżancie, naprawdę muszę porozmawiać z nimi na osobności - nalegał Decker.

- Zaaresztuję pana.

- Pod jakim zarzutem? Dobry prawnik uwolni mnie do wieczora  
- odparł Decker. - W najgorszym wypadku wyjdę za kaucją.

- W sobotę, w czasie fiesty? Pana prawnik miałby cholerny problem ze znalezieniem sędziego, który by go wysłuchał - odrzekł Esperanza ostro. - Nie wyszedłby pan z aresztu do jutra, może nawet do poniedziałku, a nie wydaje mi się, aby chciał pan tracić tyle czasu. Dlatego proszę udawać, że mnie tu nie ma. Co miał pan zamiar powiedzieć swoim kolegom?

Nie mam czasu, pomyślał Decker nerwowo. Muszę od razu zacząć szukać Beth. Nie mogę pozwolić sobie na stratę dwóch dni. Czuł się rozdarty między przeciwstawnymi motywacjami. Do tej chwili miał zamiar za wszelką cenę chronić swojego byłego pracodawcę przed zamieszaniem w dochodzenie, ale pojawiła się inna, pilniejsza kwestia - musiał odnaleźć Beth i dowiedzieć się, kto próbował ją zabić.

- Kiedyś pracowałem dla rządu Stanów Zjednoczonych.

- Hej, ostrożnie - odezwał się Ben.

- Nie mam wyboru.

- Dla rządu? - zainteresował się Esperanza. - Ma pan na myśli...

- Nie będę się wypierał - odparł Decker. - Hal i Ben byli moimi współpracownikami. Przyjechali tutaj, aby się dowiedzieć, czy wczorajszy atak miał coś wspólnego z delikatnymi sprawami, którymi się zajmowałem.

- Nie rozpędzaj się - powiedział Hal.

- Nie podam więcej szczegółów - rzekł Decker do Esperanzy, intensywnie się w niego wpatrując.

Esperanza odwzajemnił ostre spojrzenie. Powoli jego szczupła twarz się rozluźniła. Skinął głową. Decker zwrócił się w stronę Hala.

- Dotarliście tutaj szybciej, niż oczekiwałem.

- Byliśmy w Dallas. Mieliśmy do dyspozycji firmowy odrzutowiec. To niecałe dwie godziny lotu.

- Dzięki, że przyjechaliście.

- Cóż, nie widzieliśmy innego wyjścia - odparł Ben. - Powiedziano nam, że kontakt telefoniczny z tobą nie jest bezpieczny. Chcieliśmy pogadać, wyjaśnić kilka nieścisłości, jakie pojawiły się w twoim doniesieniu o ataku, a potem skontaktować się z miejscowymi federalnymi.

- Co już zrobiliście - zauważył Esperanza. - Rozmawialiście z FBI.

- Nie - odparł zaniepokojony Hal.

- Nie osobiście, ale przez telefon.

- Nie - powtórzył Hal z jeszcze większym niepokojem.

- Przecież dziś rano rozmawiał ze mną dyrektor miejscowej placówki FBI i poinformował o przejęciu przez nich dochodzenia w sprawie wczorajszego ataku - odparł Esperanza.

- Już pan o tym wspominał, ale nie rozumiem, o czym pan mówi - rzekł Ben. - Jak na razie nikt z naszej strony nie rozmawiał z federalnymi. Najpierw chcieliśmy osobiście przyjrzeć się sytuacji, zanim podejmiemy decyzję o ewentualnej współpracy.

Deckera ogarniało coraz silniejsze, naglące przeczucie. Esperanza przewidział pytanie, na które Decker chciał poznać odpowiedź.

- Skoro więc to nie wy poprosiliście federalnych o interwencję, to kto to zrobił, na Boga?

#### 4

Sánchez ostro skręcił z Old Santa Fe Trail w Paseo de Peralta, prowadząc radiowóz najszybciej, jak to tylko było możliwe bez włączania syreny, przeciskając się przez gęsty ruch wypełniający przedmieścia w porze fiesty. Obok kierowcy siedział ponury Hal. Czując, że serce niemal wyrywa mu się z piersi, Decker kulił się na tylnym siedzeniu pomiędzy Benem i Esperanza.

Esperanza zakończył pospieszną rozmowę przez telefon komórkowy, po czym wcisnął guzik przerywający połączenie.

- Mówi, że będzie na nas czekał.

- A co, jeśli nie powie nam tego, co chcemy wiedzieć? - spytał Decker.

- W takim wypadku będę musiał zadzwonić do Wirginii - odrzekł Ben. - Wcześniej czy później będzie mówił. Gwarantuję.-  
Raczej wcześniej - stwierdził Decker. - Tak będzie lepiej. Minęły dwie godziny, odkąd Beth zbiegła ze zbrocza i wsiadła do samochodu. Teraz może już być w Albuquerque. Cholera, jeśli pojechała prosto na lotnisko, to może już być wszędzie.

- Sprawdźmy. - Esperanza wybrał numer na swojej komórce.

- Do kogo pan dzwoni?

- Do ochrony na lotnisku w Albuquerque.

- A jeśli skorzystała z lotniska w Santa Fe? - spytał Hal.

- Tam też zaraz zadzwonię. Miejscowe lotnisko ma tylko kilka niewielkich samolotów, turbośmigłowców. Nie będzie się trudno dowiedzieć, czy była na pokładzie któregoś z nich.

Po drugiej stronie ktoś odebrał. Esperanza zaczęła mówić.

W tym czasie Decker odwrócił się do Bena. Przez jedną nieprzyjemną chwilę doświadczył czegoś w rodzaju podwójnego widzenia, na nowo przeżywając sytuację sprzed roku, kiedy Ben i Hal przesłuchiwali go w samochodzie przemierzającym Manhattan. Może tamta rozmowa nigdy się nie skończyła, a to, przez co przechodził teraz, to koszmar na jawie.

- Ben, kiedy przyjechałeś do mojego domu, powiedziałeś, że chcecie wyjaśnić kilka nieścisłości dotyczących tego, co powiedziałem, informując o wczorajszym ataku. O co ci chodziło?

Ben wyciągnął z kieszeni kawałek papieru.

- Oto część zapisu tamtej rozmowy telefonicznej, który otrzymaliśmy faksem. - Przesunął palcem w dół strony. - Funkcjonariusz, z którym rozmawiałeś, powiedział: „Nie jesteśmy już za pana odpowiedzialni”. Na co ty odpowiedziałeś: „Ejże, co innego mówiliście, kiedy odchodziłem. Wtedy nie chcieliście dać mi spokoju. Myślałem, że nigdy nie przestaniecie mnie kontrolować. Cholera, jeszcze dwa miesiące temu mnie obserwowaliście”.

Decker skinął głową doznając uczucia *déjà vu*, kiedy odczytano mu jego własne słowa.

- No więc w czym problem?

- Funkcjonariusz wtedy tego nie skomentował, ale nie miał pojęcia, co oznaczało to ostatnie stwierdzenie. Ponownie sprawdził twoją kartotekę. Nikt z naszej organizacji cię nie obserwował.

- To nieprawda - sprzeciwił się Decker. - Dwa miesiące temu widziałem grupę operacyjną.

- Początkowo, zaraz po twoim przybyciu do Santa Fe, mieliśmy na ciebie oko, to prawda - odparł Ben. - Ale w końcu uznaliśmy, że łatwiej i taniej będzie monitorować twoje finanse. Gdybyś nagle wszedł w posiadanie większej sumy pieniędzy niż mógłbyś zarobić w swojej nowej pracy, nie dalibyśmy ci spokoju, podejrzewając, że zacząłeś sprzedawać tajne informacje. Jednak wszystko było na medal. Wydawało się, że poradziłeś sobie z emocjami, które spowodowały twoje odejście. Nie było potrzeby, aby cię obserwować. Ktokolwiek to robił, my z pewnością nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

- Mam uwierzyć, że Brian McKittrick postanowił mieć na mnie oko w swoim czasie wolnym, kiedy akurat nie pracował dla was?

- Brian McKittrick? - spytał Hal ostro. - O czym ty mówisz?

- Mówiłem wam, że go widziałem.

- Dwa miesiące temu?

- McKittrick kierował grupą, która mnie obserwowała - odparł Decker.

- Ale McKittrick nie pracuje dla nas od lutego. Deckera замуrowało.

- W grudniu zmarł jego ojciec - wyjaśnił Ben. - Kiedy już nie było komu bronić Briana, zaczęto zwracać uwagę na twoje zastrzeżenia dotyczące jego pracy. Schrzanił kolejne dwa zadania. Agencja się go pozbyła.

Esperanza zakrył dłonią mikrofon telefonu komórkowego.

- Czy możecie się uciszyć? Ledwie słyszę. Luis? - Pochylił się w stronę Sancheza. - Policja z Albuquerque chce wiedzieć, czy mamy opis samochodu, którym odjechała Beth Dwyer. Czy świadek go opisał?

- Staruszka nie bardzo znała się na samochodach. - Sanchez łukiem ominął auta blokujące Paseo de Peralta. - Powiedziała, że był duży, szary i wyglądał na nowy.

- To wszystko?

- Obawiam się, że tak.

- Świetnie. Po prostu świetnie - odparł Esperanza. - A co z kierowcą? Czy przyjrzała mu się, kiedy chował walizkę Beth Dwyer do bagażnika?

- Jeśli chodzi o obserwowanie ludzi, to ta kobieta ma sokoli wzrok. Facet miał trzydzieści kilka lat. Wysoki. Dobrze zbudowany. Wyglądał jak futbolista. Kwadratowa szczęka. Blond włosy.

- Kwadratowa szczęka? Blond...? - Decker zmarszczył brwi.

- Coś nie tak?

- Wyglądał jak futbolista? To mi przypomina...

- Zna pan kogoś o takim wyglądzie?

- To niemożliwe. - Deckerowi zabrakło tchu. To, co właśnie usłyszał, nie miało sensu. Nic nie miało sensu. - Brian McKittrick. Ten opis pasuje do Briana McKittricka. Ale jeśli on nie pracuje dla was, to dla kogo? - rzekł do Bena.

## 5

Decker nie czekał, aż Sánchez całkowicie zatrzyma samochód w strefie objętej zakazem parkowania. Wskoczył wcześniej z radiowozu i ruszył w stronę długiego, dwupiętrowego rządowego budynku w kolorze gliny. W otoczeniu Esperanzy, Hala i Bena wbiegł po szerokich betonowych schodach do szklanych drzwi, przed którymi czekał na nich czterdziestokilkuletni mężczyzna średniego wzrostu i wagi, o elegancko przystrzyżonych włosach i krótkich baczkach. Był ubrany w luźne spodnie i niebieską sportową marynarkę. Przy pasku miał pager, a w ręku trzymał telefon komórkowy.

- Lepiej, żeby to było coś ważnego. Byłem na zabawie z okazji fiesty. - Wyjął pęk kluczy, przygotowując się do otwarcia drzwi. Skierował uważne spojrzenie na Esperanzę, który nie miał czasu zmienić przypalonych i poplamionych sadzą dżinsów i koszuli. - Co ci się stało? Przez telefon mówiłeś, że chodzi o coś związanego z naszą poranną rozmową.

- Nie mamy czasu iść na górę do pana gabinetu - odezwał się Decker. - Niech nam pan tutaj powie to, co chcemy wiedzieć.

Mężczyzna opuścił klucze i zmarszczył brwi.

- A pan kim jest?

- Stephen Decker, to jego dom zaatakowano - odpowiedział Esperanza. - Panie Decker, to jest starszy agent FBI, John Miller.

- Dlaczego interweniował pan w sprawie dochodzenia prowadzonego przez sierżanta Esperanzę? - błyskawicznie spytał Decker.

Miller się tego nie spodziewał. Przez chwilę milczał.

- To poufna informacja.

- Wygląda na to, że atak nie był skierowany przeciwko mnie, ale przeciw kobiecie, z którą się spotykam. Mojej sąsiadce. Nazywa się Elizabeth Dwyer. Przedstawia się jako Beth. Czy to nazwisko coś panu mówi?

Tym razem Miller nie zwlekał z odpowiedzią.

- Nie zamierzam rozmawiać na ten temat.

- Jej dom wyleciał w powietrze dziś po południu. Miller wyglądał, jakby ktoś wymierzył mu policzek.

- Co takiego?

- Czy już zwróciłem pana uwagę? Czy teraz zechce pan rozmawiać? Dlaczego interweniował pan w sprawie dochodzenia dotyczącego ataku na mnie?

- Dom Elizabeth Dwyer wyleciał w powietrze? - Wyraźnie zaskoczony Miller spojrzał na Esperanzę. - Czy ona tam była? Zginęła?

- Wygląda na to, że nie - odparł Esperanza. - Nie znaleźliśmy ciała. Widziano, jak ktoś odpowiadający jej opisowi wsiada do samochodu na Fort Connor Lane kilka sekund przed wybuchami.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym przez telefon?

- Teraz ci mówię.- Nie lubię być manipulowany - odparł Miller, mierząc Esperanzę wzrokiem.

- A ja nie lubię, kiedy ktoś do mnie strzela - wtrącił się Decker. - Kto próbuje zabić Beth Dwyer? Co pan wie o Brianie McKittricku? W jaki sposób jest pan w to wszystko zamieszany?

- Bez komentarza - odrzekł Miller beznamiętnie. - Koniec rozmowy.

- Najpierw proszę odpowiedzieć na moje pytania.

- A jeśli odmówię? - spytał Miller. - Co pan zrobi, jeżeli nie odpowiem na pana pytania?

- Czy nie obchodzi pana, że życie Beth jest zagrożone?

- To akurat nie pana sprawa.

Decker poczuł, że krew kipi mu w żyłach. Odwzajemnił ostre spojrzenie agenta, mając ochotę cisnąć nim o drzwi. Wciąż myślał o Beth. Ktokolwiek chce ją zabić, mógł już ją odnaleźć. Ale tego sukinsyna to nie obchodzi.

- I co? - spytał Miller.

Decker cofnął się o krok. Postanowił się uspokoić. Wiedział, że nie pomoże Beth, jeśli da się aresztować za atak na agenta FBI. Uspokój się, powtórzył, głęboko oddychając.

- Mądra decyzja - rzekł Miller.

- Musimy o tym porozmawiać - odezwał się Esperanza.

- Nie - odparł Miller - wcale nie musimy. Przepraszam, ale mam do wykonania kilka ważnych telefonów. - Otworzył drzwi i wszedł do

budynku. Rzucił im wściekłe spojrzenie przez szybę, po czym zamknął drzwi i się odwrócił.

- Kiedy już będzie po wszystkim, na pewno sobie porozmawiamy - rzekł Decker.

## 6

Wysiadając z radiowozu na swoim podjeździe, Decker z niepokojem popatrzył wzdłuż Camino Lindo na ostatnie wozy strażackie i dymiące zgliszcza domu Beth. Gapie kłębili się na poboczu. Ekipa telewizyjna filmowała gruzy.

- Przykro mi. - Siedzący w samochodzie Esperanza z rezygnacją machnął ręką.

Decker był zbyt załamany, aby cokolwiek odpowiedzieć.

- Popracuję nad nim - rzekł policjant. - Może coś wygada.

- Pewnie - odparł Decker bez przekonania. Jeszcze nigdy nie czuł się tak bezradny. Hal i Ben stali obok niego.

- Będę dalej wypytywał policję z Albuquerque i ochronę lotniska - obiecał Esperanza.

- Może Beth i McKittrick pojechali w stronę Denver lub Flagstaff - rzekł Decker. - Cholera, nie sposób odgadnąć, gdzie się udali.

- Jak tylko czegoś się dowiem, dam panu znać. Pod warunkiem, że pan odwzajemni tę przysługę. Oto moja wizytówka. - Esperanza coś na niej zapisał. - Daję panu także mój domowy numer.

Decker skinął głową.

Ciemnoniebieski radiowóz ruszył, ominął wozy strażackie i tłum gapiów zgromadzonych przy domu Beth, po czym odjechał w kierunku, z którego przybył.

Mrużąc oczy w zachodnim słońcu, Decker patrzył, jak samochód wzbija tumany kurzu, oddalając się wzdłuż Camino Lindo.

- Wcale nie musi nas o niczym informować - odezwał się Hal. -  
Prawdę mówiąc, pewnie wzbudziliśmy jego podejrzenia. Z pewnością nie uwierzył nam na słowo, że jesteśmy związani z wywiadem.

- To prawda - zgodził się Ben. - Teraz zrobi wszystko, co w jego mocy, aby nas sprawdzić. Oczywiście niczego sienie dowie.

- Przynajmniej był na tyle rozsądny, że nie przedstawił was jako agentów wywiadu temu facetowi z FBI - rzekł Decker. - Biorąc pod uwagę walkę o wpływy, jaką FBI toczy z innymi agencjami, Miller powiedziałby nam wtedy jeszcze mniej.

- Jeszcze mniej? Przecież on nam niczego nie powiedział - odparł Hal.

- Nieprawda. - Decker patrzył, jak radiowóz znika, po czym otworzył bramę na podwórze. - Zainteresowanie Millera Beth potwierdza, że to ona stanowiła prawdziwy cel, a kiedy wspomniałem o Brianie McKittricku, zobaczyłem w jego oczach, że kojarzy, o kim mówię. O tak, on zdecydowanie coś wie. Nie twierdzą jednak, żebyśmy akurat my mieli z tego jakiś zysk.

Hal i Ben sprawiali wrażenie zakłopotanych.

- Coś się stało? - spytał Decker.

- Powiedziałeś „my” - odparł Hal.

- Nie rozumiem.

- Przesłano nas tutaj, abyśmy sprawdzili, czy wydarzenia zeszłej nocy miały jakiś związek z zadaniami, które wykonywałeś w przeszłości - odpowiedział Ben.

- Tak?

- Nie miały żadnego. - Ben spuścił wzrok, szurając butami po żwirowej nawierzchni. - Niezależnie od tego, na czym polegają problemy Beth Dwyer, twój problem jest natury osobistej. Nie zostaliśmy upoważnieni do tego, aby ci pomóc.

Decker nie odpowiedział.

- Kiedy tylko złożymy raport, zostaniemy odwołani - dodał Ben.

Decker wciąż milczał.

- To naprawdę nie od nas zależy - rzekł Hal.

- W takim razie wsiadajcie w swój cholerny samochód i wracajcie - odparł Decker. - Poradzę sobie bez was.

- Jak?

- Musi istnieć inny sposób i ja go znajdę. Wynoście się.

- Nie masz do nas żalu? - spytał Hal.

- A jak wam się wydaje? - odparł Decker gorzko. Wszedł na podwórze i opadł na ławkę pod portalem. Zamyślił się, z przygnębieniem mrucząc coś pod nosem. Jeżeli Esperanza nie dowie się niczego na lotnisku w Albuquerque lub jeśli postanowi nie mówić o tym, czego się dowiedział... Określenie „ślepy zaułek” mignęło w umyśle Deckera. Pomyślał o Beth. Czy w tej chwili coś jej grozi? Dlaczego jest z McKittrickiem? Dlaczego skłamała? - Musi być coś. -

Decker niecierpliwie stukał prawą dłonią o ławkę. - Coś, co przegapiłem, jakiś inny sposób, aby ją odnaleźć.

Usłyszał kroki na podwórzu. Podniósł wzrok i ujrzał Hala stojącego tuż obok.

- Czy ona kiedykolwiek wspominała, że chciałaby odwiedzić jakieś konkretne miejsce? - spytał Hal.

- Nie. Chciała tylko zatrzaskać drzwi za swoją przeszłością na Wschodzie. Myślałem, że odjeżdżacie.

- Nie ma pośpiechu.

- Doprawdy?

Sfrustrowany Decker wyobraził sobie, jak Brian McKittrick jedzie z Beth po Fort Connor Lane, a do jej uszu dociera huk eksplozji, która zamienia jej dom w ruinę. Gdyby tylko staruszka, która widziała odjeżdżający samochód, zdołała zapisać numery rejestracyjne. Numery, pomyślał. Może wykaz telefonów, które Beth wykonała ze swojego pokoju w szpitalu, da mu jakąś wskazówkę co do kierunku poszukiwań.

Można także sprawdzić numery, z którymi łączyła się ze swojego domowego telefonu, pomyślał Decker. Będę musiał przypomnieć o tym sierżantowi. Jednak sceptyczne nastawienie wobec niego nadal nie dawało mu spokoju. A co, jeśli Esperanza ukrywa przed nim jakieś informacje?

- Musi istnieć inny sposób - powtórzył. - Jak jeszcze można ją wytropić? Na pewno nie za sprawą jej obrazów. Nigdy nie podała mi nazwy galerii, z którą współpracuje. W Nowym Jorku są ich całe

setki. Zważywszy na presję czasu, skontaktowanie się ze wszystkimi trwałoby zbyt długo. Zresztą równie dobrze galeria mogła być kłamstwem, a Beth nigdy nie sprzedała żadnych obrazów. Jedyнным dowodem był ten handlarz dziełami sztuki, którego spotkałem, Dale Hawkins, a on przecież wcale nie musiał być tym, za kogo się podawał. Gdybym tylko wtedy zapisał numery rejestracyjne samochodu zaparkowanego przed jej domem. Ale nie miałem powodów, aby coś podejrzewać.

Kiedy Decker podniósł wzrok, Hal i Ben dziwnie mu się przyglądali. - Wszystko w porządku?- O co wam chodzi?

- Gestykulujesz i mówisz sam do siebie.

- Samochód - powiedział Decker.

- Słucham?

- Samochód Hawkinsa. To jest to!

- O czym ty mówisz?

- Dale Hawkins przyjechał wypożyczonym autem. - Podekscytowany Decker wstał. - Kiedy przechodziłem obok przedniej szyby, zajrzałem do środka i zobaczyłem na siedzeniu pasażera kopertę z umową. Jestem pewny, że to był Avis. I jestem całkowicie pewny, że było to pierwszego września, bo tego dnia Beth stała się właścicielką domu. Błękitny chevrolet cavalier. Jeśli Dale Hawkins rzeczywiście przyleciał do Albuquerque, to musiał wypożyczyć samochód na lotnisku. Tam musiał okazać swoje prawo jazdy i kartę kredytową. W ten sposób mogę poznać jego domowy adres. - Nagle

jego entuzjazm przygasł. - Zakładając, że Esperanza powie mi, czego dowiedział się w firmie wypożyczającej samochody.

Decker długo wpatrywał się w Hala i Bena.

- Pewnie będę tego żałował - odezwał się Hal.

- O czym ty mówisz?

- Chyba mogę trochę poczekać, zanim dam znać centrali, że wczorajsze wydarzenia nie miały nic wspólnego z działalnością agencji.

- Pomożecie mi?

- Pamiętasz, jak nasza trójka pracowała razem w Bejrucie? - spytał Hal niespodziewanie.

- Jak mógłbym zapomnieć?

Szesnastego marca 1984 roku szyicka grupa terrorystyczna Hezbollah porwała szefa miejscowej placówki CIA Williama Buckleya. Decker, Hal i Ben wchodzili w skład grupy ekspedycyjnej starającej się ustalić, gdzie był przetrzymywany Buckley. Decker był zaangażowany w poszukiwania do września, kiedy to oddelegowano go do akcji antyterrorystycznej w Niemczech. Intensywność tamtych gorących letnich miesięcy oraz determinacja grupy ekspedycyjnej wryły mu się głęboko w pamięć. Buckleya nigdy nie odnaleziono. Rok później, jedenastego października 1985 roku, Hezbollah doniósł o jego śmierci.

- Na tej samej ulicy co sztab naszej grupy znajdowało się niewielkie zoo - powiedział Hal. - Pamiętasz je?

- Pewnie. Nie wiem, ile przebywało w nim zwierząt przed wybuchem wojny domowej, ale kiedy dotarliśmy na miejsce, zostały tylko lampart, żyrafa oraz niedźwiedź, który nigdy nie przystosował się do klimatu. Żałosne.

- Potem snajper z jednej z frakcji zabawiał się w strzelanie do każdego, kto szedł nakarmić zwierzęta. Zabił opiekuna, a w ciągu kolejnych dwóch dni ustrzelił czterech ochotników. Zwierzaki zaczęły głodować.

- To też pamiętam. - Decker poczuł ucisk w gardle.

- Pewnej nocy zniknąłeś. Kiedy wróciłeś rano, powiedziałeś, że idziesz zanieść zwierzętom jedzenie i wodę. Próbowałem cię powstrzymać. Ostrzegłem, że snajper tylko marzy o zabiciu Amerykanina. Powiedziałeś, że już się nim zająłeś i więcej nie będzie stanowił problemu. Oczywiście jego miejsce mógł zająć kolejny snajper, który by cię zastrzelił, ale to cię nie martwiło. Koniecznie chciałeś ulżyć cierpieniom zwierząt.

Na podwórzu zapadła cisza.

- Czemu o tym wspomniałeś? - spytał Decker.

- Ponieważ ja też zastanawiałem się nad wytropieniem tego snajpera - odrzekł Hal. - Jednak nigdy nie zdobyłem się na odwagę. Podziwiałem cię za zrobienie czegoś, co sam powinienem był zrobić. Dziwne, prawda? Bejrut był pełen ludzkiego cierpienia, ale my martwiliśmy się o te trzy zwierzaki. Oczywiście nie miało to żadnego znaczenia. Następnego dnia zabił je pocisk z moździerza.

- Ale przynajmniej nie umarły głodne - odparł Decker.

- Racja. Potrafisz zawalczyć o to, w co wierzysz. Pokaż mi, gdzie jest najbliższy automat telefoniczny - poprosił Hal. - Zadzwoń do centrali i powiem im, że wciąż badamy sprawę. Poproszę, aby sprawdzili w swojej sieci komputerowej, kto pierwszego września wypożyczył z Avis błękitnego chevroleta cavalier na lotnisku w Albuquerque. Zapewne był tam niejeden taki samochód. Na szczęście to nieduże lotnisko.

- Hal?

- Co?

- Dzięki.

7

Decker zmagał się z bolesnymi emocjami, wyglądając przez tylną szybę fordą taurusa, którego Hal i Ben wypożyczyli wcześniej tego dnia, jadąc z Albuquerque. Wydawało się, że od tamtej chwili upłynęły całe wieki. Przez szybę Decker widział oddalającą się panoramę gór Sangre de Christo, żółknące osiki na narciarskich stokach, domy z suszonej cegły przycupnięte na wzgórzach, sosny i jałowce oraz karmazynowy blask słońca zachodzącego nad pustynią. Po raz pierwszy od swojego przybycia, ponad rok wcześniej, wyjeżdżał z Santa Fe. Oczywiście zdarzyło mu się opuszczać granice miasta, kiedy wybierał się nad rzekę na ryby lub spływ pontonem, bądź na zwiedzanie Taos. Jednak tamte wycieczki wydawały się przedłużeniem Santa Fe, a poza tym były krótkie i Decker zawsze wiedział, że niedługo znów pojawi się w domu.

Teraz wyjeżdżał naprawdę - nie miał pojęcia, jak długo go nie będzie i czy w ogóle powróci. Z pewnością całym sercem pragnął wrócić, im szybciej, tym lepiej, jednak nie wiedział, czy kiedykolwiek będzie to możliwe. Czy poszukiwania, których się podjął, nie uczynią powrotu zbyt niebezpiecznym? Czy w ogóle przeżyje? Podczas licznych misji, najpierw w wojsku, a następnie w wywiadzie, pozostawał przy życiu między innymi dzięki zawodowej zdolności rozróżniania dopuszczalnego i nierozsądnego ryzyka. Jednak prawdziwy profesjonalizm wymagał nie tylko dokonywania właściwych ocen w oparciu o szkolenie, doświadczenie i umiejętności. Wymagał także specyficznej postawy - zrównoważonego połączenia zaangażowania z obiektywizmem. Decker zrezygnował z pracy w wywiadzie, ponieważ brakowało mu zaangażowania i miał dosyć obiektywizmu, który sprawiał, że czuł się oderwany od wszystkiego, co go otaczało.

Jednak teraz bardzo się zaangażował, bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Był całkowicie, żarliwie i obsesyjnie zdeterminowany, aby odnaleźć Beth. Kochał ją bezgranicznie. Stanowiła jedyny sens jego życia. Zaryzykowałby wszystko, aby trafić na jej ślad.

Wszystko? - spytał sam siebie, po czym od razu udzielił sobie odpowiedzi. Tak. Ponieważ jeśli nie znajdzie Beth, to nie poradzi sobie z przytłaczającym napięciem, jakie go opanowało, i nie będzie w stanie niczego więcej uczynić. Straci sens życia. Zgubi drogę.

Wyglądając z ponurą miną przez boczną szybę forda i zauważając, że karmazynowa barwa zachodzącego słońca się

pogłębiła, przechodząc niemal w kolor krwi, usłyszał głos siedzącego z przodu Hala, który wymówił jego imię.

- Co się stało?

- Czy ludzie tutaj zawsze jeżdżą jak szaleńcy, czy może to z powodu świątecznego weekendu?

- Nie. Zawsze tak to wygląda - odpowiedział Decker, tylko częściowo skupiając się na rozmowie.

- Myślałem, że w Nowym Jorku i Los Angeles ludzie fatalnie prowadzą ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Podjeżdżają mi pod sam zderzak przy stu kilometrach na godzinę. Widzę w lusterku, że torpedują mnie wzrokiem, bo nie jadę sto trzydzieści. Zjeżdżają na drugi pas bez kierunkowskazu, po czym wracają na mój pas, znowu nie dając sygnału, tym razem prawie ocierając mi się o przedni zderzak. Potem pędzą naprzód do kolejnego samochodu. Pewnie w Nowym Jorku i Los Angeles kierowcy też się tak wpychają, ale to dlatego, że wszyscy stoją w korku. Tutaj przede mną i za mną jest mnóstwo wolnego miejsca, a mimo to zajeżdżają mi drogę. O co tu chodzi, do cholery?

Decker nie odpowiedział. Ponownie wyjrzał przez tylną szybę, zauważając, że wzgórza i ceglane domy stały się jeszcze mniejsze. Zaczynał się czuć, jakby oddalał się od nich, spadając. Obok mignął tor wyścigowy. Potem ford zaczął się wspinać na wzgórze La Bajada, z którego droga opadała na południe ku położonemu sześćset metrów niżej Albuquerque.- Sobota wieczór - odezwał się Hał. - Faceta może nie być w domu.

- To poczekam, aż wróci - odparł Decker.

- Wszyscy poczekamy - rzekł Ben. Emocje odbierały Deckerowi głos.

- Dziękuję. Doceniam to.

- Ale nie wiem, jak długo uda mi się zwodzić centralę - odparł Hal.

- Już mi bardzo pomogliście.

- Być może. Wkrótce się dowiemy, czy to, czego się dowiedzieliśmy, rzeczywiście do czegoś się przyda.

Kiedy w Santa Fe Hal udał się do automatu, poprosił o dostęp do informacji pochodzących z systemu komputerowego swojego pracodawcy. System był niejawnie połączony ze wszystkimi cywilnymi bankami danych w Stanach Zjednoczonych, dzięki czemu Hal błyskawicznie dowiedział się, że na lotnisku w Albuquerque można wypożyczyć kilka błękitnych chevroletów cavalierów, z których tylko jeden pozostawał do dyspozycji klientów w czwartek pierwszego września. Został wypożyczony trzynaście po dziesiątej tego dnia, lecz nie na nazwisko Dale Hawkins, na co liczył Decker. Zamiast tego w bazie danych figurował niejaki Randolph Green, pochodzący nie z okolic Nowego Jorku, ale z samego Albuquerque.

- Randolph Green - rzekł Hal, oddalając się od Santa Fe i docierając już prawie do szczytu wzgórza. - Jak myślisz, kim on jest?

- No i dlaczego człowiek mieszkający w Albuquerque wypożycza samochód na lotnisku? - Decker odwrócił się od

słabnącego blasku karmazynowego słońca. - Dlatego uważam, że jesteśmy na właściwym tropie.

- A przynajmniej na jedynym obiecującym tropie - odparł Ben.

- Tylko dlaczego Beth skłamała w sprawie jego nazwiska? Decker pokręcił głową. Było to dość naiwne pytanie - już znał część odpowiedzi. Beth skłamała z tego samego powodu, dla którego twierdziła, że to ona była prawdziwym celem nocnego ataku, i z tego samego powodu, dla którego nie powiedziała mu, że Brian McKittrick będzie na nią czekał przy Ford Connor Lane. Przez cały czas trwania ich związku coś ukrywała. Sam związek był kłamstwem.

Jednak nie potrafił w to uwierzyć. To nie mogło być kłamstwo. Jak coś tak potężnego mogło być oszustwem? Czy nie dostrzegłbym tego w jej oczach? Czy nie zauważyłbym wahania lub kalkulacji, czegokolwiek w jej zachowaniu, co by ją zdradziło? Sam byłem kiedyś mistrzem wyrachowania. Niemożliwe, abym dał się jej przechytryć. Emocje, które mi okazywała, były prawdziwe; czułość, namiętność, troska... Decker chciał dodać miłość, ale wtedy uzmysłowił sobie, że nie przypomina sobie sytuacji, w której Beth powiedziałaby mu wprost, że go kocha. On często jej to mówił. Ale czy ona kiedykolwiek wypowiedziała te słowa lub powtórzyła je po nim? Chociaż bardzo się starał, nie potrafił sobie przypomnieć.

Inne wspomnienia pojawiały się błyskawicznie - pierwszy raz, kiedy się kochali, leżąc na ceglanej podłodze w jej pracowni, niepewni, nieśmiali, zachwyceni i spragnieni, pieszcząc się i badając nawzajem swoje ciała. To też miało miejsce pierwszego września, po

spotkaniu z „Dalem Hawkinsem”, kiedy Beth pokazała Deckerowi swoje obrazy. Lawina pytań i wątpliwości groziła porwaniem Deckera w otchłań szaleństwa. Czy Beth rzeczywiście namalowała te obrazy? Czy naprawdę nazywa się Beth Dwyer? Czy jej mąż nie żyje? A skoro już o tym mowa, to czy faktycznie była kiedyś mężatką? Co łączy ją z Brianem McKittrickiem? To z pewnością nie może być zbieg okoliczności, że McKittrick zna zarówno Deckera, jak i Beth.

Czyste szaleństwo, pomyślał. Krople potu zebrały się na jego górnej wardze. Czuł się wytrącony z równowagi. Nic nie było takie, jakie się wydawało. Wszystko, co brał za pewnik, zostało zakwestionowane. Miał uczucie ciągłego spadania i prawie żałował, że zrezygnował z pracy w wywiadzie. Przynajmniej wtedy znał reguły gry. Oszustwo było normą i nigdy nie dał się nabrać na kłamstwa, które mu przedstawiano. Teraz, za wszelką cenę pragnąc uwierzyć, że życie nie musi opierać się na oszustwie, w końcu został przechytrzony. Dlaczego więc tak bardzo mu zależało na odnalezieniu Beth? Aby ochronić kobietę, którą kocha? A może powoduje nim potrzeba uzyskania wyjaśnień od kobiety, która go okłamała? Był pewien tylko tego, że czuje się zagubiony, jak również że nie spocznie, dopóki nie znajdzie Beth. Najwyżej umrze, próbując.

Ben znów coś do niego mówił.

- Kiedy ten detektyw... jak on się nazywa? Esperanza?... zorientuje się, że wyjechałeś z miasta, wścieknie się jak diabli. Wyśle za tobą policję stanową.

- Za nami wszystkimi - dodał Hal. - Widział ten wypożyczony samochód przed domem Steve'a. Może go opisać.

- Tak - zgodził się Decker. - Będzie mnie szukał. Ford taurus wspiał się na szczyt wzgórza, po czym ruszył w długą podróż w dół ku Albuquerque. Kiedy Santa Fe zniknęło Deckerowi z oczu, odwrócił się, aby przyjrzeć się mrocznym niewiadomym, które na niego czekały.

## **Rozdział siódmy**

### **1**

W porównaniu z latynoskimi projektami budynków w stylu pueblo oglądanymi w Santa Fe, spiczaste dachy oraz drewniane i ceglane ściany budowli w Albuquerque wydawały się Deckerowi niezwykle. Było tu także o wiele więcej równie nietypowych wiktoriańskich domów, jak też parterowych domów w ranczerskim stylu, z których jeden należał do Randolpha Greena.

Znalezienie adresu zajęło im godzinę. Musieli zatrzymywać się przy trzech różnych stacjach obsługi przy drodze międzystanowej numer 25, zanim udało im się kupić mapę Albuquerque. Okazała się ona mniej szczegółowa, niż by tego pragnęli, i musieli jechać bardzo powoli, obserwując tabliczki z nazwami ulic. W końcu jednak dotarli do celu położonego na równinie w zachodniej części miasta. Przy Chama Street stały skromne ranczerskie domy otoczone trawnikami, drzewami i żywopłotami, które sprawiały, że Decker poczuł, jakby przeniósł się na środkowo-zachodnie przedmieście. Ponownie doświadczył oszałamiającego wrażenia odrealnienia.

- To ten adres - powiedział Hal, przejeżdżając obok domu nieróżniącego się niczym od pozostałych.

Było już po dwudziestej drugiej, więc słońce dawno zaszło. Poza rzadko rozstawionymi latarniami i kilkoma rozświetlonymi oknami, ulica była pogrążona w mroku. Okoliczni mieszkańcy zapewne spędzali sobotni wieczór poza domem. U Greena światło paliło się w pokoju na tyłach oraz na werandzie.

- Nie wiadomo, czy jest w domu, czy wyszedł - rzekł Ben. - Mógł zostawić światła, aby zniechęcić włamywaczy.

- Przejeźdź się po okolicy - odparł Decker. - Upewnijmy się, że nic nas nie zaskoczy.

Nic ich nie zaskoczyło. Cała okolica wydawała się równie zwyczajna jak dom Greena.

- Może się pomyliliśmy - rzekł Hal. - Wcale nie wygląda groźnie.

- To nasz jedyny trop. - Decker starał się zachować nadzieję. - Chcę spytać Greena, czemu pojechał aż na lotnisko, aby wypożyczyć samochód.

Hal zaparkował kawałek od domu.

Decker poczekał, aż światła taurusa zgasną i dopiero wtedy wysiadł. Chciał skorzystać z osłony ciemności. Jednak kiedy ruszył w stronę domu Greena, Hal otworzył bagażnik.

- Poczekał chwilę - powiedział Hal cicho, po czym coś mu dał.

Decker dotykami rozpoznał paczkę wytrychów. Potem Hal wręczył mu coś jeszcze i tym razem Decker już nie miał wątpliwości,

co to takiego. Kształt przedmiotu był mu dobrze znany - pistolet półautomatyczny.

- Dziewięć milimetrów - rzekł Hal jeszcze ciszej. - Beretta. Tutaj masz do niej tłumik. - Wyjmował kolejne przedmioty z walizki. Ben także wybrał kilka z nich.

- Jak ty się przedostałeś przez kontrolę na lotnisku?

- Nie musiałem. Decker skinał głową.

- Teraz pamiętam. Wspominałeś, że przylecieliście firmowym odrzutowcem.

- Gotowy? - spytał Ben.

Upewniwszy się, że nikt go nie widzi, Decker wyjął magazynek z pistoletu, sprawdził, czy jest pełny, włożył go z powrotem, po czym przesunął zamek, wprowadzając pocisk do komory. Ostrożnie opuścił kurek i nie włączając bezpiecznika, wepchnął broń za pasek spodni, ukrywając ją pod jasnobrązową wiatrówką. Oprócz niej miał na sobie ciemne adidas, nowe džinsy i czystą džinsową koszulę. Chociaż pod prysznicem starał się zmyć sadzę z włosów i ze skóry, zimna woda nie za dobrze się do tego nadawała. Wciąż czuć było od niego delikatny zapach dymu.

- Gotowy.

- Jak chcesz to zrobić? - spytał Ben. - Jeśli Green jest w domu, może nie być sam. Może mieć rodzinę. Może być niewinny. A może mieszka z grupą facetów, którzy lubią przesiadywać do późna z bronią w rękę. Tak czy inaczej, nie możemy tak po prostu tam wparować.

- Obserwujcie dom z tego miejsca. Ja się rozejrzę - odparł Decker.

- Możesz potrzebować wsparcia.

- Sam powiedziałaś, że to nie jest sprawa służbowa. Skoro to moje przedstawienie, to ja wezmę na siebie ryzyko.

- Nie robimy tego ze względów służbowych.

- Wierz mi, jeśli będę potrzebował pomocy, to dam wam znać.

Hal zamknął bagażnik, a Decker z pozornym spokojem ruszył ciemnym chodnikiem, uważnie obserwując domy po obu stronach ulicy i powoli zbliżając się do posesji Greena. Nikogo nie zauważył. Minął dom Greena, skręcił w lewo na podwórko następnego budynku, w którym nie paliły się żadne światła, i pochylony przemknął za drewnianym ogrodzeniem, aż dotarł na tyły domu. Martwił się, że którejs z posesji pilnuje pies, ale nie zauważył budy ani nie słyszał szczekania. Noc była spokojna. Starał się zapanować nad napięciem. W nozdrzach czuł słodki zapach świeżo skoszonej trawy.

Z jednego z okien na tyłach domu Greena padała prostokątna plama światła, rozświetlając mroczne podwórko. Wewnątrz nikt się nie poruszał. Ze swojego miejsca Decker widział tylną ścianę pojedynczego garażu. Powoli, starając się robić jak najmniej hałasu, wspiął się na sięgające mu do pasa ogrodzenie i zeskoczył na trawnik po drugiej stronie. Od razu przywarł do tylnej ściany garażu, kryjąc się w cieniu. Kiedy upewnił się, że nikt nie zareagował na jego wtargnięcie, zerknął przez okno budynku i dzięki blaskowi bijącemu od strony domu stwierdził, że garaż jest pusty.

Szybko przeczołgał się do krzewów rosnących za domem i kucnął pod ciemnym oknem, próbując słuchem wychwycić głosy, muzykę, dźwięki telewizora - cokolwiek, co wskazywałoby, że ktoś jest w środku. Cisza. Zadowolając się tym, że żywopłot i drzewa ukrywają go przed wzrokiem mieszkańców sąsiedniego domu, wyłonił się z cienia i przystanął przed tylnymi drzwiami. Ze środka nie dobiegały żadne odgłosy. Podszedł do rozświetlonego okna i także chwilę pod nim nasłuchiwał. Nic.

Przeanalizował sytuację. Jeżeli Green mieszka samotnie, to pusty garaż wskazuje na to, że nie ma go w domu. Ale co, jeśli mieszka z innymi ludźmi, którzy także wyszli? Lub w ogóle nie ma samochodu i dlatego pierwszego września wypożyczył chevroleta?

Cholera, nie miał czasu tego wszystkiego przemyśleć. Musiał odnaleźć Beth! W swoim poprzednim życiu wycofałby się teraz i zaczął obserwować dom, czekając na okazję do konfrontacji z Greenem w kontrolowanych okolicznościach. Jednak to było jego obecne życie i w szybko bijącym sercu Decker czuł pewność, że Beth jest w niebezpieczeństwie i potrzebuje jego pomocy. Musi być jakiś powód, dla którego go okłamała. Równie dobrze w tej chwili może znajdować się o krok od śmierci wewnątrz domu Greena.

Nie widział żadnych znaków ostrzegających potencjalnych intruzów, że dom wyposażono w system alarmowy. Zazwyczaj takie znaki umieszczano w dobrze widocznych miejscach. Na żadnej z szyb nie zauważył naklejki firmy ochroniarskiej. Licząc, że Green zapomniał zamknąć tylne drzwi, Decker nacisnął klamkę. Bez

powodzenia. Sięgnął do kieszeni kurtki, wyciągnął paczkę z wytrychami i w ciągu trzydziestu sekund otworzył zamek. Mógłby to zrobić znacznie szybciej, ale musiał zachować ostrożność i działać jak najciszej, aby nie zaalarmować kogoś, kto mógł przebywać w środku. Nagle uzmysłowił sobie ironię całej sytuacji. Poprzedniej nocy ktoś w tak samo ostrożny sposób otwierał zamek w jego drzwiach.

Wyjął beretę, kucnął, otworzył drzwi i wycelował do wnętrza pomieszczenia, które okazało się niewielką kuchnią. Światło, które widział, paliło się nad zlewem. Jak najszybciej, a zarazem tak cicho, jak to tylko możliwe, zaczął się przekradać przez mroczne wnętrza, sprawdzając kolejne pokoje i ciesząc się, że dom nie ma piętra ani piwnicy. Nikogo nie znalazł.

Wyszedł przez tylne drzwi i wrócił na mroczny chodnik przed domem, niezauważony przez nikogo. Po pięciu minutach był z powrotem w środku, tym razem w towarzystwie Hala i Bena.

- No, to dowiedzmy się, kim do cholery jest Randolph Green - powiedział zaraz po zamknięciu za sobą drzwi. - Jak dotąd nie znalazłem żadnych dziecięcych ubranek ani zabawek. Nie znalazłem też żadnych sukienek. Green mieszka sam lub z innym mężczyzną.

- Przeszukam sypialnię - zaproponował Hal.

- Jeśli w domu jest jeszcze jedna, to ja się nią zajmę - rzekł Ben.

- Owszem, jest - potwierdził Decker. - Ja rzucę okiem na pracownię.

- Albo i nie. - Hal zmarszczył brwi.

- Co się stało?

- Widzę światła samochodu na podjeździe.

2

Decker był w szoku. Przez kuchenne okno zobaczył blask zbliżających się reflektorów i usłyszał silnik samochodu. Auto nie znajdowało się jeszcze dostatecznie blisko, aby jadąca nim osoba mogła zobaczyć, co się dzieje w kuchni, ale była to kwestia sekund. Decker, Hal i Ben błyskawicznie kucnęli pod oknem i zaczęli się pośpiesznie rozglądać.

- Ja to załatwię. Nie pozwólcie, aby ktokolwiek zobaczył wasze twarze, chyba że nie da się tego uniknąć - odezwał się Decker. - Jeśli nasze podejrzenia okażą się błędne, nie chcę, aby oskarżono was o włamanie. Wycofał się sklepionym przejściem po prawej stronie, kryjąc się w ciemności salonu. Hal i Ben zniknęli w przedpokoju po lewej stronie prowadzącym do pracowni i sypialni.

Na zewnątrz rozległo się dudnienie drzwi od garażu. Po kilku sekundach silnik samochodu zgasł. Drzwi garażu ponownie zadudniły.

Decker stał przyciśnięty do półki z książkami w salonie, czując, jak strużka potu spływa mu po klatce piersiowej, i słuchając dźwięku klucza przekręcanego w zamku. Tylne drzwi się otworzyły. Wewnątrz domu rozległ się odgłos kroków jednej osoby. Zaszurały zamykane drzwi. Kiedy Decker usłyszał szcęk zamka, wszedł do kuchni z bronią w ręku.

Widok przybysza wywołał w nim mieszankę ulgi, zaskoczenia i złości. Decker zdawał sobie sprawę, że determinacja skłoniła go do

podjęcia ryzyka, na jakie nigdy by się nie zdobył w swoim poprzednim życiu. Możliwe, że Randolph Green był praworządnym obywatelem, a to, iż pierwszego września wypożyczył błękitnego chevroleta cavaliera na lotnisku w Albuquerque, to jedynie zbieg okoliczności. W takim przypadku co się stanie, jeżeli Green wpadnie w panikę na widok broni w ręku Deckera? Co się stanie, jeśli coś pójdzie nie tak i Green zostanie śmiertelnie ranny? Nawet jeżeli nie zostanie ranny, to Decker i tak złamał prawo, włamując się do cudzego domu, a obecnie nie może już liczyć na pomoc swojego byłego przełożonego, który przekonałby lokalną policję do przymknięcia oka na przestępstwo.

Pozbył się wszelkich wątpliwości, kiedy po wejściu do kuchni przybysz odwrócił się zaskoczony, słysząc jego kroki. Zszokowany widokiem pistoletu, błyskawicznie sięgnął prawą ręką pod marynarkę. Decker dopadł do niego, zanim ten zdążył do końca wyciągnąć rewolwer. Podciął go kopnięciem, jednocześnie szarpiąc jego prawą rękę w stronę sufitu, gwałtownie wykręcając nadgarstek i uwalniając rewolwer z jego dłoni.

Mężczyzna jęknął z bólu, padając na podłogę. Decker odsunął od niego wytraconą broń i szybko go przeszukał, przyciskając mu lufę beretty do czoła. Upewniwszy się, że mężczyzna nie ma innej broni, Decker zabrał mu portfel i cofnął się, cały czas trzymając go na muszce. Za sobą usłyszał szybkie kroki i po chwili do pokoju wpadli Hal i Ben.

- Wszystko w porządku? - Ben również wycelował swoją beretę.

- W jak najlepszym porządku, zważywszy na to, jak jestem wkurzony.

Decker ruchem ręki wskazał szczupłego, około pięćdziesięcioletniego mężczyznę o delikatnych rysach i przerzedzonych, częściowo siwych włosach. Niewiele się zmienił od ich ostatniego spotkania dziesięć dni wcześniej. Jedyne jego blada skóra nabrała koloru pod wpływem pustynnego słońca.

- Pozwólcie że przedstawię wam handlarza dziełami sztuki, który twierdzi, że sprzedaje obrazy Beth. Oto Dale Hawkins. Kopę lat, Dale. Jak interesy?

Rozciągnięty na podłodze Hawkins rzucił mu wściekłe spojrzenie.

- Co ty wyrabiasz, do cholery? Czy masz pojęcie... Decker go kopnął i poczekał, aż Hawkins przestanie jęczeć.

- Zadałem ci pytanie, Dale. Jak interesy? Chyba niezbyt dobrze, skoro musiałeś opuścić swoją galerię w Nowym Jorku? A może naprawdę nazywasz się Randolph Green? Strasznie to wszystko skomplikowane, Dale, a komplikacje mnie złością. Z kolei kiedy się zezłosczę... - Decker wyciągnął ciężką kuchenną szufladę i wysypał na niego jej zawartość. Hawkins jęknął i chwycił się za rękę. - Powiedz coś, Dale. W końcu i tak będziesz mówił, więc równie dobrze możesz oszczędzić sobie sporo cierpienia.

- Nie masz pojęcia, co...

Decker rzucił w niego tosterem, trafiając w udo. Hawkins wykrzywił twarz z bólu, nie wiedząc, za którą część ciała się złapać.

- Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości. - Decker nalał wody do czajnika, postawił go na kuchence i włączył palnik. - Jeśli się zastanawiasz, co robię, to zapewniam cię, że nie kawę. Miałeś kiedyś oparzenia trzeciego stopnia? Podobno najgorsze są te spowodowane wrzącą cieczą. Ja nie żartuję, Dale. Skup się. Co... cię... łączy... z... Beth... Dwyer?

Hawkins dalej trzymał się za bolące udo.

- Zajrzyj do mojego portfela.

- Co?

- Do mojego portfela. Trzymasz go w ręku. Zajrzyj do środka.

- Jest tam coś na temat Beth? - Nie chcąc spuszczać Hawkinsa z oczu, Decker rzucił portfel Benowi. - Sprawdź, o czym on mówi.

Ben otworzył portfel, przejrzał jego zawartość i zmarszczył brwi.

- Co się stało? - spytał Decker. - Okłamał nas? Nie ma tam nic o Beth?

- Raczej nie. - Ben wyglądał na bardzo zmartwionego. - Ale zakładając, że te dokumenty nie są fałszywe, Randolph Green to jego prawdziwe nazwisko.

- I co z tego? W czym problem?

- Według tego... - Ben pokazał odznakę -...on jest szeryfem federalnym.

- Szeryfem federalnym? - Decker czuł zamęt w głowie. - Nie, to nie ma sensu. Co szeryf federalny miałby mieć wspólnego z...

- Cicho - odezwał się Ben.

- Co się...

- Coś usłyszałem. - Ben spojrział w stronę szyby w tylnych drzwiach. - Jezu. - Uniósł pistolet. - Padnijcie! Ktoś jest na zewnątrz! - W tym samym momencie coś szarpnęło nim do tyłu, a z czoła trysnęła mu krew, rozbryzgnięta przez uderzenie pocisku.

Decker się wzdrygnął. Dzwoniło mu w uszach od strzału, który roztrzaskał szybę w tylnych drzwiach. Czując, że Hal rzuca się na podłogę, uczynił to samo, celując w drzwi, a potem gorączkowo kierując broń kolejno w stronę okna nad kuchennym zlewem i okien po obu stronach pokoju. Zszokowany, nie mógł sobie pozwolić na jakąkolwiek reakcję na śmierć Bena. Smutek pojawi się później, silny smutek, ale na razie Deckerem kierowało wyszkolenie. Miał tylko jeden cel - przeżyć.

Gwałtownie ślizgając się do tyłu po podłodze, licząc na ukrycie się w ciemności salonu, krzyknął do mężczyzny, którego wciąż uważał za Dale'a Hawkinsa: - Kto do nas strzela? Powiedz im, żeby wstrzymali ogień! Ale Hawkins sprawiał wrażenie kompletnie zaskoczonego. Decker usłyszał wściekłe głosy za tylnymi drzwiami. Usłyszał dźwięk tłuczonego szkła w przedniej części domu. Kiedy się obrócił, celując w tamtą stronę, silne wybuchy niemal rozsadziły mu bębunki w uszach. Jeden, dwa, trzy, cztery. Bliski utraty przytomności, zakrył dłońmi uszy, a następnie oczy, rozpaczliwie

starając się je osłonić, gdyż eksplozjom towarzyszyły oślepiające błyski porażające gałki oczne i mózg.

Jęcząc z bólu, upadł na podłogę, nie mogąc powstrzymać odruchowej reakcji układu nerwowego, całkowicie bezsilny wobec granatów hukowo-błyskowych mających na celu obezwładnienie bez powodowania trwałych obrażeń. Gdzieś w głębi oszołomionego umysłu Decker wiedział, co się dzieje - sam wielokrotnie używał takich granatów.

Jednak wiedza nie mogła go obronić przed pierwotnym uczuciem paniki. Zanim zdołał przewyciężyć ból i odzyskać jasność umysłu, wykopnięto mu broń z ręki. Głuchy i ślepy, został chwycony i poderwany na nogi, po czym wypchnięty za drzwi. Upadł na chodnik, skąd ponownie dźwignięto go do pionu. Czyjeś ręce zepchnęły go z krawężnika. Przez chwilę odczuwał niezwykłą lekkość, gdy rzucono nim w prawą stronę. Potem ciężko uderzył o metalową podłogę. Poczł, że obok niego lądują kolejne ciała i z trudem zrozumiał, że znajduje się w samochodzie. W furgonetce, pomyślał, oszołomiony. Metalowa podłoga pochyliła się, kiedy do środka weszło kilka osób. Samochód kilka razy się zatrząsł, kiedy zatrzaskiwano drzwi. Następnie szybko ruszył.

4

- Przeszukałeś ich? - spytał szorstki głos.

- W domu.

- Zrób to jeszcze raz.

- Przecież mamy całą ich broń.

- Mówię, zrób to jeszcze raz. Nie chcę już żadnych niespodzianek.

Zdezorientowany Decker poczuł, że czyjeś ręce go obmacują odwracają przyciskają i badają. Zaczynał mu wracać porażony wzrok. W uszach wciąż słyszał bolesne dzwonięcie, więc miał wrażenie, że głosy docierają do niego z dużej odległości.

- Jest czysty - odezwał się inny szorstki głos.

- Pozostali też.

- Dobrze - rzekł pierwszy głos. Brzmiał tak, jakby ktoś mówił ze zwirom w gardle. - Czas na małą pogawędkę. Hej.

Furgonetką zarzuciło, zapewne weszła w zakręt. Silnik ryknął głośniej. Decker poczuł, że przyspieszyli.

- Hej - powtórzył chropawy głos. Decker poczuł obok siebie ruch.

- Tak, ty. Do ciebie mówię.

Zacisnął powieki, po czym znów je otworzył. Zamrugał, czując, że wzrok mu się poprawia. Jasne plamy przesłaniające pole widzenia zaczynały się rozpływać. Zastąpiły je zbliżające się jaskrawe światła samochodów widoczne przez przednią szybę - mnóstwo światła. Autostrada. Decker zauważył, że faktycznie znajduje się w furgonetcie. Tylna część pojazdu, w której leżał, była pozbawiona siedzeń. Naprzeciwko niego, z przodu samochodu, siedziało w kucki trzech uzbrojonych mężczyzn. Za nimi siedział kierowca oraz mężczyzna zajmujący miejsce pasażera, oglądający się teraz przez ramię.

- Tak, ty - powtórzył mężczyzna o chropawym głosie, otoczony uzbrojonymi ludźmi. Był silnie zbudowanym trzydziestokilkulatkiem o gęstych ciemnych włosach i ziemistej, oliwkowej cerze. Nosił drogie buty, dobrze skrojone spodnie, modną koszulę i wiatrówkę uszytą na miarę, wszystko w ciemnych kolorach. Decker zauważył, że pozostali mężczyźni w furgonetce wyglądali podobnie.

Trzymając broń w pogotowiu, mężczyzna pochylił się i tracił osobę leżącą obok Deckera. Kiedy Decker zerknął w tamtą stronę, zobaczył, że to Dale Hawkins.

- Hej ty, na litość boską - zawołał mężczyzna. - Siadaj. Skup się.

Oszołomiony Hawkins podciągnął się do pozycji siedzącej i ciężko oparł o ścianę furgonetki.

Chociaż dzwonięcie w uszach nadal sprawiało Deckerowi ból, jego słuch powoli wracał do normy. Usłyszał narzekanie kierowcy.

- Jeszcze jeden! Jezu, ci ludzie jeżdżą jak wariaci. Popili się czy co? Myślą, że to Indianapolis. Ciągłe zajeżdżają mi drogę. Trochę bliżej i będą mieli trofeum z mojego zderzaka.

Mężczyzna, który zdawał się przewodzić grupie, nie zwracał uwagi na kierowcę. Zamiast tego wpatrywał się w Hawkinsa, który siedział po lewej stronie Deckera. Po prawej stronie powoli dźwigał się Hal.

- Sprawy mają się tak - rzekł mężczyzna. - Wiemy, że Decker nie ma pojęcia, gdzie jest kobieta. W przeciwnym razie nie biegałby w kółko, próbując ją odnaleźć. Ale najwyraźniej uważa, że ty wiesz, gdzie ona się znajduje. - Gwałtownym gestem wskazał Hawkinsa. -

Inaczej nie jechałby z Santa Fe aż do Albuquerque, żeby włamać się do twojego domu i cię przesłuchać.

Przyptyw adrenaliny odebrał Deckerowi oddech. Wszystko toczyło się tak przeraźliwie szybko, ale pomimo zawrotów głowy i nudności, które pojawiały się w sytuacji, gdy nie była możliwa ani walka, ani ucieczka, starał się zachować trzeźwość umysłu i zwracać uwagę na jak największą liczbę szczegółów.

Zaintrygowały go ciemne oczy, wyraźne rysy i oliwkowa cera mężczyzny. Doszedł do wniosku, że ma do czynienia z Włochem. Cała grupa pochodziła z Włoch. Tak samo jak napastnicy, którzy napadli na niego zeszłej nocy. Rzym. Wszystko to wiąże się z wydarzeniami w Rzymie, pomyślał, czując przebiegający mu po plecach dreszcz. Ale w jaki sposób?

- Postawię sprawę jasno - powiedział przywódca grupy do Hawkinsa. - Powiedz mi to, co chciał z ciebie wydobyć Decker.

Przeklinając, kierowca furgonetki gwałtownie skręcił, kiedy kolejny samochód zajechał mu drogę.

- Gdzie jest Diana Scolari? - spytał przywódca.

Przez chwilę Decker był pewien, że jego nadwreżony słuch płata mu figle, zniekształcając brzmienie słów. Beth Dwyer. Z pewnością właśnie tak powiedział mężczyzna. Gdzie jest Beth Dwyer? Jednak ruch jego warg nie pasował do imienia Beth. Diana Scolari. Właśnie o takie nazwisko spytał. Ale kim do diabła jest Diana Scolari?

- Nie wiem - odparł Hawkins. Twarz poszarzała mu ze strachu. Mówił z trudem, jakby zaschło mu w gardle. - Nie mam pojęcia, gdzie ona jest.

Przywódca pokręcił głową z niezadowoleniem.

- Chciałem ci wszystko ułatwić. Zadałem pytanie, a ty masz udzielić odpowiedzi, której potrzebuję. Nie będziesz kombinował, to nie będzie problemów. - Wziął do ręki łyżkę do opon, uniósł ją i zdzielił Hawkinsa w piszczel.

Hawkins wrzasnął, chwytając się za nogę.

- A jeśli będziesz się słuchał, to nie będzie bólu - dodał przywódca. - Ale widzę, że nie współpracujesz. Naprawdę mam uwierzyć, że szeryf federalny - podniósł odznakę Hawkinsa - który ma za zadanie pomóc Dianie Scolari w osiedleniu się w Santa Fe, nie wie, dokąd ona uciekła? - Uderzył łyżką do opon obok drugiej nogi Hawkinsa, sprawiając, że podłoga zadudniła, a szeryf się skrzywił. - Myślisz, że jestem głupi?

- Przecież nie byłem jedyny - wycharczał Hawkins. - Pracowaliśmy w zespole. Kontaktowaliśmy się z nią na zmianę, aby nie zwracać na siebie uwagi. Nie widziałem jej od pierwszego dnia miesiąca.

Przywódca ponownie uderzył łyżką do opon w podłogę.

- Ale wiedziałeś, że dzisiaj uciekła.

- Tak. - Hawkins z trudem przełknął ślinę. Trach! Łyżka do opon znów uderzyła w podłogę.

- Co oznacza, że byłeś w kontakcie z resztą zespołu. Mam uwierzyć, że nie powiedzieli ci, gdzie ją ukryli?

- To informacja przeznaczona tylko dla osób, którym jest niezbędna. Powiedzieli mi, że nie muszę wiedzieć, - Brzmienie głosu Hawkinsa kojarzyło się z papierem ściernym.

- Och, doprawdy? Cóż, w takim razie masz pecha, bo skoro nic nie wiesz, to jesteś bezużyteczny i mogę cię spokojnie zabić. - Wycelowwał pistolet w Hala. - Wiem, kim jest Decker, ale co z ciebie za jeden?

- Nikt.

- To co z ciebie za pożytek?

Pistolet miał tłumik. Rozległ się cichy odgłos przypominający uderzenie dłonią w poduszkę.

Hal upadł do tyłu i znieruchomiał.

Deckerowi serce gwałtownie załomotało w piersi.

Nagłą ciszę, która zapadła w furgonetce, podkreślał ryk samochodów na zewnątrz. Kierowca skręcił, unikając zderzenia z autem bez ostrzeżenia zmieniającym pas.

- Co za palanty. Wierzyć się nie chce. Wydaje im się, że są na torze wyścigowym. Poszaleli.

Przywódca nadal ignorował kierowcę, skupiając się na Hawkinsie.

- Czy teraz wreszcie zwróciłem twoją uwagę? Jeden z głowy. Następny będzie Decker. A potem, zgadnij?

- I tak mnie zabijesz - odparł Hawkins. - Dlaczego miałbym ci cokolwiek powiedzieć?

- Hej, jeśli będziesz współpracował, zwiążemy cię i wsadzimy do jakiejś szopy. Musimy cię uciszyć tylko do poniedziałku. Potem to będzie bez znaczenia.

- Skąd mogę wiedzieć, że mówisz prawdę?

- Spójrz na mnie. Czy ta twarz mogłaby kłamać?

- Co się stanie w poniedziałek? - spytał Decker. Przypomniał sobie, że Beth miała w niedzielę lecieć na Wschód.

- Prosiłem cię, żebyś się wtrącał? - rzucił przywódca. Decker pokręcił głową.

- I tak jesteś na mojej liście. - Gdyby nie ty, wczoraj dorwalibyśmy tę sukę i teraz bylibyśmy już w Jersey. Szef nie toczyłby piany, że dziś po południu znów nam uciekła. Nie musielibyśmy spędzać sobotniego wieczoru najeźdzeniu z wami po pieprzonym Albuquerque.

Słyszając odwołanie do New Jersey, Decker poczuł jeszcze silniejsze pieczenie w żołądku. Stało się dla niego całkowicie jasne, że mężczyzna nie zdradzałby żadnych osobistych szczegółów, gdyby, zgodnie ze swoją obietnicą zamierzał oszczędzić Deckera i Hawkinsa.

Przywódca przycisnął Hawkinsowi pistolet do czoła.

- Może jeszcze nie zrozumiałeś sytuacji. Może nie zdajesz sobie sprawy, co mój szef ze mną zrobi, jeśli nie rozwiążę dla niego tego problemu.

- Proszę - odezwał się Hawkins. - Posłuchaj mnie. Nie wiem, co ci powie. Wraz z końcem sierpnia zostałem przeniesiony z Filadelfii do Albuquerque. Sprawa Diany Scolari była moją pierwszą w tej okolicy. Inni oficerowie zajmowali się nią już od jakiegoś czasu. To oni znali szczegóły. Mnie do nich nie dopuszczono.

Decker nareszcie wpadł na pomysł odwołania swojej egzekucji.

- Ja znam ją lepiej niż Hawkins. Przywódca wycelował pistolet w jego twarz.

- Mówiłem ci coś o wtrącaniu się? Decker skinął głową.

- Skoro tak dobrze ją znasz, to czemu, do cholery, nie wiesz, dokąd uciekła? Dostaliśmy rozkaz, aby cię śledzić. Kiedy wyszliście z domu i pojechaliście do biura FBI, Rudy przyczepił nadajnik pod tylnym zderzakiem samochodu, który wypożyczyli twoi znajomi i którym dziś wieczorem pojechaliście do Albuquerque. Jechaliśmy za wami. To oczywiste, że kręcisz się w kółko i jej szukasz.

Decker nie odpowiedział.

- No powiedz coś! - warknął przywódca.

- Gdybym wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, mógłbym sobie przypomnieć coś, co powiedziała albo zdradziła przez nieuwagę, a co mogłoby wskazać, dokąd uciekła - odparł Decker.

- I powiedziałbyś mi o tym z dobrego serca.

- Żeby wyjść z tego cało. Słuchaj, jestem na nią tak samo wkurzony jak wy.

- Wątpię.

Furgonetka znów gwałtownie skręciła.

- Okłamała mnie - powiedział Decker. - Diana Scolari? Mówiła, że nazywa się Beth Dwyer. Powiedziała, że jej mąż w styczniu zmarł na raka. Powiedziała, że przyjechała do Santa Fe, aby zacząć nowe życie.

- O tak, jej mąż nie żyje - rzekł mężczyzna gorzko. - Ale nie umarł na raka. Ona rozwaliła mu łeb.

Decker otworzył usta ze zdumienia.

- Co takiego?

- Strzela lepiej ode mnie. Nic dziwnego, Joey ją nauczył. Decker bardzo chciał spytać, kim jest Joey, ale się nie odważył, czując, że to on powinien dostarczać informacji.

- A skąd wzięła pieniądze na dom? Co ci powiedziała?

- Z polisy ubezpieczeniowej męża. Przywódca zaśmiał się ze złością.

- Jasne, Joey miał polisę ubezpieczeniową. W studolarowych banknotach schowanych w kilku torbach wewnątrz domowego sejfu. Ponad dwa miliony dolarów. Po tym, jak rozwaliła mu łeb, wszystko zabrała.

Furgonetka znów gwałtownie skręciła, zarzucając pasażerami.

- Hej! - Przywódca odwrócił się z wściekłością w stronę kierowcy. - Jeśli sobie nie radzisz, to Frank cię zmieni.

- Mówię ci, nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak jeździł - odparł kierowca. - Wszyscy mają te wielkie pick-upy i zajeżdżają mi drogę.

jakby się bawili w sprawdzanie, jak blisko mogą podjechać bez stłuczki. Autostrada na Long Island to przy tym wiejska dróżka.

- Po prostu rób, co ci każę. Mam dosyć wpadek. Do tego się sprowadza ta cała cholerna robota. Jedna wielka wpadka.

Kiedy z powrotem się odwrócił, Decker nie dał po sobie poznać zaskoczenia wywołanego odczuciem lekkiego ruchu po swojej prawej stronie. Hal. Ukryty w cieniu z tyłu furgonetki, dotknął palcem kostki Deckera, informując go, że strzał nie był śmiertelny. Deckerowi przyszedł do głowy tylko jeden powód takiego zachowania - Hal chciał go ostrzec, że zamierza spróbować coś zrobić.

Przywódca wycelował w Deckera.

- No dobrze, kochasiu. Jestem rozsądnym człowiekiem. Jeden z jego kompanów zachichotał.

- Właśnie że jestem. Uwierzcie we mnie. Oto moja propozycja. Jestem skłonny założyć, że rzeczywiście miałeś jakieś przeczucie, które chciałeś potwierdzić u szeryfa federalnego, więc dam ci trzydzieści sekund na podzielenie się ze mną swoimi podejrzeniami co do tego, gdzie ona jest. Nie zmarnuj swojej szansy. Bo jeśli mnie nie przekonasz, to się pożegnamy. Może wtedy pan oficer zrozumie, że nie żartuję.

Pot spływał Deckerowi po twarzy.

- Powiedziała, że w niedzielę wraca do Nowego Jorku.

- Oczywiście. W poniedziałek ma zeznawać. Zostało ci dwadzieścia pięć sekund.

- W takim razie wiecie, gdzie ją przechwycić; tam, gdzie będzie zeznawać.

- Decker, po dwóch próbach zamachu na jej życie federalni będą ją chronić jak prezydenta. Chodzi o to, żeby ją złapać, póki oni wciąż nie wiedzą co się dzieje, póki się nie zorganizują. Dwadzieścia sekund.

Muszę coś zrobić, pomyślał Decker rozpaczliwie. Nie mogę tak po prostu dać się zastrzelić. Muszę...

Jego ciało napięło się, kiedy usłyszał stłumiony dźwięk dobiegający z kieszeni wiatrówki przywódcy. Telefon komórkowy.

Mężczyzna zamruczał coś pod nosem, wyjmując niewielki, płaski telefon i wciskając guzik.

- Tak, kto mówi? - Przez chwilę słuchał. - Cholera, Nick się wścieknie. Znowu nam uciekła. Policjanci powiedzieli przez radio, że wyszła z domu przed wybuchem. Próbuje ją znaleźć... Do ciebie? Poszła do ciebie? Gdzie ją zabrałeś? A niech mnie... Tak blisko domu. Dzwoniłeś do Nicka? Zajmie się tym? Nie ukrywam, że zaczynałem się denerwować... Złapiemy pierwszy powrotny samolot. A tymczasem rozmawiam sobie z twoim starym znajomym. Pytam go, czy ma jakieś ostatnie słowo. Chciałbyś coś mu przekazać?... Jasne.

Szeroko się uśmiechając, podał telefon Deckerowi. Zaskoczony Decker przyłożył słuchawkę do ucha.

- Halo?

Po drugiej stronie odezwał się ponury głos, którego Decker nie słyszał od ponad roku, ale który od razu rozpoznał.

- Decker, strasznie żałuję, że mnie tam nie ma, aby zobaczyć, jak cię wykańczają.

- McKittrick?

- Zrujnowałeś mi życie.

- Posłuchaj mnie.

- Zniszczyłeś moją karierę.

- Nie. To nieprawda. Powiedz tym facetom, aby zabrali mnie do ciebie. Musimy się spotkać. Musimy o tym porozmawiać - mówił Decker.

- Ojciec byłby ze mnie dumny.

- McKittrick, muszę poznać prawdę o Beth.

- Ale oczywiście ty musiałeś się wtrącić. Musiałeś udowodnić, jaki jesteś sprytny.

- Gdzie ona jest?

- Chciałeś przypisać sobie wszystkie zasługi.

- Dlaczego z tobą uciekła? Co jej zrobiłeś?

- Nic w porównaniu z tym, co zamierzam zrobić. I z tym, co ci ludzie zrobią z tobą. Mam nadzieję, że nie będą się spieszyć.

- McKittrick!

- I kto teraz jest sprytny?

Decker usłyszał trzask, ciszę, a potem sygnał. Powoli, zrozpaczony, opuścił telefon.

Przywódca wciąż się uśmiechał.

- Zanim oddałem ci telefon, twój kumpel kazał ci powtórzyć: *Arrivederci, Roma*. - Zaśmiał się i uniósł pistolet. - Na czym skończyliśmy? Piętnaście sekund? Dziesięć? A, do diabła z tym.

Jednak kiedy jego palec zaciskał się na spuście, Hal zebrał w sobie wystarczająco dużo siły, aby zareagować. Pomimo odniesionej rany, kopnął w górę, podbijając pistolet. Rozległ się przytłumiony odgłos wystrzału i pocisk przebił dach furgonetki.

Decker z całych sił rzucił telefonem, trafiając przywódcę między oczy. Jednocześnie skoczył w kierunku jego pistoletu, wytrącając masywnego przeciwnika z równowagi i popychając go na dwóch mężczyzn siedzących obok. W ciasnym wnętrzu furgonetki ciała zderzyły się ze sobą.

- Co się tam dzieje? - Kierowca obejrzał się przez ramię. Furgonetką zarzuciło.

Mężczyźni zatoczyli się na siebie. Decker kopnął jednego z przeciwników w krocze, cały czas próbując wyrwać przywódcy pistolet. Obok niego od razu rozgorzała kolejna walka. Hawkins uderzył jednego z ludzi w twarz i usiłował odebrać mu broń. Mężczyzna siedzący na fotelu pasażera zaczął przechodzić przez niską barierkę oddzielającą go od tylnej części furgonetki. Przywódca ponownie strzelił, znów posyłając pocisk przez dach, kiedy Decker popchnął całą grupę do przodu. Pod ich naporem mężczyzna siedzący obok kierowcy wylądował z powrotem na swoim fotelu. Walczący polecili jeszcze dalej do przodu, przewracając barierkę i przygniatając kierowcę do kierownicy.

- Nie! - wrzasnął kierowca, kiedy furgonetka uderzyła w tył pick-upu.

Wcisnął pedał hamulca i próbował gwałtownie skrócić, aby uniknąć ponownego zderzenia, ale ciężar kilku rzucających się mężczyzn przygwoździł go do kierownicy, tak że nie miał siły, aby nią poruszyć. Pozbawiony kontroli nad samochodem, mógł tylko patrzeć z przerażeniem, jak furgonetka zjeżdża na przeciwległy pas, uderza bokiem w nadjeżdżający samochód, przewraca się na prawy bok, ślizga po asfalcie, ociera o kolejne auto i błyskawicznie zmierza ku krawędzi autostrady, zderzając się z beczkami, przebijając barierkę, roztrzaskując przednią szybę, po czym gwałtownie się zatrzymując.

Uderzenie pozbawiło Deckera tchu. Ogłuszony leżał bez ruchu wśród sterty innych nieruchomych ciał, przez chwilę widząc podwójnie. Zastanawiał się, dlaczego nad nim znajduje się lewa ściana furgonetki zamiast sufit, po czym zrozumiał, że samochód się przewrócił i teraz lewa ściana jest sufitem. Czas wydawał się stać w miejscu. Nagle Decker poczuł zapach benzyny i czas ruszył. Strach zmusił go do działania. Wokół unosiły się gęste, słodkie opary. Mój Boże, pomyślał, pewnie pękł bak.

Z trudem się poruszył, spychając z siebie czyjeś ciało. Lęk dodawał mu sił. Przez stłuczoną przednią szybę widział światła samochodów. Ha! Muszę wydostać stąd Hala. Muszę znaleźć Hawkinsa. Zszokowany zdał sobie sprawę, że to właśnie ciało Hawkinsa z siebie zepchnął. Puste spojrzenie oraz groteskowe

ułożenie głowy nie pozostawiało wątpliwości, że szeryf skreślił kark. Hal! Gdzie jest... Jeden z napastników jęknął. Szukając Hala, Decker odzyskał jasność umysłu na tyle, aby zrozumieć, że przednie drzwi blokowała sterta ciał, a furgonetka przewróciła się na boczne drzwi. Wśród oszałamiających oparów benzyny, czując się jak w potrzasku, Decker modlił się, aby tylne drzwi nie były zablokowane.

Kolejny z mężczyzn jęknął. Inny powoli uniósł rękę. Decker na czworakach dotarł do tylnej części furgonetki i w światłach szybko przejeżdżających samochodów ujrzał Hala leżącego z otwartymi ustami, z których sączyła się krew. Hal miał otwarte, niewidzące oczy. Ale może po prostu stracił przytomność! Może żyje! Decker desperacko szukał pulsu, ale bezskutecznie.

Jeden z mężczyzn zaklął, zaczynając dochodzić do siebie. Tymczasem Decker wyczuł coś jeszcze poza wonią benzyny. Dym. Wypełniał całą furgonetkę, zmuszając Deckera do kaszlu. Zdał sobie sprawę, że samochód wybuchnie, i zaczął się gramolić w stronę tylnych drzwi. Jego gwałtowne ruchy sprawiły, że furgonetka przechyliła się do tyłu. Dlaczego? Na czym się opierała? Dotarł do tylnych drzwi. Samochód leżał na boku, więc drzwi były ustawione poziomo. Chwycił dolną zasuwkę, gwałtownie ją obrócił i odetchnął triumfalnie, kiedy się poruszyła, wdzięczny losowi, że nie jest zablokowana. Pchnięciem otworzył drzwi i wysunął się na nie, ponownie czując, że samochód się przechyla. Niespodziewanie” zaczął się ześlizgiwać. Rozpaczliwie chwycił się krawędzi drzwi,

ratując się przed spadnięciem ku światłom samochodów szybko przemieszczających się w dole.

Gwałtownie wciągnął powietrze, kiedy zrozumiał, że furgonetka musiała się przebić przez barierki na remontowanym odcinku autostrady znajdującym się na wiadukcie. Tylna część wozu, niepewnie balansującego na krawędzi wiaduktu, była zawieszona w powietrzu. Decker wisiał nad ruchliwą szosą biegnącą poniżej, słysząc ryk samochodów. Gdyby się puścił, zapewne złamałby obie nogi przy uderzeniu o asfalt z wysokości siedmiu metrów. Ale ból nie miał znaczenia. Chwilę później i tak zginąłby pod kołami samochodów.

Spróbował się podciągnąć, ale nawet przy najmniejszym ruchu furgonetka się kołysała, grożąc spadnięciem z wiaduktu i zmiążdżeniem Deckera. Serce biło mu tak szybko, że czuł mdłości. Zaprzestał desperackich prób wspięcia się z powrotem do wnętrza przewróconego samochodu i zamiast tego wisiał nieruchomo na poziomo ustawionych drzwiach, zastanawiając się, czy byłby w stanie sięgnąć pod spód furgonetki i złapać się krawędzi wiaduktu, a potem przesunąć się wzdłuż niej aż do boku pojazdu. W dole szczątki blokowały jeden z pasów ruchu. Rozlegały się ostre dźwięki klaksonów, kiedy samochody jadące tym pasem gwałtownie skręcały między auta jadące obok. Tymczasem furgonetka ponownie się zakołysała, a z góry dobiegł dźwięk, który sprawił, że Decker się wzdrygnął.

Rozległ się ciężki oddech kogoś czołgającego się ku tylnej części furgonetki. Masywny mężczyzna, który przesłuchiwał Deckera,

oszołomiony spojrział w dół. Twarz miał całą we krwi. Był wyraźnie zdezorientowany i sparaliżowany widokiem świateł samochodów mknących poniżej. Nagle ujrzał Deckera wiszącego na otwartych drzwiach i odzyskał trzeźwość umysłu. Zaczął przeszukiwać swoje ubranie, najwyraźniej szukając pistoletu. Zdał sobie sprawę, że go upuścił, i ruszył w głąb furgonetki. Samochód ponownie się zakołysał.

Z przodu furgonetki pojawiło się migające, jasne światło. Ogień! pomyślał Decker. Benzyna się zapaliła. W każdej chwili może wybuchnąć bak. Furgonetka wyleci w powietrze i się spali. Przywódca szybko wrócił, ścigany przez gwałtownie rozszerzający się pożar. W panice zaczął opuszczać się na otwarte drzwi, ale po chwili zdał sobie sprawę, że nie utrzymają one dwóch osób. Z krzykiem uniósł odnaleziony pistolet, celując w Deckera.

Nie mam wyboru, pomyślał Decker. Spojrział pod siebie, zobaczył przejeżdżającego tira, rozluźnił uchwyt i runął w dół w tej samej chwili, kiedy padł strzał. Jednocześnie wybuchł bak furgonetki, a płomienie pochłonęły uzbrojonego napastnika. Potem Decker widział już tylko jadącą ciężarówkę pod sobą. Jej kierowca zwolnił, aby ominąć szczątki leżące na drodze, i wepchnął się między samochody na sąsiednim pasie. Gwałtownie wciągając powietrze, Decker uderzył o dach szesnasto-kołowca i odruchowo zgiął kolana, jak nauczono go w szkole spadochroniarskiej. Gdyby się nie przeturłał i jakimś cudem pozostał wyprostowany, uderzyłby głową i klatką piersiową o krawędź wiaduktu. Kończąc przewrót, z impetem wywołanym siłą upadku oraz pędem ciężarówki, uderzył rękami o

dach i zaczął szukać jakiegoś łączenia, fałdy, czegokolwiek, co pozwoliłoby mu się utrzymać. Dudniąca ciemność tunelu pogłębiała dezorientację. Poczuł, że jego stopy ześlizgują się z tylnej krawędzi dachu ciężarówki. Za sobą bardziej wyczuł, niż zobaczył płonące ciało spadające z wiaduktu i uderzające o szosę, usłyszał kolejne dźwięki klaksonów i chrzęst uderzenia. Jednak zwracał uwagę tylko na szybkość, z jaką jego kolana, uda, podbrzusze i klatka piersiowa kolejno ześlizgiwały się z tyłu tira. Mocniej przycisnął palce do powierzchni dachu, poczuł, że zaraz pofrunie w powietrze, wyobraził sobie uderzenie o podłoże tuż przed zmiążdżeniem pod kołami następnego samochodu... i wtedy chwycił palcami górną krawędź tylnych drzwi ciężarówki. Zaraz potem jego lewa ręka rozluźniła uchwyt. Jeszcze bardziej rozpaczliwie zacisnął prawą dłoń, po czym ponownie zarzucił lewą rękę na górną krawędź drzwi, uderzył w nie kolanami i podeszwą lewego buta dotknął olbrzymiej zasuw.

Ciężarówka wyjechała z tunelu. Za sobą Decker usłyszał uderzenie i eksplozję. Nawet nie oglądając się, wiedział, co się dzieje. Płonąca furgonetka runęła z wiaduktu i spadła na wolny pas autostrady. Odezwały się klaksony. Rozległ się odgłos uderzenia metalu o metal oraz brzęk tłuczonego szkła.

Ciężarówka zwolniła, a kierowca zjechał z szosy na pobocze. Najwyraźniej w bocznych lusterkach zobaczył płomień oraz wybuch i teraz zatrzymywał się, aby sprawdzić, co się stało. Im bardziej ciężarówka zwalniała, tym łatwiej było się Deckerowi utrzymać. Kiedy tir stanął, Decker zwolnił uchwyt i zeskoczył na zwirowe

pobocze. Przeskoczył przez barierkę i zniknął w ciemnościach obok placu giełdy samochodowej, zanim kierowca podszedł do tylnej części ciężarówki, aby popatrzeć na morze ognia.

## 5

- Zapłacę wam, jeśli zawieziecie mnie do Santa Fe. Decker stał przed sklepem na stacji benzynowej. W ostrym świetle łukowych lamp rozmawiał z trzema nastolatkami, którzy właśnie wrócili do jaskrawoczerwonego forda o przyciemnionych szybach i niskim zawieszaniu, niosąc dwa dwunastopaki piwa.

- Człowieku, nie mamy czasu - odpowiedział pierwszy chłopak.

- No, mamy imprezkę - rzucił drugi.

- Taką objazdową imprezkę - dodał trzeci. Cała trójka zarechotała.

- Będziecie mogli znacznie lepiej się zabawić dzięki stu dolarom, które wam zapłacę za podwiezienie do Santa Fe - rzekł Decker.

Chłopcy zmierzili go wzrokiem.

- Sto dolarów? - spytał pierwszy nastolatek.

- Tak powiedziałem.

- Za mało - odparł drugi.

- A ile by wystarczyło?

- Dwieście - odpowiedział trzeci chłopak.

Ponownie wszyscy trzej zarechotali.

- Hej, co ci się stało? - spytał pierwszy chłopak.

- Miałem wypadek samochodowy.

- Wygląda raczej, jakbyś się z kimś pobił - odparł drugi chłopak.
- I przegrał - dodał trzeci. Zanieśli się śmiechem.
- Pokaż kasę.

Decker pokazał im gotówkę, którą podjął z bankomatu przed wyjazdem z Santa Fe.

- No to jak, powieziecie mnie czy nie?
- O tak, pewnie, że cię podwieziemy - odpowiedział drugi nastolatek.

Jednak w połowie drogi do Santa Fe skręcili z szosy międzystanowej w mroczną boczną drogę.

- Co się dzieje?
- Objazd.
- Skrót.
- Odpoczynek.

Zaczęli gwałtownie rechotać i wyciągnęli noże.

- Oddawaj kasę, facet - powiedział pierwszy chłopak.
- Nie tylko dwie stówy - dodał drugi.
- Wszystko - zażądał trzeci.
- Wybraliście najgorszy moment z możliwych - odrzekł Decker.

Połamał im ręce, nogi i szczęki. Zostawił ich nieprzytomnych w ciemności pustyni, wsiadł do samochodu, zwiększył obroty i z rykiem silnika wrócił na drogę międzystanową po czym pomknął w stronę Santa Fe.

Beth. Decker garbił się nad kierownicą forda, mocno ją ściskając i wpatrując się intensywnie w mroczną autostradę przed sobą. Beth. Silnie dociskał pedał gazu. Chociaż chciał za wszelką cenę uniknąć łamania ograniczenia prędkości wynoszącego sto kilometrów na godzinę, aby nie zwracać na siebie uwagi policji, to za każdym razem, kiedy zerkał na licznik, z niezadowoleniem stwierdzał, że wskazuje sto dwadzieścia kilometrów. Musiał zwolnić. Jeżeli zatrzymają go w skradzionym samochodzie...

Wciąż powtarzał imię Beth. Dlaczego mnie okłamałaś? Kim ty jesteś? Kim, u licha, jest Diana Scolari?

Zegar na tablicy rozdzielczej forda pokazywał, że niedawno minęła pierwsza w nocy, jednak Decker czuł się tak, jakby było dużo później. Ze zmęczenia bolała go głowa i szczypały oczy, jakby ktoś nasypał do nich piasku. Bolało go całe ciało, posiniaczone i poobcierane podczas walki w furgonetce i późniejszego wypadku. Upadek na dach ciężarówki mocno go poturbował. Przez ostatni rok wmawiał sobie, że dzięki regularnym ćwiczeniom - między innymi bieganiu i grze w tenisa - udaje mu się utrzymywać odpowiednią formę. Jednak teraz zdał sobie sprawę, że tak naprawdę się lenił i nie zachowywał profesjonalnego poziomu gotowości.

Gotowości na co? - pomyślał ze wściekłością. Zostawiłem tamto życie za sobą. Odnalazłem się na nowo. Na co miałbym się przygotowywać?

Na wszystko, odpowiedział sobie, wyprzedzając półciężarówkę i migając przy tym światłami. To szaleństwo, że pozwoliłem sobie na

utrata czujności! Beth, krzyknął w myślach. A może wykrzyczał jej imię na głos...

Miał zdarte gardło i napięte struny głosowe. Dlaczego mnie okłamałaś? Zastrzeliłaś męża? Zabrałaś dwa miliony dolarów z jego domowego sejfu? Co do...? Czy przywódca porywaczy mówił prawdę? Czy ktokolwiek mówił prawdę? A co z McKittrickiem?

W jaki sposób on jest w to zamieszany?

Teraz już na pewno wykrzykiwał imię Beth, a wewnątrz forda wzmacniało jego wściekły głos. Pędząc wzdłuż długiego, mrocznego łuku wzgórza La Bajada, pod wpływem wyczerpania i bólu zmagał się z przytłaczającą mieszanką emocji. Nie potrafił ich rozdzielić i rozróżnić. Czy ta pewność, że istnieje jakieś przekonujące wytłumaczenie, które otrzyma od Beth, kiedy ją odnajdzie, to miłość? A może odczuwa coś wręcz przeciwnego - nienawiść, złość, zdradę? Czy chce ocalić Beth? A może pragnie ją złapać i ukarać?

Ford szybko wspiął się na szczyt wzgórza i Decker, zmagając się z burzą emocji, nagle ujrzał przed sobą światła Santa Fe Uderzyła go gorzka ironia hiszpańskiej nazwy miasta: Święta Wiara. Potrzebował wiary - modlił się o nią.

## **Rozdział ósmy**

### **1**

Własny dom wydawał mu się obcy. Po wytarciu swoich odcisków palców ze skradzionego samochodu i porzuceniu go na piaszczystej drodze odchodzącej od szlaku Old Pecos, Decker ociężale pobiegł w ciemności ku swojemu domowi, ale nie czuł z nim żadnej

więzi. Przez ostatni rok i trzy miesiące ten budynek stanowił dla niego schronienie i symbol nowego życia, a teraz był tylko miejscem, tak samo jak mieszkanie, które pozostawił w Alexandrii.

Zmęczony sprawdził, czy nikt go nie śledzi. Niczego nie zauważył, lecz wciąż czuł potrzebę zachowania ostrożności, dlatego wspiął się po porośniętym sosnami wzgórzu, tak samo jak napastnicy poprzedniej nocy. Przez chwilę zmagał się z zamkiem w mroku pod tylnym portalem, po czym otworzył drzwi i wślizgnął się do środka. Obawiał się, że przejeżdżający patrol mógłby zauważyć zapalone światła, więc nie sięgnął do włącznika, tylko pośpiesznie zamknął za sobą drzwi. Korzystając z blasku księżyca wpadającego przez zajmujące całą ścianę okna z tyłu domu, skierował się do zdemolowanej sypialni. Wszędzie leżały śmieci. W powietrzu nadal unosił się smród kordytu. Teraz to symbolizowało jego życie.

Trzeci raz w ciągu ostatnich dwunastu godzin wziął zimny prysznic i przebrał się w czyste ubranie. Tym razem spakował małą torbę podróżną. Zebrał trochę biżuterii - złotą bransoletę, złoty łańcuch, pierścień z jadem. Nigdy ich nie zakładał. Były pozostałością jego dawnego życia, przedmiotami, które mógł sprzedać, gdyby nagle skończyły mu się pieniądze. To samo dotyczyło sakiewki z dwunastoma złotymi monetami, którą z odrazą wrzucił do szuflady zaraz po przeprowadzce. Miał zamiar spieniężyć monety lub zdeponować je w skrytce bankowej, ale nigdy się na to nie zdobył. Teraz wrzucił biżuterię do tej samej sakiewki i schował ją między ubraniami w podróżnej torbie.

Był prawie gotów. Zaniósł torbę do drzwi prowadzących do garażu, znajdujących się w kuchni. Niechętnie przystanął przy lodówce, gdzie przyrządził sobie i pochłoniął kanapkę z szynką i serem oraz dokończył karton chudego mleka. Ocierając usta, poszedł do swojego gabinetu i sprawdził automatyczną sekretarkę, mając nadzieję, że otrzymał jakąś wiadomość od Beth. Jednak zamiast tego usłyszał dziennikarzy, pragnących z nim porozmawiać o ataku na jego dom i wybuchu bomby w sąsiedztwie. Dzwoniło także kilkoro znajomych z pracy, zaskoczonych tym, czego dowiedzieli się z mediów. Na taśmie znajdowało się również kilka wiadomości od Esperanzy. „Decker, kiedy tylko to odsłuchasz, zaraz do mnie zadzwoń. Próbuję się z tobą skontaktować. Na Boga, jeśli wyjechałeś z miasta...”. Z poważną miną wrócił do kuchni, wziął torbę podróżną i przeszedł do garażu. Potężny silnik jeepa cherokee od razu zaskoczył i Decker odjechał w noc.

2

- Uch. Zaraz... Która jest...?

Decker jedną ręką prowadził, a drugą trzymał przy uchu słuchawkę samochodowego telefonu.

- Esperanza?

- Decker? - Półprzytomny głos detektywa od razu stał się czujny.

- Gdzieś ty...

- Musimy porozmawiać.

- A żebyś, cholera, wiedział, że musimy.- Na wizytówce, którą mi dałeś, jest twój domowy numer, ale nie ma adresu. Jak mam do ciebie trafić? - Słuchał przez chwilę. - Tak, wiem, gdzie to jest.

Osiem minut później wjechał na słabo oświetlony plac z przyczepami mieszkalnymi, położony w południowej części miasta - jeden z mało reprezentacyjnych zakątków, z których istnienia nawet nie zdają sobie sprawy turyści krążący wśród efekciarskich sklepów na głównym placu. Na zacienionym piaszczystym podjeździe przed przyczepą stały pick-up i motocykl. Juki porastały zwirowy fragment terenu położony z przodu, a ogród kwiatowy tulił się do frontowej ściany. Esperanza, ubrany w czarne spodnie i bluzę od dresu, z długimi ciemnymi włosami zwieszającymi się do ramion, siedział w bladym żółtym świetle lampy, wydobywającym z mroku trzy betonowe schodki prowadzące do metalowych drzwi wejściowych.

Kiedy Decker zaczął wysiadać z jeepa, Esperanza gestem nakazał mu zostać w środku, po czym podszedł i wsiadł do samochodu, zamykając za sobą drzwi po stronie pasażera.

- Twój telefon obudził moją żonę.

- Przepraszam.

- Ja też musiałem przeprosić. Nie pomogło nam to w obliczu problemów, z którymi się zmagamy.

To osobiste wyznanie zaskoczyło Deckera, który był tak zajęty własnymi kłopotami, że nawet nie pomyślał o tym, jak wygląda prywatne życie Esperanzy. Detektyw wydawał się obiektywnym zawodowcem, który zachowuje się w ten sposób przez dwadzieścia

cztery godziny na dobę. Decker nigdy by nie zgadł, że miał problemy osobiste.

- Ciągłe mi powtarza, że za mało zarabiam jak na taki poziom ryzyka i ilość poświęcanego czasu - rzekł Esperanza. - Chce, żebym odszedł z policji. Zgadnij, kim według niej mógłbym zostać. Spodoba ci się ten zbieg okoliczności.

Decker przez chwilę się zastanawiał.

- Sprzedawcą nieruchomości?

- Brawo. Czy do ciebie ktokolwiek dzwoni w środku nocy?

Decker pokręcił głową.

- Ale założę się, że było tak w twojej poprzedniej pracy. No i nie ma wątpliwości, że było tak również dzisiaj. Zjawiłem się w twoim domu kilka razy. Nie było cię. Co jakiś czas dzwoniłem. Odzywała się tylko automatyczna sekretarka. To zabawne, jak łatwo można wyciągnąć pochopne wnioski. Myślałem, że wyjechałeś z miasta. Miałem zamiar wysłać za tobą list gończy. Gdzieś ty był, do diabła?

- Na spacerze.

- Od szesnastej? To prawie dziesięć godzin.

- Po drodze zrobiłem sobie chwilę przerwy.

- Całkiem długą chwilę.

- Miałem wiele spraw do przemyślenia.

- Na przykład?

Decker spojrzał mu prosto w oczy.

- Jadę jej szukać.

Esperanza odwzajemnił się równie wyzywającym spojrzeniem.

- Mimo że jesteś mi tutaj potrzebny, na wypadek gdybym miał więcej pytań?

- Powiedziałem już wszystko, co mogłem. To tylko grzecznościowa wizyta, aby uniknąć nieporozumień. Żebyś dokładnie wiedział, co zamierzam. Jadę jej szukać.

- A dokąd według ciebie uciekła? Decker zignorował pytanie.

- Informuję cię o swoich planach, aby uniknąć tego listu gończego, o którym wspomniałeś. Nie chcę się martwić tym, że szuka mnie policja.

- A co w zamian? Niby dlaczego miałbym na to przystać? Decker zignorował również te pytania.

- Czy na lotnisku w Albuquerque widziano Beth i McKittricka?

Esperanza popatrzył na niego z niedowierzaniem, po czym wybuchnął gorzkim śmiechem.

- Naprawdę oczekujesz, że ci pomogę? Od samego początku przekazujesz mi jak najmniej informacji, a ja mam się z tobą dzielić swoją wiedzą?

- Zrobisz, jak będziesz chciał.- Taki mam zamiar. Na razie chcę, żebyś wszedł ze mną do domu.

Decker się wyprostował.

- Mam zostać u ciebie, podczas gdy ty zadzwonisz po radiowóz, który zabierze mnie na posterunek?

- Nie, masz poczekać, aż się ubiorę. Gdziekolwiek się udajesz, jadę z tobą. Czy ci się to podoba, czy nie, masz towarzystwo. Mam dosyć tych gier. Widzę, że wiesz o wiele więcej, niż ujawniasz. Od

tej chwili będziemy jak bracia syjamscy, dopóki nie dasz mi wszystkich odpowiedzi.

- Uwierz mi, że chciałbym je znać.

- Wsiadaj z samochodu. - Esperanza otworzył drzwi po stronie pasażera.

- Ona nie nazywa się Beth Dwyer - rzekł Decker. - Tylko Diana Scolari.

Esperanza zastygł w połowie ruchu.

- Czy to nazwisko cokolwiek ci mówi? - spytał Decker.

- Nie.

- Obserwowała ją policja federalna. W poniedziałek miała polecieć do Nowego Jorku i zeznawać w jakiejś sprawie. Widzę tylko jedno pasujące wyjaśnienie.

- Federalny program ochrony świadków.

- Tak.

Esperanza z powrotem wsiadł do jeepa.

- Kiedy się tego dowiedziałeś?

- Dziś wieczorem.

- W jaki sposób?

- Uwierz mi, lepiej, żebyś nie wiedział. Ale jeśli rzeczywiście chcesz pomóc, to możesz mi powiedzieć, jak odnaleźć pewnego człowieka.

### 3

Decker wcisnął guzik dzwonka po raz czwarty, załomotał do drzwi i z zadowoleniem zauważył, że wewnątrz domu zapaliło się

światło. Wcześniej razem z Esperanza próbowali skorzystać z telefonu, ale po czterech dzwonekach odezwała się tylko automatyczna sekretarka. Założywszy, że mężczyzna, z którym Decker chciał porozmawiać, nie wyjechał z miasta w ciągu dwunastu godzin, jakie upłynęły od ich ostatniego spotkania, postanowili udać się do jego miejsca zamieszkania, które znał Esperanza. Był to skromny dom z suszonej cegły stojący w bocznej uliczce odchodzącej od Zia Road. Niski mur otaczał zadbane krzewy. Podobnie jak w wielu innych dzielnicach Santa Fe, także tutaj nie było latarni. Kiedy nad ich głowami zapaliło się światło, Decker i Esperanza cofnęli się o krok, aby gospodarz mógł się im dokładnie przyjrzeć i nie uznał ich za zagrożenie, po czym czekali na otwarcie drzwi.

Agent FBI John Miller, skryty w cieniu za otwartym oknem, odezwał się ostro:

- Kto tam? Czego chcecie?
- Tu sierżant Esperanza.
- Esperanza? Co do... Jest prawie czwarta rano. Co tu robisz?
- Muszę z tobą o czymś porozmawiać.
- Czy to nie może poczekać do bardziej ludzkiej godziny?
- To pilna sprawa.
- Tak samo mówiłeś wczoraj po południu. Nie zapomniałem, jak próbowałeś mnie zrobić.
- Sam się wrobisz, jeśli tym razem nie posłuchasz.
- Kto jest z tobą?
- Ktoś, który był ze mną wczoraj po południu.

- Cholera.

Wewnątrz zapaliło się więcej świateł. Rozległ się szcęk zamka, a potem skrzypnięcie frontowych drzwi, kiedy Miller je otworzył. Miał na sobie bokserki i T-shirt odsłaniające umięśnione, choć szczupłe ręce i nogi. Potargane włosy i nieogolona twarz kontrastowały ze schludnym wyglądem z poprzedniego dnia.

- Mam gościa - powiedział. Blokując wejście do domu, wskazał zamknięte drzwi na końcu krótkiego przedpokoju. Esperanza wspominał Deckerowi, że Miller jest rozwodnikiem. - Ona nie przywykła do ludzi łomoczących do drzwi o czwartej rano. Lepiej, żeby to było coś ważnego.- Chcę poznać prawdę o Dianie Scolari - odezwał się Decker.

- O kim? - odparł Miller ze śmiertelną powagą.

- Dianie Scolari. Miller udał zaskoczonego.

- Nigdy o niej nie słyszałem. - Zaczął zamykać drzwi. - Jeśli to już wszystko, po co tu przyszliście...

Decker zablokował drzwi butem.

- Diana Scolari to prawdziwe nazwisko Beth Dwyer. Miller popatrzył w dół na but Deckera.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Jest objęta federalnym programem ochrony świadków. Spojrzenie Millera stało się ostrzejsze, bardziej czujne.

- Właśnie to było powodem ataku na mój dom oraz eksplozji w jej domu - dodał Decker.

- Wciąż nie wiem, do czego pan zmierza.

- Rozumiem, FBI nie jest tak bezpośrednio zaangażowane w program ochrony świadków jak kiedyś - rzekł Decker. - Wszystkim kieruje głównie policja federalna. Jednak na tyle blisko ze sobą współpracujecie, że musieli was poinformować o przeniesieniu ważnego świadka do Santa Fe. Z drugiej strony nie poinformowano o tym lokalnej policji. Uznano, że im ta wiedza nie jest potrzebna. Im mniej ludzi wiedziało, tym lepiej.

Twarz Millera stężała.

- Zakładając, że to, co pan mówi, jest prawdą dlaczego miałbym do czegośkolwiek się przyznawać właśnie panu?

- Brian McKittrick - odparł Decker. Miller zaprzestał prób zamknięcia drzwi.

- To on czekał na Beth, kiedy uciekła z domu toż przed eksplozją - rzekł Decker.

Na obliczu Millera wyraźnie rysowała się podejrzliwość.

- Skąd pan zna tego człowieka?

- Kiedyś z nim pracowałem.

- To lekka przesada. Chce pan powiedzieć, że był pan szeryfem federalnym?

- Szeryfem? - Decker nie rozumiał, o czym Miller mówi.

Nagle dotarł do niego sens usłyszanych słów. - McKittrick jest szeryfem federalnym?

Miller sprawiał wrażenie rozgoryczonego tym, że niechęć wyjawiał istotną informację.

- Nie - rzekł Decker. - Nigdy nie pracowałem dla policji federalnej. - Czując presję czasu, musiał wziąć Millera przez zaskoczenie. - Poznałem McKittricka podczas naszej wspólnej pracy w CIA.

Jego słowa odniosły pożądany skutek. Zaskoczony Miller spojrział na Deckera z większą uwagą. Przeniósł wzrok na Esperanzę, następnie ponownie na Deckera, po czym gestem zaprosił ich do środka.

- Musimy porozmawiać.

4

Dom Millera okazał się równie skromny wewnątrz, jak na zewnątrz: w salonie stały zwyczajna kanapa i fotel, niewielki niski stolik oraz dwudziestocalowy telewizor. Wszystko było czyste i skrupulatnie uporządkowane. Na półce z książkami Decker zauważył rewolwer kalibru 38 i doszedł do wniosku, że Miller pewnie trzymał go w ręku, kiedy wyglądał przez okno, aby sprawdzić, kto się do niego dobija.

- Nie przypuszczam, aby mógł pan udowodnić, że pracował dla agencji - odezwał się Miller.

- Nie w tej chwili. Raczej nie używaliśmy odznak i wizytówek.

- Dlaczego więc miałbym panu wierzyć? - Marszcząc brwi, Miller spojrział na Esperanzę. - A czy ty mu wierzysz?

Esperanza skinął głową.

- Dlaczego?

- Nie byłeś przy nim od czasu wczorajszych wydarzeń. To, jak radzi sobie w kryzysowej sytuacji, jednoznacznie wskazuje, że jest zawodowcem, i to bynajmniej nie w branży handlu nieruchomościami.- Zobaczymy. - Miller ponownie skupił się na Deckerze. - Co pan wie o Brianie McKittricku?

- To najbardziej popieprzony człowiek, z jakim pracowałem.

Miller podszedł bliżej.

- Nie wykonywał rozkazów - rzekł Decker. - Uważał, że członkowie jego zespołu spiskują przeciwko niemu. Podejmował poważne działania bez zgody przełożonych. Przy każdej okazji przekraczał swoje kompetencje. Zadanie, które wspólnie wykonywaliśmy, skończyło się katastrofą z jego powodu. Było wiele ofiar. Niemal incydent międzynarodowy.

Miller mu się przyglądał, jak gdyby rozważając, na jak daleko posuniętą szczerość może sobie pozwolić. W końcu wypuścił powietrze z płuc i ciężko usiadł na fotelu naprzeciwko Deckera.

- Nie wyjawię niczego ważnego, jeśli powiem, że dotarły do mnie pogłoski o McKittricku. Ale nie w kontekście CIA. O tym nic nie wiedziałem. Pogłoski dotyczyły jego zachowania jako szeryfa federalnego. On jest w gorącej wodzie kąpany. Uważa, że wie wszystko lepiej od swoich przełożonych. Nie stosuje się do obowiązującej hierarchii. Łamie procedury. Nigdy nie rozumiałem, jak został szeryfem.

- Chyba znam odpowiedź - odparł Decker. - Agencja musiała dać mu pierwszorzędne rekomendacje, kiedy kończyła z nim

współpracę. W zamian za to, że ich nie upokorzy, ujawniając szczegóły dotyczące katastrofy, w którą był zaplątany.

- Ale skoro to McKittrick ją spowodował, to mógł w ten sposób zaszkodzić samemu sobie.

- Nie, jeśli uwierzył, że to nie on za to wszystko odpowiada - odrzekł Decker. - McKittrick ma zaburzone postrzeganie rzeczywistości. Kiedy robi coś złe, potrafi wmówić sobie, że odpowiedzialność ponosi ktoś inny.

Esperanza nachylił się ku Deckerowi.

- Mówisz o tym z wyjątkową goryczą.

- Bo to mnie obwinił. Zrezygnowałem przez niego z pracy dla rządu, a teraz ten sukinsyn znów pojawia się w moim życiu.

- Przypadkowo.

- Nie. Nie wierzę, że Beth przypadkowo kupiła dom akurat obok mojego. Nie, jeśli to McKittrick kierował jej ochroną. To wszystko ma sens tylko wtedy, kiedy założymy, że McKittrick chciał mieć mnie na oku po moim odejściu z agencji. Wiedział, że jestem w Santa Fe. Miał świadka do ulokowania. Jeszcze trochę pokopał i dowiedział się, że dom w moim bezpośrednim sąsiedztwie jest na sprzedaż. Idealnie. Dlaczego nie umieścić Beth obok mnie? Zyskałaby dodatkową ochronę w osobie swojego sąsiada, który z niczego nie zdawałby sobie sprawy.

Miller przez chwilę się zastanawiał.

- Cyniczna taktyka, ale sensowna.

- Cyniczna to mało powiedziane. Zostałem wykorzystany - rzekł Decker. - A jeśli się nie mylę, także Beth została wykorzystana. Wydaje mi się, że McKittrick przeszedł na drugą stronę.

- Co takiego?

Decker przywołał żywe wspomnienie rozmowy telefonicznej z McKittrickiem.

- Myślę, że McKittrick powiedział mafii, jak odnaleźć Beth, a oni w zamian mieli mnie zabić. Z pewnością obwinia mnie za to, że wyleciałem z CIA. Ten chory sukinsyn postanowił zniszczyć moje życie, kiedy tylko został przydzielony do pomocy w zamianie Diany Scolari w Beth Dwyer.

## 5

W niewielkim salonie zapadła cisza.

- To poważne oskarżenie. - Miller przygryzł dolną wargę. - Czy może pan cokolwiek z tego udowodnić?

- Nie. - Decker nie odważył się opowiedzieć o tym, co się wydarzyło w furgonetce.

- W jaki sposób dowiedział się pan, że prawdziwe nazwisko Beth Dwyer to Diana Scolari?

- Nie mogę tego ujawnić.

- Dlaczego?

Decker nie odpowiedział. - Niech mnie pan bardzo uważnie posłucha. - Miller wstał. - Jest pan w posiadaniu informacji wskazujących na poważne naruszenie zasad bezpieczeństwa podczas

ochrony ważnego rządowego świadka. Nakazuję panu wyjawić, w jaki sposób poznał pan te informacje.

- Nie wolno mi tego zdradzić. Miller zmierzył Deckera wzrokiem.

- Już ja pana nauczę paru rzeczy o wolności. - Wziął do ręki słuchawkę telefonu. - Pożegna się pan z nią na jakiś czas, dopóki nie powie mi pan tego, co chcę wiedzieć.

- Popełnia pan błąd - rzekł Decker. Spojrzenie Millera stało się jeszcze intensywniejsze.

- To nie ja tutaj popełniam błąd.

- Niech pan odłoży słuchawkę. Proszę. Liczy się tylko ocalenie życia Beth.

Miller odwrócił się w stronę Esperanzy.

- Słyszałeś te pierdoły?

- Tak. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny on bawił się ze mną w kotka i myszkę - odrzekł Esperanza. - Jednak najbardziej mnie martwi, że to zaczyna się trzymać kupy. Bezpieczeństwo Beth Dwyer stanowi priorytet. Jeżeli Decker złamał kilka zasad, aby zdobyć te informacje, to zajmę się tym później, zakładając, że mnie to nie pogrąży.

- Wiarygodne zaprzeczenie - odezwał się Decker.

- Co takiego?

- Tak to nazywaliśmy w agencji.

- A może raczej współludział w przestępstwie? - spytał Miller.

- Proszę mi powiedzieć, w jakiej sprawie miała zeznawać Beth Dwyer?

Miller nie był przygotowany na tę nagłą zmianę tematu.

- Czy naprawdę strzeliła swojemu mężowi w głowę i uciekła z dwoma milionami dolarów należącymi do mafii? - spytał Decker.

Miller wykonał gwałtowny gest.

- Gdzie się pan tego dowiedział, do diabła?

Ale Decker zignorował ten wybuch. Był zbyt zajęty przypominaniem sobie czegoś, co przez telefon powiedział przywódca porywaczy. „Cholera, Nick się wścieknie”.

- Jest w to zamieszany mężczyzna o imieniu Nick - rzekł Decker. - Czy pan wie, kto to jest? Jak brzmi jego nazwisko?

Zszokowany Miller zamrugał oczami.

- Jest gorzej, niż myślałem. Będzie konieczne przeprowadzenie całkowitej rewizji procedur bezpieczeństwa relokacji świadków.

- Beth jest w niebezpieczeństwie - powiedział Decker z naciskiem. - Jeśli podzielimy się informacjami, to może uda nam się ocalić jej życie.

- Diana Scolari.

- Nie wiem niczego o Dianie Scolari. Zależy mi na Beth Dwyer. Niech mi pan o niej opowie.

Miller spojrział w ciemność za oknem. Spojrział na swoje dłonie. Spojrział na Deckera.

- Diana Scolari jest żoną - a raczej była, dopóki ktoś nie strzelił temu sukinsynowi w łeb - Joeya Scolariego, głównego przedstawiciela

rodziny Giordano w Nowym Jorku. Szacujemy, że Joey odpowiadał za co najmniej czterdzieści mafijnych egzekucji wykonanych podczas jego ośmioletnich rządów. Był bardzo zapracowanym człowiekiem. Ale nie narzekał. Świetnie na tym zarabiał, a co równie ważne, kochał swoją pracę.

Decker słuchał z niepokojem.

- Trzy lata temu Joey spotkał kobietę, którą pan zna jako Beth Dwyer. Jej panięskie nazwisko to Diana Berlanti. Zajmowała się organizowaniem czasu wolnego uczestnikom rejsów po Karaibach, gdzie Joey postanowił się pokazać, aby zyskać alibi, podczas gdy jeden z jego żołnierzy eliminował pewien problem w Nowym Jorku. Diana zwróciła jego uwagę. Facet był przystojny, stylowo ubrany, potrafił rozmawiać z kobietami. Zazwyczaj nie mógł się od nich opędzić, więc nic dziwnego, że Diana nie oponowała, kiedy zaczął ją podrywać. Sprawy potoczyły się szybko i trzy miesiące później wzięli ślub. Okres zalotów był Joeyowi bardzo na rękę. Tak wszystko zaaranżował, że co jakiś czas wracali na Karaiby. To dawało mu pretekst do odwiedzania poszczególnych wysp, gdzie znajdowały się banki prowadzące konta numeryczne i niemające nic przeciwko praniu brudnych pieniędzy. Podobnie było z miesiącem miodowym. Deckerowi zrobiło się niedobrze.

- Co ważne, Diana twierdzi, że nie miała pojęcia, czym Joey tak naprawdę się zajmował. Podobno powiedział jej, że pracuje w branży gastronomicznej, co nie było niezgodne z prawdą gdyż rzeczywiście był właścicielem kilku restauracji, stanowiących element tego samego

systemu prania brudnych pieniędzy. Tak czy inaczej, minęło trochę czasu i zgodnie z oczekiwaniami okazało się, że Joey szybko zmienił swe zainteresowania. Żona zaczęła go nudzić. Na krótko zamieszkali w jego apartamencie, ale kiedy Joey postanowił wykorzystać ten lokal do innych celów, umieścił Dianę w wielkim domu otoczonym murem, na drugim brzegu rzeki, w jednej z mafijnych dzielnic sypialni w New Jersey. Mnóstwo strażników. Twierdził, że to dla jej bezpieczeństwa. Tak naprawdę mieli za zadanie nie pozwolić jej wrócić do apartamentu i przyłapać Joeya z panienkami. Jednak równie ważnym zadaniem strażników było zniechęcenie Diany do wyprowadzenia się od męża, który wielokrotnie ją pobił.

Decker czuł pulsujący ból w skroniach.

- A bił ją często - rzekł Miller. - Wszystko dlatego, że Diana zaczęła zadawać pytania dotyczące nie tylko jego wierności, ale także interesów. Sam pan wie, jak jest inteligentna. Nie potrzebowała dużo czasu, aby zrozumieć, czym Joey tak naprawdę się zajmował i jakim był potworem. Miała więc poważny problem. Gdyby spróbowała odejść, na co nie miała większych szans przy takiej liczbie strażników, to mogła być pewna, że Joey ją zabije. Gdyby została, a on zacząłby podejrzewać, że wie zbyt wiele, również straciłaby życie. Zagrała na zwłokę i zaczęła udawać, że przestały ją interesować jego kochanki i interesy. Spędzała całe dni na czynności, która w innych okolicznościach dawałaby jej dużo radości: na malowaniu. Joeya to ekscytowało i bawiło. Czasami, kiedy ją pobił, rozpalał w domu wielkie ognisko i zmuszał ją do patrzenia, jak pali jej ulubione obrazy.

- Jezu - jęknął Decker. - Po co ten drań się z nią ożenił?

- Oczywiście z potrzeby władzy nad kimś, kogo mógł krzywdzić. Jak już mówiłem, Joey był potworem. Aż do stycznia, dziewięć miesięcy temu, kiedy ktoś rozwiązał problem Diany, rozwalając Joeyowi łeb. A może ona sama to zrobiła. Istnieją dwie sprzeczne wersje. Diana twierdzi, że znajdowała się na zewnątrz, na tyłach posiadłości i malowała zimowy pejzaż, kiedy usłyszała strzał w domu. Powoli i ostrożnie weszła do środka, nie wiedząc, czego się spodziewać. Zakładała, że cokolwiek się stało, strażnicy się tym zajmą. Jednak z zaskoczeniem stwierdziła, że strażnicy zniknęli. Kolejną niespodzianką okazało się leżące w gabinecie ciało Joeya z mózgiem rozsmarowanym na biurku oraz otwarty sejf. Diana wiedziała, że w sejfie zazwyczaj znajdowała się pokaźna suma pieniędzy. Widziała całe torby gotówki od czasu do czasu dostarczane do domu i podejrziała, jak Joey je tam chowa. Podśluchiwała komentarze dotyczące ilości tych pieniędzy. Według jej szacunków zniknęły dwa miliony dolarów. Początkowo nie docierało do niej, co to oznacza. Chciała tylko wykorzystać szansę na ucieczkę. Nawet się nie spakowała, jedynie zarzuciła na siebie płaszcz, złapała kluczyki Joeya i odjechała.

- Prosto do Departamentu Sprawiedliwości - rzekł Decker.

- A gdzie indziej mogła się udać? Wiedziała, że mafia będzie jej szukać po tym, jak zniknęła. Ale uznała, że będą chcieli jedynie powstrzymać ją przed mówieniem. Dopiero później dowiedziała się, że ojciec chrzestny Joeya obwinił ją o jego śmierć, a mafia doszła do

wniosku, że to ona zabiła męża i zabrała pieniądze. Teraz to była kwestia honoru. Rodzinnego honoru. Zemsty.

Decker skinął głową.

- Więc Departament Sprawiedliwości spędził kilka miesięcy na przygotowywaniu dla niej nowej tożsamości w Santa Fe, a w końcu wezwał ją na przesłuchanie do Nowego Jorku.

- Pod ochroną.

- Ochroną McKittricka.

- Niestety.

- Co za cholerny bałagan - odezwał się Esperanza.- Wciąż mi pan nie powiedział, kim jest Nick - zauważył Decker.

- Nick Giordano, głowa rodziny, ojciec chrzestny Joeya. Ojciec Joeya był jego najlepszym przyjacielem. Po tym, jak rodzice Joeya zginęli w zamachu na życie Nicka, ten wychował chłopca jak własnego syna. Właśnie to miałem na myśli, mówiąc o rodzinnym honorze. Dla Nicka znalezienie i ukaranie Diany to sprawa bardzo osobista, rodzinna, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Teraz pana kolej - rzekł Miller. - Jak to, co panu powiedziałem, pomoże ocalić życie Diany Scolari?

Decker przez chwilę się nie odzywał.

- Wygląda na to, że mam tylko jedno wyjście.

- O czym pan mówi? Jakie wyjście?

- Nagle poczułem się bardzo zmęczony. Wracam do domu.

- A jak to pomoże pana kobiecie, do cholery?

- Zadzwoń do pana, kiedy się obudzę. Może wtedy będzie pan miał więcej informacji. - Decker odwrócił się do Esperanza. - Podrzucę cię.

## 6

- Nie musisz odwozić mnie do domu - powiedział Esperanza, kiedy Decker wrzucił bieg i ruszył spod domu Millera.

- W takim razie gdzie mam cię zawieźć? - spytał Decker, w ciemnościach ostro skręcając za róg.

- Chyba pojedę z tobą.

- A co to niby da?

- Może pomogę ci się trzymać z dala od kłopotów. Gdzie są twoi przyjaciele?

- Przyjaciele? - Wspomnienie Hala i Bena sprawiło, że Decker poczuł w ustach smak popiołu.

- Wygląda na to, że nie masz ich zbyt wielu.

- Mam szerokie grono znajomych.

- Chodziło mi o tych dwóch mężczyzn, którzy pojawili się u ciebie w domu wczoraj po południu.

- Wiem, o kogo ci chodziło. Wyjechali z miasta. - Do smaku popiołu dołączył się ból, odczuwany w klatce piersiowej i oczach.

- Tak prędko? Po tym, jak zadali sobie tyle trudu, aby szybko tu dotrzeć?

- Mój były przełożony postanowił, że to, co się tutaj wydarzyło, nie ma nic wspólnego z działalnością agencji.

Mroczne ulice były niemal całkowicie opustoszałe. Decker docisnął pedał gazu.

- Czy uważasz, że to dobry pomysł przekraczać dozwoloną prędkość, wioząc policjanta?

- Nie przychodzi mi do głowy nikt inny, z kim wolałbym łamać przepisy. Jeżeli zatrzyma nas patrol, pokażesz swoją odznakę i wyjaśnisz, że jedziemy do nagłego wezwania.

- Okłamałem cię - rzekł Esperanza. - Tak naprawdę kazałem cię szukać policji stanowej oraz policji w Albuquerque.

Decker poczuł zimny dreszcz przebiegający mu wzdłuż kręgosłupa.

- Podałem im numer rejestracyjny i opis taurusa, którym jechali twoi przyjaciele. Samochód znaleziono w pobliżu miejsca przestępstwa na Chama Street w Albuquerque, dziś w nocy około dwudziestej trzeciej. Sąsiadom wydawało się, że słyszą strzały i eksplozje. Okazało się, że mieli rację. Na podłodze kuchni we wskazanym domu znaleziono zastrzelonego mężczyznę, którego na podstawie dokumentów zidentyfikowano jako Bena Eiseleya. Nie mamy pojęcia, gdzie jest Hal.

Przez chwilę Decker nie był w stanie dłużej powstrzymać smutku. Wróciło do niego wspomnienie zaskoczonej miny Bena, kiedy trafiła go kula, i krwi tryskającej mu z głowy. Nagle poczuł się tak, jakby nigdy nie przyjechał do Santa Fe i nie próbował odciąć się od dawnego życia. Pomyślał o Halu, który pomimo postrzału w klatkę piersiową zdołał kopnąć człowieka, który pociągnął za spust. To nie

była ich walka! Powinienem był nalegać, aby się wycofali, pomyślał z żalem. Ale zamiast tego poprosiłem ich o pomoc. Zginęli z mojego powodu. To moja wina!

- Musieli dostać kolejne zadanie podczas pobytu w tej okolicy - rzekł Decker tak spokojnie, jak tylko mógł.- Nie wydajesz się poruszony tym, co się stało z Benem.

- Jestem, na swój sposób.

- Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty - powiedział Esperanza. - Czy nie ciekawi cię, co on tam robił i gdzie jest jego partner?

- Pozwól, że to ja cię o coś spytam - odparł Decker ze złością. - Dlaczego tak długo zwlekałeś z powiedzeniem mi, że szuka mnie policja?

- Czekałem na właściwą chwilę. Żeby ci coś udowodnić. Potrzebujesz mnie - odrzekł Esperanza. - Ochrona na lotnisku w Albuquerque zna twoje nazwisko. Policjanci szukają człowieka odpowiadającego twojemu rysopisowi. Kiedy tylko spróbujesz kupić bilet do Nowego Jorku, od razu zostaniesz zatrzymany. Jeśli chcesz tam polecieć, muszę odwołać alarm, a to kosztuje. Będziesz musiał się zgodzić, żebym ci towarzyszył.

- Polecieć do Nowego Jorku? Skąd pomysł, że miałbym...

- Decker, na Boga, chociaż raz daj sobie spokój z tymi sztuczkami, dobrze?

- Dlaczego chcesz ze mną lecieć do Nowego Jorku?

- Powiedzmy, że jutro mam dzień wolny, a mojej żonie i mnie przydałaby się chwila odpoczynku od siebie. - Gestem okazał swoją frustrację. - Albo powiedzmy, że przebywanie w twoim towarzystwie to świetna nauka, a ja nie jestem jeszcze gotowy na koniec lekcji. A może powiedzmy... to już zupełne szaleństwo... że jestem policjantem, bo mam słabość do pomagania innym ludziom. Głupota, nie? W tej chwili nie przychodzi mi do głowy nikt, kto potrzebuje pomocy bardziej niż Beth Dwyer. Chcę pomóc ci ją ocalić. Mam przeczucie, że jesteś jedyną osobą, która naprawdę wie, jak to zrobić.

## 7

Kadłub zmierzającego na wschód odrzutowca wibrował od ryku silników. Słońce świeciło przez okno, drażniąc zmęczone oczy Deckera. Kiedy stewardesy wędrowały między siedzeniami, rozdając kawę i słodkie bułeczki, Decker poczuł ból brzucha, który przypomniawszy mu o problemach żołądkowych, jakich doświadczał jako agent. A więc wszystko wraca, powiedział sobie.

Obok niego siedział Esperanza. Byli jedynymi pasażerami w rzędzie.

- Żałuję, że nigdy nie poznałem Beth Dwyer. Musi być wyjątkową kobietą.

Decker wyjrzał przez okno na pustynny krajobraz, który pozostawiał za sobą na góry, wyschnięte strumienie, Rio Grande, zieleń sosen widoczną na tle żółtej, pomarańczowej i czerwonej ziemi. Przypomniawszy sobie mieszane uczucia, jakie mu towarzyszyły, kiedy przybył tu po raz pierwszy; swoją obawę, że popełnia błąd. Teraz, po

upływie ponad roku, odlatywał i znów zmagał się z mieszanymi uczuciami, ponownie zastanawiając się, czy dobrze robi.

- Tak - odparł. - Bardzo wyjątkową.

- Pewnie bardzo ją kochasz.

- To zależy. Możliwe... - Decker mówił z trudem -...że także jej nienawidzę.

- Nienawidzisz?

- Powinna mi była powiedzieć prawdę - odrzekł Decker.

- Na początku zapewne uważała, że to nie twój interes.

- A co potem, kiedy już byliśmy razem? - nalegał Decker.

- Może bała się to wyznać, podejrzewając, że zareagujesz tak, jak reagujesz teraz.

- Gdyby mnie kochała, toby mi zaufała.

- Ach, zaczynam rozumieć - odparł Esperanza. - Martwisz się, że może to ona nie kocha ciebie.

- Zawsze pozwalałem, aby praca kontrolowała moje życie prywatne - powiedział Decker. - Nigdy tak naprawdę nikogo nie kochałem. Dopóki nie poznałem Beth Dwyer, nie pozwalałem sobie na doświadczanie... - Decker się zawahał. - Namiętności.

Esperanza zmarszczył brwi.

- Kiedy się wreszcie zaangażowałem i ofiarowałem drugiej osobie, uczyniłem to bez reszty. Beth stała się jedynym sensem mojego życia. Jeżeli byłem dla niej tylko udogodnieniem... - W jego głosie zaczynała pobrzmiwać rozpacz. - Załóżmy, że faktycznie jej na

tobie nie zależało i byłeś tylko jej nieświadomym ochroniarzem. Co byś wtedy zrobił?

Decker nie odpowiedział.

- Czy wciąż chciałbyś ją uratować? - drażył Esperanza.

- Pomimo tego wszystkiego?

- Tak.

- Pomimo wszystkich moich podejrzeń oraz lęku, że mnie zdradziła, a także złości wywołanej tym lękiem?

- Tak.

- Przeszedłbym dla niej przez piekło. Bóg mi świadkiem, że nadal ją Kocham.

## **Rozdział dziewiąty**

### **1**

Kiedy Decker przybył do Nowego Jorku, padał silny deszcz, który sprawił, że Manhattan wydał mu się zupełnie obcy w porównaniu z suchym klimatem Nowego Meksyku. Tutaj wilgotność była nadspodziewanie wyraźnie wyczuwalna w powietrzu. Po spędzeniu piętnastu miesięcy na wysokości półtora kilometra ponad poziomem morza, teraz odczuwał wpływ ciśnienia atmosferycznego, dodatkowo wzmacniającego emocjonalne ciśnienie w jego umyśle. Przyzwyczajony do patrzenia na odległość setek kilometrów, czuł się ograniczony przez drapacze chmur. A także przez ludzi: całkowita populacja Nowego Meksyku wynosiła półtora miliona osób, czyli tyle, ile mieszkało na sześćdziesięciu kilometrach kwadratowych Manhattanu, nie licząc setek tysięcy ludzi dojeżdżających na tę wyspę

do pracy, co skutkowało silnym natężeniem hałasu oraz tłokiem, z których Decker nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy, dopóki nie doświadczył spokoju i przestrzeni Nowego Meksyku.

Zafascynowany Esperanza wyglądał przez zroszoną kroplami deszczu szybę taksówki.

- Nigdy tu nie byłeś? - spytał Decker.

- Jedyne duże miasta, które odwiedziłem, to Denver, Phoenix i Los Angeles. Każde z nich ma niską zabudowę. Rozciąga się na ziemi. Tutaj wszystko jest stłoczone, poupychane jedno na drugim.- Tak, nie da się ukryć, że już nie jesteśmy na otwartej przestrzeni.

Wysiedli z taksówki przy hali targowej Essex Street Market na Lower East Side. Duży ceglany budynek był zamknięty. Kiedy Decker szedł schronić się razem ze swoją torbą podróżną w jednej z bram, poczuł ból głowy. Drzemka na pokładzie samolotu nie wystarczyła, aby pozbyć się zmęczenia, jednak napędzało go zdenerwowanie. Lęk o Beth dodawał mu energii.

Esperanza zajrzał do opuszczonej hali, po czym rzucił okiem na sklepy po drugiej stronie ulicy.

- Czy nasz hotel jest gdzieś w okolicy?

- Nie mamy hotelu. Nie mamy czasu na formalności.

- Przecież dzwoniłeś gdzieś z lotniska. Myślałem, że rezerwujesz pokój.

Decker pokręcił głową co nasiliło ból, ale kierująca nim obsesja sprawiła, że nawet tego nie zauważył. Począł, aż taksówka zniknie z

poła widzenia. Wtedy wyszedł z bramy i w strugach deszczu zaczął iść na północ.

- Umawiałem się z kimś.

- Niedaleko stąd?

- Kilka przecznic.

- To dlaczego nie poprosiłeś taksówkarza, aby nas tam zabrał?

- Ponieważ nie chciałem, aby wiedział, dokąd się udaję.

Posłuchaj, obawiam się, że nic z tego nie będzie. Jest zbyt wiele do wyjaśniania i za mało czasu - rzucił Decker niecierpliwie. - Bardzo mi pomogłeś. Odwołałeś policję w Nowym Meksyku. Przeprowadziłeś mnie przez odprawę na lotnisku w Albuquerque. Bez ciebie bym tutaj nie dotarł. Dziękuję. Mówię poważnie. Naprawdę. Ale musisz zrozumieć: tutaj nasza współpraca się kończy. Złap taksówkę do śródmieścia. Spędź miło czas.

- Na deszczu?

- Idź do teatru. Zjedz dobry posiłek.

- Raczej wątpię, aby w Nowym Jorku mieli czerwoną i zieloną salsę.

- Zrób sobie krótkie wakacje, a jutro rano wróć do domu. Na posterunku pewnie zastanawiają się, gdzie zniknąłeś.

- Nie dowiedzą się, że wyjechałem. Mówiłem ci, że mam dzień wolny.

- A jutro?

- Zadzwoń, że źle się czuję.

- Nie masz tutaj jurysdykcji - powiedział Decker. - Wyrządź sobie przysługę i jak najszybciej wracaj do Nowego Meksyku.

- Nie.

- Nie nadażysz za mną. Za dwie minuty nie będziesz miał pojęcia, jak ci uciekłem.

- Ale tego nie zrobisz.

- O? A dlaczego tak myślisz?

- Bo nie masz pewności, że nie będziesz mnie potrzebował.

**2**

Bar - położony przy Pierwszej Alei blisko Delancey - wyglądał, jakby był na skraju bankructwa. Wyblakłe reklamy alkoholi umieszczone w oknach były niemal nieczytelne. Szyby były tak brudne, że nie dało się przez nie niczego zobaczyć. Kilka liter w neonie się przepaliło, więc szyld zamiast BENNIE'S głosił BE E'S. Obok wejścia leżał bezdomny, który trzymał w ręku butelkę whisky owiniętą w papierową torbę i nie zwracał uwagi na ulewę.

Sfrustrowany presją czasu Decker przeszedł przez ulicę, zmierzając w stronę baru. W ślad za nim szedł Esperanza, który zamienił kowbojski kapelusz na mniej charakterystyczną czapkę z nadrukiem New York Yankees, kupioną po drodze na straganie z pamiątkami. Długie włosy związał z tyłu, aby jeszcze mniej rzucać się w oczy. Tuż przed wejściem do baru Decker zatrzymał Esperanzę i pozwolił, aby bezdomny dokładnie im się przyjrzał.

- Bennie na nas czeka - rzekł Decker. Bezdomny skinął głową.

Decker i Esperanza weszli do baru wypełnionego dymem papierosowym. Pomimo mało eleganckiego zewnętrznego wyglądu lokal był zatłoczony i panowała w nim głośna atmosfera ze względu na mecz futbolowy pokazywany na ekranie dużego telewizora.

Decker podszedł do silnie zbudowanego barmana.

- Czy jest Bennie?

- Nie widziałem go.

- Dzwoniłem wcześniej i umówiłem się na spotkanie.

- A coś ty za jeden? Decker użył pseudonimu.

- Charles Laird.

- Trzeba tak było od razu. - Mężczyzna wskazał najdalszy koniec baru. - Bennie czeka na ciebie w swoim gabinecie. Zostaw tutaj torbę.

Decker skinął głową, podając mu niewielką walizkę i kładąc na barze dwadzieścia dolarów.

- To za piwo, którego nie zamówiliśmy. Poprowadził Esperanzę w stronę wskazanych wcześniej zamkniętych drzwi, po czym się zatrzymał.

- Co się stało? - spytał Esperanza. - Dlaczego nie podchodzisz i nie pukasz?

- Najpierw musimy dopełnić pewnej formalności. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko osobistym rewizjom.

Czterej mężczyźni o szerokich ramionach odwrócili się od stołu bilardowego stojącego koło drzwi. Patrząc beznamiętnym wzrokiem, dokładnie i niezbyt delikatnie przeszukali Deckera i Esperanzę.

Zakończyli rewizję na kostkach u nóg. Nie znalazłszy mikrofonów ani broni, grzecznie skinęli głowami i wrócili do gry. Nie odkryli niczego podejrzanego, ponieważ za namową Deckera Esperanza zostawił swoją odznakę i pistolet w jeepie cherokee zaparkowanym na lotnisku w Albuquerque. Deckerowi bardzo zależało na tym, aby w przypadku jakiegokolwiek strzelaniny nie używali broni, dzięki której można by ich było namierzyć.

Dopiero teraz Decker zapukał. Słyszając przytłumiony głos dobiegający z drugiej strony drzwi, otworzył je i stanął w progu wąskiego, zagraconego gabinetu. Za biurkiem siedział otyły mężczyzna ubrany w pasiastą koszulę, muszkę i szelki. Był w podeszłym wieku. Miał łysinę i srebrzyste wąsy. Na blacie jego biurka leżała wypolerowana mosiężna laska.

- Jak się masz, Bennie? - spytał Decker.

- Jestem na diecie. Jakoś nie mogę schudnąć. Zalecenia lekarza. A co u ciebie, Charles?

- Mam kłopoty.

Bennie skinął głową z mądrą miną a każdy z ruchów jego głowy powodował ściśnięcie fałd podwójnego podbródka.

- Nikt nie przychodzi do mnie w innej sprawie.

- To mój przyjaciel. - Decker wskazał Esperanzę. Gdy Bennie powoli uniósł rękę, dodał: - Musi teraz zadzwonić.

- Tam. - Bennie wskazał automat telefoniczny w rogu.

- Czy wciąż jest podłączony do automatu w Jersey?

- Każdy, kto spróbuje namierzyć numer, pomyśli, że tam właśnie jesteś.

Decker gestem poinformował Esperanzę, że ten może skorzystać z telefonu. Tak jak ustalili, Esperanza miał zadzwonić do Millera w Santa Fe i spytać, czy pojawiły się jakieś nowe informacje dotyczące Befh i McKittricka. Decker kilkakrotnie dzwonił do niego po drodze, za wszelką cenę pragnąc się dowiedzieć, czy Beth żyje. Jak dotąd nie było żadnych wiadomości.

- Usiądź - polecił Bennie Deckerowi, podczas gdy Esperanza wrzucał monety do automatu. - Jak ci mogę pomóc?

Decker usiadł na krześle naprzeciwko Benniego, wiedząc, że pod dzielącym ich biurkiem znajduje się dubeltówka.

- Dziękuję. Zawsze mogłem liczyć na twoją współpracę, kiedy potrzebowalem pomocy.

- To mnie bawiło. Dla odmiany zrobić coś dla swojego rządu.

Decker rozumiał. Chociaż panowało powszechne przekonanie, że CIA z założenia ma ograniczać się do zadań poza granicami kraju, tak naprawdę agencja utrzymywała placówki w najważniejszych amerykańskich miastach i czasami prowadziła wewnętrzne operacje, choć teoretycznie zgodnie z rozporządzeniem prezydenta miała obowiązek wcześniejszego powiadamiania FBI. To właśnie dzięki współpracy z Federalnym Biurem Śledczym trzy lata temu Decker skontaktował się z Benniem i otrzymał fałszywą tożsamość powiązanego z nim członka mafii. Celem tego zabiegu było umożliwienie Deckerowi infiltracji zagranicznej siatki terrorystycznej,

starającej się zaszkodzić Stanom Zjednoczonym przez zalanie kraju fałszywymi banknotami studolarowymi, wpuszczanymi do obiegu za pośrednictwem zorganizowanych grup przestępczych.

- Jestem pewien, że rząd bardzo to docenia - odparł Decker.

- W każdym razie już nie zawraca mi głowy. - Bennie powoli wzruszył ramionami. - No a poza tym działałem we własnym interesie. To, co szkodzi gospodarce, szkodzi także mnie. - Lekko się uśmiechnął.

- Obawiam się, że tym razem nie mogę zaoferować żadnej premii.

- O? - Na twarzy Benniego zagościła podejrzliwość.

- Obecnie nie mam już nic wspólnego z rządem. Chciałem cię prosić o prywatną przysługę.

- Przysługę? - skrzywił się Bennie.

W tle Decker usłyszał głos Esperanzy, który poważnym głosem zadawał pytania do słuchawki.

- Jakiego rodzaju przysługę? - Bennie najwyraźniej obawiał się odpowiedzi.

- Muszę się dowiedzieć, jak skontaktować się z Nickiem Giordanem.

Policzki Benniego, zazwyczaj lekko zaróżowione, teraz pobrały.

- Nie. Nic więcej nie mów. Nie chcę się angażować w twoje sprawy z Nickiem Giordanem.

- Przysięgam, że to nie ma nic wspólnego z rządem. Dotychczas powolne gesty Benniego teraz nabrały gwałtowności.

- Nie obchodzi mnie to! Nie chcę nic o tym wiedzieć! Decker pochylił się do przodu.

- A ja wcale nie chcę, abyś cokolwiek o tym wiedział.

Bennie zamarł w połowie ruchu.

- Nie chcesz, abym wiedział?

- Proszę jedynie o drobną informację. Jak się skontaktować z Nickiem Giordanem? Nie z właścicielem restauracji, gdzie Nick lubi jadać. Nie z jednym z jego asystentów. Nie z jego adwokatem. Z nim. Nie będziesz nas musiał sobie przedstawiać. Nie będziesz bezpośrednio zaangażowany. Sam biorę odpowiedzialność za nawiązanie kontaktu. Giordano nigdy się nie dowie, kto mi powiedział, jak się do niego przebić.

Bennie patrzył na Deckera, jak gdyby próbując zrozumieć obcy język.

- Niby z jakiego powodu miałbym to zrobić? Esperanza skończył rozmawiać przez telefon. Odwrócił się do Deckera.

- Jest coś nowego? - Decker poczuł ucisk w żołądku

- Nie.

- Dzięki Bogu. Przynajmniej nie znaleziono jej martwej. Wciąż mam nadzieję.

- Jej? - Bennie uniósł gęste brwi.

- Mojej przyjaciółki. Staram się ją odnaleźć. Ma kłopoty.

- A Nick Giordano może ją z tych kłopotów wydostać? - spytał Bennie.

- Z pewnością dysponuje takimi możliwościami. Właśnie o tym muszę z nim porozmawiać.

- Wciąż nie dałeś mi powodu, dla którego miałbym ci pomóc.

- Kocham tę kobietę, Bennie. Chcę, abyś to zrobił dlatego, że ją kocham.

- Żartujesz, prawda?

- Czy ja się śmieję?

- Przestań. Jestem biznesmenem.

- W takim razie mam kolejny powód. Nick Giordano jest bardzo zainteresowany tą kobietą. Uważa, że zabiła Joeya Scolariego.

Bennie się wzdrygnął.

- Mówisz o Dianie Scolari? Żonie Joeya? Jezu, z polecenia Nicka wszyscy jej szukają.

- Cóż, być może jestem w stanie pomóc mu ją odnaleźć.- Mów z sensem. Jeśli ją kochasz, to dlaczego miałbyś ją oddać Nickowi?

- Żeby nie musiała uciekać do końca życia.

- Oczywiście, że nie będzie musiała. Będzie martwa. Wciąż gadasz bez sensu.

- Więc może to będzie miało sens - rzekł Decker. - Jeżeli Nick Giordano będzie zadowolony z wyniku rozmowy ze mną, to może nagrodzić osobę, która właściwie oceniła sytuację i tę rozmowę umożliwiła.

Bennie zmarszczył brwi, coś sobie kalkulując.

### 3

Zachrypnięty męski głos na drugim końcu linii odezwał się już po pierwszym dzwonku.

- Lepiej żebyś miał cholernie dobry powód, aby zadzwonić pod ten numer.

Zaraz potem Decker usłyszał sygnał automatycznej sekretarki i przekazał swoją wiadomość:

- Mówi Steve Decker. Powinniście znać to nazwisko. Wasi ludzie obserwowali mnie w Santa Fe. Chciałbym porozmawiać o czymś bardzo ważnym z panem Giordanem. Chodzi o Dianę Scolari i zabójstwo jej męża, a także o szeryfa federalnego nazwiskiem Brian McKittrick. Zadzwonię ponownie za pół godziny.

Odwiesił słuchawkę i wyszedł z zaśmieconej przeszklonej budki telefonicznej prosto na deszcz. Zbliżył się do Esperanzy, który stał przed drzwiami zamkniętego sklepu AGD.

- Masz dość chodzenia za mną?

- Nie, kiedy zabierasz mnie w takie ciekawe miejsca.

### 4

Kwiaciarnia znajdowała się na Grand Street. Napis na drzwiach głosił: „Otwarte w niedziele i święta”. Rozległ się dźwięk dzwonka, kiedy Decker otworzył drzwi i wszedł do sklepu. Otoczył go zapach kwiatów niczym w domu pogrzebowym. Esperanza z zaciekawieniem popatrzył na kamery telewizji przemysłowej, rozmieszczone nad bogatą kolorową wystawą po czym zwrócił się w kierunku, z którego dobiegał odgłos kroków.

Z zaplecza wyszła korpulentna kobieta w średnim wieku, w ogrodniczych rękawicach i fartuchu.

- Przykro mi, ale już prawie siódma. Moja asystentka miała zamykać drzwi. Już nieczynne.

- Widocznie straciłem poczucie czasu - odrzekł Decker. - Dość długo nie robiłem z państwem interesów. - Wziął długopis i wizytówkę leżące na kontuarze, zapisał coś, po czym pokazał kobiecie. - To mój numer konta, a tak się pisze moje nazwisko.

- Proszę chwilę poczekać, zajrzę do naszego rejestru. Wróciła na zaplecze i zamknęła za sobą drzwi. Decker wiedział, że wiszące obok nich lustro to lustro weneckie. Z drugiej strony obserwował ich uzbrojony mężczyzna, a dwaj kolejni siedzieli w piwnicy, patrząc na ekrany telewizji przemysłowej.

Nie dając po sobie poznać, że jest zmartwiony, udawał zainteresowanie atrakcyjnymi bukietami umieszczonymi za szklanymi drzwiami chłodziarki. Przeraziła go rozbrajająca łatwość, z jaką wracał do swojego byłego życia.

Esperanza rzucił okiem na zegarek.

- Za dziesięć minut musisz zadzwonić. Kobieta wróciła do części wystawowej sklepu.

- Panie Evans, nasz rejestr pokazuje, że zostawił pan u nas depozyt dwa lata temu.

- Tak. Przyszedłem zlikwidować ten rachunek.

- Rejestr informuje także, że zawsze zamawiał pan konkretny rodzaj kwiatów.

- Dwa tuziny żółtych róż.

- Zgadza się. Proszę, niech pan wejdzie do pokoju wystawowego.

Niewielkie pomieszczenie znajdowało się po lewej stronie kontuaru. Na ścianie wisiały fotografie przedstawiające różne kompozycje z kwiatów oferowane przez sklep. Stał tam również prosty stół i dwa drewniane krzesła, na których Decker i Esperanza usiedli, po tym jak Decker zamknął za nimi drzwi na klucz. Esperanza otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale przeszkodziła mu korpulentna kobieta, która weszła przez inne drzwi, położyła na stole walizkę i wyszła.

Kiedy tylko drzwi zamknęły się za nią, Decker otworzył walizkę. Esperanza nachylił się i zobaczył kilka przedmiotów ułożonych w otworach wyciętych w styropianie: pistolet walther.380, dodatkowy magazynek, pudełko amunicji i dwa małe elektroniczne urządzenia, których przeznaczenia nie dało się odgadnąć.

Decker nie mógł powstrzymać pogardy wobec samego siebie. - Miałem nadzieję, że już nigdy nie będę musiał tego tykać.

## 5

- Lepiej, żebyś miał cholernie dobry powód, aby zadzwonić pod ten numer.

Biip.

- Znów mówi Steve Decker. Chciałbym porozmawiać o czymś bardzo ważnym z panem Giordanem. Chodzi o Dianę Scolari i...

Po drugiej stronie telefon odebrał jakiś mężczyzna. W jego głosie słychać było arogancki ton osoby przyzwyczajonej do wydawania rozkazów.

- Co wiesz o Dianie Scolari?
- Chcę porozmawiać z panem Giordanem.
- Ja jestem pan Giordano - odparł mężczyzna ze złością
- Ale nie Nick Giordano. Pana głos brzmi zbyt młodo.
- Mój ojciec nie odbiera telefonów od ludzi, których nie zna.

Mów, co wiesz o Dianie Scolari.

- Oraz Brianie McKittricku.
- Czy to nazwisko ma coś dla mnie znaczyć?
- Proszę dać ojca.
- Wszystko, co masz mu do powiedzenia o Dianie Scolari, możesz powiedzieć mnie.

Decker się rozłączył, odczekał dwie minuty, po czym wrzucił do automatu kolejne monety i wybrał ten sam numer.

Tym razem nie włączyła się automatyczna sekretarka. Zamiast tego w połowie drugiego dzwonka odezwał się zachrypnięty, podstarzały głos.

- Nick Giordano.
- Właśnie rozmawiałem z pana synem o Dianie Scolari.
- Oraz o Brianie McKittricku. - W głosie słychać było napięcie. -  
Mój syn twierdzi, że wspomniałeś także o Brianie McKittricku.
- Zgadza się.
- Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś gliną?

- Kiedy się spotkamy, może mnie pan przeszukać, aby się upewnić, że nie mam na sobie podsłuchu.

- To wciąż nie będzie żaden dowód.

- Hej, jeśli jest pan aż takim paranoikiem, to może nie ma sensu organizować spotkania.

Po drugiej stronie linii na chwilę zapadła cisza.

- Gdzie jesteś?

- Dolny Manhattan.

- Czekaj pod Flatiron Building od strony Piątej Alei. Za godzinę zabierze cię stamtąd samochód. Jak kierowca cię pozna?

Decker zerknął na Esperanzę.

- Będę trzymał dwa tuziny żółtych róż.

## 6

W kawiarni przy Piątej Alei niedaleko Flatiron Building Decker milczał, dopóki kelner nie przyniósł im tego, co zamówili, i się nie oddalił. Wybrali stolik w rogu, z dala od wejścia. W lokalu nie było tłoku. Pomimo to Decker najpierw upewnił się, że nikt nie patrzy w jego kierunku, i dopiero wtedy schylił się, otworzył torbę podróżną i wyjął niewielki przedmiot, który wcześniej zabrał z walizki w kwiaciarni. Przedmiot był wykonany z metalu i miał rozmiar pudełka od zapalek.

- Co to jest? - spytał Esperanza.

- Nadajnik. A to... - Decker sięgnął do torby i wyjął metalowe pudełko wielkości paczki papierosów -...odbiera ten sygnał z odległości do półtora kilometra. Na Piątej Alei obok Flatiron Building

ruch odbywa się w kierunku południowym. Czekaj w taksówce na północ stąd, przy parku Madison Square. Kiedy wsiądę do samochodu podeślanego przez Giordana, poczekaj piętnaście sekund, aby nie zwracać na siebie uwagi, po czym jedź za nami. Odbiornik pokazuje kierunek, z którego dociera sygnał. Ta igła ustawia się odpowiednio w lewo, w prawo albo na wprost. Ten miernik informuje cię, jak blisko jesteś nadajnika, w skali od jeden do dziesięciu, gdzie dziesięć oznacza najmniejszą odległość. - Decker pstryknął włącznikiem i ustawił nadajnik przed odbiornikiem. - Tak, system działa. Weź odbiornik. Jeżeli coś pójdzie nie tak, czekaj na mnie przed tą kawiarnią o każdej pełnej godzinie. Ale jeśli nie zjawię się do jutra do osiemnastej, jak najszybciej wracaj do Santa Fe. - Decker zerknął na zegarek. - Już prawie czas. Chodźmy.

- A co z twoją torbą?

- Weź ją. - W torbie znajdował się pistolet, zapasowy magazynek i pudełko z amunicją. Decker wiedział, że zostanie przeszukany. Nie miał zamiaru wyprowadzać Giordana z równowagi próbą wniesienia broni na spotkanie. - Dziesięć minut po tym, jak dotrę na miejsce, zadzwoń pod numer, który dostałem od Benniego. Poproś mnie do telefonu. Postaraj się zabrzmieć tak, jakby odmowa miała się dla nich bardzo źle skończyć.

- A potem?

- Podczas rozmowy powiem ci, co masz robić. - Kiedy dotarli do wyjścia z kawiarni, dodał: - W tej okolicy z łatwością złapiesz taksówkę.

- Decker.

- Tak?

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

- Nie.

- W takim razie może istnieje inny sposób.

- To jest ostatnia rzecz, na którą mam ochotę, ale zaczyna mi brakować czasu. Być może już jest za późno. Nie wiem, gdzie jeszcze mógłbym się udać, poza samym źródłem problemu.

Esperanza się zawahał.

- Powodzenia.

- Beth bardziej go potrzebuje.

- Ale co, jeśli...

- Już ją zabili?

- Tak.

- Wtedy to, co się ze mną stanie, nie ma znaczenia.

Po upływie minuty, podczas której, jak liczył, Esperanza zdążył złapać taksówkę, Decker wyszedł na ulicę, skręcił w prawo i udał się w stronę Flatiron Building. Wciąż padał deszcz i robiło się coraz ciemniej. Martwiąc się, co McKittrick może robić Beth, przypomniał sobie podobny deszcz, który padał tego wieczoru, kiedy McKittrick postrzelił swojego ojca w Rzymie.

Dotarł do Flatiron Building pięć minut przed czasem i schronił się w bramie, trzymając żółte róże na widoku. Targały nim złożone emocje: wątpliwości, strach i niepewność. Jednak wątpliwości dotyczyły tylko jego samego. Reszta uczuć odnosiła się do kogoś

innego: strach o Beth i niepewność co do jej losu. Ale przede wszystkim Decker odczuwał determinację. Po raz pierwszy zaangażował się w zadanie, którego wykonanie było dla niego warte więcej niż życie.

Przypomniał sobie coś, co powiedziała mu Beth dwie noce wcześniej, podczas piątkowej fiesty, kiedy opuścili przyjęcie wydane przez producenta filmowego i wracali do domu - ich ostatnie chwile normalności, jak im się wtedy wydawało, chociaż teraz Decker zdawał sobie sprawę, że nic w ich związku nie było normalne. Kiedy się kochali, blask księżyca oświetlał ich ciała przez okna sypialni, sprawiając, że przypominały kość słoniową. Te zaprawione kroplą goryczy wspomnienia sprawiły, że odczuł pustkę. Potem, kiedy leżeli obok siebie, a Decker obejmował Beth ramieniem i dotykał klatką piersiową jej pleców, podbrzuszem bioder i zgiętymi kolanami kolan, zamilkła na tak długo, że myślał, iż zasnęła. Przypomniał sobie, jak wdychał zapach jej włosów. Kiedy się odezwała, jej niepewny głos zabrzmiał tak cicho, że był ledwie słyszalny.

- Kiedy byłam małą dziewczynką - szepnęła - moja matka i ojciec strasznie się kłócili.

Ponownie umilkła. Decker czekał.

- Nigdy nie wiedziałam, o co się kłóć - mówiła dalej Beth, cicho i z napięciem w głosie. - Do dzisiaj tego nie wiem. Niewierność. Problemy finansowe. Picie. Cokolwiek. Każdego wieczoru na siebie wrzeszczeli. Czasami nawet posuwali się dalej. Rzucali przedmiotami. Bili się. Kłótnie były szczególnie okropne podczas świąt: w Święto

Dziękczynienia, Boże Narodzenie. Moja matka przygotowywała wielki posiłek. Potem, tuż przed kolacją coś się zawsze stało i znów zaczynali na siebie krzyczeć. Ojciec wybiegał z domu, a matka i ja same jadłyśmy posiłek, podczas którego cały czas opowiadała mi, jakiego parszywego drania ma za męża.

Znów zapadła cisza. Decker nie chciał jej popędzać. Opowiadała o tak intymnych sprawach, że musiała to robić we własnym tempie.

- Kiedy już nie mogłam znieść ich kłótni, błagałam rodziców, aby przestali. Kiedyś odepchnęłam ojca, próbując powstrzymać go przed biciem matki. To jedynie sprawiło, że zwrócił się przeciwko mnie - w końcu wyznała Beth. - Wciąż widzę przed oczami jego zbliżającą się pięść. Bałam się, że mnie zabije. Stało się to w nocy. Wbiegłam do swojego pokoju, starając się znaleźć jakąś kryjówkę. Krzyki w salonie stały się głośniejsze. Upchnęłam poduszki jedną obok drugiej pod pościelą aby wydawało się, że to ja tam leżę. Chyba widziałam tę sztuczkę w telewizji. Potem wczołgałam się pod łóżko i zasnęłam, mając nadzieję, że będę bezpieczna, jeśli ojciec przyjdzie, aby mnie zasztyletować. Od tamtej pory spałam w ten sposób każdej nocy.

Jej ramiona lekko się uniosły i opadły; Decker pomyślał, że Beth płacze.

- Czy twoje dzieciństwo też tak wyglądało? - spytała.

- Nie. Mój ojciec był zawodowym żołnierzem. Był surowy, przywiązywał dużą wagę do dyscypliny i kontroli, ale nigdy nie stosował wobec mnie przemocy.

- Miałaś szczęście. - W ciemności Beth otarła oczy. - Czytywałam bajki o rycerzach i królewnach, królu Arturze i tym podobne. Marzyłam, że jestem postacią z tych opowieści i mam przy sobie rycerza, który mnie chroni. Już jako dziecko dobrze rysowałam. Robiłam szkice swojego rycerza, wyobrażając sobie, jak on wygląda. - Szeleszcząc pościelą Beth odwróciła się. Na jej oświetlonych blaskiem księżycy policzkach lśniły łzy. - Gdybym dziś znów miała go narysować, to wyglądałby jak ty. Przy tobie czuję się bezpieczna. Już nie muszę spać pod łóżkiem.

Dwie godziny później grupa zamachowców włamała się do domu.

## 7

Deszcz zalewający Deckerowi twarz przywrócił go do rzeczywistości. Targany emocjami, przyglądał się samochodom pędzącym przez kałuże obok Flatiron Building. Dręczyły go sprzeczne pytania. Czy historia, którą opowiedziała mu Beth, była prawdziwa, a może w ten sposób głębiej zarzucała przynętę, kłamstwem starając się wzbudzić w nim współczucie i programując go na swojego rycerza, który w razie potrzeby zawsze stanie w jej obronie? Wszystko sprowadzało się do tego, nad czym rozmyślał od wczoraj, od chwili, kiedy się dowiedział, że oszukała go w sprawie swojej przeszłości. Czy Beth go kochała, czy też raczej wykorzystywała? Musi się tego dowiedzieć. Musi ją odnaleźć i poznać prawdę, choć nie wiedział, co zrobi, jeżeli prawda okaże się niezgodna z jego oczekiwaniami, gdyż kochał ją bezgranicznie.

Przebijając strumienie deszczu światłami reflektorów, szary oldsmobil odłączył się od sznura samochodów i stanął przy krawężniku. Otworzyły się tylne drzwi i wysiadł jeden z żołnierzy Nicka Giordana, sztywnym ruchem głowy pokazując Deckerowi, aby wsiadł do środka. Zaciskając mięśnie i czując coraz silniejszą determinację, Decker podszedł do samochodu, w obu dłoniach trzymając kwiaty.

- Właśnie tak. - Mężczyzna uśmiechnął się lekceważąco. Miał potężną klatkę piersiową szerokie ramiona i za ciasny garnitur. - Trzymaj ręce na kwiatkach, kiedy będę cię przeszukiwał.

- Na ulicy? Przed tym nadjeżdżającym radiowozem?

- Wsiadaj.

Decker oszacował sytuację, zauważając dwóch mężczyzn z przodu i kolejnego na tylnym siedzeniu. Wsiadł, czując, że pierwszy mężczyzna zajmuje miejsce obok, mocno na niego napierając, po czym ścisnął mały nadajnik w prawej dłoni razem z łodygami kwiatów. Kiedy kierowca ruszył, rozchlapując kałuże, mężczyzna na siedzeniu pasażera wycelował w Deckera pistolet, a dwaj mężczyźni siedzący z tyłu go przeszukali.

- Jest czysty.

- A te kwiaty?

Wyszarpnęli róże z zaciśniętych rąk Deckera, zbyt zaabsorbowani, aby zauważyć, że wciąż chowa w prawej dłoni niewielki nadajnik.

- Czegokolwiek chcesz od szefa, lepiej, abyś miał dla niego coś ciekawego - rzekł jeden z mężczyzn. - Jeszcze nigdy nie widziałem Nicka tak wkurzonego.

- Hej, co tu tak śmierdzi? - spytał inny mężczyzna.

- To te kwiaty. Cuchną tanim pogrzebem.

- Może to jego pogrzeb. - Mężczyzna po lewej stronie Deckera zarechotał, opuszczając szybę i wyrzucając przez okno zmaltretowane róże.

## 8

Przez całą drogę Decker milczał, mężczyźni zaś go ignorowali. Rozmawiali między sobą o futbolu, kobietach i kasynach w indiańskich rezerwach - bezpiecznych tematach, które w żaden sposób ich nie obciążały - a Decker w tym czasie zastanawiał się, czy Esperanzy udało się ich nie zgubić, czy nadajnik i odbiornik działają oraz czy kierowca nie zauważy, że ktoś go śledzi. Powtarzał sobie, że musi zachować wiarę.

Niedawno minęła dwudziesta. Ulewa jeszcze przybrała na sile, a wieczór zmienił się w noc. Przebijając światłami reflektorów strugi deszczu, kierowca postanowił zatrzeć za sobą ślady, skręcając w kilka przypadkowych ulic, po czym ruszył dalej na północ zatłoczoną Henry Hudson Parkway, aby w końcu skrócić na zachód na most Waszyngtona. Po znalezieniu się w New Jersey, ponownie skierował się na północ, tym razem jadąc Palisades Parkway. Po upływie godziny od zabrania Deckera, skręcił w lewo do sennego miasteczka Alpine.

Mężczyźni z napięciem poprawili się na siedzeniach, a kierowca przejechał przez niemal nieistniejące przedmieście, po czym odbił w prawo, jeszcze kilkakrotnie skręcił i w końcu znalazł się w spokojnej, gęsto zadrzewionej okolicy, jasno, lecz ze smakiem oświetlonej i zabudowanej dużymi domami, które stały na ćwierćhektarowych działkach. Wysokie ogrodzenia z kutego żelaza, od góry zakończone szpikulcami, oddzielały poszczególne posesje. Samochód wjechał na podjazd i zatrzymał się przed imponującą metalową bramą a kierowca wychylił się na deszcz i odezwał do interkomu:

- Tu Rudy. Mamy go.

Brama otworzyła się na boki i kierowca wjechał w powstałą szczelinę. Spoglądając przez pokrytą kroplami deszczu tylną szybę, Decker zobaczył, jak brama od razu zamyka się za oldsmobilem. Nigdzie nie widział świateł jadącej za nimi taksówki. Samochód wjechał po krętym podejździe i zatrzymał się przed ceglanym dwupiętrowym domem z licznymi szczytami i kominami. W porównaniu z niskimi, zaokrąglonymi domami o płaskich dachach, do których Decker zdążył przywyknąć, posiadłość sprawiała surrealistyczne wrażenie. Lampy łukowe oświetlały teren. Decker zauważył, że drzewa rosną w sporej odległości od domu, a wszystkie krzewy są bardzo niskie. Intruz, który zdołałby ominąć czujniki instalacji alarmowej, zapewne najnowocześniejszej, zamontowane wzdłuż ogrodzenia, nie mógłby liczyć na żadną osłonę w drodze do budynku.

- Czas na przedstawienie - odezwał się mężczyzna siedzący po lewej stronie. Otworzył drzwi, wysiadł i zaczął czekać na Deckera. - Rusz się. Nie każ mu czekać.

Decker nie odezwał się ani słowem, kiedy został złapany za rękę. Tak naprawdę ucieszył się z tego gestu. Dał mu on pretekst do pozorowanego potknięcia, gdy mężczyźni ciągnęli go w deszczu ku szerokim kamiennym schodom prowadzącym do domu. Upadając obok krzaka, wrzucił pod niego nadajnik, po czym pozwolił się podnieść i wprowadzić do budynku. Czuł się tak, jakby w klatce piersiowej miał kawałek lodu.

Pierwszą rzeczą, którą zauważył, był uzbrojony strażnik w rogu przestronnego holu o marmurowej posadzce. Drugą rzeczą którą zauważył, był pitbull stojący za strażnikiem. Nie miał nawet czasu, aby poszukać wzrokiem innych wyjść z budynku, gdyż pospiesznie poprowadzono go korytarzem pokrytym dębowymi panelami, przez podwójne drzwi, do gabinetu wyłożonego grubą wykładziną dywanową.

Ścianę naprzeciwko Deckera zajmowały oprawione w skórę książki. Na ścianie po prawej stronie wisiały rodzinne obrazy. Pod lewą ścianą stały przeszkolone szafki, z których każda zawierała wazy. Środek pokoju zajmowało szerokie zabytkowe biurko, za którym siedział krępy, mniej więcej siedemdziesięcioletni mężczyzna, ubrany w drogi ciemnoniebieski garnitur. Palił cygaro i patrzył na Deckera przymrużonymi oczami. Miał ściągniętą twarz, na której

dominował podbródek z dołkiem oraz pobrużdżone policzki. Wyraźna opalenizna podkreślała kolor krótkich, lecz gęstych siwych włosów.

Przed biurkiem siedział trzydziestokilkuletni mężczyzna, różniący się od pierwszego nie tylko wiekiem. Miał na sobie modny strój, sprawiający krzykliwe wrażenie w porównaniu z konserwatywnym garniturem starca. Nosił rzucającą się w oczy biżuterię, podczas gdy starszy mężczyzna nie miał na sobie takich ozdób. Wydawał się od niego także mniej sprawny i nieco grubawy, jak gdyby ostatnio zarzucił ćwiczenia fizyczne na rzecz picia.

- Przeszukaliście go? - spytał starszy mężczyzna strażników, którzy przyprowadzili Deckera. Zachrypnięty głos brzmiał tak samo jak głos człowieka, który przez telefon przedstawił się jako Nick Giordano.

- Kiedy po niego podjechaliśmy - odpowiedział strażnik.

- Wciąż nie jestem zadowolony. Facet ma mokre ubranie. Przynieście mu jakiś szlafrok.

- Tak jest, proszę pana. Giordano zmierzył Deckera wzrokiem.

- No, na co czekasz?

- Nie rozumiem.

- Rozbieraj się.

- Co takiego?

- Masz problem ze słuchem? Rozbieraj się. Chcę się upewnić, że nie masz na sobie podsłuchu. Guziki, sprzączka od paska, suwaki; niczemu nie ufam, zwłaszcza kiedy mam do czynienia z byłym szpiegiem.

- Brian McKittrick musiał panu o mnie dużo opowiadać.

- Sukinsyn - warknął młodszy mężczyzna.

- Frank - upomniał go Giordano. - Trzymaj gębę na kłódkę, dopóki nie będziemy pewni, że facet nie ma podsłuchu.

- Czyli naprawdę mam się rozebrać? - upewnił się Decker. Giordano nie odpowiedział, tylko mu się przyglądał.

- Skoro to pana kręci.

- Hej. - Frank wstał ze złością. - Myślisz, że możesz przychodzić do domu mojego ojca i go obrażać?

- Frank - ponownie odezwał się Giordano.

Jego syn miał zamiar spoliczkować Deckera, jednak popatrzył na ojca i się wycofał.

Decker zdjął sportową marynarkę. Giordano skinał głową.

- Dobrze. Współpraca to zawsze mądre rozwiązanie. Kiedy Decker zdjął koszulę, zobaczył, że Giordano podchodzi do waz poustawianych w szklanych szafkach.

- Czy znasz się choć trochę na porcelanie? - spytał Giordano.

Pytanie było tak niespodziewane, że zaskoczony Decker pokręcił głową.

- Ma pan na myśli porcelanę kostną? - Z ponurą miną Decker ściągnął buty i skarpetki.

- To jeden z rodzajów porcelany. Nazywa się ją tak, ponieważ jest produkowana ze sproszkowanych kości.

Z jeszcze bardziej ponurą miną Decker odpiął pasek, odsunął suwak i zdjął spodnie. Poczul mrowienie na odsłoniętej skórze.

- Wszystko - rozkazał Giordano.

Decker zsunął slipy. Jądra skurczyły mu się i przesunęły w stronę pachwin. Starał się zachować jak najwięcej godności, trzymając ręce wzdłuż boków.

- Co teraz? Sprawdzenie otworów? Robi to pan osobiście?

Frank wyglądał na wściekłego.

- Masz na to ochotę, gaduło?

- Frank - ponownie ostrzegł go Giordano. Wszedł strażnik, niosąc biały frotowy szlafrok.

- Daj mu go. - Giordano wskazał cygarem. - Zabierzcie jego ciuchy do samochodu.

Kiedy strażnik wykonał polecenie, Decker włożył szlafrok. Jego rąbek sięgał mu do kolan, a szerokie rękawy kończyły się poniżej łokci. Zawijając pasek, przypomniał sobie gi, które nosił podczas treningów sztuk walki.

Giordano wziął do rąk wazę w kształcie czapli o uniesionej głowie i otwartym dziobie.

- Popatrz, wydaje się, że światło przez nią prześwituje. Teraz postukam palcem. Posłuchaj, rezonuje prawie jak kryształ.

- Fascynujące - rzekł Decker bez entuzjazmu.

- Bardziej niż ci się wydaje. Te wazy to moje trofea - odparł Giordano. - Ostrzeżenia dla moich wrogów - na twarz wystąpiły mu wypieki - aby nie próbowali mnie wyruchać. Porcelana kostna. Sproszkowane kości. - Podsunął Deckerowi wazę w kształcie ptaka. - Przywitaj się z Luigim. On chciał mnie wyruchać, więc kazałem

spalić mu ciało kwasem, a potem zmielić kości i wykonać to cacko. Wstawiłem go do mojej szafki z trofeami. Tak jak wszystkich innych, którzy próbowali tego samego. - Cisnął wazę w stronę dużego kominka i porcelana roztrzaskała się na kawałki. - Teraz z Luigiego została kupa śmieci! A ty skończysz tak samo, jeśli też spróbujesz mnie wyruchać. Więc bardzo ostrożnie odpowiedz mi na to pytanie. Co masz mi do powiedzenia na temat Diany Scolari?

## 9

Przenikliwy dzwonek telefonu rozładował napiętą atmosferę. Giordano i jego syn wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Może to McKittrick - odezwał się Frank.

- Lepiej, żeby tak było. - Giordano podniósł słuchawkę. - Mów. - Zmarszczył brwi. - Kim do cholery... - Popatrzył na Deckera. - Z kim? Skąd przyszło ci do głowy, że...

- To do mnie - wtrącił się Decker. - To mój przyjaciel. Sprawdza, czy u mnie wszystko w porządku. - Wziął słuchawkę od Giordana. - A więc udało ci się znaleźć to miejsce.

- Z trudem - odezwał się Esperanza ponuro. - Niełatwo było trzymać się na tyle daleko, aby twój kierowca nie zobaczył świateł taksówki. Niełatwo też było znaleźć telefon.

- Gdzie jesteś?

- Przed pocztą przy czymś, co udaje tutaj główną ulicę.

- Zadzwoń ponownie za pięć minut. - Decker odłożył słuchawkę na widełki i odwrócił się w stronę Giordana. - Zwykle środki ostrożności.

- Wydaje ci się, że telefon od jakiegoś gościa uratuje ci dupę, jeśli uznam, że coś kombinujesz?

- Nie. - Decker wzruszył ramionami. - Ale przed śmiercią będę miał satysfakcję, wiedząc, że mój przyjaciel skontaktuje się z innymi przyjaciółmi i wkrótce pan do mnie dołączy.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Nawet odgłos deszczu zacinającego w drzwi balkonowe nagle wydał się przytłumiony.

- Nikt nie będzie groził mojemu ojcu - rzekł Frank.

- A teksty twojego ojca o Luigim to niby nie były groźby? - odparł Decker. - Przyszedłem tutaj w dobrej wierze, aby porozmawiać o naszym wspólnym problemie. Jednak zamiast spotkać się z szacunkiem, zostałem zmuszony do...

- Wspólnym problemie? - przerwał mu Giordano.

- Diana Scolari. - Decker chwilę odczekał, uspokajając emocje. Od tego, co miał teraz powiedzieć, bardzo wiele zależało. - Chcę ją dla pana zabić.

Giordano wlepił w niego wzrok. Frank podszedł bliżej.

- Wielu z nas chce ją zabić za to, co zrobiła Joeyowi. Twarz Deckera nawet nie drgnęła. Nie śmiał okazać ogromnej ulgi, która go przepełniła. Frank użył czasu teraźniejszego. Beth wciąż żyje.

- Mam uwierzyć, że chcesz ją zabić po tym, jak ją pieprzyłeś? - spytał Giordano.

- Okłamała mnie. Wykorzystała.

- Masz, kurna, pecha.

- Raczej ona. Znajdę ją i dam jej to, na co zasłużyła.

- A my mamy powiedzieć ci, gdzie ona jest? - spytał Frank.

- Nie tylko ona, ale także Brian McKittrick. On również mnie wykorzystał i wrobił. I to nie pierwszy raz. Zapłaci za to.

- Cóż, do niego też musisz się ustawić w kolejce - odparł Frank.

- Wielu z nas szuka ich obojga.

- Szuka...? Myślałem, że on dla was pracuje.

- My też tak myśleliśmy. Miał się zgłosić wczoraj. Nie odezwał się ani słowem. Czy znów pracuje dla policji federalnej? Jeżeli ona jutro pokaże się na sali sądowej...

- Frank - rzucił Giordano. - Ile razy mam ci powtarzać, żebyś zamknął gębę?

- Nie macie przede mną żadnych tajemnic - odparł Decker. - Wiem, że ona jutro ma przeciwko panu zeznawać. Gdybym się dowiedział, gdzie się znajduje, rozwiązałbym dla was ten problem. Pozwoliłaby mi się zbliżyć na tyle, abym...

Ponownie zadzwonił telefon.

Tym razem Giordano i Frank skupiali się tylko na Deckerze.

- To znów twój przyjaciel - rzekł Giordano. - Spław go. Decker odebrał.

- Daj mi Nicka - odezwał się pewny siebie mężczyzna, mówiący z nowoangielskim akcentem. Brian McKittrick.

## 10

Wydawało się, że czas stanął w miejscu. Czując, że serce zaczyna mu bić coraz wolniej, Decker od razu ściszył głos, mając nadzieję, że McKittrick go nie rozpozna.

- Czy kobieta żyje?

- Pewnie że tak. I będzie dalej żyła, chyba że do północy dostanę milion dolarów. Jeżeli nie dostanę pieniędzy, to jutro trafi do sali sądowej.

- Gdzie jesteś?

- Kto mówi? Jeżeli za dziesięć sekund nie usłyszę głosu Nicka, odkładam słuchawkę.

- Nie! Zaczekaj. Nic nie rób. Już ci go daję. - Decker podał telefon Giordanowi, który pytająco uniósł brwi. - To McKittrick.

- Co? - Giordano chwycił słuchawkę. - Ty sukinsynu, miałeś do mnie zadzwonić wczoraj. Gdzie... Stój. Nie odpowiadaj od razu. Czy używasz bezpiecznej linii? Włącz koder, który ci dałem. - Pstryknął przełącznikiem na czarnym pudełku obok telefonu. Był to koder, prawdopodobnie ustawiony na ten sam szyfr co urządzenie McKittricka. - Teraz możesz mówić, ty draniu.

Decker odsunął się od biurka. Frank i strażnicy, z których czwarty wrócił już do pomieszczenia, wpatrywali się w dziką z wściekłości twarz Giordana, który krzyczał do słuchawki:

- Milion dolarów? Czyś ty zwariował? Zapłaciłem ci już dwieście tysięcy... Za mało? A co powiesz na darowanie ci życia? Mówiłem ci, co robię mądralom, którzy próbują za mną zadzierać. Oto najlepszy biznes, jaki kiedykolwiek ktoś ci zaproponował. Wykonaj zadanie, którego się podjąłeś, i udowodnij, że to zrobiłeś, a ja zapomnę, że ta rozmowa miała miejsce.

Decker stał równolegle do strażników, po ich lewej stronie. Nie chciał wzbudzać ich podejrzeń, przesuwał się im za plecy, więc tylko uważnie rozglądał się po pomieszczeniu, skupiając uwagę się na kominku.

Zszokowany Giordano słuchał głosu w słuchawce.

- Ty głupi palancie, naprawdę nie żartujesz. Chcesz wyciągnąć ode mnie milion dolców... Nie musisz mi przypominać, że jej zeznanie może mnie do końca życia wpakować za kratki. - Twarz Giordana wyrażała jeszcze większą wściekłość. - Tak, wiem, gdzie to jest. Ale północ to za wcześnie. Potrzebuję więcej czasu. Muszę... Wcale nie gram na zwłokę. Nie próbuję cię oszukać. Mówię prawdę. Nie jestem pewien, czy uda mi się zebrać pieniądze do północy... Przyjmij ode mnie gest dobrej woli. Facet, z którym rozmawiałeś na początku, to ten sam, którego w ramach umowy mieliśmy dla ciebie sprzątnąć w Santa Fe. Twój kumpel, Steve Decker.

Kiedy Giordano i pozostali mężczyźni w pokoju spojrzeli na Deckera, ten poczuł, jak odruchowo napinają mu się mięśnie.

- Złożył nam wizytę. Zadzwoił do mnie i koniecznie chciał wpaść na szczerą rozmowę. Teraz stoi przede mną. Masz ochotę przyjechać?... Nie? Nie ufasz mi?... No dobrze, oto moja oferta. Załatwimy go dla ciebie. Ty udowodnisz, że nie żyje kobieta, a ja udowodnię, że nie żyje Decker. Dostaniesz swój milion. Ale nie uda mi się zebrać pieniędzy do północy. - Giordano się skrzywił. - Nie. Poczekaj. - Trzasnął słuchawką o widełki. - Drań się rozłączył. Forsa

do północy albo nici z interesu. Uważa, że się zmyję, jeśli będę miał więcej czasu.

- Gdzie mamy się z nim spotkać? - spytał Frank ze złością.

- W punkcie widokowym, trzy kilometry na północ.

- W Parku Stanowym Palisades? Giordano skinął głową.

- Drań jest gdzieś w okolicy. Mamy zostawić pieniądze i Deckera za budką z napojami.

- A McKittrick zostawi kobietę?

- Nie. Mówi, że nie wykona zadania, dopóki nie upewni się, że go nie śledzimy, kiedy odjedzie z forszą.

- Cholera.

Giordano odwrócił się w stronę regałów zastawionych oprawionymi w skórę książkami. Wcisnął fragment ściany, uruchamiając zapadkę.

- Naprawdę chcesz mu dać pieniądze? - spytał Frank.

- A jaki mam wybór? Nie mam czasu, żeby zastanawiać się nad jego zamiarami. Diana Scolari nie może się jutro pojawić na sali sądowej. McKittrickiem zajmę się później. Nie uda mu się wiecznie ukrywać. Ale teraz... - Giordano pociągnął dużą półkę z książkami, która odsunęła się od ściany, odsłaniając sejf. Szybko wprowadził szyfr, otworzył drzwi i zaczął wyjmować spięte gumkami pliki banknotów, układając je na biurku. - W tamtej szafie jest walizka.

- A co, jeśli McKittrick weźmie pieniądze, a potem i tak pozwoli jej zeznawać? - odezwał się Frank, idąc po walizkę. - Albo jutro rano zażąda więcej forsy?

- To mu ją dam! Nie mam zamiaru spędzić reszty życia w więzieniu!

- Możemy spróbować go śledzić - rzekł Frank. - Albo możemy go capnąć, kiedy będzie odbierał pieniądze. Uwierz mi, potrafię go zmusić do wyjawienia, gdzie jest kobieta.

- A jeśli umrze, zanim cokolwiek powie? Nie mogę ryzykować. Mam siedemdziesiąt lat. Więzienie mnie zabije.

Po raz trzeci rozległ się dzwonek telefonu.

- Może to znowu McKittrick. - Giordano złapał słuchawkę. - Mów. - Spojrzał na Franka, marszcząc brwi. - Nie rozumiem ani słowa. Musiał wyłączyć koder. - Wściekły Giordano wyłączył własny koder i wydarł się do telefonu. - Mówiłem ci... Kto? Decker? Na litość boską już wyszedł. Przestań do niego dzwonić. Nie ma go. Jeden z moich ludzi odwiózł go do miasta... Zamknij się i posłuchaj. Nie ma go. - Z impetem odłożył słuchawkę i spojrzał na Deckera.

- To tyle, jeśli chodzi o twoją polisę ubezpieczeniową. Wydaje ci się, że możesz mi grozić, co? - Zwrócił się do strażników. - Zabierzcie tego fiuta nad urwisko i go załatwcie.

Decker poczuł lodowaty ucisk w żołądku.- Tuż przed północą podrzućcie go za budkę z napojami w punkcie widokowym. Frank będzie już tam wtedy z forszą. - polecił Giordano.

- Ja tam będę? - zdziwił się Frank.

- Komu innemu mogę bezpiecznie powierzyć pieniądze?

- Myślałem, że razem je zawieziemy.

- Oszalałeś? To nie ciebie mogą jutro postawić w stan oskarżenia. Jeśli zostanę złapany na czymś takim... Hej! - Giordano krzyknął na strażników. - Co tak stoicie? Powiedziałem, żeby go wyprowadzić i załatwić.

Czując coraz większy ucisk w klatce piersiowej, Decker zobaczył, że jeden ze strażników sięga pod marynarkę, aby wyciągnąć pistolet. Ciało Deckera przypominało sprężynę napiętą do granic możliwości. Nagle całe to napięcie zostało uwolnione. Kiedy Giordano klócił się przez telefon z McKittrickiem, Decker planował to, co teraz błyskawicznie wykonał. Obok kominka zauważył zestaw narzędzi. W mgnieniu oka chwycił długi, cienki, ciężki pogrzebacz i smagnął nim strażnika w szyję. Krtań głośno trzasnęła. Z tchawicą zablokowaną przez opuchliznę, porażony straszliwym bólem, nie mogąc oddychać, strażnik upuścił pistolet i chwycił się za gardło. Przewrócił się na drugiego strażnika, który już padał martwy po otrzymaniu uderzenia metalowym narzędziem w czubek głowy. Kiedy trzeci strażnik próbował wyciągnąć pistolet spod marynarki, Decker rzucił w niego pogrzebaczem z taką siłą że ten wbił się głęboko w klatkę piersiową. Decker natychmiast zanurkował na podłogę, chwycił broń upuszczoną przez pierwszą ofiarę, zastrzelił czwartego strażnika, zastrzelił Giordana, zastrzelił...

Ostatni cel stanowił Frank, ale jego już nie było w pomieszczeniu. Używając wiszących zasłon jako osłony przed potłuczonym szkłem, Frank wyskoczył przez zamknięte drzwi balkonowe, przebijając szyby, po czym zniknął w nawałnicy na

zewnątrz. Decker strzelił, ale spudłował. Zdążył jedynie zauważyć, że walizka zniknęła z biurka, gdy nagle strażnik przebity pogrzebaczem podźwignął się na krześle i wycelował w niego pistolet.

Decker go zastrzelił. Potem zastrzelił strażnika, który wcześniej pilnował drzwi frontowych, a teraz wbiegł do pokoju. Zastrzelił też pitbulla i wpadł do pomieszczenia tuż po nim. Jeszcze nigdy nie czuł takiej furii. Zatrzymując się tylko na sekundę, aby zgasić światło, podbiegł do drzwi balkonowych. Wiatr dmuchał przez rozbitą szybę, wydymając zasłony. Decker pomyślał o lampach łukowych na zewnątrz i braku jakiegokolwiek osłony wokół domu. Wyobraził sobie, że Frank celuje zza jednego z kilku dużych drzew, które pozostawiła ochrona Giordana. Nawet gdyby udało się zbić lampy, biały szlafrok stanowiłby doskonały cel w ciemności. Decker zerwał go z siebie i rzucił na podłogę. Jednak jego skóra, chociaż opalona, również była bardzo jasna w porównaniu z panującym mrokiem. Jego ciało także stałoby się idealnym celem.

Co robić? Wkrótce nadejdzie północ. Musiał się dostać do punktu widokowego. Zabrał pistolet jednemu z powalonych strażników, odwrócił się i pomknął w głąb korytarza. W tej samej chwili na korytarzu pojawił się kolejny strażnik, wbiegając przez drzwi z tyłu po prawej stronie. Decker go zastrzelił.

Deszcz zacinał przez otwarte drzwi. Decker dotarł do wyjścia, przylgnął do ściany i wyjrzał na oświetlony teren na tyłach domu. Nie widząc ani śladu Franka, ponownie się ukrył i zadrżał, kiedy wystrzelony z zewnątrz pocisk rozerwał futrynę. Zobaczył rząd

wyłączników światła i wszystkie je wcisnął, pograżając w ciemności tę część domu i otaczający ją teren.

Od razu wybiegł przez otwarte drzwi i pomknął po mokrej trawie w kierunku rzędu niskich krzewów, które wypatrzył przed zgaszeniem lamp. Deszcz był szokująco zimny dla jego nagiego ciała. Rzucił się na ziemię za pierwszym krzewem i przeczołgał do przodu, kiedy kolejny pocisk rozerwał trawnik za jego plecami. Dotarł do następnego krzewu i nieoczekiwanie odkrył, że klatką piersiową i podbrzuszem już nie dotyka miękkiej trawy, ale kwiatów, czołgając się po łodygach i błocie. Łodygi drapały mu skórę. Błoto. Rozsmarował je na twarzy. Wytarzał się w nim, starając się pokryć całe ciało, lecz wiedział, że deszcz szybko zmyje ten kamuflaż. Musiał się spieszyć.

Teraz! Zerwał się na nogi, prawie się przewracając na śliskim gruncie, po czym rzucił się w kierunku dużego drzewa, szukając za nim schronienia. Nagle pień jakby się rozdzielił. Odskoczyła od niego jakaś postać, obracając się z zaskoczeniem. Kiedy Decker zanurkował na gąbczasty trawnik, postać strzeliła w miejsce, w którym przed chwilą się znajdował. Błysk wystrzału zdezorientował Deckera, a pocisk świsnął tuż nad nim. Decker strzelił trzykrotnie, zobaczył, że postać pada, i szybko zbliżył się do niej, kryjąc się za drzewem.

Czy postrzelił Franka? Popatrzył w stronę leżącego mężczyzny i dostrzegł, że ma na sobie garnitur. Frank był inaczej ubrany.

Gdzie on jest? Strzały zaalarmują sąsiadów. Wkrótce przyjedzie policja. Jeżeli do tego czasu nie dopadnie Franka, to już nigdy nie będzie miał na to szansy.

Z drugiej strony domu dobiegło go dudnienie otwieranych drzwi od garażu. Frank wcale się nie chowa, czekając na okazję, aby mnie zastrzelić, zrozumiał Decker. On pobiegł do garażu!

Wiedział, że mogą być jeszcze inni strażnicy celujący do niego z ciemności, ale nie mógł pozwolić, aby to go powstrzymało. Nie miał czasu na ostrożność. Po śmierci ojca Frank wcale nie musi zgodnie z planem oddać pieniędzy McKittrickowi. Jaki miałyby to sens? Beth nie miała zeznawać przeciwko Frankowi, więc może on zachować pieniądze i powiedzieć McKittrickowi, aby zrobił z tą kobietą co tylko zechce. Już nie była ważna. McKittrick nie miałby wtedy innego wyjścia jak ją zabić, aby nie mogła powiadomić władz.

Słyszając odgłos silnika, popędził w stronę otwartych tylnych drzwi domu. Ktoś strzelił z ciemności i pocisk huknął tuż obok niego, gdy wbiegał do domu, ale Decker nie odpowiedział ogniem. Myślał tylko o tym, aby dotrzeć do przedniej części budynku i spróbować strzelić do Franka, kiedy ten będzie przejeżdżał, kierując się do bramy. Z impetem otworzył drzwi i przykucnął, celując z pistoletu.

Błysnęły światła samochodu. Duży ciemny sedan, cadillac, przemknął obok, niby niewyraźna plama w zalanej deszczem ciemności. Decker strzelił i usłyszał brzęk tłuczonego szkła.

Samochód z rykiem silnika pognał ku bramie. Decker ponownie strzelił i usłyszał, jak pocisk przebija metal. Jednocześnie do jego uszu

dotarł także inny dźwięk: szum otwieranej bramy. A potem kolejny: odgłos syren w oddali.

Oldsmobil wciąż stał przed domem, gdzie zostawili go uzbrojeni strażnicy, którzy przywieźli Deckera z Manhattanu. Podczas gdy tylne światła cadillaca oddalały się w stronę bramy, Decker zbiegł po schodach do oldsmobila. Gwałtownie otworzył drzwi od strony kierowcy, zajrzał do środka z rozpaczliwą nadzieją i zobaczył, że kluczyki tkwią w stacyjce.

Wewnętrzne światło samochodu czyniło z Deckera łatwy cel. Wsiadł zgarbiony, zatrzaskał drzwi, aby zgasić światło, i usłyszał za sobą kroki. Tracąc równowagę, obrócił się, celując w stronę otwartych drzwi frontowych, gdzie nagle pojawiły się potężne sylwetki dwóch strażników z uniesioną bronią. Jednocześnie z przerażeniem usłyszał pospieszne kroki po drugiej stronie oldsmobila. Kolejny strażnik! Znalazł się w pułapce. Strażnik po drugiej stronie samochodu strzelił do Deckera. Pistolet huknął dwukrotnie, pociski świsnęły Deckerowi nad głową lecz zanim miał okazję odpowiedzieć ogniem, dwaj strażnicy stojący w otwartych drzwiach frontowych zatoczyli się do tyłu. Kolejne dwa strzały powaliły ich na ziemię, a Decker zrozumiał, że po drugiej stronie samochodu wcale nie stoi strażnik, tylko...

- Jesteś cały? - zawołał Esperanza.
- Tak! Wsiadaj! Ty prowadzisz!
- Gdzie się podziało twoje ubranie?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia! Wsiadaj i ruszaj! Słyszając szybko zbliżające się syreny, Decker pognał w stronę krzaka po prawej stronie schodów.

- Dokąd idziesz? - krzyknął Esperanza, wrzucając do wozu torbę podrózną Deckera i wślizgując się za kierownicę.

Decker niezdarnie grzebał pod gałęziami, po omacku szukając czegoś rozczapierzonymi palcami. W końcu znalazł malutki nadajnik, który tam ukrył, kiedy udał, że się przewraca tuż po przybyciu na miejsce. Otworzył tylne drzwi oldsmobila i wskoczył do środka.- Frank Giordano jest w tym samochodzie, który właśnie odjechał! - wrzasnął. - Musimy go dogonić!

Zanim Decker zdążył zatrzasnąć za sobą drzwi, Esperanza uruchomił silnik, wrzucił bieg i wcisnął pedał gazu, ruszając po krętym podejździe w stronę bramy. Brama się zamykała. Za nią po prawej stronie, zniknęły tylne światła cadillaca. Z lewej strony dobiegał wyraźnie głośniejszy odgłos syren. Z przodu szczelina między prawą i lewą częścią bramy stawała się coraz węższa.

- Trzymaj się! - zawołał Esperanza.

Oldsmobil z rykiem wpadł w szczelinę. Lewa część bramy otarła się o bok samochodu. Prawa część uderzyła w drugi bok i przez chwilę Decker obawiał się, że auto się zaklinuje. Jednak kiedy Esperanza jeszcze mocniej docisnął pedał gazu, oldsmobil wystrzelił ze szczeliny z taką siłą, że obie części bramy wygięły się i zostały wyrwane z zawiasów. Decker usłyszał, jak ze stokiem padają na moką nawierzchnię. Esperanza gwałtownie zakręcił kierownicą.

Ślizgając się przez kałuże, wyrzucając spod kół fontanny wody, oldsmobil bokiem wyjechał na mroczną drogę, wyrównał tor jazdy i z rykiem silnika pomknął za cadillakiem.

- Świetnie! - pochwalił Decker.

Dygocząc, przypomniał sobie, że Giordano kazał jednemu ze strażników schować jego ubranie w samochodzie. Znalazł je na tylnym siedzeniu.

- Nauczyłem się tego, jeżdżąc po górskich drogach - odparł Esperanza, pędząc w ślad za cadillakiem. - Kiedy miałem trzynaście lat.

Decker włożył wilgotną bieliznę i spodnie, wzdrygając się z zimna. Jednocześnie patrzył przez tylną szybę, szukając wzrokiem migających świateł radiowozów. Pomimo bliskości syren, nic nie rozpraszało ciemności. Nagle noc stała się jeszcze mroczniej sza, kiedy Esperanza wyłączył światła samochodu.

- Nie ma potrzeby, aby tylne światła zdradziły policji nasze położenie - wyjaśnił.

Kilkadziesiąt metrów przed nimi zabłysły światła hamowania, kiedy Frank gwałtownie skręcił cadillakiem w lewo. W chwili, gdy zniknął im z oczu, za Deckerem pojawiły się szybko zbliżające się migoczące światła. Z wyciem syren radiowozy zatrzymały się przy posiadłości Giordana.

- Jeszcze nas nie zobaczyli, ale to tylko kwestia czasu - powiedział Decker, pospiesznie wciągając koszulę. - Dostrzegą nasze światła hamowania, kiedy tylko zwolnisz przed tym zakrętem.

- A kto powiedział, że zwolnię? - Esperanza wszedł w zakręt poślizgiem, wściekle kręcąc kierownicą tak że niemal przewrócił samochód, uderzając w krawężnik, po czym wyprostował tor jazdy i zniknął z zasięgu wzroku policji. - Kiedyś trochę się ścigałem dragsterami. Kiedy miałem czternaście lat.

- A co robiłeś w wieku piętnasto lat? Brałeś udział w *demolition derby* - Decker sięgnął po buty i skarpetki. - Jezu, nic nie widzę poza cadillakiem. Lepiej już włącz światła.

Esperanza gwałtownie wypuścił powietrze z płuc, kiedy prawie zderzył się z samochodem zaparkowanym na poboczu.

- Masz rację. - Rozbłysły reflektory. - Niewiele pomogło. Jak ta się włącza wycieraczki? Tym przyciskiem? Nie. A może tym? - Wycieraczki zaczęły pracować.

Przed nimi cadillac ponownie skręcił w lewo.

Esperanza przyspieszył, w ostatniej chwili zahamował i ostro wszedł w zakręt. W połowie skrzyżowania, podczas pokonywania kałuży, opony straciły przyczepność na śliskim fragmencie nawierzchni. Samochód podskoczył na krawężniku, otarł się o słupek sygnalizacji świetlnej, urywając prawe lusterko, po czym z powrotem wpadł na ulicę.

- Nie, kiedy miałem piętnaście lat, nie ścigałem się samochodami, tylko je kradłem - odparł Esperanza.

- Skąd wzięłeś się w rezydencji?

- Kiedy ten facet powiedział mi przez telefon, że już cię nie ma, wiedziałem, że masz kłopoty. Sprawdziłem odbiornik, który mi dałeś.

Sygnal był stabilny, więc uznałem, że facet kłamie, a ty wciąż jesteś w domu Giordana. Jednak nie mogłem ci pomóc z budki telefonicznej, dlatego kazałem taksówkarzowi zawieść się do rezydencji. Na miejscu usłyszałem strzały dochodzące z wnętrza budynku.- Kiedy odjeżdżaliśmy, nie widziałem taksówki.

- Taksówkarz uznał, że jest we mnie coś podejrzanego. Zauważył odbiornik i pytał, czy kogoś śledzę. Kiedy tylko usłyszał strzały, zażądał, abym mu zapłacił, po czym kazał mi wysiąść z taksówki i odjechał. Jedyne, co mi przyszło do głowy, to wspiąć się na ogrodzenie i sprawdzić, co się dzieje.

- Oraz zabrać pistolet z mojej torby podróżnej.

- Miałeś szczęście, że to zrobiłem.

- Mam u ciebie dług.

- Nie przejmuj się, coś wymyślę, abys mógł mi się odwdzińczyć.

Lepiej opowiedz, co się działo w środku.

Decker nie odpowiedział.

- Co spowodowało strzelaninę? - nalegał Esperanza.

- Muszę sobie przypominać, że jesteś policjantem - odrzekł Decker. - Nie jestem pewien, czy powinienem wchodzić w szczegóły.

Wraz z kolejnym ostrym zakrętem cadillac wyprowadził ich na opustoszałą główną ulicę miasteczka. Przemknęli w deszczu obok nielicznych sklepów w mrocznej dzielnicy biznesowej.

- Za chwilę wyjedzie na międzystanową - zauważył Decker.

- Nie uda mi się go wcześniej dogonić. - Esperanza spróbował przyspieszyć, ale prawie stracił kontrolę nad oldsmobilem. - Nick Giordano nie żyje?

- Tak. - Deckerowi zaschło w ustach.

- Samoobrona?

- Z mojej strony zdecydowanie tak to wyglądało.

- Więc w czym problem? Martwisz się, że policja uzna, że pojechałeś tam specjalnie po to, aby go zabić? Że planowałeś pozbycie się go od chwili opuszczenia Santa Fe?

- Jeżeli tobie przyszło to do głowy, to i oni na to wpadną - odparł Decker.

- Na pewno byłby to sposób na bezpośrednie rozwiązanie problemów Diany Scolari.

- Beth Dwyer. Ona nazywa się Beth Dwyer. Próbuję uratować Beth Dwyer. Z przodu. - Decker pospiesznie wskazał szybko poruszający się strumień jasnych świateł. - To wjazd na międzystanową.

Zabłyśły światła hamowania cadillaca, gdy Frank Giordano zwolnił, próbując pokonać łuk prowadzący w dół na rampę dojazdową do drogi międzystanowej. Zahamował zbyt gwałtownie i stracił panowanie nad samochodem. Cadillac zaczął się gwałtownie obracać.

- Jezu - szepnął Esperanza. Oldsmobil pędził w stronę wirującego cadillaca, który rósł w oczach z zatrważającą szybkością. - Uderzymy w niego!

Krótko nacisnął pedał hamulca. Hamulec zadziałał, ale zbyt słabo. Esperanza ponownie docisnął pedał, po czym wdusił go na dobre, szybko zbliżając się do cadillaca. Nagle podmuch wiatru uderzył w oldsmobila i Esperanza stracił kontrolę nad autem na śliskiej nawierzchni. Samochodem zarzuciło, a jego tył nagle znalazł się z przodu. Zaczęli się obracać.

Zdezorientowany Decker patrzył na coraz większego, wirującego cadillaca, migającego niby światło stroboskopu za przednią szybą oldsmobila, który także się obracał. Nagle cadillac zniknął. Pewnie wypadł z drogi, pomyślał Decker rozpaczliwie. W tej samej chwili oldsmobilem szarpnęło. Nawierzchnia pod kołami stała się miękka i gąbczasta. Trawa! Tylny prawy błotnik w coś uderzył. Wstrząs zatrzaskał Deckerowi szczęki. Na zewnątrz rozległ się odgłos giętego metalu. Pękł tylny reflektor. Samochód gwałtownie się zatrzymał.

- Wszystko w porządku? - spytał Esperanza drżącym głosem.

- Tak! Gdzie jest Giordano?

- Widzę światła jego samochodu!

Esperanza dodał gazu, oddalając się od drzewa, na które wpadł obracający się oldsmobil, ślizgając się po obrzeżu błotnistej pola, zmierzając w kierunku rampy dojazdowej. Przed nimi cadillac z rykiem silnika wyskoczył z rowu i popędził w stronę chaotycznej rzeki samochodów mknących drogą międzystanową.

- Zabiłeś ojca. - Esperanza szybko oddychał. - Jeśli zabijesz syna, problemy Beth Dwyer znikną. Nie będzie komu opłacić

kontraktu. Ludzie Giordana przestaną na nią polować.- Odnoszę wrażenie, że nie pochwalasz moich metod.

- Tylko stwierdzam fakty.

Przed nimi Giordano wypadł na szosę międzystanową zmuszając inne samochody do zjechania mu z drogi. Odezwały się klaksony.

- On ma w aucie milion dolarów - rzekł Decker.

- Co?

- To pieniądze dla Briana McKittricka za zabicie Beth. Za półtorej godziny ma je odebrać.

Esperanza wypadł na drogę międzystanową w ślad za cadillakiem.

- A co, jeśli tak się nie stanie? Może wypuści Beth.

- Nie. McKittrick jest na tyle szalony, że zabije ją z zemsty - odparł Decker. - Musi dostać pieniądze. Może dzięki nim mógłbym sprawić, aby zaprowadził mnie do Beth. Frank oczywiście nie ma najmniejszego zamiaru oddać forsy. Zmierza na południe. Punkt przekazania gotówki znajduje się trzy kilometry stąd na północ.

Pomimo ulewy Esperanza zaryzykował zwiększenie prędkości do stu dziesięciu kilometrów na godzinę, zjechał na lewy pas i wyrwał do przodu, zbliżając się do jadącego prawym pasem cadillaca, którego oddzielało od nich pięć samochodów. Deszcz zalewał przednią szybę. Wycieraczki ledwie nadążały odgarniać wodę. Nie mogąc przyspieszyć z powodu jadącego przed nim samochodu, Giordano zjechał na lewy pas i dodał gazu. Mgielka drobnych kropli uderzyła w przednią szybę oldsmobila, całkowicie oślepiając Esperanzę, który

zaklął i wjechał w przerwę między autami na prawym pasie. Od cadillaca dzieliły go już tylko cztery samochody.

Nie wiedzieć czemu, Giordano nagle zaczął zwalniać, przesuając się do tyłu. Po chwili cadillac znalazł się obok oldsmobila. Szyba po stronie pasażera była opuszczona. Giordano uniósł prawą rękę.

- Będzie strzelał! - wrzasnął Decker.

Esperanza wcisnął pedał hamulca. Kiedy Giordano strzelił, oldsmobil zdążył cofnąć się na tyle, że pocisk przeleciał przed przednią szybą.

Giordano znów zwolnił, jeszcze bardziej się cofając i przygotowując do kolejnego strzału.

Decker gwałtownie się schylił, aby podnieść z podłogi pistolet, który wrzucił do samochodu, kiedy opuszczali rezydencję. Giordano strzelił. Pocisk wybił dziurę w bocznej szybie po stronie kierowcy, świsnął Deckerowi obok głowy i przebił się przez przeciwległe tylne okno. Z przodu fragment bezpiecznej szyby rozpadł się na poszarpane kawałeczki, zasypując Esperanzie twarz.

- Nic nie widzę! - krzyknął. Oldsmobilem zarzuciło. Giordano znów wycelował.

Decker strzelił. Huk w zamkniętym wnętrzu był trudny do zniesienia, niczym uderzenie dłońmi w uszy. Nie było czasu otworzyć tylnego okna. Pocisk wybił dziurę w szkle, wleciał przez otwarte boczne okno cadillaca i wyrwał fragment przedniej szyby. Giordano się wzdrygnął i zamiast wystrzelić, złapał obiema rękami kierownicę.

Oldsmobilem znów zarzuciło, podczas gdy Esperanza z trudem usiłował cokolwiek zobaczyć. Decker rozpaczliwie pochylił się ponad oparciem przedniego siedzenia i chwycił kierownicę. Ratując się przed uderzeniem w samochód jadący przed nimi, ostro odbił w lewo, zjeżdżając na sąsiedni pas i taranując cadillaca Giordana.

- Trzymaj nogę na gazie! - wrzasnął do Esperanzy.

- Co ty wyprawiasz? - W ślepych rozgorączkowaniu Esperanza odgarniał kawałki szkła z okolic oczu.

Pochylony ponad przednim siedzeniem, Decker jeszcze gwałtowniej skręcił w kierunku cadillaca, mocno w niego uderzając. Wydawało mu się, że słyszy krzyk Giordana. Trzecie uderzenie zepchnęło cadillaca z drogi. Przerażony Giordano odbił w stronę trawiastego pasa rozdzielczego, zjechał z niskiego nasypu, a następnie pomknął w górę podwyższenia ku światłom samochodów nadjeżdżających przeciwnym pasem ruchu.

Decker skręcił w tym samym kierunku, niemal równolegle do cadillaca, odczuwając wstrząs, kiedy oldsmobil opuścił szosę. Wzdrygnął się, gdy auto niemal straciło przyczepność na mokrej trawie. Poczul ucisk w żołądku, kiedy oldsmobil wyskoczył w górę i ruszył ukośnie w poprzek szosy, którą szybko zbliżały się światła samochodów.

- Hamuj! - krzyknął Decker do Esperanzy. - Ostro! Zanim hamulce zadziałały, oldsmobil przeciął dwa pasy ruchu. Koła ślizgały się, piszcząc na mokrej nawierzchni, i wyrzucając w górę żwir pokrywający pobocze. Obok przemknęły samochody, hałasując

klaksonami. Z przodu auto Giordana wpadło w poślizg, bokiem uderzyło w krzaki, łamiąc gałęzie, po czym zniknęło za krawędzią zmoczonego deszczem nasypu.

Decker zakręcił kierownicą, rozpaczliwie próbując uniknąć spadnięcia ze zbocza. Nie miał pojęcia, jak było strome i co znajdowało się na dnie. Wiedział tylko, że musi jeszcze bardziej zwolnić.

- Trzymaj nogę na hamulcu! - wrzasnął do Esperanzy. Oldsmobil ślizgał się coraz bliżej krawędzi. Decker jeszcze mocniej zakręcił kierownicą posyłając w powietrze fontannę żwiru. Bał się, że samochód się przewróci, ale tak samo obawiał się czołowego zderzenia z drzewem. Oldsmobil obrócił się tyłem do krawędzi zbocza, gdzie zniknął cadillac, po czym nagle się zatrzymał, a Decker uderzył żebrami o siedzenie, nad którym się pochylał.

- Jezu - odezwał się Decker. - Jesteś cały?

- Chyba tak. - Esperanza odgarnął z umazanej krwią twarzy kolejne kawałki szkła. - Zaczynam odzyskiwać wzrok. Dzięki Bogu, nie pokaleczyło mi oczu.

- Idę za nim!

Decker chwycił pistolet i wyskoczył z samochodu na zimny, chłoszczący deszcz. Kątem oka dostrzegł światła samochodu zjeżdżającego z szosy i zatrzymującego się na miejscu, jak się wydawało, strasznego wypadku, ale zignorował go i przyjrzał się mrocznemu, zadrzewionemu zboczowi.

Światła cadillaca były skierowane w górę, jak gdyby samochód obrócił się, zjeżdżając w dół, i teraz opierał się na swojej tylnej części. Decker nie chciał czynić z siebie łatwego celu, schodząc ze zbocza na wprost auta i pokazując się w jego światłach. Zamiast tego pobiegł kawałek w prawo, zanurzył się w ciemności między smaganymi deszczem drzewami i ostrożnie zaczął schodzić po stromym, śliskim zboczu. Po mniej więcej dziesięciu metrach dotarł do podnóża pochyłości i skręcił w lewo, skradając się w stronę blasku celujących w górę reflektorów cadillaca. Pistolet trzymał w pogotowiu.

## 11

Trzasnęły gałęzie. Szum deszczu w gęstych koronach drzew zagłuszył ten dźwięk. Decker wyteżył słuch. Tam! Trzasnęła kolejna gałąź. W pobliżu samochodu.

Decker kucnął, starając się wtopić w zarośla. Między drzewami poruszył się jakiś cień. Pojawiła się sylwetka mężczyzny, częściowo podświetlona przez reflektory cadillaca. Mężczyzna pochylił się do przodu, trzymając się za brzuch, po czym się potknął. Z jękiem stracił równowagę i zatoczył się na prawo od Deckera, oddalając się od świateł samochodu i znikając w mrocznym lesie. Jednak wcześniej Decker zdołał zauważyć, że nie obejmował rękami brzucha, lecz walizkę.

Decker zaczął się skradać między drzewami. Choć nie miał dużo czasu, wiedział, że nie wolno mu się spieszyć. Nie mógł sobie pozwolić na popełnienie błędu. Nagle wytrąciły go z równowagi inne dźwięki: głosy rozlegające się za jego plecami, na szczycie zbocza.

Zaryzykował spojrzenie do tyłu i zobaczył krople deszczu lśniące w świetle kilku latarek, wymierzonych w cadillaca. Kiedy schodził na dół, na poboczu zatrzymał się jakiś samochód. Musiały do niego dołączyć kolejne auta. Decker miał tylko nadzieję, że nie było wśród nich radiowozu.

Coraz bardziej zagłębiając się w las, szedł trasą którą według niego obrał Giordano. Za nim kilka osób niezdarnie schodziło w dół zbocza, przebijając się przez krzaki, gnąc gałęzie i głośno rozmawiając. Zamieszanie, jakie wywoływali, nie pozwalało Deckerowi słyszeć hałasu czynionego przez Giordana. Musiał unikać światła z latarek, garbił się, krył w zaroślach, tropił.

Pomyślał o pieniądzach. Nie uda mu się dotrzeć do Beth, jeżeli ich nie znajdzie.

Postawił niepewny krok naprzód w ciemnościach i poczuł pod butem pustkę. Kolejne zbocze. Ratując się przed spadnięciem, ciągnięty w dół siłą pędu, chwycił się drzewa i na nim zawisł, po czym z trudem wdrapał się z powrotem na śliską skałę. Deszcz spływał mu strumieniami za kołnierz, a zimne ubranie przywierało do ciała. Głęboko oddychał, starając się uspokoić. Nie miał pojęcia, jak głęboko sięgał spadek, ale szczyt skarpy był niezwykle stromy. Jeżeli Giordano spadł, to zejście na dół i znalezienie go w ciemnościach mogło się okazać niemożliwe.

W pobliżu cadillaca światła latarek przeczesywały zadrzewiony teren. Ludzie rozproszą się i będą próbowali znaleźć kierowcę, pomyślał Decker. Jeżeli Giordano nie spadł ze zbocza i wciąż żyje,

będzie się starał jak najbardziej oddalić od tych świateł. Ale w którą stronę? Zmuszony do podjęcia arbitralnej decyzji, Decker skręcił w prawo.

Gdyby nie sięgająca piersi gałąź, pod którą musiał się schylić, kamień trzymany przez Giordana trafiłby go w głowę, a nie w zgięte plecy. Ból był równie wielki, jak zaskoczenie. Ogłuszony Decker upadł na ziemię, upuszczając pistolet. W ciemności Giordano wściekle zaatakował. Decker przetoczył się, czując gwałtowny ruch powietrza, kiedy Giordano ponownie usiłował trafić go kamieniem. Jednak spudłował i z przytłumionym tąpnięciem uderzył w mokrą ziemię. Decker kopnął go w nogi i Giordano upadł na niego całym ciężarem, niemal zupełnie pozbawiając go tchu. Wijąc się na ziemi, Decker poczuł obok siebie krawędź stromego zbocza. Kiedy Giordano uniósł kamień, Decker chwycił go za nadgarstek, blokując uderzenie. Jednocześnie poczuł, jak usuwa się spod niego grunt. Nagle obaj znaleźli się w powietrzu, spadając w ciemność, uderzając w sterczącą z ziemi skałę, przetaczając się i ponownie spadając. Zatrzymali się z szokującą gwałtownością.

Pomimo utraty tchu, Decker nie mógł sobie pozwolić na wahanie. Uderzył Giordana, który leżał tuż obok, ale w ciemności niegroźnie trafił w ramię. Giordano nadal ścisnął w dłoni kamień i chociaż mrok ograniczał jego celność, udało mu się trafić przeciwnika w żebra i go przewrócić. Kolejny przyływ bólu rozwścieczył Deckera. Zerwał się na nogi i zadał cios krawędzią dłoni, ale Giordano zatoczył się do tyłu, unikając uderzenia i zamachnął się kamieniem.

Decker poczuł ruch powietrza, kiedy kamień o włos minął jego twarz. Chcąc zbliżyć się do przeciwnika, aby zablokować następny cios, skoczył przez ciemność, pchnął Giordana, a kiedy razem w coś uderzyli, usłyszał, jak ten gwałtownie wciąga powietrze. Giordano zeszywniał z wyciągniętymi przed siebie rękami. Zadrzał. Jego oddech brzmiał niczym powietrze uciekające z dziurawej dętki. Potem jego ręce opadły, ciało znieruchomiało i zapadła cisza, w której słychać było jedynie szum deszczu.

Decker nie rozumiał, co się stało. Z trudem łapiąc powietrze, przygotowywał się do dalszej walki. Stopniowo dotarło do niego, że Giordano nie żyje.

Jednak w jakiś sposób cały czas stał.

- Mówiłem wam, że coś słyszałem! - krzyknął jakiś mężczyzna.

Między przesłoniętymi nawałnicą drzewami prześwitywały światła latarek. W pobliżu krawędzi zbocza, z którego spadł Decker, rozległy się kroki.

Nie mogę pozwolić, aby go zobaczyli, pomyślał Decker. Pospieszył w miejsce, gdzie Giordano tkwił w niepokojąco pionowej pozycji. Pociągnął go, poczuł opór i z odrazą zdał sobie sprawę, że Giordano nadział się na poszarpany, ułamany konar.

Głosy i kroki rozległy się bliżej. Muszę go schować, pomyślał Decker. Opuścił ciało Giordana na ziemię i już miał je wciągnąć między skąpane w mroku drzewa, kiedy nagle sparaliżował go snop światła z latarki, który oświetlił go ze szczytu skarpy.

- Hej! - krzyknął jakiś mężczyzna.

- Znalazłem go! - zawołał Decker. - Wydawało mi się, że słyszę jakiś hałas tu na dole! Udało mi się zejść! Znalazłem go!

- Jasna...! - krzyknął inny mężczyzna, kierując na Deckera światło latarki. - Spójrzcie, ile krwi!- Wyczułeś puls? Żyje? - zawołała kolejna osoba.

- Nie wiem! - odkrzyknął Decker. Blask latarek raził go w oczy.  
- Chyba słyszałem, jak spadł! Uderzenie musiało go zabić!

- Ale jest szansa, że jeszcze żyje! Musimy wezwać karetkę!

- Może mieć skręcony kark! Nie powinniśmy go ruszać! -  
Deszcz spływał Deckerowi po twarzy. - Czy jest tam na górze jakiś lekarz?

- Potrzebujemy karetki!

Przyświecając sobie latarkami, kilku mężczyzn schodziło wśród drzew w dół błotnistego zbocza.

- Dlaczego tędy poszedł? - Pierwszy z mężczyzn dotarł na dół. -  
Czy nie widział szosy?

- Pewnie uderzył się w głowę w samochodzie! - odparł Decker. -  
Musiał majaczyć!

- Jezu, spójrzcie na niego! - Jeden z mężczyzn się odwrócił.

- Musiał w coś uderzyć, kiedy spadł!

- A co z kobietą, która z nim była? - spytał Decker.

- Kobieta?

- Słyszałem jej głos! - rzekł Decker. - Wydawało się, że jest ranna! Gdzie ona jest?

- Słuchajcie wszyscy! - krzyknął jeden z mężczyzn. - Szukajcie dalej! Jest tutaj ktoś jeszcze! Kobieta!

Grupa się rozdzieliła, przyświecając sobie latarkami i ruszając na poszukiwania.

Korzystając z zamieszania, Decker wycofał się w ciemność. Wspiął się na zbocze, ślizgając się w błocie, przytrzymując wystających korzeni i opierając buty na skalnych wystęпах. W każdej chwili ci mężczyźni mogą zacząć się zastanawiać, co się z nim stało. Musiał się oddalić, zanim zaczną podejrzewać, że nie należał do zespołu poszukiwawczego. Ale nie mógł odejść bez walizki Giordana. Frank nie miał jej przy sobie, kiedy spadł. Gdzie ona może być? Jeżeli poszukiwacze znajdą pieniądze, to nie uda mu się uratować Beth.

Z mocno bijącym sercem, dotarł na szczyt zbocza i zauważył kolejne światła latarek w pobliżu rozbitego cadillaca.

Chwilowo zasłaniały go zarośla, ale poszukiwacze wkrótce mogą znaleźć się i tutaj. Ciężko dysząc, przykucnął i spróbował wszystko sobie poukładać. Gdzie Giordano go zaatakował? Po prawej czy po lewej stronie? Obrócił się i popatrzył w dół na ledwie widoczne w ciemności ciało Giordana. W myślach powtórzył sobie ich walkę u podnóża skarpy. Oszacował, w którym miejscu wylądowali. Aby tam dotrzeć, musieli spaść gdzieś po lewej stronie. Giordano musiał zaatakować z...

Decker zaczął na kolanach przeszukiwać zarośla. Światła latarek coraz bardziej się zbliżały. Nie, pomyślał. Jeszcze nigdy nie czuł tak potężnego przypływu adrenaliny, a jego puls jeszcze nigdy nie był tak

gwałtowny. Czuł coraz większy ucisk za uszami. Walizka. Musiał ją znaleźć. Potrzebował jej. Bez walizki nie uratuje Beth.

Już prawie ją minął, kiedy uzmysłowił sobie, czego dotknął. Obawiając się, że serce pęknie mu z radości, chwycił walizkę. Jednocześnie stopą natrafił na coś leżącego tuż za nim, blisko krawędzi zbocza. Jego pistolet. Upuścił broń, kiedy Giordano uderzył go kamieniem. Wpychając pistolet pod marynarkę, pozwolił sobie uwierzyć, że wszystko może się jednak ułożyć. Wciąż miał szansę ocalić Beth.

Jednak nic z tego nie będzie, jeżeli światła latarek jeszcze bardziej się przybliżą. A jeśli jedna z nich należy do policjanta? Umazany błotem Decker wczołgał się głębiej w zarośla, starając się robić jak najmniej hałasu. Dotarł do miejsca, w którym, jak sądził, po raz pierwszy zszedł między drzewa. Oglądając się za siebie, poczekał, aż światła latarek zwrócą się w przeciwnym kierunku. Kiedy tylko otrzymał taką szansę, szybko wspiął się po zboczu i zatrzymał się na krawędzi drogi międzystanowej. Samochody mijały go w deszczu przy wtórze szumu opon i w blasku świateł. Kilka aut zatrzymało się na poboczu. Większość z nich stała pusta, a osoby, które nimi przyjechały, prawdopodobnie weszły między drzewa, aby pomóc w poszukiwaniu ocalałych ofiar wypadku. Decker z niepokojem stwierdził, że jeden z samochodów to policyjny radiowóz, jednak on także był pusty, choć zapewne nie na długo. Radiowóz stał obok oldsmobila. Esperanza siedział w samochodzie, pochylony nad kierownicą. Nawet z tej odległości było oczywiste, że ma

zakrwawioną twarz. Nie mogę już dłużej czekać, pomyślał Decker. Szybko wyszedł spomiędzy drzew, starając się ciałem zasłaniać walizkę przed wzrokiem każdego, kto mógłby na niego patrzeć od strony zarośli, i pospiesznie pomaszerował wzdłuż krawędzi szosy.

Esperanza wyprostował się, kiedy Decker dotarł do oldsmobila.

- Widzisz na tyle dobrze, aby prowadzić?

- Tak.

- Jedź.

Esperanza przekręcił kluczyk w stacyjce, wrzucił bieg i szybko włączył się do ruchu.

- Wyglądasz okropnie.

- Nie miałem odpowiedniego stroju.

Decker obejrzał się, aby sprawdzić, czy nikt ich nie śledzi. Wyglądało na to, że nie.

- Nie byłem pewien, kiedy i czy w ogóle wrócisz - rzekł Esperanza.

- A ja nie byłem pewien, czy zostaniesz w samochodzie. Dobrze zrobiłeś.

- Mógłbym być specem od samochodowych ucieczek. Szczerze mówiąc, kiedyś całkiem nieźle mi to wychodziło.

Decker zmierzył go wzrokiem.

- Kiedy miałem szesnaście lat - dodał Esperanza. - Masz walizkę?

- Tak.

- Co z Frankiem Giordanem? Decker nie odpowiedział.

- A więc Beth Dwyer ma o jeden kłopot mniej.
- To była samoobrona - odparł Decker.
- Nie twierdzą nic przeciwnego.
- Musiałem zdobyć walizkę.
- Milion dolarów. Z takimi pieniędzmi niektórzy nie myśleliby o ratowaniu kogokolwiek.
- Bez Beth nie uratowałbym nawet samego siebie.

## **Rozdział dziesiąty**

### **1**

- Jezu, Decker, to szaleństwo. Jeśli nie będziesz ostrożny, to się zabijesz - wymamrotał zdenerwowany Esperanza głosem cichszym od szeptu. - Albo dasz McKittrickowi szansę, aby zrobił to za ciebie.

Spierali się o plan Deckera już od godziny, jednak Decker nie miał zamiaru z niego rezygnować:

- McKittrick spodziewa się takiego przebiegu wydarzeń i, Bóg mi świadkiem, właśnie tak to będzie wyglądało.

Poczuł, jak Esperanza pochyła się nad tylnym siedzeniem i wywleka go na deszcz. Otrzymał wyraźne instrukcje, aby nie postępował delikatnie, lecz traktował go tak, jak zawodowy zabójca traktowałby zwłoki kogoś, kogo właśnie zabił.

Esperanza na to przystał i teraz nie starał się w żaden sposób złagodzić uderzenia Deckera o ziemię. Ból przeszył jego ciało, lecz on nie dał tego po sobie poznać. Przelewał się bezwładnie, kiedy Esperanza ciągnął go przez kałuże. Chociaż Decker miał zamknięte oczy, wyobrażał sobie całą scenę: poobijany oldsmobil stoi obok

budki z napojami w punkcie widokowym. Tuż przed północą w czasie ulewy było mało prawdopodobne, aby ktokolwiek zatrzymał się tutaj i podziwiał widoki z Palisades. Przy dobrej pogodzie można było stąd zobaczyć światła łodzi na Hudson oraz rozległy blask Hastings i Yonkers po drugiej stronie rzeki, jednak przy złej pogodzie widać było tylko ciemność. Na wypadek, gdyby jakiś kierowca jednak przystanął w tym miejscu, by chwilę odpocząć, Esperanza zaparkował oldsmobila bokiem do wjazdu, zasłaniając przed wzrokiem osób jadących szosą scenę wleczenia na tyły budki z napojami czegoś, co wyglądało jak zwłoki.

Decker usłyszał stęknienie Esperanzy i poczuł chlupoczące uderzenie, kiedy został upuszczony w błotnistą kałużę. Pozwolił, aby jego ciało bezwładnie się przetoczyło i zatrzymało w kałuży, oparte na lewym boku. Zerkając spod przymkniętych powiek, zobaczył kubły na śmieci stojące w ciemności za budynkiem. Usłyszał, jak Esperanza biegnie przez kałużę z powrotem do samochodu, po czym szybko wraca. Zobaczył, jak opiera walizkę o tylną ścianę budynku. Potem zniknął mu z oczu. Po chwili Decker usłyszał odgłos zamykanych drzwi samochodu, ryk silnika i pisk opon, kiedy Esperanza odjechał. Do jego uszu docierał już tylko odległy szum samochodów na drodze między-stanowej oraz bębnienie deszczu o przezroczystą plastikową torbę zawiązaną wokół jego głowy.

- Giordano obiecał McKittrickowi pieniądze i moje zwłoki - przekonywał Decker, kiedy razem z Esperanza nerwowo jechali od miasteczka do miasteczka, martwiąc się traconym czasem i

desperacko szukając otwartego sklepu. Rozpoczęli poszukiwania o wpół do jedenastej. Szybko zrobiła się jedenasta, a następnie kwadrans po niej. - Musimy tam być o północy. - Dwukrotnie znajdowali otwarte sklepy, jednak nie dysponowały wszystkimi potrzebnymi materiałami.

W końcu o wpół do dwunastej mieli już wszystko, czego szukali. Esperanza zaparkował na pustej wiejskiej drodze i zrobił to, co było konieczne.

- Dlaczego nie mogę zostawić pieniędzy i liściku od Giordana, informującego, że nie zostaniesz zabity, dopóki McKittrick nie wywiąże się ze swojej obietnicy? - Esperanza związał Deckerowi nogi w kostkach sznurem do bielizny.

- Ponieważ nie chcę wzbudzać jego podejrzeń. Upewnij się, że dobrze widać supły. Za budką będzie ciemno. Chcę, aby było oczywiste, że zostałem związany.

- Ale wtedy, jeśli McKittrick nie będzie przekonany, że nie żyjesz, nie będziesz mógł się w żaden sposób bronić. - Związał Deckerowi ręce za plecami.

- Mam nadzieję, że to go przekona. Nie uwierzy, że świadomie uczyniłem się całkowicie bezbronnym.

- Czy ten węzeł boli?

- Nieważne, czy boli. Niech będzie solidny. Niech wygląda tak, jakby żywy człowiek nie mógł go spokojnie znosić. On musi uwierzyć, że nie żyję.

- Rzeczywiście możesz umrzeć, zanim on do ciebie dotrze. Ta plastikowa torba cholernie mnie przeraża.

- I o to chodzi. Przede wszystkim ma przerazić jego. Liczę, że to ostatecznie go przekona. Ubrudź mnie. Szybko.

Szukając czegoś, co będzie wyglądało jak krew, Decker skorzystał z mieszanki, której przepis otrzymał od pewnego patologa. Receptura imitacji krwi była nadzwyczaj prosta. Należało zmieszać bezbarwny syrop kukurydziany z czerwonym barwnikiem spożywczym.

- Postaraj się, żeby wyglądało tak, jakby bicie sprawiło im dużą przyjemność - nalegał Decker.

- Zmiażdżyli ci usta. Zgruchotali szczękę. - Esperanza nałożył mieszankę.

- Pospiesz się. Za piętnaście minut musimy być w umówionym miejscu.

Esperanza szybko zawiązał torbę wokół jego szyi, po czym wyszeptał hiszpańską modlitwę, kiedy Decker wciągnął powietrze i zmusił torebkę do obklejenia mu głowy, przywarcia do twarzy, wypchania nozdrzy i ust. Esperanza natychmiast zrobił malutki otwór w plastiku wypełniającym usta, po czym wsunął w niego kawałek słomki, który Decker chwycił zębami, dzięki czemu mógł oddychać bez zaburzania próżni sprawiającej, że torebka przylegała do twarzy.

- Mój Boże, Decker, czy to działa? Masz dostatecznie dużo powietrza?

Udało się lekko skinać głową.

- Ta torba tak ci się przylepiła do twarzy, że wyglądasz jak trup.

To dobrze, pomyślał Decker, leżąc w błotnistej kałuży, w ciemności, na tyłach budki z napojami, słuchając deszczu bębniącego w plastik. Jeżeli tylko będzie oddychał płytko, powoli i spokojnie, niewielka ilość powietrza, jaka przedostaje się przez słomkę, wystarczy mu do przetrwania. Jednak z każdym delikatnym wdechem panika próbowała w nim przewyciężyć determinację. Z każdym niezauważalnym wydechem jego serce chciało bić szybciej, domagając się więcej tlenu. Sznurek mocujący torebkę wokół szyi był tak ciasny, że wpijał się w skórę - Decker sam na to nalegał. Wszystko musiało wyglądać jak najbardziej przekonująco. Zresztą nie tylko wyglądać - zimny deszcz miał obniżyć temperaturę ciała, sprawiając, że jego skóra w dotyku będzie przypominała skórę trupa tracącego ciepło. Gdyby McKittrick choć na chwilę zwątpił, że Decker nie żyje, wpakowałby mu kulkę w głowę i rozwiął wszelkie wątpliwości.

Istniało niebezpieczeństwo, że i tak do niego strzeli, jednak Decker liczył na to, że groteskowy wygląd jego twarzy przekona go, iż kolejne akty przemocy są zbędne. Jeżeli poszuka pulsu na nadgarstkach Deckera, to go nie znajdzie, gdyż wrzynające się w ciało sznurki odcinały dopływ krwi. Mógłby poszukać pulsu na szyi, ale w tym celu musiałby odwiązać sznurek mocujący plastikową torbę, co wymagałoby czasu oraz przewyciężenia obrzydzenia. Pozostawało jeszcze przyciśnięcie dłoni do żeber ponad sercem, jednak wątpliwe, aby McKittrick to zrobił, ponieważ Decker wylądował na lewym

boku, więc trzeba by odwrócić ciało i dotknąć dłonią odrażającego błota, które oblepiało ubranie.

Ryzyko i tak było olbrzymie. „To szaleństwo”, jak powtarzał Esperanza. „Zabijesz się”. Jednak czy miał inne wyjście? Gdyby przekazanie pieniędzy nie odbyło się dokładnie według oczekiwań McKittricka, mógłby nabrać podejrzeń i nie wziąć walizki, obawiając się, że może się w niej znajdować bomba. A plan Deckera opierał się właśnie na pieniądzach i na schowanym między nimi nadajniku. Gdyby McKittrick nie zabrał walizki, Decker nie miałby możliwości śledzenia go do miejsca uwięzienia Beth. Niezależnie od tego, jak długo Decker o tym rozmyślał, nie widział innej możliwości. McKittrick musiał znaleźć jego zwłoki.

- Aż tak bardzo kochasz Beth? - zapytał go Esperanza, zanim zawiązał mu wokół głowy plastikową torbę. - Aby zaryzykować dla niej życie?

- Poszedłbym dla niej do piekła.

- Żeby dowiedzieć się prawdy o jej uczuciach względem ciebie?

- Popatrzył na niego dziwnym wzrokiem. - Tu nie chodzi o miłość, ale o dumę.

- Chodzi o nadzieję. Jeżeli nie mogę zaufać miłości, to nic nie ma znaczenia. Włóż mi słomkę w usta. Zawiąż torbę.

- Decker, jesteś najbardziej niezwykłym człowiekiem, jakiego spotkałem.

- Nie, jestem głupcem.

Leżąc w kałuży, płytko oddychając, walcząc z paniką i zmuszając się do jak największej dyscypliny, zmagał się z pokusą zwątpienia w swój plan. Kiedy płuca domagały się więcej powietrza, myślał, że być może rzeczywiście istnieje inny sposób. Czy to możliwe, że chciał jedynie pokazać Beth, do czego jest zdolny, aby przekonać ją o sile swojej miłości?

Desperacko starając się odegnąć te myśli, przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie, dwa miesiące wcześniej... Czy to naprawdę było tak niedawno? Wydawało się, że minęły wieki... w holu biura handlu nieruchomościami - pamiętał, jak odwróciła się w jego kierunku, jak zmienił się rytm bicia jego serca. Nigdy wcześniej w swoim życiu nie poczuł tak gwałtownego przyciągania. Ponownie ujrzał ją oczami wyobraźni, jej bujne kasztanowe włosy odbijające światło, jej opaloną skórę lśniącą zdrowiem, jej wysportowaną sylwetkę sprawiającą, że nie mógł wyrzucić z głowy zarysu jej piersi i bioder. Oczarował go jej zgrabny podbródek, wysokie kości policzkowe oraz czoło modelki. Wyobraził sobie, że do niej podchodzi, i nagle w myślach przeniósł się do wieczora, kiedy po raz pierwszy się kochali, a jej niebieskoszare oczy i zmysłowe usta znajdowały się tak blisko, że rozmazywały mu się przed oczami. Całował jej szyję, przeciągając językiem po skórze, smakując sól, słońce i coś pierwotnego. Wciągał w nozdrza zapach piżma. Kiedy w nią wszedł, wydało mu się, że przez całe dotychczasowe życie był tylko połową człowieka i dopiero teraz stał się całością nie tylko fizycznie, ale także emocjonalnie,

duchowo, przepełniony szczęściem, wreszcie obdarowany celem - aby zbudować z nią swoje życie, dzielić się i być jednością.

## 2

Jego zmysły pospiesznie powróciły do terażniejszości, gdy wśród odległego szumu samochodów i bębnienia deszczu usłyszał dźwięki dobiegające od strony znajdującej się za nim skarpy. Choć plastikowa torba tłumiła wszelkie odgłosy, niepokój wyostrzył zmysły Deckera. Usłyszał ciężkie dyszenie, kroki stóp ślizgających się na mokrych kamieniach, trzask pękających gałęzi.

Dobry Boże, pomyślał Decker. Czekałem na samochód zjeżdżający z drogi międzystanowej w stronę punktu widokowego, a tymczasem McKittrick przez cały czas był tutaj, kryjąc się na zboczu, poniżej barierki. Na pewno widział, jak Esperanza wlecze mnie za budynek, rzuca w kałużę, zostawia walizkę i odjeżdża. Gdyby Esperanza odezwał się do mnie choć jednym słowem, gdyby spróbował choć minimalnie złagodzić mój upadek, wtedy McKittrick od razu by się zorientował, że to pułapka. Zastrzeliliby nas obu.

Decker zadrżał, uzmysławiając sobie, jak blisko śmierci się znalazł. Drżał także pod wpływem zimnego deszczu, więc od razu zmusił się do powstrzymania tego odruchu. Nie śmiał się poruszyć. Musiał wyglądać jak martwy. W przeszłości, kiedy podejmował się niebezpiecznych zadań, polegał na medytacji, aby się uspokoić. Teraz ponownie tak uczynił. Głęboko się koncentrując, walczył o oczyszczenie umysłu z emocji, strachu, tęsknoty, lęku, potrzeb.

Jednak nie potrafił ujarzmić wyobraźni. Jej oczami widział McKittricka, jak spogląda ponad krawędzią skapanej w deszczu skarpy, wlepia wzrok w ciemność. Zapewne jest zdenerwowany, przemoczony, zziębnięty i z niecierpliwością czeka, aby zakończyć tę sprawę i uciec. Ma broń i jest gotowy strzelić z byle powodu. Być może ma także latarkę. Może zaryzykować ujawnienie swojego położenia, włączając ją i kierując światło na więzy wokół rąk i nóg Deckera. W takim wypadku na pewno oświetli również plastikową torbę zakrywającą głowę.

Odezwały się kroki na mokrym żwirze, co wskazywało, że McKittrick przeszedł przez barierkę. To jest ta chwila, zdał sobie sprawę Decker, kiedy McKittrick może strzelić, by upewnić się, że nie żyje. Od razu przestał oddychać, aby zapobiec nawet najlżejszym ruchom klatki piersiowej. Jego płuca natychmiast zażądały więcej powietrza. W piersiach czuł wzmagający się duszący ucisk. Pozbawione tlenu mięśnie coraz bardziej bolały.

Kroki zatrzymały się tuż obok niego. Decker był na to przygotowany, więc w żaden sposób nie zareagował, kiedy obuta stopa popchnęła jego ramię i przewróciła go na plecy. Przez zamknięte powieki docierał do niego przefiltrowany blask latarki, kiedy McKittrick oglądał mocowanie plastikowej torby opinającej twarz. Decker przesunął fragment słomki w stronę kącika ust i niezauważalnie wciągnął powietrze, dzięki czemu torba znalazła się głębiej w jego ustach. Zaczęło mu się kręcić w głowie. Rozpaczliwie łaknąc powietrza, skoncentrował się na wspomnieniu pocałunku z

Beth; skupił myśli tylko na niej. Czuł, że wiruje i zostaje przez nią połknięty.

McKittrick mruknął, być może z zadowolenia, po czym natychmiast zgasił latarkę. Czując, że jego płuca są na granicy pęknięcia, Decker usłyszał szybkie kroki na mokrej nawierzchni i założył, że McKittrick ruszył w stronę walizki. Jednak po chwili zaskoczyły go inne dźwięki: trzaski i zgrzyty wzbudzające w nim jeszcze większy niepokój. Co to za hałasy? Co McKittrick robi?

Nagle zrozumiał. McKittrick przekłada pieniądze do innego pojemnika, podejrzewając, że Giordano mógł umieścić w walizce nadajnik. Godna podziwu zapobiegliwość, jednak Decker to przewidział. Nadajnik nie był przytwierdzony do walizki. Za pomocą noża wydrążył jeden z plików banknotów, umieścił w środku nadajnik, po czym ponownie opasał pieniądze gumkami, aby nie odróżniały się od reszty.

Znów usłyszał mruknięcie McKittricka, lecz tym razem spowodowane wysiłkiem. Coś ze świstem przecięło powietrze i ze stukotem stoczyło się ze skarpy. Walizka, zrozumiał Decker. McKittrick ją wyrzucił. Nie chciał pozostawiać żadnych śladów, że to miejsce na tyłach budki z napojami zostało wykorzystane jako punkt przekazania pieniędzy. Jednak skoro zrzucił walizkę...

Jezu, to samo zrobi ze mną. Deckerowi z trudem udało się powstrzymać niedotleniony organizm przed okazaniem paniki, kiedy McKittrick chwycił go za ramiona, brutalnie powlekł do tyłu, po czym dźwignął i przerzucił przez barierkę. Nie! - wrzasnął Decker w

myślach. Po chwili poczuł się niezwykle lekki. Jego ciało w coś uderzyło. Sturlał się z tego czegoś i ponownie poczuł lekkość. Upadł na związane ręce. Nie będąc w stanie powstrzymać odruchu, jęknął z bólu. Czy McKittrick go usłyszał? Odwrócił się, przetoczył, znów w coś uderzył, wyobraził sobie, że za chwilę runie na spotkanie śmierci ze skarpy na Palisades aż do rzeki Hudson i nagle boleśnie się zatrzymał, uderzając o coś głową.

Ogłuszony, poczuł coś wilgotnego wewnątrz plastikowej torby. Krwawił! Gorąca lepka ciecz płynęła z rozcięcia na czole, powoli wypełniając torbę. Nie! Już nie dbał o to, czy McKittrick widzi, jak się porusza. Nie miał wyboru. Musiał złapać oddech. Zgodnie z planem McKittrick miał zabrać pieniądze, zostawić Deckera i pospiesznie odjechać. Wtedy Decker ponownie wsunąłby kawałek słomki w otwór w torbie i spokojnie oddychał aż do powrotu Esperanzy, którego zaalarmowałby ruch igły na odbiorniku oznaczający podjęcie pieniędzy. Jednak Decker nie wziął pod uwagę tego, że McKittrick może spróbować pozbyć się ciała. Nigdy nie zdecydowałby się na taki plan, gdyby zaświtała mu w głowie ta przerażająca myśl. Zaraz umrze. Zawiązany wokół szyi sznurek, który mocował plastikową torbę na twarzy, wpił się w skórę, sprawiając, że Decker zaczął się dusić.

Rozpaczliwie łaknąc powietrza, wysunął kawałek słomki z kącika ust i włożył go w otwór w torbie... a raczej próbował to zrobić, gdyż nie mógł znaleźć otworu. Nie kontrolując swojego ciała, gwałtownie wypuścił powietrze, nadmuchując torbę, po czym z

równie dużą siłą całkowicie odruchowo je wciągnął. Tym razem plastikowa torba wypełniła mu nozdrza i usta, niczym żywy organizm silnie przywierając do jego twarzy. Znajdujące się pod nią charakterystyczna i krew sprawiły, że plastik przykleił się do skóry. Esperanza nie znajdzie mnie na czas!

Rzucając się na deszczu, obrócił się w stronę tego czegoś, na czym wylądował, i przesunął twarzą po tym czymś, co go podtrzymywało, szukając jakiejś ostrej powierzchni, gałęzi, postrzępionej skały, czegokolwiek, o co mógłby zahaczyć torbę, aby ją rozerwać. Powierzchnia była mokra i śliska. Uderzył o coś głową - o kamień - ale zignorował ból, nie przestając się wić. Jednak czuł, że porusza się jak w zwolnionym tempie. Krew stale ściekała mu po twarzy, napełniając plastikową torbę. Miał wrażenie, że tonie. Rozpaczliwe ruchy równie dobrze mogły strącić go w przepaść. Co za różnica? I tak było po nim, jeżeli nie uda mu się...

Torba zaczepiła się o coś spiczastego. Tracąc przytomność, Decker słabo szarpnął głową w lewo, poczuł, że torba pęka i ostatkiem sił jeszcze bardziej skrzył głowę w tym kierunku. Rozdarcie się poszerzyło. Poczłł chłodny podmuch wiatru na czole i zimny deszcz na skroni. Jednak plastikowa torba wciąż przywierała do nosa i ust. Próbował oddychać przez malutką dziurkę wykonaną na wysokości ust, ale pod wpływem tych ruchów torba się skrzyła, zamykając otwór. Wydawało mu się, że zadławi się kawałkiem słomki trzymanym w ustach. Musiał zdjąć torbę z głowy! Czując, że coś w jego wnętrzu zaraz pęknie, jak gdyby tonął w głębokim czarnym dole,

po raz ostatni spróbował zahaczyć torbę o ostry obiekt, otarł sobie prawy policzek i całkowicie rozdarł plastik.

Kiedy wypluł kawałek słomki i odetchnął, wydało mu się, że w jego krtani zaświstał wiatr. Zimne powietrze, które wpadło mu do płuc, było niesamowicie słodkie. Klatka piersiowa unosiła się i opadała konwulsyjnie. Decker leżał na plecach, drżąc, łykając powietrze i próbując przyzwyczaić się do myśli, że żyje.

### 3

Żyję, ale jak długo to potrwa? - spytał sam siebie z lękiem. Esperanza może mnie nie znaleźć. Jeżeli dłużej poleżę na chłodnym deszczu, to grozi mi hipotermia. Umrę z zimna. Odwracając się twarzą ku ciemnemu niebu, smakował słodki deszcz, oddychając łapczywie, starając sienie niepokoić silnym dygotaniem swojego ciała oraz uciskiem, jaki to wywierało na związane ręce i nogi.

Jak długo tu jestem? Czy McKittrick odjechał? Czy usłyszał mój jęk, kiedy upadłem?

Czekał, bojąc się, że za chwilę ciemna postać zejdzie ku niemu w dół skarpy, McKittrick włączy latarkę, szeroko się uśmiechnie i wyceluje pistolet. Rzeczywiście, nagle Decker zobaczył blask latarki na szczycie zbocza. Snop światła przesunął się kolejno w stronę budki z napojami, barierki i ponownie budki. Kierując się wzbierającą w nim nadzieją Decker krzyknął, czy raczej spróbował krzyknąć:

- Esperanza. - Wymówił to słowo chrapliwie, jak gdyby miał w gardle żwir. Spróbował ponownie, mocniej. - Esperanza! - Tym razem promień światła zatrzymał się na barierce, a po chwili skierował w dół

zbocza i Decker zobaczył, że pochyłość, po której się stoczył, to kilka porośniętych krzewami i drzewami poziomów, prowadzących ku stromej przepaści ponad rzeką - Tutaj! - zawołał Decker. Snop światła z latarki przesunął się w jego kierunku wzdłuż skalnej półki. Niedostatecznie daleko. - Tutaj! - W końcu latarka go odnalazła. Ale czy trzymał ją Esperanza? Wiara, pomyślał Decker, muszę mieć wiarę.

- Decker?

Esperanza! Dziękując Bogu, poczuł, że jego serce zaczyna się uspokajać, kiedy znajoma wysoka, tyczkowata postać przeszła przez barierkę i zaczęła pospiesznie schodzić.

- Ostrożnie - zawołał Decker. Kowbojskie buty poślizgnęły się na skale.

- Jasna... - Esperanza odzyskał równowagę, zbiegł niżej i kucnął, oglądając twarz Deckera w świetle latarki. - Cały jesteś we krwi. Dobrze się czujesz?

- Nie mam innego wyjścia.

Zręcznie przeciął sznur krępujący Deckerowi ręce za plecami. Równie szybko przeciął więzy na nogach. Chociaż Deckera chwytaly skurcze, rozkoszował się możliwością ruchu.

- Nie ruszaj się, kiedy będę rozwiązywał te węzły - rzekł Esperanza. - Cholera, sznur zmókł na deszczu i napęczniał. Nie mogę złapać...

- Nie mamy czasu - przerwał mu Decker. - Musimy się dostać do samochodu. Odbiornik ma zasięg tylko półtora kilometra. Pomóż mi wstać.

Z dużym trudem, starając się nie stracić równowagi, Esperanza pomógł mu stanąć na nogi.

- Krażenie w moich dłoniach i stopach prawie ustało. Będziesz mnie musiał wciągnąć - powiedział Decker.

Stękając z wysiłku, zaczęli wspinać się po zboczu.

- Zaparkowałem jakieś sto metrów na północ, na poboczu drogi międzystanowej - odezwał się Esperanza. - Żadne światła nie skręcały w stronę punktu widokowego. Zaczynałem podejrzewać, że w ogóle się nie pojawi. Ale nagle igła na odbiorniku drgnęła: nadajnik był w ruchu. Cofnąłem się wzdłuż pobocza najszybciej, jak mogłem.

- McKittrick ukrywał się na zboczu. - Dysząc z wysiłku, Decker dotarł do barierki i przez nią przeszedł. - Pewnie uciekł między drzewami. Musiał zaparkować na południe stąd albo jeszcze dalej na północ niż ty. Szybciej.

Rozchlapując kałuże, Esperanza dotarł do mrocznego oldsmobila przed Deckerem. Chwycił odbiornik leżący na przednim siedzeniu.

- Wciąż odbieram sygnał - zawołał podekscytowany. - Igła pokazuje, że on jedzie na północ.

Decker opadł na przednie siedzenie, z trudem zatrzasnął drzwi i poczuł, jak przyspieszenie wgniata go w fotel, kiedy Esperanza wduślił pedał gazu. Oldsmobil wyrzucił spod kół żwir i ruszył w poprzek

mokrego parkingu, zarzucając tyłem i pędząc w stronę przecinanych deszczem świateł na drodze międzystanowej.

#### 4

- Sygnał jest słaby! - Decker wpatrywał się w podświetlany wskaźnik odbiornika. Mokre ubranie przyklejało mu się do ciała.

Esperanza jeszcze przyspieszył. Z trudem znajdując czas na włączenie wycieraczek, zauważył lukę między samochodami, z rykiem silnika wypadł na drogę międzystanową i zaczął wyprzedzać kolejne auta.

- Jezu, zaraz zamarznię. - Decker wcisnął przycisk ogrzewania. W niezdarnych, niemal pozbawionych czucia palcach trzymał nóż Esperanzy, przepiłowując węzeł mocujący sznur do lewego nadgarstka. Przyglądał się wskaźnikowi odbiornika. - Sygnał robi się silniejszy. - Igła się przesunęła. - Patrz! Zjechał z międzystanowej. Jest przed nami po lewej stronie!

Szybciej, niż się tego spodziewali w światłach oldsmobila ukazała się słabo widoczna w deszczu rampa zjazdowa i znak drogi numer 9.

- Ona biegnie równolegle do drogi międzystanowej - stwierdził Decker. - Igła wskazuje, że zawrócił! Jedzie na południe. - Decker prawie się skaleczył, kiedy przeciął nożem sznur na nadgarstku. Krew zaczęła krążyć w lewej dłoni. Rozmasował bolące zagłębienie, które sznur wyżłobił w nadgarstku.

- Chciałeś, żeby wyglądało autentycznie - rzekł Esperanza.

- Hej, nadal żyję. Nie narzekam.

Na końcu rampy zjazdowej Esperanza wykonał ostry skręt w lewo, przejeżdżając wiaduktem ponad drogą międzystanową po czym ponownie skręcił w tym kierunku, wjeżdżając na drogę numer 9, spiesząc na południe, zbliżając się do kolumny tylnych świateł.

- Sygnał jest coraz silniejszy! - rzekł Decker. - Zwolnij. Może jechać w którymś z tych samochodów przed nami. - Przeciął sznur wokół drugiego nadgarstka. Krew napływająca do dłoni przywracała palcom zręczność, dzięki czemu mógł mocniej i szybciej ciąć więzy wokół kostek.

Pomimo gorącego powietrza z samochodowego grzejnika, wciąż dygotał. Dręczyły go niespokojne myśli. A jeśli McKittrick już zabił Beth? Albo jeśli odgadł, że jest śledzony, odkrył nadajnik i go wyrzucił?

Nie! Nie mogłem przejść przez to wszystko na darmo! Beth musi żyć.

- Igła wskazuje, że on znów skręca. W prawo. Jedzie na zachód. Esperanza skinął głową.

- Przed nami jadą cztery samochody, widzę skręcające światła. Zwolnię, aby nie zobaczył, że go śledzimy.

Zniecierpliwienie dodawało Deckerowi sił. Otarł czoło i spojrzał na swoją rękę, zaniepokojony karmazynowym śladem na dłoni. To nie był syrop kukurydziany zmieszany z czerwonym barwnikiem spożywczym. Miedziany zapach wskazywał na prawdziwą krew.

- Nie wiem, na ile ci to pomoże, ale w schowku znalazłem czystą chustkę - rzekł Esperanza. - Postaraj się powstrzymać

krwawienie. - Skręcając w prawo z drogi numer 9 w ślad za McKittrickiem, mijając znak z napisem „Rockman Rosad”, Esperanza wyłączył światła. - Nie ma sensu zwracać na siebie uwagi. Ledwie widzę jego tylne światła w tym deszczu, więc on na pewno w ogóle nas nie widzi.

- Przecież jedziesz na ślepo.

- Tylko przez chwilę. - Esperanza skręcił w lewo w wąską uliczkę, zapalił światła, zawrócił i ponownie skręcił w lewo na Rockman Road, znów ruszając za McKittrickiem. - Jeżeli spogląda w lusterko, co ja na pewno bym robił na jego miejscu, to zobaczy światła skręcające z ulicy po lewej stronie, skąd nie wyjechałby nikt podążający za nim od drogi międzystanowej. Nie nabierze podejrzeń.

- Dobry w tym jesteś.

- Mam nadzieję. Jako dzieciak jeździłem z gangami. Wiele razy i śledziłem, i byłem śledzony.

- Co cię sprowadziło na dobrą drogę?

- Spotkałem policjanta, który przemówił mi do rozsądku.

- Musi być dumny z tego, kim zostałeś.- Umarł w zeszłym roku.

Zastrzelił go jakiś niepokorny pijaczyna.

Oślepijącemu błyskowi towarzyszył grzmot, który wstrząsnął samochodem.

- Mamy już grzmoty i błyskawice. Coraz gorsza nawałnica - stwierdził Decker.

- Cholera. - Nie wiadomo, czy Esperanza komentował burzę, czy swoje wspomnienia. - Widzę samochód - wskazał palcem, kiedy niebo rozświetliła kolejna błyskawica.

- Sygnał jest silny. Igła wskazuje na wprost - odparł Decker. - To musi być McKittrick.

- Czas zjechać z drogi. Nie chcę, aby zaczął coś podejrzewać.

Po minięciu tablicy miasteczka Closter Esperanza pozwolił McKittrickowi się oddalić, a sam skręcił w prawo, objechał najbliższe zabudowania i wrócił na Rockman Road. W tym czasie ulicą przejechało kilka samochodów, które wypełniły przestrzeń między oldsmobilem i autem McKittricka.

- Odbiornik wskazuje, że on wciąż jest przed nami. - Decker nadal dygotał z powodu zimnych, mokrych ubrań. Bolały go napięte mięśnie. Miejsca na plecach i klatce piersiowej, na których wylądował po upadku ze skarpy, były opuchnięte i pulsowały bólem. Jednak to nie miało znaczenia. Liczyła się tylko Beth. - Nie, czekaj. Igła się porusza. Skręca w prawo.

- Tak, widzę światła znikają z drogi - rzekł Esperanza. - Lepiej go nie niepokoić, więc na razie za nim nie pojedziemy, tylko miniemy skrzyżowanie i zobaczymy, dokąd zmierza. Może po prostu zaciera za sobą ślady.

Przejechawszy przez spokojne centrum miasteczka, dotarli do jeszcze spokojniejszego przedmieścia i w świetle błyskawic zobaczyli, dokąd skręcił McKittrick: do skromnego parterowego motelu. Czerwony neon głosił: Palisades Inn. Połączone ze sobą proste

segmenty - Decker ocenił, że jest ich około dwudziesta - rozciągały się ku mrocznym terenom z dala od ulicy. Kiedy oldsmobil mijał skrzyżowanie, Decker skulił się na siedzeniu, na wypadek gdyby McKittrick przyglądał się nielicznym jadącym za nim samochodom.

Oldsmobil minął motel i Decker powoli się wyprostował.

- Igła odbiornika wskazuje, że McKittrick już się nie przemieszcza.

- Jak chcesz to rozegrać?

- Zaparkuj gdzieś przy ulicy. Wrócimy i zobaczymy, co robi. Grzmot wstrząsnął samochodem, kiedy Decker brał do ręki pistolet odebrany jednemu ze strażników w posiadłości Giordana. Patrzył, jak Esperanza chowa do kieszeni walthera.

- Lepiej weźmy ze sobą odbiornik, na wypadek gdyby to był podstęp i on znów miał zamiar się oddalić.

- A potem? - spytał Esperanza.

- Cholernie dobre pytanie.

Decker wysiadł z samochodu, ponownie wystawiając się na uderzenie ulewy. Przez chwilę ze złością wspominał zimny deszcz padający tej nocy, kiedy szukając McKittricka wpadł w pułapkę na rzymskim podwórku. Potem obok niego stanął Esperanza. Woda kapiała z jego czapeczki baseballowej, a mokre długie włosy przykleiły się do szyi. W blasku świateł przejeżdżającego samochodu twarz Esperanzę wyglądała szczuplej niż zazwyczaj, a wyraźniej zarysowany nos i szczeka kojarzyły się Deckerowi z pyskiem drapieżnika.

## 5

Zamiast pokazywać się przed budynkiem, ostrożnie powędrowali alejką prowadzącą na tyły motelu. Decker zauważył, że segmenty zbudowano z pustaków i brakowało w nich tylnych wyjść. Jedyne okna wychodzące na alejkę były małe i wykonane z płytek z grubego nieprzejrystego szkła, które byłoby niezwykle trudno stłuc.

Okrążywszy tylną ścianę motelu, ukryli się za śmietnikiem i przyglądali frontom segmentów. Igła odbiornika nadal wskazywała, że nadajnik znajduje się w budynku. Chociaż przed ośmioma z dwudziestu segmentów stały samochody, tylko w czterech z nich za zaciągniętymi zasłonami paliło się światło. Dwa z tych pokoi znajdowały się obok siebie, w pobliżu śmietnika, za którym ukrył się Decker. Nie potrzebował odbiornika, aby wiedzieć, że sygnał pochodzi z któregoś z tych segmentów. Samochód stojący przed jednym z nich, niebieski pontiac, od czasu do czasu wydawał łykający dźwięk, w miarę jak stygł jego silnik. Deszcz padający na ciepłą maskę parował, zmieniając się w mgłę.

Szybciej, pomyślał Decker. Jeżeli Beth znajduje się w jednym z tych pokoi, McKittrick może ją zabić, kiedy tylko wróci z pieniędzmi. Albo jeśli sprawdzi pieniądze i znajdzie nadajnik, może wpaść w panikę i zabić Beth, zanim ucieknie.

- Zaczekaj tutaj - szepnął Decker do Esperanzy. - Zapewniam ci wsparcie.

Najciszej jak mógł ruszył przez kałuże i zatrzymał się obok delikatnie rozświetlonego okna w ostatnim segmencie. Błyskawica

przebiegała niebo i Decker poczuł się nagi w intensywnym świetle. Niski grzmot wstrząsnął jego ciałem. Potem noc ponownie go ukryła. Zauważył między zasłonami szparę, która pozwoliła mu zajrzeć do wnętrza pokoju - podwójne łóżko, tania komoda, telewizor przymocowany do ściany. Jeśli nie liczyć walizki na łóżku, pomieszczenie wyglądało na opuszczone. Na środku ściany po lewej stronie znajdowały się otwarte drzwi, zapewne prowadzące do sąsiedniego pokoju.

Decker zeszytywniał pod wpływem kolejnej błyskawicy i grzmotu, po czym przeniósł się pod drugie okno. Pomimo nawałnicy usłyszał głosy, choć nie był w stanie rozpoznać wypowiedzianych słów. Najpierw odezwał się mężczyzna, potem kobieta. Męski głos mógł należeć do McKittricka, a kobiecy do Beth. Trudno powiedzieć. Być może Decker usłyszał po prostu rozmowę w telewizji. Niespodziewanie odezwała się trzecia osoba, mężczyzna o silnie zniekształconym, głębokim i chrapliwym głosie. Decker przez chwilę czuł się zbity z tropu, dopóki nie zdał sobie sprawy, że skoro Beth jest tam przetrzymywana, to przecież ktoś musiał jej pilnować, kiedy McKittrick pojechał po pieniądze. Wyobraził sobie Beth przywiązaną do krzesła, ze zwisającym pod brodą poluzowanym kneblem. Wyobraził sobie, że knebel zostaje ponownie założony, a Beth szarpie się z wytrzeszczonymi oczami, kiedy McKittrick ją dusi.

Zrób coś! - rozkazał sam sobie. Sprawdziwszy numer na drzwiach pokoju, pospieszył z powrotem do Esperanzy i wyjaśnił mu, co zamierza zrobić. Potem, cały czas trzymając się cienia, wybiegł na

ulicę, gdzie wcześniej zauważył automat telefoniczny stojący na zamkniętej stacji benzynowej naprzeciwko motelu. Szybko wrzucił monety i wybrał numer.

- Informacja - odezwała się kobieta. - O jakie miasto chodzi?
- Closter w New Jersey. Potrzebuję numeru do zajazdu Palisades

Inn.

Po chwili w słuchawce zabrzmiał monotony, jakby komputerowy głos:

- Numer to...

Decker zapamiętał numer, odwiesił słuchawkę, wrzucił kolejne monety i wcisnął guziki.

Po trzecim dzwonku odezwał się zmęczony męski głos:

- Palisades Inn.

- Poproszę z pokojem numer dziewiętnaście. Recepcjonista nie odpowiedział. Zamiast tego Decker usłyszał trzask, potem dzwonek, a następnie kolejny dzwonek, kiedy go przełączano. Wyobraził sobie, jak McKittrick odwraca się w stronę telefonu z mieszanką zaskoczenia i niepewności na swojej masywnej twarzy. W końcu kto mógł do niego dzwonić? Kto mógł wiedzieć, że przebywa w tym motelu? Pewnie zastanawia się, czy odebrać.

Telefon wciąż dzwonił. Dziesięć razy. Jedenaście razy.

W końcu odezwał się recepcjonista.

- Proszę pana, tam nikt nie odbiera. Może nikogo nie ma.
- Proszę dalej próbować.
- Ale może oni chcą spać.

- To bardzo pilna sprawa.

Recepcjonista westchnął zrezygnowany. Decker znów usłyszał trzask. Telefon na drugim końcu linii zadzwonił raz, potem ponownie.

- Halo. - W głosie McKittricka słychać było wahanie. Odezwał się o połowę ciszej, jak gdyby mając nadzieję, że dzięki temu nie zostanie rozpoznany.- Jeśli zachowasz rozsądek, będziesz miał szansę, aby wyjść z tego cało.

W słuchawce zapadła cisza. Decker słyszał jedynie odgłos deszczu bębniącego o budkę telefoniczną.

- Decker? - McKittrick mówił takim głosem, jakby wątpił w swoje zdrowie psychiczne.

- Dawno ze sobą nie rozmawialiśmy, Brian.

- Ale to niemożliwe. Ty nie żyjesz. Jak...

- To nie o swojej śmierci chciałbym porozmawiać, Brian.

- Jezu.

- Modlitwa to dobry pomysł, ale ja mogę pomóc ci lepiej niż Jezus.

- Gdzie jesteś?

- Daj spokój, Brian. To ja tworzyłem zasady naszego rzemiosła. Nie mam w zwyczaju ujawniać informacji. Zaraz mnie zapytasz, jak dowiedziałem się, gdzie jesteś, i ilu mam ze sobą ludzi. Ale powinieneś myśleć tylko o tym, że masz pieniądze, a ja chcę Beth Dwyer.

Na drugim końcu linii znów zapadła cisza.

- Jeżeli ona nie żyje, Brian, to nie masz żadnej karty przetargowej.

- Nie. - Brian z napięciem przełknął ślinę. - Ona żyje. Decker poczuł, jak opanowuje go uczucie ulgi.

- Pozwól mi z nią porozmawiać.

- To bardzo skomplikowane, Decker.

- Tak było, ale dziś wszystko stało się prostsze. Nick i Frank Giordano nie żyją.

- Jak do diabła...

- Zaufaj mi, Brian. Oni już wypadli z gry. Nikt nie ściga Beth Dwyer. Możesz zatrzymać pieniądze i ją wypuścić. To, w jaki sposób zdobyłeś forszę, pozostanie naszą tajemnicą.

McKittrick się wahał, nerwowo sapiąc w słuchawkę.

- Dlaczego miałbym ci wierzyć?

- Zastanów się, Brian. Gdyby panowie Giordano wciąż żyli, to nie rozmawiałbym teraz z tobą. W umówionym miejscu rzeczywiście leżałyby moje zwłoki.

McKittrick zaczął oddychać jeszcze głośniej.

- A zamiast mojego telefonu miałbyś na głowie ludzi wchodzących razem z drzwiami do twojego pokoju w motelu - rzekł Decker.

Rozległ się dźwięk wskazujący na to, że McKittrick zakrył dłonią słuchawkę. Decker usłyszał stłumione głosy. Czekał, dygocząc z powodu mokrego ubrania i przejmującego strachu, że ten drań zrobi coś Beth.

Na drugim końcu linii coś otarło się o słuchawkę, po czym ponownie odezwał się McKittrick.

- Potrzebuję dowodów.

- Grasz na zwłokę, Brian. Chcesz spróbować uciec podczas rozmowy ze mną. Nie jestem sam. Kiedy tylko pojawisz się w drzwiach, zacznie się strzelanina, a jeżeli skrzywdzisz Beth, to dowiesz się z pierwszej ręki, że nie sposób wydać miliona dolarów w piekle. Gwarantuję ci to.

Cisza. Kolejna przytłumiona wymiana zdań. Kiedy McKittrick znów się odezwał, w jego głosie słychać było napięcie.

- Skąd mogę mieć pewność, że mnie puścisz, jeśli dam ci Dianę Scolari?

- Beth Dwyer - odparł Decker. - Być może to dla ciebie nowa koncepcja, Brian. Uczciwość. Nigdy nie łamię danego słowa. Kiedy pracowałem dla Langleya, właśnie tak udawało mi się zawierać umowy. Ludzie wiedzieli, że mogą na mnie liczyć. A to jest najważniejsza umowa, jaką kiedykolwiek pragnąłem zawrzeć.

Ze swojego punktu obserwacyjnego w budce telefonicznej Decker widział drugą stronę ulicy i kolejne segmenty motelu, ciągnące się w stronę pojemnika na śmieci. Widział Esperanę ukrytego za tym pojemnikiem, obserwującego dwa wybrane segmenty. Zobaczył, że w obu oknach zgasło światło.

- Dlaczego zgasił światła, Brian?

- Jezu, jesteś tak blisko?

- Nie próbuj niczego głupiego. Masz zamiar użyć Beth jako tarczy, zakładając, że nie zaryzykuję strzału. Zastanów się. Nawet gdybym pozwolił ci z nią uciec, to czy jesteś gotowy, aby używać jej w charakterze tarczy przez resztę życia? Ta plastikowa torba wokół mojej głowy, którą widziałeś w punkcie przekazania pieniędzy, to chyba wystarczający dowód na to, że dla niej podejmę każde ryzyko. Nigdy nie przestałbym cię ścigać.

Żadnej odpowiedzi.

- Skup się na milionie dolarów, Brian. Nikt nie udowodni, skąd go masz. Nikt nie będzie chciał tych pieniędzy z powrotem. Będziesz mógł je wydać na co tylko zechcesz, kiedy już stąd odjedziesz.

- Zakładając, że pozwolisz mi odjechać.

- Zakładając, że wypuścisz Beth. Ta rozmowa nie ma sensu, jeżeli nie udowodnisz mi, że ona żyje. Daj mi z nią porozmawiać.

Decker słuchał tak intensywnie, że nie docierały do niego odgłosy ulewy. Jednak po chwili usłyszał huk pioruna, wstrząsający szybami budki telefonicznej, a także jeszcze głośniejszy huk własnego bijącego serca.

W słuchawce rozległ się odgłos wskazujący na to, że telefon jest gdzieś niesiony.

- Steve?

Pod Deckerem ugięły się kolana. Pomimo całej determinacji teraz zdał sobie sprawę, że nie do końca wierzył, iż kiedykolwiek jeszcze usłyszy głos Beth.

- Dzięki Bogu - wyszeptał.

- Nie mogę uwierzyć, że to ty. Jak...

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Jak się czujesz?

- Śmiertelnie przerażona. Ale nie zrobili mi krzywdy. Głos był cichy i słaby, drżący ze zdenerwowania, jednak Decker nie mógł go nie rozpoznać. Przypomniawszy sobie, jak Beth odezwała się do niego po raz pierwszy, a jej głos skojarzył mu się z dzwoneczkami wietrznymi i szampanem.

- Kocham cię - powiedział Decker. - Wydostanę cię stamtąd. Ile jest z tobą osób?

Nagle w słuchawce rozległo się stuknięcie i odezwał się McKittrick.

- Teraz już wiesz, że ona żyje. W jaki sposób ja mam się stąd wydostać żywy?

- Zapal światła. Rozsuń zasłony.

- Co takiego?

- Postaw Beth w oknie, aby była dobrze widoczna. Wyjdź z pieniędzmi. Wsiądź do samochodu. Przez cały czas celuj w nią z pistoletu. Dzięki temu będziesz miał pewność, że niczego nie zrobię.

- Dopóki nie znajdę się na ulicy, skąd nie będę już jej widział i nie będę mógł strzelić. Wtedy spróbujesz mnie zabić.

- Musisz mi uwierzyć - odparł Decker.

- Gówno prawda.

- Ponieważ ja ci wierzę i udowodnię, jak silna jest to wiara. Będziesz mógł być pewny swojego bezpieczeństwa, kiedy zostawisz Beth w pokoju, bo ja będę z tobą w samochodzie. Sam zostanę twoim

zakładnikiem. Kiedy już się upewnisz, że nikt cię nie śledzi, wypuścisz mnie na drodze i będziemy kwita.

Znów cisza. Grzmot.

- Chyba żartujesz - odezwał się McKittrick.

- Nigdy nie byłem bardziej poważny.

- Skąd wiesz, że cię nie zabiję?

- Nie wiem - odparł Decker. - Ale jeśli to zrobisz, to moi przyjaciele cię wytropią. Założę się, że chcesz, aby to się skończyło tu i teraz. Mówię poważnie, Brian. Daj mi Beth. Zatrzymaj pieniądze. Nigdy więcej mnie nie spotkasz.

Przez chwilę milczał. Decker wyobraził sobie, jak analizuje sytuację.

Przytłumionym głosem McKittrick odezwał się do kogoś w pokoju.

- Dobrze - rzekł do Deckera. - Daj nam pięć minut. Potem wyjdziemy. Masz czekać z podniesionymi rękami przy moim samochodzie.

- Umowa stoi, Brian. Jednak na wypadek, gdyby kuśiło cię jej zerwanie, pamiętaj: ktoś jeszcze będzie miał cię na muszce.

**6**

Z ustami spieczonymi ze strachu odwiesił słuchawkę i wyszedł na deszcz. Zrobiło mu się jeszcze zimniej, kiedy, kryjąc się w cieniu, pospiesznie przeszedł na drugą stronę ulicy na mroczny parking przed motelem. Na tyłach budynku schował się za pojemnikiem na śmieci i

stłumionym przez deszcz szeptem objaśnił Esperanzie szczegóły zawartej umowy.

- Podejmujesz cholerne ryzyko - rzekł Esperanza.

- To nic nowego.

- Masz *cojones*, człowieku.

- On mnie nie zabije. Nie chce uciekać przez resztę życia.

- Przed twoimi wymyślonymi przyjaciółmi.

- Cóż, pomyślałem sobie, że może ty byś go ścigał, gdyby mnie zabił.

- Tak. - Esperanza się nad tym zastanowił. - Tak, zrobiłbym to.

Za zaciągniętymi zasłonami w segmencie numer 19 rozbliło światło.

- Nie może znaleźć przy mnie broni. Weź mój pistolet - rzekł Decker. - Nie wahaj się go zastrzelić, jeśli coś pójdzie nie tak.

- Zrobię to z przyjemnością.

- Kiedy ci każe, weź tę pustą butelkę, która leży pod twoimi nogami, i rzuć ją w stronę przedniej ściany motelu. Rzuć ją wysoko, aby nie zorientował się, gdzie jesteś.

Starając się nie ujawnić miejsca ukrycia Esperanzy, Decker wczuł się z powrotem w ciemność i wyłonił z cienia w innej części parkingu. Trzymając podniesione ręce, pomaszerował przez kałuże w stronę pontiaca zaparkowanego przed segmentem numer 19.

Zasłony się rozsunęły, niczym kurtyna w teatrze. Deckera zgubił rytm, kiedy zobaczył, co się za nimi kryje. Beth była przywiązana do krzesła, a w jej ustach tkwił knebel. Jej niebieskoszare oczy zdradzały

dzikie przerażenie. Miała rozczochrane włosy. Owalna twarz była ściągnięta, a wysokie kości policzkowe napierały na pobladłą ze strachu skórę. Jednak nagle zobaczyła go przez okno i Decker wzruszył się, widząc, że lęk ustępuje miejsca miłości i zaufaniu. Wyraźnie dostrzegł w oczach Beth ulgę oraz wiarę w jego możliwości. Ufała, że jest bohaterem, o którym śniła w dzieciństwie, jej księciem, który ją ocali.

Po lewej stronie jakaś postać ukryta za kolumną z pustaków, wznoszącą się między oknem i drzwiami, wyciągnęła rękę ku skroni Beth. Trzymała w niej odbezpieczony rewolwer.

Czując wzrastające napięcie, Decker usłyszał hałas przy drzwiach, odgłos otwieranego zamka i przekręcanej gałki. Światło wydostało się przez wąską szczelinę.

- Decker? - McKittrick się nie pokazywał. - Jestem przy twoim samochodzie, tak jak obiecałem.

Drzwi otwarły się na oścież. Pojawiła się w nich podświetlona sylwetka McKittricka; masywne ramiona i ciało niczym u trzydziestoletniego futbolisty. Miał trochę potężniejszą klatkę piersiową niż podczas ich ostatniego spotkania. Blond włosy były jeszcze krócej przystrzyżone, co podkreślało ostre, kwadratowe rysy twarzy. Jego oczy przypominały Deckerowi ślepia świni.

Mierząc z pistolem, McKittrick się uśmiechnął. Przez pełną niepokoju chwilę Decker obawiał się, że strzeli. Jednak McKittrick wyszedł przez otwarte drzwi, chwycił Deckera i rzucił go na jeszcze ciepłą maskę pontiaca.

- Lepiej, żebyś nie był uzbrojony, stary druhu. - Zaczął go brutalnie obszukiwać, cały czas przyciskając mu do karku lufę pistoletu.

- Nie mam broni - odrzekł Decker. - Zawarłem z tobą umowę. Dotrzymam jej.

Z policzkiem przyciśniętym do mokrej maski pontiaca, patrzył w bok na podświetlone okno i rewolwer wymierzony w Beth. Raz za razem mrugał, aby lepiej widzieć w zimnym deszczu zalewającym mu twarz.

Przerażona Beth rzucała się na krzesło.

McKittrick przerwał przeszukanie i się cofnął.

- No proszę, naprawdę to zrobiłeś. Oddałeś się w moje ręce. Jesteś aż tak pewny siebie. Dlaczego uważasz, że nie strzelę ci w łeb?

- Powiedziałem ci, że mam wsparcie.

- Tak, jasne. Niby czyje? FBI? To nie w ich stylu. Langley? To nie jest sprawa bezpieczeństwa narodowego. Czemu miałyby ich to obchodzić?- Mam przyjaciół.

- Hej, obserwowałem cię, pamiętasz? W Santa Fe nie masz żadnych przyjaciół, którym mógłbyś zaufać.

- To przyjaciele z dawnych lat.

- Akurat.

- Naróbcie hałasu - zawołał Decker do Esperanzy ukrytego w ciemności.

McKittrick wzdrygnął się, kiedy pusta butelka spadła na chodnik blisko wejścia do motelu. Szkło się roztrzaskało. Skrzywił się, cały czas celując w Deckera.

- Równie dobrze to może być jakiś włóczęga, któremu zapłaciłeś za rzucenie butelką.

- Problem w tym, że nie możesz mieć pewności - odparł Decker.

- Po co ryzykować?

- Będę cholernie zadowolony, kiedy wreszcie pozbędę się ciebie ze swojego życia.

Przez chwilę spanikowany Decker obawiał się, że McKittrick pociągnie za spust. Ten jednak zawołał w stronę otwartych drzwi:

- Jedziemy!

Pojawiła się jakaś postać - średniego wzrostu, ubrana w za duży czarny płaszcz przeciwdeszczowy i gumowy przeciwdeszczowy kapelusz, którego szerokie rondo zasłaniało twarz. Ktokolwiek to był, w lewej dłoni trzymał walizkę, a w prawej rewolwer, wciąż wycelowany w widoczną w oknie Beth.

McKittrick otworzył tylne drzwi pontiaca, aby człowiek w płaszczu przeciwdeszczowym mógł wrzucić do środka walizkę. Dopiero kiedy znalazł się na tylnym siedzeniu, McKittrick otworzył drzwi od strony kierowcy i kazał Deckerowi prześlizgnąć się na fotel pasażera. Mężczyzna zajął miejsce za plecami Deckera i wycelował pistolet w jego głowę, podczas gdy McKittrick usiadł za kierownicą, cały czas trzymając na muszce Beth.

- Zgrabnie - zaśmiał się McKittrick. - Nie ma dyskusji, nie ma kłopotów. A teraz, stary druhu, dostaniesz to, czego chciałeś. - Ton jego głosu stał się poważny. - Zabierzemy cię na przejażdżkę.

McKittrick uruchomił silnik pontiaca, włączył światła i wrzucił wsteczny bieg. Reflektory oświetliły Beth. Przez strumienie deszczu zniekształcające obraz za przednią szybą Decker widział, jak zмага się ze sznurami i odwraca głowę, aby osłonić oczy przed ostrym światłem. Kiedy pontiac zaczął się cofać, wydawało się, że Beth robi się coraz mniejsza. McKittrick wrzucił bieg, zakręcił kierownicą odjechał spod motelu. Wdzięczny losowi, że Beth jest bezpieczna, a jednocześnie czując osamotnienie i pustkę, Decker odwrócił się i po raz ostatni zobaczył, jak jego ukochana walczy z więzami mocującymi ją do krzesła. Patrzyła w jego stronę z przejmującym smutkiem, bojąc się o jego bezpieczeństwo.

- Kto by pomyślał? - McKittrick wyjechał na mroczną ulicę przed motelem i skręcił w prawo. - Romantyk.

Decker nic nie odpowiedział.

- Naprawdę musiała ci zawrócić w głowie. Decker wciąż milczał.

- Hej. - McKittrick oderwał wzrok od drogi i wycelował Deckerowi w twarz. - To jest rozmowa.

- Tak - odpowiedział Decker. - Zawróciła mi w głowie. McKittrick wymamrotał coś z pogardą po czym obejrzał się na drogę. Uważnie wpatrywał się w lusterko.

- Nie widzę żadnych świateł. Nikt za nami nie jedzie.

- Czy podczas naszego pierwszego spotkania ona wiedziała, kim jestem? - spytał Decker.

- Co?

- Czy jedynie wykorzystywała mnie jako dodatkową ochronę?

- Niezły z ciebie numer. Całe to gadanie o profesjonalizmie i kontroli, a rujnujesz sobie życie przez kobietę.

- Ja inaczej na to patrzę.

- Niby jak, do cholery?

- Wcale nie zrujnowałem sobie życia - odparł Decker. - Odnalazłem je.

- Nie na długo. Chcesz porozmawiać o rujnowaniu życia? - warknął McKittrick. - Zrujnowałeś moje. Gdyby nie ty, wciąż pracowałbym dla agencji. Awansowałbym. Ojciec byłby ze mnie dumny. Nie musiałbym brać tej gównianej roboty w policji federalnej i chronić gangsterów. - McKittrick podniósł głos. - Wciąż mógłbym być w Rzymie!

Mężczyzna na tylnym siedzeniu coś powiedział, jednak jego chrapliwa, gardłowa wypowiedź była zbyt zniekształcona, aby Decker mógł ją zrozumieć. Już raz słyszał ten zastanawiająco groteskowy głos - kiedy podsłuchiwał pod oknem pokoju McKittricka. Jednak było w nim coś niepokojąco znajomego, jak gdyby słyszał go jeszcze wcześniej. McKittrick najwyraźniej był do tego głosu przyzwyczajony i od razu zrozumiał, co powiedział mężczyzna.

- Nie, nie zamknę się! - odparł. - Niczego nie zdradzam! On wie równie dobrze jak ja, że nie mógł znieść mojego sukcesu! Nie

powinien był się mieszać! Gdyby pozwolił mi działać moimi metodami, to zostałbym bohaterem!

- Bohaterowie nie wchodzą w konszachty z takimi szumowinami jak Giordano.

- Hej, skoro dobrzy ludzie postanowili mnie wykopać, pomyślałem, że sprawdzę, jak mnie potraktują ci źli. Okazało się, że o wiele lepiej. Zaczynam podejrzewać, że różnice nie są tak wyraźne - zaśmiał się McKittrick. - A pieniądze z pewnością lepsze.

- A jednak zwróciłeś się przeciwko Giordanowi.

- W końcu zdałem sobie sprawę, że w tym wszystkim istnieje tylko jedna właściwa strona, moja własna. A ty znalazłeś się po niewłaściwej stronie. Czas za to zapłacić.

McKittrick podniósł rękę z jakimś przedmiotem. Przez chwilę Decker myślał, że to broń. Potem rozpoznał nadajnik.

- Nie jestem tak nieporadny, jak ci się wydaje. Po twoim telefonie zacząłem się zastanawiać, jak mnie znalazłeś. Na miejscu przekazania pieniędzy wyrzuciłem walizkę, na wypadek, gdyby znajdował się w niej podsłuch. Ale wtedy nie pomyślałem o samych pieniądzach. Więc sprawdziłem każdy plik banknotów i zgadnij, co znalazłem w zagłębieniu, które wyciąłeś. - Wcisnął przycisk opuszczający szybę obok kierowcy i z furią cisnął nadajnik do rowu, obok którego jechali. - I kto jest teraz sprytniejszy? Ktokolwiek z tobą jest, nie będzie mógł nas śledzić. Jesteś mój.

Skreślił w boczną drogę, zjechał na wysadzone drzewami pobocze, zatrzymał się i zgasił światła pontiaca. W ciemności deszcz

bębnił o dach. Gwałtownemu trzepotaniu wycieraczek zawtórowało bicie serca Deckera, gdy w świetle błyskawicy zobaczył, że McKittrick wycelowwał w niego pistolet.

- Dzięki milionowi dolarów mogę się całkiem długo ukrywać - rzekł McKittrick. - Ale nie będę się musiał wcale ukrywać, jeśli ty nie będziesz mnie ścigał. - Mocniej oparł palec na spuście.

- Mieliśmy umowę - odezwał się Decker.

- Owszem. I założę się, że zamierzałeś dotrzymać swojej części. Wsiadaj z samochodu.

Decker był coraz bardziej spięty.

- Wsiadaj z samochodu - powtórzył. - Dalej. Otwieraj drzwi.

Decker odsunął się od McKittricka, kładąc rękę na drzwiach po stronie pasażera. Wiedział, że kiedy tylko otworzy drzwi i wyjdzie na zewnątrz, zostanie zastrzelony. Rozpaczliwie starał się wymyślić jakiś sposób ucieczki. Mógł spróbować odwrócić uwagę McKittricka i chwycić pistolet, ale pozostawał mężczyzną siedzący na tylnym siedzeniu, który strzeliłby w odpowiedzi na jakikolwiek agresywny ruch Deckera. Mogę rzucić się do rowu, pomyślał. W ciemności i deszczu trudno jest celnie strzelać.

Napinając mięśnie, otworzył drzwi, modląc się i przygotowując do wyskoczenia na zewnątrz.

- Czy ona naprawdę cię kocha? - spytał McKittrick. - Czy zdawała sobie sprawę z tego, kim jesteś? Czy cię wykorzystywała?

- Tak, tego właśnie chcę się dowiedzieć - odrzekł Decker.

- Spytaj ją.

- Co?
- Wróć i ją spytaj.
- O czym ty mówisz?

Triumfalny ton ponownie zagościł w głosie McKittricka. W coś z nim pogrywał, lecz Decker nie był w stanie odgadnąć w co.-  
Dotrzymuję swojej części umowy. Jesteś wolny. Wracaj do Diany Scolari. Dowiedz się, czy jest warta ceny, którą byłeś gotów zapłacić.

- Beth Dwyer.
- Naprawdę cholerny z ciebie romantyk.

Kiedy tylko buty Deckera dotknęły zmoczonego deszczem pobocza, McKittrick wcisnął pedał gazu i pontiac ruszył z rykiem silnika, prawie przejeżdżając Deckerowi po stopie. Gdy drzwi samochodu zatrzęsły się pod wpływem przyspieszenia, McKittrick się roześmiał. Potem tylne światła auta gwałtownie się oddaliły. Decker został sam w ciemności i deszczu.

## **Rozdział jedenasty**

### **1**

Decker nie od razu zrozumiał, co się stało. Czuł się niczym we śnie. Dygocząc pod wpływem otepiającego szoku wywołanego tym, iż nie został zabity, nie wierzył, że McKittrick puścił go wolno. Niepokojący śmiech tego drania odbijał się echem w jego umyśle. Coś było nie tak.

Jednak nie miał czasu o tym rozmyślać. Był zbyt zaabsorbowany rozpaczliwym biegiem w kierunku przyćmionych świateł Closter. Pomimo wyczerpania z powodu zbyt małej ilości snu i jedzenia, a

także odbierającego siły bólu wywołanego licznymi urazami oraz zimna, Deckerowi wydawało się, że nigdy w życiu nie biegł szybciej i z większą determinacją. Czuł uderzenia nawałnicy, ale je ignorował, pędząc w ciemności. Wyciągał nogi do granic wytrzymałości. Jego klatka piersiowa falowała. Nic nie mogło go powstrzymać przed dotarciem do Beth. Niczym w gorączce zbliżał się do granic miasteczka. Kątem oka zauważył oldsmobila, zaparkowanego przez Esperanzę w uliczce niedaleko motelu. Potem jego oczom ukazał się sam motel z migoczącym czerwonym neonem. Jak w amoku skręcił za róg budynku i zdobył się na ostatni zryw, mknąc wzdłuż zaciemnionych segmentów ku blaskowi wydobywającemu się przez otwarte drzwi pokoju numer 19.

Beth siedziała skulona na krawędzi łóżka. Esperanza trzymała przy jej ustach szklanekę wody. Knebel i sznury leżały na podłodze. Poza tymi szczegółami, wszystko inne w pomieszczeniu równie dobrze mogłoby być niewidzialne. Uwaga Deckera była skupiona wyłącznie na Beth. Jej długie kasztanowe włosy były potargane, miała zapadnięte oczy i wychudłe policzki. Podbiegł do niej, upadł na kolana i czule uniósł dłonie do jej twarzy. Tylko częściowo zdawał sobie sprawę ze swojego wyglądu: z przemoczonych włosów przylepionych do głowy, zadrapań na twarzy, z których sączyła się krew, mokrego, podartego ubrania umazanego błotem. Nie liczyło się nic poza tym, że Beth była bezpieczna.

- Czy...? - Jego głos był tak zachrypnięty i zniekształcony emocjami, że sam się go przestraszył. - Czy jesteś cała? Nie zrobili ci krzywdy?

- Nie. - Zadrżała. Wyglądało na to, że wątpi w swoje zdrowie psychiczne. - Krwawisz. Twoja twarz...

Poczuł ból w oczach i przetyku i zdał sobie sprawę, że płacze.

- Decker, połóż się - odezwał się Esperanza. - Jesteś w gorszym stanie niż Beth.

Czuł w ustach słony smak łez, kiedy obejmował Beth i przytulał ją na tyle delikatnie, na ile pozwalały mu silne emocje. To na tę chwilę czekał. Cała jego determinacja i cierpienie były nakierowane właśnie na ten moment.

- Jesteś ranny - zauważyła Beth.

- To nic takiego. - Pocałował ją czując, że już nigdy nie chce jej wypuścić z objęć. - Nawet nie wiesz, jak się martwiłem. Na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno. Nie bili mnie. Najgorsze były sznury i knebel. No i pragnienie. Nie mogłam się napić.

- Decker, ja nie żartuję - rzekł Esperanza. - Wyglądasz okropnie. Lepiej się połóż.

Jednak zamiast go posłuchać, wziął do ręki szklanekę i zaczął zachęcać Beth, aby napiła się jeszcze trochę wody. Zdziwiony wciąż powtarzał:

- Ty żyjesz - jak gdyby w najgłębszym zakątku duszy wątpił w możliwość jej ocalenia.

- Tak bardzo się bałam.

- Nie myśl o tym. - Decker z miłością pogłaskał ją po splątanych włosach. - Już po wszystkim. McKittrick odjechał.

- A ta kobieta.

- Kobieta?

- Przerazała mnie.

Decker odchylił się do tyłu, przyglądając się Beth z zaskoczeniem.

- Jaka kobieta?

- Ta z McKittrickiem.

Poczuł lodowaty ucisk w żołądku.

- Widziałem tylko jakiegoś mężczyznę.

- W płaszczu przeciwdeszczowym i kapeluszu. Zimno rozlało się po jego i tak wyziębionym ciele.

- To była kobieta? Beth się wzdrygnęła.

- Była piękna, ale miała groteskowy głos. Coś było nie tak z jej gardłem. Miała w nim pomarszczony otwór. Bliznę, zupełnie jakby coś ją tam uderzyło.

Teraz Decker zrozumiał, dlaczego odrażający gardłowy głos wydał mu się znajomy. Pomimo zniekształcenia dało się w nim usłyszeć akcent. Włoski akcent.

- Posłuchaj mnie uważnie. Czy była wysoka? Miała szczupłe biodra? Krótkie ciemne włosy? Czy wyglądała na Włoszkę?

- Tak. Ale skąd...

- Mój Boże, czy McKittrick kiedykolwiek zwracał się do niej po imieniu? Czy nazywał ją...

- Renata.

- Musimy stąd uciekać. - Decker wstał, podnosząc Beth i gorączkowo rozglądając się po pokoju.

- Co się stało?

- Czy cokolwiek ta zostawiła? Walizkę? Jakaś paczkę?

- Kiedy przygotowywali się do odjazdu, zaniósł do drugiego pokoju torbę na zakupy, ale nie przyniosła jej z powrotem.

- Musimy stąd uciekać! - krzyknął Decker, popychając Beth i Esperanę w stronę otwartych drzwi. - To specjalistka od materiałów wybuchowych. Boję się, że to może być bomba! Wypchnął ich na deszcz, z lękiem wspominając inną ulewę piętnaście miesięcy wcześniej, kiedy krył się za skrzynią na podwórku w Rzymie.

*Renata zdetonowała bombę w mieszkaniu na górze. Z czwartego balkonu posypał się gruz, a wściekle płomienie oświetliły podwórze. Decker kątem oka dostrzegł ruch w lewym przeciwległym narożniku podwórka, w pobliżu drzwi, przez które weszli razem z McKittrickiem. Jednak to nie był Brian. Postacią, która wyłoniła się z cienia klatki schodowej, była Renata. Zaczęła raz za razem strzelać z pistoletu z tłumikiem w kierunku podwórka, jednocześnie biegnąc w stronę otwartych drzwi. Chowając się za skrzynią, Decker położył się na mokrym bruku i zaczął się przesuwac na łokciach i kolanach. Dotarł do krawędzi skrzyni, zauważył Renatę zbliżającą się do wyjścia, wycelował przez strumienie deszczu i dwukrotnie strzelił. Pierwszy*

*pocisk uderzył w ścianę tuż za nią, drugi trafił ją w szyję. Renata przycisnęła dłoń do rany, z której chlusnęła krew. Kiedy jej bracia wynosili ją na ciemną ulicę, Decker wiedział, że ich wysiłki, aby ocalić jej życie, są całkowicie bezużyteczne. Za chwilę jej gardło się zaciśnie. Śmierć przez uduszenie nadejdzie w ciągu zaledwie kilku minut.*

Ale ona nie umarła, z przerażeniem zdał sobie sprawę. Przez kolejne tygodnie i miesiące McKittrick zapewne jej szukał. Czy się ze sobą związali? Czy przekonała go, że nie jest jego wrogiem, a bardziej niż ona wykorzystała go agencja? Czy to Renata to wszystko zaaranżowała?

- Uciekajcie! - krzyknął Decker. - Schowajcie się za śmietnikiem!

Słyszając obok biegnącego Esperanę, pchnął Beth przodem i nagle poczuł, że unosi go w powietrze podmuch powietrza, niczym cios gigantycznej pięści. Eksplozja blasku i huku, która go otoczyła, przypominała uderzenie skondensowanej elektryczności w samym środku burzy z piorunami. Ogarnęła go niezwykła lekkość, nic nie widział, nic nie słyszał, niczego nie czuł, po czym nagle z szokującą gwałtownością uderzył o mokry chodnik za pojemnikiem na śmieci. Przetoczył się na Beth, aby osłonić ją przed spadającymi wokół nich szczątkami. Coś odbiło mu się od ramienia, sprawiając, że skrzywił się z bólu. Coś trzasnęło koło jego głowy. Zasypały go kawałki szkła.

Potem fala uderzeniowa minęła i Decker zdał sobie sprawę z bolesnego dzwonienia w uszach, padającego deszczu, krzyków

dobiegających z pobliskich budynków i z tego, że Beth się pod nim porusza. Gdy zakaszła, przestraszył się, że ją dusi. Ogłuszony, zebrał siły i stoczył się z niej, ledwie zauważając leżące wokół nich kawałki pustaków.

- Jesteś ranna?

- Moja noga.

Zbadał ją drżącymi rękami. W świetle bijącym od płonących ruin motelu zobaczył gruby kawałek drewna wystający z prawego uda Beth. Wyciągnął go i przestraszył się tego, jak wiele krwi zaczęło płynąć z rany.

- Opaska uciskowa. Potrzebujesz...

Wyciągnął pasek ze spodni i zacisnął go powyżej poszarpanej dziury w nodze Beth.

Ktoś stęknął. Jakiś cień poruszył się za śmietnikiem. Postać powoli usiadła i Decker odetchnął z ulgą wiedząc, że Esperanza wciąż żyje.

- Decker!

Głos nie pochodził od Esperanzy. Dzwonienie w uszach było tak dokuczliwe, że Decker miał kłopoty z rozpoznaniem kierunku, z którego dobiegło wołanie.

- Decker!

Wreszcie zrozumiał i popatrzył poza parking pokryty kałużami, w których odbijały się płomienie. Na ulicy stał pontiac. Szczątki motelu zagradały wjazd na parking, więc McKittrick ustawił samochód w taki sposób, że okno kierowcy znajdowało się

naprzeciwko budynku. Zapewne wrócił do miasteczka w ślad za Deckerem. Z twarzą wykrzywioną gniewem McKittrick wychylił się przez otwarte okno, trzymając w ręku detonator.- Mogłem odpalić ładunek, kiedy byliście w środku! - krzyknął. - Ale to by było zbyt proste! Dopiero zaczynam! Miej się na baczności! Pewnej nocy, kiedy będziesz się tego najmniej spodziewał, wysadzimy cię w powietrze razem z tą twoją suką!

W oddali rozległ się jęk syreny. McKittrick znów podniósł rękę z jakimś przedmiotem i Decker zdołał jedynie potoczyć się razem z Beth w stronę kryjówki za śmietnikiem, zanim rozległa się seria z broni automatycznej, a pociski uderzyły o metalowy pojemnik. Esperanza wyciągnął pistolet i odpowiedział ogniem. Zaraz potem Decker usłyszał pisk opon na mokrej nawierzchni i pontiac odjechał z rykiem silnika.

## 2

Do pierwszej syreny dołączyła druga.

- Musimy się stąd wynosić - rzekł Esperanza.

- Pomóż mi z Beth.

Chwycili ją za ręce, podźwignęli i z trudem pospieszyli na tyły motelu, aby ukryć się w ciemności. Zaczynali się zbierać gapie. Decker szybko minął dwóch mężczyzn biegnących od strony bloku mieszkalnego stojącego za motelem.

- Co się stało? - zawołał jeden z nich.

- Wybuchł zbiornik z propanem! - odpowiedział Decker.

- Potrzebujecie pomocy?

- Nie! Zabieramy tę kobietę do szpitala! Poszukajcie innych rannych osób!

Podtrzymując Beth, Decker czuł, jak kuliła się z bólu z każdym pospiesznym krokiem.

Idąc mroczną alejką po drugiej stronie motelu, zatrzymali się też przed ulicą, czekając, aż minie ich kilka osób biegnących w stronę pożaru. Potem, niewidziani przez nikogo, ponieśli Beth wzdłuż ulicy do miejsca, gdzie stał zaparkowany oldsmobil.

- Poprowadź! - polecił Decker. - Ja zostanę z nią z tyłu! Zatrzaszczając drzwi, Esperanza przekręcił kluczyk w stacyjce.

Decker ułożył starannie Beth na tylnym siedzeniu, aby nie stoczyła się na podłogę. Oldsmobil szybko ruszył.

- Jak ona się czuje? - spytał Esperanza.

- Opaska powstrzymała krwawienie, ale teraz muszę ją zdjąć. Dostanie gangreny, jeśli krew nie będzie krążyć w nodze. - Zaniepokojony gwałtownym krwotokiem po poluzowaniu paska, Decker szybko sięgnął do swojej torby podróżnej stojącej na podłodze z tyłu samochodu, wyciągnął koszulę i przycisnął ją do rany, tworząc bandaż uciskowy. Pochylił się nad Beth, która leżała na tylnym siedzeniu. - Masz mdłości? Widzisz podwójnie?

- Mam zawroty głowy.

- Trzymaj się. Zabierzemy cię do lekarza.

- Dokąd? - spytał Esperanza.

- Na Manhattan. Jechaliśmy na zachód, kiedy dotarliśmy do Closter. Na następnym skrzyżowaniu skręć w lewo, a potem jeszcze raz w lewo.

- Pojedziemy na wschód. Z powrotem na międzystanową - odrzekł Esperanza.

- Tak. A następnie na południe. - Decker pogłaskał Beth po policzku. - Nie bój się. Jestem tutaj. Zaopiekuję się tobą. Wydobrzejesz.

Beth uścisnęła jego dłoń.

- McKittrick jest szalony.

- Bardziej niż w Rzymie - zgodził się Decker.

- W Rzymie? - Esperanza odwrócił się, marszcząc brwi. - O czym ty mówisz?

Decker się zawahał. Do tej pory był zdeterminowany, aby nie wspominać o Rzymie. Jednak Beth i Esperanza prawie zginęli z powodu tego, co tam się wydarzyło. Mieli prawo poznać prawdę. Mogło od tego zależeć ich życie. Więc im opowiedział... o dwudziestu trzech martwych Amerykanach... o Renacie, McKittricku i tym deszczowym podwórzu, gdzie Renata została postrzelona.

- Ona jest terrorystką? - zdziwił się Esperanza.

- McKittrick się w niej zakochał - wyjaśnił Decker. - Po tym, jak operacja w Rzymie zamieniła się w piekło, nie chciał uwierzyć, że go oszukała. Myślę, że ruszył za nią w pościg, aby zmusić ją do wyznania prawdy, ale ona przekonała go, że naprawdę go kocha, i

teraz znów go wykorzystuje. Żeby dobrać się do mnie. Żeby położyć łapę na pieniądzach, które dał mu Giordano.

- Ona cię nienawidzi. - Beth z trudem zebrała siły, aby się odezwać. - Cały czas mówiła o zemście. Obsesyjnie pragnie, abyś cierpiał.

- Spokojnie. Nic nie mów.

- Nie. To ważne. Posłuchaj. Wciąż opowiadała McKittrickowi o czymś, co zrobiłaś jej braciom. Co im zrobiłaś?

- Braciom? - Decker odrzucił głowę do tyłu. Ponownie powróciło do niego koszmarne wspomnienie tego, co wydarzyło się na rzymskim podwórku.

*Gdy po wybuchu bomby z góry posypały się gruzy, Decker odwrócił się, dostrzegając ruch po swojej lewej stronie. Szczupły, ciemnowłosy, dwudziestokilkuletni mężczyzna, jeden z braci Renaty, wychylił się zza kublów na śmieci. Nie był przygotowany na tak szybką detonację bomby przez Renatę. Choć miał pistolet, nie wycelował w Deckera - jego uwagę całkowicie odwrócił krzyk dobiegający z drugiej strony podwórka. Z niedowierzaniem ujrzał jednego ze swoich braci, próbującego uderzeniami dłoni zdusić płomień na ubraniu i we włosach, które zajęły się od spadających, płonących szczątków.*

*Decker zastrzelił ich obu.*

- To porachunki rodzinne - odezwał się Decker, przerażony.

Przetoczyła się przez niego fala mdłości, kiedy zrozumiał, że Renata nienawidzi go jeszcze bardziej niż McKittrick. Wyobraził

sobie, jak oboje wzmacniają swoją złość, karmiąc się nią i coraz bardziej obsesyjnie myśląc o wyrównaniu rachunków. Ale w jaki sposób? Musieli bez końca o tym rozprawiać. Jaki rodzaj zemsty byłby najbardziej satysfakcjonujący? Mogli po prostu mnie zastrzelić z przejeżdżającego samochodu, pomyślał Decker. Jednak zwykłe zabójstwo by nie wystarczyło. Chcieli, abym się bał. Chcieli, abym cierpiał.

Ale nie tylko o tym pomyślał. Zszokowany wyraz twarzy Beth uzmysłowił mu, że mówił to na głos. Nie mógł się powstrzymać. Udręczone myśli wciąż napływały.

- Nic by się nie stało w Santa Fe, gdyby McKittrick i Renata nie sfiksowali na moim punkcie. McKittrick został zmuszony do odejścia z CIA, ale według oficjalnej wersji sam odszedł. Na papierze sprawiał na tyle imponujące wrażenie, że przyjęto go do policji federalnej. Miał na oku moje miejsce pobytu. Kiedy mu cię przydzielono i kiedy odkrył, że dom obok mojego jest na sprzedaż, jego plan się skryształizował.

Decker zebrał siły. Wszystkie trudności, jakich doświadczył, ratując Beth, prowadziły do tej chwili i nie mógł już dłużej odkładać tego pytania. Musiał się dowiedzieć.

- Czy wiedziałaś, kim jestem, kiedy spotkałaś mnie po raz pierwszy?

Beth nie odpowiedziała, wciąż mając zamknięte oczy. Jej klatka piersiowa falowała, zdradzając wzburzenie.

- Czy zanim przyszedłeś do mnie do biura, McKittrick powiedział ci, że pracowałem dla CIA? Czy kazał ci zdobyć moje zaufanie, za wszelką cenę sprawić, abym się do ciebie zbliżył i chciał spędzać z tobą cały swój wolny czas, a w efekcie został twoim ochroniarzem z sąsiedztwa?

Beth wciąż milczała, oddychając z trudem.

- Tak wyglądałaby ich zemsta - ciągnął Decker. - Zmanipulować mnie w taki sposób, abym się w tobie zakochał, a potem wydać cię mafii. Niszcząc twoje życie, mieli nadzieję, że zniszczą moje. A mafia jeszcze zapłaciłaby im za tę przyjemność.

- Widzę światła - przerwał Esperanza, szybko wchodząc w zakręt. - Przed nami droga międzystanowa.

- Muszę wiedzieć, Beth. Czy McKittrick kazał ci sprawić, abym się w tobie zakochał?

Nadal nie odpowiadała. Jak mógłby ją skłonić do powiedzenia prawdy? Kiedy dotarli do drogi międzystanowej, blask światła przejeżdżających samochodów niespodziewanie rozlał się po tylnym siedzeniu, ukazując Deckerowi, że Beth zniknęła oczy nie dlatego, iż chciała uniknąć jego spojrzenia. Jej ciało było bezwładne, a oddech płytki. Straciła przytomność.

### 3

Była trzecia rano, kiedy Esperanza, kierując się wskazówkami Deckera, zahamował przed jedną z kamienic o elewacji z piaskowca na osiemdziesiątej drugiej ulicy w zachodniej części Manhattanu. O tak późnej porze w tej zamożnej okolicy panował spokój, a skąpana w

deszczu ulica była pusta. Nikt nie widział, jak Decker i Esperanza nieśli Beth z samochodu do przedsionka kamienicy. Z niepokojem obserwując, jak Beth niknie w oczach, Decker wcisnął guzik domofonu, dzwoniąc do mieszkania numer 8. Tak jak przypuszczał, nie musiał dzwonić kilkakrotnie, czekając, aż zaspany głos zapyta go, czego chce. Odpowiedź była natychmiastowa. Decker uprzedził osobę w mieszkaniu, wykonując awaryjny telefon ze stacji obsługi przy drodze międzystanowej. Rozległo się brzęczenie, oznajmiające, że zamek w wewnętrznych drzwiach w holu został elektronicznie otwarty.

Decker i Esperanza szybko weszli do środka, znaleźli czekającą na nich windę i wjechali na czwarte piętro, sfrustrowani powolnym ruchem kabiny. Kiedy jej drzwi się otworzyły, z jednego z mieszkań wyszedł mężczyzna i pomógł im wnieść Beth do środka. Ubrany był byle jak, zapewne włożył na siebie, co miał pod ręką. Mężczyzna był wysoki i bardzo szczupły, miał wysokie czoło oraz wąsy w kolorze soli i pieprzu. Decker usłyszał za sobą hałas, odwrócił się i ujrzał przysadzistą kobietę o siwych włosach i zmartwionej minie, zamykającą za nimi drzwi.

Mężczyzna skierował Deckera i Esperanzę w lewo, do jasno oświetlonej kuchni, gdzie na stole i na podłodze leżały plastikowe ceraty. Na zabezpieczonym kontuarze wyłożono narzędzia chirurgiczne. Na kuchence gotowała się woda. Kobieta, ubrana w zielony szpitalny strój, kazała Deckerowi umyć ręce.

Decker posłuchał, tłocząc się przy zlewie obok mężczyzny i kobiety, korzystając z butelki płynu o gorzkim zapachu, aby zdezynfekować dłonie. Kobieta pomogła mężczyźnie założyć chirurgiczną maseczkę, pleksiglasową osłonę na twarz oraz lateksowe rękawiczki, po czym gestem poleciła Deckerowi, aby pomógł jej zrobić to samo. Ani na chwilę się nie zatrzymując, rozcięła nożyczkami poplamione krwią spodnie Beth, odsłaniając jej prawą nogę aż do bielizny. Kiedy zdjęła bandaż uciskowy, z poszarpanego otworu trysnęła krew.

- Kiedy to się stało? - Lekarz przycisnął palec w rękawiczce do ciała tuż obok rany. Krwawienie ustało.

- Czterdzieści minut temu - odparł Decker. Deszczówka kapiała z niego na plastikową ceratę na podłodze.

- Jak szybko powstrzymano upływ krwi?

- Prawie natychmiast.

- Ocaliłeś jej życie.

Podczas gdy kobieta ocierała krew z rany za pomocą chirurgicznych gąbek, lekarz roztarł na zranionej nodze alkohol, po czym zrobił Beth zastrzyk ze środka przeciwbólowego. Jednak pomimo to Beth jęknęła, kiedy lekarz użył szczypczyków do zbadania wnętrza rany i ustalenia, czy nie ma w niej żadnych ciał obcych.

- Nie jestem pewien. Muszę działać szybko i pobieżnie, aby powstrzymać krwotok. Ona potrzebuje prześwietlenia. Kroplówki. Możliwe, że zabiegu mikrochirurgicznego, jeżeli tętnica udowa została uszkodzona. - Zrobił Beth kolejny zastrzyk, tym razem z

antybiotyku. - Po wyjściu stąd będzie potrzebowała kolejnych regularnych dawek antybiotyku.

Kobieta przemyła ranę brązowym środkiem dezynfekującym, a lekarz przyjrzał się jej z bliska przez okulary, ustawiając na miejscu dodatkową małą soczewkę, w którą było wyposażone jedno ze szkielec. Kiedy tylko kobieta skończyła dezynfekować okolice rany, położyła palec w miejscu, które wcześniej naciskał lekarz, pozwalając mu na rozpoczęcie szycia.

- Nie powinieneś był do mnie dzwonić - zwrócił Deckerowi uwagę lekarz.- Nie miałem wyboru. - Przyglądał się Beth, której twarz, wilgotna od deszczu i potu, przybrała szary kolor owsianki.

- Ale już nie pracujesz dla organizacji - odparł lekarz.

- Nie wiedziałem, że o tym słyszałeś.

- Najwyraźniej. W przeciwnym razie nie próbowałbyś się ze mną kontaktować.

- Mówię poważnie. Nie miałem wyboru. Poza tym skoro wiedziałeś, że już dla nich nie pracuję, to nie musiałeś się zgadzać, aby mi pomóc. - Wziął Beth za rękę. Jej palce zacisnęły się wokół jego dłoni, zupełnie jakby tonęła.

- Akurat tutaj to ja nie miałem wyboru. - Lekarz nie przerywał szycia. - Jak mi to barwnie opowiedziałeś przez telefon, w przypadku odmowy zamierzałeś narobić niezłego zamieszania w budynku.

- Wątpię, aby sąsiadom spodobało się to, co robisz na boku. Pomagająca lekarzowi kobieta popatrzyła gniewnie.

- Zanieczyściłeś nasz dom. Przecież wiesz, gdzie jest klinika. Mogłeś...

- Nie było czasu - odparł Decker. - Kiedyś opatrywaliście mnie tutaj.

- To był wyjątek.

- Wiem o innych takich wyjątkach. Czynionych za wysokie honoraria. Zakładam, że to kolejny powód, dla którego zgodziliście się mi pomóc.

Lekarz zmarszczył brwi, cały czas zakładając szwy.

- Jakie honorarium masz na myśli?

- W swojej podróźnej torbie mam łańcuch z osiemnastokaratowego złota, złotą bransoletkę, pierścień z jadem i tuzin złotych monet.

- A nie pieniądze? - Lekarz jeszcze bardziej zmarszczył brwi.

- Te przedmioty są warte około dwunasto tysięcy dolarów. Schowajcie je w skarpecie na czarną godzinę. Uwierz mi, przydadzą się, kiedy będziecie w pośpiechu wyjeżdżać z kraju i nie będziecie mogli bezpiecznie udać się do banku.

- Takie problemy nas nie dotyczą.

- Na razie - odparł Decker. - Sugeruję, abyś zajął się tą pacjentką najlepiej, jak potrafisz.

- Grozisz mi?

- Chyba źle mnie zrozumiałeś. Ja cię tylko dopinguję. Lekarz zrobił jeszcze bardziej srogą minę, po czym skupił się na zakładaniu kolejnych szwów.

- W tej sytuacji moje honorarium za interwencję wynosi dwadzieścia tysięcy dolarów.

- Co takiego?

- Potraktuję przedmioty, o których wspomniałeś, jako zaliczkę. - Lekarz się wyprostował, przerywając pracę. - Czy moje honorarium stanowi jakiś problem?

Decker popatrzył na w połowie zaszytą dziurę w nodze Beth.

- Nie.

- Tak myślałem. - Lekarz wrócił do pracy. - Gdzie są te przedmioty?

- Tam, w mojej torbie podróżnej.

Decker odwrócił się w stronę miejsca, gdzie upuścił torbę, kiedy pomagał wnieść Beth do kuchni.

- A co z resztą pieniędzy?

- Dostaniesz je.

- Skąd mogę mieć taką pewność?

- Masz moje słowo. Jeżeli to nie wystarczy... Esperanza rozładował napięcie.

- Słuchajcie, czuję się bezużyteczny, tak to stojąc. Musi być coś, co mogę zrobić, aby wam pomóc.

- Krew na korytarzu i w windzie - odezwała się kobieta. - Sąsiedzi zadzwonią na policję, jeśli ją zobaczą. Wyczyść wszystko.

Jej rozkazujący ton sugerował, że zwraca się do latynoskiego służącego, ale choć w ciemnych oczach Esperanzy pojawił się błysk, to jedynie zapytał:

- Czego mogę użyć?

- Pod zlewem jest wiadro, szmaty i środek odkażający. Nie zapomnij założyć gumowych rękawiczek.

Kiedy Esperanza zebrał wszystkie przybory i wyszedł, kobieta założyła na lewą rękę Beth opaskę ciśnieniomierza. Uważnie przyglądała się wskaźnikowi. Powietrze przestało syczeć w opasce.

- Jaki wynik? - spytał Decker.

- Sto na sześćdziesiąt.

Normalny wynik to sto dwadzieścia na osiemdziesiąt.

- Niskie, ale w normie. Kobieta skinęła głową.

- Ma duże szczęście.

- Tak, widać to po niej.

- Ty też nie wyglądasz najlepiej.

Zadzwoił telefon. Jego dzwonek był tak niepożądany, że Decker, lekarz i jego żona popatrzyli z napięciem na aparat wiszący na ścianie tuż obok zamrażarki. Telefon zadzwonił ponownie.

- Kto to może być o tej porze?

- Mam pacjenta na intensywnej terapii. - Lekarz wrócił do pracy.

- Poprosiłem w szpitalu, aby poinformowali mnie telefonicznie, jeśli jego stan się pogorszy. Kiedy zadzwoniłeś, myślałem, że ktoś telefonuje właśnie w tej sprawie. - Podniósł ręce w umazanych krwią rękawiczkach i gestem wskazał rękawiczki na dłoniach żony. - Ale tak nie mogę odebrać.

Telefon znów zadzwonił.

- A ja nie chcę, żebyś przerywał to, co robisz. - Decker podniósł słuchawkę. - Halo.

- Strasznie przewidywalne, Decker.

Słyszając zadowolony z siebie głos McKittricka, Decker wstrzymał oddech. Ścisnął słuchawkę, aż pobiełały mu knykcie.

- Co się stało? - spytał McKittrick na drugim końcu linii. - Nie jesteś w towarzyskim nastroju? Nie masz ochoty rozmawiać. Nie szkodzi. Ja podtrzymam rozmowę za nas obu.

- Kto to? - spytał lekarz.

Decker podniósł wolną rękę, ostrzegając go, aby się nie odzywał.

- Może nie jestem takim idiotą za jakiego mnie miałeś, co? - spytał McKittrick. - Kiedy zobaczyłem, jak obwiązujesz jej nogę paskiem, pomyślałem sobie, dokąd ją możesz zabrać? No i, na Boga, miałem rację. Kiedy przyjechaliście, obserwowałem was z bramy przy tej samej ulicy. Chyba zapomniałeś, że mnie także poinformowano o tym miejscu. Nagle stałeś się cholernie przewidywalny. Wiesz, co sobie myślę? Decker nie odpowiedział.

- Zadałem ci pytanie - rzekł McKittrick ostro. - Lepiej ze mną porozmawiaj, bo inaczej wszystko będzie wyglądało jeszcze gorzej, niż zaplanowałem.

- Dobrze. A więc co sobie myślisz?

- Myślę, że tracisz wyczucie.

- Jestem już tym zmęczony - odparł Decker. - Posłuchaj uważnie. Nasza umowa wciąż obowiązuje. Zostaw nas w spokoju. Więcej nie będę zaprzętał sobie tobą głowy.

- Naprawdę?

- Nie będę cię ścigał.

- Wydaje mi się, stary kumplu, że nie rozumiesz sytuacji. To ja ścigam ciebie.

- Ty i Renata.

- A więc domyśliłeś się, kto był z nami w samochodzie?

- Kiedyś nie byłeś w tym taki dobry. Uczysz się od niej.

- Tak? No cóż, ona chce także ciebie czegoś nauczyć, Decker. Jak to jest stracić kogoś, kogo kochasz. Wyjrzyj przez okno. W stronę frontu budynku.

Klik. Połączenie przerwano.

4

Decker powoli opuścił słuchawkę.

- Kto to był? - nalegał lekarz.

Wyjrzeć przez okno? - pomyślał zaniepokojony Decker. Dlaczego? Aby się pokazać? Aby wystawić się na cel? Zrobiło mu się niedobrze, kiedy przypomniał sobie, że Esperanzy nie ma w pomieszczeniu. Wyszedł z mieszkania, aby zetrzeć krew na korytarzu i w windzie. Czy zaczął w przedsionku? Czy McKittrick...

- Esperanza!

Decker wybiegł z kuchni. Gwałtownie otworzył drzwi wejściowe i wypadł na korytarz, mając nadzieję, że zobaczy tam

Esperanę, jednak nie zastał nikogo. Igła nad zamkniętymi drzwiami windy pokazywała, że kabina znajduje się na parterze. Decker już miał nacisnąć przycisk przywołujący windę, ale przypomniał sobie, jak była powolna. Popędził w dół po schodach.

- Esperanza! - Zeskakiwał po trzy stopnie naraz, a uderzenia jego butów odbijały się echem na klatce schodowej. Dotarł do drugiego piętra, a potem do pierwszego. - Esperanza! - Wydało mu się, że słyszy przytłumiony głos wykrzykujący odpowiedź. - Uciekaj z przedsionka! Schowaj się! - Jednym skokiem pokonał sześć stopni, zbliżając się do najniższego piętra. Usłyszał ciężki łoskot, jakby upuszczanego wiadra. - McKittrick i Renata są na zewnątrz! Wejdz po schodach!

Obrócił się w stronę ostatniego biegu schodów, dotarł do półpiętra, ponownie się obrócił i zszokowany zobaczył, że Esperanza wpatruje się w niego, stojąc bez ruchu.

Decker skoczył szczupakiem z ostatnich schodków, uderzając Esperanę w klatkę piersiową i przepychając go obok otwartych drzwi windy, w stronę wnęki w przedsionku.

W tym samym momencie przedsionek wypełnił błysk i huk. Ogłuszający wybuch od strony ulicy zniszczył szklane drzwi prowadzące na klatkę. Upadając na podłogę razem z Esperanza Decker zauważył odłamki przecinające powietrze, przelatujące obok niego kawałki drewna, metalu i szkła, przedmioty uderzające o ściany. Potem w przedsionku zrobiło się nienaturalnie spokojnie, jak gdyby wyssano z niego powietrze. Z pewnością właśnie tak czuł się

pozbawiony tchu Decker. Leżąc obok Esperanzy we wnęce, próbował zmusić swoją klatkę piersiową do pracy, aby nabrać powietrza. Powoli i z bólem osiągnął ten cel.

Popatrzył w górę przez dym i zobaczył kawałki szkła powbijane w ściany. Zaryzykował spojrzenie przez otwór znajdujący się w miejscu wejścia do klatki, w stronę oldsmobila, pospiesznie zaparkowanego przed budynkiem w strefie objętej zakazem postoju. Samochód, źródło eksplozji, był teraz poskręcany, wypatroszony, płonącym wrakiem.

- Jezu - odezwał się Esperanza.

- Szybko. Na górę po schodach.

Z trudem wstali. Kiedy Decker rzucił się w kierunku schodów, zerknął w bok i zobaczył jak jakaś postać - częściowo przesłonięta dymem sylwetka była widoczna na tle płomieni - przebiega przed wejściem. Postać coś rzuciła. Słyszac, jak przedmiot uderza o podłogę, Decker popędził w górę schodów wraz z Esperanza. Usłyszał, jak przedmiot od czegoś się odbija. Dotarł na półpiętro i obrócił się razem z Esperanza w stronę kolejnych stopni. Przedmiot w coś trzasnął. Rozległ się odgłos metalu uderzającego o drewno. Winda? Drzwi były otwarte. Czy granat wylądował w...

Wybuch posłał falę uderzeniową przez klatkę schodową rzucając Deckera i Esperanzę na kolana. Fala uderzeniowa, wzmocniona przez zamkniętą przestrzeń szybu windy, rozprzestrzeniała się w górę i w dół oraz na boki, wprawiając klatkę schodową w drgania i wywołując

pęknięcie na zewnętrznej ścianie szybu. Posypał się tynk. Płomienie wypełniły przedsionek, dym popłynął w górę.

Z jeszcze większym wysiłkiem Decker i Esperanza wstali i zaczęli się wspinać po schodach. Drzwi windy na kolejnym piętrze zostały rozerwane. Szybko mijając ziejącą dziurę, Decker zobaczył płomienie i dym wewnątrz szybu. Gwałtownie się odwrócił, kiedy drzwi jednego z mieszkań otwarły się na oścież. Starszy mężczyzna w piżamie wybiegł na korytarz, aby sprawdzić, co się stało. Zszokowany wytrzeszczył oczy, widząc ogień i dym. Rozległ się ostry dźwięk alarmu przeciwpożarowego.

- Był wybuch! - wrzasnął Decker. - Pali się w przedsionku! Czy jest z tego budynku inne wyjście?

Mężczyzna trzykrotnie poruszył ustami, zanim zdołał wydobyć z siebie jakiś dźwięk.

- Schody pożarowe z tyłu.

- Niech pan z nich skorzysta!

Decker wspiał się wyżej, podążając za Esperanza który się nie zatrzymał. Na następnym piętrze na korytarz wybiegli kolejni mieszkańcy, zaniepokojeni unoszącym się dymem.- Zadzwońcie po straż pożarną! - wrzasnął Decker, kiedy ich mijał. - Winda jest zniszczona! Klatka schodowa płonie! Skorzystajcie ze schodów pożarowych.

Stracił rachubę pięter. Spodziewając się drugiego, znalazł się na trzecim. Drzwi do mieszkania lekarza były otwarte. Wpadł do kuchni i znalazł tam Esperanzę, który kłócił się z doktorem.

- Nie można jej transportować! - protestował lekarz. - Szwy popekają!

- Do diabła ze szwami! Jeśli zostanie tutaj, spali się żywcem! Wszyscy się spalimy!

- Podobno są tu schody pożarowe! - rzekł Decker. - Gdzie?

Lekarz wskazał w głąb korytarza.

- Za oknem w drugiej sypialni. Decker nachylił się nad Beth.

- Musimy cię podnieść. Obawiam się, że to zaboli.

- McKittrick tam jest?

- Nie żartował w motelu. On i Renata na mnie polują. Szybciej niż się spodziewałem.

- Zrób to, co musisz. - Beth oblizła wysuszone usta. - Wytrzymam ból.

- Otworzę okno - rzekł Esperanza.

- Pomóżcie nam - polecił Decker lekarzowi i jego żonie. Zaskoczył go ponowny dzwonek telefonu.

Tym razem Decker nie miał wątpliwości, kto dzwoni. Chwycił słuchawkę i krzyknął:

- Już się pobawiliście! Przestańcie, na litość boską!

- Ależ my dopiero zaczęliśmy - odparł McKittrick. - Postaraj się, aby było to trochę ciekawsze, dobrze? Jak na razie robisz dokładnie to, co przewidzieliśmy. I kto tu jest idiotą? - McKittrick ryknął śmiechem.

Decker trzasnął słuchawką i odwrócił się w stronę Beth. Zauważył grubą ceratę, na której leżała.

- Czy to wytrzyma jej ciężar?

- Jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać. - Esperanza wrócił do pomieszczenia, otworzywszy okno w pokoju gościnnym. - Złap po stronie głowy. Ja się zajmę nogami. - Korzystając z ceraty, dźwignęli Beth ze stołu i wynieśli ją z kuchni.

Lekarz wyszedł na korytarz, po czym szybko wrócił. Był przerażony.

- Pali się klatka schodowa i szyb windy.

- Mówiłem, że potrzebujemy pomocy! - Esperanza ze złością obejrzał się przez ramię.

- Bierz biżuterię - polecił lekarz swojej żonie i pospiesznie wyszedł z pomieszczenia.

- Nie zapomnij o złotych monetach, draniu! - krzyknął Decker.

Pochylony, posuwając się tyłem, wszedł do sypialni. Boleśnie zderzył się z tylną ścianą po czym odwrócił się i wyjrzał przez otwarte okno. Zastłonki wydymały się do środka pod wpływem ulewy. Spowite ciemnością schody pożarowe prowadziły na tyły budynku do czegoś, co mogło być wewnętrznym ogródkiem. Decker usłyszał spanikowanych mieszkańców niezgrabnie zbiegających po metalowych stopniach.

- Przewidywalne - powiedział. - Właśnie tu się nas spodziewają Renata i McKittrick.

- O czym ty mówisz? - spytał Esperanza.

- To pułapka. McKittrick wie o tym miejscu. Miał czas, aby zapoznać się z planami budynku. Razem z Renatą będą na nas czekać tam na dole.

- Ale nie możemy tutaj zostać! Ogień do nas dotrze!

- Jest inna droga.

- Na górę - powiedziała Beth.

- Właśnie - przytaknął Decker. Esperanza popatrzył na nich z niedowierzaniem.

- Na dach - rzekł Decker. - Przejdziemy po kilku budynkach, dotrzemy do innych schodów pożarowych na drugim końcu kwaterału i z nich skorzystamy. McKittrick nie dowie się, którądy uciekliśmy.

- A jeśli pożar przeniesie się na sąsiednie budynki i odetnie nam drogę ucieczki? - spytał Esperanza.

- Nie mamy wyboru. Będziemy stanowili łatwy cel, jeżeli spróbujemy znieść Beth po tych schodach.

Wysunął ją przez okno głową do przodu, opierając plecami o parapet. Potem przecisnął się obok niej i poczuł na sobie strugi zimnego deszczu, kiedy wyciągał Beth przez otwór okienny. Po chwili leżała na śliskiej, mokrej metalowej platformie, z twarzą wystawioną na uderzenia ulewy.

Decker dotknął jej czoła.

- Jak się czujesz?

- Lepiej niż kiedykolwiek.

- Jasne.

- Nie zasługuję na ciebie.

- Mylisz się. - Pocałował ją w policzek. Esperanza wygramolił się za nimi.

- Cokolwiek było w tej bombie, musiało być silne. Pożar szybko się rozprzestrzenił. Frontowa część mieszkania już się pali.

Decker popatrzył w górę przez padający deszcz w stronę wznoszącego się niedaleko szczytu budynku.

- Lepiej tam wejdźmy, zanim płomienie dotrą do dachu. Kiedy podnieśli Beth, Decker usłyszał zbliżające się syreny.

- Przyjedzie policja i straż pożarna. - Esperanza podążył za Deckerem w górę schodów pożarowych. - McKittrick i Renata nie spróbują niczego na oczach policji.

- Albo będą chcieli skorzystać z zamieszania. - Decker wniósł Beth wyżej. - Policjanci nie zdążą zauważyć, co się dzieje.

Płomienie buchnęły z okien poniżej, oświetlając ich sylwetki na metalowych schodach.

- Jezu, pewnie nas zobaczyli. - Decker napiął mięśnie, oczekując uderzenia pocisku w klatkę piersiową.

- Może nie. - Esperanza pospiesznie się wspinał. - A jeśli nawet, to nie jest takie oczywiste, że idziemy w górę, a nie w dół.

Znaleźli się na podeście. Beth jęknęła, kiedy Decker musiał niezdarnie ją obrócić, aby ruszyć w górę ostatniego biegu schodów, prowadzącego na dach. Buty poślizgnęły się na śliskim, wilgotnym metalu. Potknął się, prawie ją upuszczając.

- Już niedaleko. Ogień huczał.

- Jeszcze kawałek.

Po drugiej stronie budynku dźwięk syren osiągnął apogeum. Cofając się, Decker uderzył biodrem o gzyms dachu. Resztkami sił przełożył ponad nim najpierw jedną a potem drugą nogę, podźwignął Beth, poczekał, aż Esperanza pójdzie w jego ślady, i w końcu położył ją na dachu. Szybko oddychając, osunął się na ziemię.

- Wszystko w porządku? - Esperanza przy nim przykucnęła.

- Muszę chwilę odpocząć, to wszystko.

- Ciekawe dlaczego. - Wyteżając wzrok, Esperanza patrzył przez padający deszcz. - Przynajmniej dzięki temu gzymsowi nie stanowimy celu.

Ręce i nogi Deckera były odrętwiałe ze zmęczenia.

- McKittrick i Renata będą się zastanawiać, dlaczego nie schodzimy. Musimy stąd uciec, zanim domyśla się, co robimy.

- Odpocznij jeszcze chwilę - szepnęła Beth.

- Nie ma czasu. Spróbowała się podnieść.

- Może uda mi się iść.

- Nie. Popękałyby szwy. Wykrwawiłabyś się na śmierć.

Decker oszacował sytuację: po lewej stronie od końca kwartału dzieliło ich tylko kilka budynków. Tamte schody pożarowe znajdowały się zbyt blisko miejsca, w którym czekali McKittrick i Renata. Jednak po prawej stronie rozciągało się wystarczająco dużo dachów, aby mogli oddalić się z tej okolicy.

Kucnął i podniósł Beth. Poczekał, aż Esperanza zrobi to samo, po czym cofnął się od gzymsu, kierując się światłami innych budynków oraz odbiciami płomieni buchających z okien kamienicy.

- Za tobą - rzekł Esperanza. - Komin wentylacyjny. Decker wyminął sięgając do pasa przeszkodę, odwracając głowę, aby uniknąć wdychania gęstego dymu wylatującego z otworu.

- Osłona bloków windy - ostrzegł Esperanza. Decker wyminął także ten obiekt, zaniepokojony płomieniami widocznymi przez pęknięcia w osłonie.

- Coraz szybciej się rozprzestrzenia.

Przed budynkiem rozległ się jęk kolejnych syren. Decker zerknął za siebie i zobaczył, że następny budynek jest o jedno piętro wyższy.

- W jaki sposób...

- Po mojej prawej stronie - odrzekł Esperanza. - Metalowa drabinka przytwierdzona do ściany.

Decker oparł się plecami o drabinę.

- Jedyne rozwiązanie, jakie przychodzi mi do głowy... - Z trudem łapał oddech. - Beth, nie mam siły, aby wnieść cię na plecach. Myślisz, że będziesz w stanie oprzeć się na zdrowej nodze?

- Zrobię, co będzie trzeba.

- Wejdę na górę, a Esperanza pomoże ci utrzymać równowagę. Kiedy się wychylę, sięgnij do góry. Podniosę cię za rękę. - Poprawił się w myślach: za lewą rękę, która nie została zraniona w Santa Fe.

Kiedy razem z Esperanza pomogli jej stanąć, opierając ją o ceglana ścianę, Decker chwycił się drabinki i zmusił się do wejścia na następny dach. Kiedy już był na szczycie, przechylił się ponad krawędzią wystawiając plecy na strumienie deszczu.

- Gotowa?

Z dużym wysiłkiem zaczął podnosić Beth. Niemal spanikował, kiedy odkrył, że opuszczają go siły i jest w stanie dźwignąć ją jedynie na wysokość kilku metrów.

Ku jego zaskoczeniu, nagle zadanie stało się łatwiejsze.

- Opieram się zdrową nogą na szczeblu drabiny - powiedziała Beth. - Wciągaj mnie po kawałku.

Decker skrzywił się, ciągnąc mocniej. Powoli, szczebel po szczeblu, Beth posuwała się w górę. Decker przeniósł chwyt z jej dłoni na przedramiona, a potem ramiona, wciągając ją coraz wyżej. W końcu zobaczył ciemny zarys jej przemoczonych włosów, chwycił ją pod pachami i wydzwignął na dach. Położył ją na ziemi i rozciągnął się obok.

Buty Esperanzy zadudniły na metalowej drabince. Pospiesznie wspiał się na jej szczyt, niosąc pod pachą zwiniętą ceratę. Za jego plecami płomienie buchały z otworów wentylacyjnych i osłony bloków windy. Schody pożarowe spowijał dym.

- Nawet gdybyśmy chcieli, to nie możemy tamtędy wrócić - rzekł Decker.

Rozłożyli ceratę, umieścili na niej Beth i podnieśli ją ruszając przez kolejny labirynt kominów wentylacyjnych i osłon. Decker potknął się o rurę. Wpadł na antenę telewizyjną.

Odbicie płomieni ukazało jego oczom krawędź najbliższego budynku oraz spadek prowadzący ku kolejnemu dachowi.

- Już niedługo - zapewnił Decker.

Potężna fala uderzeniowa zwała go z nóg. Nie będąc w stanie utrzymać Beth, wylądował obok niej, słysząc jej krzyk. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że...

To nie było uderzenie pioruna.

To kolejna bomba.

Noc rozbrzmiała echem eksplozji. Dygocząc, Decker położył się na brzuchu, wyciągnął pistolet i popatrzył przed siebie, gdzie przed chwilą wyleciał w powietrze przypominający szopę występ na dachu.

- Znów jesteś przewidywalny! - krzyknął jakiś głos. Jezu, pomyślał Decker. McKittrick jest na dachu!

- Ponownie wszedłeś prosto w pułapkę, prawda? - wrzasnął McKittrick. - Wyraźnie cię ostrzegam, a ty i tak robisz to, czego się spodziewam! Nie jesteś taki sprytny, jak ci się wydaje!

- Daj już spokój! - zawołał Decker. - Nasze porachunki się skończyły!

- Dopiero kiedy umrzesz!

Głos dobiegał gdzieś z lewej strony. Brzmiał tak, jakby McKittrick krył się za osłoną windy. Zaciskając dłoń na pistolecie, Decker podniósł się do przysiadu, przygotowując się do biegu.

- Policja słyszała wybuch! Teraz już wiedzą, że to nie jest zwykły pożar! Odgrodzą okolicę i będą kontrolować każdego, kto spróbuje się wydostać! Nie uciekniesz!

- Pomyślą że wybuchły materiały palne w budynku! Materiały palne? - zdziwił się Decker. Nie było to określenie, jakiego w normalnych okolicznościach użyłby McKittrick, lecz z pewnością

mógł się go nauczyć od eksperta. Nie było wątpliwości, Renata go szkoliła. I była gdzieś w pobliżu.

- Puszki z farbą! Terpentyna! Płyn do czyszczenia! - wrzasnął McKittrick. - Podczas pożaru policja bardzo się przejmuje takimi rzeczami! Teraz będą się bali, że coś jeszcze wyleci w powietrze! Będą się trzymać z daleka!

Za plecami Deckera płomienie buchnęły z dachu położonego poniżej. Nie możemy wrócić, a ogień wkrótce do nas dotrze, jeżeli tu zostaniemy, pomyślał.

- Esperanza? - szepnął.

- Jestem gotowy. Którą wolisz stronę?

- Lewą.

- Będę cię osłaniał.

- Teraz.

Decker pobiegł przez kałuże w stronę dużego komina wentylacyjnego, potem w stronę kolejnego. Jednak kiedy przygotowywał się do ruszenia ku osłonie windy, ta przestała istnieć. Oślepiająca eksplozja z rykiem rozerwała ją na kawałki. Decker wylądował na ziemi, a kawałki gruzu przeleciały mu ponad głową i ze stukiem spadły wokół niego.

- Pudło, Decker! To nie tam jestem! Nie jestem też po prawej, gdzie próbuje się do mnie podkraść twój przyjaciel!

Chwilę później eksplozja wyrwała potężny kawał dachu po prawej stronie. Deckerowi wydawało się, że słyszy krzyk, ale nie był

w stanie stwierdzić, czy pochodził on od Esperanzy, czy od mieszkańców budynku.

Czuł się sparaliżowany, niepewny, dokąd ma się ruszyć. McKittrick zapewne poumieszczał ładunki wybuchowe na całym dachu, jak również na kolejnych. Jednak jak znalazł na to czas, skoro dzwonił z automatu?

Od razu nasunęła mu się przerażająca i oczywista odpowiedź. McKittrick wcale nie korzystał z automatu. Dzwonił z komórki, będąc na dachu i rozmieszczając ładunki. To pewnie Renata wysadziła w powietrze oldsmobila przed budynkiem, a potem wrzuciła bombę zapalającą do przedsionka. To ona jest na dole na podwórzu. W ten sposób, niezależnie od tego, który kierunek byśmy wybrali, i tak bylibyśmy w potrzasku.

Jesteśmy w potrzasku, pomyślał Decker. Za sobą mamy pożar. Przed sobą McKittricka.

A co ze schodami pożarowymi w tym budynku? - zastanawiał się Decker rozpaczliwie, słysząc coraz głośniejszy huk płomieni. Jeżeli uda nam się do nich dostać... To zbyt oczywiste. Muszę założyć, że McKittrick także tam umieścił ładunki. Ale nawet jeśli tego nie zrobił, wciąż bylibyśmy uwięzieni między Renatą na podwórzu i McKittrickiem na dachu.

Nie widząc żadnego innego wyjścia, Decker wstał, aby spróbować kolejnej rozpaczliwej szarży w kierunku, z którego dobiegał głos McKittricka. Jednak kiedy tylko to zrobił, tuż przed nim

wybuch zakołysał dachem, z powrotem go przewracając i odrywając kolejny olbrzymi fragment budynku.

- Nieładnie, nieładnie, ty dupku! Nie poprosiłeś o pozwolenie!

Gdzie on jest? - myślał Decker z przerażeniem. Gdyby McKittrick był na tym dachu, to nie detonowałby bomb, które tutaj ukrył. Nie miałby pewności, że przy okazji sam nie wysadzi się w powietrze. W takim razie gdzie?

Odpowiedź ponownie pojawiła się natychmiast. Musiał być następnym dachu. W świetle odbitych płomieni Decker zobaczył, że kolejny dach jest niższy. McKittrick musi stać na drabince przytwierdzonej do ściany, na skrzyni lub na jakimś rusztowaniu. Z ukrycia może spoglądać ponad krawędzią ściany i chować się podczas detonacji ładunków.

Decker wycelował, zobaczył coś, co mogło być głową powoli wychylającą się z ciemności za budynkiem, zaczął naciskać spust, po czym przestał, kiedy zdał sobie sprawę, że ujrzał jedynie drgający cień wywołany płomieniami.

Za jego plecami ogień jeszcze bardziej się przybliżył, nie zwalniając pomimo nawałnicy.

- To jak będzie? - wrzasnął McKittrick. - Poczekasz, aż się usmażysz? Czy może masz jaja i spróbujesz po mnie przyjść?

O tak, zaraz po ciebie przyjdę, pomyślał Decker z wściekłością. Znalazł na to sposób tuż przed sobą, i to dzięki McKittrickowi - otwór, który ostatnia bomba wyrwała w dachu.

Reagując na nieprzyjemną falę gorąca napływającą z dachu za jego plecami, Decker przeczołgał się przez kałuże, dotarł do mrocznego otworu, chwycił się jego krawędzi, spuścił nogi, zawisł, po czym spadł.

## 5

Wyobraził sobie sterczące ku górze poszarpane deski z dachu, na które zaraz się nadzieje. Zamiast tego wylądował na stole, który załamał się pod jego ciężarem. Stoczył się na bok, na wyściełany fotel, który przewrócił się, zrzucając go na zasypaną gruzem podłogę. Przynajmniej wydawało mu się, że upadł na te przedmioty - zasłony w pomieszczeniu były zaciągnięte, więc panowała niemal całkowita ciemność.

Z góry, przez dziurę w dachu, usłyszał krzyk McKittricka:

- Nie myśl, że uda ci się przede mną ukryć, Decker! Obolały, z trudem wstał i po omacku ruszył przez ciemny pokój, starając się znaleźć wyjście. Wyły alarmy przeciwpożarowe. Decker dotknął włącznika światła, ale nie odważył się go przycisnąć - nagły błysk, widoczny przez otwór w dachu, od razu zdradziłby jego pozycję. Z szybko bijącym sercem dotknął gałki w drzwiach, przekręcił ją i otworzył drzwi, jednak kiedy pomacał przestrzeń za nimi, wpadł na nieprzyjemnie pachnące ubrania i odkrył, że otworzył szafę.

- Decker? - wrzasnął McKittrick z góry. - Jeśli jesteś za tym kominem wentylacyjnym...

Wybuch wstrząsnął mieszkaniem, posypał się tynk. Decker pospiesznie znalazł inne drzwi, otworzył je i poczuł przyływ

entuzjazmu, kiedy ujrzał przytłumione światła za oknami. Znajdował się na końcu korytarza. Spoglądając w dół przez zroszoną deszczem szybę, zobaczył chaotyczną zbieraninę wozów strażackich i policyjnych oraz pracowników służb technicznych zgromadzonych przed budynkiem. Błyskały światła, warczały silniki, wyły syreny. Ubranych w piżamy mieszkańców budynków pospiesznie wyprowadzano na zewnątrz; wejścia jeszcze nie były zagrodzone płomieniami.

Wokół niego wirował dym. Nie mogąc się zatrzymać, aby odpocząć, odwrócił się i pobiegł korytarzem, docierając do tylnej części mieszkania. Minał otwarte drzwi, prowadzące na mroczną klatkę schodową i uznał, że ludzie, którzy tu mieszkali, uciekli.

Ta potencjalna droga ucieczki była dla niego bezużyteczna. Nie miało znaczenia, czy sam ocaleje. Musiał uratować Beth i Esperanzę. Zanim poczuł ostrzegawczy zapach świeżej farby, wpadł na puszkę, zwiniętą płachtę malarską i drabinę. Zataczając się, dotarł do tylnej części budynku i odkrył, że okno prowadzące na schody pożarowe nie znajduje się w sypialni dla gości, ale na końcu korytarza.

Odsunął okno i wyczołgał się na śliską metalową platformę. Płomienie buchające z okien budynku po prawej stronie odbijały się od schodów. Modlił się, aby Renata nie zobaczyła go z dołu, gdy ze zmrużonymi oczami próbował dojrzeć schody pożarowe na niezniszczonej kamienicy po swojej lewej stronie. Miał nadzieję, że znajdują się na tyle blisko, aby mógł na nie przeskoczyć, jednak z rozpaczą musiał uznać swój plan za beznadziejny. Schody były

oddalone o co najmniej sześć metrów. Nawet w optymalnych warunkach, w świetle dnia i przy pełnej dyspozycji, nie mógłby ich dosięgnąć.

Beth umrze, powiedział do siebie.

Krzycząc w myślach, że musi istnieć jakiś sposób, przecisnął się z powrotem do mieszkania. Dym stał się gęstszy, sprawiając, że zgiął się wpół i rozkaszał. Z korytarza wszedł do sypialni, otworzył okno i się przez nie wychylił. Teraz znajdował się bliżej schodów na drugim budynku. Dzielili go od nich nie więcej niż trzy metry, jednak wciąż nie mógł liczyć na to, że uda mu się skoczyć z okna na taką odległość i dotrzeć do platformy.

Musi istnieć jakiś sposób!

Poczuł na plecach dreszcz, kiedy znalazł rozwiązanie. Wybiegł z powrotem na korytarz. Płomienie zaczęły przegryzać się przez ścianę. Omijając puszki z farbą chwycił drabinę, o którą wcześniej prawie się potknął, i zaniósł ją do sypialni. Proszę, Boże, niech okaże się wystarczająco długa. Z trudem zbierając siły, przepchnął drabiną przez otwarte okno i wycelował ją w stronę schodów pożarowych na sąsiednim budynku. Błagam!

Wzdrygnął się, słysząc zgrzyt drewna o metal. Końcówka drabiny otarła się o barierkę na platformie. Czy McKittrick to usłyszał?

Coś huknęło. Kolejny wybuch? Czy Beth i Esperanza już nie żyją?

Nie ma czasu! Decker wyczołgał się przez okno i rozciągnął na szczelach drabiny. Była już śliska od deszczu. Drabina ugięła się pod jego ciężarem. Zaczęła drgać. Wyobraził sobie, jak pęka. Wyrzucił z umysłu koszmarny obraz upadku na betonowe podwórze i skupił całą uwagę na schodach, do których się zbliżał. Trzęsły mu się ręce. Zamrugał pod wpływem deszczu. Wiatr skręcił drabinę. Nie! Wyciągnął lewą rękę jak najdalej przed siebie, sięgając barierki, i wtedy silniejszy podmuch całkowicie obrócił drabinę.

Jej końcówka ześlizgnęła się z barierki. Kiedy Decker poczuł przyprawiające o zawroty głowy przyciąganie ziemskie i zaczął spadać razem z drabiną, skoczył przez ciemność. Lewą ręką chwycił się barierki. Jednak prawie rozluźnił uchwyt na śliskim, mokrym metalu. Zrzucił do góry drugą rękę, zacisnął palce prawej dłoni wokół barierki i zawisł, pozbawiony tchu.

Drabina z hukiem runęła na ziemię. Ktoś na dole krzyknął. Czy McKittrick to usłyszał? Czy domyśli się, co te dźwięki oznaczają? Czy przyjdzie sprawdzić, co się stało?

Zwisając z barierki, nadwerężając sobie ręce, Decker powoli się podciągnął. Deszcz zalewał mu twarz. Krzywiąc się, podciągnął się wyżej. Otarł się o barierkę klatką piersiową. Zgiął się do przodu i upadł na platformę.

Wzdrygnął się, słysząc wibrujący odgłos, jaki wywołał, padając na metal. Drżąc, stanął na nogi i wyciągnął pistolet z kieszeni spodni. Wpatrując się w dach, przygotowany do oddania strzału, zakradł się w

górze ostatniego biegu schodów. Jeszcze nigdy nie czuł się tak wyczerpany. Jednak determinacja nie pozwalała mu się poddać.

Dotarł na szczyt i uważnie rozejrzał się po całym dachu.

McKittrick znajdował się w trzech czwartych długości ściany prowadzącej na dach, na którym byli uwięzieni Beth i Esperanza. Stojąc w połowie wysokości drabiny przymocowanej do ściany, wyglądał ponad krawędzią mogąc zdalnie detonować bomby bez ryzyka odniesienia obrażeń.

Decker zaczął skradać się ku niemu w strugach deszczu.

- Gdzie jesteś, do cholery? - wykrzyknął McKittrick w kierunku drugiego dachu. - Odpowiadaj, albo rozsmaruję tę kobietę po całym Manhattanie! Leży obok paczki C4! Wystarczy, że nacisnę guzik!

Decker bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnął strzelić, raz za razem pociągać za spust, jednak się na to nie odważył, bojąc się, że McKittrickowi wystarczy sił, aby uruchomić detonator i zabić Beth kilka sekund przed tym, zanim Decker zdoła ją uratować.

Stukot ciężkich kroków na schodach pożarowych sprawił, że Decker przypadł do ziemi, chowając się za kominem wentylacyjnym. Nie przejmując się czynionym hałasem, kilka mrocznych postaci pojawiło się na szczycie metalowych schodów. McKittrick obrócił się w stronę przybyszy, którymi okazali się trzej strażacy. Z ich kasków ściekała woda, a w zmoczonych deszczem, ciężkich gumowych płaszczach i butach odbijały się płomienie. Zahaczywszy się lewą ręką o szczebel drabinki, McKittrick prawą ręką wyciągnął pistolet zza paska. Zastrzelił całą trójkę. Dwaj strażacy upadli tam, gdzie stali.

Trzeci zatoczył się do tyłu i runął z krawędzi dachu. Huk płomieni zagłuszył wystrzały i krzyk spadającego mężczyzny.

Lewą ręką wciąż obejmując drabinę, McKittrick zaczął niezgrabnie wpychać pistolet za pasek. W lewej dłoni wciąż trzymał detonator. Korzystając z rozproszenia McKittricka, Decker wygramolił się zza komina wentylacyjnego, dotarł do dolnej części drabiny i skoczył, rozczapierzoną dłonią sięgając po detonator. Złapał go i opadając, wyrwał się z uścisku McKittricka, prawie ściągając mężczyznę z drabiny. McKittrick zaklął i spróbował ponownie unieść pistolet, ale ten go zaczepił mu się o pasek. Kiedy Decker strzelił, było już za późno - McKittrick zrezygnował z prób wyjęcia broni i zeskoczył z drabiny. Gdy pocisk wbił się w ścianę, McKittrick zderzył się z Deckerem, padając wraz z nim na dach i przetaczając się przez kałuże.

Decker miał zajęte ręce, w lewej trzymając detonator, a w prawej pistolet, i znajdował się w zbyt niewygodnej pozycji, aby móc wycelować broń. Spadając na Deckera, McKittrick uderzył go pięścią i sięgnął po detonator. Decker kopnął McKittricka kolaniem i przetoczył się, aby zyskać dystans umożliwiający wycelowanie, ale cios w krocze okazał się zbyt słaby i ból nie przeszkodził McKittrickowi w rzuceniu się za Deckerem, zadaniu mu kolejnego ciosu, uderzeniu go kantem dłoni w prawy nadgarstek i wytrąceniu pistoletu. Broń z pluskiem wylądowała w kałuży, ale kiedy McKittrick ku niej skoczył, Deckerowi udało się wymierzyć mu niezbyt celne kopnięcie, które jednak odrzuciło go od pistoletu.

Decker zatoczył się do tyłu. Uderzył w gzyms i prawie spadł z dachu. McKittrick ponownie sięgnął po pistolet trzymany za paskiem. Decker nie miał pojęcia, gdzie upadła jego własna broń. Mocno ściskając detonator, zanurkował, aby ukryć się na schodach pożarowych. Poczuł, że jego but ślizga się na czymś, co upuścił jeden ze strażaków, zrozumiał, co to takiego, podniósł toporek wolną ręką i cisnął go w kierunku McKittricka, w chwili gdy ten wyszarpnął pistolet zza paska.

Decker usłyszał, że McKittrick się śmieje. Następnie do jego uszu dotarł odgłos uderzenia toporka w twarz. Początkowo Decker myślał, że trafił tępą stroną. Jednak toporek nie opadł. Został na miejscu, tkwiąc w czole McKittricka, który zatoczył się jak pijany, po czym upadł.

Ale to nie wystarczyło. Decker skoczył do przodu, podniósł broń McKittricka i mając nadzieję, że huk pożaru zagłuszy hałas, trzykrotnie strzelił mu w głowę.

**6**

- Decker!

Był tak wytrącony z równowagi, że początkowo nie skojarzył, że Esperanza go woła.

- Decker!

Odwrócił się i zobaczył Esperanzę na dachu, na którym McKittrick zdetonował ładunki wybuchowe. Za Esperanza w górę wzbijały się płomienie, sycząc na deszczu.

Decker postawił krok, ale się zachwiał. Szok i zmęczenie wreszcie go dopadły. Jednak nie mógł się zatrzymać. Nie teraz, kiedy był tak blisko uratowania Beth. Półprzytomny dotarł do drabinki. Sam nie wiedział, w jaki sposób dostał się na górę. Razem z Esperanza minęli dziury w dachu i znaleźli Beth, rozpaczliwie starającą się odczołgać dalej od pożaru. Tuż za nią cerata, na której leżała, zajęła się ogniem.

Kiedy Decker pomagał podnieść Beth, w blasku płomieni ukazały się nowe obrażenia, które odniósł.

- McKittrick nie żyje.

- Dzięki Bogu - wymamrotała Beth.

- Ale wciąż musimy się martwić Renatą. Podpierając Beth z obu stron, potykając się, oddalili się od żaru płomieni i ruszyli w kierunku drabiny.

Decker ponownie stracił świadomość. Nie pamiętał, jak znieśli Beth po drabince, ale zachował wystarczającą przytomność umysłu, aby się zatrzymać i oprzeć ją o Esperanzę, kiedy zrównał się z ciałem McKittricka.

- Co się stało? - spytał Esperanza. - Dlaczego się zatrzymujesz?

Zbyt zmęczony, aby tłumaczyć, Decker przeszukał mokre ubranie McKittricka i znalazł to, czego potrzebował: kluczyki do samochodu. Przez telefon McKittrick chwalił się, że z jednej z bram obserwował, jak Decker podjeżdża pod kamienicę. Mieli duże szanse znaleźć pontiaca, z którego korzystał.

Ale to nie wszystko, co musiał znaleźć. McKittrick wytrącił mu pistolet z dłoni. Nie można go było tutaj zostawić. Decker spróbował odtworzyć przebieg walki i natknął się na broń w kałuży. Jednak kiedy schował pistolet za pasek, z niezadowoleniem zrozumiał, że musi zrobić coś jeszcze. Zatoczył się pod wpływem zawrotów głowy.

- To się nigdy nie kończy.

- O czym ty mówisz?- McKittrick. Nie możemy go tak zostawić. Nie chcę, aby został zidentyfikowany.

Ciało McKittricka okazało się trudne do niesienia i ciężkie, kiedy dźwigali je w stronę drabiny. Esperanza wszedł na dach. Decker z trudem wrzucił za nim zwłoki, po czym wspiął się w ślad za nimi. Chwycili McKittricka za ręce i nogi, podeszli na tyle blisko płomieni, na ile starczyło im odwagi, po czym go upuścili. Ciało zniknęło w ogniu. Decker rzucił za nim strażacki toporek.

Cały czas obawiał się Renaty. Razem z Esperanza ostrożnie wrócili do miejsca, w którym położyli Beth. Ruszyli z nią w dalszą drogę w poprzek dachu, zdecydowani skorzystać z najdalszych schodów pożarowych, które nie sprowadzą ich w miejsce, w którym czekała na nich Renata.

- Może istnieje inna droga - rzekł Esperanza. Poprowadził ich w stronę przypominającej szopę budowli na następnym dachu, jednak kiedy spróbował otworzyć drzwi, okazało się, że są zamknięte. - Odwróćcie głowy. - Stanąwszy pod kątem, który zmniejszał ryzyko trafienia rykoszetem, kilkakrotnie strzelił w drewno wokół zamka. Fragment drzwi przestał istnieć i Esperanza otworzył je kopniakiem.

W środku, osłonięta przed deszczem, znajdowała się blado oświetlona, pusta klatka schodowa. Nie było w niej słychać odgłosów mieszkańców zbiegających po schodach.

- Musieli usłyszeć syreny. Budynek pewnie został ewakuowany  
- odezwał się Decker.

- Ale pożar nie dotarł tak daleko. Można bezpiecznie skorzystać z windy - odrzekł Esperanza.

Winda zabrała ich na parter. Wyszli na zaśmieconą ogarniętą chaosem ulicę, przytłoczeni hałasem silników, szumem lanej wody i krzykami ludzi, z trudem przedostając się przez tłum. Mrużyli oczy pod wpływem migających świateł.

- Mamy tutaj ranną kobietę - powiedział Esperanza. -  
Przepuście nas.

Przecisnęli się w prawą stronę wzdłuż chodnika, minęli wóz strażacki i schowali się przed sanitariuszami, którzy pędzili do kogoś po drugiej stronie ciężarówki. Decker czuł, że Beth kuli się z bólu przy każdym ruchu.

- Jest pontiac - rzekł Esperanza.

Stał blisko rogu ulicy, nowy model, niebieski, najwyraźniej ten, którego prowadził McKittrick. Kiedy Decker spróbował otworzyć drzwi od strony pasażera, okazało się, że kluczyk pasuje.

Trzydzieści sekund później Beth leżała na tylnym siedzeniu, Decker klęczał obok niej na podłodze, a Esperanza siedział za kierownicą. Drogę blokowała im karetka.

- Przytrzymaj Beth - polecił Esperanza.

- Co zamierzasz zrobić?

- Znaleźć objazd.

Włączył silnik, wrzucił bieg i zaczął gwałtownie kręcić kierownicą w prawo. Wcisnął gaz i samochód wskoczył na chodnik.

Beth jęknęła pod wpływem wstrząsu. Decker oparł się o nią by nie ześlizgnęła się z siedzenia. Przechodnie rozbiegli się na boki, kiedy Esperanza skierował pontiaca wzdłuż chodnika, dotarł do roku ulicy i zeskoczył z krawężnika.

Beth stęknęła, odczuwając jeszcze silniejszy ból.

- To wystarczy. - Esperanza zerknął w lusterko, popędził do kolejnego narożnika i skręcił. - Nikt za nami nie jedzie. Teraz możecie się już odprężyć, ludzie. Cieszcie się przejazdą.

Decker nie potrzebował zachęty. Był tak wyczerpany, że nawet oddychanie sprawiało mu trudność. Co gorsza, nie mógł zapanować nad dygotaniem, częściowo ze względu na skutki przyływu adrenaliny, ale przede wszystkim, z czego zdawał sobie sprawę, z powodu dogłębnego wyziębienia po spędzeniu tak długiego czasu na deszczu.

- Esperanza?

- Co?

- Znajdź jakieś miejsce, w którym będziemy się mogli zatrzymać. Szybko.

- Czy coś...

- Chyba zaraz dostanę... - głos Deckera drżał - ...hipotermii.

- Jezu.

- Muszę zdjąć te mokre ubrania.

- Włóż sobie ręce pod pachy. Nie zasypiaj. Czy macie tam z tyłu jakiś koc?

- Nie. - Decker szczekał zębami.

- W tej chwili mogę jedynie włączyć ogrzewanie - rzekł Esperanza. - Znajdę jakiś bar i kupię gorącą kawę. Trzymaj się, Decker.

- Trzymać się? Pewnie. Siebie samego. Tak mocno się chwyciłem, że...

- Przytul się do mnie - powiedziała Beth. - Mocniej.

Skorzystaj z mojego ciepła.

Jednak niezależnie od tego, jak bardzo się do mej przyciskał, jej głos i tak wydawał się dobiegać z bardzo daleka.

## **Rozdział dwunasty**

### **1**

Deckerowi śniła się Renata: wysoka, szczupła, ciemnowłosa kobieta o groteskowym głosie, z dziurą w szyi. Wydawało mu się, że pochyła się nad nim, zamierzając roztrzaskać mu głowę kamieniem, ale zanim zdążył przygotować się do zadania jej ciosu, jego umysł otrzeźwiał na tyle, że zdał sobie sprawę, iż to nie Renata się nad nim nachyla, tylko Beth, i trzyma nie kamień, lecz myjkę.

Był z nią ktoś jeszcze - Esperanza - kto przytrzymał go w pozycji leżącej.

- Spokojnie. Nic ci nie grozi. Próbujemy ci pomóc. Oszołomiony Decker kilkakrotnie zamrugał, niczym pod wpływem kaca, starając się

zrozumieć, co się dzieje. Bolało go całe ciało. Piekły go ręce i twarz. Mięśnie boleśnie pulsowały. Odczuwał najgorszy ból głowy w życiu. Na drugim planie blade światło słoneczne z trudem przedostawało się do pomieszczenia przy krawędziach zaciągniętych zasłon.

- Gdzie...?

- W motelu na przedmieściach Jersey.

Rozejrzał się po mrocznym wnętrzu i stwierdził, że nieprzyjemnie przypomina ono motel, w którym McKittrick więził Beth.

- Jak długo...? Która jest...?

- Prawie dziewiętnasta. - Beth, która siedziała obok niego, opierając ciężar ciała na zdrowej nodze, położyła mu myjkę na czole. Materiał był nasączony gorącą wodą. Ciało Deckera od razu wchłonęło ciepło.

- To jedno z tych miejsc, w których nikt nie zadaje pytań - wyjaśnił Esperanza. - Segmenty mieszkalne znajdują się na tyłach biura. Recepcjonista nie widzi, kto wchodzi do pokoiów.

Tak samo jak w motelu, w którym McKittrick więził Beth, ponownie pomyślał Decker z niepokojem.

- Dotarliśmy tutaj około szóstej rano - powiedziała Beth. - Licząc czas w samochodzie, spałeś prawie trzynaście godzin. Zaczęłam się bać, że już się nie obudzisz.

Esperanza wskazał na łazienkę.

- Nie było łatwo zdjąć ci ubranie i włożyć cię do wanny. W przypadku hipotermii na początku woda musi być letnia. Powoli

zwiększałem temperaturę. Kiedy nabrałeś kolorów, wyciągnąłem cię, wytarłem i położyłem do łóżka, przykrywając wszystkimi trzema kocami, jakie znalazłem na półce. Beth pozbyła się swoich mokrych ciuchów, wysuszyła się i położyła obok ciebie, pomagając cię ogrzać. Napoiłem cię gorącą kawą. Człowieku, nigdy nie widziałem kogoś tak wyczerpanego.

Beth wciąż ocierała Deckerowi twarz.

- Oraz tak posiniaczonego i pokaleczonego. Twarz nie przestaje ci krwawić.

- Miewałem łatwiejsze noce. - Decker czuł suchość w ustach. - Chętnie... napiłbym się wody.

- Musi być gorąca - odparł Esperanza. - Przykro mi, ale chcę się upewnić, że odzyskasz ciepłotę ciała. - Nalał parującej wody z termosu do styropianowego kubka i podsunął go Deckerowi do ust. - Ostrożnie.

Smakowało gorzej, niż Decker się spodziewał.

- Wrzuć do niej torebkę herbaty. Skąd masz...? - Wskazał termos.

- Nie próżnowałem. Kiedy ty odpoczywałeś, wybrałem się na zakupy. Mamy jedzenie i ubranie, kule dla Beth i...

- Zostawiłeś nas samych? - spytał Decker zaniepokojony.

- Beth miała twój pistolet. Boli ją noga, ale mogła usiąść na fotelu i obserwować drzwi. Nie widziałem powodu, aby nie zdobyć tego, czego potrzebujemy.

Decker spróbował usiąść.

- Renata. Oto powód.

- Niemożliwe, aby nas śledziła - odparł Esperanza. - Byłem wyjątkowo ostrożny. Kiedy tylko nachodziły mnie choćby najdrobniejsze wątpliwości, okrążałem najbliższe zabudowania lub skręcałem w alejkę. Zauważyłbym światła samochodu jadącego za nami.

- Nam udało się śledzić McKittricka - rzekł Decker.

- Bo mieliśmy odbiornik. Czy wydaje ci się prawdopodobne, aby McKittrick i Renata umieścili nadajnik we własnym samochodzie? Ona nawet nie miała czym nas śledzić.

- Mogła ukraść samochód.

- Musiałyby wiedzieć, że już nie jesteśmy na dachu i ukradliśmy jej wóz. A jeśli nawet, to zanim udałoby jej się uruchomić czyjś samochód, byłibyśmy już daleko. Nie mogła wiedzieć, w którą stronę odjechaliśmy. Uspokój się, Decker. Ona już nam nie zagraża.

- Chwilowo. - Ten komentarz nie pochodził od Deckera, ale od Beth. - Ale będzie - dodała z powagą.

- Tak - zgodził się Decker. - Skoro Renata zadała sobie tyle trudu, aby zemścić się na mnie za zabicie jej dwóch braci, to teraz nie zrezygnuje. Będzie jeszcze bardziej zdeterminowana.

- Zwłaszcza że mamy pieniądze - stwierdziła Beth. Decker był zbyt zaskoczony, aby cokolwiek powiedzieć.

Spojrzał na Esperanzę.

- Po przyjechaniu do motelu, kiedy ty i Beth odpoczywaliście, zajrzałem do bagażnika pontiaca - wyjaśnił policjant. - Oprócz

materiałów wybuchowych, w ilości wystarczającej, aby wysadzić Statuę Wolności, znalazłem to. - Wskazał wypchaną torbę na ramię leżącą na podłodze obok łóżka. - Milion dolarów.

- Jasna... - Deckerowi ponownie zakręciło się w głowie ze zmęczenia.- Nie próbuj siadać - pouczyła go Beth. - Robisz się błądy. Cały czas leż.

- No to Renata na pewno będzie nas szukać. Zamykając oczy, poddając się wyczerpaniu, Decker sięgnął ręką aby dotknąć Beth, ale stracił świadomość i nawet nie poczuł, kiedy jego ręka opadła.

## 2

Kiedy znów się obudził, w pomieszczeniu było całkiem ciemno. Wciąż był półprzytomny. Nadal bolało go całe ciało. Jednak musiał się ruszyć i skorzystać z toalety. Niezaznajomiony z motelowym pokojem, zanim zorientował się w jego rozkładzie, wpadł na ścianę, uderzając się w ramię. Wszedł do łazienki, zaniknął drzwi i dopiero wtedy zapalił światło, nie chcąc obudzić Beth. Jego odbicie w lustrze sprawiało szokujące wrażenie: nie tylko siniaki i zadrapania, ale także ciemnoniebieskie kręgi wokół oczu oraz wychudzone, zarośnięte policzki.

Kiedy już ulżył pęcherzowi, spuścił wodę, mając nadzieję, że nie zbudzi Beth. Jednak kiedy zgasił światło i otworzył drzwi, odkrył, że górne światła w pokoju są zapalone. Beth siedziała na łóżku, gdzie razem spali. Esperanza opierał się na poduszce na innym pościeliu.

- Przepraszam - odezwał się Decker.

- Nie obudziłeś nas - odrzekł Esperanza.

- Czekaliśmy, aż wstaniesz - wyjaśniła Beth. - Jak się czujesz?

- Tak jak wyglądam. - Pokuśtykał w stronę Beth. - A ty? Jak ty się czujesz?

Zmieniła pozycję i się skrzywiła.

- Noga mi spuchła. Boli. Ale rana nie wygląda na zakażoną.

- Przynajmniej to jedno toczy się po naszej myśli. - Decker opadł na łóżko i owinał się kocem. Potarł skronie. - Która godzina?

- Druga w nocy. - Esperanza włożył spodnie i wstał z łóżka. - Czy czujesz się wystarczająco przytomny, aby przedyskutować kilka spraw?

- Strasznie zaschło mi w gardle. - Decker uniósł ręce, jak gdyby się bronił. - Ale nie chcę tego cholernego wrzątku.

- Kupiłem gatorade. Co ty na to? Możesz uzupełnić elektrolity.

- Świetnie.

Napój miał pomarańczowy smak i Decker od razu wypił ćwierć butelki.

- A może coś zjesz? - spytał Esperanza.

- Mój żołądek nie działa za dobrze, ale lepiej spróbuję coś przełknąć.

Esperanza otworzył niewielką przenośną lodówkę.

- Mam kanapki z tuńczykiem, kurczakiem, salami.

- Z kurczakiem.

- Łap.

Decker z zaskoczeniem stwierdził, że udało mu się to zrobić. Odwinął folię z kanapki i wgrzył się w pozbawiony smaku biały chleb i przypominającego teksturę kurczaka.

- Pyszne.

- Dla ciebie tylko to, co najlepsze.

- Musimy postanowić, co robimy. - Poważny ton Beth kontrastował z humorystycznymi komentarzami Esperanzy.

Decker spojrzał na nią i czule wziął ją za rękę.

- Tak. W Departamencie Sprawiedliwości nie będą zadowoleni, że nie pojawiłaś się, aby zeznawać. Będą cię szukać.

- Zająłam się tym - odparła Beth.

- Zająłaś się...? - Decker się zaniepokoił. - Nie rozumiem.

- Esperanza podwiózł mnie do automatu. Zadzwoiłam do swojego kontaktu w Departamencie Sprawiedliwości i dowiedziałam się, że nie muszę zeznawać. Wielka ława przysięgłych miała się zebrać, aby zdecydować o postawieniu Nicka Giordana w stan oskarżenia, ale skoro on nie żyje, to Departament Sprawiedliwości twierdzi, że nie ma sensu dalej ciągnąć tej sprawy. - Beth się zawahała. - Zabiłeś też Franka Giordana?

Decker nic nie odpowiedział. - Dla mnie?

- Pamiętaj, że jesteś w towarzystwie funkcjonariusza policji - odpowiedział Decker.

Esperanza zerknął na swoje dłonie.

- Może powinienem wybrać się na spacer.

- Nie miałem na myśli...

- Nie czuję się urażony. Macie wiele spraw do omówienia. Przyda wam się odrobina czasu tylko we dwoje.

Założył buty, złapał koszulę, skinął głową i wyszedł. Beth poczekała, aż zamkną się za nim drzwi.

- Esperanza mniej więcej opowiedział mi, przez co przeszedłeś wczoraj wieczorem. - Sięgnęła po jego dłoń. - Nigdy nie zdołam ci się odwdzięczyć.

- Musisz tylko mnie kochać. Zaskoczona przekrzywiła głowę.

- W twoich ustach brzmi to tak, jakbym musiała się do tego zmuszać. Przecież cię kocham.

Nigdy wcześniej mu tego nie mówiła. Długo wyczekiwane słowa oszołomiły go i przepełniły ciepłem. Przyglądał się jej oczami pełnymi emocji. Siedząca przed nim blada kobieta o wychudłej twarzy, zapadniętych oczach i potarganych włosach nie przypominała seksownej piękności, którą znał w Santa Fe. To dla niej tyle wycierpiał. Narzązał życie, i to wielokrotnie. Był gotów pójść wszędzie i zrobić wszystko, aby tylko ją ocalić.

Miał ściśnięte gardło.

- Jesteś piękna.

Jej policzki znów nabrały rumieńców.

- Nie mógłbym dalej żyć bez ciebie - rzekł Decker. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Popatrzyła na Deckera jak nigdy przedtem, po czym go przytuliła, a ich uścisk, choć bolesny z powodu obrażeń, był intensywny i silny.

- Nie zasługuję na ciebie.

Już wcześniej mu to powiedziała, kiedy pomógł jej się wydostać na schody pożarowe z mieszkania lekarza. Czy słowa „nie zasługuję na ciebie” to kolejny sposób wyrażenia uczuć, czy też Beth faktycznie tak uważała, ponieważ go wykorzystwała i teraz odczuwała wstyd?

- Co się stało? - spytała.

- Nic.

- Ale...

- Musimy się zatroszczyć o wiele spraw - odrzekł Decker szybko. - Czy twój kontakt w Departamencie Sprawiedliwości pytał o McKittricka?

- Żeby to raz. - Sprawiała wrażenie zaskoczonej nagłą zmianą tematu i tym, w jaki sposób intymność ustąpiła miejsca sprawom praktycznym. - Powiedziałam mu, że podejrzewam McKittricka o poinformowanie rodziny Giordana o tym, że ukrywałam się w Santa Fe. Przyznałam, że od samego początku byłam podejrzliwa wobec McKittricka, i wymknęłam mu się, kiedy przyjechaliśmy do Nowego Jorku. Powiedziałam, że nie mam pojęcia, gdzie się podziewa.

- Dalej im to powtarzaj. Kiedy ciało McKittricka zostanie odnalezione w zgliszcach, władze będą miały kłopoty z jego identyfikacją. Nie wiedzą czyich zdjęć uzębienia użyć do analizy porównawczej, więc możliwe, że nigdy go nie zidentyfikują. Jego zniknięcie pozostanie tajemnicą. Będzie wyglądało na to, że uciekł przed więzieniem. Najważniejsze, żebyś nie okazywała wahania. Cały czas trzymaj się wersji, że nie masz pojęcia, co się z nim stało.

- Będę im musiała wyjaśnić, gdzie byłam od sobotniego popołudnia, kiedy opuściłam Santa Fe - stwierdziła Beth.

- Zadzwoń w tej sprawie. Mój były współpracownik mieszka na Manhattanie i jest mi winien przysługę. Jeżeli Departament Sprawiedliwości potrzebuje od ciebie alibi, to on ci je zapewni. Będą pytali, co cię z nim łączy. Powiedz, że wspominałem ci o nim w Santa Fe jako o starym przyjacielu i chciałem, abyś go odwiedziła podczas pobytu w Nowym Jorku. To zrozumiałe, że postanowiłaś do niego uciec, kiedy wyniknęłaś się z rąk McKittrickowi.

- Pozostaje jeszcze jeden problem... Ty.

- Nie rozumiem.

- Esperanza i ja nie musimy się martwić, że nasze odciski palców zostaną zidentyfikowane. Oldsmobil spłonął. Podobnie pokój w motelu w Closter oraz mieszkanie lekarza na Manhattanie. Ale co z twoimi odciskami palców? Kiedy spałeś, włączyliśmy telewizor, więc wiemy, jak władze zareagowały na to, co się stało wczoraj wieczorem. FBI włączyło się do śledztwa w sprawie śmierci w rodzinie Giordano. Pojawiły się doniesienia, że udało im się zdjąć odciski palców z narzędzia zbrodni pozostawionego w domu Nicka Giordana. Z pogrzebacza. - Wyglądało na to, że Beth czuje się nieswojo, myśląc o brutalnych konsekwencjach takiego wyboru broni.

- I co?

- Władze uważają że to mafijne porachunki, wojna między dwoma gangami. Ale kiedy zidentyfikują twoje odciski palców, wtedy...

- Dowiedzą się, że należą do mężczyzny, który zmarł piętnaście lat temu.

Beth spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Gdzie chciałabyś mieszkać? - spytał Decker.

- Mieszkać? - Wydawała się zbita z tropu kolejną nagłą zmianą tematu. - Oczywiście w Santa Fe.

- Ze mną?

- Tak.

- To nie najlepszy pomysł - odparł Decker.

- Przecież mafia już mnie nie szuka.

- Ale Renata to robi. - Na chwilę umilkł, pozwalając, aby cisza podkreśliła jego słowa. - Jak długo żyję, Renata może próbować cię wykorzystać, aby się na mnie zemścić. Nie będziesz bezpieczna.

Beth jeszcze bardziej pobladła.

- Nic się nie zmieniło - rzekł Decker. - Dlatego spytam cię jeszcze raz: gdzie chciałabyś mieszkać?

Wydawało się, że w jej oczach coś umarło.

- Gdybyśmy się rozstali - zaczął Decker.

- Rozstali? - Beth wyglądała na zszokowaną. - A niby dlaczego mielibyśmy...

- Gdybyśmy publicznie się pokłócili w Santa Fe, w samo południe w Escalerze lub innej popularnej restauracji, gdyby się rozniosło, że już nie jesteśmy parą, Renata mogłaby uznać, że nie ma sensu cię krzywdzić, gdyż nie sprawiłaby mi cierpienia, zabijając kogoś, na kim mi nie zależy. Beth była coraz bardziej zszokowana.

- Tak naprawdę - rzekł Decker, pozostawiając jej otwartą furtkę, pragnąc poznać prawdę - im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że Renata dałaby ci spokój, gdybyśmy ze sobą zerwali.

- Ale... - Głos odmówił Beth posłuszeństwa. Nie mogła wydobyć z siebie dźwięku.

- Musiałoby to wyglądać przekonująco - kontynuował Decker. - Mógłbym cię oskarżyć o to, że od początku naszej znajomości wiedziałaś, kim jestem. Mógłbym urządzić ci scenę, zarzucając, że tylko udawałaś, że mnie kochasz, że przekupiłaś mnie seksem, a potrzebowałaś jedynie ochroniarza mieszkającego w sąsiedztwie i czasem pojawiającego się w twoim domu. W twoim łóżku.

Beth zaczęła szlochać.

- Mógłbym wszystkim powiedzieć, że byłem głupcem, na próżno narażając życie. Gdyby Renata miała mnie na oku, dowiedziałyby się o kłótni. Uwierzyłyby w nią. Zwłaszcza jeśli wyjechałbym z Santa Fe, a ty byś tam została.

Jeszcze mocniej się rozpląkała.

- Kto zabił twojego męża? - spytał Decker. Nie odpowiedziała.

- Pewnie moglibyśmy pokusić się o wymyślenie kilku teorii - rzekł Decker. - Być może ktoś z jego organizacji, na przykład jeden ze strażników, zastrzelił go, zabrał pieniądze i zrzucił winę na ciebie. Albo syn Nicka Giordana, Frank, zazdroszcząc twojemu mężowi uwagi, jaką poświęcał mu jego ojciec, postanowił pozbyć się konkurenta i obciążyć ciebie. - Decker czekał. - Która z tych teorii bardziej ci się podoba?

Beth otarła oczy.

- Żadna.

- A więc...?

- Ja to zrobiłam - odrzekła Beth. Decker się wyprostował.-  
Zastrzeliłam swojego męża. Ten sukinsyn już nigdy mnie nie uderzy.

- Zabrałaś pieniądze?

- Tak.

- To dlatego mogłaś sobie pozwolić na dom w Santa Fe?

- Tak. Pieniądze znajdują się na numerycznym koncie bankowym na Bahamach. Departament Sprawiedliwości nie mógł się do nich dostać, więc pozwolili mi z nich korzystać, zwłaszcza że potrzebowali moich zeznań.

- Czy wiedziałaś, kim jestem, zanim mnie spotkałaś?

- Tak.

- A więc rzeczywiście mnie wykorzystywałaś?

- Przez pierwszych czterdzieści osiem godzin. Nie podejrzewałam, że tak bardzo na mnie podziałaś. Na pewno nie oczekiwałam, że się w tobie zakocham.

Krew pociekła z jednej z otwartych ran na twarzy Deckera.

- Chciałbym ci wierzyć.

- Zawsze pociągało mnie życie na południu Francji - rzekła niespodziewanie.

Teraz to Decker dał się zaskoczyć.

- Słucham?

- Nie na Rivierze. W głębi kraju - odrzekła Beth. - Południowo-Zachodnia Francja. Pireneje. Kiedyś czytałam o nich artykuł w czasopiśmie podróżniczym. Zdjęcia dolin pokrytych pastwiskami i lasami oraz strumieni spływających z gór były niesamowicie piękne. Myślę, że mogłabym tam namalować wiele dobrych obrazów... Jeśli tylko byłbyś tam ze mną.

- Wiedząc, że narażałabyś w ten sposób życie, gdyż Renata chciałaby za twoim pośrednictwem dobrać się do mnie?

- Tak.

- Do końca swoich dni, ciągle oglądając się przez ramię?

- Bez ciebie - dotknęła krwi ciekącej z rozcięcia na jego twarzy  
- nie miałabym na co czekać w życiu.

- W takim razie - odrzekł Decker - wracamy do Santa Fe.

**3**

- Jesteś pewny, że to dobry pomysł? - spytał Esperanza.

- Nie. Ale ma więcej sensu niż inne rozwiązania - odparł Decker.  
Znajdowali się w hałaśliwej, zatłoczonej hali międzynarodowego lotniska w Newark. Decker właśnie wrócił ze stanowiska United Airlines, dołączając do Esperanzy i Beth, którzy czekali na niego we wnęce obok toalet i monitorów z rozkładem lotów. Wręczył im bilety.  
- Lecimy o ósmej trzydzieści. Przesiadamy się w Denver i lądujemy w Albuquerque dziś po południu o dwunastej czterdzieści osiem.

- Te miejsca nie są obok siebie - zauważyła Beth.

- Dwa z nich tak. Jedno z nas będzie musiało usiąść dalej z tyłu.

- Ja tam usiądę - rzekł Esperanza. - Będę sprawdzał, czy jacyś pasażerowie szczególnie się wami nie interesują.

- Z tymi kulami raczej nie uniknę rzucania się w oczy - stwierdziła Beth.

- A zadrapania na mojej twarzy bardzo zaintrygowały kobietę przy stanowisku United. - Decker rozejrzał się, aby sprawdzić, czy nikt ich nie słyszy. - Ale nie widzę możliwości, aby Renata mogła przewidzieć, z którego lotniska skorzystamy. Nie sądzę, aby była gdzieś w okolicy. Zaczniemy się martwić, kiedy wrócimy do Santa Fe.

- Jesteś pewny, że będzie tam na nas czekać? - spytała Beth.

- A jaki ma wybór? Gdzieś musi zacząć nas szukać, a Santa Fe wydaje się najlepszym punktem wyjścia. Wie, że jeśli nie zamierzam tam mieszkać, to będę musiał sprzedać dom i przenieść konto bankowe. Będzie chciała być w pobliżu, aby przekonać handlarza nieruchomości lub kierownika banku do zdradzenia, gdzie są wysyłane pieniądze.

Beth ze zmarszczonymi brwiami przyjrzała się szybko przechodzącym pasażerom, jak gdyby obawiała się, że Renata nagle wyskoczy spośród nich.

- Przecież takie informacje są tajne. Nie może tak po prostu wejść do agencji handlu nieruchomości lub do banku i oczekiwać, że ktoś poda jej nasz nowy adres.

- Chodziło mi raczej o przystawienie pistolem do głowy sprzedawcy lub kierownikowi banku, kiedy będą wracać z pracy do

domu - odparł Decker. - Renata to specjalistka od zastraszania. Poza faktem, że mnie nienawidzi, bo zabiłem jej braci, motywuje ją milion dolarów, który mam w torbie. Zrobi wszystko, co możliwe, żeby wyrównać rachunki. Na jej miejscu czekałbym w Santa Fe, dopóki nie dowiedziałbym się, gdzie zacząć polowanie.

Esperanza zerknął na zegarek.

- Lepiej chodźmy już do naszej bramki.

Niechętnie pokazując się ludziom, opuścili wnękę i ruszyli przez tłum. Decker i Esperanza szli po obu stronach Beth, aby upewnić się, że nikt na nianie wpadnie, kiedy będzie wspierała się na kulach. Jednak wcale nie wyglądała niepewnie. Chociaż nie miała zbyt wielu okazji do ćwiczeń, jej naturalna sprawność fizyczna pozwalała jej utrzymywać pewny krok.

Decker poczuł nagły przyływ podziwu dla Beth. Wyglądała na zdeterminowaną nie zwracała uwagi na ból i była gotowa na wszystko, co konieczne.

A jak to jest z tobą? - spytał Decker sam siebie. Przeszedłeś cholernie dużo. Czy jesteś gotowy?

Na wszystko.

Jednak nie był ze sobą całkowicie szczery. Teraz, kiedy już zadbali o najpilniejsze praktyczne kwestie, nie miał niczego, co mogłoby odwracać jego uwagę od odczuwanych emocji. Nie potrafił się przyzwyczaić do tego, że Beth jest tuż obok. Zmagał się z dręczącym poczuciem niekompletności za każdym razem, kiedy się

rozstawali. Nawet kiedy na chwilę oddalił się, aby kupić bilety na samolot, czuł się bardzo niekomfortowo.

Gotowy na wszystko? - powtórzył pytanie, idąc z Beth i Esperanza w stronę kolejki przed punktem kontrolnym. Niezupełnie na wszystko. Nie jestem gotowy na to, aby Beth ponownie została skrzywdzona. Nie jestem gotowy, aby się dowiedzieć, że nadal mnie okłamuje, mówiąc o swoich uczuciach. Nie jestem gotowy, aby odkryć, że jestem głupcem.

Przy punkcie kontrolnym został w tyle, pozwalając Esperanzie i Beth przejść minutę wcześniej, na wypadek gdyby dziesięć tysięcy studolarowych banknotów w jego torbie wyglądało na tyle podejrzanie, aby zwrócić uwagę strażnika prześwietlającego bagaże. Gdyby Deckera poproszono o otwarcie torby, miałyby problemy z wytłumaczeniem władzom, w jaki sposób wszedł w posiadanie miliona dolarów. Ochroniarze od razu założyliby, że pieniądze mają jakiś związek z handlem narkotykami, więc nie chciał, aby w jakikolwiek sposób wiązano go z Beth lub Esperanza. Na monitorze ukazywały się także zarysy niemetalicznych przedmiotów, dlatego aby uczynić pieniądze mniej widocznymi, Decker pozdejmował gumki z plików banknotów i wymieszał je w dużej kieszeni torby, dorzucając brudną koszulę, notatnik z długopisem, zestaw kosmetyków, talię kart, gazetę i powieść w miękkiej okładce. Przy odrobinie szczęścia strażnik nie powinien zwrócić uwagi na mieszanię przedmiotów, kiedy już upewni się, że w torbie nie ma broni.

Kobieta stojąca przed Deckerem postawiła swoją torebkę na taśmociągu, po czym bez problemów przeszła przez wykrywacz metalu. Czując przyspieszający puls, zajął jej miejsce, stawiając ciężką torbę na ruchomym pasie. Strażnik obserwujący ekran dziwnie na niego popatrzył. Ignorując wywołaną reakcję, Decker wrzucił kluczyki do samochodu i wodoodporny zegarek do koszyka, który wzięła od niego umundurowana kobieta zawiadująca wykrywaczem metalu. Nie martwił się, że wykrywacz znajdzie u niego broń - przed udaniem się na lotnisko razem z Esperanza rozłożyli swoje pistolety na części i wrzucili do kanału. Jednak nie chciał ryzykować, że jakiś metalowy przedmiot, choćby najbardziej niewinny, uruchomi wykrywacz i ściągnie na niego większą uwagę.

- Co się panu stało w twarz? - spytała strażniczka.

- Wypadek samochodowy. - Decker przeszedł przez wykrywacz metalu. Urządzenie nie wydało z siebie żadnego odgłosu.

- Wygląda boleśnie - powiedziała kobieta.

- Mogło być gorzej. - Wziął swój zegarek i kluczyki. - Pijak, który przejechał na czerwonym świetle i we mnie uderzył, wylądował w kostnicy.- Ma pan szczęście. Lepiej niech pan na siebie uważa.

- Może mi pani wierzyć, że się staram.

Decker podszedł do taśmociągu prowadzącego od punktu prześwietlania bagaży. Poczul ucisk w klatce piersiowej, kiedy zobaczył, że taśma się nie porusza. Strażnik siedzący przed ekranem zatrzymał mechanizm i z uwagą wpatrywał się w zamazany obraz przedstawiający zawartość torby Deckera.

Czekał, jak przystało na podróżnego, który musi złapać samolot, ale stara się z rozsądkiem podchodzić do wymogów bezpieczeństwa, choć z jego bagażem wszystko na pewno jest w najlepszym porządku.

Strażnik się skrzywił, przybliżając twarz do ekranu.

Decker słyszał głośnie pulsowanie za uszami.

Wzruszając ramionami, strażnik wcisnął guzik, ponownie puszczając taśmociąg w ruch. Torba wyjechała z wnętrza maszyny.

- Nieprzyjemnie się robi od samego patrzenia na pana twarz - odezwał się strażnik.

- Boli jeszcze gorzej, niż wygląda. - Decker podniósł milion dolarów i wraz z innymi pasażerami powędrował przez halę.

Zatrzymał się przy automacie telefonicznym, spytał w informacji o numer lotniska, po czym go wybrał.

- Poproszę z ochroną lotniska.

- Ochrona - odezwał się spokojny męski głos.

- Na parkingu znajdziecie pontiaca, wyprodukowanego w tym roku, ciemnoniebieskiego. - Decker podał numer rejestracyjny. - Wszystko pan usłyszał i zapisał?

- Tak, ale...

- W bagażniku znajdują się materiały wybuchowe.

- Co takiego?

- Nie są podłączone do detonatora. Samochód nie stanowi żadnego zagrożenia, ale na wszelki wypadek lepiej zachowajcie ostrożność.

- Kto...

- To nie jest groźba dla lotniska. Po prostu wszedłem w posiadanie dużej ilości C4 i nie przychodzi mi do głowy bezpieczniejszy sposób jego przekazania.

- Ale...

- Miłego dnia.

Decker przerwał połączenie. Przed pozostawieniem pontiaca na parkingu wytarł namydloną myjką wszystkie miejsca, w których mógł zostawić odciski palców. W normalnych okolicznościach porzuciłby samochód tam, gdzie mógłby szybko paść łupem ulicznych dzieciaków, ale nie chciał, aby ktoś majstrował przy materiałach wybuchowych. Zanim ochrona znajdzie pontiaca i C4, on będzie już w drodze do Denver.

Szybko udał się do bramki, gdzie Beth i Esperanza niecierpliwie na niego czekali.

- Tak długo cię nie było, że zaczęłam się martwić - powiedziała Beth.

Decker zauważył, że zerknęła na jego torbę. Czy tak naprawdę obchodziły ją tylko pieniądze?

- Sam też zaczynałem się już trochę denerwować.

- Zaczęli wpuszczać pasażerów na pokład - rzekł Esperanza. - Wywołali mój numer miejsca. Lepiej już pójść.

Decker skinął głową. W ciągu ostatnich kilku dni spędził z Esperanza tyle czasu, że rozłąka z nim wydawała mu się dziwna.

- Do zobaczenia w Denver.

- Jasne.

Kiedy Esperanza udał się do samolotu za innymi pasażerami, Beth z uczuciem uśmiechnęła się do Deckera.

- Nigdy nie podróżowaliśmy razem. To będzie dla nas początek zupełnie nowych doświadczeń.

- Jeśli tylko będą lepsze od tego, co się wydarzyło od piątkowej nocy.

Starął się, aby to zabrzmiało jak żart.

- Wszystko będzie lepsze.

- Miejmy nadzieję.

A co się stanie, jeżeli będzie jeszcze gorzej? - zastanowił się Decker.

Beth zerknęła w stronę stanowiska odprawy.- Wywołują nasze numery miejsc.

- Chodźmy. Na pewno przyda ci się odpoczynek od tych kul.

Czy dobrze robię, wracając do Santa Fe? - rozmyślał Decker. Czy jestem całkowicie pewny, że to wypali?

Przy stanowisku odprawy pracownik United Airlines wziął bilet Beth.

- Czy potrzebuje pani pomocy przy wejściu na pokład?

- Mój przyjaciel mi pomoże. - Czule popatrzyła na Deckera.

- Poradzimy sobie - odpowiedział Decker i oddał swoją kartę pokładową. Poszedł za Beth wzdłuż rękawa. Jeszcze nie jest za późno na zmianę planu, ostrzegł sam siebie.

Jednak porwała ich kolejka pasażerów. Dwie minuty później siedzieli na swoich miejscach w środkowym rzędzie samolotu.

Stewardesa włożyła kule Beth do skrytki na ubrania. Decker i Beth zapieli pasy. Milion dolarów Decker położył sobie obok stóp.

Nadal mogę zmienić zdanie, pomyślał. Może Beth miała rację. Może to południe Francji powinno stanowić nasz cel.

Jednak wciąż pamiętał coś, o czym rozmawiali z Beth w motelu. Spytał ją, czy chce z nim zostać, pomimo związanego z tym ryzyka, że Renata spróbuje za jej pośrednictwem się na nim zemścić. Przez resztę ich wspólnego życia Beth zawsze będzie musiała oglądać się przez ramię. Beth odpowiedziała: „Bez ciebie nie miałabym na co czekać w życiu”.

Sprawdźmy, czy mówiła prawdę, pomyślał Decker. Chcę się tego dowiedzieć już, teraz.

737 ruszył spod terminalu, kołując w stronę pasa startowego. Beth wzięła Deckera za rękę.

- Tęskniłam za tobą - szepnęła. Delikatnie ścisnął jej palce.

- Ja za tobą też, bardziej niż mogłabyś przypuszczać.

- Mylisz się - odparła Beth. Silniki jęczały za ich oknem. - To, co robiłeś przez ostatnich kilka dni, bardzo wyraźnie mi pokazało, co do mnie czujesz.

Gdy 737 oderwał się od ziemi, wtuliła się w niego.

4

Kiedy samolot wyrównał lot na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, Decker z zaskoczeniem stwierdził, że ma trudności z podtrzymywaniem rozmowy z Beth, co zdarzyło się po raz pierwszy od początku związku. Ich pogaduszki brzmiały pusto w porównaniu z

istotnymi kwestiami, które chciał z nią przedyskutować, lecz nie mógł, obawiając się, że zostanie usłyszany przez innych pasażerów. Dlatego był wdzięczny losowi, kiedy stewardesa przyniosła śniadanie, omlet z serem i pieczarkami, na który od razu się rzucił. Rzeczywiście był wygłodniały, odczuwając nagły przypływ apetytu, jednak chciał także wykorzystać posiłek jako zwolnienie z obowiązku podtrzymywania rozmowy. Po skończonym śniadaniu, odmawiając kawy, przeprosił za swoje wyczerpanie.

- Nie musisz mnie zabawiać - odrzekła Beth. - Zasłużyłeś na odpoczynek. Zdrzemnij się. Zresztą chyba się do ciebie przyłączę.

Rozłożyła fotel do pozycji pólężącej, tak samo jak on, po czym oparła głowę na jego ramieniu.

Decker skrzyżował ręce na piersi i zamknął oczy. Jednak sen nie nadchodził. Wciąż targały nim emocje. Intensywne przeżycia, które były jego udziałem, wyczerpały go fizycznie, ale jednocześnie sprawiły, że jego nerwy stały się nadwrażliwe, zupełnie jakby zmagał się z objawami odstawienia przy uzależnieniu od adrenaliny. Te doznania przypominały mu samopoczucie po misjach wykonywanych dla wojska i agencji. Takie przeżycia potrafiły uzależniać. W młodości sam ich szukał. Euforia towarzysząca przetrwaniu podczas misji czyniła normalne życie niemożliwym do zaakceptowania, wywołując chęć udziału w kolejnych misjach i przewycięzania strachu w celu odtworzenia tych doznań. W końcu uzmysłowił sobie, że to uzależnienie prowadzi do samozagłady. Kiedy osiadł w Santa Fe, był przekonany, że pragnie tylko spokoju.

Dlatego zaskoczyło go, że tak chętnie angażuje się w konflikt z Renatą. Oczywiście, z jednej strony nie było sensu przedłużać napięcia związanego z oczekiwaniem na jej atak. Jeżeli mógł kontrolować okoliczności, w jakich Renata na niego polowała, to w ten sposób sam na równi z nią stawał się myśliwym. Im szybciej doprowadzi do konfrontacji, tym lepiej. Jednak z drugiej strony niepokoił go własny entuzjizm. Martwił się, że staje się tym, kim był kiedyś.

## 5

- Nie można powiedzieć, żebyśmy wracali do Nowego Meksyku po kryjomu. Skąd możemy wiedzieć, że Renata nie będzie czekać w hali przylotów, obserwując pasażerów wysiadających z naszego samolotu? - spytał Esperanza.

Dołączył do Deckera i Beth, którzy pozostali na swoich miejscach, czekając, aż inni podróżni wyjdą na lotnisko w Albuquerque. Nikogo obok nich nie było. Mogli rozmawiać, nie obawiając się, że ktoś ich usłyszy.

- Ona tak by tego nie rozwiązała - odparł Decker. - Na tak małym lotnisku osoba dzień po dniu kręcąca się po hali, nie robiąca niczego poza obserwowaniem przylatujących pasażerów, zwróciłaby na siebie uwagę ochrony.

- Ale Renata nie musiałaby tego robić sama. Mogłaby wynająć kogoś do pomocy. Mogliby obserwować samoloty na zmianę - rzekł Esperanza.

- Z tym akurat się zgadzam. Prawdopodobnie już ma pomoc. Kiedy Renata wykorzystywała McKittricka - Decker zerknął w stronę Beth, zastanawiając się, czy ona w taki sam sposób wykorzystwała jego - trzymała swoich przyjaciół na dystans, aby nie wzbudzać w nim zazdrości. Ale skoro McKittrick wypadł z gry, zapewne sprowadziła z Rzymu resztę swojej grupy terrorystycznej. - Decker podniósł torbę stojącą koło nóg. - Milion dolarów jest wart tego wysiłku. O tak, są tutaj na pewno i na zmianę stoją na warcie, ale nie obserwują przylatujących pasażerów.

- To co robią?

Przeszkodziła im stewardesa, która przyniosła Beth kule. Beth podziękowała i całą trójką ruszyli do wyjścia z samolotu.

- Wyjaśnię wam, kiedy będziemy sami. - Decker odwrócił się w stronę Beth. - Ktoś powinien zobaczyć twoją ranę. Pierwsze, co zrobimy, to wizyta u lekarza. - Pokręcił głową. - Nie, nieprawda. Najpierw musimy wypożyczyć samochód.

- Wypożyczyć? - zdziwił się Esperanza. - Przecież zostawiłeś swojego jeepa cherokee na lotniskowym parkingu.

- I tam na razie niech stoi. - Począł, aż zostali sami w rękawie prowadzącym do budynku, i dopiero wtedy odezwał się do Esperanzy:

- Twoja odznaka i służbowy pistolet są zamknięte w moim samochodzie. Czy poradzisz sobie bez nich jeszcze przez jeden dzień?

- Im szybciej je odzyskam, tym lepiej. Dlaczego nie możemy skorzystać z twojego samochodu? - Esperanza od razu sam

odpowiedział sobie na to pytanie. - Renata widziała twojego jeepa. Myślisz, że mogła umieścić w nim ładunki wybuchowe?

- Ryzykując wysadzenie w powietrze torby z milionem dolarów? Nie wydaje mi się. Chociaż Renata bardzo pragnie zemsty, chce także, aby była ona słodka. Zemsta nie może jej zbyt dużo kosztować, na pewno nie aż tak drogo. Mój samochód jest bezpieczny... nie licząc nadajnika, który w nim umieściła.

## 6

Południowe słońce ostro przypiekało, kiedy Decker wyjechał wypożyczonym szarym buickiem skylarkiem z parkingu Avis położonego obok lotniska w Albuquerque. Skierował auto drogą zakręcającą obok czteropoziomowego parkingu, po czym zerknął na dwie duże metalowe sylwetki koni wyścigowych, stojące na trawniku przed lotniskiem, przypominając sobie złe przeczucia, jakie w nim wywołały, kiedy zobaczył je po raz pierwszy ponad rok wcześniej, gdy rozpoczynał swoją pielgrzymkę do Santa Fe. Teraz powracał po najdłuższej jak dotąd rozłące z miastem, a jego emocje były o wiele bardziej złożone.

Pokonał kolejny łuk, docierając do szerokiej, przedzielonej pasem trawnika głównej ulicy, łączącej miasto z lotniskiem i prowadzącej ku trzynastopiętrowemu, pokrytemu szkłem oraz tynkiem, hotelowi Best Western, wznoszącemu się po prawej stronie ulicy na tle gór Sandia.

- Gdzieś w tamtym hotelu Renata lub któryś z jej przyjaciół wpatruje się w odbiornik, czekając, aż igła drgnie i ostrzeże ich, że

mój samochód wyjeżdża z parkingu. Ktokolwiek to będzie, zbiegnie do samochodu stojącego blisko bramy hotelowego parkingu. Zacznie śledzić mój samochód, kiedy ten minie hotel. Jadąca za mną osoba za pomocą telefonu komórkowego powiadomi resztę grupy, z której część z pewnością zainstalowała się w Santa Fe. Osoba ta będzie wiedziała, że rozmowa prowadzona przez telefon komórkowy może zostać podsłuchana przez kogoś niepożądanego, więc użyje kodu, porozumiewając się ze współnikami w regularnych odstępach czasu przez całą drogę do Santa Fe. Kiedy dotrę do celu, szybko mnie dopadną. Nie ma sensu zwlekać. W końcu nie zdążę się w jakikolwiek sposób przygotować. Błyskawiczne działanie okaże się najlepszą taktyką. Jeżeli będę miał przy sobie pieniądze, nie będą musieli mnie torturować, aby wydobyć ze mnie informację, gdzie schowałem milion dolarów. Ale i tak to zrobią. Dla przyjemności. Zajmie się tym Renata. Nie wiem, od czego zacznie, od moich jaj czy od gardła. Pewnie od tego pierwszego, bo jeśli zacznie od gardła, na co zapewne ma największą ochotę, aby zemścić się za to, co jej zrobiłem, to nie będzie mogła napawać się moimi wrzaskami.

Beth siedziała z tyłu, prostując zranioną nogę. Esperanza zajął miejsce na przednim siedzeniu. Oboje przyglądali się Deckerowi takim wzrokiem, jakby uważali, że stres związany z tym, przez co przeszedł, zaczynał wpływać na jego zachowanie.

- Strasznie żywo to opisujesz - odezwała się Beth.

- I skąd możesz wiedzieć o nadajniku i hotelu Best Western? - spytał Esperanza.

- Bo właśnie tak bym to zrobił - odparł Decker.

- Czemu nie Airport Inn albo Village Inn lub jeden z moteli dalej od centrum?

- Są zbyt małe. Trudno w nich nie zwracać na siebie uwagi.

Ktokolwiek obserwuje odbiornik, na pewno nie chce rzucać się w oczy.

- Skoro jesteś tego pewny, mogę poprosić policję w Albuquerque o sprawdzenie pokoi w Best Western.

- Bez nakazu przeszukania? Nie zwracając ich uwagi? Osoba obserwująca odbiornik na pewno ma współnika na zewnątrz budynku, wypatrującego przyjazdu policji. Renata i jej przyjaciele rozpląnęliby się w powietrzu. Straciłbym najlepszą okazję, aby ich zaskoczyć.

- Martwię się o ciebie - rzekła Beth.

- Dlaczego? - Z głównej ulicy prowadzącej od lotniska Decker skręcił w Gibson, zbliżając się do rampy zjazdowej na drogę międzystanową numer 25.

- Zmieniłeś się. Wygląda to tak, jakbyś cieszył się z wyzwania, jakby sprawiało ci to przyjemność.

- Może po prostu wracam do dawnych nawyków.

- Słucham?

- Jeżeli chcemy wyjść z tego cało, muszę to zrobić. Nie mam innego wyjścia. Muszę się stać tym, kim byłem kiedyś, zanim przyjechałem do Santa Fe. Właśnie dlatego McKittrick wybrał mnie na twojego sąsiada, czyż nie? - spytał Decker. - Dlatego zamieszkałaś obok mnie. Ze względu na to, kim byłem wcześniej.

Kiedy wypożyczony buick wspiał się na szczyt wzgórza La Bajada i panorama Santa Fe nagle rozciągnęła się im przed oczami, Decker wcale nie poczuł podekscytowania ani radości z powrotu. Zamiast tego ogarnęło go nieoczekiwane uczucie pustki. Tak wiele się wydarzyło w jego życiu od chwili wyjazdu. Typowe dla Santa Fe budynki w latynoskim stylu pueblo, o płaskich dachach i w kolorze gliny, wyglądały równie egzotycznie jak zawsze. Domy o zaokrąglonych narożnikach, zbudowane z suszonej cegły, wydawały się emanować ciepłym blaskiem, a wrześnie popołudnie było niezwykle pogodne i jasne; żadnego smogu, widoczność sięgająca setek kilometrów, kraina tańczącego słońca.

Jednak Decker czuł się wyłączony z tego wszystkiego, odległy. Nie miał poczucia, że wraca do domu, a jedynie ponownie odwiedza miejsce, w którym zdarzyło mu się mieszkać. To zdystansowanie przypominało mu odczucia towarzyszące powrotom do mieszkania w Wirginii z misji wykonywanych dla agencji. Tak samo czuł się wiele razy wcześniej, w Londynie, Paryżu i Atenach, w Brukseli, Berlinie i Kairze, a ostatnio w Rzymie - ponieważ podczas wszystkich misji, dokądkolwiek by podróżował, nie ośmielał się identyfikować z otoczeniem, aby nie ryzykować utraty czujności. Jeżeli chciał przeżyć, nie mógł sobie pozwolić na rozproszenie. W tym sensie rzeczywiście wrócił do domu.

- Szwy są fachowo założone - ocenił przygarbiony, rudowłosy lekarz.

- No to odetchnąłem z ulgą - odrzekł Decker. Lekarz był jego byłym klientem, z którym czasami spotykał się na gruncie prywatnym. - Dziękuję, że zgodziłeś się nas przyjąć bez zapisywania.

Lekarz wzruszył ramionami.

- Dwoje pacjentów nie przyszło dziś po południu. - Dalej badał ranę na udzie Beth. - Nie podoba mi się to zaczerwienienie wokół szwów. Jak doszło do zranienia?

- Wypadek samochodowy - odpowiedział Decker, uprzedzając Beth.

- Ty też tam byłeś? To tak poraniłeś sobie twarz?

- To było fatalne zakończenie wakacji.

- Przynajmniej nie potrzebowałeś szwów. - Lekarz ponownie skupił uwagę na Beth. - Zaczerwienienie wskazuje na to, że w ranie rozwija się zakażenie. Czy dostała pani zastrzyk przeciwężcowy?

- Nie byłam na tyle przytomna, aby o tym pamiętać.

- Tamtemu lekarzowi musiało to wypaść z głowy - powiedział Decker z goryczą.

- W takim razie zrobimy go teraz. - Po wykonaniu zastrzyku lekarz ponownie zabandażował ranę. - Wypiszę receptę na antybiotyki. Czy chce pani dostać coś przeciwbólowego?

- Tak, poproszę.

- Proszę bardzo. To powinno załatwić sprawę. - Lekarz skończył pisać i podał jej dwa kawałki papieru. - Może się pani kąpać pod

prysznicem, ale proszę nie moczyć rany w wannie. Jeśli tkanka nadmiernie zmięknie, szwy mogą się rozejść. Niech się pani u mnie pojawi za trzy dni. Chcę się upewnić, że zakażenie się nie rozprzestrzenia.

- Dziękuję.

Krzywiąc się z bólu, Beth zsunęła się ze stołu i podciągnęła luźne spodnie, zapinając je na pasek. Aby uniknąć wzbudzania podejrzeń, otrzymana w piątkową noc rana postrzałowa ramienia została przemilczana. Wokół niej nie było zaczerwienienia, ale nawet jeżeli drażyło ją zakażenie, to poradzą sobie z nim antybiotyki przepisane na ranę uda.

- Cieszę się, że mogłem pomóc. Steve, znów szukam nieruchomości do wynajęcia. Czy masz coś, co mogłoby mnie zainteresować? Jestem wolny w sobotę po południu.

- Mogę być wtedy zajęty. Dam ci znać. - Decker otworzył drzwi gabinetu i puścił idącą o kulach Beth przodem, do holu, gdzie czekał Esperanza. - Za chwilę przyjdę - powiedział do nich Decker, po czym zamknął drzwi i odwrócił się w stronę lekarza. - Jeff?

- Tak? Chcesz, żebym obejrzał te obrażenia na twarzy?

- Nie, nie o to chodzi.

- Więc...?

- Obawiam się, że zabrzmiał to trochę melodramatycznie, ale zastanawiam się, czy nasza wizyta mogłaby pozostać w tajemnicy.

- Dlaczego...?

- To delikatna sprawa. A nawet dość krępująca. Moja przyjaciółka jest w trakcie rozwodu. Mogłoby zrobić się nieprzyjemnie, gdyby jej mąż dowiedział się, że się spotykamy.

Ktoś może do ciebie zadzwonić lub przyjść, przedstawiając się jako jej mąż lub prywatny detektyw albo ktoś w tym stylu, i pytać o szczegóły jej leczenia. Nie chciałbym, aby ten ktoś dowiedział się, że byliśmy tutaj razem.

- Moja przychodnia nie ma w zwyczaju udostępniania takich informacji - odparł Jeff chłodno.

- Wcale tak nie uważam. Po prostu mąż mojej przyjaciółki potrafi być straszliwie przekonujący. - Decker podniósł torbę z pieniędzmi.

- Ode mnie z pewnością niczego się nie dowie.

- Dzięki, Jeff. Doceniam to. - Wychodząc z gabinetu, miał poczucie, że lekarz nie pochwała sytuacji, w jakiej Decker twierdził, że się znajduje. Zatrzymał się przy ladzie w recepcji. - Zapłacę gotówką.

- Nazwisko pacjentki?

- Brenda Scott.

Było bardzo mało prawdopodobne, aby Renata spróbowała sprawdzić wszystkich lekarzy w Santa Fe, by przekonać się, czy Beth otrzymała pomoc medyczną której zgodnie z jej podejrzeniami potrzebowała. Jednak staranność zawsze była domeną Deckera. Specjalnie nie zabrał Beth do swojego osobistego lekarza ani na oddział nagłych przypadków w szpitalu św. Wincentego, bądź też do

którejs z przychodni Lovelace Health System. Były to oczywiste miejsca, w których Renata bez trudu mogła umieścić kogoś, kto by wypatrywał, czy Beth, a tym samym także Decker, wrócili do miasta. Zastosowane środki ostrożności zapewne były przesadzone, ale teraz Deckerem kierowały dawne nawyki.

## 9

Przyczepa mieszkalna wraz z położonym przed nią wysadzonym jukami żwirowym placem wyglądała zaskakująco odmiennie niż kilka dni wcześniej, kiedy Decker ją widział. Poprawka, powiedział sobie. Kilka nocy wcześniej. Widziałeś ją w środku nocy. Nic dziwnego, że teraz wygląda inaczej. Parkując wypożyczonego buicka przy krawężniku, zerknął na skarłowaciałe nagietki porastające wąski ogródek kwiatowy przytulony do frontowej ściany.

- Myślisz, że możesz się tu bezpiecznie pokazywać? - spytał Esperanza. - Renata lub jeden z jej przyjaciół mogą obserwować moje miejsce zamieszkania.

- Niemożliwe - odparł Decker. - Renata nie przyjrzała ci się dobrze tamtej nocy.

Esperanza również uważnie przypatrywał się przyczepie, jak gdyby było w niej coś dziwnego. Dlaczego jest taki nerwowo? - zastanawiał się Decker. Czy naprawdę myśli, że Renata jest w okolicy? A może to dlatego, że...? Decker przypomniał sobie opowieści Esperanzy o konfliktach z żoną. Może Esperanza nie czuł się pewnie przed ponownym spotkaniem.

- Bardzo ryzykowałeś, jadąc ze mną. Mam wobec ciebie wielki dług. - Decker wyciągnął dłoń.

- Tak. - Beth z trudem pochyliła się do przodu. - Uratowałeś mi życie. Nigdy nie zdołam ci się odwdziaczyć. Zwykle podziękowanie nie jest w stanie wyrazić mojej wdzięczności.

Esperanza wciąż wpatrywał się w przyczepę.

- To ja powinienem podziękować. Decker zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Pytałeś mnie, dlaczego chciałem z tobą pojechać. - Esperanza się odwrócił, kierując na Deckera spokojne spojrzenie. - Powiedziałem ci, że potrzebuję odpoczynku od żony. Powiedziałem, że mam słabość do pomagania ludziom w wydobywaniu się z tarapatów.

- Pamiętam - odrzekł Decker.

- Powiedziałem też, że nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Spędzanie z tobą czasu to znakomita lekcja.

- To także pamiętam.

- Ludzie przyzwyczajają się do swojego stylu życia. - Esperanza się zawahał. - Już od dłuższego czasu czułem się martwy w środku.

Decker wyglądał na zaskoczonego.- Kiedy spędzałem czas z gangami, wiedziałem, że musi istnieć coś jeszcze poza staczaniem się po równi pochyłej i rozpętywaniem piekła, ale nie potrafiłem wykombinować, co to takiego. Wtedy policjant, o którym ci opowiadałem, zmienił mój sposób patrzenia na świat. Wstąpiłem do policji, aby stać się taki jak on, aby coś zmienić i zrobić coś dobrego. -

Głos Esperanzy był naznaczony emocjami. - Jednak czasami, niezależnie od tego, jak wiele dobra starasz się uczynić, przygnębia cię to całe gówno, które widzisz na świecie, a zwłaszcza niepotrzebne cierpienie, które ludzie sprawiają sobie nawzajem.

- Nadal nie...

- Nie myślałem, że jeszcze kiedykolwiek coś mnie poruszy. Ale próby dotrzymania ci kroku przez tych ostatnich kilka dni... Cóż, coś się zmieniło... Czułem, że żyję. Oczywiście, byłem przerażony tym, co robiliśmy. Niektóre z tych rzeczy to było czyste szaleństwo i samobójstwo. Ale w tamtych chwilach...

- Wydawało się, że właśnie to należy uczynić.

- Tak. - Esperanza szeroko się uśmiechnął. - Właśnie to należy uczynić. Może ze mną jest tak samo jak z tobą. Może wracam do swoich dawnych nawyków. - Znów popatrzył na przyczepę i otrzeźwiał. - Chyba już czas. - Otworzył drzwi po stronie pasażera i postawił kowbojki na zwirowej nawierzchni.

Obserwując chudego, długowłosego oficera idącego w zadumie w stronę schodków prowadzących do przyczepy, Decker częściowo zdał sobie sprawę, dlaczego wygląda ona inaczej. Kilka nocy wcześniej na podjeździe stał motocykl i pick-up. Teraz pozostał tylko motocykl.

Kiedy Esperanza zniknął w środku, Decker odwrócił się do Beth.

- Czeka nas ciężka noc. Będziemy musieli ulokować cię w hotelu gdzieś poza miastem.

Pomimo niewygody, wyprostowała się zaniepokojona.

- Nie. Nie chcę się z tobą rozstawać.

- Dlaczego?

Zakłopotana Beth nie odpowiedziała. 372

- Uważasz, że nie jesteś bezpieczna z dala ode mnie? - Decker pokręcił głową. - Mogłaś się tak czuć, kiedy mieszkałaś obok mnie, ale będziesz musiała uwolnić się od takiego nastawienia. W tej chwili o wiele mądrzej będzie trzymać się ode mnie jak najdalej.

- Ja tak nie uważam - odparła Beth.

- A jak uważasz?

- Gdyby nie ja, nie wpadłbyś w te kłopoty. Nie mam zamiaru pozwolić, abyś radził sobie z nimi sam.

- Będzie strzelanina.

- Potrafię strzelać.

- Owszem, wspominałaś. - Pamiętając, że Beth zabiła swojego męża i opróżniła jego ścienny sejf, Decker zerknął na leżącą obok torbę zawierającą milion dolarów. Czy chodzi jej o pieniądze? Czy to dlatego chce się trzymać blisko?

- Dlaczego jesteś na mnie zły? - spytała Beth. Decker nie był przygotowany na to pytanie.

- Zły? Dlaczego sądzisz, że jestem...

- Gdybyś traktował mnie choć odrobinę chłodniej, miałabym odmrożenia.

Popatrzył w stronę przyczepy mieszkalnej Esperanzy. Potem spojrzał na swoje dłonie. Następnie na Beth.

- Nie powinnaś była mnie okłamywać.

- W sprawie tego, że byłam objęta programem ochrony świadków? Dostałam wyraźne polecenie, aby ci tego nie mówić.

- Od McKittricka?

- Posłuchaj, kiedy zostałam postrzelona, już po wyjściu ze szpitala, gdy rozmawialiśmy na moim podwórku, próbowałam powiedzieć ci tyle, ile mogłam. Błagałam cię, abyśmy razem uciekli i gdzieś się ukryli. Ale ty nalegałeś, abym pojechała bez ciebie.

- Uznałem, że tak będzie najbezpieczniej, na wypadek gdyby wysłano za mną kolejną grupę zabójców - odrzekł Decker. - Gdybym wiedział, że byłaś objęta programem ochrony świadków, to inaczej bym to rozegrał.

- Inaczej? Czyli jak?

- Pojechałbym z tobą - odpowiedział Decker. - Żeby cię chronić. W efekcie wpadłbym na McKittricka, zdałbym sobie sprawę z tego, co się dzieje, i uchroniłbym nas oboje przed tym koszmarem, przez który musieliśmy przejść.

- Więc to i tak moja wina? Tak właśnie twierdzisz?

- Nie użyłem słowa wina. Po prostu...

- A co ze wszystkimi twoimi kłamstwami, dotyczącymi twojego życia przed przybyciem do Santa Fe i blizn po postrzałach? Wygląda na to, że oboje sporo nakłamaliśmy.

- Nie mogę każdemu opowiadać o tym, że pracowałem dla CIA.

- Nie każdemu - odparła Beth. - Nie ufałeś mi?

- Cóż...

- Nie kochałeś mnie wystarczająco mocno, aby mi zaufać?

- To był odruch z dawnych lat. Nigdy nie byłem zbyt ufny. Zaufanie może cię zabić. Ale ten zarzut działa w obie strony. Najwyraźniej ty nie kochałaś mnie wystarczająco mocno, aby wyznać mi prawdę o swojej przeszłości.

Beth wyglądała na zniechęconą.

- Może masz rację. Może nie było między nami dostatecznie dużo miłości. - Oparła się o siedzenie, wyczerpana. - Czego właściwie oczekiwałam? Spędziliśmy razem dwa miesiące. Z tego byliśmy kochankami tylko przez osiem dni, zanim... - Zadrżała. - Życie człowieka nie zmienia się w ciągu ośmiu dni.

- Niekoniecznie. Moje zmieniło się w ciągu kilku minut, kiedy postanowiłem się przeprowadzić do Santa Fe.

- Przecież wcale się nie zmieniło.

- O czym ty mówisz?

- Sam to powiedziałeś. Wróciłeś do punktu wyjścia. Stałeś się tym, kim byłeś kiedyś. - Łzy spływały jej po policzkach. - Przeze mnie.

Decker nie mógł już dłużej wytrzymać. Pragnął pochylić się ponad siedzeniem i wziąć Beth za rękę, pochylić się jeszcze bardziej i ją przytulić.

Jednak zanim zdążył to uczynić, powiedziała:

- Jeśli chcesz zakończyć nasz związek, to mi powiedz.

- Zakończyć? - Teraz, kiedy Beth poruszyła tę ostateczną kwestię, Decker nie był na to przygotowany. - Nie wiem... Nie chodziło mi...

- Bo nie mam zamiaru tolerować oskarżeń o to, że cię wykorzystałam. Kłamałam o swojej przeszłości, ponieważ dostałam wyraźne polecenie, aby zachować ją w tajemnicy. Mimo to kusiło mnie, aby wyznać ci prawdę, ale martwiłam się, że wtedy ode mnie uciekniesz.

- Nigdy bym tego nie zrobił.

- To się jeszcze okaże. Ale to jedyne wyjaśnienie, jakie ode mnie otrzymasz. Możesz je zaakceptować lub odrzucić. Jedno jest pewne, nie mam zamiaru siedzieć w pokoju hotelowym, kiedy ty będziesz sam stawiał czoło Renacie. Ty narażałeś dla mnie życie. Jeżeli będę musiała zrobić to samo, aby udowodnić swoje uczucie, to właśnie tak zamierzam postąpić.

Decker czuł się oszołomiony.

- A więc jak będzie? - spytała Beth. - Wybaczysz mi, że cię okłamałam? Ja jestem gotowa wybaczyć tobie. Chcesz zacząć wszystko od nowa?

- Jeżeli to możliwe. - Emocje rozrywały Deckera na kawałki.

- Wszystko jest możliwe, jeśli tylko spróbujesz.

- Jeśli oboje spróbujemy - rzekł łamiącym się głosem. - Tak.

Nagle jego uwagę odwrócił odgłos otwierających się drzwi przyczepy. Esperanza wyszedł na zewnątrz. Miał na sobie czyste dżinsowe spodnie i koszulę oraz kapelusz stetson. Na prawym biodrze

przypiął półautomatyczny pistolet. Jednak coś w jego postawie wskazywało, że od chwili wejścia do domu zmianie uległ nie tylko jego wygląd zewnętrzny.

Buty Esperanzy chrzęściły na żwirze, kiedy podchodził do buicka.

- Wszystko w porządku? - spytał Decker. - Twoje oczy wyglądają...

- Nie ma jej.

- Twojej żony? Jest w pracy czy...

- Odeszła.

- Co takiego?- Odeszła. Przyczepa jest pusta. Meble. Garnki i patelnie. Jej ubrania. Wszystko zniknęło, nawet mój kaktus, który stał na kuchennym blacie. Zabrała wszystko, poza moimi dżinsami i kilkoma koszulami.

- Jezu - rzekł Decker.

- Długo nie wychodziłem, bo musiałem wykonać kilka telefonów, aby dowiedzieć się, dokąd pojechała. Zatrzymała się u swojej siostry w Albuquerque.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Wydawało się, że Esperanza go nie słyszy.

- Nie chce mnie widzieć. Nie chce ze mną rozmawiać.

- Wszystko dlatego, że nie rzuciłeś pracy w policji?

- Wciąż powtarzała, że ożeniłem się ze swoją pracą. Jasne, mieliśmy problemy, ale nie musiała odchodzić. Mogliśmy sobie z tym poradzić.

Po raz pierwszy Esperanza w pełni zdał sobie sprawę z obecności Deckera i Beth. Zerknął na tylne siedzenie i zauważył napięty wyraz twarzy Beth.

- Wygląda na to, że nie tylko ja muszę sobie z czymś poradzić.

- Bawiliśmy się w nadrabianie strat - odrzekła Beth. - Prawda albo konsekwencje.

- Tak, to nawet dobra nazwa dla miasta w Nowym Meksyku. - Esperanza wszedł do samochodu. - Do roboty.

- Roboty? - spytał zaskoczony Decker.

- Skończmy to, co zaczęliśmy z Renatą.

- To już nie jest twoja walka. Zostań tutaj i postaraj się dogadać z żoną.

- Nie mam w zwyczaju opuszczać przyjaciół. Przyjaciół? Decker poczuł ukłucie żalu, kiedy przypomniał sobie cenę, jaką Hal i Ben zapłacili za przyjaźń z nim. Ponownie spróbował zniechęcić Esperanzę.

- Nie ma mowy. W miejscu, w którym pracujesz? Gdzie jesteś znany? To szaleństwo. Jeśli narobimy sobie kłopotów, to nie będziemy w stanie zatrzeć za sobą śladów jak w Nowym Jorku i New Jersey. Wieści szybko się rozchodzą. W najlepszym wypadku stracisz pracę.

- Może w ostatecznym rozrachunku właśnie o to mi chodzi. No już, włączaj silnik. Renata czeka.

Kiedy wszedł do sklepu, rozległ się dźwięk dzwonka. W powietrzu unosił się przyprawiający o mdłości słodki zapach oliwy do smarowania broni. Przed oczami Deckera rozciągały się stojaki ze strzelbami, śrutówkami i innym sprzętem do polowania.

Sklep nosił nazwę Pionier i był pierwszym miejscem, jakie Decker odwiedził po przyjeździe do Santa Fe piętnaście miesięcy wcześniej. Po lewej stronie, za przeszkloną ladą pod którą znajdowała się broń ręczna, pojawił się sprzedawca, uważnie przyglądając się Deckerowi. Wydawało się, że to ten sam masywny, spalony słońcem mężczyzna, który obsługiwał go za pierwszym razem, ubrany w tę samą roboczą koszulę w czerwoną kratę i uzbrojony w tego samego półautomatycznego colta.45. Decker poczuł, że jakiś wir wciąga go w przeszłość.

- Słucham pana? Decker podszedł do lady.

- Planujemy z przyjaciółmi wyprawę na polowanie. Muszę kupić kilka rzeczy.

- Mamy wszystko, czego pan potrzebuje, albo możemy to zamówić.

Decker nie miał czasu czekać pięciu dni na obowiązkowy wywiad środowiskowy, przeprowadzany podczas kupna pistoletu. Strzelbę można było nabyć od ręki. Przed przyjęciem przez Kongres zakazu sprzedaży karabinów szturmowych, Decker kupiłby kilka sztuk AR-15, czyli cywilnej wersji stosowanego przez amerykańskie wojsko M-16, niegdyś dostępnej w większości sklepów z bronią. Teraz wybór nie był tak prosty.

- Samopowtarzalny remington 270.
- Jest.
- Powtarzalny winchester 30-30. Krótka lufa, dwadzieścia cztery cale.- Nie ma problemu.
- Dwie dubeltówki, dziesiątki.
- Nie da rady. Najsilniejsze, jakie mam, to dwunastki. Stoegery.
- Dobrze. Dubeltówki muszą mieć zmodyfikowany tłumik.
- Nie ma sprawy. - Sprzedawca zapisywał kolejne pozycje na liście.
- I krótkie lufy.
- Dobra. Coś jeszcze?
- Karabinek półautomatyczny.22.
- Może być ruger? Z magazynkiem na dziesięć naboí.
- A ma pan magazynki na trzydzieści naboí?
- Trzy sztuki. Niech pan kupuje, póki są. Rząd straszy, że zakáže ich sprzedaży.
- Wezmę wszystkie trzy. Po dwa pudełka amunicji do każdej z broni. Gruby śrut do dubeltówek. Trzy dobre noże myśliwskie. Trzy stroje maskujące, dwa duże i jeden średni. Trzy zestawy długiej bielizny polipropylenowej. Trzy pary czarnych wełnianych rękawiczek. Tubka pasty do kamuflażu. Dwa składane szpadle. Dwanaście manierek, tych wojskowych, metalowych. Najlepsza apteczka.
- Dwanaście manierek? Musi pan mieć wielu przyjaciół. Wygląda na to, że zamierzacie się nieźle bawić. Pomyślał pan prawie

o wszystkim: duży, średni i mały dystans. Zapomniał pan chyba tylko o łuku i strzałach - zażartował sprzedawca.

- Dobry pomysł - zgodził się Decker.

## 11

Do zapłaty miał niecałe tysiąc siedemset dolarów. Decker obawiał się, że Renata dzięki swoim kontaktom może mieć dostęp do informacji z komputerów firm obsługujących karty kredytowe, więc nie odważył się skorzystać ze swojej Visy, aby nie ostrzec jej, że jest w mieście i kupuje broń. Zamiast tego wymyślił historyjkę o wielkiej wygranej przy stole do blackjacka w Las Vegas i zapłacił gotówką. Nie musiał się martwić, że siedemnaście studolarowych banknotów zwróci czyjąś uwagę. To był Nowy Meksyk. Nikogo nie interesowało, jak płaciłeś za broń i co z nią robiłeś. Sprzedawca nawet nie skomentował zadrapań na twarzy Deckera. Broń i osobiste uwagi do siebie nie pasują.

Decker musiał wykonać kilka kursów, aby przenieść cały sprzęt do buicka. Poprosiłby o pomoc Esperanę, lecz ten stwierdził, że znają go w tym sklepie. W przypadku kłopotów Decker nie chciał, aby Esperanę łączono z nim i z zakupem dużej ilości broni.

- Jezu, Decker, to wygląda, jakbyś szedł na wojnę. Co to jest? Łuk i strzały?

- A jak to nie poskutkuje na Renatę i jej gang, to na nich nasikam.

Esperanza zaczął się śmiać.

- O to chodzi. Wyluzuj się - rzekł Decker. Zamknęli bagażnik i wsiedli do samochodu.

Beth czekała na tylnym siedzeniu. Wciąż miała czerwone oczy po rozmowie z Deckerem, odbytej przed przyczepą Esperanzy. Pomimo to spróbowała podnieść się na duchu i pokazać, że jest częścią grupy.

- Z czego się śmialiście?

- Z kiepskiego kawału. - Decker go powtórzył. Beth pokręciła głową i cicho zachichotała.

- To mi wygląda na typowo męski żart.

- Po co kupiłeś aż tyle manierek? - spytał Esperanza. - Po jednej dla każdego z nas. A co z pozostałą dziewiątką?

- Napelnimy wszystkie dwanaście nawozem do roślin i olejem opałowym.

- A co z tego wyjdzie?

- Cholernie dobra bomba. - Decker zerknął na zegarek i włączył silnik samochodu. - Lepiej już ruszajmy. Dochodzi wpół do piątej. Kończy nam się światło dzienne.

## 12

Godzinę później, po dokonaniu kilku kolejnych zakupów, Decker skręcił z Cerrillos Road na drogę międzystanową numer 25, jednak tym razem skierował się na północ, oddalając się od Albuquerque.

- Dlaczego wyjeżdżamy z miasta? - Beth pochyliła się do przodu, wyraźnie pobudzona. - Mówiłam ci, że nie pozwolę się zostawić w jakimś motelu na odludziu. Nie dam się wykluczyć.

- Nie dlatego wyjeżdżamy. Czy kiedykolwiek słyszałaś powiedzenie: Prawo nie istnieje na zachód od Pecos?

Beth wyglądała na zdumioną tym komentarzem.

- Chyba... W jakimś starym westernie albo opowieści o Południowym Zachodzie.

- Pecos w tym powiedzeniu odnosi się do rzeki Pecos i właśnie tam jedziemy.

Dwadzieścia minut później Decker skręcił w lewo w drogę stanową numer 50 i wkrótce dotarł do miasteczka Pecos, którego architektura była zdominowana przez tradycyjne budowle o drewnianych ścianach i spiczastych dachach, wyraźnie kontrastujące z wszechobecnymi w Santa Fe budynkami w latynoskim stylu pueblo, o płaskich dachach i tynkowanych ścianach. Ponownie skręcił w lewo. Minął jezioro Monastery, gdzie wybrał się na pstrągi podczas pierwszego lata spędzanego w tej okolicy, minął klasztor, od którego jezioro wzięło swoją nazwę, po czym ruszył w górę stromą, krętą drogą okoloną wysokimi sosnami. Słońce schowało się za potężnymi urwiskami na zachodzie, pograżając surowy krajobraz w cieniu.

- Wjeżdżamy na teren puszczy - odezwał się Decker. - Po prawej stronie mijamy rzekę Pecos. Miejscami ma tylko około sześciu metrów szerokości. Nie zawsze ją widać ze względu na drzewa i

skały, ale z pewnością ją słyhać. Niedostatki wielkości nadrabia szybkością.

- Z tej drogi prawie nikt nie korzysta - rzekła Beth. - Po co ta przyjechaliśmy?

- To wędkarska okolica. Głębiej między drzewami było widać kilka chat. Po święcie pracy zazwyczaj stoją puste. - Decker wskazał przed siebie. - A czasami ktoś decyduje się na sprzedaż.

Po prawej stronie, tuż za zakrętem, na słupku wisiała tabliczka z napisem: „Nieruchomości Edna Freed”, a pod spodem, mniejszymi literami: „Proszę się kontaktować ze Stephenem Deckerem” oraz numer telefonu.

Zaraz za znakiem skręcił z drogi, wjechał w otwartą przestrzeń między jodłami i z łoskotem pokonał wąski drewniany mostek ponad rzeką. Piaszczystą dróżką dotarł na polanę przed szarą chatką z drewnianych bali, przykrytą pochyłym, zardzewiałym metalowym dachem. Niewielki budynek, otoczony gęstwiną drzew i krzewów, wznosił się na mrocznym grzbiecie wzgórza, trochę ponad poziomem polany. Był zwrócony w stronę zjazdu z wiejskiej drogi. W zbocze wrzynały się schody z drewnianych bali, prowadzące do podniszczonych drzwi wejściowych.

- Typowy dom poza domem - stwierdziła Beth.

- Staram się go sprzedać od pół roku - rzekł Decker. - Klucz jest w skrzynce przymocowanej do drzwi.

Beth wysiadła z samochodu, oparła się na kulach i zadygotała.

- W mieście było mi ciepło, ale kiedy zajdzie słońce, powietrze od razu robi się chłodne.

- I wilgotne od rzeki - dodał Decker. - Dlatego kupiłem nam termoaktywną bieliznę. Zanim zaczniemy, lepiej ją włożmy.

- Termoaktywną bieliznę? Chyba nie będziemy przebywać na dworze aż tak długo, prawda?

- Możliwe, że całą noc. Beth wyglądała na zaskoczoną.

- Mamy dużo do zrobienia. - Decker otworzył bagażnik buicka. - Włóż wełniane rękawiczki i pomóż nam wyładować broń. Upewnij się, że nie zostawisz na niczym odcisków palców, wliczając amunicję. Potrafisz strzelać ze śrutówki?

- Tak.

- Kiedyś będziesz mi musiała powiedzieć, gdzie się tego nauczyłaś. Oczywiście twoje chore ramię nie wytrzyma odrzutu.

Byłoby ci też niewygodnie łamać broń, aby ją przeładować. Dlatego kupiłem dubeltówki. Mają lufy obok siebie, więc są wystarczająco szerokie i płaskie, aby się nie chwiać po oparciu o drewniany bal. Możesz się za nim położyć i celować oraz strzelać bez podnoszenia broni. Z każdej z nich będziesz mogła wystrzelić dwukrotnie. Zrobienie szpary w celu przeładowania także nie powinno ci sprawić trudności.

- O którym drewnianym balu mówiłaś? - dzielnie spytała Beth, zaskakując Deckera.

- Nie jestem pewien. Razem z Esperanza przejdziemy się po okolicy i zapoznamy z terenem. Spróbuj zastanowić się, co robią

Renata i jej przyjaciele, kiedy tu dotrą dziś w nocy. Którędy podejda. Czego będą chcieli użyć jako osłony. Potem pomyśl o położeniu, które da ci nad nimi przewagę. Za godzinę zrobi się ciemno. A kiedy już zgromadzimy sprzęt, rozpoczniemy próby.

### 13

A potem, straszliwie szybko, nadszedł czas wyjazdu. Tuż przed dwudziestą pierwszą, w pogłębiającej się ciemności, Decker odezwał się do Esperanzy:

- Ostatnie wieczorne samoloty wkrótce wylądują na lotnisku w Albuquerque. Nie możemy już dłużej czekać. Myślisz, że uda ci się samemu dokończyć przygotowania?

Zimne wieczorne powietrze schładzało oddech Esperanzy, sprawiając, że z jego ust wydobywała się para.

- Jak długo was nie będzie?

- Powinniśmy wrócić około północy.

- Będę gotowy. Lepiej nie zapomnij tego. - Esperanza podał mu torbę, która wcześniej zawierała milion dolarów, a teraz była wypełniona gazetami znalezionymi w chatce. Pieniądze znajdowały się w marynarskim worku leżącym koło stóp Esperanzy.

- Właśnie - odrzekł Decker. - Plan nie wypali, jeśli Renata pomyśli, że nie mam pieniędzy.

- Oraz mnie przy swoim boku - dodała Beth.

- To też prawda - zgodził się Decker. - Jeśli Renata nie zobaczy nas razem, będzie się zastanawiać, czemu się rozdzieliliśmy. Zacznie

podejrzewać, że ukryłem cię w bezpiecznym miejscu, a sam prowadzę ją w pułapkę.

- No proszę - rzekła Beth. - A ja cały czas myślałam, że postanowiłeś wziąć mnie ze sobą bo lubisz moje towarzystwo.

Ta uwaga sprawiła, że Decker poczuł się jak ukłuły igłą. Czy był to tylko niewinny żart, czy może...? Nie wiedząc, co odpowiedzieć, pomógł Beth usiąść na fotelu pasażera, odsuwając go do tyłu, aby miała więcej miejsca na zranioną nogę, po czym położył kule na tylnym siedzeniu. Kiedy wreszcie usiadł obok niej i zamknął drzwi, już wiedział, co powiedzieć.

- Jeżeli uda nam się przez to przejść... Jeżeli uda nam się poznać siebie nawzajem...

- Myślałam, że już się znamy.

- Ale kogo ja właściwie poznałem? Jesteś Beth Dwyer czy Dianą Scolari?

- A ty nigdy nie używałaś fałszywych nazwisk? Ponownie nie wiedział, co odpowiedzieć. Uruchomił silnik buicka, sztywno skinął głową Esperanzie i zawrócił na polanie. Oświetlając reflektorami gęsto rosnące sosny, pojechał w dół wąską dróżką pokonał mostek i wyjechał na pustą szosę prowadzącą do Pecos. Ruszyli do celu.

Jednak żadne z nich się nie odezwało, dopóki nie znaleźli się z powrotem na drodze międzystanowej numer 25, omijając Santa Fe, zmierzając w kierunku Albuquerque.

- Spytaj mnie - powiedziała Beth.

- Spytać cię...?

- O coś. O cokolwiek. - Jej głos był przepełniony emocjami.

- To poważna prośba.

- Cholera, chociaż spróbuj. Zanim dotrzemy na lotnisko, chcę wiedzieć, na czym stoimy.

Decker przyspieszył, wyprzedzając półciężarówkę, starając się przy tym nie przekraczać prędkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę.- Żaden związek nie przetrwa sam z siebie - rzekła Beth. - Trzeba nad nim pracować.

- No dobrze. - Decker zawahał się, skupiając uwagę na ciemnej autostradzie, którą mknął, czując się jak w tunelu. - Kiedyś opowiadałaś mi o swoim dzieciństwie. Mówiłaś, że twoi rodzice strasznie się kłócili i bałaś się, że któreś nocy ojciec wpadnie do twojej sypialni i zabije cię we śnie. Mówiłaś, że układałaś poduszki w taki sposób, aby udawały cię pod kołdrą a sama kładłaś się pod łóżkiem, aby ojciec zaatakował poduszki, ale nie mógł dopaść cię... Czy ta opowieść była prawdziwa?

- Tak. Podejrzewałaś, że kłamałam, abyś zechciał się mną zaopiekować?

Decker nie odpowiedział.

Beth zmarszczyła brwi, coraz bardziej była zmartwiona.

- Czy właśnie tak rozumujesz? Uważasz, że ludzie stale próbują tobą manipulować?

- Kiedyś tak myślałem, zanim przyjechałem do Santa Fe.

- A teraz wróciłeś do dawnych nawyków.

- Podejrzliwość pozwalała mi przetrwać. Prawda jest taka, że gdybym trzymał się dawnych nawyków i nie stracił czujności... - Nie podobało mu się, dokąd prowadzi go to rozumowanie, więc nie dokończył zdania.

- Wtedy byś się we mnie nie zakochał. Czy teraz tego żałujesz?

- Tego nie powiedziałem. Nie jestem pewny, co chciałem powiedzieć. Gdybym się w tobie nie zakochał, Renata i tak by mnie ścigała. To nie uległoby zmianie. Ale... - Deckera dręczyła niepewność. - Ale się w tobie zakochałem i gdybym teraz mógł cofnąć czas i zmienić przeszłość...

- Tak? - W głosie Beth słychać było obawę.

- Zrobiłbym wszystko tak samo. Beth głośno odetchnęła.

- A więc mi wierzysz.

- Wszystko sprowadza się do zaufania.

- Oraz wiary - dodała Beth.

Decker czuł ból w dłoniach ściskających kierownicę.

- Mnóstwa wiary.

**14**

Decker z niepokojem wysiadł z buicka na jasno oświetlonym parkingu firmy wypożyczającej samochody, położonym obok lotniska w Albuquerque, po czym razem z Beth udał się do terminalu. Na drugim poziomie, niedaleko punktu odbioru bagaży, oddał kluczyki pracownikowi Avis, poinformował go o przebiegu oraz ilości paliwa w baku, zapłacił gotówką i schował złożony rachunek do kieszeni.

- Łapią państwo wieczorny samolot? - spytał mężczyzna.

- Tak. Chcieliśmy, żeby nasze wakacje trwały jak najdłużej.
- Zapraszamy ponownie do Zaczarowanej Krainy.
- Na pewno skorzystamy.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku pracownika Avis, wmieszali się w tłum podróżnych schodzących z górnych poziomów terminalu, pasażerów ostatnich wieczornych samolotów. Starając się udawać, że właśnie przylecieli, zjechali razem z tłumem schodami ruchomymi na dolny poziom terminalu i udali się w stronę podziemnego parkingu.

- Teraz się zacznie - szepnął Decker.

Sodowe lampy łukowe na parkingu dawały dziwne żółte światło. Chociaż Decker był przekonany, że żaden z członków grupy Renaty nie zaryzykowałby zwrócenia na siebie uwagi ochrony, kręcąc się koło bramek w hali przylotów, to nie mógł mieć pewności, czy grupa zwiadowcza nie znajduje się na parkingu, obserwując jeepa. Parking nie był tak dobrze strzeżony jak lotnisko. Od czasu do czasu przejeżdżał tamtędy patrol, ale zwiadowcy zobaczyliby go z daleka i udawali, że pakują bagaż do samochodu, a po odjeździe ochroniarzy natychmiast ponownie podjęli obserwację. Jednak nawet jeśli grupa zwiadowcza rzeczywiście znajdowała się na parkingu, to było wątpliwe, aby spróbowali uprowadzić Deckera i Beth w tak publicznym miejscu, mając do dyspozycji tylko jedną drogę wyjazdową z lotniska. Podróżni wsiadający do pobliskiego samochodu zauważyliby atak i zapisali numer rejestracyjny, po czym zawiadomili ochronę, która z kolei telefonicznie zorganizowałaby

blokadę drogi prowadzącej z lotniska. Nie, przy tak wielu potencjalnych trudnościach, grupa zwiadowcza wolałaby zadziałać w bardziej odludnym miejscu. Na razie za pomocą telefonu komórkowego daliby znać Renacie, że widzieli Deckera niosącego torbę, pasującą do opisu bagażu zawierającego milion dolarów. Renata dałaby się nabrać, że Decker nie podejrzewa jej obecności w okolicy. W końcu gdyby uważał, że coś mu grozi, nie nosiłby przy sobie torby pełnej pieniędzy, prawda? Raczej by ją ukrył.

Jeep cherokee stał po lewej stronie schodów, na drugim poziomie podziemnego parkingu. Decker otworzył drzwi, pomógł Beth usiąść na przednim fotelu, rzucił torbę i kule na tylne siedzenie, po czym szybko wsiadł, zamykając drzwi i wkładając kluczyk do stacyjki.

Zawahał się.

- Na co czekasz? - spytała Beth.

Decker patrzył na swoją prawą dłoń, którą miał przekreślić kluczyk. Pot wystąpił mu na czoło.

- Teraz się dowiemy, czy miałem rację, że Renata nie nafaszerowała samochodu materiałami wybuchowymi.

- Cóż, jeśli się myliłeś, to nigdy się tego nie dowiemy - odparła Beth. - Do diabła z tym. Rozmawialiśmy o wierze. Zrób to. Przekreśl kluczyk.

Uśmiechnął się, wykonując jej polecenie. Czekał na wybuch mający roznieść samochód na strzępy, usłyszał pracę silnika. A więc w porządku. Tyłem wyjechał z zajmowanego miejsca parkingowego i

ruszył na tyle szybko, na ile pozwalało bezpieczeństwo, mijając podróźnych pakujących bagaże do swoich aut. Każdy z nich mógł być jego wrogiem. Pół minuty później wyjechał z podziemnego parkingu, zatrzymał się przy jednym z punktów opłat, zapłacił parkingowemu i dołączył do rzeki samochodów odjeżdżających spod lotniska. Błyszczały światła reflektorów.

Serce wściekle mu kołatało, kiedy pokonał łuk i wskazał palcem światła palące się niemal w każdym oknie trzynasto-piętrowego hotelu Best Western.

- W tej chwili w jednym z tych pokoi panuje duże poruszenie. Igła odbiornika poinformowała ich, że samochód ruszył.

Chciał przyspieszyć, ale powstrzymał się, kiedy zobaczył przed sobą światła na dachu radiowozu.

- Tak się denerwuję, że trzęsą mi się kolana - powiedziała Beth.

- Skoncentruj się na kontrolowaniu strachu.

- Nie mogę.

- Musisz.

Przed nimi samochód policyjny skręcił za róg.

Decker otworzył schowek dzielący dwa przednie siedzenia. Wyjął służbowy pistolet Esperanzy, który ten zostawił w samochodzie, gdy wybierali się do Nowego Jorku.

- Teraz już pewnie wyszli z pokoju i biegną na hotelowy parking.

- Jak ty to robisz, że się nie boisz.

- Boję się.

- Przecież przed chwilą powiedziałeś...

- Kontroluję strach, ale go nie powstrzymuję. Strach to mechanizm przetrwania. Daje ci siłę. Sprawia, że jesteś czujna. Może ocalić ci życie, ale tylko wtedy, kiedy masz nad nim kontrolę. Jeśli to on kontroluje ciebie, doprowadzi cię do śmierci.

Beth uważnie mu się przyglądała.

- Najwyraźniej muszę się o tobie jeszcze wiele dowiedzieć.

- I nawzajem. Zupełnie jakby wszystko to, co nam się przydarzyło przed atakiem na mój dom w ostatni piątek, stanowiło nasz miesiąc miodowy. Teraz rozpoczęło się małżeństwo. - Decker szybko wyjechał na drogę międzystanową przyłączając się do chaosu światła. - Zdążyli już dotrzeć na parking. Wsiadają do samochodów.

- Miesiąc miodowy? Małżeństwo?... Czyżby to były oświadczyzny?

- Czy to byłby taki zły pomysł?

- Ciągle byłbyś mną zawiedziony. Nigdy nie mogłabym stać się tą idealną kobietą, dla której narażałeś życie.- No to jesteśmy lewita, bo ja z pewnością nie jestem idealnym mężczyzną.

- Dobrze udajesz tego bohatera, o którym marzyłam jako mała dziewczynka.

- Bohaterowie to głupcy. Bohaterowie dają się zabić. - Przyspieszył, aby dotrzeć do pozostałym samochodom, jadącym z prędkością sta kilometrów na godzinę w strefie objętej ograniczeniem do osiemdziesięciu kilometrów. - Teraz Renata i jej przyjaciele pędzą w stronę drogi międzystanowej. Odbiornik pokaże

im, w którym kierunku pojechaliśmy. Muszę trzymać dystans. Nie mogę pozwolić, aby mnie wyprzedzili i zepchnęli na pustym odcinku autostrady.

- Czy możemy porozmawiać?

- Teraz?

- Będzie ci to przeszkadzać? Jeżeli nie, to rozmowa pomogłaby mi zapanować nad strachem.

- W takim razie porozmawiajmy.

- Jaka jest twoja największa wada?

- Słucham?

- Zalecałeś się do mnie przez całe lato, pokazując mi się tylko z dobrej strony. Jak wygląda ta gorsza?

- To ty opowiedz mi o swojej. - Decker zmrużył oczy, przyglądając się niewyraźnym światłom w lusterku, wypatrując, czy któryś z samochodów nie zbliża się szybciej od pozostałych.

- Ja spytałam pierwsza.

- Mówisz poważnie?

- Bardzo.

Kiedy ograniczenie prędkości zwiększyło się do sta kilometrów na godzinę, Decker niechętnie zaczął opowiadać.

## 15

Powiedział jej, że jego ojciec był zawodowym żołnierzem i ich rodzina mieszkała w bazach wojskowych na terenie całych Stanów Zjednoczonych, często się przeprowadzając. „Gdy dorastałem, nauczyłem się nie przywiązywać do ludzi i miejsc”.

Powiedział jej, że jego ojciec nie był zbyt wylewny i krępowało go okazywanie uczuć, zarówno gniewu, smutku, jak i radości. „Nauczyłem się ukrywać emocje”. Powiedział jej, że kiedy wstąpił do wojska, co było logicznym wyborem w przypadku syna oficera, szkolenie, które otrzymał w jednostce do zadań specjalnych, dodatkowo rozwinęło w nim zdolność kontrolowania uczuć.

- Jeden z instruktorów mnie polubił i często rozmawialiśmy po służbie. Wdawaliśmy się w filozoficzne dyskusje, przeważnie dotyczące tego, jak przeżyć niehumanitarne doświadczenia, nie tracąc przy tym człowieczeństwa. Przykładowo, jak zareagować na zabicie kogoś. Albo jak sobie poradzić, kiedy na naszych oczach zginie kolega. W pewnej książce pokazał mi fragment dotyczący umysłu i emocji, którego nigdy nie zapomnę.

Decker cały czas niespokojnie zerkał na odbicia światła w lusterku. Ruch na autostradzie zmalął. Mimo to Decker pozostał na lewym pasie, nie chcąc, aby spowalniały go nieliczne samochody jadące po prawej stronie.

- Co takiego ci pokazał? - spytała Beth.

- Ważne decyzje niosą za sobą ważne skutki. Wszyscy odczuwamy emocje. Emocje same w sobie nam nie przeszkadzają. Jednak przeszkadza nam myślenie o emocjach, jeżeli nie potrafimy tych myśli kontrolować. Zdolność tę możemy rozwinąć przez trening. Myśli kierują emocjami.

- Wygląda na to, że próbował nałożyć na twoje emocje jak najwięcej zabezpieczeń, abyś ich prawie nie odczuwał.

- Raczej filtrów. Wszystko polega na takim interpretowaniu emocji, aby zawsze jak najlepiej ci służyły. Na przykład... - Decker poczuł przyływ goryczy -...w sobotę wieczorem zginęli moi dwaj przyjaciele.

- Pomagali ci w szukaniu mnie? - Beth wyglądała, jakby ogarnęły ją mdłości.

- Mogłem pogрузić się w smutku, ale powiedziałem sobie, że nie mam na to czasu. Musiałem odłożyć żałobę na później, do chwili, kiedy będę mógł w pełni ją przeżyć. Nie mógłbym uczcić ich pamięci w przyszłości, gdybym wtedy nie skupił się na tym, jak ocalić swoje życie. Nadal nie znalazłem czasu na żałobę. Beth powtórzyła fragment cytatu, który jej podał.

- Myśli kierują emocjami.

- Właśnie tak żyłem.

Ponownie zerknął w lusterko. Światła reflektorów zbliżały się z niepokojącą szybkością. Odsunął szybę od strony kierowcy. Potem zjechał na prawy pas, przytrzymał kierownicę lewą ręką, prawą chwycił pistolet Esperanzy i przygotował się do strzału, na wypadek gdyby zbliżające się po lewej stronie auto spróbowało go staranować i bokiem zepchnąć z nieosłoniętego odcinka autostrady.

Samochód miał włączone najjaśniejsze światła, a ich odbicie w lusterku prawie oślepiło Deckera. Gwałtownie zwolnił, aby samochód go minął, nim kierowca zdąży wcisnąć hamulec. Jednak auto przemknęło obok niego i nie zwalniając, popędziło w dal. Po

zarysie można w nim było rozpoznać dużą pół-ciężarówkę. Czerwone tylne światła zniknęły w ciemności.

- Musi jechać jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę - ocenił Decker. - Jeśli pozwolę mu się trochę oddalić, a potem zrównam się z nim prędkością, to będę miał z głowy wszystkie patrole zaparkowane po tej stronie szosy. Najpierw zobaczą jego i za nim ruszą a ja będę miał czas, aby zwolnić i się prześlizgnąć.

W samochodzie zapadła cisza.

- A więc - w końcu odezwała się Beth - krępują cię emocje? W takim razie nieźle mnie nabrałeś tego lata.

- Świadomie starałem się zmienić. Otworzyć się i pozwolić sobie na uczucia. Kiedy wtedy wszedłeś do mojego gabinetu, po raz pierwszy w życiu byłem gotowy, aby się zakochać.

- A teraz czujesz się zdradzony, bo kobieta, w której się zakochałeś, nie jest tą, za którą się podawała.

Decker nie odpowiedział.

- Myślisz, że bezpieczniej byłoby ponownie stać się osobą którą byłeś kiedyś, zdystansować się i nie dopuszczać do siebie żadnych emocji, które mogłyby uczynić cię słabym - kontynuowała Beth.

- Taka myśl zaświtała mi w głowie.

- I co?

- Do diabła z moją dumą. - Decker uściśnął jej dłoń. - Spytałaś mnie, czy chcę zacząć wszystko od nowa. Tak. Ponieważ śmiertelnie przeraża mnie drugie rozwiązanie. Nie chcę cię stracić. Chyba bym

oszałał, gdybym nie mógł spędzić z tobą reszty swojego życia... Może jednak wcale nie wracam do dawnych nawyków.

Lepiej, żebyś to zrobił, powiedział do siebie. Od ciebie zależy, czy przeżyjemy tę noc.

## 16

Pod wpływem napięcia czuł znajomy bolesny ucisk w żołądku, z którym nieraz zmagał się podczas pracy dla agencji. Omlet, który rano zjadł w samolocie, tkwił w jego żołądku i palił niczym kwas, podobnie jak hamburgery i frytki na wynos, które kupił dla wszystkich tego popołudnia, kiedy kompletowali sprzęt. Jak za dawnych lat, pomyślał.

Zastanawiał się, jak blisko znajdują się jego prześladowcy i co postanowili. Czy członkowie grupy czekają na nich w Santa Fe? Może tylko kilku przyjaciół Renaty zatrzymało się w hotelu Best Western, niedostatecznie wielu, aby podjąć próbę przechwycenia. Może wezwali posiłki przez telefon komórkowy. A może Decker się pomylił i w jego samochodzie nie ukryto nadajnika. Może jego plan jest bezużyteczny. Nie, stanowczo zaprzeczył w myślach. Zajmuję się tym od wielu lat. Wiem, jak to się robi. Wiem, jak zachowałyby się Renata w takich okolicznościach.

No cóż, pomyślał zniechęcony, czyż to nie miłe mieć pewność?

Kiedy minął trzy kolejne zjazdy prowadzące do Santa Fe, mknąc dalej drogą międzystanową numer 25, z rozbawieniem wyobraził sobie zaskoczenie swoich prześladowców, ich gorączkową dyskusję i próby zrozumienia, dlaczego się nie zatrzymał i dokąd jedzie. Jednak

teraz śledzą go już wszyscy, zarówno ci z Santa Fe, jak i ci, którzy podążają jego śladem od Albuquerque. Mógł być tego pewny, podobnie jak tego, że jeszcze nie zmierzył się z największymi zagrożeniami tego wieczoru, jak choćby odosobnioną drogą stanową numer 50.

Była dwupasmowa, mroczna, wąska i kręta, z rzadka otoczona małymi skupiskami zabudowań, a przeważnie jedynie ciemnymi krzewami i drzewami. Dawała jego prześladowcom idealną możliwość zepchnięcia go z drogi bez żadnych świadków. Raczej nie mógł nią jechać równie szybko jak autostradą. Na pierwszym ostrym zakręcie miałby dachowanie. Miejscami nawet siedemdziesiąt kilometrów na godzinę stanowiło ekstremalną prędkość. Zgarbił się nad kierownicą wpatrując się w ciemność poza zasięgiem świateł, starając się jak najwięcej zyskać na prostych odcinkach, potem hamując, z napięciem pokonując wiraże i ponownie przyspieszając.

- Nie mogę oderwać wzroku od drogi, aby spojrzeć w lusterko - poinformował Beth. - Obejrzyj się. Widzisz jakieś światła?

- Nie. Czekał, teraz widzę.

- Co?

- Wyjeżdżają zza ostatniego zakrętu. Jeden... nie, chyba dwa samochody. Drugi właśnie pokonał zakręt.

- Jezu.

- Nie wygląda, aby nas doganiały. Dlaczego trzymają dystans? Może to nie oni? - rzekła Beth.

- A może chcą się dowiedzieć, w co się pakują zanim wykonają jakiś ruch. Przed nami.

- Światła.

- Tak. Dotarliśmy do Pecos.

We wtorek przed północą w miasteczku prawie nie było ruchu. Decker zwolnił na tyle, na ile się odważył, skręcił w lewo w pustą główną ulicę, po czym ruszył na północ w stronę gór.

- Już nie widzę świateł - odezwała się Beth. - To musiały być samochody miejscowych.

- Być może.

Kiedy blask sennego miasteczka został za nimi, Decker ponownie przyspieszył, wjeżdżając mroczną i krętą drogą w coraz bardziej dzikim terenie.

- Albo może to była Renata i jej gang, ale nie chcą abyśmy się zorientowali, że nas śledzą i dlatego trzymają się z dala. Mogą być ciekawi, co tutaj robimy.

W ciemności gęsto rosnące sosny tworzyły nieprzeniknioną ścianę.

- Nie wygląda to zbyt zachęcająco - oceniła Beth.

- To dobrze. Renata uzna, że jedyny powód, dla którego ktoś mógłby tu przyjechać, to aby się ukryć. Zbliżamy się. Jesteśmy prawie na miejscu. Jeszcze tylko kilka...

**17**

Prawie minął tablicę z napisem „Proszę się kontaktować ze Stephenem Deckerem”, zanim zwolnił na tyle, aby skręcić w ledwie

widoczną lukę między jodłami. Mając straszliwą świadomość, że zamiast zastawiać sidła na Renatę, równie dobrze może prowadzić w pułapkę siebie i Beth, przejechał po drewnianym mostku ponad szumiącym, szybkim nurtem wąskiej rzeki Pecos, wjechał na mroczną polanę, zaparkował przed schodami prowadzącymi do domu i wyłączył silnik. Dopiero wtedy wcisnął gałkę od świateł - ta sekwencja włączyła mechanizm utrzymujący reflektory włączone przez kolejne dwie minuty.

Korzystając ze światła, zabrał z tylnego siedzenia kule Beth oraz torbę na ramię. Czuł desperacką potrzebę pośpiechu, jednak nie odważył się jej ulec. Gdyby Renata i jej gang przejeżdżali w pobliżu i zobaczyli, że wbiega do chatki, od razu zaczęliby podejrzewać, iż wiedział o tym, że jest śledzony, oczekuje ich przybycia i ich wrabia. Z trudem powstrzymując zniecierpliwienie, pozwolił sobie na okazanie zmęczenia. Wspinając się w ślad za Beth po schodach z drewnianych bali, dotarł do metalowej skrzynki przymocowanej do gałki w drzwiach chatki. Reflektory samochodu dostarczały wystarczająco dużo światła, aby mógł otworzyć skrzynkę swoim kluczykiem. Uchylił pokrywkę, wyjął klucz od domu, otworzył drzwi i pomógł Beth wejść do środka.

Po zatrzaśnięciu drzwi i zamknięciu ich na klucz oraz zapaleniu światła, Decker wreszcie poddał się narastającej w nim potrzebie. Zasłony były już zaciągnięte, więc nikt z zewnątrz nie widział, jak podtrzymuje Beth, podczas gdy ona upuściła kule i chwyciła maskujący strój kupiony przez Deckera w sklepie z bronią. Wciągnęła

go na spodnie i bluzkę. Gdy tylko zasunęła suwak i ponownie złapała kule, Decker pospiesznie włożył swoje maskujące ubranie. Jeszcze przed opuszczeniem chatki i udaniem się na lotnisko włożyli polipropylenową bieliznę. Teraz Decker umazał twarz Beth, a następnie swoją ciemnym smarowidłem wyciśniętym z tubki zawierającej pastę do kamuflażu. Kiedy ćwiczili te czynności wczesnym wieczorem, udawało im się przygotować w ciągu dwóch minut, ale teraz zdenerwowanemu Deckerowi wydawało się, że zajmuje im to znacznie więcej czasu. Aby uniknąć pozostawiania odcisków palców, założyli ciemne wełniane rękawiczki, wystarczająco cienkie, aby móc w nich strzelać, lecz wystarczająco grube, żeby chronić przed zimnem. Kiedy Decker włączył małe radio, jakiś piosenkarz country zaczął zawodzić o „życiu i kochaniu i odchodzeniu i...”. Zostawił zapalone światło, pomógł Beth wyjść tylnymi drzwiami, zamknął je za sobą i zaryzykował krótki postój w zimnej ciemności, aby pogłaskać ukochaną po rękę, dodając jej odwagi i okazując uczucie.

Zadrzała, ale zrobiła to, co trzeba było zrobić, i co wcześniej ćwiczili, znikając po lewej stronie chatki.

Będąc pod wrażeniem jej odwagi, Decker powędrował w prawo. Światła samochodu przed domem już zgasły. Z dala od poświaty bijącej z okien chatki ciemność stała się gęściejsza. Potem oczy Deckera się przyzwyczyły, a księżyc i niewyobrażalna liczba gwiazd, bardzo jasnych, jak zwykle poza miastem, rozświetlały noc delikatnym blaskiem.

Kiedy Decker i Esperanza spacerowali po okolicy, oceniając teren z taktycznego punktu widzenia, postanowili wykorzystać ukryły w gęstych zaroślach szlak wędrówek dzikiej zwierzyny, biegnący na tyłach chatki. Niewidoczna z drogi, Beth szła teraz tą ścieżką zbliżając się do grubego drzewa, które okrążał szlak. Tam miała się położyć na leśnym poszyciu, przeczołgać w dół zbocza przez krzaki i dotrzeć do płytkiego dołka, który wykopał Esperanza, gdzie czekały na nią dwie dubeltówki, ułożone na balu drewna, gotowe do strzału.

W tym czasie Decker skradał się w ciemnościach do podobnego płytkiego dołka, który sam wykopał, używając jednego ze szpadli kupionych w sklepie z bronią. Nawet mając na sobie trzy warstwy ubrania, czuł wilgoć ziemi. Leżąc za pniem, osłonięty krzakami, zaczął po omacku szukać czegoś wokół siebie, ale bezskutecznie. Jego puls nerwowo przyspieszył, aż wreszcie Decker dotknął powtarzalnego winchestera.30-30. Potężna broń została zaprojektowana do użytku na średnie dystanse w zarośniętym terenie, takim jak ten. Mieściła sześć pocisków w magazynku i jeden w komorze, a szybkość strzałów zależała od tego, jak sprawnie podnosiło się i opuszczało dobrze naoliwioną dźwignię za spustem.

Obok strzelby stał akumulator samochodowy, jeden z przedmiotów nabytych przez Deckera przed wyjazdem z Santa Fe. Obok akumulatora leżało dwanaście par przewodów o odsłoniętych końcówkach. Przewody prowadziły do manierek wypełnionych olejem opałowym oraz pewnym rodzajem nawozu, w przeważającej części składającym się z azotanu amonu. Po zmieszaniu we

właściwych proporcjach substancje te tworzyły materiał wybuchowy. Żeby wzmocnić efekt, Decker otworzył kilka pocisków do dubeltówki i wsypał do manierek także śrut i proch strzelniczy. Aby sporządzić detonatory do poszczególnych bomb, stłukł dwanaście stuwatowych żarówek, uważając, aby nie użyć zbyt dużo siły i nie uszkodzić żarników. Następnie chwycił żarówki za metalowe trzonki i wsunął ich żarniki do manierek. Potem za pomocą taśmy klejącej przymocował do trzonków żarówek po dwa przewody. Manierki zostały zakopane w strategicznych punktach i przykryte liśćmi. Pary przewodów, ukryte w podobny sposób, prowadziły do akumulatora stojącego obok Deckera. Przewody poukładał od lewej strony do prawej zgodnie z rozmieszczeniem manierek. Gdyby teraz wybrał parę przewodów i przycisnął jeden z nich do dodatniego, a drugi do ujemnego bieguna akumulatora, spowodowałby zamknięcie obwodu, a żarnik rozgrzałby się i zdetonował bombę. Był gotowy. W dole dróżki, w lesie na przeciwległym brzegu wąskiej rzeki Pecos, po drugiej stronie drogi, ukrywał się Esperanza. Widział, jak Decker podjeżdża do domu, i miał za zadanie czekać na przybycie Renaty i jej przyjaciół. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że kiedy odbiornik ostrzeże ich, iż Decker skręcił w wąską dróżkę, to nie pojedą za nim, dopóki nie sprawdzą jakie kłopoty mogą tam na nich czekać. Prawdopodobnie miną zjazd, pojedą jeszcze kawałek szosą i tam zaparkują ostrożnie cofając się do dróżki. Będą chcieli uniknąć wąskiego gardła, jakie stanowiła ścieżka, ale im się to nie uda, ponieważ jedynym innym sposobem na dostanie się do posiadłości

było przeprowienie się przez bystrą rzekę, a w ciemności manewr ten stanowi zbyt wielkie ryzyko.

Kiedy tylko Renata i jej ludzie opuszczą szosę i powędrują dróżką, Esperanza wyjdzie z ukrycia i popsuje im samochody, aby w przypadku nagłego złego przeczucia i chęci powrotu grupa nie była w stanie uciec. Zapewne będą dwa auta - jedno dla zespołu zwiadowczego z lotniska, a drugie dla grupy z Santa Fe. Kiedy Esperanza je unieruchomi, przebijając gałązką wentyle kilku opon - cichy syk ulatającego powietrza zostanie zagłuszony przez szum rzeki - ruszy w ślad za grupą, uzbrojony w półautomatyczny karabinek z magazynkiem na trzydzieści pocisków i dwoma kolejnymi magazynkami schowanymi za paskiem, atakując od tyłu po wywiązaniu się strzelaniny. Chociaż lekki, karabinek miał wiele zalet - był dość cichy, mieścił sporo amunicji i był niezwykle szybkostrzelny. Te cechy okażą się przydatne w przypadku błyskawicznego ataku z niewielkiej odległości. Wybuchną manierki; Beth będzie strzelała z dubeltówki; Decker użyje winchestera, na podorędziu mając także samopowtarzalnego remingtona. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Renata i jej grupa zginą w ciągu trzydziesta sekund.

Problem w tym, pomyślał Decker, że plany często padają ofiarą Prawa Murphy'ego. Jeśli coś może pójść nie tak, to na pewno właśnie tak się stanie. A w jego planie było wiele znaków zapytania. Czy Renata i jej cała grupa ruszą dróżką jednocześnie? Czy wyczują pułapkę i sprawdzą, czy przypadkiem nikt się za nimi nie skrada? Czy

Beth uda się opanować nerwy i strzelić we właściwym momencie, tak jak ustalili? A jeśli już o tym mowa, to czy nie sparaliżuje jej strach, uniemożliwiając oddanie jakiegokolwiek strzału? Albo czy...

## 18

Decker usłyszał hałas przypominający trzask pękającej gałęzi. Nerwowo wstrzymał oddech, nie chcąc, aby przeszkadzał mu choćby najlżejszy dźwięk. Przyciśnięty do wilgotnego podłoża, nasłuchiwał, starając się odciąć od cichej muzyki country dobiegającej z radia w chatce i zignorować przytłumiony szum rzeki, czekając, aż odgłos się powtórzy. Wydawało mu się, że dźwięk dobiegł od strony dróżki, ale nie mógł zakładać, że wywołał go człowiek. Tak blisko puszczy pojawiało się wiele nocnych zwierząt. Hałas nie musiał oznaczać zagrożenia.

Od razu zastanowił się, jak zareagowała Beth. Czy udało jej się zapanować nad strachem? Wciąż przekonywał sam siebie, że jej obecność jest konieczna. Gdyby z nim nie przyjechała, Renata mogłaby zacząć podejrzewać, że Decker zastawia pułapkę i nie chce narażać Beth na niebezpieczeństwo. Jednocześnie Decker bił się z myślami, że być może jej obecność jednak nie była niezbędna. Może nie powinien był jej angażować. Może zbyt wiele od niej wymaga.

Ona nie musi mi niczego udowadniać.

Ale z pewnością sprawiłeś, że właśnie tak to odebrała.

Przestań, skarcił sam siebie. Powinieneś się skupić tylko na jednym, na przetrwaniu tej nocy. Na zadbanie o to, aby Beth ją przetrwała.

Kiedy nie usłyszał powtórki dźwięku, powoli wypuścił powietrze. Chatka znajdowała się po prawej stronie, z jej okien bił blask. Jednak nie spojrział w tamtym kierunku, nie chcąc odzwyczajając wzroku od ciemności. Zamiast tego skupił wzrok przed sobą na drodze, mostka, dróżce i polanie. Światło w chatce przyciągnie spojrzenie każdego, kto będzie się ta zakradał, utrudniając napastnikom zobaczenie czegokolwiek w otaczającej budynek ciemności. Tymczasem poświata bijąca z okien, w połączeniu z jasnym blaskiem księżyca i gwiazd, pomagała Deckerowi, nie męcząc mu oczu, pozostawać na krawędzi pola widzenia. Wydawało mu się, że patrzy przez gigantyczną soczewkę wzmacniającą światło.

Hałasowały świerszcze. Nowa smutna piosenka o otwartych drzwiach i pustych sercach rozbrzmiewała w radiu wewnątrz chaty. Nagle Decker zeszywniał, ponownie słysząc odgłos pękającej gałęzi. Tym razem nie miał wątpliwości, że dźwięk dobiegł od strony dróżki, pomiędzy drzew i krzewów rosnących po jej prawej stronie. Czy Renata i jej gang zdołali przekroczyć most niezauważeni? Nie wydawało się to prawdopodobne - chyba że zrobili to, zanim dotarł do swojego dołka. Jednak spuścił most z oczu tylko na kilka minut. Czy to możliwe, aby Renata zdążyła tu podjechać (nie widział żadnych świateł), uznać, że zaparkował samochód w dalszej części dróżki, zatrzymać się, zrobić rekonesans i przejść przez most, a wszystko to, zanim Decker wyszedł z chatki? Wymagałoby to pośpiechu graniczącego z lekkomyślnością a to nie było w stylu Renaty.

Jednak kiedy usłyszał ten sam dźwięk po raz trzeci, podniósł winchestera. Nagle zdał sobie sprawę, że Beth zapewne robi to samo, chwytając jedną z dubeltówek, ale czy wystarczy jej zdyscyplinowania, aby nie pociągnąć za spust, dopóki nie będzie to konieczne? Jeżeli spanikuje i strzeli zbyt wcześnie, zanim cel znajdzie się w jej zasięgu, to zrujnuje pułapkę i prawdopodobnie zginie. W drodze z Albuquerque Decker zwracał dużą uwagę na to zagrożenie, powtarzając, że dubeltówka to broń skuteczna na krótki dystans i Beth nie wolno zacząć strzelać, dopóki Decker tego nie zrobi, a na polanie nie pojawią się wyraźne cele. Druzgocący grad śrutu zrekompensuje wszelkie problemy z celowaniem, jakie może jej sprawiać zranione ramię, zwłaszcza jeśli w krótkich odstępach wypali ze wszystkich czterech luf.

Pamiętaj, co ci mówiłem, Beth. Wstrzymaj ogień.

Decker czekał. Nic się nie działo. Nie rozlegały się kolejne odgłosy łamanych gałęzi. Oszacował, że minęło pięć minut, a dźwięk nadal się nie powtórzył. Nie mógł spojrzeć na zegarek.

Miał go w kieszeni. Przed przyjazdem do chatki oboje z Beth zdjęli zegarki i je schowali, aby podświetlane tarcze nie zdradzały ich położenia w ciemności.

Ocecił, że minęło dziesięć minut. Rozmawiał z Beth o tym, jakie to uczucie, leżeć bez ruchu, być może całymi godzinami, gdy trzeba poskramiać zniecierpliwienie, ignorować przeszłość i przyszłość. Skup się na chwili obecnej i w niej pozostań. Powiedz sobie, że bierzesz udział w zawodach, a przeciwnicy poruszają się, zanim ty to

zrobisz. Na lotnisku w Albuquerque Decker nalegał, aby oboje skorzystali z toalety, pomimo że nie odczuwali takiej potrzeby, przekonując, że w nocy, kiedy będą leżeć w lesie, pełny pęcherz może okazać się na tyle dokuczliwy, że nie pozwoli im się skupić. Kucnięcie w celu załatwienia potrzeby nie wchodziło w grę - ruch zwróciłby na nich uwagę. Pozostawało tylko ulżenie pęcherzowi bez zdejmowania ubrania, ale to z pewnością poskutkowałoby utratą koncentracji.

Piętnaście minut. Dwadzieścia. Żadnych nowych podejrzanych dźwięków. Żadnych oznak ruchu na skąpanej w świetle księżyca dróżce lub w okalających ją mrocznych zaroślach. Cierpliwości, powiedział sobie Decker. Jednak część jego umysłu zaczęła się zastanawiać, czy dobrze to wszystko obmyślił. Być może Renata wcale nie ukryła nadajnika w jego samochodzie. Być może nie ma jej w pobliżu.

## 19

Spowijał go chłód nocy, lecz nagle po plecach przeszedł mu jeszcze zimniejszy dreszcz, kiedy zobaczył, że las się poruszył. Niski fragment zarośli, mniej więcej wielkości przykucniętego człowieka, przesuwał się ostrożnie od krzaka do krzaka. Jednak nie działo się to w pobliżu dróżki, jak oczekiwał Decker. Jeszcze bardziej niepokojące było to, że postać znajdowała się już w połowie drogi wzdłuż krawędzi okolonej drzewami polany, skradając się w stronę chatki. W jaki sposób dostała się tak daleko niezauważona? - pomyślał Decker z lękiem.

Gdzie są pozostali?

Poczuł kolejny zimny dreszcz, kiedy ujrzał następną postać w pobliżu pierwszej. Nie poruszała się wzdłuż krawędzi polany, ale wydawała się wynurzać z głębi lasu, jak gdyby nadchodząc z północy, a nie z zachodu, od strony mostka. Istniało tylko jedno wytłumaczenie - musieli znaleźć inną drogę przez rzekę.

Ale jak? Sprawdziłem rzekę na odcinku sta metrów w górę drogi. Grupa nie powinna dojechać dalej. Na rzece nie było żadnych drewnianych bali, kładek, a w wodzie nie tkwiły głazy, po których można by przejść na drugi brzeg, myślał zdenerwowany.

Kiedy trzecia postać wyłoniła się z lasu w połowie szerokości polany, Decker z trudem powstrzymał falę mdłości, zrozumiał nagle, co się stało. Po zaparkowaniu samochodów grupa się rozdzieliła. Część ludzi udała się na południe, aby strzec wylotu dróżki i zadbać o to, by Decker nie uciekł. Jednak druga część ruszyła na północ, czyli w kierunku, którego Decker nie wziął pod uwagę. Idąc dalej szosą, dotarli do kolejnej posiadłości i tam skorzystali z mostka, aby przekroczyć rzekę. Domy w tej okolicy były od siebie oddalone o mniej więcej czterysta metrów. Decker nigdy nie przypuszczał, że w nocy, pod wpływem presji, Renata i jej grupa zawędrują tak daleko. Dotarcie na polanę zajęło im aż tyle czasu, ponieważ skradali się na południe przez gęsty las, przemieszczając się żmudnie i powoli, aby robić jak najmniej hałasu. Członkowie grupy wyłonią się z lasu także na tyłach domu, starając się go okrążyć.

Za plecami Deckera.

Za plecami Beth.

Wyobraził sobie podkradającego się do niej wroga. Oboje będą zaskoczeni, ale zabójca zareaguje szybciej, strzelając do Beth, zanim ta będzie miała szansę się obronić. Decker miał ochotę od razu opuścić kryjówkę i na czworakach szybko ruszyć przez mroczne zarośla, na pomoc Beth. Jednak nie mógł sobie pozwolić na ulegnięcie temu impulsowi. Gdyby zadziałał przedwcześnie, bez należytego rozpoznania, naraziłby na niebezpieczeństwo zarówno Beth, jak i siebie. Problem w tym, że kiedy wreszcie rozpozna sytuację, może już być za późno.

Wahanie ocaliło mu życie, gdyż nagle też za sobą usłyszał trzask łamanej gałązki. Kiedy czyjś but zachrząścił na sosnowych igłach, Decker poczuł, że jego serce puchnie i podchodzi mu do gardła, dusząc go. Ostrożnie i z niezwykle powoli obrócił głowę, przesuwając ją stopniowo po kilka milimetrów. Równie dobrze mógł już być trzymany na muszce, ale i tak nie chciał ryzykować gwałtowniejszego ruchu. Jeżeli jeszcze nie został zauważony, szarpnięcie głową od razu by go ujawniło i uczyniło z niego cel.

Pot wystąpił mu na czoło. Powoli jego oczom ukazał się mroczny las, który miał za plecami. Kolejny odgłos kroku na chrupiących sosnowych igłach sprawił, że się wzdrygnął. Jego puls tak bardzo przyspieszył, że aż zakręciło mu się w głowie, kiedy zobaczył jakąś postać w odległości zaledwie trzech metrów. Renata? Nie. Zbyt masywna. Za szerokie ramiona. To był mężczyzna, trzymający w rękach strzelbę, odwrócony tyłem do Deckera. Patrząc

w stronę chatki, nieznajomy obniżył się, w dziwny sposób, znikając między krzakami. Decker wyobraził sobie całą scenę z jego punktu widzenia. Muzyka rozbrzmiewająca w chatce. Światło za zasuniętymi żaluzjami. W ramach przeprowadzanych przygotowań Decker tak ustawił zegary w lampach i radiu, aby wszystkie te urządzenia kolejno się wyłączyły w ciągu następnej godziny. Ten realistyczny efekt miał upewnić Renatę i jej przyjaciół, że złapali swoje ofiary w potrzask.

Po drugiej stronie polany nie było już trzech widocznych wcześniej postaci. Zapewne się rozdzieliły, okrążając chatkę i przygotowując się do jednoczesnego ataku. Czy poczekają na zgaśnięcie świateł, myśląc, że położyliśmy się spać, czy też wrzucą przez okna granaty ogłuszające i włamią się już teraz?

Czy kiedy będą pospiesznie przedzierać się przez las, wpadną na Beth?

Pierwotny plan Deckera polegał na zaskoczeniu całej grupy, po tym jak ta przeprawi się przez mostek i zacznie się skradać dróżką zdruzgotaniu jej wybuchami bomb i równoczesnym ostrzelaniu z trzech pozycji. Teraz jedynym sposobem na zachowanie elementu zaskoczenia było...

Powoli wydobył się z dołka. Obmacywał grunt przed sobą zwracając uwagę na wszystko, co mogłoby wywołać hałas. Poruszał się skokowo, podobnie jak podczas wcześniejszego obracania głowy. Przedostał się przez wąską przestrzeń między dwoma krzakami, zbliżając się do miejsca, w którym zniknęła obserwowana postać. Mężczyzna na pewno skupia uwagę na chatce. Pozostali również

wlepiają w nią wzrok i nie patrzą w tę stronę. Minęło dwanaście lat, odkąd Decker zabił człowieka ostrzem. Ściskając w garści jeden z myśliwskich noży, które kupił w sklepie z bronią i które wcześniej ułożył obok winchestera przy krawędzi dołka, przekradł się przez kolejne zarośla.

Tam. Półtora metra przed nim. Opiera się na jednym kolanie. Trzyma strzelbę. Obserwuje dom.

„Ważne decyzje niosą za sobą ważne skutki”.

Nie namyślając się długo, Decker skoczył naprzód. Lewą rękę zarzucił mężczyźnie na twarz, zakrywając mu za nos i usta. Wełniana rękawiczka pomogła stłumić odgłosy, jakie wydawała z siebie ofiara. Decker szarpnął mężczyznę do tyłu i poderżnął mu gardło, rozcinając żyłę szyjną i krtań.

„Emocje same w sobie nam nie przeszkadzają. Jednak przeszkadza nam myślenie o emocjach, jeżeli nie potrafimy tych myśli kontrolować”.

Chlusnęła krew, gorąca i kleista. Mężczyzna zeszywniał... zadygotał... zwiotczał. Decker po cichu ułożył ciało na ziemi. W świetle księżyca widać było smugę pary unoszącą się z rozciętego gardła trupa.

„Zdolność tę możemy rozwinąć przez trening. Myśli kierują emocjami”.

## 20

Czując w uszach uderzenia pulsu przypominające ciosy młotem, Decker przyklęknął za krzakami, starając się wypatrzeć jakiś znak

mogący wskazać, gdzie znajdują się pozostałe postacie. Czy było jeszcze więcej napastników, o których nie wiedział? Ktoś musiał zostać przy szosie, by pilnować wylotu dróżki. A co z posiadłością położoną czterysta metrów na południe? Ludzie ścigający Deckera na pewno ją widzieli, kiedy jechali za jeepem. Czy część ludzi Renaty się cofnęła i skorzystała z tamtego mostka, a teraz zbliżała się do chatki od południa? Może właśnie tak martwy mężczyzna leżący u stóp Deckera dotarł na tę stronę polany.

Jeżeli coś może pójść źle, to na pewno tak się stanie. Grupa musiała opracować plan przed zbliżeniem się do chatki. Jednak w jaki sposób się komunikowali, aby zsynchronizować swoje działania? Możliwe, że za pomocą mikroportów i słuchawek, chociaż wątpliwe, aby chcieli zaryzykować choćby szept. Decker sprawdził uszy i kurtkę trupa i potwierdził swoje wątpliwości, nie znajdując żadnego miniaturowego sprzętu do komunikacji.

W jaki inny sposób mogli zsynchronizować swój atak? Badając lewy nadgarstek mężczyzny, Decker znalazł zegarek, pozbawiony świecących wskazówek, które mogłyby zdradzać położenie jego właściciela. Zamiast szklanej tarczy, zegarek miał metalową klapkę, a kiedy Decker ją podniósł, mógł w ciemności sprawdzić godzinę, zdejmując rękawiczkę i dotykając długiej wskazówki minutowej, krótkiej wskazówki godzinowej oraz wypukłych liczb rozmieszczonych wzdłuż ponacinanej krawędzi. Decker, który znał taki rodzaj zegarków, poczuł, jak wskazówka minutowa drga do przodu, i ustalił, że jest za pięć pierwsza.

Czy atak na chatkę nastąpi o pierwszej? Deckerowi nie zostało dużo czasu na przygotowania. Włożył rękawiczkę, starł odcisk palca z zegarka i poczołgał się z powrotem przez zarośla tak szybko, jak było to możliwe bez robienia hałasu, wracając do wilgotnego, płytkiego dołka, który coraz bardziej przypominał mu grób. Tam odszukał ręką szereg kabli i wybrał dwie pary przewodów położone najdalej po prawej stronie. Rozdzielił obie pary, trzymając jedną w lewej, a drugą w prawej dłoni, i przygotował się do przytknięcia odsłoniętych końcówek przewodów w obu parach odpowiednio do dodatniego i ujemnego bieguna samochodowego akumulatora.

Pomimo zimnego nocnego powietrza, na jego czole pot mieszał się z pastą do kamuflażu. Skupił uwagę na chatce, z niezadowoleniem zdając sobie sprawę, że pod wpływem światła w oknach jego wzrok odzwyczaja się od ciemności. Odliczał czas od chwili dotknięcia zegarka na nadgarstku zabitego mężczyzny i ocenił, że minęły cztery minuty i trzydzieści sekund. Atak na chatkę rozpocznie się za około...

Pomylił się o piętnaście sekund. Pękły szyby. Z oślepiającym błyskiem i porażającym hukiem granaty ogłuszające wybuchły we wnętrzu chatki. Mroczne postacie uzbrojone w strzelby wyskoczyły zza krzaków. Dwie wyważyły drzwi frontowe, a jedna tylne. Zapewne mężczyzna, którego Decker zabił, miał dołączyć do samotnej postaci wpadającej teraz do budynku tylnym wejściem, jednak postać ta (być może była to Renata) tak bardzo zaangażowała się w atak, że wydawała się nie zauważać braku partnera.

Ze swojego dołka Decker obserwował szybko poruszające się cienie widoczne na żaluzjach. Wściekłe ruchy. Krzyki. Przekleństwo. Nie znalazłszy nikogo w chatce, napastnicy domyślili się, że zostali oszukani i wpadli w pułapkę. Teraz desperacko będą próbowali wydostać się z chatki, zanim pęta się zaciśnie. Kolejne przekleństwo. Decker błyskawicznie przenosił wzrok między frontowymi i tylnymi drzwiami. Czy wszyscy wybiegną jednym wejściem, czy raczej rozdziela się, jak podczas ataku?

To drugie. Widząc samotną postać wypadającą przez tylne drzwi, Decker natychmiast przycisnął przewody do biegunów akumulatora. Noc zmieniła się w dzień. Ziemia pod biegnącą postacią zatrzęsała się i wybuchła płomieniem, wyrzucając piach, śrut oraz kawałki metalowej manierki. Postać wyleciała w górę po łuku. Dwaj zabójcy wybiegający przez drzwi frontowe zachwiali się pod wpływem huku eksplozji. Decker przytknął drugą parę przewodów do biegunów akumulatora. Tym razem wybuch był jeszcze potężniejszy. Ognisty ryk wyrwał w ziemi krater i zrzucił krzyczące postacie w dół schodów, w stronę samochodu Deckera. W chatce wyleciały szyby. Płomienie szalały na ścianach.

Mrużąc oczy pod wpływem wściekłego blasku pożaru, Decker upuścił przewody i chwycił winchestera. Jak najszybciej operując dźwignią zaczął ostrzeliwać tylną część chatki, gdzie upadła samotna postać. Rozległ się łatwo rozpoznawalny huk dubeltówki, świadczący o tym, że Beth strzela do postaci, które upadły obok niej na polanie. Kolejny huk. Jeszcze jeden. Jeżeli w okolicy jest więcej napastników,

to hałas robiony przez dubeltówkę, nie mówiąc o błyskach z lufy, ujawni pozycję Beth. Została poinstruowana, aby po oddaniu strzałów chwycić broń i przetoczyć się pięć metrów w prawo, gdzie wykopano kolejny dołek. Tam czekało na nią pudełko z amunicją. Miała pospiesznie przeładować dubeltówkę i ponownie zacząć strzelać, co jakiś czas zmieniając położenie.

Jednak Decker nie miał czasu o tym myśleć. Musiał wierzyć, że Beth trzyma się planu. Wystrzelił siódmy, ostatni pocisk z winchestera, upuścił strzelbę, wyciągnął berettę 9 mm i starając się pozostawać w cieniu, zaczął się skradać przez zarośla do miejsca, gdzie upadł samotny napastnik. Im bliżej podchodził do płonącej chaty, tym trudniej było mu się ukryć w ciemności. Jednak płomienie oświetlały także leżącą na ziemi postać. Decker wystrzelił i ciało podskoczyło, kiedy pocisk trafił je w głowę.

Słyszając kolejne wystrzały z dubeltówki Beth, Decker pobiegł naprzód, wycelował w dół i przewrócił trupa nogą ale nie zobaczył tego, na co liczył. Twarz postaci leżącej na ziemi nie była twarzą Renaty, ale jednego z jej braci, z którym Decker rozmawiał w kawiarni w Rzymie piętnaście miesięcy wcześniej, kiedy McKittrick przedstawił go Renacie.

Odwrócił się na pięcie, czując się wystawiony na atak, pragnąc wycofać się spod płonącej chatki w ciemność lasu. Jednocześnie zapragnął dotrzeć do Beth, pomóc jej i sprawdzić, czy którakolwiek z dwóch postaci, do których strzelała (i które być może zabiła), to Renata. Z niepokojem zastanawiał się, co się dzieje z Esperanza. Czy

wyeliminował strażę, które, jak Decker przypuszczał, zostały ustawione na szosie, po drugiej stronie mostka, przy wylocie dróżki? Jednak Decker wierzył, że Esperanza potrafi o siebie zadbać, tymczasem Beth, choć zachowywała się wspaniale, musiała być już bliska paniki.

Chociaż wiązało się to z ryzykiem, pobiegł wzdłuż ściany płonącej chatki, mając zamiar znaleźć jakąś osłonę przed domem i ostrzelać napastników, którzy upadli na polanie, w pobliżu jego samochodu. Jeżeli wciąż żyli, zapewne skupiali uwagę na miejscu, z którego strzelała Beth, więc Decker mógł ich zaskoczyć.

Jednak to jego zaskoczył pocisk, który świsnął tuż obok i wbił się w ścianę chatki. Nadleciał z lewej strony, z tej części lasu, w której Decker wcześniej się ukrywał. Zabity mężczyzna musiał mieć towarzysza, który mniej sprawnie przedzierał się przez las od strony posiadłości na południu. Decker przypadł do ziemi i potoczył się w stronę grubej sosny. Pocisk rozdarł grunt tuż za nim, a Decker dostrzegł błysk z lufy po lewej stronie drzewa. Rzucił się w prawo, okrążając pień i strzelając w kierunku miejsca, z którego padł strzał. Potem od razu ponownie zanurkował w prawo, ujrzał kolejny błysk i wycelował w jego stronę, ale zanim zdążył pociągnąć za spust, usłyszał czyjś krzyk.

## 21

Krzyczała Beth. Pomimo huku płomieni, Decker usłyszał za sobą jakieś zamieszanie. Na krawędzi polany szeleściły krzaki, trzaskały gałęzie, toczyła się walka.

Beth ponownie krzyknęła. Potem ktoś wywrzeszczał słowo, które mogło być nazwiskiem Deckera. Nie była to Beth. Głos był groteskowy, głęboki, chropawy i zniekształcony. Ponownie zabrzmiało to samo słowo i teraz Decker był już pewny, że gardłowy głos należy do Renaty. Mając się na baczności przed uzbrojonym mężczyzną ukrytym między mrocznymi drzewami z przodu, zaryzykował spojrzenie przez ramię, a wtedy potwierdziły się jego najgorsze obawy. Na polanie ubrana w czarny kombinezon wysoka kobieta o krótko obciętych włosach i szczupłej, zmysłowej figurze, trzymała Beth jako zakładniczkę, lewą ręką obejmując ją za szyję, a prawą trzymając pistolet przy jej skroni.

Renata.

Nawet z odległości trzydziestu metrów doskonale widział wściekłość w jej ciemnych oczach. Lewą ręką tak mocno ścisnęła szyję Beth, że ta miała wykręconą twarz, a otwartymi, wykrzywionymi ustami z trudem łapała powietrze. Beth zaciskała palce na ręku Renaty, próbując się uwolnić, ale obrażenia prawej nogi i ramienia pozbawiły ją siły i oparcia. Ranna noga już nie była w stanie jej utrzymać. Prawie wisiała w uścisku Renaty, co groziło uduszeniem.

- Decker! - wrzasnęła Renata tak gardłowo, że miał trudności ze zrozumieniem jej słów. - Rzuć broń! Chodź tutaj! Już! Bo ją zabiję!

Sparaliżowała go rozpacz.

- Zrób to! - krzyknęła Renata chrapliwie. - Ale już!

Decker przestał się wahać, kiedy Renata odbezpieczyła pistolet. Pomimo huku pożaru, wydawało mu się, że słyszy tylko jeden dźwięk - kliknięcie odciąganego kurka. Oczywiście nie mógł tego słyszeć. Renata znajdowała się za daleko. Jednak w wyobraźni Deckera odgłos ten zabrzmiał przerażająco prawdziwie, jak gdyby broń była przystawiona do jego własnej głowy.

- Nie! Poczekaj! - wrzasnął.

- Rób, co mówię, jeśli chcesz, aby ona przeżyła! Beth udało się wydusić kilka niewyraźnych słów.

- Steve, ratuj się!

- Zamknij się, do diabła! - Renata mocniej zacisnęła rękę wokół szyi Beth, której twarz jeszcze bardziej się wykrzywiła i pociemniała, a oczy wyszły jej z orbit. - Zrób to, albo nie będę się bawić w strzelanie! - zawołała Renata. - Skręcę jej kark! Będzie sparaliżowana do końca życia!

Z niepokojem pamiętając o uzbrojonym mężczyźnie, kryjącym się gdzieś w lesie za jego plecami, Decker oszacował swoje szanse trafienia Renaty. Z pistoletu? W blasku płomieni? Z trzydziestu metrów? Przy ciężko falującej klatce piersiowej i trzęsących się rękach? Niemożliwe. Nawet gdyby spróbował, to zanim podniósłby rękę z pistoletem, aby wycelować, Renata zdążyłaby pociągnąć za spust i przestrzelić Beth głowę.

- Masz trzy sekundy! - wrzasnęła Renata. - Jeden! Dwa! Zobaczył, że prawa ręka Renaty się poruszyła. Wyobraził sobie, jak zaciska palec na spuście.

- Poczekaj! - krzyknął ponownie.

- Już!

- Wychodzę!

Chociaż płomienie buchające z chatki ogrzewały prawą stronę ciała Deckera, między łopatkami czuł złowieszcze zimno, kiedy myślał o mężczyźnie w lesie, któremu wystawiał się na strzał, wychodząc z cienia sosny.

Podniósł ręce.

- Rzuć pistolet! - krzyknęła Renata groteskowym głosem.

Decker jej posłuchał i pistolet spadł na poszycie lasu. Podeszedł bliżej na drżących nogach, bojąc się powalającego uderzenia pocisku, wystrzelonego w jego plecy przez chowającego z tyłu napastnika. Jednak lepiej umrzeć niż oglądać śmierć Beth. Nie chciał pozostać przy życiu bez niej.

Z wysoko uniesionymi rękami dotarł do zbocza prowadzącego na polanę, zszedł po nim bokiem, minął swój samochód i zobaczył ciała dwóch mężczyzn zabitych w eksplozji przed domem. Zatrzymał się przed Renatą.

- Popatrz, ty draniu - warknęła Renata, wskazując ciała. - Patrz, co ona zrobiła. Patrz. - Jej niegdyś urzekająca twarz była odrażająca za sprawą zniekształcającej ją nienawiści. - Popatrz, co ty zrobiłeś! - Uniosła podbródek, dzięki czemu w blasku ognia Decker zobaczył brzydką poszarpaną bliznę po postrzale w szyję, też obok krtani. - Z tyłu mam większą bliznę!

Ledwie ją rozumiał. Jego umysł intensywnie pracował, tłumacząc słyszane słowa.

- Zabiłeś moich braci! Jak ci się wydaje, co powinnam z tobą zrobić?

Decker nie potrafił odpowiedzieć.

- Może powinnam tobie zrobić dziurę w szyi? Albo zrobić to jej?

Gdzie są moje pieniądze?

- W torbie, którą znalazłem w twoim samochodzie w Nowym Jorku.

- A gdzie ta cholerna torba? Widziałam, jak niesiesz ją do chaty.

Decker skinął głową.

- Tam ją zostawiłem. - Spojrzał na płonący budynek.

- Nie zabrałeś jej ze sobą na zewnątrz?

- Nie.

- Zostawiłeś ją tam?

- To właśnie powiedziałem.

- Mój milion dolarów?

- Minus kilka tysięcy, które wydałem na sprzęt.

- Kłamiesz.

Decker ponownie zerknął na płomienie, próbując przedłużyć rozmowę.

- Obawiam się, że nie.

- Udowodnij - warknęła Renata.

- O czym ty mówisz? Niby jak miałbym to udowodnić?

- Przynieś mi pieniądze.

- Co takiego?
- Wejdź tam i przynieś moje pieniądze.
- W ten ogień? Nie będę miał żadnych szans.
- Chcesz porozmawiać o szansach? To jedyna, jaką otrzymasz.

Włóż do chaty... i przynieś... moje... pieniądze.

Płomienie huczały.

- Nie - odparł Decker.

- W takim razie zmuszę ją aby po nie weszła. - Renata pociągnęła Beth przez polanę w stronę schodów prowadzących do domu. Jednocześnie zawołała w stronę mrocznego lasu za płonącym budynkiem - Piętro! Schodź tutaj! Pilnuj go!

Beth zatrzepotała powiekami. Przestała próbować odciągnąć rękę Renaty. Jej twarz przybrała niepokojący kolor, ciało stało się bezwładne. Ucisk wokół szyi pozbawił ją przytomności.

- Piętro! - Renata wciągnęła Beth po kilku stopniach wykonanych z drewnianych bali. - Gdzie jesteś? Kazałam ci ta przyjść!

Płomienie wznosiły się coraz wyżej, pokrywając ściany chatki od zewnątrz i wypełniając jej wnętrze kłębamii dymu oraz jaskrawym karmazynowym blaskiem.

Renata szarpnięciem wciągnęła Beth na szczyt schodów i tam stanęła, powstrzymana falą niehumanicznego gorąca. Uwolniła szyję zakładniczki i postawiła ją, zamierzając wpełznąć w ogień.

Decker nie mógł się już dłużej powstrzymać. Choć wiedział, że zostanie postrzelony, puścił się jak szalony w kierunku schodów, desperacko pragnąc pomóc Beth.

- Piętro!

Decker dotarł do pierwszego stopnia.

- Zastrzel go, Piętro! Decker był już w połowie drogi.

Popychając Beth w stronę płomieni, Renata jednocześnie odwróciła się, aby wycelować w Deckera.

Lufa jej pistoletu znajdowała się na wysokości jego twarzy, kiedy czyjaś ręka sięgnęła od tyłu i opadła na pistolet. Była to ręka Beth, która tylko udawała utratę przytomności. Kiedy Renata ją popchnęła, Beth poleciała w stronę płomieni, zatoczyła się do tyłu, gwałtownie odwróciła i rzuciła całym ciężarem na Renatę. Wepchnęła kciuk między kurek pistolem i iglicę na chwilę przed tym, jak Renata pociągnęła za spust, a potężna sprężyna kurka wbiła go Beth w ciało. Nieoczekiwany napór sprawił, że Renata straciła równowagę. Obie runęły ze schodów, tocząc się, obracając, odbijając, uderzając w Deckera i pociągając go ze sobą.

Gwałtownie zatrzymali się u podnóża schodów i legli zaplątani na ziemi. Beth wciąż miała kciuk wciśnięty pod kurek pistoletu. Próbowwała wyszarpnąć Renacie broń z zaciśniętej ręki, ale nie miała siły. Z kolei Renata mocno pociągnęła pistolet i go uwolniła, rozrywając Beth palec. Leżąc płasko na ziemi, z rękami przygniecionymi przez obie kobiety, Decker nie mógł się poruszyć, kiedy Renata wycelowała w niego broń. Krzywiąc się z bólu, Beth

przetoczyła się po Deckerze, złapała pistolet i z trudem go odepchnęła.

Zatrzęsła się ziemia, kiedy eksplodował materiał wybuchowy w jednej z manierek, strzelając ogniem po przeciwległej stronie polany. Drugi wybuch, trochę mniej odległy, wyrwał w ziemi krater. Trzecia eksplozja, na środku polany, wywołała falę uderzeniową która przewróciła Beth i Renatę. Czwarty wybuch, jeszcze bliższy, ogłuszył Deckera. Ktoś kolejno detonował manierki, wywołując na polanie pochód eksplozji.

Dym otoczył Deckera. Oszołomiony potrzebował chwili, aby otrząsnąć się z zaskoczenia i przezwyciężyć skutki wybuchów. Niczym w amoku przetoczył się przez dym, chcąc odnaleźć Beth i jej pomóc. Ale nie zdążył. Usłyszał strzał, a po chwili drugi i trzeci. Krzyknął i rzucił się naprzód, słysząc czwarty strzał, piąty, szósty. Strzały rozlegały się tuż przed nim. Siódmy. Ósmy. Nagle podmuch wiatru rozwiął dym i słysząc dziewiąty strzał, Decker ujrzał na ziemi Renatę i Beth, połączone jakby w uścisku.

- Beth! Dziesiąty strzał.

Decker z wściekłością rzucił się w stronę Renaty i ją pociągnął, gotowy złamać jej rękę, aby upuściła pistolet, strzaskać jej zębra, rozbić nos i wyłupać oczy, wymierzając jej karę za zabicie Beth. Jednak bezwładny ciężar, który trzymał, oraz krew ciekąca z licznych otworów w ciele Renaty, a także sącząca się z jej ust, przekonały go, że się pomylił. To nie Renata strzelała, ale Beth.

Z oczu Beth dało się wyczytać emocje graniczące z histerią. Już miała pociągnąć za spust po raz jedenasty, jednak zdała sobie sprawę, że Decker stoi na linii strzału, i powoli opuściła broń, po czym opadła na ziemię.

Otoczony kłębam dymu Decker upuścił Renatę i podbiegł do Beth.

- Nic mi nie było w lewą rękę - wymamrotała niemal triumfalnie.

- Jesteś ranna? - spytał Decker.

- Wszystko mnie boli. Boże, mam nadzieję, że nie ma ich więcej.

- Był jeden w lesie. Powinien już był nas zaatakować.

- Nie żyje - odezwał się jakiś głos spoza unoszącego się dymu.

Decker podniósł wzrok.

- Wszyscy nie żyją.

Z dymu wyłonił się Esperanza, oświetlony płomieniami, przypominający zjawę. Miał strzelbę przewieszoną przez ramię. W prawej dłoni trzymał łuk kupiony przez Deckera. W lewej - kołczan ze strzałami.

- Kiedy wybuchły ładunki koło chatki, zastrzeliłem dwóch mężczyzn pilnujących wylotu dróżki - wyjaśnił Esperanza. - Z takiej odległości dwudziestkadwójka nie narobiła tyle hałasu, aby można ją było tutaj usłyszeć przy takim zamieszaniu. Ale nie mogłem jej użyć przeciwko Piętro, jak go nazywała Renata. Znajdowaliśmy się zbyt blisko polany. Renata mogłaby usłyszeć strzały, zdać sobie sprawę, że

nie jesteście sami, wpaść w panikę i od razu zabić was oboje. - Esperanza podniósł łuk. - Więc użyłem tego. Zero hałasu. Dobrze, że go kupiłeś.

- Dobrze, że umiesz się nim posługiwać.

- Miałem ci powiedzieć. Każdej jesieni, podczas sezonu łuczniczego, jadę w góry na polowanie. Odkąd skończyłem czternaście lat, nie zdarzyło mi się wrócić bez jelenia.

- Czy to ty zdetonowałeś bomby? - spytał Decker.

- Renata chciała cię zastrzelić. Nic innego nie przyszło mi do głowy. Nie mogłem do niej strzelić, bo oboje z Beth ją zasłanialiście. Nie mogłem dotrzeć do was wystarczająco szybko, aby ją pochwycić. Potrzebowałem czegoś, co by odwróciło waszą uwagę i was zaskoczyło, a tobie dało szansę na szybsze oprzytomnienie.

- To Beth pierwsza się otrząsnęła. - Decker popatrzył na nią z podziwem. - Pomóż mi ją zanieść do samochodu.

Kiedy układali ją na tylnym siedzeniu, Esperanza już wiedział, co Decker za chwilę powie.

- Sprzątamy teren?

- Zbierz wszystko, co się da. Policja z Pecos tu przyjedzie, żeby zbadać przyczynę eksplozji. Pożar doprowadzi ich prosto do chatki. Nie mamy dużo czasu.

Decker pobiegł po dubeltówki Beth, podczas gdy Esperanza wrzucił karabinek, łuk i kołczan do bagażnika jeepa. Zabranie broni było niezwykle ważne, ponieważ po jej numerach seryjnych można było trafić do sklepu, w którym została kupiona, a następnie do

samego Deckera. Kiedy Decker wrócił z dubeltówkami, Esperanza właśnie zniknął w lesie, prawdopodobnie idąc po winchestera i akumulator. Decker wykopał pozostałe manierki. Wyciągnął z nich żarniki, zgarnął przewody i ułożył całość z tyłu samochodu. W tym czasie wrócił Esperanza, niosąc sprzęt zabrany z kryjówki Deckera.

- Wykopię pieniądze. Co jeszcze?

- Remington. Leży w dołku koło mostka.

- Też go przyniosę - odparł Esperanza.

- Kule Beth. Noże myśliwskie.

- Lepiej zabierzmy też wszystkie pudełka z amunicją. I strzałę, którą wystrzeliłem.

- Esperanza.

- Co?

- Musiałem użyć twojego pistoletu. Dwie łuski leżą w tamtych zaroślach.

- Jezu. - W blasku płomieni wydawało się, że Esperanza poblądł.

- Naładowałem go, zanim to wszystko się wydarzyło. Nie miałem wtedy na sobie rękawiczek. Na tych łuskach są moje odciski palców.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby je znaleźć - zapewnił go Decker. - Tu masz moje kluczyki do samochodu. Zabierz pieniądze, noże, remingtona i pudełka z amunicją. Uciekajcie stąd razem z Beth. Będę szukał do ostatniej chwili, dopóki radiowozy nie wjadą na dróżkę.

Esperanza nie odpowiedział, tylko na niego patrzył.

- Jedź - polecił mu Decker, po czym popędził w górę zbocza, w stronę drzew i krzewów po prawej stronie płonącej chatki. Jeden ze strzałów z pistoletu Esperanzy oddał obok dużej sosny, gdzieś...

Tutaj! Próbował w myślach odtworzyć to, co wtedy robił: przypadł do ziemi po strzale uzbrojonego napastnika kryjącego się w głębi lasu, rzucił się na prawo od drzewa, przyklęknął i pociągnął za spust i...

Łuska musiała wylecieć w górę i wylądować mniej więcej w odległości metra od...Blask płomieni odbił się od czegoś małego i metalicznego. Szybko dysząc, triumfalnie wypuszczając powietrze z płuc, Decker padł na kolana i znalazł pierwszą z szukanych łusek kalibru 9 mm. Jeszcze tylko jedna. Kiedy zerwał się na nogi, zauważył pędzącego w jego stronę Esperanzę.

- Uciekaj - zawołał Decker.

- Bez ciebie nigdzie się nie ruszam.

- Ale...

- Pokaż mi, gdzie mam szukać - przerwał mu Esperanza.

Omijając płomienie buchające z chatki, pobiegli na tył budynku, ignorując ciało mężczyzny, którego Decker postrzelił w głowę, całkowicie pochłonięci poszukiwaniem drugiej łuski.

- Może być tam... albo tam. - Klatka piersiowa Deckera falowała.

- Roślinność jest zbyt gęsta. - Esperanza przypadł do ziemi, czołgając się i dłońmi przeczesując otoczenie. - Nawet w blasku ognia nic nie widać, za dużo cieni.

- Musimy ją znaleźć!

- Posłuchaj.

- Co?

- Syreny.

- Cholera.

- Ledwie słyhać. Są jeszcze daleko.

- Nie na długo. - Decker zaczął jeszcze dokładniej przeszukiwać ziemię pod krzakami, jak w amoku wodząc dłońmi po ciemnym podłożu. - Idź. Wsiadaj do samochodu i odjedź stąd. Nie ma potrzeby, aby złapali nas wszystkich.

- Lub kogokolwiek z nas. Zapomnij o łusce - odparł Esperanza. - Chodź ze mną do samochodu.

- Jeśli znajdą łuskę i zdejmą z niej odciski palców...

- Szczałkowe odciski. Pewnie rozmazane.

- Chciałbyś, żeby tak było. Nie będziesz w stanie wyjaśnić, co tu robiła łuska z twoimi odciskami. - Decker grzebał wśród suchych liści.

- Powiem, że ktoś ukradł mi pistolet.

- A ty byś uwierzył w taką historię?

- Raczej nie.

- Więc...

- Nie dbam o to. - Esperanza wczołgał się pod krzaki. - Tylko dlatego, że mogę zostać w coś zamieszany, nie oznacza, że ty i Beth też musicie mieć kłopoty. Wynośmy się...

- Znalazłem! O Jezu, znalazłem. - Decker zerwał się na nogi i pokazał Esperanzy cenną łuskę. - Nie wierzyłem, że...

Wypadli z zarośli i pobiegli do samochodu, tak szybko pokonując zbocze, że prawie się potknęli i przewrócili. Esperanza wciąż miał kluczyki. Wślizgnął się za kierownicę, podczas gdy Decker rzucił się na tylne siedzenie obok Beth. Zanim zdążył zatrzaskać drzwi, Esperanza już wrzucił bieg i gwałtownie zakreślił na polanie, wyrzucając ziemię spod kół. Ledwie znajdując czas na włączenie świateł, popędził dróżką przeskoczył przez mostek i szybko wypadł na ciemną wiejską drogę.

- Wszystko mamy? Pieniądze? Broń? - pytał Decker na tyle głośno, aby słyszeć swój głos ponad łomotaniem serca.

- Chyba niczego nie zostawiliśmy. - Esperanza mocno docisnął gaz.

- W takim razie nam się udało - odrzekł Decker.

- Tylko że... - Esperanza wskazał przed siebie, gdzie w ciemności rozlegało się coraz głośniejsze wycie syren.

Zwolnił i wyłączył światła.

- Co robisz? - spytał Decker.

- Przypominam sobie młodość.

Skreślił w dróżkę prowadzącą do sąsiedniej posiadłości, czterysta metrów poniżej płonącej chatki. Płomienie wzbijały się tak wysoko, że było je widać już z daleka. Esperanza ukrył samochód w zaroślach, wyłączył silnik i popatrzył na szosę widoczną między mrocznymi drzewami. Po chwili, świecąc reflektorami i migając światłami na

dachach, przy wtórze wycia syren, przemknęły tamtędy rozmazane sylwetki wozu strażackiego i kilku samochodów policyjnych.

- Jak za dawnych lat - odezwał się Esperanza. Natychmiast włączył silnik i wycofał się na drogę, zapalając światła, dopiero kiedy musiał.

Jeszcze dwukrotnie skręcali w boczne dróżki, aby ukryć się przed policją. Za drugim razem Decker i Esperanza zrobili dłuższą przerwę i zdjęli stroje maskujące. Beth się skrzywiła, kiedy Decker ściągał z niej ubranie. Używając wewnętrznej strony strojów, starli z twarzy pastę do kamuflażu, po czym przykryli ubraniami broń ułożoną z tyłu auta, a na wierzch rzucili koc. Teraz już nie będą zwracali na siebie uwagi, kiedy dotrą do Pecos lub Santa Fe, nawet gdyby stanął obok nich radiowóz.

Decker pogłaskał Beth po głowie.

- Lepiej się czujesz?

- Strasznie zaschło mi w gardle.

- Kupimy ci wodę, jak tylko będziemy mieli okazję. Pokaż te naciągnięte szwy... Krwawisz, ale tylko trochę. Nie martw się. Wszystko będzie w porządku.

- Przez naciągnięte szwy będę miała gorsze blizny.

- Chciałbym zaprzeczyć, ale niestety masz rację.

- Teraz będziemy do siebie pasować.

Decker dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że pomimo bólu Beth stara się uśmiechać.

- Zupełnie jak twoje blizny po postrzałach - zauważyła. - Tylko moje będą większe.

- Niezły z ciebie numer - odparł Decker.

## 23

Czterdzieści minut później Esperanza skręcił z drogi między-  
stanowej numer 25 w Old Pecos Trail, a potem w Rodeo Road,  
zmierając w kierunku bocznej ulicy, gdzie stała jego przyczepa  
mieszkalna. Dochodziło wpół do trzeciej w nocy. O tej porze ulice  
były puste.

- Rano pojedę na pustynię i spalę broń, nasze rękawiczki i stroje  
maskujące, a także olej opałowy i nawóz z manierek - rzekł Decker. -  
Kupiłem remingtona do strzelania z dużej odległości, ale go nie  
użyliśmy, więc możemy go bezpiecznie zatrzymać. Esperanza, może  
go weźmiesz? Zabierz także łuk i strzały.

- Oraz połowę pieniędzy - dodała Beth.

- Nie mogę - odparł Esperanza.

- Dlaczego? Jeśli nie wydasz pieniędzy od razu, tylko będziesz z  
nich korzystał po trochu, to nikt się nie domyśli, że je masz -  
powiedział Decker. - Nie będziesz musiał tłumaczyć, skąd wzięłeś pół  
milion dolarów.

- Piękna sumka - przyznał Esperanza.

- Mogę ci załatwić numeryczne konto w banku na Bahamach -  
zapropnowała Beth.

- Nie wątpię.

- Czyli przyjmiesz pieniądze?

- Nie.

- Dlaczego? - powtórzył Decker, zaskoczony.

- W ciągu ostatnich dni zabiłem kilka osób, mając ku temu ważne powody. Jednak gdybym teraz wziął pieniądze, czyli coś na tym zarobił, to już zawsze czułbym się nie w porządku.

W samochodzie zapadła cisza.

- A ty, Decker? - spytał Esperanza. - Zatrzymasz pieniądze?

- Mam pomysł, co z nimi zrobić.

- To znaczy?

- Jeśli o tym opowiem, to mogę zapeszyć.

- Brzmi tajemniczo - uznała Beth.

- Wkrótce się dowiesz.

- A więc póki to nie nastąpi, chciałabym, żebyś rozwiał moje obawy w pewnej kwestii.

- Tak? - Decker wyglądał na zmartwionego.

- Sprzedawca broni, u którego byłeś. Jeżeli w policyjnym laboratorium ustalą, że metalowe fragmenty bomb to kawałki manierek, a on przeczyta o tym w gazecie, to czy nie przypomni sobie mężczyzny, który w przeddzień ataku kupował u niego kilka sztuk broni i dwanaście manierek?

- Pewnie tak - zgodził się Decker.

- Dlaczego więc cię to nie martwi?

- Ponieważ skontaktuję się ze swoim byłym przełożonym i poinformuję go, że Renata wreszcie została usunięta za pomocą ostatecznych metod, jak to nazywał McKittrick. Zważywszy na

katastrofę, jaką spowodowała w Rzymie, mojemu byłemu przełożonemu będzie zależało, aby tej sprawy nie łączono z wydarzeniami w chatce, jak również żeby nie łączono z nimi mojej osoby. Wykorzysta więc bezpieczeństwo narodowe jako pretekst, aby zniechęcić lokalne władze do prowadzenia śledztwa.

- Na moją współpracę z pewnością może liczyć - zapewnił Esperanza. - Jednak nawet gdyby im się to nie uśmiechało, to i tak ja będę oficerem, którego oddelegują do przesłuchania sprzedawcy broni. Już teraz mogę cię zapewnić, że wszelki związek między tobą i tym, co wydarzyło się w Pecos, jest całkowicie przypadkowy.

- Skoro już mówimy o lokalnych władzach... - Decker pochylił się do przodu i otworzył schowek między fotelami. - Proszę, oto twoja odznaka.

- Nareszcie.

- I twój pistolet.

- Wraca tam, gdzie jego miejsce. - Jednak wesołość w głosie Esperanzy zmieniła się w melancholię, kiedy zaparkowali przed jego przyczepą.

- Pytanie tylko, gdzie jest moje miejsce? Tutaj już nie czuję się jak w domu. Strasznie tu pusto.

- Przykro mi, że twoja żona odeszła. Szkoda, że nie możemy ci jakoś pomóc - rzekła Beth.

- Dzwoncie od czasu do czasu. Dawajcie znać, że u was wszystko w porządku.

- Nie tylko będziemy dzwonić, ale będziesz nas często widywał - obiecał Decker.

- Pewnie. - Jednak Esperanza wydawał się zatopiony w myślach. Zostawił kluczyk w stacyjce i wysiadł z samochodu.

- Powodzenia.

Esperanza nie odpowiedział. Powoli ruszył w poprzek żwirowego placu przed przyczepą. Dopiero kiedy zniknął w środku, Decker usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Jedziemy do domu - powiedział.

**24**

Kiedy Decker wracał do Santa Fe z Nowego Jorku, towarzyszyło mu uczucie wyobcowania. Teraz nareszcie poczuł się jak w domu. Skręcając na podjazd, uważnie przyjrzał się ciemnemu, niskiemu, rozległemu zarysowi swojego domu z suszonej cegły i powiedział sam do siebie:

- To moje.

Musiał odezwać się na głos.

- Oczywiście, że to twoje - powiedziała Beth zaskoczona. - Mieszkasz tu od piętnasta miesięcy.

- Trudno to wyjaśnić - odparł ze zdumieniem. - Bałem się, że popełniłem błąd.

Podjazd zakręcał wzdłuż ściany domu, prowadząc do wiaty samochodowej stojącej na tyłach budynku. Drogę wskazywało światło zapalone przez fotokomórkę. Decker pomógł Beth wysiąść z jeepa.

Oparła się o niego.

- A co ze mną? Czy w mojej sprawie też popełniłeś błąd? Kojoty wyły na Sun Mountain.

- Tego dnia, kiedy po raz pierwszy cię spotkałem - rzekł Decker - wieczorem stanąłem tutaj i słuchałem wycia kojotów, marząc o tym, byś była obok mnie.

- Teraz jestem.

- Teraz jesteś. - Decker ją pocałował.

Po chwili otworzył tylne drzwi, zapalił światło w kuchni i pomógł Beth wejść do środka, przytrzymując jej kule.

- Skorzystamy z pokoju dla gości. Sypialnia wciąż wygląda jak pole bitwy. Masz na coś ochotę?

- Na herbatę.

Podczas gdy gotowała się woda, Decker znalazł torbę ciastek z czekoladowymi płatkami i wysypał je na spodek. W tych okolicznościach ciastka sprawiały żałosne wrażenie. Nawet ich nie ruszyli.

- Obawiam się, że nie ma gorącej wody, aby wziąć kąpiel - odezwał się Decker.

Beth skinęła głową ze znużeniem.- Pamiętam, że bojler został uszkodzony podczas piątkowego ataku.

- Zmienię ci bandażę na szwach. Pewnie chciałabyś środek przeciwbólowy.

Ponownie skinęła głową wyraźnie wyczerpana.

- Możesz tu zostać sama?

- Dlaczego? - Wyprostowała się z niepokojem. - Dokąd idziesz?

- Chcę się pozbyć tego sprzętu z samochodu. Im szybciej, tym lepiej.

- Pojadę z tobą.

- Nie. Odpocznij.

- A kiedy wrócisz?

- Może dopiero o świcie.

- Nie chcę się z tobą rozstawać.

- Ale...

- Nie ma o czym mówić - odparła Beth. - Jadę z tobą.

## 25

W szarości fałszywego świtu Decker wrzucił stroje maskujące i rękawiczki do zagłębienia w ziemi, trzydzieści kilometrów w głąb pustyni na zachód od Santa Fe, po czym spojrzał na Beth. Obserwowała go z rękami skrzyżowanymi na piersiach, ubrana w otrzymany od niego sweter, opierając się plecami o przednie drzwi jeepa po stronie pasażera. Wrócił po manierki wypełnione nawozem i olejem opałowym, po czym wylał ich zawartość na ubrania; ostry zapach podrażnił mu nozdrza. Dorzucił strzałę, którą Esperanza zabił mężczyznę w lesie, a potem karabinek, winchestera i dubeltówkę, oszczędzając tylko remingtona, gdyż go nie użyli. Ogień nie zniszczy numerów seryjnych, ale uczyni broń bezużyteczną. Jeżeli ktoś ją przypadkowo odnajdzie w którymś z odludnych miejsc, gdzie Decker zamierzał ją zakopać, to uzna znalezisko za złom. Ostрым końcem młotka przedziurawił manierki, aby nie pozostały w nich opary, które mogłyby spowodować wybuch. Jako że olej opałowy wolno się pali,

połał stertę przedmiotów benzyną. Następnie zapalił zapalną, podpałił całe pudełko i wrzucił je do zagłębienia w ziemi. Benzyna i olej zapłonęły ze świstem, obejmując płomieniami ubrania i broń. Słup ognia i dymu wzniósł się pod jaśniejące niebo.

Decker podszedł do Beth, objął ją ramieniem i zapatrzył się na płomień.

- O czym opowiadał ten grecki mit? Ten o ptaku powstającym z popiołów? - spytała Beth. - Feniksie?

- Opowiadał o odrodzeniu - odrzekł Decker.

- Właśnie to oznacza imię Renata, prawda? Odrodzenie?

- Też mi to przyszło do głowy.

- Ale czy tak będzie w istocie? - spytała Beth. - Czy to odrodzenie?

- Jeżeli tylko będziemy tego chcieli.

Za nimi słońce wyłoniło się zza gór Sangre de Christo.

- Jak ty to wytrzymujesz? - spytała Beth. - Zeszłą noc. To, co musieliśmy zrobić.

- Już kiedyś starałem ci się to wyjaśnić. Aby przetrwać, nauczyłem się odrzucać wszystkie niepraktyczne emocje.

- Ja tego nie potrafię. - Beth zadrżała. - Kiedy zabiłam męża... chociaż przecież musiałam to zrobić... wymiotowałam przez trzy dni.

- Zrobiłaś to, co było konieczne. Oboje zrobiliśmy to, co było konieczne. W tej chwili, mimo że źle się z tym czuję, najważniejsze jest dla mnie to, że jesteśmy tutaj, a ja cię obejmuję...

- Że żyjemy - dodała Beth.

- Tak.

- Pytałeś, gdzie się nauczyłam strzelać.

- Nie musisz mi opowiadać o swojej przeszłości - odparł Decker.

- Ale chcę. Muszę. Joey mnie do tego skłonił - rzekła Beth. -  
Wszędzie w domu miał broń, a w piwnicy strzelnicę. Zmuszał mnie,  
abym tam z nim schodziła i patrzyła, jak strzela.

Płomienie i dym wznosiły się wyżej.

- Joey wiedział, jak bardzo tego nienawidziłam. Mimo że  
zakładałam ochraniacze na uszy, wzdrygałam się przy każdym strzale.  
Śmiał się wtedy. Potem uznał, że jeszcze zabawniej będzie zmusić  
mnie do strzelania: magnum.357, czterdziestki-piątki. Najpotężniejsze  
pistolety, aż do magnum. 44. Czasem wydaje mi się, że uczył mnie  
strzelać, ponieważ podniecało go, że otacza mnie broń, i drażnił się ze  
mną, prowokował, abym jej przeciw niemu użyła. Nie szczędził trudu,  
aby opisać, jakie piekło mnie czeka, jeśli kiedyś będę na tyle głupia,  
aby tego spróbować. Potem nauczył mnie strzelać ze śruto wek. Są  
głośniejsze. Mają większy odrzut. Właśnie z takiej go zabiłam - rzekła  
Beth.

- Ciii...

- Z dubeltówki. Takiego samego typu jak te, których dziś  
używałam.

- Ciii... - Decker scałował łzę z jej policzka. - Od tej chwili  
przeszłość nie istnieje.

- Czy to znaczy, że nie istnieje także twoja przeszłość?

- Co masz na myśli?

- Czy straciłeś tę otwartość, którą tutaj odnalazłeś? Rzeczywiście stałeś się taki jak dawniej? Znow zamknąłeś się w sobie i odseparowałeś od świata?

- Nie od ciebie - odpowiedział Decker. - Nie od tego. Wskazał na słońce ponad górami, żółknące osiki na narciarskich stokach, zielone sosny u podnóży wzgórz oraz krzewy o musztardowej barwie na olśniewającej czerwopomarańczowej pustyni.

- Jednak są w moim życiu rzeczy, od których pragnę się odseparować, o których lepiej, abyś nie wiedziała, i których nie chcę pamiętać.

- Uwierz mi. Czuję podobnie.

- Nigdy nie będę cię pytał o te rzeczy - obiecał Decker. - A ty nigdy nie będziesz mi musiała o nich opowiadać, chyba że będziesz chciała. Mogę sobie tylko wyobrażać strach i zagubienie, które odczuwałaś, przyjeżdżając do Santa Fe, próbując ukryć się przed mafią wiedząc, że jestem w stanie ci w tym pomóc. Widziałaś we mnie zbawcę i uchwyciłaś się mnie. Czy w ten sposób mnie wykorzystowałaś? Jeśli tak, to cieszę się, że to zrobiłaś, ponieważ inaczej nigdy bym cię nie spotkał. Nawet gdybym wiedział, że mnie wykorzystujesz, to chciałbym, abyś to robiła.

Sięgnął na tył samochodu i wyciągnął podróżną torbę z milionem dolarów w środku.

- Przez pewien czas, po tym jak cię uratowałem, myślałem, że zostałeś ze mną ze względu na to.

Zbliżył się z torbą do ognia. Beth wyglądała na poruszoną.

- Co zamierzasz zrobić?

- Mówiłem ci, że mam pomysł, co z nimi zrobić. Zamierzam zniszczyć przeszłość.

- Chcesz spalić pieniądze?

- Esperanza miał rację. Gdybyśmy je wydali, zawsze czulibyśmy się nie w porządku.

Decker przytrzymał torbę ponad płomieniami.

- Milion dolarów? - spytała Beth.

- Na tych pieniądzach jest krew. Czy naprawdę miałyby to dla ciebie znaczenie, gdybym je spalił?

- Sprawdzasz mnie? Spód torby zaczął się tlić.

- Chcę się pozbyć przeszłości - powiedział Decker. Beth się zawahała. Płomienie tańczyły wzdłuż spodu torby.

- Ostatnia szansa - odezwał się Decker.

- Zrób to.

- Jesteś pewna?

- Wrzuć je w ogień. - Beth do niego podeszła. - Dla nas przeszłość właśnie się kończy.

Pocałowała go. Kiedy Decker upuścił torbę w płomienie, nawet na nią nie spojrzeli. Pocałunek trwał bez końca. Odbierał Deckerowi oddech.